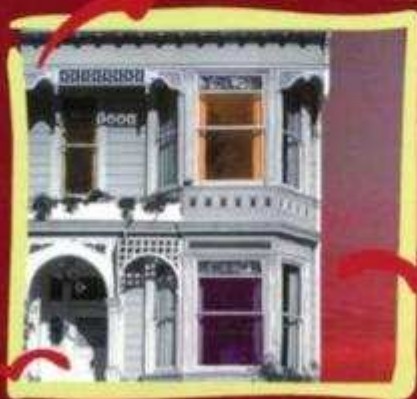


RICHARD RUSSO

Naiwniak



Prószyński i S-ka

Pełna inteligentnego humoru i zarazem poruszająca opowieść Richarda Russo relacjonuje niespodziewany uśmiech fortuny, jaki spotyka zabita deskami mieścine w północnej części stanu Nowy Jork oraz jednego z jej najbardziej pechowych mieszkańców, Sully'ego, którego życie to pasmo kolejnych radośnie popelnianych błędów.

Rozwiedziony z własną a związany z żoną innego mężczyzny, z którą też mu nie całkiem po drodze, uzimiony przez chore kolano i przyjaciół, przy których wrogowie stają się zbędni, Sully musi stawić czoło nowemu wyzwaniu: jego synowi, który od dawna żyje własnym życiem, grozi, że pójdzie w ślady ojca. Ze swoim rubasznym humorem i celnym spojrzeniem, zarówno na ludzkie błędy, jak i triumfy, „Nalwniak” stanowi prawdziwy majstersztyk powieściowej narracji.

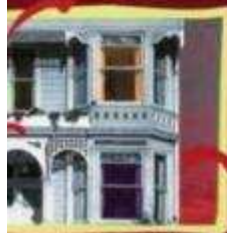
Richard Russo należy, obok Sherwooda Andersona i Sinclaira Lewisa, do najważniejszych pisarzy współczesnej Ameryki. Opublikował pięć powieści: *Po złej stronie drogi* (1986), *The Risk Pool* (1988), *Nobody's Fool* (1993), *Prawy człowiek* (1997) oraz *Koniec Empire Falls*, wyróżnioną w 2002 r. Nagrodą Pulitzera. *Nobody's Fool* (*Nalwniak*) doczekała się ekranizacji w znakomitej obsadzie z Paul'em Newmanem, Melanie Griffith, Jessicą Tandy i Bruce'em Willisem.



RICHARD RUSSO

Nalwniak

Patronat medialny



Cena 39 zł

Informacje o naszych książkach
można znaleźć w witrynie
internetowej
www.proszynski.pl

ISBN 83-7337-523-6



RICHARD
RUSSO
Naiwniak

Przełożyła Małgorzata Dobrowolska

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału NOBODY'S FOOL

Copyright © 1993 by Richard Russo All Rights Reserved

Projekt okładki Maciej Sadowski

Redakcja Jacek Ring

Redakcja techniczna Jolanta Trzcińska

Korekta Joanna Kłeczek Grażyna Nawrocka

Łamanie Ewa Wójcik

ISBN 83-7337-523-6

Warszawa 2003

Wydawca

Prószyński i S-ka SA

02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa

OPOLGRAF Spółka Akcyjna

45-085 Opole, ul. Niedziałkowskiego 8-12

Podziękowania

Autor bardzo dziękuje za wsparcie, jakie otrzymał z John Simon Guggenheim Foundation & Southern Illinois University w Carbondale. Składa podziękowanie Lindzie Stuart i Alanowi Rancourt za rady techniczne. Wyraża również wdzięczność za kawę i zrozumienie pracownikom Cristaudos & Denny's w Carbondale i The Open Hearth w Waterville.

A za nieocenioną wiarę i wsparcie gorąco dziękuje Natowi Sobelowi, Judith Weber, Craig Holden, Davidowi Rosenthalowi oraz jak zawsze żonie Barbarze.

Część pierwsza

Środa

Ulica Główna miasteczka North Bath ciągnęła się od centrum handlowego, zajmującego wszystkiego dwie przecznice, poprzez zaciszny, wyżej położony odcinek o podmiejskim charakterze, aby po kolejnych trzech przecznicach przejść w jeszcze spokojniejszą i już zdecydowanie wiejską, starą dwupasmową drogę numer 27A, wijącą się przez północne tereny stanu Nowy Jork, pośród gór Adirondack z ich ciasnymi, zapyziałymi kurortami, aż po Montreal i wielki świat. Domy położone przy Górnej, jak ją określali mieszkańcy miasteczka - chociaż cała Główna, od jej „Dolnego” krańca z domem towarowym IGA i lodziarnią Tastee Freez, aż po „Górny” z hotelem Sans Souci, zajmowała nie więcej niż ćwierć mili - były w większości leciwymi, wiktoriańskimi landarami o misternych, drewnianych fasadach albo rozłożystymi klasycystycznymi budowlami. Miałyby jakąś wartość, gdyby znajdowały się w Vermoncie, po drugiej stronie granicy, nie zostały podzielone na mniejsze lokale albo od razu zbudowane jako dwu- czy trzyrodzinne domostwa, wynajmowane następnie przez dziesięciolecia i podupadające coraz bardziej. Jednak najbardziej malowniczym elementem pejzażu Górnej były nie domy, ale szpaler sędziwych wiązów, których konary tworzyły nad spadzistymi dachami imponujące sklepienie, przemieniając ulicę w cieniste wnętrze zielonej katedry. Poruszane wiatrem świetliste cienie znakomicie ukrywały oblażącą farbę i przydawały rozchwianym ganeczkom oraz przekrzywionym okapom szlachetnej patyny. Mieszkańcy wielkich miast, zdążający na północ, często zwalniali, przejeżdżając tamtędy, jeśli zdarzyło im się zboczyć z autostrady międzystanowej w poszukiwaniu paliwa lub czegoś do

zjedzenia. Przyglądali się z nostalgią starym domom z okien swoich samochodów, zastanawiając się od niechcienia, ile mogłyby kosztować, jak wyglądają od środka i jak by im się żyło w takiej miejscinie, gdzie droga do centrum to spacer w cieniu drzew. Z pewnością byłoby to lepsze życie. Wracając do siebie po długim weekendzie, ci, którzy byli pod największym wrażeniem, rozważali przez chwilę, czy zjechać z głównego traktu, aby przeżyć to jeszcze raz, a może nawet rzucić okiem na ceny nieruchomości. Ale wtedy przypominali sobie, że zjazd z autostrady jest zdradliwy, że North Bath nie jest wcale aż tak blisko i że bez tego są już spóźnieni. Docierało do nich, jak trudno będzie wytłumaczyć dzieciom jadącym na tylnym siedzeniu, dlaczego robią nagle taki objazd po to tylko, żeby przejechać się wysadzaną drzewami uliczką, mającą raptem trzy przecznice długości, po czym wrócić na autostradę. Takie miasteczka jak to są uroczyimi, zielonymi cmentarzykami. Wiedzieli o tym doskonale, dlatego impuls, by spojrzeć jeszcze raz, gasł, nie ujrawszy światła dziennego, a ich samochody przelatowały obok zjazdu do North Bath, nawet nie zwalniając.

I chyba mądrze robili, bo to, co im się najbardziej podobało - czyli ciągnące się przez całą długość ulicy sklepienie potężnych wiązów - było w gruncie rzeczy mistyfikacją, o czym mogli zaświadczyć jej mieszkańcy. Przez długi czas drzewa stanowiły dumę i chlubę okolicy; gdy uniknęły jakimś cudem holenderskiej zarazy. Dopiero w ostatnich czasach, bez żadnych sygnałów ostrzegawczych, nabrały nagle złośliwych cech. Zima 1979 roku przyniosła straszliwą burzę gradową, a następnego lata liście niemal na połowie wiązów zaczęły się zwijać, przybierając niezdrową żółtą barwę i opadając w sierpniu, podczas największych letnich upałów, zamiast w połowie października. Wezwano specjalistów, którzy przybyli trzema oddzielnymi mikrobusami - każdy z nich opatrzony dumnym emblematem szczęśliwego drzewa. Wysiedli z nich młodzi ludzie, ubrani w białe kitle, jakby wyobrażali sobie, że są lekarzami. Okrążali powoli każde drzewo, skubali korę, ostukiwali ją młoteczkami, jak gdyby pod nią mogły znajdować się jakieś tajemne skrytki, nabierali garściami liści rozkładających się w rynsztoku i przyglądali się im pod światło w dogasającym popołudniowym słońcu.

Jeden z odzianych na biało mężczyzn wywiercił dziurę w pniu wiazu rosnącego przed domem Beryl Peoples, wetknął w otwór obciążony rękawiczką palec, po czym włożył go do ust, krzywiąc się z niesmakiem.

Pani Peoples, emerytowana nauczycielka, która obserwowała go zza żaluzji frontowego pokoju od chwili przybycia mikrobusów, prychnęła na ten widok z pogardą.

- Czego się spodziewałeś? - powiedziała na głos. - Że będzie smakować jak placek z truskawkami?

Panna Beryl, jak nazywali ją niemal wszyscy mieszkańcy North Bath, mieszkała sama wystarczająco długo, aby przywyknąć do dźwięku własnego głosu, i nie zawsze odróżniała ten, który brzmiał w jej uszach, od tego, który rozbrzmiewał w jej wyobraźni. Jej zdaniem była to w końcu jedna i ta sama osoba i mówienie na głos nie wprawiało jej w większe zakłopotanie niż myślenie. Była przekonana, że gdyby chciała uciszyć jeden z tych głosów, drugi również by zamilkł. A tego nie chciała, skoro wciąż miała tak wiele do powiedzenia, choćby miała być swoim jedynym słuchaczem.

Miałaby na przykład ochotę powiedzieć temu młodemu człowiekowi, który krzywiąc się, oblizywał własną rękawiczkę, że zachował się w sposób absolutnie typowy dla tej karmiącej się złudzeniami epoki. Jeżeli istniał jakiś stały motyw we współczesnym świecie - za którym osiemdziesięcioletnia panna Beryl by we własnym przekonaniu ewentualnie nie nadążała - było nim nonszalanckie uchylanie się od przesądzania jakiegokolwiek sprawy. „Skąd można wiedzieć, jak to jest, dopóki się nie spróbuje?” - tak ujmowało tę sprawę wielu młodych ludzi. Otóż zdaniem panny Beryl, która szczyliła się pewną niezależnością umysłu, bardzo często dało się to przewidzieć, przynajmniej jeśli człowiek się trochę zastanowił. Mężczyzna, który właśnie spróbował, jak smakuje drzewo od środka, miał nie więcej powodów do rozczarowania niż jej przyjaciółka, pani Gruber, po skosztowaniu ślimaka. Rzecz działa się w głównej sali gospody „Northwoods Motor Inn”. Grymas przyjaciółki, która obwieściła gromkim głosem, że nie odpowiada jej ani smak, ani konsystencja potrawy, nie wzruszył panny Beryl.

- Co takiego było w jego wyglądzie, że spodziewałaś się dobrego smaku?

Pani Gruber nie odpowiedziała, całkowicie pochłonięta rozstrzygnięciem kwestii, co zrobić z serwetką, do której przed chwilą wypluła ślimaka.

- Był szary, oślizgły i wyglądał paskudnie - przypomniała jej pan na Beryl.

Pani Gruber przyznała jej rację, tłumacząc, że to nie tyle ślimak, ile jego nazwa zrobiła na niej wrażenie.

- One mają francuską nazwę - powiedziała, ukradkiem wymieniając zabrudzoną płócienną serwetkę na świeżą z sąsiedniego stolika. - Escargot.

- Angielską też mają. - Panna Beryl była nieubłagana. - Koń prawdopodobnie też się jakoś nazywa po francusku, co nie znaczy, że Bóg stworzył go po to, żebyś go jadła.

Mimo wszystko była w skrytości dumna ze swojej przyjaciółki, która odważyła się spróbować ślimaka. Musiała przyznać, że pani Gruber ma w sobie więcej żyłki hazardzisty niż większość ludzi, w tym dwaj mężczyźni o imieniu Clive, z których jeden był kiedyś jej mężem, a drugiego wydała na świat. Gdzie jest punkt równowagi pomiędzy żądzą przygody a zdrowym rozsądkiem? Oto pytanie godne człowieka.

Mężczyzna, który skosztował, jak smakuje wnętrze wiązu, musiał być jeszcze większym głupcem niż pani Gruber. Panna Beryl doszła do takiego wniosku, ponieważ natychmiast ściągnął rękawiczkę, wsadził palec w otwór i spróbował jeszcze raz, zapewne, aby się przekonać, czy paskudny smak pochodzi od drzewa, czy od rękawiczki. Sądząc z jego miny, musiał pochodzić od drzewa.

Kilka minut później młodzi ludzie w białych kitlach zebrali narzędzia i zapakowali je z powrotem do samochodów opatrzonego zielonym logo. Panna Beryl wyszła zaciekawiona na ganek i przypatrywała się im z kpiącą miną, aż jeden z nich podszedł do niej, mrucząc:

- Dzieńbry.

- Bry - odparła panna Beryl.

Z twarzy młodego człowieka nic się nie dało wyczytać.

- Jak brzmi werdykt? - zapytała.

Mężczyzna wzruszył ramionami, patrząc w górę na płataninę czarnych gałęzi.

- Są stare, to wszystko - zakomunikował, kierując z powrotem wzrok na pannę Beryl, której twarz znajdowała się mniej więcej na tej wysokości co jego, chociaż on stał na najniższym stopniu ganku, a ona na najwyższym. - Ten tutaj - powiedział, wskazując na najbliższy więz - miałby z osiemdziesiątkę, gdyby był człowiekiem.

Twierdzenie to nie miało być zapewne żadną złowróbną aluzją, chociaż drobna osóbką o plecach zgiętych w pałąk, do której się zwracał, musiała być - w kategoriach jego analogii - rówieśnicą drzewa. - Może dałoby się podpompować je trochę witaminami - ciągnął - ale... - Tu zawiesił znacząco głos, uznając najwyraźniej, że jego rozmówczyni posiada dość inteligencji, aby dośpiewać sobie resztę. - Miłego dnia życzę - powiedział na pożegnanie,

po czym wsiadł do mikrobusu spod znaku szczęśliwego drzewa i odjechał.

Jeżeli „podpompowywanie” przyniosło w ogóle jakieś efekty, to wyłącznie niepożądane, co panna Beryl mogła stwierdzić. Tej samej zimy potężny konar wiązu rosnącego przed domem pani Boddicker niczym krucha kość pękł pod ciężarem śniegu i lodowej mazi i runął - nie na dach swojej właścicielki, tylko na sąsiedni, należący do pani Merriweather, zmiatając po drodze ceglany komin. Ten z kolei rozbił na kawałki kamienną sadzawkę dla ptaków przed domem pani Gruber, tej samej, którą tak rozczarował ślimak. Od czasu tego pierwszego incydentu każda zima przynosiła jakąś nową katastrofę, ostatnio więc mieszkańcy Górnej wpatrywali się w sklepiony baldachim raczej z trwogą niż z dawnym nabożnym zachwytem, jak gdyby sam Bóg zwrócił się przeciwko nim. Studiując czarny labirynt, starali się wypatrzyć szczególnie groźnie wyglądające gałęzie na drzewach swoich sąsiadów, by zasugerować kosztowną operację wycięcia. Prawdę mówiąc, drzewa były tak stare, ich konary wybujały tak wysoko, tak daleko od osłabionych wiekiem oczu, że można było jedynie zgadywać, która gałąź do kogo należy i kto będzie odpowiedzialny, jeżeli spadnie.

Sprawa drzew była po prostu jednym więcej pechowym zrzędzeniem losu, ale gdyby nie pech - jak lubili mawiać mieszkańcy North Bath - można by sądzić, że fortuna w ogóle się nimi nie interesuje. Nie było to zupełnie ścisłe, gdyż miejscowość zawdzięczała swoje istnienie uśmiechowi fortuny w postaci kilku źródeł doskonałych wód mineralnych, odkrytych tu w czasach kolonialnych. Wieś zamieniła się wówczas w letni kurort, bodaj pierwszy w całej Ameryce Północnej, przyciągając wczasowiczów aż z Europy. W 1800 roku pewien rzutki przedsiębiorca Jedediasz Halsey ukończył budowę wielkiego uzdrowskiego hotelu o nazwie Sans Souci, chociaż miejscowi nazywali go „Szaleństwem Jedediasza”, bo przecież każdy wie, że nie sposób zapełnić gośćmi trzystu miejsc noclegowych w samym środku czegoś, co jeszcze nie tak dawno było kompletnym odludziem. A jednak Jedediasz tego dokonał, a napływ gości okazał się tak duży, że w ciągu kolejnych dwudziestu lat wyrosło tu kilka pomniejszych domów noclegowych. Bite wiejskie drogi pocięły koła szykownych powozów, wiozących kuracjuszy do wód Bath. (Tak wówczas brzmiała nazwa wioski, do której przedrostek North dodano sto lat później, dla odróżnienia od innej, większej miejscowości, położonej w zachodniej części stanu, chociaż mieszkańcy North Bath z uporem

bojkotowali tę innowację). I nie tylko dla leczniczych własności wód mineralnych tu przybywano, bo kiedy Jedediasz Halsey, człowiek religijny, sprzedał Sans Souci, nowy właściciel zmonopolizował również rynek „wód” destylowanych i w długie zimowe wieczory sale bankietowe i saloniki hotelu zapełniały się hałaśliwymi biesiadnikami. Bath przeżywało taki rozkwit, że nikt nie zwrócił uwagi na fakt odkrycia kilku innych źródeł doskonałych wód, parę mil na północ, w pobliżu małej miejsciny, która miała w przyszłości przyjąć nazwę Schuyler Springs i stać się głównym rywalem Bath na polu wód mineralnych. Właściciele Sans Souci i pozostali mieszkańcy Bath wiedli beztrudny żywot aż do roku 1868, kiedy to niewyobrażalne zaczęło się ziszczać i kolejne źródła, jedno po drugim, zaczęły bez widomych przyczyn czy w ogóle jakichkolwiek znaków ostrzegawczych wysychać, a wówczas uśmiech losu, bogactwo i przyszłość miasteczka stanęły pod znakiem zapytania.

Jak to ze szczęściem (bo jakże to inaczej określić) bywa, zadzierające nosa Schuyler Springs zaczęło natychmiast odcinać kupony od kłęski Bath. Chociaż ich pomyślność miała ten sam niepewny rodowód, źródła w Schuyler Springs nadal tryskały wesoło, tak więc przyjezdni, których powozy tak długo zajeżdżały na obszerny, kolisty podjazd przed bramą Sans Souci, teraz pokonywały jeszcze kilka dalszych mil, aby zatrzymać się przed jeszcze większym i elegantszym hotelem w Schuyler Springs, którego budowę ukończono (trzeba trafić!) w tym samym roku, kiedy źródła w Bath zaczęły wysychać. No, może nie był to wyłącznie fortunny zbieg okoliczności. Schuyler Springs kładło podwaliny pod swój sukces przez całe lata, inwestorzy z południa oraz miejscowi biznesmeni wytrwale promowali inne atrakcje niż te, które miało do zaoferowania Bath. Były wśród nich walki zawodowych bokserów, trwające przez cały letni sezon, były gry hazardowe, a co najbardziej ekscytujące, budowano tor wyścigowy dla koni pełnej krwi. Mieszkańcy Bath wiedzieli rzecz jasna o tych przedsięwzięciach, ale przyglądali się im z pobłażaniem i oczekiwali ich rychłego fiaska. Poczynania inwestorów z Schuyler Springs wydawały im się jeszcze większym szaleństwem niż niegdyś hotel Sans Souci z jego trzystu pokojami. Z całą pewnością nie było zapotrzebowania na dwa kurorty i dwa ekskluzywne hotele w tak bliskim sąsiedztwie, co oznaczało, że los Schuyler Springs jest przesądzony. Głupota musi mieć swoje granice. Fakt, Jedediasz ze swoim hotelem okazał się raczej wizjonerem niż głupcem, co - jak powszechnie wiadomo - jest określeniem stosowanym, gdy głupi pomysł mimo wszystko się sprawdzi.

Ponadto - podkreślano spieszenie, odkąd źródła wyschły, a kuracjusze przenieśli się gdzie indziej - trudno tu mówić o sprawdzeniu się, gdyż sukces hotelu okazał się jedynie tymczasowy. Znakomita większość spośród prawie pięciuset pokoi (hotel został znacznie rozbudowany niecałe trzy lata przed wyschnięciem źródeł) stała obecnie pusta, co przepowiadano od samego początku. Tak więc, wieszając sobie z powodu własnej dalekowzroczności, mieszkańcy niegdyś cieszącej się łaskami fortuny, a dziś pechowej miejscowości Bath spoczęli na laurach i czekali, aż ich los się odmieni. Daremnie.

Do roku 1900 Schuyler Springs oczyściło teren z konkurencji. Pożar Sans Souci w roku 1903 był tego symbolicznym ukoronowaniem, ale batalia została przegrana na długo przedtem. Większość mieszkańców była zresztą zgodna, że trudno uznać to ostatecznie zdarzenie za niefortunne, skoro niemal z całą pewnością maczał w nim palce właściciel hotelu, liczący na odszkodowanie z firmy ubezpieczeniowej. Sam zresztą zginął w pożarze, usiłując rozniecić go od nowa, kiedy wiatr zmienił kierunek i stało się jasne, że jeśli nie weźmie spraw we własne ręce, szanse na strawienie przez ogień będzie miała jedynie stara, drewniana konstrukcja, a nie później dobudowane, bardziej reprezentacyjne partie. W odniesieniu do ludzi i ich poczynąń ustalenie, co jest pechem, a co szczęściem, zawsze następuje z trudnością. Niepożądaną zmianę kierunku wiatru można uznać za pechową, ale co powiedzieć o człowieku toczącym jak wariat baryłkę z paliwem zbyt blisko płomieni, które sam rozniecił? Czy można uznać, że miał pecha, jeśli zbłąkana iskra wyśle go na tamten świat?

Tak czy inaczej, późną jesienią 1984 roku North Bath nadal czekało na odmianę losu. Były pewne sygnały skłaniające do optymizmu. Odbudowany hotel Sans Souci, a raczej to, co z niego zostało, miał tego lata znów otworzyć swoje podwoje. Na rozległych terenach należących do obiektu dowiercono się niedawno do nowego źródła. A fortuna, jak wiadomo, kołem się toczy.

Rankiem w przeddzień Święta Dziękczynienia, pięć lat po tym, jak pierwszy wiatr zaatakował mieszkańców Górnej, rozłupując dach domu starej pani Merriweather i zamieniając w gruz ptasią sadzawkę pani Gruber, panna Beryl, która zawsze była rannym ptaszkiem, obudziła się jeszcze wcześniej niż zwykle, z uczuciem nieokreślonego niepokoju. Kiedy siedziała na brzegu łóżka, usiłując ustalić jego przyczynę, niespodziewanie dostała

krwotoku z nosa. Prysznic ustał równie nagle, jak się rozpoczął. Udało jej się złapać większość krwi w ligninowe chusteczki, które trzymała w pudełku na nocnym stoliku. Gdy tylko krwawienie ustało, wrzuciła je do muszli, pociągając za spłuczkę zdecydowanym ruchem. Czy to krwotok, czy szybkie usunięcie jego śladów sprawiło, że poczuła się odświeżona? Trudno powiedzieć, ale kiedy się wykąpała i ubrała, jej samopoczucie poprawiło się jeszcze bardziej. Gdy przeszła do dużego pokoju, żeby wypić poranną herbatę, dokonała zdumiewającego i zachwycającego odkrycia, że w nocy spadł śnieg. Nikt go nie zapowiadał, a jednak ulica tonęła w bieli, a barierki i gałęzie drzew pokrywała gruba warstwa ciężkiego, wilgotnego śniegu. W szarym świetle przedświt świat za oknem wyglądał niezmiernie. Panna Beryl patrzyła w ciemną ulicę, sącząc herbatę, dopóki nie nadjechał bezszelestnie jakiś samochód, zostawiając w świeżym śniegu zygzakowaty ślad. Wówczas powróciło uczucie niepokoju, którego doświadczyła po przebudzeniu, choć już nie z taką siłą jak poprzednio. Na kogo przyjdzie kolej tej zimy? - zastanawiała się, rozsuwając żaluzje, żeby spojrzeć w górę na korony drzew.

Choć panna Beryl była zbyt uważnym obserwatorem rzeczywistości, żeby wierzyć w nadprzyrodzoną sprawiedliwość na tym świecie, bywały chwile, kiedy niemal widziała Boży zamysł, dojrzewający tuż za zasięgiem jej wzroku. Jak dotąd miała szczęście. Bóg spuszczał konary drzew na jej sąsiadów, nie na nią. Ale wątpiła, czy nadal będzie ją pomijał w swoich rachubach. Tej zimy prawdopodobnie dosięgnie jej Jego ramię.

- To będzie mój rok - powiedziała na głos, zwracając się do męża, który jak zwykle uśmiechał się do niej mądrze ze zdjęcia stojącego na telewizorze. Nieżyjący od dwudziestu lat Clive senior był uosobieniem równowagi. Nie wiele docierało do jego stanowiska obserwacyjnego za szkłem. Jeżeli podzielał niepokój żony, nie dawał tego po sobie poznać. - Słyszysz mnie, światło moich oczu? - nie dawała za wygraną panna Beryl. Ponieważ nadal milczał, spojrzała na niego chmurnie. - Równie dobrze mogłabym rozmawiać z Edem - oświadczyła. Proszę, nie krępuj się - zdawał się pytać, bezpieczny za swoim szkłem.

- Co o tym sądzisz, Ed? - zapytała panna Beryl. - Czy to mój rok?

Ed Ukator, maska rytualna z Wybrzeża Kości Słoniowej, przedstawiająca ducha Zambie, spoglądał na nią ze ściany. Miał ludzką twarz o dość kwaśnej minie, co w połączeniu z rogami antylopy i zębatego dziobem sprawiało, że zdaniem panny Beryl - wyglądał niezbyt mądrze. Kiedy go nabyła przed ponad dwudziestu laty, uderzyło ją jego podobieństwo do Clive'a seniora,

w chwili gdy mu zakomunikowano, że ma prowadzić w szkole naukę jazdy. Clive senior był trenerem futbolu i w późniejszych latach życie zawodowe ułożyło mu się nie całkiem tak, jak planował. Kiedy jego drużyna zaczęła przegrywać, zażądano najpierw, by uczył wychowania obywatelskiego, a kiedy przegrywała nadal, powierzono mu funkcję instruktora nauki jazdy. W końcu zupełnie zarzucono futbol, gdyż od czasów wojny młodzież coraz mniej się nim interesowała, a nie bez znaczenia były również przemiany demograficzne oraz ciągle upokorzenia ze strony odwiecznego rywala, Schuyler Springs - aż mąż panny Beryl popadł w stan dezorientacji i zagubienia. Nauka jazdy okazała się dla niego zgubna. Pewnego ranka jedna z uczennic, niejaka Audrey Peach, zahamowała nagle bez powodu i bez ostrzeżenia, rzucając go na przednią szybę nowiutkiego samochodu, nim zdołał się całkiem obudzić. Clive senior nigdy nie zapinał pasów bezpieczeństwa. Pilnował, aby robili to jego uczniowie i pasażerowie, ale sam nie lubił uczucia skrępowania. Jego zdaniem, kiedy już się wcisnął do niewielkiego samochodziku, i tak nie miał się dokąd ruszyć. Jako duży mężczyzna potrzebował dużego samochodu i podejrzewał, że dyrekcja specjalnie nabyła do celów szkoleniowych to gówieńko, aby go ukarać za kolejne sezony porażek, tym razem na polu koszykówki - sportu, za którym w ogóle nie przepadał. Kiedy znalazł się w środku, czuł taki przyływ klaustrofobii, że trudno mu się było skupić na pracy. Niski sufit zmuszał go do schyłania głowy, jeśli chciał widzieć, dokąd zmierza mała Audrey. Kiedy wcisnęła do oporu nowe hamulce, samochodzik zarył w miejscu z imponującą sprawnością, ale Clive senior poruszał się nadal, czaszką przebijając przednią szybę jak pocisk. Tam utknął na moment, jak złoczyńca w dybach, dopóki rozhuśtany samochód nie rzucił go z powrotem na siedzenie ze złamaną szyją, niczym w ramach krwawej lekcji poglądowej. Był to jedyny znany przypadek w całym północnym stanie Nowy Jork, kiedy instruktor nauki jazdy zginął podczas wykonywania swoich obowiązków.

- Widzisz? - powiedziała panna Beryl, zwracając się do fotografii męża. - Ed jest tego samego zdania co ja.

Przynajmniej, pocieszała się, kiedy dosięgnie ją karząca ręka sprawiedliwości, będzie lepiej przygotowana finansowo na przyjęcie ciosu niż większość jej sąsiadek. Mogła sobie powinszować. Była nie tylko solidnie ubezpieczona, ale i względnie zasobna. Panna Beryl, podobnie jak tyle innych właścielek domów przy Górnej, była wdową, a więc bynajmniej nie „panną”

z formalnego punktu widzenia. Mąż pozostawił jej nie tylko swoją rentę kombatancką, ale i emeryturę, którymi dysponowała oprócz własnej emerytury i zasiłku, i zdawała sobie sprawę, że jest znacznie lepiej sytuowana niż pani Gruber i pozostałe sąsiadki. Życie, które jej zdaniem stawało się coraz bardziej bezlitosne, oszczędziło jej przynajmniej niedostatku, za co była wdzięczna losowi.

Pod innymi względami było dla niej mniej łaskawe. Fakt, że była znana w North Bath jako „panna” Beryl, miał swoje źródła w doświadczeniach z rzeszą twardogłowych, niewyuczalnych ósmoklasistów, których zdaniem wyglądała zbyt dziwacznie i nieforemnie, aby mogła mieć męża. Nie dawali temu wiary nawet w obliczu niepodważalnych dowodów. Od pierwszego dnia nazywali ją odruchowo panną Peoples lub panną Beryl i nie zwracali uwagi, kiedy ich poprawiała. Clive senior był zdania, że dzieciaki z natury rzeczy myślą o swoich nauczycielkach jako o starych pannach, i uważał całą sprawę za bardzo zabawną. Sam często tytułował ją dla kawału „panną Beryl”. Nie był kompletnym głupcem, ale umykała mu spora porcja tego, co jego żona nazywała subtelnymi niuansami życia. Sprawiał jej przykrość, zwracając się do niej w sposób, który sugerował, że postrzegają tak samo jak inni ludzie. Clive senior był jedynym mężczyzną, jaki ją kiedykolwiek uznał za godną pożądania, i wydawało jej się niemal niewybaczalne, że odbiera jej w ten sposób po trosze szczodry dar swojej miłości, raz po raz, zawsze z szerokim uśmiechem.

Ale kochał ją, to nie ulegało wątpliwości. Ta świadomość dawała jej dodatkową przewagę nad sąsiadkami, które owdowiawszy, okazały się całkowicie nieprzygotowane na kolejną dekadę lub dwie samotnej egzystencji. Pani Gruber, na przykład, nigdy w życiu nie pracowała poza domem i nie miała zbyt wielkiego pojęcia, jak funkcjonuje świat po drugiej stronie drzwi, poza tym, że wszystko drożeje. Panna Beryl była faktycznie jedyną profesjonalistką wśród załężnionych mieszkańek ulicy Górnej. Ich mężowie chronili je, dopóki żyli, przed spadającymi konarami życia, ale teraz ich renty kombatanckie plus skromne zasiłki nie starczały na wiele. Wdowy z konieczności wynajmowały mieszkania na piętrze, chociaż czynsz często ledwie pokrywał koszty niezbędnych napraw, których wymagały rozlatujące się stuletnie rury, przeciążona, przestarzała instalacja i szkody wywołane przez spadające gałęzie. Co gorsza, podatki rosły w zawrotnym tempie, windowane przez spekulantów z południa stanu, którzy wydawali się przekonani, że zarówno w Bath, jak i w pozostałych miasteczkach między Nowym Jorkiem a Montrealem kolejna dekada przyniesie nadzwyczajny boom na rynku

nieruchomości. Jeśli idzie o Bath, wiele mogłoby na to wbrew pozorom wskazywać. Nie tylko przewidziane na lato otwarcie wspaniale odrestaurowanego hotelu Sans Souci, ale i plany dotyczące rozległych terenów bagnistych, ciągnących się pomiędzy miasteczkiem a autostradą międzystanową, gdzie miał powstać ogromny lunapark o nazwie „Podróż bez Końca”. Clive junior, syn panny Beryl, który przez ostatnie dziesięć lat piastował w Bath funkcję prezesa Banku Depozytowo-Kredytowego, pracował nad urzeczywistnieniem tej idei, urabiając grupę miejscowych inwestorów. Podpisywał się entuzjastycznie pod twierdzeniem, że z uwagi na ograniczoną ilość wolnych terenów perspektywy, jakie niesie przyszłość, są nieograniczone. „Za dwadzieścia lat - lubił mawiać - nie będzie czegoś takiego jak zła lokalizacja”.

Panna Beryl nie polemizowała z synem, ale i nie podzielała jego optymizmu. Była zdania, że coś takiego jak zła lokalizacja będzie istniało zawsze i jeśli się nie myliła, Clive junior miał się o tym któregoś dnia przekonać, inwestując w jeden z takich terenów. Jej syn był cynicznym optymistą. W jego przekonaniu istniały tylko dwie przyczyny, dla których ludzie bankrutowali: głupota i wąskie horyzonty. Głupota innych była jego zdaniem okolicznością pomyślną, bo można było na niej zarobić. Czyjaś klęska finansowa oznaczała szansę, nie powód do niepokoju. Lubił analizować plajtę jakiegoś przedsięwzięcia, odnajdując jej źródło w ciasnocie umysłowej, ograniczonych ambicjach, groszowych operacjach. Szczycił się wydobyciem Banku Depozytowo-Kredytowego z pęt takich właśnie niezdrowych poglądów. Przez lata instytucja ta chyliła się z wolna, acz nieuchronnie, ku utracie płynności, zawdzięczając to polityce jego poprzednika, głęboko nieufnego i pesymistycznie usposobionego jegomościa rodem z Maine, który nienawidził udzielać kredytów. Fakt, że ludzie przychodzili prosić go o pieniądze, często w autentycznej potrzebie, nie rokował jego zdaniem zbyt dobrze, jeśli chodzi o szanse na zwrot. Widział tę potrzebę w ich oczach i nie potrafił sobie wyobrazić, żeby miała stamtąd zniknąć. Był zdania, że pieniądze należące do instytucji są bezpieczniejsze w skarbcu bankowym niż w ich kieszeniach. Umarł w banku w niedzielę, siedząc w swoim gabinecie w obitym skórą fotelu, za zamkniętymi, jak zawsze, drzwiami, jak gdyby obawiał się, że potrzebujący mogą go znaleźć nawet tutaj, w weekendowy wieczór, mimo bramy zamkniętej na klucz. Znalaziono go w poniedziałek rano. Uległ zaawansowanemu stężeniu pośmiertnemu, podobnie - zauważył ktoś później – jak uległa mu instytucja, którą kierował.

Kiedy schedę po nim przejął Clive junior, sprawy od razu przybrały lepszy obrót. Od razu położył nowy chodnik w holu, gdyż stary stopniowo przetarł się do nitki, z wyjątkiem odgałęzienia prowadzącego do gabinetu dyrektora naczelnego, gdzie panował niewielki ruch. Jako cel na najbliższą dekadę postawił sobie dziesięciokrotne zwiększenie aktywów depozytowych i kredytowych. Ogłosił też, że zamierza agresywnie inwestować ewentualne nadwyżki, a nawet, jeśli sytuacja będzie temu sprzyjać, udzielać pożyczek na atrakcyjnych warunkach.

Jedyną zasadą, jaką dzielił ze swoim świętej pamięci poprzednikiem, była głęboka nieufność do mieszkańców North Bath, których obaj uważali za niemrawych. Tacy byli w szkolnych czasach i takimi, zdaniem Clive'a juniora, pozostali jako dorośli. Wolał mieć do czynienia z inwestorami i kredytobiorcami z południa, wręcz spoza stanu, nawet z Teksasu. Był przekonany, że to oni stanowią przyszłość Bath, tak jak to się ostatnio okazało w przypadku Clifton Park czy innych przedmieść Albany, prosperujących dziś tak znakomicie dzięki ich zbawiennym wpływom. „Pieniądze z południa pełzną na północ” -mawiał do matki, a ona rzucała mu wówczas uważne spojrzenie sponad okularów, które zakładała do czytania. Myśl o pieniądzach pełnących w górę autostrady zawsze wydawała jej się niezdrowa. „Uwierz mi, mamó - nalegał. - Kiedy przyjdzie czas, żeby sprzedać dom, zarobisz furę pieniędzy”.

To właśnie takie sformułowania jak „kiedy przyjdzie czas” napępniały pannę Beryl niepokojem. W ustach Clive'a juniora brzmiały jakoś złowrogo. Zastanawiała się, co konkretnie ma na myśli. Czy ocena, że „czas nadszedł”, będzie należała do niej, czy do niego? Ile razy ją odwiedzał, lustrował dom okiem handlarza nieruchomości, znajdował pretekst, żeby zejść do piwnicy i na poddasze, jakby chciał się upewnić, że „gdy nadejdzie czas”, by odziedziczył własność swojej matki, będzie się znajdowała w dobrym stanie. Miał do niej pretensje, że wynajmuje mieszkanie na górze Donaldowi Sullivanowi, do którego żywił jakąś zadawnioną urazę. Żadna wizyta, choćby nie wiadomo jak krótka, nie obyła się bez kolejnej prośby, żeby się go wreszcie pozbyła, nim jej lokator zaśnie w łóżku z zapalonym papierosem. Sposób, w jaki Clive junior wyrażał swoje zaniepokojenie, upewniał ją, że lęka się nie tyle o starą matkę, która mogłaby zginać w płomieniach, ile o dom, który poszedłby przy okazji z dymem.

Panna Beryl nie była zbyt dumna z tych nieżyczliwych myśli na temat swojego jedynego dziecka i od czasu do czasu próbowała je sobie nawet wybić

z głowy; liczyła na to, że wówczas się pojawią naturalne, macierzyńskie uczucia. Kłopot w tym, że naturalne, macierzyńskie uczucia nie ujawniały się w sposób naturalny, kiedy w grę wchodził jej syn. Clive junior z fotografii na telewizorze robił dość miłe wrażenie. Twarz, uchwycona w obiektywie, wydawała się należeć do kogoś innego - nie do tego pozbawionego radości, pełnego skrytych lęków bankiera w średnim wieku. Miała w sobie coś wręcz chłopięcego, jakby nadal skrywała wiele możliwości w wieku, w którym na twarzach większości mężczyzn odcisnęło się już z całą wyrazistością piętno ich dojrzałego życia. Clive junior, przynajmniej ten z fotografii, wciąż wydawał się nieodpowiedzialny, chociaż w swoje najbliższe urodziny miał skończyć pięćdziesiąt sześć lat. Rzeczywisty Clive junior to całkiem inna historia. Ilekroć pojawiał się z wizytą, składając na jej czole szybki, suchy, nieprzyjemny pocałunek, po czym zaczynał lustrować sufit w salonie, wypatrując plam po zaciekach, jego charakter, jeśli to w ogóle odpowiednie słowo, wydawał się równie ukształtowany, jak u konserwatywnego polityka w czasie piątej kadencji z rządu. Znosiła jego wizyty i niekończące się porady finansowe z największą pogodą, na jaką się potrafiła zdobyć. On mówił jej, co powinna zrobić i dlaczego, a ona słuchała go uprzejmie, aż skończył, po czym oświadczała, że nie skorzysta z jego sugestii. Jej zdaniem miał głowę pełną niedowarzonych konceptów, które traktował, jakby zrodziły się w krzaku ognistym, a nie w jego własnym, rozgorączkowanym umyśle. „Mamo - mawiał często, kiedy stanowczo odmawiała pójścia za jego radą - wygląda to niemal tak, jakbyś mi nie ufała”.

- Bo ci nie ufam - powiedziała głośno w stronę fotografii syna, stojącej na telewizorze. - Przykro mi, ale to silniejsze ode mnie - dodała pod adresem męża. - Nie ufam mu. Ed mnie rozumie, prawda, Ed?

Clive senior uśmiechnął się jedynie w odpowiedzi, trochę smętnie, jak się jej wydawało. Od czasu swojej śmierci coraz częściej brał w kwestiach spornych stronę syna. „Zaufaj mu, Beryl - szeptał teraz konfidencjonalnym tonem, jak gdyby się obawiał, że Ed Ukator go usłyszy. - Jest naszym synem. To on jest teraz światłem twoich oczu”.

- Pracuję nad tym - zapewniła męża panna Beryl, i rzeczywiście pracowała. W ciągu ostatnich pięciu lat dwukrotnie pożyczyła synowi pieniądze, nawet nie pytając, co ma zamiar z nimi zrobić. Za pierwszym razem było pięć tysięcy dolarów, za drugim - dziesięć. Nie by łaby zachwycona utratą takiej sumy, ale prawdę mówiąc, mogła sobie na to pozwolić. Ale w obu wypadkach Clive junior zwrócił pożyczkę w terminie i panna Beryl, szukająca

jakiegoś punktu zaczepienia dla swojej nieufności, odkryła, że jest nieco rozczarowana, kiedy pieniądze znalazły się u niej na powrót. W zasadzie dręczyło ją szczególnie wstydlive przypuszczenie, że Clive junior wcale ich nie potrzebował, że pożyczył je od niej tylko po to, żeby zademonstrować swoją wiarygodność. Zaczęła nawet podejrzewać, że tym, co go naprawdę interesuje, nie jest część, która i tak ma mu wkrótce przyspaść w udziale, ale kontrola nad całością. Ale nad jaką całością? Musiała przyznać, że logika jej podejrzeń pozostawia wiele do życzenia. Bądź co bądź jej pieniądze, dom przy Górnej i jego niebagatelna zawartość, wszystko to miało się w końcu stać jego własnością, kiedy, jak to ujmował, „czas nadejdzie”.

Jedną ze spraw, które nie dawały jej synowi spokoju, był brak rozeznania, ile tego „wszystkiego” jest. Był oczywiście dom i dziesięć tysięcy dolarów, o których wiedział, bo mu je pożyczyła. Ale co ponadto? To właśnie w kwestii informowania go o stanie swoich finansów objawiał się jej brak zaufania. Miała w Schuyler Springs księgowego, który co roku naliczał jej podatki i którego pouczyła, żeby nie udzielał jej synowi żadnych informacji na temat jej spraw. Jeśli chodzi o porady prawne, korzystała z usług miejscowego adwokata Abrahama Wirfly'ego, przed którym jej syn nieustannie ją ostrzegał, zarzucając mu niekompetencję i nadużywanie alkoholu. Panna Beryl zdawała sobie sprawę z jego mankamentów, ale stanowczo twierdziła, że to nie tyle niekompetencja, ile brak ambicji - rzecz niemal niespotykana u prawnika. Co ważniejsze, uważała go za absolutnie lojalnego i kiedy przyrzekł jej nie ujawniać Clive'owi juniorowi żadnych szczegółów prawnych i finansowych, dotyczących jej spraw, wiedziała, że może na nim polegać. Ponadto, choć nigdy nie powiedział tego głośno, wydawał się mieć do Clive'a juniora pewne zastrzeżenia, co było jeszcze jednym powodem, aby mu ufać. Rosnąca irytacja jej syna była najlepszym dowodem, że trafiła w dziesiątkę. „Mamo - żalił się, chodząc tam i z powrotem po jej salonie. - Jak mam ci pomóc zabezpieczyć twoje aktywa, skoro mi na to nie pozwalasz? Co będzie, jeśli zachorujesz? Czy chcesz, żeby szpital zabrał wszystko? To jest twój plan? Dostać wylewu i pozwolić, żeby jakiś szpital kasował swój tysiąc dziennie, aż zostaniesz bez grosza?”.

Logika jego pełnych troski wywodów była bez zarzutu, argumentacja konsekwentna, a mimo to panna Beryl nie mogła się pozbyć uczucia, że Clive junior nie wszystko jej mówi. Jeśli chodzi o sprawy finansowe, wiedziała o nim nie więcej niż on o niej, ale podejrzewała, że jest na dobrej

drodze do dużych pieniędzy. Wiedziała też, że mimo gospodarskiego oka, jakim taksował jej dom, w gruncie rzeczy mu na nim nie zależy, że gdyby odziedziczył go nazajutrz, sprzedałby go następnego dnia. Ostatnio nabył luksusowy dom w zabudowie atrialnej w sąsiedztwie nowych terenów sportowo-rekreacyjnych pomiędzy North Bath i Schuyler Springs. Dom przy Górnej wart był ze sto pięćdziesiąt tysięcy, może więcej - sumka nie do pogardzenia, nawet jeśli Clive junior „nie potrzebował” tych pieniędzy. Mimo to jakoś nie mogła uwierzyć, że chodzi mu jedynie o dobro matki. W jego wzroku, błędzącym niespokojnie z kąta w kąt, jak gdyby spodziewał się ujrzeć czmychającego ducha, było coś, co ją upewniało, że widzi rzeczy, których ona nie potrafi dostrzec. Dopóki nie ustalili, co to takiego, nie miała zamiaru obdarzyć go pełnym zaufaniem.

Za oknem wychodzącym na ulicę wielki płat śniegu spadł bezgłośnie z niewidocznej gałęzi. Było go sporo, ale nie zanosilo się na to, że się utrzyma. Mimo zewnętrznych pozorów nie była to prawdziwa zima. Jeszcze nie. Panna Beryl poszła jednak do holu na tyłach domu i odszukała łopatę, którą schowała pod schodami jeszcze w kwietniu, po czym oparła ją o drzwi wejściowe, tak aby nawet Sully nie mógł jej przeoczyć, kiedy będzie wychodził. Po powrocie do pokoju usłyszała stłumione brzęczenie, co oznaczało, że budzik jej lokatora zaczął dzwonić. Od czasu wypadku, w którym uszkodził sobie kolano, Sully spał chyba jeszcze mniej niż panna Beryl, której wystarczało pięć godzin nocnego snu, plus trzy czy cztery piętnastominutowe drzemki w ciągu dnia. Tych ostatnich wypierała się kategorycznie. Sully budził się w nocy kilka razy. Słyszała, jak człapie przez sypialnię, położoną nad jej własną, zmierzając w stronę łazienki, gdzie czeka cierpliwie, aż uda mu się wypróżnić. Stare domy potrafią zdradzić niejednego wydalniczy sekret. Panna Beryl wiedziała na przykład, że Sully nabrał ostatnio zwyczaju siadania na sedesie, skrzypiącym pod jego ciężarem, i czekania, aż mocz wreszcie popłynie. Sądząc z czasu, jaki upływał, nim wrócił do łóżka, musiał albo zasypiać w tej pozycji, albo miał problemy z prostatą. Panna Beryl postanowiła powtórzyć mu pewną rymowanke, którą zapamiętała z czasów dzieciństwa.

*Staruszka Jones ma cukrzycę
Ani kropli wycisnąć nie może
Po dwóch butelkach „Lidii Pinkham”
Odzyskuje dostęp do morza*

Zastanawiała się, czy go to rozśmieszy. To zależy, czy wie, co to takiego „Lidia Pinkham”. Kiedy się ma osiemdziesiąt lat, jednym z problemów jest imponujący zasób aluzji, jakie człowiek zgromadził w ciągu życia. Inni ich nie chwytają i dają ci do zrozumienia, że to twoja wina. Dawno temu, przypuszczalnie gdzieś w czasach kolonizacji Ameryki, wiedza starych ludzi zaczęła ulegać dewaluacji i obecnie nie była warta funta kłaków. Gdyby panna Beryl była młodsza, mogłaby uznać za interesującą sprawę prześledzenie ewolucji obiegowych poglądów na ten temat. Starzy ludzie, niegdyś otaczana szacunkiem skarbnica historii kultury i tradycyjnych wartości, przeobrazili się nie wiadomo kiedy w zakurzone składnice nikomu niepotrzebnej wiedzy i bezużytecznych informacji. Nieważne. I tak powtórzy wierszyk Sully'emu. Odrobina poezji mu nie zaszkodzi.

Brzęczenie w mieszkaniu na górze nie ustawało. Sully twierdził, że jedyny czas, jaki udawało mu się ostatnio przesypiać naprawdę twardo, ograniczał się do tej jednej godziny poprzedzającej dzwonek budzika. Niedawno zakupił nowy egzemplarz, bo stary nie radził sobie z budzeniem właściciela. Nowy zresztą też nie. Kiedy panna Beryl po raz pierwszy usłyszała dziwne, odległe buczenie, wzięła je mylnie za oznakę zbliżającego się końca. Wyczytała gdzieś, że ludzki mózg to nic innego jak labirynt elektrycznych wyładowań, cykających posłusznie pod czaszką. Skoro tak, to brzęczenie musiało sygnalizować awarię. Fakt, że dźwięk rozlegał się każdego ranka o tej samej porze, nie od razu nasunął jej oczywisty, wydawałoby się, wniosek, że jego źródło musi znajdować się na zewnątrz. Uznała, że czas, do którego tak często robił zawołane aluzje Clive junior, musiał rzeczywiście nadejść. Dopiero gwałtowne urywanie się dźwięku, a zaraz potem odgłos stóp Sully'ego, lądujących ciężko na podłodze, pozwoliło jej rozwiązać zagadkę. Przyjęła to z wdzięcznością, bo mogła wreszcie przestać się zamartwiać, potrząsać głową w poszukiwaniu zwarcia i nabawiać się przez to migreny.

Być może z powodu owej pierwszej, mylnej diagnozy, dalekie brzęczenie budzika nadal wytrącało ją nieco z równowagi, tego ranka zrobiła więc to samo co zazwyczaj. Udała się do kuchni po miotłę, po czym walnęła nią kilka razy porządnie w sufit, przerywając dopiero wówczas, gdy usłyszała, że jej lokator budzi się ze snu, stękając i parszcząc półprzytomnie. Wątpiła, czy Sully zdaje sobie sprawę, co go budzi w tak liczne poranki, i czy podejrzewa, że nie jest to jego nowy budzik.

Może jej syn miał w sumie rację, że należałoby się go pozbyć. Sully był niedbały, to nie ulegało wątpliwości. I nie chodziło tu tylko o papierosy, ale również, w sposób niezamierzony, o ludzi i całą otaczającą rzeczywistość. Skoro był niedbały, to i niebezpieczny. Być może, pomyślała, wracając do okna i podnosząc wzrok na płataninę czarnych gałęzi, to Sully jest owym metaforycznym konarem, który ma na nią spaść. Wiedziała, że z wiekiem człowiek traci pewność siebie. Dłużej niż którakolwiek z jej owdowiałych sąsiadek odpierała niszczycielskie ataki niepewności, zachowując intelektualną czujność i gotowość do podejmowania wyzwań. Jak dotąd zdołała ocalić wiarę we własny sąd, między innymi dzięki rygorystycznemu kwestionowaniu sądów innych. Obecność Clive'a juniora była tu bardzo pomocna i panna Beryl zawsze sobie powtarzała, że kiedy rady syna zaczną jej trafiać do przekonania, będzie to oznaczało początek końca. Być może jej obawy co do Sully'ego i uznanie racji Clive'a juniora stanowiły pierwszy sygnał.

Ale nie zamierzała się jeszcze poddawać. Pod kilkoma ważnymi względami Sully był cennym sprzymierzeńcem, tak jak w ubiegłym miesiącu, kiedy upadła i boleśnie nadwreżyła nadgarstek. Obawiając się, że może być złamany, poprosiła go, żeby ją zawiózł do szpitala w Schuyler Springs, gdzie prześwietlono i opatrzone jej rękę. Cała sprawa zajęła nie więcej niż dwie godziny, po czym wypuszczono ją do domu z receptą na środek przeciwbólowy tylenol. Wzięła tylko dwie tabletki, bo czuła się po nich senna. Przestała przejmować się bólem, kiedy poznała jego przyczynę. Jak tylko się upewniła, że kość nie jest pęknięta, od razu poczuła się lepiej i nazajutrz sprezentowała pozostałe tabletki Sully'emu, który od czasu wypadku wciąż potrzebował środków uśmierzających.

Wiedziała, że może polegać na jego dyskrekcji. Chciałaby móc powiedzieć to samo o swojej przyjaciółce, pani Gruber, którą Clive junior wykorzystywał, jak podejrzewała, aby kontrolować matkę. Pani Gruber oczywiście zaprzeczała, ale czego innego można było oczekiwać, skoro kategorycznie zabroniła jej przekazywać mu jakiegokolwiek informacje natury osobistej na swój temat? Mimo to była przekonana, że pani Gruber to wtyczka. Clive junior potrafił być ujmujący, a dla Alicji jedną z największych życiowych przyjemności było obgadywanie wypadków i chorób innych osób. Panna Beryl wątpiła, żeby jej przyjaciółka potrafiła się oprzeć jej miodoustemu synowi.

Wciąż stojąc naprzeciw okna, panna Beryl długo patrzyła spoza żaluzji w stronę, gdzie stał dom pani Gruber. Za piętnaście siódma. Ulica nadal była

pograżona w ciszy, nieskazitelną biel świeżo spadłego śniegu naruszał jedynie czarny ślad pozostawiony przez opony samochodu. Panna Beryl westchnęła i spojrzała w labirynt gałęzi, odcinający się ostrą czernią na tle białego, porannego nieba.

- Spadaj sobie - powiedziała, jak zawsze mile podbudowana zdecydowanym brzmieniem swojego głosu. - Nie mam zamiaru się przejmować.

- Pewnie by się pani nie przejęła, gdybym spadł - odezwał się jakiś głos za jej plecami. - Założę się, że nieźle by się pani uśmieła.

Była tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała, kiedy drzwi salonu się otworzyły i jej lokator wszedł do środka. Odniosła wrażenie, że zaledwie kilka sekund upłynęło od chwili, gdy parskał i stękał w sypialni na górze, budząc się ze snu. Z pewnością zbyt mało, żeby wstać, ubrać się i wykonać wszystkie poranne czynności, do których zobligowany jest cywilizowany człowiek. Ale mężczyźni, istoty dziwne, nie są, co tu dużo mówić, cywilizowani, przynajmniej większość. Ten, którego ujrzała, stał przed nią w skarpetkach, trzymając za sznurowadła parę ciężkich, roboczych butów. Bez wątplenia wytoczył się po prostu z łóżka, prosto w ubranie. Wątpiła, żeby używał piżamy. Pewnie sypiał w szortach, tak jak niegdyś Clive senior, rano chwycił pierwszą parę spodni, jaka wpadła mu w ręce, przewieszoną przez krzesło albo leżącą w nogach łóżka. O ile знаła Sully'ego, spał najprawdopodobniej w skarpetkach, żeby nie tracić czasu.

Co nie znaczy, że jej lokator był gorszy niż inni mężczyźni. Jak wielu pracowników fizycznych, miał zwyczaj kąpać się po powrocie z pracy zamiast rano, co oznaczało, że po obudzeniu się miał tylko dwie pilne potrzeby do zaspokojenia: wypróżnić się i zorganizować filiżankę kawy. Dla niego kawa znajdowała się dwie przecznice dalej, w jadalni „U Hattie”, gdzie często docierał, zanim się na dobre obudził. Swoje robocze buty zostawiał na dole, w holu przy tylnym wyjściu. Nie wiadomo dlaczego lubił je wkładać w mieszkaniu panny Beryl zamiast u siebie na górze. Podeszwy butów zawsze pozostawiały brud na deskach podłogi - w zimie błotniste ślady protektora, latem suche kopczyki żwiru, które panna Beryl zmiatała na śmietniczkę zaraz po jego wyjściu. Mężczyźni, jak zauważyła, w ogóle rzadko zwracają uwagę na to, co zostawiają po sobie, ale Sully bił pod tym względem wszelkie rekordy, a jego poranne obyczaje stanowiły szczyt abnegacji. Z drugiej strony panna Beryl nie dałaby złamanego szeląga za pedantycznego faceta i

nie miała nic przeciwko sprzątanemu po Sullym każdego ranka. Ta drobna rutynowa czynność, którą mu zawdzięczała, była i tak jednym z bardzo nie-licznych obowiązków, jakie jej pozostały.

- O Boże! - wykrzyknęła. - Kto to widział, tak się podkradać do starej kobiety?

- Myślałem, że mówi pani do mnie - powiedział Sully. Był jedynym człowiekiem, który nie nazywał jej panną, i dzięki temu zaskarbił sobie szczególnie miejsce w jej sercu. - Pomyślałem, że wdepnę sprawdzić, czy nie umarła pani podczas snu.

- Jak dotąd nie.

- Ale mówi pani do siebie - zauważył Sully - więc to już długo nie potrwa.

- Nie mówiłam do siebie, tylko do Eda - oświeciła panna Beryl swojego lokatora, wskazując maskę wiszącą na ścianie.

- Ach tak - odetchnął Sully z udawaną ulgą - a już się bałem, że zaczyna pani świrować.

Usiadł ciężko na krześle w stylu królowej Anny, co wywołało na twarzy panny Beryl mimowolny grymas. Kruchy mebelek był prezentem od Clive'a seniora, który kupił go dla niej w sklepie z antykami w Schuyler Springs. Właściwie to ona go do tego namówiła. Osobiście był zdania, że krzesło, z jego smukłymi nóżkami i poręczami, jest zbyt delikatne, żeby na nim siedzieć. Jako człowiek potężnej postury obawiał się, że mebel załamałby się pod nim, a on wylądowałby na podłodze, gdyby spróbował to zrobić. „Nie chodziło mi o to, żebyś na nim siadał - uświadomiła go panna Beryl. - Ani ty, ani ktokolwiek inny - uzupełniła”. Clive senior zmarszczył czoło na tę deklarację i już miał otworzyć usta, aby wygłosić, że kupowanie krzesła nie ma wielkiego sensu, skoro nikt nie miałby go używać - ale dostrzegł wyraz twarzy swojej ukochanej i ugryzł się w język. Jak wielu nałogowych miłośników sportu, był człowiekiem głęboko religijnym, wychowanym w poszanowaniu niezgłębionych tajemnic - od Trójcy Świętej po umysł kobiety. Przypomniawszy sobie w samą porę, że panna Beryl sprezentowała mu tej samej zimy klubowy fotel kryty sztruksem, który określała jako największe brzydactwo pod słońcem, a który on sobie szczególnie upodobał. Jego zdaniem wcale nie był brzydki, a już z całą pewnością wyglądał solidniej, ze swoją masywną konstrukcją i gąbką obitą wytrzymałym materiałem, niż tamta kupa rachitycznych mahoniowych patyków. Niemniej zrozumiał, że dał się podejść, i wypisał czek.

Jedno i drugie było prawdą, myślała panna Beryl. Sztruksowy fotel, teraz szczęśliwie ukryty przed ludzkim wzrokiem w pokoju gościnnym, był najpaskudniejszym meblem pod słońcem, a krzesło w stylu królowej Anny było kruche. Nie cierpiała, kiedy ktokolwiek na nim siadał, nie wyłączając Sully'ego. Wśród wielu elementarnych spraw, które umykały jej lokatorowi, znajdowała się przyjemność, jaką ludzie czerpią z posiadania pięknych rzeczy. Sam nie miał nic, co miałyby dla niego jakąkolwiek wartość, i nigdy nie mógł pojąć, jak ktoś może się martwić, żeby jego mienie nie doznało uszczerbku. Jego własne życie obfitowało we wszelkiego rodzaju awarie, które przyzwyczaił się traktować jako pewien stały element, nie zasługujący na większą troskę niż pogoda. Kiedyś, przed laty, panna Beryl zahaczyła w rozmowie o ten delikatny temat, próbując zwrócić mu uwagę na te spośród swoich sprzętów, których zniszczenie sprawiłoby jej szczególną przykrość, ale temat wydawał się go albo nudzić, albo irytować, dała więc spokój. Mogła oczywiście poprosić go, żeby nie siadał na tym konkretnym krześle, ale to by go po prostu rozdrażniło i nie zachodziłoby do niej przez jakiś czas, aż by zapomniał, czym mu się naraziła, a wtedy, przy pierwszej wizycie, skierowałby swoje kroki prosto do tego krzesła.

Postanowiła więc zaryzykować całość ulubionego mebla. Lubiła poranne wizyty Sully'ego, który wpadał sprawdzić, „czy jeszcze nie umarła”, bo zawsze żywiła do niego sympatię i doskonale wiedziała, że on ją odwzajemnia. Nie był typem mężczyzny z sercem na dłoni i rzecz jasna nigdy by się nie przyznał do jakichkolwiek sentymentów, ale ona i tak wiedziała swoje. Sully stanowił w pewnym sensie przeciwieństwo Clive'a juniora, który zawsze podkreślał, że powodem jego wizyt jest wyłącznie troska i przywiązanie, ale jego zniecierpliwienie, od chwili gdy pokonał stopnie ganku, było aż nadto widoczne. Zawsze wstępował do niej po drodze, spiesząc się dokądś, i trudno się było oprzeć wrażeniu, że sam jej widok najzupełniej mu wystarcza, podobnie jak jej głos w słuchawce. Ilekroć odbierała „głuchy telefon”, nie mogła się pozbyć uczucia, że to Clive junior sprawdza, czy jego matka znajduje się jeszcze wśród żywych.

- Dasz się namówić na filiżankę dobrej, gorącej herbaty? - zapytała, obserwując z lękiem, jak „królowa Anna” protestuje pod ciężarem mężczyzny mocującego się z butami.

- Ani teraz, ani nigdy - odparł Sully z czołem zlanym potem. Wkładanie i zdejmowanie roboczego obuwia było jednym z najbardziej żmudnych zadań, jakie czekały go w ciągu dnia. Ze zdrową nogą nie było tak źle, ale druga,

od czasu pęknięcia rzepki kolanowej, zawsze była sztywna i obolała aż do dziesiątej czy jedenastej rano. O tak wczesnej porze jak teraz wszystko, czego mógł dokonać, sprowadzało się do poluzowania sznurowadeł i wsunięcia stopy do środka. Językiem i resztą zajmował się później. - Ale kawy się napiję, jak zwykle.

- Wydaje mi się, że potrafię zrobić dzbanek kawy - powiedziała, widząc, jak strasznie się męczy z butem.

Sully przerwał na chwilę i uśmiechnął się do niej.

- Nie, Beryl, dziękuję.

- Dlaczego się ubrałeś w te stare łachy? - zapytała, zauważając nagle, że ma na sobie przyodziewek sprzed wypadku - szare, znoszone robocze spodnie, wyblakłą drelichową koszulę, pod którą włożył ciepłą bieliznę, pikowaną kamizelkę bez rękawów i czapkę z daszkiem. Od września ubierał się inaczej, odkąd zaczął uczęszczać do pobliskiego centrum doskonalenia zawodowego na kurs konserwacji chłodziarek i urządzeń klimatyzacyjnych, co było warunkiem otrzymania świadectw z tytułu częściowej utraty zdolności do pracy.

Sully wstał, opierając się całym ciężarem na poręczach krzesła, co znów wywołało grymas na twarzy panny Beryl, po czym wsunął czubek stopy w rozsznurowany but, wlokąc go po podłodze, póki nie przygwoździł go do ściany i nie wcisnął stopy do środka.

- Czas już chyba, żebyśmy wrócił do roboty, nie sądzi pani? - powiedział.

- A jak wpadniesz?

Sully uśmiechnął się do niej szeroko.

- Chyba mnie pani nie zakapuje?

- Powinam. Pewnie przysługuje za to jakaś gratyfikacja. Parę centów zawsze się przyda.

Sully przyjrzał się jej uważnie, kiwając głową.

- Dobrze, że trener kopnął w kalendarz i nie musi oglądać, jaka wredota zrobiła się z pani na stare lata.

Panna Beryl westchnęła.

- Nie sądzę, żeby mówienie rzeczy oczywistych miało jakikolwiek sens.

Sully pokręcił głową.

- Raczej nie. A co to za oczywistości?

- Że narobisz sobie kłopotów. Coś ci się stanie, przestaną płacić za twój kurs i jeszcze gorzej na tym wyjdiesz.

Sully wzruszył ramionami.

- Może ma pani rację, ale chcę spróbować. Noga boli mnie tak samo, czy siedzę, czy stoję, dlatego równie dobrze mogę stać. Naprawianie klimatyzatorów to raczej nie jest to, co chciałbym robić do końca życia.

Tupnął kilka razy, aż bibeloty zadzwoniły, żeby się upewnić, czy stopa weszła do końca.

- Ale przysięgam, że jeśli wykombinuje pani jakiś sposób na wkładanie tego buta, ożenię się z panią i zacznę pić herbatę.

Wyczerpany, opadł z powrotem na krzesło i sięgnął po papierosy. Panna Beryl skierowała się przezornie w stronę kuchni, gdzie trzymała swoją jedyną popielniczkę. Sully był jedynym człowiekiem, któremu pozwalała palić w swoim domu. Ta uprzywilejowana pozycja wynikała z prostego faktu, że w żaden sposób nie był w stanie zapamiętać zakazu. Brak popielniczek nie budził u niego żadnych skojarzeń. Prawdę mówiąc, nigdy się nawet nie rozejrzył za żadną z nich, dopóki długi, szary słupek popiołu nie dojrzał do tego, żeby spaść. Wówczas też nie wpadał w panikę. Po prostu trzymał papierosa pionowo, jak gdyby mogło go to uchronić przed prawem grawitacji. Kiedy popiół mimo to w końcu spadał, zdążył go czasami złapać w koszulę na brzuchu, gdzie leżał do czasu, aż znów o nim zapomniał i wstał.

Nim wróciła z kryształową popielniczą, którą nabyła przed pięciu laty w Londynie, Sully zdążył się już dorobić imponującego słupka popiołu.

- No i jak? - zapytał. - Zdecydowała już pani, dokąd wyjedzie w tym roku?

Każdej zimy, od dwudziestu lat, panna Beryl „podnosiła kotwicę”, jak to określała, wyjeżdżała około pierwszego stycznia, a wracała czasem dopiero w marcu, kiedy zima była w odwrocie. Jej dom był pełen pamiątek, przywiezionych z tych wypraw. Ściany zdobiły hawajskie pochodnie, egipska włócznia, rzymski napierśnik, smok z brązu, na stołach tłoczyła się angielska porcelana, rytualna łódź Etrusków, dwugłowy pies Fu, na podłodze wyplatane słonie, naczynie z terakoty i drewniany kufer okrętowy. W ciągu miesięcy poprzedzających kolejne safari czytała książki podróżnicze o terenach, które zamierzała odwiedzić. W tym roku była to Afryka, gdzie miała nadzieję znaleźć towarzyszkę dla Eda, który, notabene, został kupiony w Vermoncie i mógł, ale nie musiał być autentycznym Zambie. Vermont był najdalszym punktem, do którego udało jej się kiedykolwiek wyciągnąć Clive'a seniora. Nie lubił miejsc, gdzie ludzie nie rozpoznawali w nim trenera futbolu z North

Bath, co dość poważnie ograniczało jego mobilność.

- Tej zimy nigdzie się nie ruszam - oznajmiła, uświadamiając sobie z zaskoczeniem, że podjęła tę decyzję przed kilkoma minutami, kiedy wpatrywała się w korony drzew.

- To znaczy, że była już pani wszędzie - skwitował Sully.

- Ten wczesny śnieg mnie upewnił, że ta zima będzie nasza. Karzące ramię nas dosięgnie i jeden z tych konarów wyląduje na naszym dachu.

- Niezły powód, żeby się wybrać do Konga - zauważył.

- Nie ma już czegoś takiego jak Kongo.

- Nie?

- Nie. Poza tym Bóg znajdzie Jonasza nawet w brzuchu ryby - przypomniała mu panna Beryl.

Sully skinął potakująco głową.

- Bóg i gliny. Dlatego zawsze staram się trzymać blisko domu. Żeby wiedzieli, gdzie mnie szukać. Mam nadzieję, że to ich dobrze usposobi.

Panna Beryl zmarszczyła brwi.

- Chyba nie masz znów na pieńku z policją, Donaldzie? - Jej lokator lądował od czasu do czasu za kratkami, na ogół za przebywanie w stanie nietrzeźwym w miejscu publicznym, chociaż za młodu często wdawał się w bijatyki.

Sully uśmiechnął się do niej.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ostatnio staram się dobrze sprawować. Już nie te lata, pani Peoples.

- Cóż, byłeś niegrzecznym chłopcem wyjątkowo długo - podsumowała panna Beryl.

- Wiem - przyznał Sully, zaciągając się ponownie papierosem i przy tej okazji po raz pierwszy zauważając niebezpiecznie długi słupek popiołu.

- Czy chociaż na Święto Dziękczynienia pani wyjeżdża?

Panna Beryl wyjęła mu papierosa z ręki i położyła na popielniczce, którą następnie postawiła na stoliku. W przypadku Sully'ego nie wystarczyło postawić popielniczkę w pobliżu i oczekiwać, że sam się domyśli, po co tu stoi.

- Wybieramy się z Gruberową do gospody „Northwoods Motor Inn”. Urządzają tam bufet. Za dziesięć dolarów można zjeść, ile się chce, indyka ze wszystkimi dodatkami.

Sully wypuścił dym przez nos.

- Zdaje się, że robią na tym niezły interes. We dwie nie zjadłybyście indyka za dziesięć dolarów, choćbyście miały na to cały weekend.

Panna Beryl zmuszona była przyznać mu rację.

- Alice lubi ten lokal. Bywają tam same stare pierniki, takie jak my, i nie ma głośnej muzyki. Mają wielką ladę z sałatkami, a ona lubi spróbować wszystkiego, nawet ślimaków.

- Ślimaki nie są takie złe - powiedział Sully ku jej zaskoczeniu.

- Kiedy miałaś okazję spróbować ślimaka?

Sully podrapał się w zamyśleniu po nieogolonym policzku.

- Wyzwalałem Francję, jak pani może pamiętać. Chciałbym, żeby ślimaki były najgorszą rzeczą, którą jadłem między Normandią a Berlinem.

- W takim razie musi być prawdą to, co mówią - rzekła panna Beryl. - Wojna to jedno wielkie draństwo. Jeżeli jadłeś coś gorszego niż ślimaki, nie mów mi o tym, proszę.

- Dobrze - obiecał Sully.

- Ja zjem co najwyżej kilka tych marchewkowych fidrygalków i zachowam siły na kolację. Jak zjem za dużo, gazy mi potem dokuczają.

Sully zdusił niedopałek papierosa.

- W takim razie niech się pani faktycznie oszczędza - powiedział, znów dźwigając się z wysiłkiem. - Proszę pamiętać, że nad panią mieszka człowiek. Jest stanowczo za zimno, żeby otwierać wszystkie okna.

Panna Beryl odprowadziła go do drzwi. Skuwki wlokących się sznurowadeł podzwaniały o podłogę holu.

- Zajmę się śniegiem, jak wypiję kawę - obiecał, dostrzegając łopatę opartą o drzwi. - Wybiera się gdzieś pani w tej chwili?

Panna Beryl powiedziała, że nie.

Dopóki Sully nie uszkodził sobie kolana, inne wdowy z Górnej zazdrościły go jej po cichu. Wiele próbowało zawrzeć układ z jakimś samotnym lokatorem, który odśnieżałby chodnik, strzygł trawnik i grabił liście w zamian za ulgi w czynszu. Ale znalezienie właściwego człowieka nie było łatwe. Młodzi nieżonaci mężczyźni zapominali o obowiązkach, urządzali przyjęcia i sprowadzali do domu młode kobiety. Starsi cierpieli na różne schorzenia, zwłaszcza na bóle krzyża. Samotni, fizycznie sprawni mężczyźni między czterdziestym piątym a sześćdziesiątym rokiem życia byli w Bath tak wielką rzadkością, że pannie Beryl powszechnie zazdrozczono

przez ponad dziesięć lat. Podejrzewała, że teraz, kiedy Sully okulał, niektóre sąsiadki chichoczą skrycie. Wkrótce nie będzie miała z niego żadnego pożytku, a wtedy czeka ją sprawiedliwa zapłata za lata fartu. Zostanie z niezdarnym do niczego, niesprawnym lokatorem na karku. Panna Beryl, która widywała Sully'ego codziennie, faktycznie odnosiła wrażenie, że od czasu wypadku jest z nim coraz gorzej. Zaczynała się obawiać, że któregoś ranka nie zajrzy do niej, żeby sprawdzić, czy nie umarła, z tej prostej przyczyny, że sam będzie martwy. Przeżyła już wielu ludzi, których nie planowała przeżyć, a Sully, choć wytrzymały i uparty, wyglądał ostatnio jak własny cień.

- Tylko nie zapomnij - powiedziała, przypominając sobie, że później będzie się musiała wybrać na zakupy.

- Czy kiedykolwiek mi się to zdarzyło?

- Owszem - odparła, choć musiała przyznać, że dość rzadko.

- Cóż, dziś będę pamiętał - zapewnił ją. - A czemuż to nie wybiera się pani na kolację z Bankiem?

Panna Beryl uśmiechnęła się, jak zawsze, kiedy Sully nazywał w ten sposób Clive'a juniora. Nie po raz pierwszy uderzyło ją, jak bardzo mylą się ci, którzy twierdzą, że ludzie mało pojętni nie umieją wyjść poza dosłowność. Wśród najmniej zdolnych spośród jej ósmoklasistów byli tacy, którzy zawsze mieli w zanadru jakąś barwną metaforę. To prawd rozumianych dosłownie nie umieli sobie przyswoić. Tak jak Sully, którego rocznik był jednym z pierwszych, jakie uczyła w North Bath. Wyniki jego testów na inteligencję ujawniły pokłady możliwości, których kliniczne zaprzeczenie wydawał się stanowić jako uczeń. Modelowy przykład nieudacznika, gdy idzie o życiowe dokonania, Sully, jak zawsze powtarzano, był nie w ciemny bity i nikomu za nos wodzić się nie dał. On sam, niewątpliwie ceniąc tę opinię, wydawał się równocześnie daleki od uświadomienia sobie jej bardziej dosłownych implikacji: że w wieku sześćdziesięciu lat był rozwiedziony i kręcił bez przekonania z cudzą żoną, że był obcym człowiekiem dla własnego syna, niewiele więcej wiedział o sobie samym, że kulał paskudnie i praktycznie nie kwalifikował się do zatrudnienia w jakimkolwiek charakterze - a wszystko to brał z uporem za niezależność.

- Otrzymałam propozycję od Banku, ale wolę sama za siebie płacić - powiedziała, co było niewinnym kłamstwem. Clive junior dzwonił w ubiegłym tygodniu, żeby ją uprzedzić, że wyjeżdża na święta. Był przy tym wyjątkowo tajemniczy, najwyraźniej miał nadzieję, że to ją zaintryguje, co, jak się powinien orientować, było taktiką skazaną na niepowodzenie. Panna

Beryl nie była pozbawiona naturalnej ciekawości, ale nie cierpiała, kiedy ktoś próbował grać na tej jej słabostce. Sam fakt, że Clive junior zabiegał o jej zainteresowanie, był dla niej sygnałem, że należy zareagować odwrotnie.

- Kolacja z instytucją finansową to niezbyt zabawna perspektywa - dodała.

Sully uśmiechnął się do niej, patrząc z góry na jej drobną postać.

- Łańcuchy, które dźwigamy, wykuwamy sobie sami, staruszko.

Panna Beryl zamruła oczyma. Kto by pomyślał? Literacka aluzja w ustach Donalda Sullivana.

- Nie sądzę, żebyś pamiętał, kto to powiedział?

- Pani - przypomniał jej Sully. - Truła nam pani o tym przez całą ósmą klasę.

Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Sully, kiedy wyszedł na obszerny ganek, który dzielił ze swoją gospodynią, był Rub Squeers, brnący środkiem ulicy w głębokim śniegu. Potężnie zbudowany, chociaż liczący niewiele ponad pięć stóp wzrostu młody człowiek szedł ze wzrokiem wbitym w ziemię, pragnąc, jak Sully podejrzewał, stworzyć pozory, że ich spotkanie to czysty traf. Sully znał go zbyt długo, aby wierzyć w ten zbieg okoliczności. Ze sposobu, w jaki trzymał swoją wielką głowę, przypominającą piłkę lekarską, osadzoną niepewnie na masywnych ramionach, mógł się zorientować, że to jego szuka i że chce pożyczyć pieniądze. Jedno spojrzenie wystarczyło mu, żeby ustalić, ile chce pożyczyć (dwadzieścia dolarów), iloma się zadowoli (dziesięcioma dolarami) i ile czasu zajmie im dobiecie targu (pół godziny).

- Cześć, głąbie - zawołał Sully. - Nie masz porządnych butów czy co?

Rub podniósł głowę z udanym zaskoczeniem.

- Gdzieś tam mam - powiedział, spoglądając na swoje zniszczone czarne półbuty. - Skąd mogłem wiedzieć, że w przeddzień Święta Dziękczynienia spadnie śnieg?

- Powinieneś być na to przygotowany - powiedział Sully, chociaż jego własne życie mogło stanowić książkowy przykład improwizacji podniesionej do rangi zasady. - Przyszedłeś w samą porę - dodał, opierając stopę w roboczym bucie o barierkę. - Pomóż mi z tym.

Rub wszedł po schodkach, przyklęknął w śniegu i zaczął zaciągać sznurówadła lewego buta.

- Zostaw trochę luzu, żeby krew mogła krążyć - polecił Sully. - Moje kolano jest już mniej więcej tej wielkości co dwa normalne.

Rub rozsznurował but i zaczął od nowa.

- Wyglądasz, jakbyś się ubrał do pracy, nie do szkoły. Wracasz do roboty?

- Taki mam plan.

- Weźmiesz mnie znów do pomocy?

- Jeśli to zrobię, przestaniesz pożyczać ode mnie pieniądze?

- Jasne - zapewnił go Rub, choć robił wrażenie zawiedzionego, że kwestia pożyczki wypłynęła tak niefortunnie. Na jego kolanach widniały teraz imponujące mokre plamy. - Fajnie było. - Westchnął. - Chciałbym, żeby my znów chodzili razem do roboty, tak jak kiedyś.

- Zobaczę, co się da zrobić - obiecał Sully.

Rub nachmurzył się nagle.

- Stara Peoples znowu szpicluje - powiedział, dostrzegając nie znaczny ruch firanki w dużym pokoju. Był raczej pogodnego usposobienia, ale do panny Beryl żywił głęboką, zadawnioną niechęć, datującą się od czasów, kiedy usiłowała go czegoś nauczyć w ósmej klasie.

Było to przed z górą dziesięć laty, na rok przedtem, nim odeszła na emeryturę. Ile razy ją widział, jego oczka robiły się małe, spojrzenie twardniało, a w głosie dzwięczały uraza i bunt, jak gdyby sobie wyobrażał, że panna Beryl wciąż sprawuje nad nim absolutną władzę.

Nauczycielka nadal zwracała na niego uwagę, a on tego nie cierpiał.

Sam rzadko kiedy zwracał uwagę na cokolwiek i uważał taki sposób bycia za zupełnie normalny. Kiedy uczęszczał do ósmej klasy, panna Beryl miała zwyczaj trzaskać linijką o blat stołu podczas lekcji angielskiego, zaraz po obiedzie, gdy ogarniała go błoga senność, wołając ostro: „Nie spać mi tam! - Czasem patrzyła przy tym wprost na niego i dodawała: - A nuż się czegoś nauczycie”. Rub wciąż uważał wyostrzoną uwagę za rzecz nienawistną, nużącą i perwersyjną, a że w całym Bath nie znał osoby bardziej czujnej niż panna Beryl, do nikogo też nie czuł większej awersji.

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Chodź, napijemy się kawy, zanim tu przyjdzie i zacznie mi wypominać nieodpowiednie towarzystwo.

Kiedy przecinali jezdnię, gdzie śnieg zaczynał się już powoli zmieniać w błotnistą maź, i zmiierzali w stronę jadłodajni „U Hattie”, Sully stwierdził, ku swojemu zaskoczeniu, że ogarnia go uczucie niespodziewanego błogostanu, dla którego nie mógł znaleźć racjonalnego wytłumaczenia. Było o wiele zbyt silne, żeby je zignorować, postanowił więc się nim cieszyć, wbrew doświadczeniu całego życia, mówiącemu, że taka nagła euforia bywa

często zwiastunem nadciągającej katastrofy. Prawdę mówiąc, wiele wskazywało, że zbliża się okres, który Sully nazywał na swój użytek głupią passą - kiedy wszystko, co robił, obracało się przeciw niemu, każdy błąd pociągał za sobą następny i nawet mądre posunięcia okazywały się głupie w konkretnej sytuacji, kiedy zarówno bezmyślność, jak i staranne rozważenie wszystkich okoliczności prowadziły do tych samych, gwarantowanych, katastrofalnych skutków.

Na ogół zaliczał jedną taką passę w ciągu roku i wydawało mu się, że tegoroczna została już odłożona *ad acta*. A może się mylił? Może w tym roku miały mu przysługiwać dwie? Może powrót do pracy z niesprawnym kolaniem stanowił zapowiedź passy giganta, przerastającej głupotą wszystkie dotychczasowe? Wiedział już, że jedną z rzeczy, na które powinien się tego dnia nastawić, będą biadolenia nad jego głupotą. Wszyscy będą mu powtarzać, że lepiej było kontynuować szkolenie, pobierać świadczenia z tytułu częściowej utraty zdolności do pracy, dopóki kolano się całkiem nie wygoi, a ponieważ się na to nie zanosilo, czekać spokojnie, aż jego prawnik, Wirf, sfinalizuje starania o rentę inwalidzką. Jaki sens ma powrót do pracy z rozbabranym, zartretyzowanym kolaniem?

Jakiś sens musiało mieć z całą pewnością, inaczej nie czułby się z tym tak dobrze. Później, po dniu ciężkiej pracy, mogło się to, oczywiście, zmienić, ale w tej chwili, kiedy kuśtykał Górna w stronę jadalni „U Hattie” i swojej porannej kawy, słuchając jednym uchem Ruba pomstującego na pannę Beryl, powrót do pracy wydawał mu się czymś bardziej sensownym niż jazda do ośrodka szkoleniowego położonego na północ od Schuyler Springs. Przez ostatnich kilka miesięcy siadywał tam w jednej klasie z nastolatkami i czuł się jak idiota. Jedynym przedmiotem, jaki lubił, była filozofia, na którą zmuszony był się zapisać, kiedy się okazało, że nie ma już miejsc na kursie, którego potrzebował, chociaż, o ironio, właśnie na zajęciach z filozofii czuł się największym durniem. Prowadził je młody wykładowca o niepokaźnej posturze i wielkiej głowie, który wyglądałby zupełnie jak Rub, gdyby nie strzecha niesfornych czarnych włosów. Wyglądało na to, że człowiek ów postanowił zadać kłam wszelkiemu istnieniu, rozprawiając się z jednym obiektem po drugim. Zaczął od krzesel w klasie i drzew w lesie, po czym przeszedł do takich pojęć jak przyczyna i skutek, a ostatnio - wolna wola. Sully patrzył zafascynowany, jak wszystko wokół znika, prócz kiepskich ocen, które dostawał wraz z innymi uczestnikami kursu. Jeżeli powrót

do pracy by się powiódł, filozofia byłaby jedynym przedmiotem, którego by mu brakowało. Właściwie już teraz odczuwał pewien żal, że rezygnuje zaledwie na trzy tygodnie przed końcem semestru, kiedy do obalenia została zaledwie garść pojęć, takich jak Bóg i miłość. Sully nie bardzo wiedział, jak młodemu filozofowi uda się zepchnąć je do niebytu wraz z całą resztą, ale nie wątpił, że jakoś sobie poradzi.

Ale jeszcze szybciej niż drzewostan na zajęciach z filozofii topniały jego skromne zasoby finansowe, a poza tym chciał się przekonać, czy się jeszcze w ogóle nadaje do pracy. Fakt, że ledwie mógł włożyć buty, nie wróżył zbyt dobrze. Ale ostatnio kolano bolało go bardziej, kiedy siedział w klasie, niż kiedy chodził. Stoliki były przyśrubowane do podłogi i ustawione tak ciasno, że nie znajdował sobie dogodnej pozycji. Kiedy wystawiał nogę poza ławkę, ryzykował, że ktoś na nią nastąpi. Kiedy chował ją pod krzesłem, pulsowała bólem tak bezlitośnie, że zagłuszała nauczyciela.

Do diabła z tym wszystkim. Lepiej wziąć się do roboty i zarobić na swoje skromne potrzeby. Jeżeli będzie uważał, nic nie powinno się stać, przynajmniej przez jakiś czas. W tej chwili „jakiś czas” zadowalał go w zupełności. Wystarczyło mu, że idzie główną ulicą swojego życia, a na końcu czeka go jadalnia „U Hattie” z jej ciepłem i ludźmi, z którymi potrafi rozmawiać.

- Nie mógłbym żyć z tą wścibską babą na karku - perorował Rub, wciąż rozjuszony. - Nie możesz sobie nawet sprowadzić porządnego towaru.

Sully pokręcił głową z niedowierzaniem, co mu się często zdarzało w towarzystwie Ruba, który nawet w burdelu nie miałby czego szukać, choćby miał zamiast gumy tysiąc dolarowy banknot. Zwierzył mu się raz, że nawet własna połowica, Bootsie, przestała honorować jego małżeńskie przywileje.

- Wiesz, ostatnio i tak spuściłem z tonu - powiedział Sully. - Chciałbym, żeby to Beryl Peoples była powodem.

Rub najwyraźniej zaakceptował to wyjaśnienie i trochę go to uspokoiło.

- W końcu masz jeszcze Ruth - dodał, niewiele myśląc.

Sully zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią. Ruth była jedną z tych osób, przed którymi będzie się musiał wytłumaczyć ze swojej decyzji. Jeżeli dopisze mu szczęście, może spotka tego dnia wszystkich, którzy zamierzali mu wytknąć jego głupotę, i będzie miał to z głowy.

- Ruth jest żoną innego faceta, jeśli chodzi o ścisłość. To on ją ma, nie ja.

Rub rozważał niespiesznie to, co usłyszał, być może biorąc to nawet za dobrą monetę. Jeśli tak, to mąż Ruth byłby jedynym człowiekiem w Bath, który podzielał jego wiarę, choć niewielu miało pewność, jak jest naprawdę.

- To dlatego, że ludzie ciągle gadają - próbował się tłumaczyć Rub.

- Nie obchodzi mnie, co mówią ludzie - przerwał mu Sully. - Obchodzi mnie, co ja mówię tobie.

- Nawet Bootsie mówi - zaczął Rub i urwał, czując, że za chwilę oberwie.

- Chodzi mi tylko o to, żebyś mógł sobie spokojnie sprowadzić jakiś towar, bez tej szpiclującej starej.

- W porządku. Myślę, że rzeczywiście o to ci chodziło - powiedział Sully.

- Ale Ruth pewnie nie będzie zachwycona, kiedy się dowie, że nazwałeś ją jakimś towarem - dodał.

Fakt, że Ruth mogłaby się o tym w jakiś sposób dowiedzieć, przeraził Ruba, który bał się kobiet w ogóle, a Ruth w szczególności. Jego własna żona, Bootsie, wystraszyłaby niejednego, ale Ruth wprawiała go w jeszcze większy popłoch i szczerze podziwiał Sully'ego, który miał odwagę zadawać się z kobietą obdarzoną tak ciętym językiem, nieobawiającą się robić z niego użytku wobec kogokolwiek.

- Nic takiego nie powiedziałem - zaprzeczył szybko.

- Hm, wydawało mi się, że przed chwilą to usłyszałem - odparł Sully.

Rub zmarszczył czoło, usiłując odtworzyć w myślach przebieg rozmowy. Po chwili dał za wygraną.

- Co innego miałem na myśli - rzekł niepewnie, mając nadzieję, że to wystarczy. Sully zadowolony się czasem takim wyjaśnieniem, czego nie można było niestety powiedzieć o starej Peoples. Ta nigdy nikomu nie popuściła.

Jadłodajnia „U Hattie”, jedna z najstarszych instytucji usługowych w North Bath, znajdowała się teraz w rękach córki Hattie, Cassandry, za której czasów interes działał ściśle w myśl zasady malejących zysków. Cass zamierzała sprzedać cały majdan i wyjechać na zachód, jak tylko jej matka umrze, co musiało kiedyś nastąpić, chociaż staruszka, bliska obecnie dziewięćdziesiątce, najwyraźniej zamierzała żyć wiecznie. Cass sądziła, że wylew, którego Hattie dostała przed ponad pięć laty, to początek końca, ale starowina

jakimś cudem się wygrzebała i żyła dalej. „Jakimś cudem” było to sformułowanie używane przez lekarzy, którego sama Cassandra nigdy by nie zastosowała do swojej matki i jej wyzdrowienia, choćby nie wiem jak zaskakującego. Lekarze byli zdumieni, widząc kobietę w wieku Hattie, wyrrywającą się z takim impetem z objęć choroby, pełni podziwu dla jej nieugiętej woli życia, jej odmowy złożenia broni. Nazywali to świadectwem wielkości ludzkiego ducha.

Cass nazywała to oślim uporem. Kochała matkę, ale jej długowieczność budziła u niej znacznie mniejsze rozczulenie niż u lekarzy. „Ona po prostu zawsze musi postawić na swoim” - tłumaczyła. Ale wyjąwszy starego druha, Sully'ego, któremu mogła się zwierzać bez obaw, mając pewność, że ten zapomni o wszystkim, nim znajdzie się za drzwiami, Cass zachowywała swoje rozgoryczenie dla siebie, wiedząc, że nie może liczyć ani na zrozumienie, ani na tolerancję. Hattie była w Bath instytucją, poza tym każdy idealizuje starszków, widząc w nich własnych utraconych rodziców i dziadków, którzy na ogół pozostawili im w spadku typową spuściznę wyrzutów sumienia, połączoną z darem selektywnej pamięci. Większość ojców i matek wyświadczyła swoim dzieciom wielką przysługę, umierając, nim zaczęli robić pod siebie, nim zaczęli im się kojarzyć z przesiąkniętą moczem bielizną i innymi ponurymi realiami, towarzyszącymi podeszłemu wiekowi i niedołęstwu. Cass miała dość rozsądku, aby nie oczekiwać zrozumienia, zdawała też sobie sprawę, jak głęboko zakorzeniona jest w człowieku potrzeba widzenia w starych ludziach samej niewinności, wbrew oczywistym faktom. Czasem, tak jak właśnie tego dnia, miałyby ochotę opowiedzieć siedzącym na sali parę rzeczy o sobie i swojej matce. Głównie o sobie. Chętnie powiedziałaby komuś, że za każdym razem, kiedy zmienia starej Hattie pończochy, czuje, jak własne życie przecieka jej między palcami, że kiedy staruszka wygłasza jedno absurdalne żądanie za drugim, ręka ją świerzbi, żeby przywrócić matkę do rzeczywistości solidnym kuksańcem. Albo mogłaby podzielić się z kimś skrytą obawą, że śmierć matki zbiegnie się w czasie z jej własnym niedołęstwem, kiedy będzie potrzebowała opieki, ponieważ nie podzielała wścieklej determinacji starej Hattie, aby oddychać za wszelką cenę. W gruncie rzeczy czerpała ponurą satysfakcję z faktu, że jest bezdzietna. Kiedy przyjdzie na nią pora, nie będzie dla nikogo niechcianym ciężarem. Komukolwiek przypadnie obowiązek zajmowania się nią, będzie za to opłacany.

Tego ranka w jadalni panował zwykły ruch. W dni powszednie, między wpół do siódmej a wpół do dziewiątej, ciemnoskóry kucharz imieniem

Roof nie mógł nadażyć ze smażeniem jajek do zestawu śniadaniowego, stanowiącego specjalność zakładu: dwa jajka, tost, frytki i kawa za dolara czterdzieści dziewięć. Kiedy Sully i Rub weszli do środka, wolnych miejsc nie było ani przy krótkim kontuarze z sześcioma stołkami barowymi, ani w żadnym z kilkunastu prostokątnych boksów z formiki, chociaż w ostatnim, w którym siedziało czterech robotników, coś zaczynało się ruszać. Stara Hattie urzędowała w małym boksie przy samych drzwiach. Sully, ku przerażeniu Ruba, wsunął się tam ostrożnie, siadając naprzeciw starej kobiety, a jego zostawiając w zatłoczonym przejściu.

- Jak się masz, staruszko? - zagaił. Zmętniałe oczy Hattie spojrzały w stronę, skąd dobiegał głos. - Widzę, że ciągle pilnujesz interesu?

- Interesu - powtórzyła Hattie, kiwając z zapalem głową. - Pilnujesz... - Jak podczas każdej rozmowy jej uwagę odwrócił dźwięk dzwonka przy kasie, który stara kobieta przedkładała nad wszelkie inne odgłosy. Obsługiwała urządzenie przez ponad sześćdziesiąt lat i nadal wyobrażała sobie, że tam siedzi, za każdym razem, kiedy usłyszała znajome szcęknięcie. - O! - zawołała. - O...!

- Jest wolny boks - poinformował go Rub, kiedy ekipa robotników drogowych podniosła się wreszcie, zbierając rachunki i kierując się w stronę kasy.

- Dobrze - powiedział Sully. - Idź i siadaj, na co czekasz.

Rub nie cierpiał, kiedy odprawiało się go w ten sposób, ale usłuchał w obawie, że ktoś zajmie mu miejsce. Było idealne, na samym końcu sali, z dala od przechodzących ludzi. Mógłby tam omówić sprawę pożyczki we względnym spokoju i bez obaw, że ktoś im przeszkodzi.

- Może byśmy się kiedyś wybrali na tańce? - zagadnął Sully podniesionym głosem, po części dlatego, że staruszka nie dosłyszała, po części dlatego, że starzy bywalcy, siedzący przy barze, traktowali ich pogawędki jak stałą atrakcję. Niektórzy odwrócili się już na swoich stołkach.

- Tańce? - powtórzyła Hattie. - A, na tańce! - huknęła jak z moździerza. Teraz już wszyscy się odwrócili i obserwowali scenę.

- Czemu nie? - ciągnął Sully. - Tylko we dwoje. Najpierw na tańce, potem skoczmy do mojego mieszkanka.

Przebiegły uśmiech wypłynął na twarz starej kobiety.

- To lepiej skoczmy od razu. Do diabła z tańcami.

- W porządku - zgodził się Sully, mrugając do Cassandry, która też im się przyglądała, jak zawsze z dezaprobatą.

- Jedno pytanie - wrzasnęła Hattie. Kiedy się rozruszała, jej głos zawsze przypominał mu ryk morsów w zoo. - Kim jesteś?

- Jak to, kim jestem? - udał oburzenie Sully. - Ślepa jesteś czy co?

- Sądząc po głosie, to ten skurczybyk Sully.

- We własnej osobie.

- Jestem za stara na tańce. Na twoje mieszkanko też. Mieszkasz na piętrze.

- Racja - przyznał Sully, rozcierając kolano. - Sam ledwie włączę po tych schodach i z nich złażę.

- Ile masz lat?

- Sześćdziesiąt - powiedział Sully. - Ale czuję się starzej.

- Ja mam osiemdziesiąt dziewięć - zarechotała Hattie z dumą.

- Wiem, wiem. Nie wybierasz się czasem w odwiedziny do świętego Piotra? Nie pora zrobić miejsce innym?

- Nie!

Sully wysunął się z boksu, trzymając wyprostowaną nogę przed sobą aż do chwili, kiedy mógł się na niej bezpiecznie oprzeć.

- Nie spiesz się, staruszek - powiedział, klepiąc ją po okrytej płamami dłoni. - Słyszysz jeszcze dzwonek przy kasie?

- A jakże - zapewniła go Hattie.

- To dobrze. Jak się obudzisz któregoś ranka i go nie usłyszysz, będziesz wiedziała, że umarłaś we śnie.

Znajomy dźwięk miał rzeczywiście na Hattie kojący wpływ. Wraz z klekotem talerzy zbieranych ze stołów i głośnym, gardłowym męskim śmiechem, postukiwanie i pobrzękiwanie archaicznego urządzenia otwierało wrota jej pamięci na tyle szeroko, że mogła się przez nie wysliznąć i spędzić miły poranek w towarzystwie ludzi nieżyjących od dwudziestu lat. A kiedy po lunchu córka zamykała drzwi restauracji za ostatnim klientem i prowadziła ją z powrotem do ich małego mieszkania na zapleczu, stara kobieta czuła się wyczerpana i wydawało jej się, że to z powodu ciężko przepracowanego dnia.

Taboret przy końcu baru się zwolnił i Sully usiadł na nim, napotykając mroczne spojrzenie Cassandry.

- Ciekawe, po czym ty poznasz, że umarłaś? - zapytała.

- Pewnie po tym, że wszystko przestanie być takie cholernie zabawne - odparł.

- Te ciuchy nie wyglądają na twój szkolny strój. Nie ma dziś lekcji?

- Dla mnie nie ma.

Cass przyjrzała mu się uważnie.

- Aha. Wagary.
- Nie mam zamiaru tam wracać, jeśli to miałaś na myśli.
- Ile ci zostało do końca semestru? Trzy tygodnie czy coś koło tego?
Sully potwierdził.

- Wiesz, jak to jest - powiedział.

- Nie mam pojęcia - odparła, krzywiąc się. - Opowiedz mi, jak to jest, Sully.

Sully nie miał na to ochoty. Jednym z nielicznych plusów bycia samotnym, sześćdziesięcioletnim facetem, bez formalnych zobowiązań wobec kogokolwiek, jest fakt, że nie musisz się nikomu tłumaczyć, jak to jest.

- Nie wydaje mi się, żeby ci to miało robić jakąś różnicę.

Cass podniosła ręce gestem kapitulacji.

- I nie robi, nie robi. Kto wie, może nawet wygrałam zakład. Wy trzymałeś trzy miesiące, a większość uczestników spasowała. Albo Ruth musiała zgarnąć pulę, albo ja.

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok jej posępnej miny.

- W takim razie mam nadzieję, że to ty.

- Dalej macie „przerwę”, ty i Ruth?

- Nie wiem, do czego pijesz. Staram się nie mieć za dużo do czynienia z mężatkami, Cassandro.

- Z tego, co mi się obilo o uszy, różnie bywa z tym staraniem.

- Ostatnio starałem się dość mocno, co nie znaczy, że powinno to obchodzić kogokolwiek poza mną.

Cass puściła uwagę mimo uszu. Po chwili wskazała ruchem głowy Ruba, siedzącego na końcu sali.

- Ktoś tu zaraz dostanie kociokwiku, jeśli go w końcu nie zauważysz.

- Oto faktyczny powód, dla którego muszę wracać do pracy. - Sully się uśmiechnął. - Rub gotów zejść na psy bez mojego budującego przykładu.

Od chwili kiedy usiadł przy barze, Rub robił różne gesty, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

- Cześć, Rub - zawołał, kiwając ręką w odpowiedzi na jego usiłowania.

Rub zmarszczył czoło zdezorientowany, nie wiedząc, czy ma opuścić boks, czy nie. Kiedy Sully go tam wysłał, uznał za oczywiste, że przysiądzie się do niego, jak skończy swoje pogaduszki ze starszą panią. Tymczasem przy barze rozmawiał z Cassandrą, jak gdyby całkiem zapomniał o nim i

jego boksie. Co gorsza, kilku nowych klientów weszło na salę i czekało przy drzwiach, aż coś się zwolni. Co chwila popatrywali na Ruba, który siedział sam przy dużym stoliku. Gdyby taboret obok Sully'ego był wolny, zdecydowałby się bez namysłu, ale w tej sytuacji miał do wyboru: albo siedzieć samotnie w sześciuosobowym boksie, albo w ogóle nie mieć miejsca siedzącego. Jego pobrużdżone czoło, świadczące o głębokim namyśle, mówiło wyraźnie, że ten wybór go przerasta i że za chwilę wywoła pod jego czaszką prawdziwy zator.

- Tej jesieni był jeszcze bardziej żaloszny niż zwykle. Zaglądał tu jeszcze wcześniej w nadziei, że cię zastanie.

- Domyślam się.

- Zagadnął cię już?

Sully pokręcił głową.

- Ciągle coś mu przeszkadza. Jeszcze chwila i się rozplącze.

Rzeczywiście, Rub wyglądał, jakby z trudem powstrzymywał łzy.

Sully zlitował się w końcu i przywołał go skinieniem ręki. Rub zerwał się i podbiegł truchcikiem, niczym pies zwolniony z wykonania trudnego zadania.

- Nie ma miejsca - powiedział, gdy tylko znalazł się przy barze.

Sully obrócił się dookoła własnej osi na taborecie.

- Wiesz co? Masz rację.

Ludzie czekający przy drzwiach ruszyli w stronę zwolnionego stolika. Rub westchnął głęboko, patrząc, jak zajmują miejsca.

- Co ci nie pasowało w tamtym boksie?

- Ależ nic - zapewnił go Sully. - Boksy są w ogóle cholernie fajne.

Rub zamachał rękami. Na jego twarzy malowała się wielka irytacja.

- Zastanów się - rzekł Sully. - Co robiłeś przed chwilą na ganku przed domem?

Rub pomyślał chwilę.

- Zawiązywałem ci but - przypomniał sobie nagle.

- Co oznacza, że...? - naciskał Sully.

Cass postawiła przed Sullym dymiącą filizankę kawy i zapytała Ruba, czy coś podać.

- Nie przeszkadzaj - uciszył ją Sully. - On myśli.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby ci wiązać but - odparł Rub. - Wiem, że kolano cię boli. - Zabrzmiało to tak niepewnie, że Sully i Cass wymienili szybkie spojrzenia.

- Może kawy? - zaproponował Sully.

- Dobrze - zgodził się smętnie Rub. - Ja tylko nie rozumiem, dlaczego mogłeś siedzieć w tamtym boksie, a w tym drugim nie. - Jego twarz była czerwona z wysiłku. - I dlaczego możesz siedzieć na taborecie, a nie możesz przy stoliku?

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Chciałbym sprezentować ci to kolano gdzieś tak na piętnaście minut - powiedział.

- Wziąłbym je, do diabła - zapewnił go Rub gorliwie. Jego szczerość wprawiła Sully'ego w zakłopotanie. - Chciałbym mieć na czym siedzieć przy tym barze, to wszystko. W tamtym boksie było dość miejsca dla dwóch.

Teraz i Sully, i Cassandra przyglądali mu się z uśmiechem. Po paru sekundach Rub zmuszony był spuścić wzrok. Był Sully'emu szczerze oddany i żałował tylko, że ilekroć zebrały się trzy osoby, zawsze robiło się z tego dwóch na jednego, a tym jednym niezmiennie był on. Sully potrafił gapić się na człowieka i uśmiechać bez końca, co wprawiło Ruba w takie zakłopotanie, że wbijał wzrok w podłogę.

- To jak, wracamy do roboty? - zapytał w końcu, żeby coś powiedzieć.

Sully wzruszył ramionami.

- Myślisz, że to dobry pomysł?

Rub kiwnął entuzjastycznie głową.

- Dobra - zgodził się Sully. - Pod warunkiem że nie będziesz się za bardzo przejmować.

Rub zmarszczył brwi.

- Przejmować? Czym?

- Moim kolanem. Tym, o którym zawsze pamiętasz. Myślałem, że będziesz się martwić, żebym znów sobie czegoś nie zrobił.

Rub nie był pewien, co odpowiedzieć. Do głowy przychodziły mu tylko dwa warianty: że będzie się przejmował albo że nie będzie. Żaden z nich nie wydawał się odpowiedni. Wiedział, że powinien się przejmować. Ale skoro tak, to nie powinien sobie również życzyć powrotu do pracy, co nie wchodziło w grę, bo tęsknił do tego przez całą jesień, gdyż nienawidził pracy ze swoimi kuzynami śmieciarzami niemal tak samo, jak oni nie znosili dopuszczać go do spółki. North Bath skreśliło ostatnio wywóz śmieci z listy usług municypalnych, co obudziło ducha przedsiębiorczości w krewniakach Ruba, pracujących w tej branży od pokoleń. W ubiegłym roku nabyli najstarszą i najbardziej zdezelowaną spośród trzech wysłużonych śmieciarek, składających

się na park maszynowy zakładu oczyszczania miasta, wypisali na drzwiach „Bracia Squeers, wywóz śmieci” i postanowili spróbować sił na wolnym rynku. Nie licząc kierowcy, przynajmniej dwaj młodzieńcy z klanu Squeersów zawsze wisieli uczeni tyłu ciężarówka, pędzącej ulicami miasteczka. Ledwie wehikuł zdążył zahamować, już spadali na ziemię niczym pająki i pędzili po kubły ustawione na chodniku. Miejsca z tyłu śmieciarki, gdzie było w miarę bezpiecznie, należały do braci Squeers, toteż Rub musiał wisieć z boku, co nie było takie łatwe. Zakręty bywały zdradzieckie i czasami miał wrażenie, że kuzyni tylko czekają, kiedy spadnie, żeby nie dzielić się swoimi i tak skromnymi zarobkami z dodatkowym pracownikiem. Nie mogli mu odmówić, bo należał do rodziny, ale gdyby zleciał na jakimś ostrym wirażu, sam byłby sobie winien.

- Mógłbym wykonywać wszystkie ciężkie roboty - ofiarował się Rub.
 - Niewykluczone, że będziesz musiał - uprzedził go Sully.
 - Nie mam nic przeciwko temu - zapewnił go Rub, i była to prawda.
 - Zobaczę, czy uda mi się coś znaleźć na jutro.
 - Jutro jest Święto Dziękczynienia.
 - A więc bądź wdzięczny.
 - Bootsie mnie zabije, jeśli będę musiał iść do roboty w święto.
 - Pewnie faktycznie cię zabije, nie dziś, to jutro - przyznał mu rację Sully
- ale raczej nie z powodu pracy.
- Zastanawiam się... - zaczął Rub.
 - Naprawdę? - zdziwił się Sully. - Nad czym?
- Rub znów musiał opuścić wzrok.
- ...czy mógłbyś mi pożyczyć dwadzieścia dolców. Skoro wracamy do roboty...

Sully dopił kawę i popchnął swoją filiżankę w stronę drugiego brzegu kontuaru, gdzie była większa szansa na darmową dolewkę.

- Martwię się o ciebie, Rub - powiedział. - Wiesz?

Rub spojrział na niego z nadzieją.

- Bo jeśli myślisz, że mam w tej chwili dwadzieścia dolców do pożyczania, to znaczy, że nie słuchałeś mnie zbyt uważnie.

Rub znów spuścił wzrok. Sully zachowywał się czasem zupełnie jak panna Beryl, której specjalnością było zmuszanie go do patrzenia w podłogę. Przez całą ósmą klasę tylko kilka razy zdobył się na to, żeby podnieść wzrok. Wciąż jeszcze miał przed oczyma geometryczny układ klepek na podłodze w ich klasie.

- Słuchałem - powiedział tym samym tonem, którym tłumaczył się przed nauczycielką, kiedy przyparła go do muru z powodu nieodrobienia zadania domowego. - Tylko że jutro jest Święto Dziękczynienia i...

Sully powstrzymał go ruchem ręki.

- Zaczekaj. Zanim przejdziemy do tego, co będzie jutro, pomówmy o tym, co było wczoraj.

- Jasne - zgodził się Rub, choć wietrzył jedno z podchwytliwych pytań Sully'ego.

- Gdzie byłem wczoraj?

- W Albany - przypomniał sobie Rub i do reszty upadł na duchu.

- W jakiej sprawie?

- Twojej renty.

- I co mi tam powiedzieli?

Rub milczał.

- No, dalej. To było zaledwie wczoraj i opowiedziałem ci o tym „Pod Koniem”, jak tylko wróciłem.

- Wiem, że ci odmówili, Sully. Pamiętam, do cholery.

- I co robisz następnego ranka, gdy tylko mnie spotykasz?

- Dlaczego nie możesz po prostu powiedzieć „nie”? - spytał Rub, zdobywając się na odwagę, żeby podnieść wzrok. Ich rozmowa wywołała właśnie ten rodzaj zaciekawienia, jakiego miał nadzieję uniknąć w ustronnym boksie. Chyba całe towarzystwo przy barze obserwowało z zainteresowaniem jego męczarnie. - To nie ja ci rozwalilem to kolano.

Sully wyjął z zanadru portfel i podał Rubowi dziesięciodolarowy banknot.

- Wiem, że to nie ty - powiedział łagodniejszym tonem. - Po prostu martwię się o ciebie, to wszystko.

- Bootsie kazała mi kupić indyka - tłumaczył się Rub.

Cassandra podeszła i dołąła Sully'emu kawy, filiżankę Ruba od wracając do góry dnem.

- Chyba się przesłyszałaś. Na pewno powiedziała, że jesteś indykiem.

Rub włożył banknot do kieszeni. Teraz już wszyscy mu się przyglądali, uśmiechnięci, ubawieni, że tak ciężko mu wydębic dziesięć dolarów od najlepszego przyjaciela. Wśród otaczających go twarzy rozpoznał kilku dawnych ósmoklasistów, którzy w tamtych czasach też się świetnie bawili, ile razy nie mógł pokazać starej Peoples odrobionego zadania.

- Wszyscy huzia na mnie jednego - powiedział, uśmiechając się z zażenowaniem i zarazem z ulgą, że ciężka próba dobiegła końca i może opuścić bar. - Mniej by się człowiek napocił, gdyby miał te pieniądze zarobić, niż żeby tutaj pożyczyc.

- Czy chociaż spojrzeli wczoraj na twoje kolano? - zapytała Cassandra. Pięć minut po wyjściu Ruba lokal całkowicie opustoszał. Teraz tylko Sully siedział przy barze, mógł więc swobodnie rozprostować chorą nogę. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że obrzęk trochę się zmniejszył. Poranki były najgorsze, dopóki nie rozruszał kolana. Trudno było mieć pretensję do Ruba, że nie rozumie, dlaczego nie może ani ustać, ani usiedzieć przez dłuższy czas. Skąd miał wiedzieć, że gdy tylko usiądzie, zaczyna się bolesne pulsowanie, które z powrotem podrywa go na nogi, aby po kilku minutach znów zmusić go do zmiany pozycji, i tak dalej, aż ustali się równowaga. Przez resztę dnia kolano dawało o sobie znać lekkim ćmieniem, niczym muzyka grająca gdzieś w tle, jedynie od czasu do czasu przesywając go bolesnym prądem, od stopy po pachwinę, niczym gwałtowne uderzenie bębna, po którym ledwie słyszalny akompaniament zmieniał się w szaleńczy rock and roll.

- Oni nie patrzą na kolana - powiedział Sully, dopijając drugą filiżankę kawy i uprzedzając ruchem ręki, że już więcej nie chce. - Patrzą na zaświadczenia. Na zdjęcia rentgenowskie. Kolana ich nie interesują.

Prawdę mówiąc, Sully myślał o tym, żeby podejść do ławy sędziowskiej, spuścić spodnie i pokazać swoje czerwone, nabrzmiałe niczym dorodny owoc kolano. Ale Wirf - jednonogi, mocno trunkowy adwokat, przekonał go, że ta taktyka nie miałaby wielkich szans powodzenia. Sędziowie, ilu ich jest, nie mają najlepszego zdania o facetach spuszcających portki na sali sądowej, wszystko jedno z jakiego powodu.

- Poza tym - tłumaczył Wirf - wygląd kolana jest bez znaczenia. Są specyfiki, po których nawet moja proteza spuchłaby jak balon. Jeden mały zastrzyk i wyglądasz, jakbyś miał gangrenę, ale po dwudziestu czterech godzinach cała opuchlizna znika. Obrzęki nie robią na towarzystwach ubezpieczeniowych wielkiego wrażenia.

- Ejże - nie dawał za wygraną Sully. - Mogą mnie tam trzymać przez całą noc. Albo i przez tydzień. Jeśli opuchlizna zniknie, wszyscy piją na mój koszt.

- Nikt nie chciałby mieć cię na głowie przez całą noc, sądu nie wyłączając - uciał Wirf. - Poza tym każdego z tych facetów stać na drinka. Pozwól, że ja

się tym zajmę. Jak przyjdzie nasza kolej, bądź tak dobry i trzymaj dziób na kłódkę.

Tak więc Sully milczał. Po kilkugodzinnym oczekiwaniu rozprawa zajęła nie więcej niż pięć minut.

- Nie chcę więcej widzieć tego roszczenia - oznajmił sędzia. - Pański klient pobiera świadczenia z tytułu częściowej utraty zdolności do pracy, koszty przekwalifikowania są refundowane. To wszystko, do czego jest uprawniony. Ile razy mamy to jeszcze przerabiać?

- Naszym zdaniem stan kolana mojego klienta się pogarsza - zaczął Wirf.

- Znamy pańskie zdanie, mecenasie Wirfly - przerwał mu sędzia, unosząc rękę, niczym policjant kierujący ruchem ulicznym. - Jak tam nauka, panie Sullivan?

- Doskonale - odparł Sully. - Po prostu super. Na kursie, którego potrzebowałem, nie było miejsca, więc studiuję filozofię. Stu dolarów, które wydałem na podręczniki we wrześniu, nie zwrócili mi do tej pory. Za moje tabletki przeciwbólowe też nie mają ochoty płacić.

Sędzia błyskawicznie przeanalizował to, co usłyszał.

- W następnym semestrze proszę się zapisać wcześniej. Proszę nie winić innych za istniejący stan rzeczy. Trzymać tak dalej i ani się pan obejrzy, a zostanie pan prawnikiem, jak mecenas Wirfly. I co pan na to?

Właśnie, co on na to? Prawdę mówiąc, nie zamieniłyby się miejscami z Wirfem.

- Będziesz ich dalej naciskał? - zapytała Cassandra.

Sully wstał, oparł się na próbę na chorej nodze, zakolysał się.

- Wirf chce to ciągnąć.

- A ty czego chcesz? Sully pomyślał chwilę.

- Raz się porządnie wyspać.

Ruszył w stronę drzwi, ale Cassandra przywołała go z powrotem, kiwając na niego palcem z tajemniczą miną.

- A może przyszedłbyś tutaj do roboty? - zapytała ściszym głosem.

- Raczej nie. Ale dzięki za propozycję.

- Dlaczego nie? - nie dawała za wygraną Cassandra. - Robota bezpieczna i w cieple, a i tak spędzasz tu połowę czasu.

Była to prawda i choć istniało co najmniej kilka powodów, dla których wołałyby się nie zatrudniać „U Hattie”, wątpił, aby którykolwiek z nich był

dla Cassandra zrozumiały. Po pierwsze, nie mógłby wpadać tutaj, kiedy przyszedłby mu na to ochota. Po drugie, zdecydowanie wolał tę stronę kontuaru, po której siedział, niż przeciwną.

- Nie jestem ci potrzebny, pomijając wszystko inne.

- Roof mówi, że chciałby wrócić do siebie, do Karoliny Północnej - powiedziała Cassandra, nie patrząc w stronę kucharza, który przy niósł sobie stółek za ladę i przyglądał się im, na wpół drzemiąc.

- Od dwudziestu lat - przypomniał jej Sully.

- Wydaje mi się, że tym razem mówi poważnie.

- Cały czas mówił poważnie. Pół miasta myśli poważnie o wyniesieniu się stąd. Ale tego nie robią, przynajmniej większość.

- Znam jedną osobę, która na pewno to robi - rzekła Cassandra. Ton jej głosu świadczył, że nie żartuje. - Następnego dnia po pogrzebie.

Oboje spojrzeli w kierunku starej Hattie, która pochylała się w skupieniu do przodu, jak gdyby siłowała się na rękę z samą śmiercią. Jej uśmiech świadczył, że nie ma wątpliwości, kto tu dostanie baty.

- A może dzień przedtem.

Cień desperacji brzmiącej w jej głosie dotarł do Sully'ego.

- Słuchaj, jeśli chciałabyś się urwać któregoś wieczoru, daj mi znać - powiedział. - Porobię za niańkę.

Cass uśmiechnęła się z powątpiewaniem.

- I dokąd niby miałabym pójść?

Sully wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć, u licha? Do kina? Nie mogę wszystkiego za ciebie planować.

Cassandra się uśmiechnęła.

- Powinam cię trzymać za słowo - powiedziała po chwili milczenia. - Choćby po to, żeby się przekonać, co zrobisz, kiedy zsiąka się w majtki i poprosi cię, żebyś ją przebrał.

Sully usiłował opanować wzdrygnięcie, ale mu się nie udało.

- W porządku. - Cass kiwnęła głową, rzucając mu porozumiewawcze spojrzenie.

- Lepiej już pójść. Muszę odgarnąć śnieg sprzed domu mojej gospodyni. Chciałbym, żeby mi ktoś powiedział, skąd w tym mieście tyle starych kobiet?

- Jutro nieczynne, pamiętaj.

- Jak to? - zdziwił się Sully.

- Święto Dziękczynienia.

- Aha, racja.

Przy drzwiach zauważył, że Hattie zaczęła się z lekka przechylać na prawą burtę. Podeszedł, ujął ją za ramiona i wyprostował.

- Siedź prosto - powiedział - bo dostaniesz garba.

Hattie skinęła potakująco głową raz i drugi, nie wiadomo pod czyim adresem. Sully zanotował sobie w pamięci, żeby strzelić sobie w łeb, zanim osiągnie to stadium.

Przecnicę dalej dwaj robotnicy zdejmowali transparent wiszący w poprzek Głównej od września i od tamtego czasu będący przedmiotem dyskusji oraz obiektem ironicznych uwag. Napis głosił „Wszystkie drogi prowadzą ↑ Bath”. Część mieszkańców utrzymywała, że przez tę strzałkę całe zdanie jest pozbawione sensu. Czyżby jakieś słowo się zgubiło? Może unosiło się w powietrzu, jak sugerowałyby strzałka? Clive Peoples, pomysłodawca hasła, czuł się głęboko urażony tą krytyką. Oświadczył publicznie, że mieszkańcy miasteczka muszą być najbardziej pozbawionymi polotu ludźmi na świecie, skoro nie potrafią pojąć, że strzałka symbolizuje słowo „do”. Tłumaczył, że działa to na tej samej zasadzie co hasło „Wszyscy ♥ Nowy Jork”, na którym, jak powszechnie wiadomo, opierała się najbardziej pomysłowa kampania promocyjna w całej historii tego typu przedsięwzięć. Kampania, która z miejsca, o jakim nikt nawet nie chciał słyszeć, uczyniła miejsce, które wszyscy chcieli zobaczyć. Chyba każdy rozumie, że hasło owo należy odczytywać „Wszyscy kochamy Nowy Jork”, a nie „Wszyscy serce Nowy Jork”. Serce jest tu symbolem, skrótem.

Argumentacja ta nie zrobiła na mieszkańcach Bath szczególnego wrażenia. Większość była zdania, że słowo „do” nie wymaga symbolicznego skracania, gdyż właśnie krótkość jest jego najbardziej rzucającą się w oczy cechą. W końcu transparent ciągnął się przez całą szerokość ulicy i nie było obawy, że nie zmieści się na nim dwuliterowy wyraz. Prawdę mówiąc, wielu oponentów Clive'a juniora twierdziło, że kampania „Wszyscy serce Nowy Jork” też ich specjalnie nie porwała. Nadal mieli wątpliwości, czy północ stanu cokolwiek na niej zyskała. Właściciele placówek handlowych zlokalizowanych przy Głównej nie byli też przekonani, po trzech miesiącach oglądania transparentu, czy istotnie wszystkie drogi prowadzą ↑ Bath. Czekali na bardziej namacalny dowód, taki jak otwarcie hotelu Sans Souci czy wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę lunaparku „Podróż bez Końca”.

Nowy transparent („Naprzód Szablastozębne! Roznieść Schuyler Springs!”) był jeszcze bardziej optymistyczny niż poprzedni. Słowo „roznieść” było tu raczej wyrazem narastającej frustracji mieszkańców, mającej źródło w ostatniej serii porażek miejscowej reprezentacji koszykówki w rozgrywkach z Schuyler Springs, niż realistycznie sformułowanym celem. Bardziej tradycyjne „pobić” zostało odrzucone jako przyziemne i niezadowolające. Rzeczywista batalia rozegrała się pomiędzy „roznieść” a „unicestwić”. Zwolennicy tego ostatniego skapitulowali dopiero wówczas, kiedy im uświadomiono, że proponowany wyraz ma dziesięć liter, a Bath ustanowiło ostatnio precedens, skracając słowo „do”.

Nowe hasło kryło też zapowiedź odnowienia dawnego sporu o podłożu gramatycznym. Przed niespełna trzydziestu laty, kiedy musiano zrezygnować z futbolu w związku z powojennym spadkiem liczby ludności w całym regionie, a nie zanosilo się, żeby na polu innych dyscyplin istniała szansa dotrzymania kroku odwiecznemu rywalowi - Schuyler Springs - dyrektor zespołu szkół uznał, że nadszedł czas, by zmienić nazwę szkolnej drużyny („Antylopy”) na bardziej krwiożerczą w nadziei, że ożywi to ducha bojowego młodych sportowców. W końcu w promieniu tysiąca pięciuset mil od Bath nie było żadnej antylopy, poza tym wszystko, czym mogły się poszczycić te zwierzęta, sprowadzało się do szybkich nóg. Rozpisano konkurs na nową nazwę i tak narodziły się „Tygrysy szablastozębne”. Wszystkie godła z wizerunkiem antylopy zostały przemalowane na koszt miasta. Jak można się było spodziewać, nie był to najlepszy pomysł. Kibice natychmiast skrócili „tygrysy szablastozębne” do „tygrysów” - nazwy, zdaniem dyrektora, pospolitej i pozbawionej ikry, poza tym stanowiącej pogwałcenie regulaminu konkursu. Największym atutem tygrysa szablastozębnego są wszak właśnie owe zęby w kształcie szabli, których nie mają zwykle tygrysy. Tak więc dyrektor domagał się, aby nie zniekształcano nowej nazwy, nawet w prywatnych rozmowach. W końcu zapłacił słono za przemalowanie wszystkich emblematów, nawet jeśli „szable” wyszły na nich bardziej jak kły morsa niż tygrysa.

Jakby tego było mało, na stronach redakcyjnych tygodnika „North Bath Weekly Journal” rozgorzała polemika na temat poprawności językowej. Szablastozębne czy szablastozębni? Co powinni skandować kibice, zagrzewając zawodników do boju? Dyrektor szkoły orzekł, że słowo „szablastozębni” ma posmak elitarny, militarny i w ogóle brzmi drętwo. Przewodniczący szkolnego zespołu anglistów był innego zdania, twierdząc, że takie stanowisko

to skandal, będący kolejnym przejawem degeneracji mowy ojczyściej. Zagroził dymisją, jeśli miałby wraz z kolegami firmować używanie słowa „szablastozębne” jako nazwy męskiej drużyny. „Dlaczego nie? - pytał pracownik biblioteki publicznej w innym liście do redakcji. - Czyż to nie to samo grono, które usankcjonowało używanie w tym charakterze słowa «antylopy»?”. Listy nie przestawały napływać całymi tygodniami. Beryl Peoples, która od dwudziestu lat żywiła urazę do dyrektora, gdyż nie mogła mu darować, że ugiął się i wydał zgodę, by przemianować historię w gimnazjum i liceum na „wiedzę o społeczeństwie”, miała w tym dziennikarskim sporze ostatnie słowo, przypominając współmieszkańcom, że tygrys szablastozębny jest zwierzęciem wymarłym. „Czy to nie zastanawiające?” - pytała retorycznie.

Koniec końców napis na nowym transparentie brzmiał „Naprzód Szablastozębne! Roznieść Schuyler Springs!”. Robotnicy, którzy mieli go rozwiesić nad ulicą, interesowali się nim znacznie bardziej niż poprzednim, poszarzałym i wystrzępionym na wietrze, który nie miał już powrócić na dawne miejsce po wielkim, weekendowym meczu. W poniedziałek po Święcie Dziękczynienia zawsze rozwieszano kolorowe lampki - dekorację na Boże Narodzenie. Tak więc, gdy robotnicy i gapie byli zajęci nowym transparentem i pokrzykiwali do siebie nawzajem, sprawdzając, czy jest dobrze wycelowany i czy równo wisi, jak gdyby sknocenie roboty mogło zaważyć na wyniku meczu, stary leżał w błocie w poprzek ulicy. Wreszcie dekoracja została umocowana i robotnicy, zadowoleni z efektu, zeszli z drabin na ziemię. Jeden z nich podniósł koniec starego transparentu właśnie w chwili, gdy ulicą przejeżdżał jakiś samochód. Sznur zahaczył o tylne koło i samochód powłókł transparent wzdłuż Głównej, znikając im z oczu. Sully, który zgodnie z obietnicą odśnieżał w tym czasie podjazd panny Beryl, podniósł wzrok i zauważył ciągnący się za samochodem pas materiału, chociaż nie miał pojęcia, co to takiego.

Mimo że Sully'emu to się nie uśmiechało, musiał odszukać Carla Roebucka, który był mu winien pieniądze i odmawiał zapłaty. Mógł sobie łatwo wyobrazić, jaki będzie efekt jego wizyty. Skończy się kolejną fuchą, chociaż poprzysiągł sobie jeszcze w sierpniu, że nigdy więcej nie będzie pracował dla tego faceta. Co gorsza, poprzysiągł to również Carlowi, który uśmiechnął się, zadowolony z siebie, i powiedział: „Pożyjemy, zobaczymy”.

Carl Roebuck był trzydziestopięcioletkiem „pełnej krwi” i, zdaniem Sully'ego, niewiele brakowało, aby zmonopolizował cały fart, jaki był do dyspozycji w ich pechowym miasteczku. Tylko w tym roku wygrał dwie kościelne loterie fantowe i końcówkę banderoli (w trzech różnych podejściach). Pięć lat wcześniej, kiedy ceny gruntów w Bath dopiero zaczynały zwyczajować, zainwestował część pieniędzy odziedziczonych po ojcu, nabywając stary, dwupiętrowy wiktoriański dom przy Glendale, którego leciwy właściciel, nie mający żadnych krewnych, zmarł gdzieś w innym stanie. Dostał go za bezcen - zaległe podatki plus niewielki dług hipoteczny z 1940 roku. Jakby tego było mało, pierwsze kroki skierował na strych, gdzie znalazł skrzynkę monet wartych czterdzieści tysięcy dolarów. Facet mógłby sikać pod wiatr i by się nie zamoczył.

Czerwony Chevrolet camaro, należący do Carla Roebucka, stał pod oknami jego biura, znajdującego się w centrum miasta na drugim piętrze. Tuż obok zaparkowano firmowego el camino. Sully ustawił swoją furgonetkę w ten sposób, żeby zablokować oba wozy. Carl mógł się ulotnić tylnym wyjściem, jeżeli ktoś, z kim nie miał ochoty się widzieć, nadchodził od frontu.

- Kiedy się wreszcie szarpniesz na windę, ty szmaciarzu? - zawołał, pokonawszy schody, otwierając drzwi z napisem: Tip Top Construction. CI. Roebuck.

Nowa sekretarka Carla, zatrudniona tego lata, była ładną dziewczyną, choć nie aż tak jak jej poprzedniczka. Skrzywiła się na widok Sully'ego, którego nie widziała od trzech miesięcy i za którym nie tęskniła.

- Dzwonił, że się źle czuje, w tej chwili rozmawia przez telefon, wyjechał na Bahamy. Wybierz, co wolisz. Nie chce cię widzieć.

Sully wyciągnął krzesło i usiadł na nim, rozcierając kolano, pulsujące po wspinaczce na drugie piętro. Z gabinetu dochodził go głos Carla, który rozmawiał przez telefon.

- Bahamy? To brzmi nie najgorzej. Bierz jego książeczkę czekową i leciemy.

- Jest około tysiąca facetów, z którymi wolałabym się zabrać niż z tobą.

- Nie bądź taka nieużyta, Ruby. To małe miasteczko. Nie może tu być więcej niż kilkuset facetów z pierwszeństwem przejazdu.

- Dopóki jest chociaż jeden, masz cholernego pecha - powiedziała, uśmiechając się nieprzyjemnie.

Sully wzruszył ramionami.

- W porządku, chyba że ten, którego masz na oku, to akurat nie partia dla ciebie.

Uśmiech Ruby znikł, ustępując miejsca jeszcze mniej sympatycznemu wyrazowi twarzy.

- A kogóż to według ciebie mam na oku?

Sully pojął, że się zagalopował. Fakt, że Ruby i Carl, człowiek żonaty, kręcą ze sobą od jakiegoś czasu, był tajemnicą poliszynela. Mina dziewczyny świadczyła, że może o tym nie wiedzieć.

Na szczęście, zanim zdążył namieszać jeszcze bardziej, dobiegł go dźwięk odkładanej słuchawki.

- Jeżeli to, co słyszę, to słodki głos nieodżałowanego Donalda Sullivana, przyślij go do mnie - usłyszał. - Powiedz mu, że mam dla niego robotę, której nawet on nie potrafi spieprzyć.

Zjadliwy uśmiech powrócił na twarz Ruby.

- Proszę wejść - zaszemrała. - Pan Roebuck czeka na pana.

Kiedy otworzył drzwi, Carl Roebuck siedział rozparty w obrotowym fotelu. Na jego twarzy widniał ten sam wyraz zadowolenia z siebie co w sierpniu, kiedy Sully się zarzekał, że palcem więcej dla niego nie kiwnie.

- Jak się miewa mój ulubiony kuternoga? - zapytał.

Sully opadł na jeden z foteli krytych sztuczną skórą.

- Jest w cholernie podłym humorze. Ma ochotę wyrzucić cię przez to okno, żeby się przekonać, na czym wylądujesz.

- Na czterech łapach - zapewnił go Carl.

Sully musiał przyznać, że najprawdopodobniej tak właśnie by się stało.

- Musimy zrobić kiedyś próbę, żeby się upewnić.

Carl zakręcił od niechcienia fotelem, uśmiechając się szeroko.

- Oj, Sully, Sully.

Podły humor podłym humorem, ale Sully nie mógł nie uśmiechnąć się w odpowiedzi. Carl Roebuck był jednym z tych facetów, na których człowiek nie potrafi zbyt długo się wściekać. Nie potrafił tego jego ojciec Kenny ani, jak wszystko na to wskazywało, jego żona Toby, która miała po temu aż nadto powodów. Talent ów stanowił zapewne źródło jego niezwykłego fartu. Nic dziwnego, że radził sobie z ludźmi, szczególnie z kobietami. Potrafił dać każdej z nich do zrozumienia, że jest właśnie tym, co nadaje jego życiu sens.

- Co ja mam z tobą zrobić? - zastanawiał się głośno Carl, jak gdy by rzeczywiście miał podjąć w jego sprawie jakąś decyzję.

- Zapłać mi, coś winien, to cię zostawię w spokoju - podsunął Sully.

Carl puścił to mimo uszu.

- Twoja furgonetka jest na chodzie?

- W tej chwili tak.

- W takim razie mam dla ciebie robotę.

- Nie ma mowy, dopóki mi nie zapłacisz za poprzednią.

Carl podniósł się z fotela.

- Omówiliśmy już tę sprawę. Zgnoiliście robotę razem z tym dupkiem Rubem i nie zamierzam wam za to płacić. Wygrzebaliście dziurę w ziemi, przesiedzieliście w niej całe popołudnie, wytrąbiliście skrzynkę piwa, zasympaliście dół z powrotem i zostawiliście trawnik rozryty jak kretowisko, a ciśnienie wody w domu nie poprawiło się ani trochę.

- Nie obiecywałem ci, że się poprawi - przypomniał mu Sully. Twarz Carla poczerwieniała w jednej chwili, co uradowało Sully'ego. - Tylko się nie podniecaj, staruszkule - powiedział, orientując się doskonale, że nie skuteczniej nie wyprowadza Carla z równowagi niż tego typu uwagi w jego wydaniu. Wraz z firmą Tip Top Construction Carl odziedziczył po ojcu słabe serce, które miało już za sobą wszystkie bypassy.

- Wiesz, na czym polega problem z takimi gnojnikami jak ty? - Carl stał, purpurowy na twarzy, chociaż nie podniósł głosu. - Wydaje ci się, że masz prawo okradać każdego, kto ma kilka dolców przy duszy. Mam to zaakceptować, bo masz zrypane kolano i żadnych widoków na przyszłość, jakbyśmy mieli właśnie tydzień dobroci dla Sully'ego. Otóż nie, przyjacielu. W tym tygodniu obowiązuje hasło „Odpieprz się”.

Carl chodził tam i z powrotem, wygłaszając swoją tyradę, która, nie wiedzieć czemu, podziałała na Sully'ego kojąco.

- To jest hasło z zeszłego tygodnia - uściślił, kładąc nogi na biurko Carla, które stało pomiędzy nimi. - I z poprzedniego też.

- Więc spieprzaj. Spaprałeś robotę i nie mam zamiaru za to płacić. Myślisz, że doszedłem do tego, co mam, odstawiając taką fuszerkę jak ty?

Sully nie potrafił powstrzymać uśmiechu. Może później, gdyby sobie przypomniał te bzdety, szlag by go z lekka trafił, ale w tej chwili widok Carla Roebucka, czerwonego jak burak, napuszonego i paljącego słusznym gniewem, stanowił dla niego częściową rekompensatę za niespłacony dług. Kiedy się w końcu odezwał, mówił jeszcze ciszej niż Carl.

- Nie - przyznał. - Nie doszedłeś do tego, odstawiając fuszerkę. Doszedłeś do tego, w ogóle nie kiwnąwszy palcem. Doszedłeś do tego, bo twój staruszek zaharował się na śmierć, żebyś ty mógł przepuścić to, co zarobił, zsusując po górach i rozbijając się sportowymi wozami.

Sully zrobił efektowną pauzę, po czym kontynuował.

- Jeżeli o mnie chodzi, suszowanie po górach i sportowe wozy specjalnie mnie nie rajcują. Nie rusza mnie nawet, czy w końcu pójdziesz z torbami, co się zapewne stanie. Ale przedtem zapłacisz mi trzysta dolców, które jesteś mi winien, bo wykopałem pod twoim domem rów na pięćdziesiąt stóp, pracując w ponad trzydziestostopniowym upale, i urobiłem się po jaja, wyciągając stuletnie rury, które pękały w palcach co kilkadziesiąt cali. Dlatego wybulisz, co mi się należy.

Podniósł się i stanął naprzeciw Carla po drugiej stronie biurka.

- I powiem ci coś jeszcze. Za piwo też zapłacisz. Właśnie podjąłem decyzję w tej sprawie. To było tylko sześć puszek, ale skoro twierdzisz, że cały kontener, niech i tak będzie. Możesz to nazwać podatkiem od bycia kutasem.

Sully uznał, że to całkiem niezły tekst na finał, i opuścił biuro, trzaskając drzwiami. Ale jeszcze szyba nie przestała drżeć, a już przyszło mu do głowy lepsze zakończenie, toteż wszedł z powrotem. Carl nadal stał za biurkiem, dlatego Sully podjął wątek dokładnie tam, gdzie przerwał.

- Masz jeszcze jeden powód, żeby mi zapłacić. Któregoś dnia mogę mieć naprawdę podły humor, kiedy się na mnie nadziejesz. Kolano tak mi daje popalić, że i „tydzień dobroci” wkrótce niewiele pomoże. Jedyne, co może osłodzić mój ból, to widok twojego żalostnego tyłka, wylatującego przez okno. Na dwie sekundy przedtem, nim zderzysz się z chodnikiem, dotrze do ciebie, że nie żartowałem.

Tym razem Sully nie zatrzasnął drzwi, tylko stał i patrzył, chcąc się nasycić wrażeniem, jakie wywoła ta straszliwa obelga. Niemal natychmiast tego pożałował. Twarz Carla, zamiast nabiec krwią jeszcze bardziej, zaczęła odzydkiwie normalną barwę, a równocześnie powrócił na nią uśmiezek, który tak skutecznie wszystkich rozbrajał. Zamiast wypaść z za biurka i rzucić się na Sully'ego, na co ten ostatni po trochu liczył, Carl usiadł z powrotem w swoim fotelu, zakładając na biurko nogi obute w miękkie mokasyny.

- Masz rację, Sully - rzekł w końcu. - Nie zapłacę ci, ale masz rację. Jestem szczęściarzem. Zazwyczaj o tym pamiętam, choć czasem zdarza mi się zapomnieć. Tak czy inaczej, skoro jesteśmy przyjaciółmi, dam ci pewną

wskazówkę. Kiedy stąd wyjdiesz, poczekaj na podeście przez jakieś pięć minut, nim zjedziesz na dół. Zaoszczędzi ci to ponownego wchodzenia na górę, kiedy w końcu coś ci zaświta.

- Co ma mi niby zaświtać?

Carl Roebuck pogroził mu palcem irytującym gestem.

- Jak ci powiem, to nici z niespodzianki, złamasie.

Ruby też uśmiechała się pod nosem, kiedy Sully wychodził z biura, co miało najprawdopodobniej oznaczać, że niespodzianka i dla niej nie jest tajemnicą. Na klatce schodowej owionęło go chłodne powietrze z ulicy, przywracając go do rzeczywistości. Nadal nie rozumiał, na czym miałyby polegać niespodzianka, ale stał na podeście, jak mu powiedziano, zapinając guziki płaszcza i obserwując parę, w którą zamieniał się jego oddech. Sprawy potoczyły się w ogólnym zarysie tak, jak przewidywał. Naturalnie, mieli się pokłócić o zapłatę, której Carl mu odmawiał. Sully miał mu powiedzieć, żeby się wypchał i z hukiem opuścić jego biuro. Później Carl odszukałby go „Pod Koniem” i zaproponowałby mu jakiś szajs w charakterze fajki pokoju, na co Sully wyjaśniłby mu, gdzie może sobie wsadzić swoją fuchę. Potem Carl złożyłby mu kolejną ofertę, prawdopodobnie jeszcze większy szajs, ale tym razem Sully by ją przyjął, uznając, że dwukrotne zwymyślanie Roebucka to wystarczająca satysfakcja. Przed końcem tygodnia znaleźliby się wraz z Rubem z powrotem na liście płac przedsiębiorstwa Tip Top Construction.

Tyle że Carl pomieszał mu szyki, proponując robotę zaraz od progu, w wyniku czego Sully wypiął się nie tylko na niego, ale i na pracę, po którą tak naprawdę przyszedł. Z drugiej strony Carl nie wypominał mu jego wcześniejszej, buńczucznej deklaracji, czego Sully najbardziej się obawiał. Oczyma duszy widział jego pełen wyższości uśmiech i słyszał słowa: „A nie mówiłem?”. Wiedział z własnego doświadczenia, że nie ma innych słów, których wypowiedzenie sprawiałoby człowiekowi większą satysfakcję. Nie pamiętał, żeby sam kiedykolwiek zrezygnował z tej przyjemności, i musiał przyznać, że Carl zachował się przyzwoicie, nie napawając się swoim tryumfem. No i niewątpliwie miał rację z tymi schodami.

Kiedy znów wszedł do biura, Carl okręcał się w fotelu z niewinnym uśmiechem.

- Pieniądze z góry - powiedział Sully - bo pracuję dla faceta, któremu nie można ufać.

- Połowa teraz, połowa po odebraniu roboty - odparł Carl - bo zatrudniam Dona Sullivana.

Sully wziął pieniądze i przeliczył je, podczas gdy Carl wyjaśniał, o co chodzi. Słuchając go, Sully poczuł niespodziewaną ulgę. Uświadomił sobie, że cieszy się z powrotu do pracy u faceta, którego tak często miał ochotę zamordować, cieszy się, że nie musi jeździć codziennie do ośrodka szkoleniowego, gdzie czuł się nie na swoim miejscu, cieszy się, że poszedł za radą sędziego, żeby nie winić innych za istniejący stan rzeczy, i że nie pokładał całej nadziei w prawnikach i sądach. Miał obawy, że praca u Carla mogła być jedną z tych rzeczy, które zostały unicestwione podczas lekcji filozofii.

- Powiniennem zlecić to któremuś z moich stałych pracowników - rzekł Carl - ale wiem, że potrzebujesz forsy. Poza tym jesteście przyjaciółmi, prawda?

- Masz szczęście, że potrzebuję forsy, przyjacielu - powiedział Sully.

- Ty zawsze jesteś w potrzebie - odciął się Carl. - Dlatego zawsze cię trzymam za jaja.

Znowu ten uśmiech. Czy można nienawidzić tego faceta?

- Czy mam rozumieć, że skończyłeś ze szkołami? - zapytał Carl, kiedy Sully szkykował się do wyjścia.

Sully powiedział, że najprawdopodobniej tak.

- Ciekawe, kto wygrał zakład? - rzucił Carl w przestrzeń.

- Ruby - powiedział Sully, nie patrząc na sekretarkę Carla, kiedy wychodził z biura.

- Co takiego? - spytała dziewczyna tonem osoby śmiertelnie znudzonej.

- Nie zabieraj swojej miłości do miasta*.

* „Ruby, don't take your love to town” - refren piosenki country Johnny'ego Casha (przyp. tłum.).

Jedno nie ulegało wątpliwości: w porównaniu z innymi facetami, których zatrudniał Carl Roebuck, Sully był geniuszem. Wszystko wskazywało na to, że jeden z jego stałych pracowników załadował około dziesięciu ton betonowych bloków na firmową ciężarówkę, po czym rozładował je na niewłaściwym placu budowy. Sully znalazł je, zwalone niechlujnie na stertę obok niewielkiego, czteropokojowego, jednokondygnacyjnego domku, który był już na wpół gotowy. Nieoczekiwany śnieg, w połączeniu ze światłem, które przypadało nazajutrz, zapewne sprawił, że robotnicy pracujący przy jego budowie poszli do domu albo - co jeszcze bardziej prawdopodobne - w ogóle

z domu nie wychodzili. Carl nie zatrudniał członków związków zawodowych, jeśli tylko mógł tego uniknąć, ale nawet ci, którzy zazwyczaj pracowali dla Tip Top Construction, nie zgodziliby się tego robić w śniegu.

Większość nocnego śniegu zdążyła już stopnieć i nierówny teren tonął w grząskim, szaroburym błocie. Kiedy Sully przejeżdżał koło banku, termometr wskazywał pięć stopni. W tej chwili wydawało się chłodniej.

Był tylko jeden sensowny sposób działania. Należało pojechać po Ruba, który miał sprawne nogi i nie przeszkadzała mu nawet najgorsza breja. Coś musiało być nie tak z jego powonieniem, Sully nie miał co do tego wątpliwości. Rub mógł stać zanurzony po pas w nieczystościach z pękniętego szamba i był równie zadowolony, jakby znajdował się na polu stokrotek. Dzięki temu stał się nieocenionym współpracownikiem dla Sully'ego, który, choć nie był francuskim pieskiem, nie miał trudności z odróżnieniem zapachu gówna od stokrotki. Medal miał i drugą, mniej przyjemną stronę, gdyż Rub nie czuł również własnego zapachu, który, kiedy był szczególnie intensywny, niewiele się różnił od smrodu dobywającego się z szamba. Mimo wszystko najchętniej byłoby pojechać po Ruba i ustawić go w blocku. Sam mógłby wówczas wdrapać się na suchą skrzynię furgonetki i układać bloki, które podawałby mu Rub. Przewidywał, że cztery do pięciu nawrotów powinno załatwić sprawę i wczesnym popołudniem skończyłby robotę.

Ponieważ było to jedyne sensowne rozwiązanie, Sully zdecydował inaczej. Rub nie spodziewał się pracy tak szybko, więc odszukanie go mogło zająć i godzinę, jeśli nie był u siebie w domu, u „Hattie”, w cukierni albo w OTB*. Potem musiałby słuchać przez cały dzień jego gadaniny, a na koniec podzielić się z nim zarobkiem. To ostatnie specjalnie mu nie przeszkadzało, ale nie pracował przez trzy miesiące i chciał się najpierw przekonać, jak sobie poradzi. Dopóki był sam, mógł to robić we własnym tempie, a gdyby kolano nie wytrzymało, po prostu dałby sobie spokój i nie tłumaczył się przed nikim. W następnym tygodniu wróciłby po prostu na kurs.

* Off-Track-Betting - sieć lokali, w których można legalnie obstawiać zakłady poza torem wyścigów konnych (przyp. tłum.).

Tak więc podjechał tyłem pod stertę betonowych bloków, wysiadł z furgonetki, opuścił klapę i sprawdził grunt pod nogami. Oględziny nie wypadły najlepiej. Przemknęło mu przez myśl, że stanowczo powinien pojechać po

Ruba. Zamiast tego ułożył w błocie kilka bloków, uzyskując prowizoryczny chodnik między stertą a furgonetką. Zabrał się do dzieła, nosząc najpierw po jednym bloku w każdej ręce, potem po cztery - jeden na drugim, oparte o pierś - i układając je rzędami na furgonetce. Najgorsze było wdrapywanie się za każdym razem na samochód. Dało się to zrobić tylko jednym sposobem. Musiał przysiąść na brzegu skrzyni, przerzucić nogi na drugą stronę, podkulić pod siebie zdrową i wstać, windując chorą. Ku jego zaskoczeniu, kolano znosiło te manewry całkiem nieźle. Wręcz dobrze. Jeśli ten stan rzeczy miałby się utrzymać, być może przeznaczyłby zarobione pieniądze na nowy komplet opon radialnych, bo stare wyłysiały zupełnie od jeżdżenia do Schuyler Springs na codzienne zajęcia z filozofii i z powrotem. Jak gdyby młody wykładowca, rozprawiający się z istnieniem kolejnych bytów, unieścił przy okazji bieżnik na jego oponach.

Kiedy zaczął myśleć o wszystkich naprawach, jakich domagał się jego pojazd, znów ogarnęła go wściekłość na Carla Roebucka, który nie chciał zapłacić tego, co był mu winien. Furgonetka już w momencie zakupu nie była pierwszej młodości. Nowych opon potrzebowała pilnie od miesiąca, tak samo jak gaźnika. Zawory też wymagały przeszlifowania. Za miesiąc wymiana stanie się jeszcze bardziej nagląca, a po upływie kolejnego po prostu będzie musiał to zrobić. I zapłacić. Za nowe resory też, sądząc z tego, jak pojazd jęczał pod ciężarem betonowych bloków. Trzy setki, które Carl Roebuck był mu winien, pokryłyby koszt opon albo zaworów, albo resorów, w zależności od tego, do czego chciałby się zabrać w pierwszej kolejności. Co nie znaczy, że gdyby miał w tej chwili pieniądze w kieszeni, tak właśnie by je spożytkował. Czasami, kiedy był na plusie, płacił pannie Beryl za kilka miesięcy z góry, zabezpieczając się przed zimą, kiedy zawsze było gorzej z robotą. Czasem dawał Cassandrze setkę lub dwie, aby w razie posuchy mógł jadać u niej przez jakiś czas na krechę. Kiedy indziej dawał pieniądze na przechowanie Ruth, żeby ich nie przepuścić w OTB albo przy stoliku pokerowym. Miało to jeden minus. Kiedy zastrzegł, żeby mu ich nie dawała, chyba że naprawdę będzie ich potrzebował, ocena stanu jego potrzeb należała do niej i czasem zdarzało się jej trochę przesadzić. No i raz Zack, jej niewydarzony mąż, odkrył zaskórniaki i wydał pieniądze Sully'ego, sądząc, że należą do jego żony. Im dłużej o tym myślał, tym więcej plusów widział w swojej sytuacji wierzyciela. Może to najbezpieczniejsze z możliwych rozwiązań, żeby Carl miał na razie pieczę nad jego trzema setkami. Pieniądze w

ręku Sully'ego miały tę właściwość, że kiedy były najbardziej potrzebne, najpierw się rozplywały, potem ulatniały, by wreszcie pozostawić po sobie jedynie blade wspomnienie.

Sully złapał wreszcie rytm i zaczął się rozkręcać na dobre, delektując się świadomością, że jego pieniądze są bezpieczne. Nie umniejszało to w niczym jego słusznego gniewu na Carla Roebucka, który odmawiał mu zapłaty. Gniew ów wzbierał w jego piersi niczym symfonia, do wtóru dalekiego pulsowania obolałego kolana.

Z uśmiechem na twarzy wywoływał w myśli obraz Carla, wylatującego przez okno swojego biura, bijącego rozpaczliwie powietrze rękami i pedału-jącego dziko, niczym na niewidzialnym rowerze. Sully nie pozwalał mu spaść na ziemię. Po prostu wyrzucał go przez okno raz za razem, każąc mu pedałować i krzyżeć w nieskończoność.

Było to tak miłe i absorbujące zajęcie, że zdążył załadować ponad połowę furgonetki, zanim się zorientował, że pojazd zaczął się pochylać na jedną stronę, niczym stara Hattie w swoim boksie. Z początku myślał, że to złudzenie optyczne, cofnął się więc, żeby ocenić sytuację z większej odległości. Nie było widać żadnego powodu, dla którego furgonetka miałaby się obsuwać na jedną stronę. W pewnej chwili dostrzegł leżące nieopodal arkusze dykty i pożałował, że nie zauważył ich wcześniej i nie wyłożył nimi skrzyni, by zabezpieczyć ładunek. Przydałoby się też oddzielić nią poszczególne warstwy, co nie znaczy, że w jakikolwiek sposób wpłynęłoby to na równomierne rozłożenie ciężaru. Tak czy inaczej, teraz było za późno. Tyle po stronie minusów. Jeśli chodzi o plusy, należało odnotować, że chociaż pracował ciężko przez godzinę, kolano nie dokuczało mu bardziej niż przedtem. Prawdę mówiąc, zapomniał o nim zupełnie, pracując i wyobrażając sobie Carla Roebucka wylatującego przez okno. Choć nie było w tym wielkiej logiki, niewykluczone, że to właśnie chore kolano dopingowało go do pracy. Albo do tego, żeby zamordować Carla.

Jedno nie ulegało wątpliwości. Wściekać się na Carla Roebucka było znacznie przyjemniej niż na sądy. W ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy, podczas których Wirf próbował uzyskać dla niego prawo do renty inwalidzkiej, doszedł do przekonania, że zarówno jego wyprawy do Albany, jak i kolejne rozprawy mają bardzo niewiele wspólnego z coraz bardziej szwankującym kolaniem. Może jego stan nie był aż tak zły, jak Wirf to przedstawiał. Może. Ale Sully widział coraz wyraźniej, że wszelkie procedury prawne przebiegają w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości. Ich przedmiotem nie był ani przebyty uraz, ani kwestia, czy uniemożliwia on wykonywanie

pracy zawodowej, ani wreszcie godziwa rekompensata za doznany uszczerbek na zdrowiu. Kwestia sprowadzała się do tego, czy można zmusić władze i firmę ubezpieczeniową, żeby zapłaciły. Sully nigdy nie widział dwa razy tego samego prawnika reprezentującego firmę ubezpieczeniową, ale wszyscy byli kuci na cztery nogi, a ich imponująca liczba świadczyła, że on i Wirf, który nazywał ich „wiatrakami”, twierdząc z uporem, że konsekwentna walka z nimi jednak przyniesie w końcu pożądany efekt, stoją na straconej pozycji. Człowiek nie mógł się nawet porządnie wkurzyć ani poprawić sobie samopoczucia, wyobrażając sobie, że następnym razem wyrzuci tego zadowolonego z siebie skurwiela przez okno, bo następnym razem pojawiał się ktoś zupełnie inny. Nawet sędziowie się zmieniali, chociaż wszyscy wydawali się mieć podobny stosunek do roszczeń Sully'ego. Wszyscy traktowali Wirfa z góry, a kiedy rozprawa dobiegła końca, dowcipkowali przyjaźnie z adwokatami firmy ubezpieczeniowej. Na Sully'ego w ogóle nikt nie zwracał uwagi i ten ostatni zaczął w końcu podejrzewać, że gdyby jego noga wykazała inicjatywę i odpadła, ów doniosły (z jego punktu widzenia) fakt najprawdopodobniej niczego by nie zmienił. Posłużono by się starymi zdjęciami rentgenowskimi, żeby wykazać, że noga jest nadal na swoim miejscu. Byłaby to isticie filozoficzna argumentacja.

Sully wiedział, że wszystko to ma prawo człowieka wkurzyć, i czasem rzeczywiście ogarniała go wściekłość, kiedy o tym pomyślał, ale na sali sądowej czuł jedynie oniesmielenie i był zadowolony, że reprezentuje go adwokat, choćby tak kiepski jak Wirf, który wydawał się w sądzie niemal równie nie na miejscu jak Sully. Doszedł do wniosku, że ludzie właśnie dlatego opłacają prawników. Gdyby nie Wirf, sędzia używałby sobie bezpośrednio na nim, a w jego przyjacielu było tylko tyle z profesjonalisty, że potrafił przełknąć bez urazy dowolną ilość gówna. Wirf nawet strojem nie przypominał prawników reprezentujących towarzystwo ubezpieczeniowe i wydawał się nie dostrzegać, jak patrzają na niego inni przedstawiciele prawniczego światka. Sully'emu było z tego powodu głupio, bo znali się od niepamiętnych czasów, zdawał sobie jednak sprawę, że Wirf lepiej się do tego nadaje niż on. Jego własne umiejętności zjadania gówna były mocno ograniczone. Po jakimś czasie dochodził do wniosku, że teraz kolej na drugą stronę, podczas gdy Wirf wydawał się rozumieć, że zawsze jest jego kolej. Ponieważ byli przyjaciółmi, umówili się na rozliczenie warunkowe. Jeżeli udałoby się im wygrać jedną z kilku równoległych spraw, założonych w jego imieniu przez

Wirfa, podzieliliby się łupem. Ostatnio jednak stało się dla niego oczywiste, że nie dostaną złamanego szeląga, i zaczął mieć wyrzuty sumienia, że pozwala Wirfowi składać apelację za apelacją. Żeby wygrać, trzeba by wszystkich tych gnojków powyrzucać przez okna, a adwokatów i sędziów było więcej niż wszystkich okien razem wziętych.

Kiedy furgonetka była w trzech czwartych załadowana, a przechylł wyglądał jeszcze groźniej niż przedtem, Sully obwiązał ładunek liną i przyjrzał mu się z powątpiewaniem. Nie było powodu, żeby bloki po prawej stronie ważyły więcej niż te po lewej, ale musiało tak być, bo furgonetka przechyliła się na prawo. Kiedy tak stał po kostki w błocie, uświadomił sobie, że oto znajduje się w obliczu doniosłej decyzji. Mógł, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wyjechać ze źle wyważonym ładunkiem na autostradę i liczyć, że wszystko będzie dobrze, albo mógł zdjąć część bloków, wykonać pierwszy kurs z mniejszym obciążeniem, rozładować furgonetkę i odszukać Ruba, żeby mu pomógł skończyć robotę.

Wolna wola. Zagadnienie szeroko omawiane podczas zajęć z filozofii i jedno z pierwszych pojęć odesłanych do niebytu. Wykładowca, który wydawał się Sully'emu bardzo młodym człowiekiem, zdumiał go swoim twierdzeniem, że coś takiego jak wybór naprawdę nie istnieje, że wolna wola jest jedynie złudzeniem. Sully był jednym z niewielu starszych wiekiem kursantów w licznej grupie i rzadko kiedy zabierał głos, ale w tej chwili żałował, że nie ma przy nim wykładowcy filozofii, żeby mu wyjaśnił, dlaczego tak naprawdę nie ma wyboru. Prawdopodobnie zacząłby od udowodnienia, że nie ma tu w ogóle żadnej furgonetki. Dla Sully'ego sytuacja miała wszelkie cechy autentycznego wyboru. Jego wyboru. On decydował, do jasnej cholery.

Wspiął się po stopniach do kabiny, przekręcił kluczyk w stacyjce, pechnął dźwignię zmiany biegów, zwolnił hamulec, odczekał chwilę i nacisnął pedał gazu. Mógł się zatrzymać, kiedy usłyszał i poczuł, jak koła pojazdu buksują w błocie, ale tego nie zrobił, chociaż wiedział, co to oznacza. Zamiast tego wcisnął gaz do dechy, czując, jak tłumiona całymi miesiącami pasja znajduje sobie niespodziewane ujście, jak gdyby przeraźliwe wycie silnika, rżęzącego na najwyższych obrotach, wydobywało się z jego własnego gardła. Tyłne koła wyrzucały w górę fontanny błota, obryzgując ścianę na wpół ukończony domku. Potem, nie posuwając się ani o cal do przodu czy do tyłu, samochód zaczął się trząść tak gwałtownie, że Sully ledwie mógł utrzymać kierownicę, po czym czknął raz i drugi, zadygotał i zgasł. I całe szczęście.

Tylne koła zdążyły się już zaryć po osie w ziemię. Głupota - pomyślał. Za ledwie godzinę wcześniej zastanawiał się, czy człowiek może mieć dwie głupie passy w ciągu jednego roku, a oto tkwił po uszy w kolejnej, nim zdążył rozważyć wszystkie za i przeciw. Wysiadł z samochodu, żeby się zorientować w sytuacji. Wiatr przybrał na sile, pogwizdywał w pobliskich sosnach, jakby chichotał.

Pani Gruber - ta sama, którą rozczarował ślimak, zadzwoniła wczesnym przedpołudniem do panny Beryl, chcąc się dowiedzieć, czy listonosz już u niej był i czy przejrzała folder reklamowy, zapowiadający uroczyste otwarcie nowego supermarketu tuż przy zjeździe z autostrady między stanowej. Tak jak się obawiała, przyjaciółka wyrzuciła go, nawet na niego nie spojrzawszy.

- Mają fantastyczne promocje - entuzjazmowała się pani Gruber, która nie przepuściłaby żadnego uroczystego otwarcia, gdyby to od niej zależało. Przestudiowała folder z rosnącym podnieceniem i żalem, bo sama nie prowadziła samochodu, a supermarket znajdował się pięć mil od jej domu. Na sześciu stronach - wszystkie w pełnej gamie kolorystycznej - pyszniły się krwistoczerwone steki, warzywa firmy Kelly raziły oczy soczystą zielenią. Nawet najbardziej prozaiczne artykuły, takie jak papier toaletowy czy proszek do prania, wyglądały egzotycznie i frapująco. A wszystko to po niewiarygodnie atrakcyjnych cenach! Pani Gruber chciała pojechać do nowego supermarketu i sprawdzić osobiście, czy te wszystkie cuda to prawda. Wiedziała, że prawo zabrania posługiwania się kłamstwem w reklamie, co napawało ją optymizmem. Cała Beryl, wyrzucić folder do śmieci, myślała, poirytowana do żywego perwersyjną obojętnością przyjaciółki, której nigdy nie poruszało to, co naprawdę ekscytujące. - Idź i poszukaj - niecierpliwiła się. - Rzuć tylko okiem.

- Jest w kubie na śmieci. Pod torebką po herbacie ekspresowej.

- Nie uwierzyłabyś, jaka to okazja - ciągnęła pani Gruber, cytując z pamięci obszernie fragmenty.

Panna Beryl zerknęła w okno, w nadziei, że śnieg okaże się dobrym pretekstem do odmowy. Wybierała się do sklepu, ale dom towarowy IGA w North Bath zupełnie jej wystarczał. Był niedaleko i nie przeszkadzało jej, że nie ma tam żadnych promocji. Wyznawała pogląd, że wszystko, co wymaga tłumu kłębiących się łowców okazji, nie jest w gruncie rzeczy żadną okazją. Ale większość śniegu zdążyła już stopnieć i w kilku miejscach ukazała się nawet sucha nawierzchnia.

- Przejazdzka dobrze nam zrobi - kusila pani Gruber. - Jedzmy. Podniesmy kotwicę - powiedziala, rozmyslnie uzywajac jednego z ulubionych powiedzonek przyjaciolki.

- Przyjadę po ciebie za pół godziny - poddala się panna Beryl.

- Będę na ganku - uprzedzila ją pani Gruber. W swoim pojeciu odwiedzila się w ten sposob przyjaciolce za uprzejmosc, oszczedzajac jej fatygi zajezdzania pod sam dom.

- Nie ma potrzeby - powiedziala panna Beryl. - Mozesz być w domu. Zatrabię.

- Dla mnie to bez różnicy - zapewnila ją pani Gruber. - Będę na ganku.

- Pół godziny - przypomniała panna Beryl.

- Jasne - potwierdzila pani Gruber, odkladajac sluchawke.

Do konca rozdzialu powiesci Trollope zostalo jej pół strony. Skonczyla czytac i wstala. Przez boczne okno salonu widać bylo Główną w obu kierunkach. Kiedy odložyla ksiazke i spojrzala w góre ulicy, tam gdzie stal dom pani Gruber, stwierdzila, że przyjaciolka stoi juz na ganku i popatruje w kierunku jej domu, jakby spodziewala się ujrzeć lada chwila jej samochód wyjezdzajacy z podjazdu. Od zakonczenia rozmowy uplynęły wszystkiego dwie minuty.

Panna Beryl wstala z westchnieniem. Juz miala zdjac plaszcz z wieszaka, kiedy przed jej dom zajechal z rykiem silnika wielki samochód, którego nigdy przedtem nie widziala. Wysiadla z niego mloda kobieta, wygladajaca na niewiele ponad dwadziescia lat, i sprawdzila cos, co miala zapisane na kartce. Byla w swetrze, bez wierzchniego okrycia i panna Beryl nie mogla nie zauwazyć, nawet z tak duzej odleglosci, że ma wprost gigantyczny biust.

- Kim jesteś, u licha? - zapytala na głos stara kobieta. - Popatrz no na te balony - dodala, zwracajac się do Clive'a seniora, który uśmiechnal się z aprobatą ze swojego telewizora, chociaz nie mógł nic widzieć, bo był zwrócony w niewlasciwą strone. - Ty też patrz - poinstruowala Eda.

Nieznajoma pochytila się i zajrzala do wnętrza samochodu, nim zamknęła za sobą drzwi. W pierwszej chwili wydawalo się, że szuka czegoś na siedzeniu, ale potem panna Beryl dostrzegla w samochodzie jakis ruch i ujrzala obok fotela kierowcy drobną dziecięcą głowke.

Kiedy kobieta ruszyla przez zaśniezony trawnik w strone ściezki prowadzacej na ganek, drzwi się otworzily i malý pasazer wygramolil się z samochodu. Kobieta (matka dziecka?) uslyszala chyba odgłos otwieranych drzwi,

bo odwróciła się na pięcie i popędziła z powrotem, wpychając dziecko bezceremonialnie do środka, wciskając automatyczny zatrask i strzelając z impetem drzwiami. Nawet tu w mieszkaniu panna Beryl słyszała jej podniesiony głos. „Siedź spokojnie, do jasnej cholery! Zaraz wracam, słyszysz? Siedź w samochodzie i oglądaj swój cholerny magazyn. Jak jeszcze raz wyjdiesz, spuszczę ci manto, rozumiesz?”

- Ktoś powinien tobie spuścić manto - powiedziała panna Beryl, kiedy kobieta znów ruszyła w stronę domu. Jeszcze nie doszła do ganku, gdy drzwi samochodu ponownie się otworzyły i dziecko wyszło na zewnątrz. Tym razem kobieta nie wróciła, tylko uniosła wzrok kupłą taninie czarnych gałęzi, jak gdyby miała nadzieję ujrzeć tam gadającą wiewiórkę, która mogłaby jej udzielić jakiejś rady.

- Może zamkniesz przynajmniej te cholerne drzwi! - wrzasnęła w stronę dziecka, które zaczęło iść za nią, ale zatrzymało się na ten okrzyk. Panna Beryl nie mogła rozpoznać, czy to chłopczyk, czy dziewczynka, ale jakiegokolwiek płci było, zawróciło, podparło ciężkie drzwi chudym ramieniem i pchnęło. Impet zatraskujących się drzwi sprawił, że straciło równowagę, pośliznęło się i upadło na kolana. Kobieta znów spojrzała w niebo, szukając odpowiedzi. - Idziesz czy nie? - krzyknęła i dziecko, mające teraz mokre plamy na kolanach, ale oczy zaskakująco suche, ruszyło za nią. W jego ruchach było coś przerażająco mechanicznego i pannie Beryl przypomniał się film o dzieciach zombi, który zaczęła oglądać przed wielu laty, ale szybko wyłączyła telewizor.

- Co jest nie tak z tym dzieckiem? - zapytała Clive'a seniora, przechodząc od frontowego okna do bocznego, żeby widzieć, jak kobieta z dzieckiem wchodzi po stopniach ganku. Doszła do wniosku, że to jednak mała dziewczynka, ubrana od pasa w górę wyłącznie w cienką koszulkę z krótkim rękawem. Kiedy usłyszała, że drzwi wejściowe się otwierają, otworzyła również swoje, stając oko w oko z kobietą, która chciała zdaje się pójść prosto na górę, do mieszkania Sully'ego.

- Ruszaj się, Ptasi Mózdzku - powiedziała młoda osoba, zapewne do dziewczynki, chociaż patrzyła przy tym prosto na pannę Beryl.

- Mogę w czymś pomóc? - zapytała panna Beryl, nie starając się zbytnio, żeby zabrzmiało to jak rzeczywista propozycja pomocy.

- Jest u siebie? - spytała młoda kobieta. Z bliska jej twarz wydała się pannie Beryl znajoma. Mogła być którąś z jej dawnych uczennic.

- Kto? - zainteresowała się panna Beryl. Sully nie miewał zbyt wielu gości i większość ich znała, jeżeli nie z nazwiska, to z widzenia.

- Facet, który mieszka na górze - wyjaśniła dziewczyna z nieukrywaną irytacją.

- Nie, nie ma go.

- Świetnie - rzuciła młoda osoba. - Jak już sukces, to na całej linii.

Panna Beryl nie słuchała. Patrzyła na dziecko, które wpatrywało się w nią, stojąc bez ruchu u boku matki. A raczej wpatrywałoby się, gdyby nie jedno z oczu, które straszliwie uciekało w bok i w ogóle na nic nie patrzyło. Panna Beryl poczuła, że serce jej się ściska, ale powiedziała tylko:

- Mała powinna mieć na sobie płaszcz. Dygocze z zimna.

- Cóż, mówiłam jej, żeby została w samochodzie, więc czyja to wina?

- Pani - odparła panna Beryl bez wahania.

- Aha, moja, oczywiście - przytaknęła nieznajoma, jakby takiej właśnie odpowiedzi oczekiwała. - Czy mogłaby pani wyświadczyć mi hiperuprzejmość i pilnować własnego nosa?

Wobec tak jawnej bezczelności pannie Beryl na chwilę odjęło mowę. Nie miała do czynienia z grubiaństwem, odkąd odeszła na emeryturę, i zdążyła zapomnieć, co się robi w takiej sytuacji. Chwila pełnej osłupienia ciszy wystarczyła najwyraźniej, żeby młoda kobieta zrewidowała swoją taktykę.

- Niech pani nie zwraca uwagi na to, co mówię, dobrze? - powiedziała, garbiąc się nagle. - Na ogół się nie wydzieram na starsze panie. Tylko że akurat się zrobił kompletny hiperszajs.

Oj, dzieci, dzieci, omal się nie wyrwało pannie Beryl, ale w porę ugryzła się w język. Tak sobie właśnie radziła w szkolnych czasach - teraz to sobie przypominała. Piorunowała bluźniercą wzrokiem, nie mówiąc ani słowa, dopóki go nie tknęło, że ktoś tu chyba popełnił poważny błąd i że to nie panna Beryl jest tą osobą.

- To przez Ptasi Mózdzek - wyjaśniła kobieta. - Chętnie bym ją pani sprzedała na jakąś godzinę, tak dla śmiechu.

Obie patrzyły teraz na milczące dziecko. Dziewczynka sprawiała wrażenie, jakby mogła równie dobrze stać w tym korytarzu zupełnie sama, bo nic w jej zachowaniu nie wskazywało, że w pobliżu znajdują się inne ludzkie istoty.

- Witaj, skarbie - powiedziała panna Beryl, mając nadzieję, że nie patrzy na dziecko tym samym wzrokiem co na jego matkę. Wiele razy spotykała się z zarzutem, że straszy małe dzieci, choć nikt jej nigdy nie wyjaśnił, na czym to konkretnie miało polegać.

- Dobry pomysł - uznała młoda kobieta. - Ty się zaprzyjaźnisz z tą miłą, starszą panią, a mamusia w tym czasie zadzwoni. Ma u siebie telefon? - zapytała.

- Proszę skorzystać z mojego - zaproponowała panna Beryl, nadal nie mając pewności, czy powinna wpuścić tę kobietę do mieszkania swojego sublokatora. Nie żeby Sully miał coś przeciwko temu, skoro nigdy nie zamykał mieszkania na klucz, wychodząc z domu.

- Jak pani sobie życzy - powiedziała młoda kobieta, zsuwając buty. - Nie planowałam niczego kraść. Zdejmij buty, Ptasi Mózdzku. Zajdziemy tu chyba na minutkę.

Dziecko miało na nogach tanie, niebieskie tenisówki. Panna Beryl domyślała się, że są w tej chwili przemoczone, podobnie jak skarpetki.

- Nic tu nie ruszaj - uprzedziła kobieta dziewczynkę. - To nie są nasze rzeczy, a mamusia nie ma pieniędzy, żeby zapłacić za to, co zniszczysz.

Panna Beryl zaprowadziła ją do dużego pokoju i pokazała, gdzie jest telefon.

- Dziękuję - powiedziała kobieta. - Dawno nie widziałam takiego egzemplarza - dodała, wskazując okrągłą tarczę. Telefon miał faktycznie ze trzydzieści lat. - Ma tu pani regularne muzeum - oceniła, rozglądając się po pokoju.

Zanim panna Beryl zdążyła odpowiedzieć, tamta rozmawiała już przez telefon.

- Mamuś? Jest tam jeszcze? - Chwila ciszy. - Nie, jestem na dole u starszej pani. Zdaje się, że nie była zachwycona moim pomysłem wejścia na górę.

Panna Beryl słyszała metaliczne pobrzękiwanie w słuchawce, ale nie dość wyraźne, żeby rozróżnić słowa. Wciąż nie mogła oderwać wzroku od dziecka, które czekało cierpliwie u boku matki. Doszła do wniosku, że zdrowe oko stojącej przed nią dziewczynki lustruje ją uważnie.

- Im dłużej o tym myślę, tym bardziej wątpię, czy w ogóle się zjawi. Po prostu robi cię w konia. Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Może zgadł. Albo straszy wszystkich po kolei, na wszelki wypadek. To są je go metody. Postraszyć wszystkich. W ten sposób ma pewność. Skąd wiem? Chcesz wiedzieć? Bo gdyby przyjechał, tak jak zapowiedział, przepadłby mu cały dzień polowania. Nie, nie daruje sobie. Nie znasz go tak dobrze jak ja. Poza tym, gdyby miał przyjechać, toby przyjechał i już, a nie dzwonił i nas ostrzegał. - Znów chwila ciszy. - Nie, nie. Siedzi w lesie i śmieje się w kulak, że dałaś się

nabrać. Wierz mi, siedzi gdzieś w chaszczach. Może, jak będę miała szczęście, zabłądzi i zamarźnie na śmierć. Ale by nam ulżyło, co?

W całej tej kontrowersyjnej rozmowie dla panny Beryl najbardziej kontrowersyjny był fakt, że dziecko się jej przysłuchuje. Ponieważ dziewczynka nadal się w nią wpatrywała, wzięła ze stolika czerwonego, dwugłowego pieska Fu i pokazała go małej. Pies miał z obu końców taki sam uśmiechnięty pysk.

- Jak ci się podoba mój piesek Fu? - zapytała, podając wypchanego zwierzaka małej, która nie zareagowała najmniejszym poruszeniem. Panna Beryl odwróciła go, żeby dziecko mogło zobaczyć, że z obu stron wygląda tak samo. Jeśli dostrzegło w tym coś niezwykłego, nie dało tego po sobie poznać, chociaż przyglądało się zwierzęciu apatycznie.

- Wiesz, co on mówi? - zapytała panna Beryl.

Zdrowe oko dziecka znów napotkało jej wzrok.

- Mówi: „Jesteś fu” - powiedziała panna Beryl, licząc na uśmiech.

Oko dziewczynki podążyło w kierunku zwierzęcia i zaczęło je oglądać z całą powagą, jak gdyby dla ustalenia, czy rzeczywiście mogłoby coś takiego powiedzieć.

- Nazywam go Sully - ciągnęła panna Beryl - bo nigdy nie wie, czy dopiero co przyszedł, czy właśnie wychodzi.

Kiedy znów wyciągnęła maskotkę w kierunku dziewczynki, mała wzięła ją tym razem bez entuzjazmu, niemal jakby robiła jej uprzejmość.

- Aha... Aha... Dobrze - mówiła jej matka do słuchawki. - Dobra, pójdę na górę, jeśli uda mi się ją przekonać, żeby nas wpuściła. Zadzwoń do mnie za pół godziny. Szkoda, że nie widzisz aparatu, z którego dzwonię. Musi pochodzić z czasów wojny secesyjnej... Dobra... Wracaj do pracy... Dobra, w porządku.

Odłożyła słuchawkę, podniosła dziewczynkę do góry i potarła nosem o jej nos.

- Fałszywy alarm, Ptasi Mózdzku. Tatuś zażartował z babuni. Musi być z siebie bardzo dumny. Nieczęsto mu się zdarza przechytrzyć innych. To jak, wpuści nas pani na górę? - zapytała, zwracając się do gospodyni.

- Skoro jest pani znajomą pana Sullivana, to nie powinien mieć nic przeciwko temu.

- Cóż, właściwie to nie - powiedziała młoda kobieta, idąc w stronę drzwi.

- Ale dmucha moją matkę od dwudziestu lat. To ona go zna, nie ja.

Panna Beryl znów zaniemówiła. Patrzyła w milczeniu, jak matka z córeczką opuszczają jej mieszkanie, jak zamykają drzwi za sobą, by zaraz znów je otworzyć.

- Pani piesek - powiedziała kobieta, stawiając wypchanego zwierzaka z powrotem na stoliku do kawy. - I dzięki za pozwolenie skorzystania z telefonu. - Obrzuciła mieszkanie panny Beryl na wpół rozbawionym, na wpół pogardliwym spojrzeniem. - Marnuje się - orzekła. - Powinna pani pobierać opłatę za wstęp.

Kiedy kroki matki i dziecka na schodach ucichły i dało się słyszeć, jak goście wchodzą do mieszkania na górze, panna Beryl odzyskała wreszcie mowę.

- No i co o tym wszystkim sądzisz? - zagadnęła Clive'a seniora.

Zanim jej świętej pamięci mąż zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

- Co tam? - zapytała panna Beryl.

Dzwoniła pani Gruber, o której na śmierć zapomniała.

- Zaraz jestem - rzuciła do słuchawki. - Bądź w gotowości bojowej.

Przez North Bath przechodziło jedynie sześć dróg o utwardzanej nawierzchni. Poza asfaltową szosą nr 27A, która w granicach miasteczka przybierała nazwę ulicy Głównej (Górnej i Dolnej) - było jeszcze pięć wąskich dwupasmówek, łączących North Bath z jego sąsiadami: Schuyler Springs na północy i pomniejszych miejscowościami, takimi jak Shaker Heights, Dollsville, Wapford i Glen na południu. Prócz tego był jeszcze czteropasmowy łącznik, biegnący od Bath do autostrady Albany-Montreal. Nowo wybudowany odcinek, mający zaledwie trzy mile długości, przecinał rozległy pas bagien między Bath i autostradą, stanowiący, według wielkiej planszy umieszczonej na poboczu szosy, lokalizację przyszłego lunaparku „Podróż bez Końca” - pięćsetakrowego „szaleństwa z wodnymi ślizgawkami, kolejkami górskimi, miasteczkiem z Dzikiego Zachodu oraz ogrodem czarów, w którym ożywają bohaterowie ulubionych baśni”. Większą część potężnego billboardu zajmowała jaskrawa twarz klauna, którego szczególny, lubieżny uśmiech wydawał się raczej złośliwy niż zabawny. Małe dzieci, którym przejeżdżające matki pokazywały kolorową planszę, wybuchaly płaczem zamiast śmiechem. Dorośli też czuli się niewyraźnie, widząc, że w zasięgu wzroku,

tuż za granicą North Bath, znajduje się nowy cmentarz - naga, pozbawiona drzew połać terenu, której większą część zajmowały płaskie nagrobki. Krążyły najróżniejsze domysły o konieczności przeniesienia cmentarza w inne miejsce w chwili, gdy ruszy budowa lunaparku. Już teraz zestawienie tych dwóch „podróży bez końca” stało się w okolicy tematem makabrycznych żartów.

Tego dnia, z powodu uroczystego otwarcia nowego supermarketu przy zjeździe z autostrady, ruch panujący przed południem na czteropasmowym łączniku był większy niż zazwyczaj. Za kierownicami większości samochodów mknących w stronę planszy z demonicznym pajacem siedziały gospodynie domowe, wracające z zakupów do domu. Bagażniki ich rodzinnych samochodów i vanów wyładowane były artykułami spożywczymi. Zaszalały trochę, oczarowane eleganckim wnętrzem i ofertą bogatszą niż w miejscowym IGA, nakupiły dwa razy więcej niż zwykle i naciskały teraz pedał gazu mocniej, niż miały w zwyczaju, rozważając w duchu poniesiony wydatek oraz stratę czasu - oba większe od przewidywanych. Na widok mężczyzny, usiłującego złapać okazję do miasta, nawet przez myśl im nie przeszło, żeby stanąć. Niewiasty owe, często wiozące małe, rozkapryszone dzieci, nie należały do osób, które zabiorą nawet przyzwoicie wyglądającego autostopowicza, a cóż dopiero owo budzące grozę indywiduum o błędnym spojrzeniu, uwalane błotem jak nieboskie stworzenie. Choć w promieniu stu mil nie było żadnego więzienia, nie mogły odpędzić myśli, że to zbiegły kryminalista, najprawdopodobniej morderca, który przespał noc na bagnach, aby zmylić psy gończe. Jeżeli nie, to musiał być ofiarą przedwczesnego pochówku z pobliskiego cmentarza, której udało się wyrwać z trumny na wolność. Podczas gdy większość autostopowiczów stara się robić przyjazne, albo przynajmniej godne politowania wrażenie, ten, sądząc z wyglądu, był wręcz niebezpieczny. Gest, którym unosił kciuk, miał w sobie coś takiego, że człowiek spodziewał się w jego dłoni odbezpieczonego granatu. Jedna z młodych kobiet, wioząca pełen samochód zakupów, zjechała nawet na jego widok na lewy pas, jakby się obawiała, że rzuci się na jej samochód i uczepli klamki.

W rzeczywistości intencje Sully'ego były jak najlepsze. Jeżeli był niebezpieczny, to bynajmniej nie w sensie, jakiego obawiała się młoda kobieta. Morderczy błysk w jego oku brał się stąd, że spędził cały ranek na niedzięcznej robocie, forsując obolałe kolano, aby na koniec ugrzęznąć po osie w błocie. Podczas półgodzinnej bezowocnej szarpaniny, kiedy usiłował

uwolnić pojazd z potrzasku, uświadomił sobie z całą wyrazistością, co powie Carl Roebuck - człowiek, dla którego poprzysiął nie kiwnąć więcej palcem - kiedy zobaczy efekty jego usiłowań. Powie, że był w błędzie - Sully potrafiłby nawet taką robotę. Nie miał ochoty usłyszeć tych słów poza granicami swojej wyobraźni, a nawet tam, ilekroć Carl je wypowiadał, Sully wyrzucał go natychmiast przez okno. Na domiar złego wydawało mu się, że słyszy urągliwe „A nie mówiłem?” młodego profesora filozofii, natrzęsającego się z jego naiwnej wiary w wolną wolę.

A także własnego ojca, który leżał pochowany pół mili dalej, a z którym Sully się dotąd nie pojednał. Prawdę mówiąc, w drodze na plac budowy zrobił to, co robił zawsze, kiedy przejeżdżał koło cmentarza. Opuścił szybę, nie zważając na piekielny ziąb, i wykonał pod adresem Dużego Jima wymowny gest. W przeciwieństwie do większości mieszkańców Bath nie troszczył się specjalnie, czy budowa lunaparku dojdzie ostatecznie do skutku. Jedyne, co go w tym wszystkim interesowało, to ewentualne przenosiny cmentarza, które oznaczałyby zakłócenie wiecznego spoczynku jego ojca. Sully zżywał się na myśl, że jego ojciec mógłby spoczywać w pokoju. Gdyby miał dość pieniędzy i gdyby istniała taka możliwość, zleciłby odkopywanie Dużego Jima mniej więcej raz na dziesięć lat, żeby nigdy tego spokoju nie zaznał. W tej chwili miał nadzieję, że uda mu się złapać okazję i minąć cmentarz jak najszybciej, żeby ojciec nie zobaczył go w tym pożałowania godnym stanie. Ile razy nachodziła go głupia passa, wydawało mu się, że słyszy daleki śmiech starego Sullivana. Ostatni raz przydarzyło mu się to przed ponad rokiem, kiedy spadł z drabiny i uszkodził sobie kolano. To się może oczywiście przytrafić każdemu. Głupi był nie tyle sam wypadek, ile jego przyczyna. Kiedy stał w połowie drabiny, usłyszał hałaśliwy męski śmiech. Po drugiej stronie placu budowy, za metalową siatką, dostrzegł sylwetkę potężnego mężczyzny, który z tej odległości wydał mu się dalekim cieniem własnego ojca. Cieniem, dosłownie, bo Duży Jim nie żył już wtedy od ładnych paru lat. Kimkolwiek był ów facet o końskim śmiechu. Sully patrzył na niego, a nie pod nogi. Spadł z wysokości dwudziestu stóp i śmiech ojca prześladował go podczas całej drogi do szpitala. Teraz, tak blisko cmentarza, brzmiał o wiele wyraźniej niż wtedy, wręcz dzwonił mu w uszach.

Kiedy zobaczył minę kobiety, która zjechała na lewy pas, uczynił świadomy wysiłek, żeby nie wyglądać jak seryjny morderca. Po jakimś czasie dał sobie spokój i z tym, i z łapaniem okazji. Do miasta pozostała mu już tylko

mila, a zdążył przejść do tej pory niemal równie długi odcinek. Zaczął nawet dostrzegać w całej sytuacji jaśniejsze strony. Dopóki ciężarówka była uwięziona w błocie, nie mógł spowodować kraksy i wysypać ładunku. Innym plusem był fakt, że Rub, którego pomocy teraz potrzebował, nie miał za grosz poczucia humoru, w związku z czym nie mógł się natrzasać z głupoty innych. Gdyby to Rub wjechał furgonetką w grajdoł pełen błota, załadował na nią tonę betonu, po czym nie mógł wyjechać, głupota takiego postępowania natychmiast rzuciłaby się Sully'emu w oczy. Ale u Ruba głupota innych wzbudzała jedynie współczucie. Utożsamiał się z każdym bezmyślnym postępkim tak zdecydowanie i instynktownie, że pozbawiało go to całej przewagi. Sully nie wiedział tylko, jak mu wytłumaczy, czemu nie ściągnął go od razu, skoro była to ponad wszelką wątpliwość robota dla dwóch. Teraz, kiedy ranek został stracony, nawet dwóch mężczyzn musiałoby się nieźle uwijać, żeby skończyć przed zapadnięciem zmroku.

Pogrążony w kojących rozważaniach na temat ograniczeń intelektualnych Ruba i porzuciwszy ostatecznie myśl, że ktokolwiek mógłby się zatrzymać, Sully nie od razu spostrzegł małego, oliwkowego gremlina, który zjechał na pobocze i stał z włączonym migaczem jakieś pięćdziesiąt jardów przed nim. Że zatrzymał się z jego powodu, dotarło do niego dopiero, kiedy usłyszał klakson. Samochód był stary, sfatygowany, i coś mu mówiło, że może należeć do kogoś z jego znajomych. Ale do kogo? Nie znał w Bath nikogo, kto jeździłby gremlinem, co jeszcze bardziej komplikowało sprawę, bo poza Bath w ogóle mało kogo znał. Kiedy klakson rozległ się po raz drugi, uświadomił sobie, że stoi i myśli, jak gdyby odgadnięcie tożsamości właściciela samochodu było nieodzownym warunkiem skorzystania z jego uprzejmości. Szyba od strony pobocza była opuszczona i czyjaś ręka kiwała na niego ponagłająco. Sully ruszył w stronę samochodu.

Gremlin miał rejestrację z innego stanu, choć tablica była zbyt zabrudzona, żeby dało się ustalić z jakiego. Nachyloną pod kątem tylną szybę samochodu niemal zupełnie zasłaniały pięttrzące się ubrania, koce i zabawki, tak że nie było widać, co jest w środku. Sully zbliżał się do samochodu z niedobrymi przeczuciami, które jeszcze się wzmogły, kiedy młoda kobieta, o znajomej, jak mu się wydawało, fizjonomii wychyliła się z okna i spiorunowała go wzrokiem. Jej twarz wyrażała nieskrywaną irytację, jakby sam jego widok obudził w niej wspomnienie paru niemiłych rzeczy na jego temat, o których zdążyła już zapomnieć.

Nie wiadomo dlaczego Sully poczuł nagłą chęć ucieczki, jak gdyby kobieta wynurzyła się z czeluści niepamięci, aby cisnąć mu w twarz pozew o ustalenie ojcostwa.

- Witaj, laleczko - powiedział, kiedy znalazł się w zasięgu głosu, postanawiając iść „na bezczelnego”. W wieku sześćdziesięciu lat zdążył zapomnieć tyle osób, że wiedział, jaka jest w tych okolicznościach najlepsza taktyka: udawać jak najdłużej, że się wie, z kim się ma do czynienia, dopóki rozmówca sam nie dostarczy ci wskazówki co do swojej tożsamości. Kimkolwiek była ta młoda kobieta o nieprzyjaznej aparycji, w końcu ją sobie przypomni. Przez całe życie zwracał się do młodych kobiet per „laleczko”, więc jeśli go znała, nie powinna być specjalnie zdziwiona. Kiedy się zrównał z samochodem, zobaczył, że na tylnym siedzeniu tłoczy się troje dzieci, upchniętych wśród licznych poduszek i wypchanych zabawek. Wyglądały jak nieco starsze wersje trójki, którą gdzieś już widział. Kobieta wysiadła z samochodu i odchyliła przedni fotel, żeby mógł się dostać do środka. Kiedy się pochylił, jego wzrok padł na kierowcę i wtedy go oświeciło, kim, u diabła, ci wszyscy ludzie są.

- Posunąć się tam, smarkateria - polecił. - Zróbcie miejsce dla dziadka.

- Daj mi Andy'ego - powiedziała Charlotta, żona jego syna. - W ten sposób będziesz miał przynajmniej trochę miejsca - dodała, po czym umilkła.

Sully chętnie by spełnił jej życzenie, ale trochę się w tym wszystkim pogubił, znajdując się częściowo w samochodzie, a częściowo poza nim. Wydawało mu się, że wie, który z jego wnuków ma na imię Andy, ale coś mu się nie zgadzało. Gotów był przysiąc, że Andy to niemowlę, ale w takim razie żądanie Charlotty nie miało sensu, bo maluch siedział przypięty w specjalnym foteliku. Nawet gdyby Sully'emu udało się go rozsupłać - co było wątpliwe, zważywszy na stopień komplikacji uprzęży, jedynym efektem byłby pusty fotelik, a nie większa ilość miejsca dla dorosłego.

- Odepnij brata, Will - przynaglił chłopca Peter, syn Sully'ego. - Nie gap się jak w telewizor.

Najstarszy z chłopców, zadziwiająco podobny do swojego ojca, gdy ten był w jego wieku, wykonał polecenie z chmurną miną, jak gdyby obarczono go zbyt wielką odpowiedzialnością. Jeśli najstarszy miał na imię Will, a najmłodszy Andy, pozostawał jedynie średni, który gapił się na Sully'ego z

nieskrępowanym osłupieniem. Bąbel pulsujący w jednej z dziurek od nosa kurczył się i pęczniał na przemian w rytm jego oddechu. Sully doszedł do wniosku, że w oczach dziecka musi wyglądać dziwnie taki cały oblepiony błotem.

Kiedy Andy znalazł się na kolanach matki, Charlotta zwróciła się równie znużonym głosem do młodszego syna.

- Usiądź na jego miejscu, Fanga. Chcesz, żeby dziadek to zrobił?

- To jest dziecienny fotelik - naburmuszył się chłopiec.

- Ja tam usiądę - westchnął starszy, rozpinając pas. To podziało na młodszego jak ostroga.

- Mama kazała mnie! Mnie! - wrzasnął i wymierzył bratu błyskawiczny cios, kiedy tamten próbował zmieścić się w foteliku, zdecydowanie dla niego za małym. Drobną pięść trafiła starszego chłopca w nasadę nosa. Oczy Willa zaszyły na chwilę łzami, co młodszy wykorzystał, gramoląc się na fotelik, z którego spoglądał teraz z pełnym wyższości uśmiechem na swoją ofiarę. Ku zdumieniu Sully'ego, Will nawet nie próbował podjąć akcji odwetowej.

Sully wpasował się w szczelinę, która się pojawiła dzięki tej operacji, ostrożnie umieszczając chorą nogę w ograniczonej przestrzeni i powoli zginając ją w kolanie. Zastanawiał się, jak może mieć naprawdę na imię średni chłopiec. Może jakoś podobnie do jego przydomka? Zaczął szukać w pamięci chłopięcego imienia, które brzmiałoby podobnie jak Fanga.

- Fanga znów mnie uderzył - powiedział Will w przestrzeń, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Chłopiec obmacywał nos, sprawdzając, czy nie ma krwi, najwyraźniej rozcieszony wynikiem oględzin. Gdyby zobaczyli krew, może ktoś by mu uwierzył. Fanga pokazał starszemu bratu małą, kościstą pięść. Jego oczy się zwięzły, jakby chciał dać mu do zrozumienia, że następnym razem ów dowód rzeczowy może się pojawić.

- To mu oddaj - powiedział syn Sully'ego, wyjeżdżając z powrotem na szosę. Nie odwrócił się, nie wyciągnął ręki na powitanie ani nie okazał w żaden inny sposób, że się cieszy z tego spotkania. Ale tak było zawsze, odkąd Peter wyjechał do college'u - ile? piętnaście, dwadzieścia lat temu? Prawdopodobnie uważał, że w ten sposób wyrównuje rachunki, dokonuje aktu dziejowej sprawiedliwości. Jeżeli tak, Sully potrafił go zrozumieć. Nigdy świadomie chłopca nie ignorował, gdy ten dorastał, i z pewnością nie minąłby go obojętnie na autostradzie życia, gdyby potrzebował pomocy. Tyle że jego matka skutecznie zadbała o to, aby nigdy się w takiej sytuacji nie znalazł.

Wraz z Ralphem, którego poślubiła mniej więcej w rok po rozwodzie z Sullym, wychowali go tak dobrze, że chłopiec nigdy nic nie potrzebował. Sully wiedział, że Ralph lepiej wywiązywał się z roli ojca, niż sam mógłby to zrobić. Nie wtrącając się w życie swojego syna, wyświadczał mu przysługę, tak to sobie przynajmniej tłumaczył. Nawet dziś wydawało mu się, że nie była to głupia decyzja. Fakt, Peter wyrósł na dość zamkniętego w sobie i niezbyt ambitnego młodego człowieka, ale mógł czerpać z nieograniczonych zasobów ambicji Very, łagodzonych z drugiej strony przez dobroduszną naturę ojczyma i w końcu został jakoś nauczycielem akademickim w dyscyplinie, której Sully nie mógł sobie przypomnieć.

- Przywał mu - powiedział Peter z przekonaniem. - Obrywasz, oddawaj z nawiązką.

- I to mówi niegdysiejszy pacyfista - prychnęła pogardliwie Charlotta, jakby uwaga jej męża stanowiła ostateczny dowód jego bezbrzeżnej hipokryzji, gdyby ktoś takowego potrzebował. Sully, który rzadko zauważał takie sprawy, dostrzegł jednak napięcie panujące na przednich siedzeniach i zachodził w głowę, co mogło je wywołać. Czyżby któreś z nich było przeciwnie podwożeniu go? Jeżeli tak, to zapewne Charlotta chciała się zatrzymać, nie Peter. Rzadko widywał synową, ale zawsze ją lubił. Była dużą dziewczuchą o niezgrabnych ruchach i otwartej, szczerzej twarzy. Nie przeszkadzało jej, kiedy ktoś sobie z niej pokpiwał, a kpiny były jedną z nielicznych rzeczy, jakie Sully miał do zaferowania. Plus naturalną solidarność - owoc niechęci, jaką Vera żywiła do obojga. Vera nigdy się nie kryła z opinią, że ożenek jej syna nie był fortunny, że Charlotta nie jest kobietą, która pomogłaby mu w karierze. Młodzi mieszkali razem przed ślubem, co również się jej nie podobało. Fakt, że pobrali się dopiero, gdy zaszła w ciążę, dowodził jej zdaniem, że jej syn został złapany na dziecko. Charlotta opowiedziała kiedyś to wszystko Sully'emu, który szczerze jej współczuł.

- Co ty tu robisz? - zapytał Peter, ustawiając lusterko tak, żeby go widzieć.

- Właśnie miałem was zapytać o to samo - zrobił unik Sully, któremu nie było spieszo do wyjaśnień.

- Zawezwano nas na świąteczny obiad - odpowiedziała Charlotta. - Oczywiście nie śmieliśmy obrazić majestatu odmową.

Była to przejrzysta aluzja do Very, która lubiła rządzić, jeśli się jej na to pozwoliło. Z Sullym jej się to ostatecznie nie udało, ale bynajmniej nie

dlatego, że się nie starała. Swojego drugiego męża wybrała staranniej.

- Chyba nie widziałem Very od czasu waszej ostatniej wizyty - powiedział Sully, zajmując neutralną pozycję w drażliwej kwestii. - Kiedy to było? - zaczął się zastanawiać, uświadamiając sobie, że nie jest to wcale proste pytanie. Kiedy syn z rodziną odwiedzali Verę i Ralpha, często przyjeżdżali i wymykali się cichcem, nie wstępując do Sully'ego.

- Jak można żyć w takiej mieścinie i bez przerwy na siebie nie wpadać? - zdziwiła się Charlotta.

- Cóż, laleczko, Vera i ja nie obracamy się w tych samych kręgach - wyjaśnił Sully. - Prawdę mówiąc, Vera w ogóle się nie obraca. Zazwyczaj kroczy prosto przed siebie.

- Jak zwykle - mruknęła Charlotta z niechęcią.

- Ktoś musi - zauważył Peter.

Sully zerknął w lusterko, ale Peter patrzył przed siebie, na szosę. Za oknem mignął mu cmentarz, na którym był pochowany Duży Jim. Powstrzymał odruch, żeby wykonać swój rutynowy gest, bo musiałby się z niego wytłumaczyć przed wnukami. Był ciekaw, czy kiedy syn zobaczył go na drodze, nie naszła go ochota, żeby opuścić szybę, nacisnąć klakson i zrobić to samo. Skoro już mowa o sprawiedliwości dziejowej.

- Dałabym ci potrzymać wnuka - powiedziała Charlotta - ale jest w tej chwili bardzo zajęty. - Ponad ramieniem matki widać było buzię malucha, ale jego wzrok był nieobecny, wpatrzony w przestrzeń, gdzieś pomiędzy Sullym a końcem własnego noska. Mina chłopczyka wyrażała pełną koncentrację na czynności fizjologicznej.

- Dzięki - powiedział Sully. - Nie chciałbym, żeby to wszystko wylądowało na moim najlepszym ubraniu.

Jego uwaga zdumiała Willa, który przestał dłużyć w nosie i zaczął się najwyraźniej zastanawiać, czy tak może faktycznie wyglądać najlepsze ubranie jego dziadka. Jego oczy rozszerzyły się ze współczucia.

- I co tam, Mordko? - odezwał się Sully do młodszego chłopca, który przez cały czas nie spuszczał z niego wzroku, choć wydawał się nie podzielać obaw swojego brata co do odświętnej garderoby dziadka.

- Nie nazywam się Mordka, tylko Fanga - powiedział chłopiec ze złością.

- Skąd takie imię? - indagował Sully, puszczając oko do Willa.

Chłopiec poczerwieniał w jednej chwili. Nim Sully zdążył się zorientować, złapał dużą książkę dla dzieci w twardej oprawie i opuścił ją z całej siły na jego kolano, wywołując potok kwiecistych zwrotów, których Sully wcale

nie zamierzał używać w obecności rodziny syna. Will, który dzielnie powstrzymał łzy, kiedy sam padł ofiarą agresji brata, teraz wybuchnął płaczem, ogarnięty autentycznym przerażeniem i współczuciem.

Sully, gdy tylko zdołał złapać oddech, zażądał, żeby Peter stanął przed domem towarowym IGA. Jego syn usłuchał bez wielkiego entuzjazmu. Sully wydostał się z samochodu i ruszył na przełaj przez parking, kierując się w stronę opuszczonej budki fotografa, oddalonej o jakieś sto jardów. Im szybciej kuśtykał, tym mniej odczuwał ból. Peter dogonił go mniej więcej po pięćdziesięciu jardach.

- Na litość boską, tato - zaczął z miną wyrażającą wyłącznie zniecierpliwienie, bez śladu zaniepokojenia. Ku swojemu zaskoczeniu Sully uświadomił sobie, że odrobina niepokoju ze strony syna przyniosła by mu ulgę. - Co ten gówniarz ci zrobił?

Sully zwolnił, czując, że fale bólu i mdłości nieco słabną.

- Uff - sapnął, biorąc głęboki wdech.

- To tylko dzieciak, do jasnej anielki - powiedział Peter, mając zapewne na myśli ograniczone możliwości chłopca, jeśli chodzi o zadanie rzeczywistego bólu. Nie rozumiał, dlaczego ojciec, który przez całe życie był twardelem, zachowuje się w taki sposób.

Ponieważ był to najprostszy sposób wyjaśnienia sprawy, Sully podciągnął nogawkę. Na widok jego kolana czy Petera zrobiły się okrągłe z przerażenia. Wyglądał w tej chwili zupełnie jak Will.

- Fanga to zrobił? - zapytał z niedowierzaniem. - Książką dla dzieci?

- Nie bądź idiotą - zgromił go Sully usatysfakcjonowany reakcją syna. - Spadłem z drabiny. Rok temu.

Peter odetchnął z wyraźną ulgą.

- Boże - powiedział. - Powinieneś pójść do lekarza.

- Byłem chyba u dwudziestu. - Sully prychnął.

Kiedy opuścił nogawkę, Peter nadal wpatrywał się w to samo miejsce, jak gdyby wciąż widział poprzez materiał groteskową, fioletową banię.

- I co powiedzieli? - zapytał, kiedy w końcu zawrócili w stronę samochodu.

- Dwadzieścia różnych rzeczy - odparł Sully, co nie było zupełnie ściśle. - Chcieli mi wstawić nowe kolano, wtedy kiedy to się stało. Powinieneś być się zgodzić.

Wówczas pomysł nie wydawał mu się najlepszy. Zaraz po wypadku ból był silny, ale do wytrzymania, i Sully sądził, że jak każdy ból, z czasem

rozejdzie się po kościach. Gdyby się zgodził na operację, wyłączyłoby go to z roboty na jeszcze dłużej. Wmawiał sobie, że go na to nie stać, co nie miało się z prawdą. Ale rzeczywisty powód leżał zupełnie gdzie indziej. Cała koncepcja nowego kolana wydawała mu się po prostu głupia. Prawdę mówiąc, wybuchnął śmiechem, kiedy o tym po raz pierwszy usłyszał, sądząc, że lekarz żartuje. „Nie przylatujcie do mnie z bekiem po nowe, jak nie umiecie dbać o to, co macie” - lubił powtarzać jego ojciec. W jego domu, jeżeli rozlałeś mleko przy kolacji, to tego dnia mleka nie piłeś. Jeżeli piłka utknęła ci na dachu, to twój pech. Nie trzeba jej było tam wrzucać. Jeżeli posiałeś gdzieś swój zegarek, a chciałeś wiedzieć, która godzina, zawsze mogłeś przespacerować się do miasta i sprawdzić na bankowym zegarze. Zdaniem ojca Sully'ego umieszczono go tam specjalnie dla durniów, którzy nie umieją pilnować własnych zegarków.

W dzieciństwie Sully nienawidził tego braku tolerancji dla ludzkiej omyłności, zwłaszcza że ojciec zdawał się rezerwować go wyłącznie dla innych. Ale przyzwyczajenie jest drugą naturą i jako dorosły uważał za rzecz normalną, że trzeba się obejść bez tego, co się zniszczyło. To jest cena, jaką człowiek płaci za to, że chciał coś zrobić po swojemu.

- Dlaczego nie zoperować go teraz? - indagował Peter.

- Nie przejmuj się - powiedział Sully. Chciał, żeby Peter wiedział o sprawie, ale nie miał najmniejszej ochoty zagłębiać się w szczegóły i udzielać wyjaśnień. W ciągu roku, który upłynął od wypadku, kolano zaatakował artretyzm, co, zdaniem lekarzy reprezentujących towarzystwo ubezpieczeniowe, było przyczyną nasilania się dolegliwości. Twierdzili, że to Sully pokpił sprawę, nie godząc się na operację wtedy, kiedy chciano ją przeprowadzić. Tak, w największym skrócie, ujmował ich stanowisko Wirf.

- Ta opuchlizna to głównie płyn - wyjaśnił Sully. - Powinienem chyba znów zrobić drenaż. Tyle że to droga impreza, boli jak cholera i niewiele pomaga.

Wracali powoli. Kiedy znaleźli się przy samochodzie, Sully zauważył, że Andy siedzi z powrotem w swoim foteliku. Will przestał płakać i z lękiem obserwował dziadka przez szybę. Fanga uważnie oglądał książkę z czymś w rodzaju świeżo nabytego respektu dla słowa pisanego. Charlotta, która nie wysiadła z samochodu, patrzyła prosto przed siebie, rozcierając skronie.

- Czyżbym się czymś naraził twojej żonie? - uznał za stosowne za pytać Sully. Zdarzało mu się to wobec kobiet nader często, choć nie miał takich

intencji i zazwyczaj nie zdawał sobie sprawy, że zrobił coś nie tak. Może nie życzyła sobie takiego brudasa w samochodzie? Może się mylił? Może to Peter chciał, żeby się zatrzymali, nie ona? Ale Peter pokręcił głową.

- To ja, nie ty - odrzekł krótko.

Sully czekał na dalszy ciąg, a kiedy ten nie nastąpił, powiedział:

- Przykro mi.

- Ma powody, jak mi się wydaje.

Sully spojrzął na syna, który z kolei przyglądał się swojej rodzinie, jakby należała do kogoś innego. Peter rzucił swoją uwagę od niechcenia, ale Sully'emu wydawało się przez chwilę, że było to swego rodzaju zwierzenie. Jeżeli tak, zdarzyło się to po raz pierwszy i nim Sully zdążył się zastanowić, czy odpowiada mu rola powiernika, nastąpiła kolejna rewelacja.

- Nie wiem, czy mama ci wspominała, że nie przedłużyli ze mną umowy.

To przesądziło sprawę, jeśli chodzi o zwierzenia. Sully wiedział już, że nie jest szczęśliwszy jako człowiek poinformowany.

- Nie - odezwał się. - Nie żartowałem. Naprawdę nie widziałem się z twoją matką, nawet przelotnie.

- Oznajmili mi to na wiosnę - kontynuował Peter. - Ma się wtedy rok na znalezienie czegoś innego.

Sully skinął głową.

- Ico?

- I nic - skwitował Peter.

- Naprawdę mi przykro, synu - powiedział Sully. Mówił szczerze, choć słaba to była pociecha.

Peter wciąż nie patrzył na niego, tylko obserwował swoją rodzinę, upakowaną ciasno w sfatygowanym samochodziku.

- Czasami wydaje mi się, że całkiem niegłupio zrobiłeś. Po prostu dałeś nogę.

Mimo zwykłej u niego goryczy, słowa Petera miały w sobie więcej melancholii niż gniewu. Można było jedynie puścić je mimo uszu, co Sully uczynił.

- Tylko pięć przecznic dalej, jeśli sobie przypominasz - dodał po chwili.

- Równie dobrze mogłeś wyjechać do Kalifornii.

- Chcesz, żebym okazał skruchę?

- Nie, jeśli uważasz, że nie ma powodu.

Sully skinął głową.

- Pozdrów matkę. I dzięki za podwiezienie.

Peter wpatrywał się w czubki swoich butów. Robił wrażenie zawstydzonego, co trochę zmieszało Sully'ego.

- Może wpadłbyś jutro?

- Lepiej uzgodnij to z matką. - Sully się uśmiechnął.

- Nie potrzebuję prosić o pozwolenie, żeby zaprosić własnego ojca na Święto Dziękczynienia - odparł Peter.

Sully nie polemizował.

- Skoro tak, musiało się zmienić.

- Dasz sobie radę?

Sully zapewnił go, że wszystko jest w porządku. Pod sklepem był automat telefoniczny, obiecał więc zadzwonić do Ruba, żeby po niego przyjechał. Przyrzekł też zastanowić się nad zaproszeniem na jutrzejszy dzień. Peter powiedział mu, że jego ojczym Ralph, którego zdrowie szwankowało od jakiegoś czasu, wyszedł właśnie ze szpitala. Sprawy nie wyglądały najlepiej. Sully obiecał, że spróbuje wdepnąć i rozruszać towarzystwo. „Jeden rzut oka na mnie powinien załatwić sprawę” - powiedział. Peter wyciągnął stąd mylny wniosek, że ojciec zamierza się zjawić w stanie zbliżonym do obecnego, i zaczął mu to zdecydowanie odradzać. Na koniec uścisnęli sobie wreszcie dłonie - wszystko to o kilka stóp od samochodu, który stał nadal ze szczelnie zasuniętymi szybami.

Sully zastukał w okienko, płosząc Charlotte, która sprawiała wrażenie nieobecnej, jakby całkiem zapomniała o jego istnieniu. Kiedy opuściła szybę, zauważył, że jej oczy są zaczerwienione i podpuchnięte.

- Miło zobaczyć, że wciąż tak ładnie wyglądasz, laleczko - powiedział, chociaż w rzeczywistości widział, że przybrała na wadze. Pochlebne słowa nie podniosły jej na duchu.

- To opinia mniejszości - odparła.

- Moje opinie na ogół do takich należą - przyznał Sully, uświadamiając sobie zbyt późno, że w ten sposób wycofał swój komplement. Aby wybrnąć jakoś z niezręcznej sytuacji, zastukał w okienko, za którym siedział Fanga. - Następnym razem celuj w prawą nogę - poinstruował wnuka. - Tamta jest zdrowa. Jeżeli jeszcze raz mi przyłożysz w lewą, będę cię gonił do samego domu w Wirginii Zachodniej.

Groźba chyba nie uczyniła szczególnego wrażenia na chłopcu. Uniósł nawet książkę nad głowę zapraszającym gestem. Bąbel w dziurce od nosa wciąż pulsował spokojnie w rytm jego oddechu. Will, przeciwnie, wyglądał, jakby miał za chwilę narobić w spodnie ze strachu.

Sully uśmiechnął się do niego szeroko, żeby pokazać, że to żarty, co chłopiec przyjął z wyraźną ulgą. Kiedy ruszali, posłał dziadkowi nieśmiały uśmiech.

Dom Carla Roebucka, ten sam, w którym znalazł na strychu skrzynkę pełną monet, znajdował się o przecznicę dalej, przy Glendale. Ponieważ było to mniej więcej po drodze, Sully postanowił tam zajrzeć. Niech tam, większość porannych godzin i tak był stracona, poza tym miło byłoby znów zobaczyć żonę Carla.

Toby Roebuck górowała jego zdaniem urodą nad wszystkimi mieszkańkami Bath, wyprzedzając je o kilka długości. Ten typ urody zawsze mu się kojarzył z telewizją. Pewna siebie, z ikrą, o idealnej figurze, świeżutka niczym z telewizyjnej reklamy mydełka. Typ dziewczyny, w jakiej zakochałby się na zabój, gdyby był o trzydzieści lat młodszy. Nie miał co do tego wątpliwości, gdyż zakochał się w niej na zabój zaledwie rok wcześniej, w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat, a więc wystarczająco poważnym, aby mieć więcej rozumu. Nie miał okazji z nią rozmawiać od sierpnia, kiedy rzucił robotę u Carla. Jego rosnące zadurzenie było wówczas jeszcze jednym powodem, obok coraz bardziej obrzmiewającego kolana, aby na jakiś czas dać sobie spokój z pracą fizyczną.

Kto oprócz tego pacana Carla nie zadowoliliby się taką kobietą? - zastanawiał się, kuśtykając podjazdem w stronę domu Roebucków. Cóż, chyba większość mężczyzn - musiał to przyznać - bo większości mężczyzn nic nie może zadowolić. Mimo wszystko wydawało mu się, że on by się nią zadowolił, teraz kiedy miał sześćdziesiątkę na karku. Oczywiście był niemal dwa razy starszy od Carla i z wiekiem stał się sentymentalny, jeśli chodzi o kobiety, nabierając właściwego starszym panom przekonania, że wiedziałyby, jak należy traktować taką kobietę jak Toby - przekonania zrodzonego z faktu, że nie istniała szansa, aby taka kobieta kiedykolwiek mu była przeznaczona.

Bronco - samochód Toby, który od dawna był przedmiotem jego admiracji, podobnie jak jego właścicielka, stał pod jedną z otwartych wiat, należących do garażu. Zatoczka, w której zazwyczaj parkowano czerwonego chevroleta camaro, jeśli Carl przebywał w domu, była pusta, co Sully'ego ucieszyło. Zdarzało się, że Carl wpadał do domu w przerwie na lunch, aby zażyć małej popołudniowej uciechy, chociaż na ogół wpadał w tym celu gdzie indziej. Sully miał nadzieję, że i tym razem tak będzie, bo nie miał ochoty nadziać się na niego akurat w tej chwili. Pod gankiem od strony

podwórza stała lśniaca, nowiutka dmuchawa do śniegu. Na oko musiała kosztować mnie więcej tyle, ile Carl był mu winien. Albo i więcej. Przypuszczalnie więcej. Sully zanotował sobie w myśli, żeby to sprawdzić.

Ponieważ drzwi nie były zamknięte na klucz, nacisnął klamkę, pukając głośno i wołając.

- Witaj, lalczko! Nie jesteś rozebrana, mam nadzieję?

Latem natknął się na nią któregoś dnia za domem, kiedy się opalała w stroju topless. Wydawała się znacznie mniej zakłopotana niż on. Szybko zapięła górę od bikini, chichocząc na widok jego osłupiałej miny i szkarłatnego rumieńca.

- Nie, ale mogę być za jakieś dwie minuty - dobiegł go z góry jej lekki, dziewczęcy głos.

- Nie musisz się spieszyć - powiedział, odsuwając krzesło stojące przy kuchennym stole i opadając na nie z ulgą. Kolano wciąż go ćmiło po wyczytaniu Fangi. Rozglądając się wokół siebie, odkrył, że właśnie tego mu brakowało w ciągu ostatnich czterech miesięcy. Niewiele było miejsc, które lubił bardziej niż kuchnię Toby Roebuck, gdzie właśnie w tej chwili kawa, którą wyczuł po zapachu, nim ją zobaczył, bulgotała w ekspresie stojącym na blacie. - Muszę się najpierw napić kawy, jeśli starczy mi sił, żeby wstać i nalać sobie filiżankę.

W tym momencie zauważył mężczyznę w szarym kombinezonie, przyklękającego na jedno kolano przed frontowymi drzwiami, dwa pomieszczenia dalej.

- To ty, Horacy?

Zmrużył oczy, przypominając sobie teraz, że widział zielony van Horacego Yancy, zaparkowany przed domem, ale nie nasunęło mu to żadnych skojarzeń.

- Witaj, Sully - rzucił Horacy przez ramię. - Ja też nie jestem rozebrany.

- Dzięki Bogu - powiedział Sully. - Co ty tu robisz?

- Dokręcam te śruby i fajrant - stęknął mężczyzna, mocując się ze śrubokrętem.

Ponieważ ekspres zabulgotał jeszcze dwa razy i ciurkanie ustało, Sully wstał i odnalazł w kredensie swój ulubiony kubek, na którym wypisany był wierszyk:

*Twoje zdrowie, piękna pani, piję, sługa uniżony,
Twoje oraz swoje własne, ja, twój sługa uniżony*

*Ale choć tyś tak wspaniała
Ale choć ja tak niegodny
Nie jestem gorszy od ciebie
Ja, twój sługa uniżony*

Sully nie należał do ludzi, którzy przywiązują wagę do dóbr materialnych, i zazwyczaj nie zazdrościł ich innym. Dziwne, myślał, że spośród rzeczy, których pożąda, tak wiele należy do Carla Roebucka. Chociażby jego żona i jej wóz, żeby się ograniczyć tylko do największego kalibru. No i teraz jeszcze nowa dmuchawa do śniegu. Ale były i sprawy pomniejsze. Któregoś dnia wstąpił, kiedy Toby akurat robiła pranie. Na kuchennym stole piętrzył się stos bielizny i skarpetek Carla. Naliczył dwadzieścia pięć par jednego i drugiego. Sully, który nosił swoje pranie do automatu i nieraz musiał, przy ciśnieniu potrzebą, robić to częściej, niż miałyby ochotę, uważał posiadanie dwudziestu pięciu par slipek za wielki luksus. Nie wydawało mu się całkiem w porządku, że Carl Roebuck ma ich aż tyle. Fakt, że jego żoną była najładniejsza dziewczyna w całym hrabstwie, która mu to wszystko prała, nie miał już w ogóle nic wspólnego ze sprawiedliwością. Próbował wybić sobie z głowy te myśli. Nie wątpił, że pożądanie rzeczy materialnych w ogóle, a pożądanie slipek innego mężczyzny w szczególności, to nic dobrego. No i był, oczywiście, specjalny zakaz - wryty w kamieniu - pożądania jego żony. Ale co z jego ulubionym kubkiem? Toby sprezentowałaby mu go pewnie, gdyby wiedziała, jak bardzo jest do niego przywiązany. Nie był jednak pewien, czy rzeczywiście mu na tym zależy. U siebie nie miałyby okazji go używać i pewnie wkrótce by o nim zapomniał. Dopóki stał w kredensie u Toby, mógł z niego korzystać od czasu do czasu i żałować, że nie ma takiego samego.

Nim się usadowił z powrotem, Horacy zatrząskiwiał już swoją skrzynkę z narzędziami i gramolił się na nogi. Był o kilka lat starszy niż Sully i kucanie oraz wstawanie też przychodziło mu z dużą trudnością. W tym momencie zbiegła po schodach Toby, ubrana w swój zwykły strój: obcisłe, wytarte dżinsy, luźną bluzę i sportowe buty. W college'u uprawiała dwie czy trzy dyscypliny sportu i nadal regularnie biegała. Jeżeli było ciepło, każdego dnia widziało się jej jasny koński ogon, podskakujący z młodzieńczą werwą wśród wysadzanych drzewami uliczek Bath. Ale w tej chwili jej włosy były krótkie, ostrzyżone raczej po męsku. Musiała je ściąć od czasu, kiedy się ostatni raz widzieli. Zrobiło mu się żal, że wraz z wiosną nie pojawi się

podskakujący koński ogon. Na szczęście co innego nadal podskakiwało wdzięcznie, co odnotował z przyjemnością, kiedy znalazła się na dole.

- Gotowe, panie Yancy? - zaszczebiotała.

- Gotowe, pani Roebuck. - Horacy westchnął, wręczając jej rachunek, - Żałuję, że dałem się namówić na tę robotę.

- Wypiszę panu czek - oznajmiła Toby, biorąc rachunek i znikając za drzwiami.

- To na mnie będzie wściekły, nie na panią - powiedział Horacy, odstawiając z powrotem skrzynkę i rzucając Sully'emu wymowne spojrzenie, jakby miał nadzieję, że przynajmniej on zrozumie jego trudne położenie, skoro ta piękna wariatka nie ma takiego zamiaru.

- Mężczyźni to straszni tchórze - dobiegł zza drzwi głos Toby. Po chwili zjawiała się z czekiem i podała go nadąsanemu ślusarzowi. Ten przyjrzał mu się z taką miną, jakby właśnie do niego dotarło, że zmierza nieuchronnie w stronę plaży, bo trzydzieści lat wcześniej dokonał niewłaściwego wyboru kariery zawodowej. Sully znał to uczucie.

- Nie czekałabym z realizacją - doradziła Toby.

- W porządku - rzekł Horacy, wkładając czek do kieszeni koszuli. - Tu są zapasowe klucze.

Toby wsunęła je do kieszeni dzinsów. Sully zauważył przy tym, jak pięknie opinają jej biodra.

Po wyjściu Horacego Toby odwróciła się do Sully'ego, na którego do tej pory nie spojrzała.

- Powiedz mi - zapytała - w jaki sposób facet, nawet taki jak ty, może się tak upaprać.

- Pracując dla twojego męża - odparł Sully zgodnie z prawdą.

- Ach tak. - Toby pokiwała głową, jak gdyby wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. - Tobie to idzie w wygląd, a mnie w samopoczucie.

- Zdolny facet - przyznał Sully. - Jak już masz książeczkę pod ręką, może wypisałaś mi czek za tę robotę, którą robiłem dla was latem. Dogadaliśmy się z tym twoim palantem, ale w biurze miał tylko firmowe чеki.

Toby uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Nieźle, Sully, naprawdę nieźle.

- Nie rozumiem.

- Dzwonił dziś rano, żeby mnie uprzedzić, że możesz wdepnąć. Powiedział mi prawie słowo w słowo to, co teraz słyszę od ciebie.

Sully uśmiechnął się niewinnie.

- Wiesz, że jest mi winien pieniądze.
- To się ustaw w kolejce. Jest winien wszystkim.
- Dobrze się składa, że ma tyle forsy - zauważył Sully.
- Jakiej forsy?
- Nie kpj z kpiarza.

- Wiesz, co ci powiem? Weź kupę forsy, potem zrób sobie poczwórny by-pass i zobaczymy, ile ci zostanie.

Sully postanowił nie dyskutować, co nie znaczy, że kupił to, co próbowano mu sprzedać. Wiedział z doświadczenia, że ludzie, którzy doszli do pieniędzy podobnie jak Carl, mają niewiele rzeczywistych obowiązków. Jednym z nielicznych, jakie traktują naprawdę poważnie, jest przekonywanie innych, że wcale nie mają tych pieniędzy, o których wszyscy wiedzą. Toby wydawała się mówić szczerze i Sully nie wątpił, że szpital kosztował majątek, wątpił jednak, żeby wiedziała zbyt dużo o finansach swojego męża. Carl był cwaniakiem i najpewniej chomikował swoje zaskórniaki w takich miejscach, o których nikt nie miał zielonego pojęcia. Zostaną tam na wieki wieków, kiedy w końcu kopnie w kalendarz podczas jakiejś przerwy na lunch.

- No więc? Powiesz mi w końcu, co to za historia z nowymi zamkami?

- Myślałam, że nigdy nie zapytasz. Dziś rano zdecydowałam, że mój małżonek już tu nie mieszka. Nie widzę takiej możliwości, jeśli chodzi o najbliższą przyszłość.

Sully pokiwał głową.

- Odważne posunięcie. Nic nie da, ale może zwróci jego uwagę.

- Pożyjemy, zobaczymy - zanuciła Toby. Nie robiła wrażenia szczególnie zmartwionej. - A więc koniec ze studenckim życiem, tak? Starego psa nie da się nauczyć nowych sztuczek?

- Chciałbym, żeby były jeszcze jakieś sztuczki, których można by nauczyć starego psa, laleczko.

- I znowu pracujesz dla Carla.

- Chwilowo - przyznał Sully, nie ujawniając długoterminowych ustaleń. - Dalej się zobaczy.

Oboje milczeli przez jakiś czas. Najwyraźniej żadne z nich nie chciało przyznać, że ich życie jest tak mocno związane z facetem pokroju Carla.

- Miałybyś ochotę obejrzeć nasze nowe jacuzzi? - zapytała w końcu Toby.

- Gdzie jest?

- Na górze.

- W takim razie nie miałbym ochoty - odparł, nie chcąc dodawać kolejnej pozycji do coraz dłuższej listy rzeczy, których pożył.

Toby nalala sobie filiżankę kawy i obracała ją przez chwilę w dłoniach, stojąc przy blacie.

- To cały czas tamto kolano czy zrobiłeś sobie coś nowego od czasu, jak się ostatni raz widzieliśmy?

- Ta sama stara historia, laleczko - powiedział, przyglądając się jej krótko przyciętym włosom. - Skoro mowa o tym, co ktoś sobie zrobił...

- Gram rolę w tej sztuce w Schuyler - pospieszyła z wyjaśnieniem Toby. - Szekspir, tylko uwspółcześniony. Jestem przebrana za chłopca.

Sully przyjrzał się jej z uznaniem.

- Powodzenia.

Toby pominęła to milczeniem. Usiadła obok niego przy stole, opierając nogi na drugim krześle.

- Czyli wracasz do roboty. Jesteście siebie warci z Carlem. Obaj macie skłonność do autodestrukcji. Tyle że on lepiej się przy tym bawi. Ty wracasz ze złamanym kolaniem, on - z tryprem.

Sully rozprostował nogę.

- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby zamienić się z nim miejscami na jakiś czas.

Toby uśmiechnęła się szeroko.

- Ja również. Złamane kolana nie są zaraźliwe.

Sully zmarszczył czoło, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Nie był pewien, czy ma to traktować jako zachętę czy jako życzenie, aby jej mąż połamał sobie nogi. W końcu zdecydował, że raczej to ostatnie, bo wydawało się to bardziej prawdopodobne.

- Zaraził cię tryprem?

- Tylko trzy razy.

- Boże - powiedział, szczerze zaskoczony. Zawsze zdumiewało go, że Toby przyjmuje niezliczone zdrady swojego męża z całkowitym spokojem. Nawet ten najświeższy afront podawała do wiadomości rzeczowym tonem, jak gdyby choroba weneryczna wchodziła w skład równania, które rozumiała albo powinna była rozumieć, kiedy wychodziła za mąż za Carla Roebucka. Jakby dopiero ta ostatnia porcja trypra sprawiła, że jej tolerancja zaczynała się ulatniać. Sully patrzył na to ze zgrozą. Wyrozumiałość dla męskich wybryków nie była przymiotem żadnej z kobiet, z którymi miał kiedykolwiek do czynienia. Załatwiały śledztwo, rozprawę i wykonanie wyroku jednym

szybkim, zdecydowanym ruchem. Nie mieściło mu się w głowie, że ta młoda kobieta, mogąca mieć każdego mężczyznę w hrabstwie na swoje skinienie, trzymała się uparcie akurat tego, który wciąż zarażał ją tryprem.

- Uprzedziłam go tydzień temu, żeby zwolnił tę kurewkę ze swojego biura. To chodzące źródło zarazków.

- Dzięki za informację - powiedział Sully, chociaż nie miał się czego obawiać. Ruby nigdy nie zaoferowała mu niczego oprócz pogardy.

- Powiedz mi, Sully - zapytała, przyglądając mu się z powagą - dlaczego on jej nie wyrzuca? Co to może oznaczać?

Sully wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, żeby był w niej zakochany, jeśli o to ci chodzi.

Toby zamyśliła się nad tym, co usłyszała, jakby nie była pewna, co miał na myśli.

- Szczerze mówiąc - przyznał Sully - nie mam pojęcia, dlaczego robi to, co robi. Na ogół nie wiem nawet, dlaczego sam robię to czy tamto, a co dopiero ktoś inny. - Opróżnił filiżankę i odsunął na środek stołu. - Dzięki za kawę. Trzymaj się ciepło.

- To cała twoja wiedza na ten temat? - powiedziała Toby z udanym oburzeniem. - Trzymaj się ciepło? Tylko tyle masz do powiedzenia?

- Obawiam się, laleczko, że to cała moja wiedza na większość tematów. Na pewno nie masz ochoty wypisać mi tego czeku, dopóki jesteś w bojowym nastroju?

- Tego by mi nigdy nie wybaczył.

Sully podniósł się, sprawdzając, jak tam kolano.

- Dobra - powiedział. - Muszę się dziś zadowolić okazją w stronę miasta.

- Co z twoją smętną furgonetką?

- Utknęła w błocie - przyznał niechętnie.

- Stary, poczciwy Sully, specjalista od błota - rzekła z takim uśmiechem, że zaczął się zastanawiać, czyjej wcześniejsze słowa nie oznaczały jednak zaproszenia. - Jeśli chodzi o Carla, jedno trzeba mu przyznać - ciągnęła, zdejmując kurtkę z wieszaka przy drzwiach. - Jego nic nie może zadowolić.

„Nawet ja” - pozostało niedopowiedziane.

Sully poprosił, żeby go wysadziła przy OTB. Było to dobre miejsce, żeby rozejrzeć się za kimś, kogo prawdopodobnie tam nie było.

- Jakby kto pytał, to mnie dzisiaj nie widziałas - przypomniał jej, wysiadając z samochodu.

- Kogo nie widziałam? - zdziwiła się Toby.
- Już miał odpowiedzieć, kiedy się zorientował, że to żart.
- Przyjdź zobaczyć moje przedstawienie - poprosiła.
- Są jakieś rozbierane sceny?
- Zdradź mi - zapytała, nim zdążył zamknąć drzwi - jaki byłeś za młodu?
- Taki sam - zapewnił ją. - Tylko bardziej.

W OTB panował zwykły ruch, chociaż pobieżne przeczesanie tłumu wzrokiem w poszukiwaniu Ruba nie dało pożądaných rezultatów. Między jedenastą a dwunastą w dni powszednie lokal okupowali emeryci w bladżółtych i szaroniebieskich wiatrówkach, którzy znikali przed południem, gdy udawali się do domów na drugie śniadanie złożone z gorącej zupy pomidorowej Campbella i kromki białego chleba z tuńczykiem, oddając pole biedniejszej, bardziej zdesperowanej klienteli, z której państwo czerpało swój właściwy dochód. O tej porze roku odpucowani, dobrze wychowani starsi panowie nosili pod wiatrówkami ciepłe swetry, a wielu z nich również szaliki, czego domagały się ich połowice, które od czasu gdy ich mężowie przeszli na emeryturę, zaczęły ich traktować jak dzieci wychodzące do szkoły. Upewniały się, że szaliki omotują szczelnie ich zwioteżale gardła, a zamki błyskawiczne są zapięte pod samą szyję. „Opatuleni” - takiego określenia używały. Ciepłutko opatuleni. Traktowani jak dzieci, mężowie reagowali również po dziecinnemu, rozpinając zamki i rozwiązując szaliki, gdy tylko znaleźli się poza zasięgiem ich wzroku. Podzielali naturalną niechęć szkolnej dziatwy do ciepłych zimowych ubrań i nie można ich było skłonić do przywdziania grubych płaszczy, dopóki śnieg nie zadomowił się na dobre. Tego dnia wprawdzie spadł, ale zaczął już topnieć.

- Sully! - rozległo się chóralne powitanie, któremu towarzyszyło uchylanie bejsbolowych czapek. Sully znał większość tych ludzi i nawet dosyć ich lubił, mimo że powodziło im się znacznie lepiej niż jemu.

Dłaczego nie mieliby paradować w cienkich wiatrówkach pod koniec listopada? Opuścili ciepłe domowe pielesze wczesnym popołudniem, wsiedli do samochodów ze sprawnym ogrzewaniem, które spędziły noc w ciepłych, żeby nie powiedzieć ciepłutkich, garażach. Po pięciu minutach jazdy zatrzymali się przed cukiernią, wbiegli truchcikiem do ciepłego wnętrza i siedzieli tam, gawędząc nad kolejnymi filiżankami gorącej kawy, aż nadszedł czas, żeby obstawić swój podwójny zakład w OTB i wrócić do domu. Jeżeli zapragnęli odmiany, zachodzili do agencji ubezpieczeniowej, do sklepu z

narzędziami, na pocztę lub do apteki, gdzie przepracowali trzydzieści lat, nim odeszli na emeryturę. Nigdy nie przebywali zbyt długo na dworze - nie tyle, żeby się przekonać, jaka jest naprawdę temperatura, a tym bardziej złapać przeziębienie - dlatego wszyscy wyglądali krzepko i zdrowo nawet w swoich za lekkich na tę porę roku ubraniach, jak gdyby chłód się ich w ogóle nie miał.

Ekonomiczne chłody też im nie zagrażały. Po przepracowaniu całego życia w North Bath nie byli wprawdzie bogaci, ale całkiem niezłe zabezpieczeni. Winszowali sobie jeszcze większych profitów w przyszłości, jeżeli ceny nieruchomości w Bath wzrosną, tak jak to wszyscy przepowiadali. Wszyscy w Bath, jeśli chodzi o ścisłość. W Albany dał się już zaobserwować ruch w kierunku północnym i podekscytowani handlarze nieruchomości zapowiadali, że nadchodzący boom obejmie cały międzystanowy korytarz. Najlepsze spośród odrapanych wiktoriańskich domów przy Glendale, takich jak dom Carla Roebucka, zostały już wykupione i odrestaurowane przez młodych mężczyzn i kobiety, których większość pracowała w Albany. Rano wskakiwali w samochody, wyjeżdżali na autostradę i po dwudziestu pięciu minutach byli na miejscu, wieczorem wracali do domu. Mężczyźni z OTB pluili sobie w brodę, że kiedyś uważali wiktoriańskie domy za stare landary. Trzydzieści lat wcześniej można je było dostać za psi grosz, a oni zamiast tego pobudowali sobie nowe, dobrze izolowane, piętrowe domki z panoramicznymi oknami. Ich szacunkowa wartość też zaczynała rosnąć, a wraz z nią podatki, ale przebiegało to znacznie wolniej. Teraz wiedzieli, że mogli zbić majątek, gdyby potrafili przewidzieć, że cała generacja pacyfistów z czasów wojny wietnamskiej, w dziurawych, wytartych dżinsach, dorobi się ciężkiej forsy i zacznie ją wydawać na reanimację murszejących wiktoriańskich domów. Dziś pozostawało im jedynie śledzić, jak ich nowoczesne domki nabierają powolutku wartości, i martwić się o wybór właściwego momentu. Wyższe podatki nadwierały ich emerytury, zasiłki i oszczędności. Nie chcieli sprzedawać swoich domków za wcześnie, aby się później przekonać, że prawdziwy boom ma dopiero nadejść. Zdrowy rozsądek podpowiadał, że sprawy zaczynają właśnie nabierać rozpędu, biorąc pod uwagę planowane na lato otwarcie hotelu Sans Souci i rychle wmurowanie kamienia węgielnego pod park rozrywki.

Ale czekanie też, oczywiście, stanowiło ryzyko. Co będzie, jeśli w ostatniej chwili okaże się, że „Podróż bez Końca” to niewypał? Nie chcieli czekać

zbyt długo i w końcu zostać na lodzie w domach swoich marzeń sprzed trzydziestu lat. Teraz mieli inne marzenia: apartamenty w domach wielorodzinnych, w cieplejszym klimacie niż ten. Spędzali długie poranne godziny na omawianiu tego tematu. Większość ceniła najwyżej te na Florydzie, nad zatoką, ale ich ceny też szły w górę, poza tym dochodziły niepokojące wieści na temat aligatorów wypelzających z chaszczy i pożerających małe dzieci. Mężczyźni w wiatrówkach nie mieli wprawdzie drobnych dziątek, ale opowieści o aligatorach prześladowały ich mimo to. Jeden i ten sam incydent powtarzano sobie tyle razy, jakby cała armia aligatorów z Florydy przypuściła szturm na bezbronne szeregi domków od Everglades po St. Petersburg. Nawet pola golfowe wydawały się pełne aligatorów. Ryzyko stanowczo było zbyt duże. Dlatego coraz większa liczba dyskutantów skłaniała się ku Arizonie. Chodziły słuchy, że domy są tam tańsze, no i nie było aligatorów. Spotykało się wprawdzie grzechotniki, skorpiony, ptaszniki i inne pająki, a także wielkie helodermy, ale nic z tego nie było tak duże, żeby rzucić się na człowieka, zaciągnąć go w bagno i pożreć. Na pustyni poza tym brakowało bagien, gdzie można by zostać zaciągniętym.

Sully przez lata słuchał jednym uchem tych niekończących się debat, ale wątpił, czy kiedykolwiek się do nich przyłączy, nawet kiedy sam zostanie emerytem. Nie posiadał nieruchomości, której rosnącą wartość mógłby rozważać, jeśli nie liczyć domu przy ulicy Bowdon, sąsiadującego z hotelem Sans Souci, który należał kiedyś do jego ojca, a którego formalny status w chwili obecnej nie był jasny, przynajmniej dla niego. Po śmierci ojca Wirf poinformował go, że odziedziczył nieruchomość, ale Sully oświadczył, że jej nie chce i nie przyjmie. Kiedy wstąpił do wojska w wieku siedemnastu lat, zapowiedział ojcu, że nie chce mieć z nim nic wspólnego - żywym czy martwym - i dotrzymał słowa, z wyjątkiem jednej wizyty w domu starców, na którą namówiła go Ruth na krótko przed śmiercią starego Jima. Zaniebdany od niepamiętnych czasów dom popadał w ruinę, okna były zabite deskami, wokół bujnie pieniały się chwasty. Jeśli się nie mylił, suma zaległych podatków musiała do tej pory przekroczyć kwotę, jaką można by uzyskać z jego sprzedaży. Z pewnością nie była to nieruchomość, która zapewniłaby mu miejsce w gronie dyskutantów, walczących temat Florydy/Arizony i tamtejszych nieruchomości, nawet gdyby chciał się w tym gronie znaleźć, na czym mu bynajmniej nie zależało.

Zazdrościł im jedynie tego, że coś w ich życiu należało do przeszłości. Niczym sportowcy weterani mogli spojrzeć wstecz na konkretny epizod ze

swojego życia, mający określony kształt. Zamknąwszy jeden rozdział, mogli otworzyć następny. Ich życie było pełne dat. Potrafili powiedzieć, kiedy się ożenili, kiedy przyszły na świat ich dzieci, znali datę swojego odejścia na emeryturę. W życiu Sully'ego lata (nie mówiąc o dniach) upływały z wdziękiem bez żadnych przerywników i zawsze zaskakiwał go początek lub koniec, który ktoś inny dostrzegał lub sądził, że dostrzega w swoim życiu. Kiedyś, przed ponad trzydziestu laty, spotkał na ulicy Verę, która uśmiechnęła się smutno, mówiąc, że przynajmniej mają to za sobą, że ten rozdział ich życia został zamknięty. Sully patrzył na nią zdezorientowany, zastanawiając się, o co jej może chodzić. Okazało się, że miała na myśli ich rozwód, który został sfinalizowany kilka dni wcześniej, o czym albo nie został poinformowany, albo wrzucił zawiadomienie do kosza wraz z resztą korespondencji, która go nie interesowała. Wiedział, że Vera przyjęła koniec ich małżeństwa z ulgą (rok później poślubiła swojego drugiego męża, Ralpha), ale była pod wrażeniem tego końcowego akordu, i widział, że odczuwa pewną melancholię. W jej oczach rozwód wytyczył linię demarkacyjną, której on w ogóle nie zauważył.

Zlewanie się dni w jedną całość było przygnębiające albo krzepiące, w zależności od nastroju. Nawet teraz, w wieku sześćdziesięciu lat, nie umiał sobie wyobrazić, że miałyby się czuć jak faceci z OTB, mający wszystko za sobą albo stojący na progu czegoś tak całkiem nowego. Może tu tkwiło sedno problemu, jeśli chodzi o szkolenie i całe to gadanie o zaczynaniu kariery zawodowej od nowa. Rozumiał teraz, że o to chodziło na zajęciach z filozofii. Młody wykładowca postawił sobie za cel unicestwić wszystko po kolei, żeby zastąpić dotychczasową rzeczywistość czymś zupełnie nowym - myślą lub bytem nieznanego dotąd rodzaju. Precz ze starym, niech żyje nowe. I może nie był to głupi pomysł, kiedy się mówiło do dwudziestolatków. Do licha, w wieku dwudziestu lat też gotów był rzucić wszystko w diabły i zacząć od nowa. Ale teraz, kiedy miał sześćdziesiątkę, już mu się tak nie spieszyło do wyrzucania tego, czemu dzięki sztukowaniu można by przedłużyć żywot o dalszych kilka miesięcy. Chciał iść naprzód, a nie zatrzymywać się, oglądać za siebie i rozważać słuszność podjętych decyzji i dróg wytyczonych dawno temu. Nie miał nawet pewności, czy zależy mu, aby Wirf sfinalizował wreszcie pomyślnie sprawę licznych roszczeń, które wysuwał w jego imieniu. Jeżeli udałooby mu się wywalczyć dla niego rentę inwalidzką, byłby to początek zupełnie nowego rozdziału, co niekoniecznie musiało być pomyślną wiadomością dla człowieka, który

wierzył w zaczynanie od nowa nie bardziej niż w możliwość zastąpienia starego kolana nowym.

- Wyglądasz dziś szczególnie korzystnie - zauważył Otis Wilson, pijąc, nie ulegało wątpliwości, do pokrywającej go warstwy błota.

Każdego lata Otis oznajmiał, że z nastaniem zimy przenosi się na Florydę.

Sully obrócił się dookoła własnej osi, aby zaprezentować się całemu towarzystwu.

- Ktoś w tym kraju musi pracować - powiedział. - Gdyby nie tacy jak ja, musielibyście od czasu do czasu pobrudzić rączki.

- Chcieliśmy ci właśnie podziękować - zapewnił go Otis.

- Dopiero co podawali, że znów kogoś dopadł aligator - oznajmił Sully. Otis - duży mężczyzna o gąbczastym ciele i niezdrowym rumieńcu - był szczególnie podatny na opowieści o tych gadach. Sully przestrzegał go od lat, aby nie ważył się zapuszczać w tak dziki kraj jak Floryda bez zahartowanego, doświadczonego przewodnika, który nie boi się zmierzyć z potworem. Kogoś takiego jak on. Był to stały punkt programu. Teraz zauważył z zachwytem, że na wzmiankę o aligatorach cała krew odpłynęła z twarzy Otisa. - Na twoim miejscu zamieszkałbym na piętrze. Aligatory nie znoszą schodów.

- Odczep się ode mnie - zachnął się Otis, kiedy Sully wyciągnął ręce, imitując klapanie paszczy straszliwego gada. - Odwal się, ale to już! - krzyknął, opędzając się nerwowo. - Idź, obstaw swoją kretyńską trójkę i zostaw inteligentnych ludzi w spokoju.

- Nie ma inteligentnych ludzi w najbliższej okolicy - rzekł Sully. - OTB to podatek od głupoty.

- Za ilu głupców ty płacisz podatek, nie licząc siebie? - chciał wiedzieć ktoś z obecnych.

- W każdym razie mam dość rozumu, żeby nie pakować się tam, gdzie można zostać zjedzonym przez aligatora.

- Idź i obstaw tę cholerną trójkę - powtórzył Otis.

- Dobra, nie ma sprawy - odparł Sully, kierując się w stronę okienka. Mniej więcej od roku obstawiał pierwsze trzy numery startowe, nie zwracając uwagi na konie i dżokejów. Nigdy nie był specjalnym znawcą i zarzucił próby wydedukowania wyniku, dochodząc do wniosku, że to gwarantowany sposób na dostanie bzika. Odtąd obstawiał zawsze tę samą trójkę, wyjaśniając, ilekroć pytano go o powody, że konie biegnące po wewnętrznej mają krótszą trasę niż te o dalszych numerach, co byłoby prawdą, gdyby istniały oddzielne tory. - Jeżeli wygram, kupię Hildzie kamerę wideo, żebyście

mogli ją zabrać na Florydę! - zawołał przez ramię do Otisa. - W ten sposób będzie mogła uwiecznić całą scenę. Będziemy puszczać film w „Koniu” i pobierać opłatę za oglądanie, jak aligator taszczy Otisa do bagna.

Obstawił swoją trójkę i już miał wyjść, kiedy zobaczył przez okno Carla Roebucka, który wyszedł zza rogu przecznicy dalej i nadchodził drugą stroną ulicy. Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu na widok jego rażnego kroku. Nie byłoby mu tak rażno, gdyby wiedział, że jego żona zmieniła zamki.

Clive Peoples stał przed bramą Banku Depozytowo-Kredytowego, przez którą przed chwilą wyszedł na ulicę, i z satysfakcją studiował nowy transparent, rozwieszony niedawno w poprzek Głównej. Uosobienie wygórowanego mniemania o sobie; Clive junior był jednym z nielicznych jabłek, o których Sully mógł powiedzieć, że upadły o całe mile od jabłoni. Prawda, że jego ojciec, którego zaczął ostatnio bardzo przypominać, lubił się obnosić ze swoją pozycją trenera futbolu, ale był też człowiekiem dobrodusznym, a łagodna ironia jego małżonki sprowadzała go na ziemię, ilekroć zaczynał się zbyt puszyć. Co innego Clive junior, który oprócz wielu innych cech był pozbawiony poczucia humoru. Fakt, że sam siebie traktował poważnie, stanowił, zdaniem Sully'ego, koronny tego dowód. Prawdę mówiąc, w ogóle nie miał o nim najwyższego mniemania, co przerodziłoby się w zdecydowaną awersję, gdyby nie wzgląd na Beryl Peoples, którą, jak wyczuwał, syn rozczarował, choć był w miejscowym światku niewątpliwą znakomitością.

Nim Clive junior zdążył wsiąść do swojej czarnej, lśniącej limuzyny, która zawsze stała zaparkowana przed siedzibą banku, dopadł go Carl Roebuck, aby odbyć z nim jedną z rutynowych, trzydziestosekundowych porad bojowych. Sully nie musiał przy tym być, żeby znać jej przebieg. „Powiedz, że sprawa jest aktualna - nalegał Carl konspiracyjnym szeptem. Clive junior zapewniał go, że oczywiście. - Jeżeli któregoś dnia wszystko weźmie w łeb, nie mów mi o tym. Po prostu przyjdź do mnie do domu i mnie zastrzel”. Po takiej wymianie zdań Clive junior robił wrażenie jeszcze bardziej znerwicowanego niż zazwyczaj. Wsiadał czym prędzej do samochodu i oddalał się możliwie jak najszybciej od swojego rozmówcy.

Widząc, że Carl przechodzi na drugą stronę ulicy i kieruje się w stronę OTB, Sully już miał się ulotnić tylnym wejściem, ale tamten minął bramę i poszedł dalej, trudno powiedzieć dokąd. Będąc hazardzistą większego

kalibru, Carl rzadko obstawiał gonitwy w OTB, preferując bukmacherów, którzy nie odprowadzali należnej doli do budżetu i których można było złapać pod telefonem niemal przez całą dobę. Wolał zresztą obstawiać mecze niż wyścigi. Sully patrzył za nim, aż tamten zniknął, i już miał wychynąć na ulicę, kiedy się zorientował, że facet, który stoi obok niego, to Rub.

- Właśnie cię szukałem - powiedział Sully.

- Za uważnie to ty nie szukałeś. Stoję obok ciebie od pięciu minut.

- Kupiłeś swojego indyka?

Rub miał dość głupią minę.

- Myślałem, że chciałeś go kupić tu w OTB.

Wciąż ten sam wyraz twarzy.

- Chodźmy - rzekł w końcu Sully. - Mam dla nas robotę.

- U kogo?

- U Carla Roebucka.

- Czy to nie przed nim się właśnie chowałeś?

Sully potwierdził, nie udzielając dalszych wyjaśnień.

- Powiedziałeś, że nigdy więcej nie kiwniesz dla niego palcem.

- Chcesz robotę czy nie?

- Nie znoszę tego faceta.

- Jego pieniędzy też?

- Nie - przyznał Rub. - Tylko jego.

Na dworze wydawało się znacznie chłodniej i Sully zauważył, że temperatura na bankowym termometrze spadła od rana o kilka stopni.

- Ale tę jego żonę to lubię - powiedział Rub, kiedy przeszli kilka dziesiąt jardów. - Chciałbym wpaść jej w oko. Pozwoliłbym jej być na górze.

Jeśli chodzi o kobiety, Rub nie znał większego komplementu.

- Dlaczego takie jak ona nigdy się nie interesują takimi jak my? - zapytał Rub najzupełniej poważnie. Jego naiwność, gdy szło o kobiety, była bezgraniczna. Naprawdę nie widział powodu, dlaczego Toby Roebuck nie miałyby się zainteresować facetem, który pozwoliłby jej być na górze.

- Wiem tylko, dlaczego nie przepadają za tobą - powiedział Sully. - Jeśli chodzi o mnie, wciąż jest to dla mnie zagadką.

- A jeśli chodzi o mnie?

- Nie przepadają i już.

Rub przyjął to wyjaśnienie.

- Gdzie twoja furgonetka?

- Na miejscu - rzucił krótko Sully.

Rub zawsze się zadowalał częściowym wyjaśnieniem. Nie przyszłoby mu do głowy się zastanawiać, dlaczego Sully znajduje się gdzie indziej niż jego pojazd.

- A gdzie twój wóz?

- Bootsie go wzięła - oznajmił Rub. - Zawsze parkuje za sklepem.

Skręcili w wąską uliczkę, prowadzącą w stronę parkingu za sklepem Woolwortha. Poranny śnieg leżał nietknięty w ciasnym, ciemnym zaułku. Szli gęsiego - Rub tyłem, żeby móc obserwować ślady, które zostawiał.

- Mam nadzieję, że się za bardzo nie wkurzy, kiedy zobaczy, że go nie ma - powiedział Sully. Zanotował sobie w myśli, żeby zwrócić samochód, jak tylko wyciągną furgonetkę z błota. Inaczej Rub oberwie.

- Jest wkurzona od dziesięciu lat - oświadczył Rub, który zawsze strugał chojraka, kiedy jego żony nie było w pobliżu.

- Jak długo jesteś żonaty?

- Dziesięć lat. Sully skinął głową.

- Widzisz jakiś związek?

- Psiakrew - powiedział Rub, odwracając się i rozglądając po parkingu. - Nie ma go.

- W takim razie weźmy ten - zaproponował Sully, jako że stali tuż obok pontiaca, który należał do Ruba i Bootsie. - Własnego samochodu nie poznajesz?

Rub otworzył auto, usiadł za kierownicą i sięgnął, żeby odblokować drzwi od strony Sully'ego.

- Przynajmniej poznaję swojego najlepszego przyjaciela, kiedy stoi obok mnie - powiedział, wyjeżdżając z parkingu.

Droga zajęła im dziesięć minut. Sully zastanawiał się przez cały czas, skąd Rubowi wpadło do głowy, że są najlepszymi przyjaciółmi.

- Wiesz, czego bym chciał? - zapytał Rub.

Odkąd wyszli z OTB, Rub zażyczył już sobie nowego samochodu oraz podwyżki dla siebie i dla Bootsie, która była kasjerką u Woolwortha i nie miała podwyżki od ponad roku. Zapragnął też, żeby jakaś bycza firma zbudowała fabrykę akurat w Bath i zrobiła go brygadzystą za jakieś piętnaście dolarów za godzinę. Żeby była wiosna, a nie Święto Dziękczynienia, i żeby Kalifornia wpadła wreszcie do oceanu, skoro wciąż się to zapowiada po każdym kolejnym trzęsieniu ziemi. Żeby klimat w północnym stanie Nowy Jork

bardziej przypominał tropiki i żeby ktoś przeniósł się na tamten świat, zostawiając mu w spadku byczy jacht, którym mógłby pożeglować do Meksyku. Żeby Royal Palm Company znów zaczęła produkować ten czerwony, śmietankowy napój. I żeby Toby Roebuck usiadła mu na twarzy, choćby tylko jeden raz.

Rub zażył sobie tego wszystkiego mniej więcej w ciągu godziny. Jedno życzenie przechodziło płynnie w drugie, brak realizmu nie hamował tego naturalnego procesu. Od września Sully zdążył zapomnieć, jak pełne życzeń było życie Ruba. Równie szybko jak wykładowca filozofii, wysyłający kolejne obiekty do niebytu metodą logicznej argumentacji, Rub wydobywał stamtąd inne dzięki swoim życzeniom. Nie było u niego niczym nadzwyczajnym zapytać pięćdziesiąt razy dziennie: „Wiesz, czego bym chciał?”. Najgorsze, że powtarzał to dopóty, dopóki Sully nie zapytał wreszcie: „Czego byś znowu chciał, u licha ciężkiego?”. U Ruba zadziwił go nieodmiennie skromny charakter większości życzeń. Powoławszy do życzeniowego istnienia całą firmę, Rub zadawał się następnie czterdziestogodzinnym tygodniem pracy i stawką według związkowej tabeli płac, jak gdyby się obawiał, że za bardziej aroganckie wyobrażenia może mu grozić jakiś kosmiczny odwet. Sully próbował mu od czasu do czasu wytłumaczyć, że jeśli już zamierzał powołać do istnienia całą korporację, mógł sobie równie dobrze zażywać, że jest jej właścicielem i ma ludzi od tego, żeby dla niego pracowali. Ale Rub patrzył na to inaczej. Lubił małe życzenia, nie więcej niż jedno naraz. I lubił wyповідаć je na głos.

- Chciałbym, żebyśmy byli po robocie, siedzieli „Pod Koniem” i wcinali po byczym cheeseburgerze - brzmiało aktualne życzenie. Rub był w tej chwili nie mniej ubłocony niż Sully i ciepłe pomieszczenie oraz cheeseburger wydawały mu się zapewne czymś równie odległym jak ewentualność, że ktoś przeniesie się na tamten świat i zostawi mu w spadku byczy jacht. - Następnym razem, jak znajdziesz dla nas robotę, chciałbym, żebyś pozwolił mi przedtem zjeść lunch - dodał.

To był następny ładunek. Tym razem układali betonowe bloki prawidłowo, wymościwszy najpierw skrzynię furgonetki dyktą. Poprzednim razem połowa bloków z dolnej warstwy nie dojechała na miejsce w całości. Odnalazłszy Ruba nadspodziewanie szybko, Sully postanowił, że najpierw rozładują furgonetkę, ale los się sprzyścił przeciwko nim. Zanim dotarli na plac, temperatura spadła, grząski grunt stwardniał i furgonetka, beznadziejnie zakleszczona w błocie godzinę wcześniej, wyjechała bez problemów przy pierwszym podejściu. Sully odczytał to jako znak i postanowił jechać, mając

gdzieś rozładunek. Nawet pracując we dwóch, musieliby mieć dużo szczęścia, żeby skończyć przed siódmą, co oznaczało, że kilka ostatnich kursów będą musieli zrobić po ciemku. Chciał tego uniknąć za wszelką cenę i zrobić, ile się da, dopóki widział grunt pod nogami.

Bloki, które popękały, kiedy Sully wjechał na wybój, zostawili po prostu w furgonetce. Pozostałe ułożyli ze szczególną pieczołowitością na nowym placu budowy, obok płytkiego wykopu, gdzie w ciągu tygodnia, jeśli pogoda dopisze, miał powstać jeden z kolejnych skromnych, czteropokojowych, subsydiowanych z budżetu domków, jakie budowała firma Roebucka. Carl spóźniał się z realizacją kontraktu, zresztą jak zawsze. Zanosilo się na to, że robotnicy będą pracować przez całe święta, chyba że wcześniej ziemia zamrznie. W drodze powrotnej po następny ładunek zatrzymali się i wysypali potłuczone bloki za billboardem z wizerunkiem klauna.

- A jeśli ktoś je znajdzie? - niepokoił się Rub.

- Nie podpisałeś się na nich, prawda? - uspokajał go Sully.

Kończyli załadunek, kiedy usłyszeli nadjeżdżający samochód.

Wkrótce ich oczom ukazał się rozpedzony el camino z napisem: Tip Top Construction Company: CI. Roebuck na drzwiczkach. Samochód gnał w ich stronę na złamanie karku, co mogło oznaczać tylko jedno - za kierownicą siedział sam Carl Roebuck. Carl nigdy nie przyjeżdżał na plac budowy swoim chevroletem camaro, ale pocztywał sobie za przywilej prezesa zajeżdżać przynajmniej jeden firmowy samochód w ciągu roku, tłukąc się nim po zrytych, nieutwardzonych drogach z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę.

- Rety - przeraził się Rub. - Znalazł tamte bloki, jak nic.

Sully spojrzał na niego wymownie.

- Posłuchaj uważnie - zaczął.

Ale uwagę Ruba przykuwało co innego. Z rosnącym przerażeniem obserwował nadjeżdżający samochód.

Sully wychylił się z furgonetki i szturchnął Ruba stojącego w błocie u jego stóp.

- Nie waż się powiedzieć ani słowa, rozumiesz? Jeżeli otworzysz gębę, rozwałę ci łeb jednym z tych bloków, a ciało zakopię w lesie. A z tego całego gruzu usypię ci kopiec.

- Nie mów takich rzeczy - odparł Rub. - Zawsze mi się wydaje, że mówisz poważnie.

- Co takiego? - zapytał Carl Roebuck, wysiadając z samochodu.

Rub już otwierał usta, żeby odpowiedzieć, kiedy Sully trzepnął go w kark i usta Ruba zamknęły się z głośnym szczęknięciem.

Carl przyjrzał się stercie bloków, która nie zmalala w sposób zauważalny.

- Powiniennem wystąpić o federalną dotację. Przysługuje tym, którzy zatrudniają inwalidów.

Sully usiadł na klapie furgonetki, zdjął robocze rękawice i zapalił papierosa.

- Mógłbyś pomóc, byłoby szybciej. Tylko że musiałbyś się przy tym trochę spocić i wszystkie twoje panienki zaczęłyby kręcić nosami.

- Nie wspominaj mi o kobietach - przerwał mu Carl. Faktycznie, na samą wzmiankę o nich zrobił się jeszcze bardziej ponury. - Wiesz, co znaczą inicjały CI, przy moim nazwisku?

- Co? - zapytał Rub, autentycznie ciekaw.

- *Coitus interruptus* - powiedział Carl przybity.

- Co takiego? - zmarszczył czoło Rub.

- To po łacinie - uspokoił go Carl. - Nie zawracaj sobie tym głowy. Naucz się najpierw angielskiego.

- Nie byłoby tego, gdybyś w czasie przerwy obiadowej zajmował się jeżdżeniem, jak Pan Bóg przykazał - zauważył Sully. - Kiedyś było to miłe, spokojne miasteczko. Teraz każdy gna do domu między dwunastą a pierwszą, żeby sprawdzić, czy twój samochód nie stoi przypadkiem pod jego bramą.

- Chciałbym, żeby sprawdzali tylko wtedy. - Carl westchnął. - W końcu mogę sobie zrobić przerwę, kiedy chcę.

- Wracaj do domu do żony - powiedział Sully, zastanawiając się, czy Carl wie już o nowych zamkach. - Jesteś mężem najładniejszej kobiety w mieście, palancie.

Carl potarł policzek w zamyśleniu.

- Człowiek powinien pragnąć więcej, niż może uchwycić. Pamiętasz, kto to powiedział?

Sully nie pamiętał.

- W jakim kraju mówią po łacinie? - dopytywał się Rub.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał, ale na twarzy Carla pojawił się uśmiech. Rozmowa z Rubem chyba krzepiąco na niego wpływała. Sully znał to uczucie. Trudno było uważać się za ofiarę losu, kiedy Rub był w pobliżu.

- Chcę ufundować stypendium akademickie - oznajmił w końcu Carl. - Powinieneś o nie wystąpić, Rub.

- Nie skończyłem tego cholernego ogólniaka - mruknął Rub na wpół z żalem, na wpół ze złością, którą obudziło wspomnienie szkoły.

- To skąd ci przyszło do głowy, że możesz się kwalifikować do stypendium akademickiego? - zapytał Carl.

Pytanie wprawiło Ruba w taką konsternację, że poszukał wzrokiem pomocy Sully'ego. - Po prostu go nie słuchaj - dał mu dobrą radę Sully.

- Wierzyć się nie chce, że aż tyle zrobiliście - powiedział Carl, obejmując wzrokiem potężny stos betonowych bloków.

- Wierzyć się nie chce, że ktoś je tu wyładował - zauważył Sully. - Tuż obok gotowej, ukończonej piwnicy.

Carl Roebuck puścił tę uwagę mimo uszu, bardziej zainteresowany dzisiejszą zagadką niż wczorajszą.

- W tym tempie nie skończycie do Bożego Narodzenia.

- W takim razie wiesz, gdzie masz się stawić z moim prezentem. Nie musisz się specjalnie wysilać. Pieniądze, które jesteś mi winien, w zupełności wystarczą.

Carl nie słuchał. Jego uwagę przykuł jakiś szczegół pod nogami. W błocie tkwiły dwa betonowe bloki, które Sully podłożył pod tylne koła furgonetki trzy godziny wcześniej. Wyglądały niewinnie, jakby wystarczyło się schylić, żeby je podnieść, ale kiedy Carl spróbował to zrobić, okazały się nie do ruszenia, przymarzniete na amen, zupełnie jak te wmurowane w piwniczny fundament kilka stóp dalej. Podniósł wzrok na Sully'ego, który przyglądał mu się z uśmiechem.

- Dalej - powiedział zachęcającym tonem. - Podnieś, na co czekasz?

- Chcesz, żebym dostał następnego zawału, tak?

- Nie ma obawy. Nie jest ci pisane umrzeć przy pracy. - Sully prychnął z pogardą.

Wyglądało na to, że Carl albo podziela jego opinię, albo nie ma wystarczającej motywacji, żeby z nim polemizować, chociaż nadal próbował podważyć przymarzniete bloki obcasem mokasy, zapierając się o swój samochód. Po drugiej stronie autostrady, ćwierć mili dalej w kierunku miasta, znajdowała się tablica reklamująca „Podróż bez Końca”. Z miejsca, gdzie stali, widać było jej górną część.

- Poczuję się znacznie lepiej, kiedy to całe badziewie ruszy z miejsca - rzekł Carl w zamyśleniu.

Sully podążył za jego wzrokiem: ponad pasem ziemi, przeznaczonym pod budowę domków jednorodzinnych, ponad czteropasmowym odcinkiem autostrady, aż po widniejącą w oddali głowę klauna.

- Czegoś tu nie rozumiem - powiedział. - Kto, u diaska, zechce kupić te domy, z lunaparkiem po drugiej stronie ulicy? Powinieneś się modlić, żeby ta budowa nigdy nie doszła do skutku.

- Oj, Sully, Sully. - Carl pokiwał głową. - Nie rozumiesz świata, i tyle.

Sully musiał przyznać, że chyba rzeczywiście go nie rozumie.

- Gdy tylko ruszy budowa, będą potrzebowali całego terenu po tej stronie pod parking. I słono za niego zapłacą.

- To po kiego licha budujesz domy?

- Żeby zapłacili jeszcze więcej.

Sully rozważał przez chwilę to, co usłyszał. Cały Carl, oczywiście. Czuł, że ojciec skurczybyka przewraca się w grobie. Kenny Roebuck zbudował firmę ciężką, uczciwą pracą, harując po osiemnaście godzin dziennie, po to tylko, żeby dostała się w ręce tego łobuza.

- A co, jeżeli budowa nie ruszy?

- Wypluj to słowo - zirytował się Carl.

- Cóż, jestem pewien, że szczęście znów ci dopisze, jak zwykle - skwitował sprawę Sully.

Sądząc z miny, Carl wiele by dał, żeby podzielać jego pewność.

- Clive Peoples się zarzeka, że wszystko jest na dobrej drodze - powiedział tonem człowieka szukającego otuchy w brzmieniu własnego głosu.

- A ty mu ufasz?

- Jest umoczony bardziej niż ktokolwiek inny. Inwestorzy ustawiają się do niego w kolejkę aż po Teksas - oznajmił Carl. - Ale są kłopoty z Sans Souci. Źródło, do którego się latem dowiercili, zaczyna wysychać. „Bez Trosk”, rzeczywiście. Powinni go byli nazwać Sans Raison.

Rub znów zmarszczył czoło.

- To jest francuski - wyjaśnił Carl. - Możesz zacząć się go uczyć, jak skończysz z angielskim i łaciną.

- Chcesz robić jutro szalunek w domu przy Nelsona? - zapytał Sully'ego.

- Mogę powiedzieć Randy'emu, żeby podrzucił tam cały szajs jutro rano, jeśli reflektujesz na robotę.

- Jutro jest Święto Dziękczynienia - wtrącił się Rub.

- Nikt cię o nic nie pyta - odezwał się Sully.

Sam miał mieszane uczucia, jeśli chodzi o tę robotę. Jeśli się zgodzi, będzie miał wymówkę, żeby nie iść do Very, gdzie nie byłby mile widziany. No i przydałyby mu się pieniądze. Poza tym świąteczny dzień minąłby szybciej

przy pracy. Z drugiej strony nie cierpiał robienia szalunku i nie miał pewności, jak dotychczasowy wysiłek odbije się na jego kolanie.

- Nie pracuję w Święto Dziękczynienia, to wszystko, co chciałem powiedzieć - upierał się Rub.

- Nikt cię o to nie prosił - przypomniał mu Sully. - Jeżeli ktoś cię poprosi, będziesz mógł odmówić.

- Podwójna stawka? - rzucił w stronę Carla.

- Chyba śnisz.

- To się wypchaj. Sam sobie szaluj to gównu.

Carl ścisnął dłońmi skronie.

- Czy przy każdych negocjacjach musisz przystawiać człowiekowi pistolet do głowy? Czemu niby miałbym ci płacić podwójnie?

- Jaki jest jutro dzień, Rub? - zapytał Sully.

Rub robił wrażenie jeszcze bardziej zdezorientowanego niż przed chwilą. Wydawało mu się, że dopiero co omówili tę kwestię.

- Pieprzone Święto Dziękczynienia.

- Zamknij się - burknął Carl. - Nikt cię o nic nie pyta.

- Sully pytał.

- Kiedy?

- Przed chwilą.

- Przed jaką chwilą?

Rub wyglądał, jakby miał się rozplakać.

- Wiesz, co mnie najbardziej dobjaja? - zrzędził Carl. - Nawet byś nie wiedział, że jutro jest Święto Dziękczynienia. Nie masz rodziny, do jasnej anielski. Proponuję ci wybawienie z kłopotu na cały dzień, a ty myślisz tylko o tym, żeby zedrzeć z człowieka skórę.

Sully zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć mu parę rzeczy. Na przykład, że jego syn przyjechał i że jest zaproszony na jutrzejszy dzień, nawet jeśli wszyscy zainteresowani mają nadzieję, że go nie będzie. Miał też ochotę powiedzieć mu o tym, o czym Carl jeszcze nie wiedział - że to przypuszczalnie on nie będzie się miał gdzie podziać w najbliższe Święto Dziękczynienia, bo żaden z kluczy wiszących na kółku w stacyjce jego samochodu nie pasuje już do drzwi jego domu.

Carl wszedł do samochodu i zapalił.

- Psiakrew, zgoda - powiedział. - Niech będzie pięćdziesiąt procent więcej. Możesz to nazwać premią gwiazdkową.

- Zapłać, co mi jesteś winien, i możesz to nazwać uczciwością - podsunął Sully.

Carl udął, że nie słyszy.

- Półtorej stawki?

- Zastanowię się - odparł Sully, chociaż wiedział, że przyjmie propozycję, i zdawał sobie sprawę, że Carl też o tym wie.

- To robota dla dwóch - zauważył Carl, wskazując Ruba nieznacznym ruchem głowy.

- Nie pracuję w Święto Dziękczynienia - powtórzył Rub z uporem. Bezstronny obserwator, widząc wyraz jego twarzy, doszedłby do wniosku, że wszelkie próby przekonywania to strata czasu.

- Zgodzi się, jeśli go poproszę - uspokoił Carla Sully. - Prawda, Rub?

- W porządku.

Carl pokręcił ze smutkiem głową, jakby chciał powiedzieć, że życie w tym niedoskonałym świecie jest dla niego nieustającą próbą.

- Widzę, że przynajmniej używacie dykty - powiedział, wrzucając bieg. - Znając was obu, gotów byłbym się założyć, że wam to nie przyjdzie do głowy. Przyjąłem, że pierwszy ładunek zmarnujecie na sto pro cent. Wpadłem, żeby zobaczyć, czy uda mi się ocalić resztę.

Sully nie patrzył na Ruba. Nie musiał tego robić. Aż nazbyt często widywał jego minę, kiedy ten był bliski narobienia w portki ze strachu. Na szczęście Carl nie zwracał na niego uwagi. Patrzyli obaj, jak zawraca i rusza w kierunku szosy - podskakując na wybojach - gdzie stał zaparkowany ciemny sedan. Sully od jakiegoś czasu rejestrował zakamarkiem świadomości obecność samochodu, ale nie był pewien, jak długo tam stoi. Kiedy el camino wyskoczył na asfalt i odjechał w stronę miasta, sedan ruszył za nim.

- Jak myślisz, kto był w tamtym drugim samochodzie?

- Pewnie jakiś mąż.

Zabrali się z powrotem do pracy, nie odzywając się przez jakiś czas, aż furgonetka była załadowana i gotowa do drogi. Mróz nie mróz, Sully opuścił szybę, kiedy Rub usadowił się obok niego w kabinie. Jego pot miał ostry, zwierzęcy zapach, jak zawsze, kiedy pracował na zimnie.

- Fajnie by było, gdybym dostał to stypendium - powiedział Rub.

Dochodziła siódma, kiedy wreszcie skończyli robotę. Ostatnie dwa nawroty robili po ciemku, za jedyne towarzystwo mając ćwiartkę księżyca, który co chwila chował się za wysokie chmury i dawał słabe światło. Jeśli chodzi o rozrywkę, Rub kontynuował swój koncert życzeń. Od piątej zaczął sobie życzyć, żeby nie było ciemno. Wyrażał żal, że nie zrobili przerwy na

obiad, zwłaszcza że drugiego śniadania też nie jedli. Marzyło mu się, żeby zjeść jednego z tych wielkich, podwójnych cheeseburgerów, które podawali „Pod Koniem”, z mnóstwem cebuli i wielkim plastrem sera, z sałatą i pomidorem, tak że człowiek musiał otwierać usta na całą szerokość, żeby ugryźć kęs. Życzenie obejmowało też surówkę z majonezem, którą podawano w tym samym lokalu, oraz porcję frytek świeżo wyjętych z gorącego oleju, tak żeby sól dobrze przywarła. Poza tym żałował, że zgodził się pracować w Święto Dziękczynienia. Jedynie ostatnie z długiej serii jego życzeń było warcie, żeby się do niego przyłączyć. Chciałby mianowicie, żeby pomyśleli o odstawieniu z powrotem na parking samochodu Bootsie, zanim ta skończy pracę i będzie musiała wracać do domu pieszo, co doprowadzało ją zawsze do takiej furii, że gotowa była urwać mu jaja.

- Wpadnijmy „Pod Konia” - zaproponował Rub, kiedy rozładowali ostatnią porcję betonowych bloków i Sully wypłacił mu jego należność. Nie lubił, kiedy pieniądze leżały bezczynnie. Chciał zaprząć je do pracy. Kupować wielkie cheeseburgery i kufle musującego piwa. Wydać je czym prędzej, nim żona położy na nich rękę.

- Beze mnie - powiedział Sully. - Jestem zmęczony, brudny jak świnia i cuchnę prawie tak samo jak ty.

- To co z tego? - nie rozumiał Rub, Nie sposób go było obrazić, robiąc przytyki do jego zapachu. - To przecież tylko „Koni”. Nie jesteś głodny?

- Zbyt wykończony, żeby przeżuwać, jeśli mam być szczerzy. - Cały wcześniejszy entuzjazm, wywołany powrotem do pracy, ulotnił się pod wpływem zmęczenia. Nie rozumiał, jak mógł sobie ubzdurać, że podoła robocie bez pomocy Ruba.

- Każdy ma dość siły, żeby przeżuwać - upierał się Rub.

- Może później nabiorę ochoty - powiedział Sully. - Pozdrów ode mnie Bootsie. Przekaż jej wyrazy współczucia, że poślubiła takiego pacana.

- Wolałbym nie wchodzić jej w drogę - przyznał Rub, wsiadając do pontiacu swojej żony. - Urwie mi jaja jak nic.

- Próbuj uników - doradził Sully. - Cel nie jest zbyt duży, więc masz szansę.

Mieszkanie Sully'ego miało identyczny układ ze znajdującym się pod nim mieszkaniem panny Beryl. Było to jedyne podobieństwo łączące oba lokale. Podczas gdy mieszkanie panny Beryl zastawione było ciężkimi

dębowymi meblami, dzbanami z terakoty i wyplatanyimi słoniami, świeżo wytapetowane ściany pokrywały oprawne oleodruki i plakaty z muzeów, na stołach tłoczyły się widmowe łodzie rytualne i kunsztownie zdobione wazy, przywiezione z licznych podróży, lokum Sully'ego ziało pustką, otwarte na przestrzał, niczym pastwisko. Prawdę mówiąc, niewiele się w nim zmieniło od czasu, kiedy przywiózł tu swój dobytek przed z górą dziesięciu laty. Tamtego ranka cała przeprowadzka zajęła mu mniej niż godzinę. Nieliczne sprzęty, które przywiózł, jeszcze bardziej podkreślały ogrom przepastnych pokoi o wysokich sufitach i podłogach ze szlachetnego drewna, w których jego kroki rozlegały się głośnym echem. Miał wówczas czterdzieści osiem lat i niemal przez całe dorosłe życie mieszkał w ciasnych, ciemnawych, zagraczonych kwaterach, które mu najzupełniej odpowiadały. Ruth od dłuższego czasu nalegała, żeby znalazł sobie coś przyzwoitego, twierdząc, że to, co mu doskwiera, to jego niezdrowe otoczenie. Sully nie polemizował, ale i nie ruszał się z miejsca. Nie miał pojęcia, co mu doskwiera - ani wtedy, ani teraz - ale podejrzewał, że to jednak nie otoczenie. Do przeprowadzki skłoniła go chyba jedyna rzecz, która mogła go do tego zmusić. Pewnego popołudnia wyszedł z domu, bo mu się skończyły papierosy. Ostatni, na wpół wypalony, został w popielniczce stojącej na poręczy sfatygowanej kanapy.

Sklep spożywczy był zaledwie dwie przecznice dalej, toteż poszedł pieszo. Nie miał akurat żadnej fuchy i specjalnie mu się nie spieszyło. Po drodze natknął się na kilku znajomków i przystanął, żeby uciąć sobie pogawędkę. Kupił papierosy w sklepiku na rogu i zamienił kilka słów z policjantem, stojącym beczynnym w pobliżu kasy. Kiedy zawyła syrena, policjant wyszedł i Sully skorzystał z okazji, żeby obstać swój podwójny zakład u Raya, ponurego faceta o fatalistycznym usposobieniu, którego sklep miał wówczas przed sobą niecały rok konkurowania z domem towarowym IGA. W następnym roku otwarto w Bath OTB, co oficjalnie pogrzebało trzy okoliczne sklepy spożywcze.

- Szykuje nam się mała atrakcja w środku dnia - rzekł Ray, kiedy samochód straży pożarnej przemknął z rykiem nieopodal.

- Nie zawadzi się trochę rozerwać - powiedział Sully nieobecny tonem, zapalając papierosa i próbując ustalić źródło niejasnego uczucia niepokoju, niemal grozy, rodzącej się gdzieś w zakamarkach świadomości. Pożegnał się z Rayem i ruszył w stronę domu. Samochód straży pożarnej skręcił z piśkiem opon w ulicę, przy której mieszkał, i nie wiadomo dlaczego syrena

nagle umilkła. Ludzie biegli przez skrzyżowanie. Wtedy zauważył czarny pióropusz dymu, unoszący się ponad dachami. Z oddali słyhać było dalsze syreny. Po drodze minął go rozpędzony radiowóz policyjny.

Nim dotarł na miejsce, pożar zdążył przyciągnąć spory tłum gapiów. Płomienie strzelały z okien w niskie, szare niebo. Strażacy porzucili próby walki z żywiołem i polewali z węzów domy stojące po drugiej stronie ulicy, żeby solidarnie nie zajęły się płomieniem. Dom był stracony, ale nie chcieli dopuścić, żeby cały odcinek ulicy poszedł z dymem. Wyglądało na to, że pozostaje jedynie przyłączyć się do tłumu i patrzeć, co też uczynił.

Kiedy stał już tak dobrą chwilę, zauważył go ktoś ze znajomych.

- Cześć - powiedział. - Mieszkasz, zdaje się, gdzieś tu w pobliżu?

- Dokładnie tam - odparł Sully, wskazując ogniste piekło. - A raczej mieszkalem. - Ta uwaga wywołała spore zainteresowanie.

- Hej! - zawołał ktoś z tłumu. - To Sully! Żyje, jest tam! - Wszyscy przyglądali mu się podejrzliwie. Rozeszła się plotka, że zginął w płomieniach, i ludzie szybko oswoili się z myślą o straszliwej tragedii. Rozstawali się z nią dość niechętnie, jak mógł się zorientować. Uśmiechnął się do nich przepraszająco.

Wreszcie nadszedł Kenny Roebuck, ojciec Carla i właściciel budynku.

- Słyszałem, że spłonąłeś żywcem - powiedział, podchodząc do Sully'ego.

- Mam nadzieję, że nie ogłoszą tego w gazecie.

- Ja również. Ciekawe, od czego to się, u diabła, zaczęło?

- Plotka czy pożar?

- Pożar.

- Najprawdopodobniej ode mnie - przyznał się Sully. Powiedział swojemu gospodarzowi i byłemu pracodawcy o papierosie, którego zostawił, o ile pamiętał, wychodząc po następną paczkę. - Na litość boską, mam nadzieję, że w środku nikogo nie było - powiedział. Budynek był podzielony na trzy mieszkania. Wczesnym popołudniem wszyscy lokatorzy powinni znajdować się poza domem, ale pewności mieć nie mógł.

- Nie wydaje mi się - uspokoił go Kenny. - Według gliniarza, z którym przed chwilą rozmawiałem, byłeś jedyną ofiarą śmiertelną.

W tym momencie dach się zawalił, wyrzucając snop iskier w popołudniowe niebo i na głowy gapiów.

- Zniosłeś to całkiem nieźle - zauważył Sully.

Kenny pochylał się konfidencjonalnie w jego stronę i powiedział ściszym głosem:

- Między nami mówiąc, sam się zastanawiałem nad spaleniem tego pie-przonego kurnika. Naprawianie wszystkiego, co za miesiąc znów się psuło, kosztowało mnie więcej, niż przynosił czynsz. Chyba się nie urodziłem na zarządcę slumsu.

Stali i patrzyli, aż ogień się dopalił.

- Cóż - mruknął Kenny. - To by było tyle. Muszę wracać do pracy. Do-prawdy nie wiem, jak ci dziękować.

Sully rozważał w myślach słowa, które przed chwilą padły z ust jego go-spodarza. Przypomniała mu się Ruth, wierząca mu dziurę w brzuchu, żeby znalazł sobie jakieś przyzwoite lokum.

- Nigdy nie myślałem o tym jako o slumsie - przyznał.

- W takim razie byłeś jedyny, który tak nie myślał - skwitował te słowa Kenny Roebuck. - Obiło mi się o uszy, że Beryl Peoples ma mieszkanie do wynajęcia przy Górnej.

Pogłoska okazała się prawdziwa. Kenny Roebuck nie żartował też, mówiąc o swojej wdzięczności. Nazajutrz wręczył Sully'emu pięćset dolarów, żeby sobie kupił nowe ubrania i trochę sprzętów, bo mieszkanie panny Beryl nie było umeblowane. Tak więc cały incydent okazał się nader szczęśliwy, przynajmniej dla niego. Dwieście dolarów wydał na bieliznę, skarpetki, koszule, spodnie i buty. Okazało się to sporą sumą w sklepie zaopatrującym wojsko i marynarkę, gdzie na zapleczu prowadzono wyprzedaż używanej odzieży. Za kolejne dwie setki nabył mocno podniszczone meble: podwójne łóżko, chybotały nocny stolik, lampę w kształcie nagiej kobiety, komód-kę, metalowy stolik do jadalni oraz krzesła z plastikowymi siedzeniami, wielką kanapę do salonu, a także stolik do kawy, mający tylko trzy nogi. Właściciel komisji meblowej twierdził, że czwarta gdzieś się zapodziała. Chcąc zademonstrować przychylność i zrozumienie dla sprawy, dorzucił z własnej inicjatywy używany toster. Kiedy Sully poustawiał już świeżo nabyte ziemskie dobra na piętze u panny Beryl, włączył toster do kontaktu, żeby sprawdzić, czy działa, zresztą bez większych nadziei. Tymczasem spirala rozzarzyła się gniewną czerwienią, toteż go prędko wyłączył. Od tamtego czasu nie miał okazji zrobić z niego użytku. Jedynym miejscem, gdzie jadał tosty, była jadłodajnia „U Hattie”, gdzie podawano je w ramach zestawu śniadaniowego.

Jak na ironię, w mieszkaniu, którego przestronność była najbardziej rzucającą się w oczy cechą, w kuchni dawał mu się we znaki brak miejsca.

Pomieszczenie było małe i ciasne, jak we wszystkich starych domach z oficjalnymi jadalniami, dlatego stolik nie bardzo się mieścił. W końcu upchnął go jakoś w kącie, żeby mieć o co się objąć i na co kląć. Początkowo wstawił go do jadalni, ale wyglądał tam po prostu komicznie - odrapany, metalowy pokurcz na środku wielkiego pokoju. Nie mógł sobie wyobrazić, że siedzi przy nim i je cokolwiek - chociażby miskę płatków. Koniec końców zamknął pomieszczenie na klucz, wyłączając ogrzewanie, żeby zaoszczędzić na opłatach. To samo zrobił z drugą sypialnią, która też stała pusta.

Cieszył się, że kanapa, którą nabył, jest tak wielka, bo zajmowała przynajmniej trochę przestrzeni w przepastnym salonie. Ustawił ją wraz z kulowym, trójnożnym stolikiem pod dłuższą ścianą, naprzeciw telewizora, który zamierzał nabyć, jak tylko będzie sobie mógł na to pozwolić. Zakarbował sobie w pamięci, że egzemplarz powinien być raczej spory, jeżeli chciał coś widzieć z takiej odległości. Drugie spostrzeżenie dotyczyło tapety w różowe kwiatki, z którą należało coś zrobić. No i potrzebował paru chodników, żeby stłumić odgłos kroków na twardych podłogach, nieustannie przypominający mu o jego obecności. Z pieniędzy, które dostał od Kenny'ego Roebucka, została mu jeszcze setka, więc wyruszył na poszukiwanie dywaników po okazjnych cenach.

Traf chciał, że zamiast tego spotkał Kenny'ego, który właśnie się wybierał na wyścigi. Zapytał, czy zechciałby mu towarzyszyć, czym przesądził sprawę. W drodze powrotnej Sully doszedł do wniosku, że właściwie nie potrzebuje chodników. Zatrzymali się przy narożnym sklepiku Raya, kupili sześć piw, po czym pojechali do Sully'ego, bo Kenny chciał zobaczyć, jak sobie radzi na nowym gospodarstwie. Podczas gdy Sully wkładał piwa do lodówki, Kenny stał na środku salonu i zaśmiewał się do rozpuku. Nie mógł się powstrzymać. Potem zaczął chodzić z pokoju do pokoju, przy czym w każdym nowym pomieszczeniu ogarniała go coraz większa wesołość. Dwa ostatnie, puste i zamknięte na klucz, ubawiły go tak serdecznie, że łzy płynęły mu ciurkiem po twarzy. Wreszcie wrócił do Sully'ego do małej kuchenki i opadł wyczerpany, czerwony jak burak, na jedno z plastikowych krzesel.

- Jak myślisz, ile potrwa, nim je zapełnisz?

Sully wyjął z lodówki dwa piwa. Pomacał metalową półkę, po czym podał jedną butelkę Kenny'emu.

- Nie jestem pewien, czy lodówka mrozi - powiedział, co wywołało u Kenny'ego ponowny atak wesołości.

Trudno mu było uwierzyć, że Kenny Roebuck zmarł zaledwie kilka lat po tej wizytacji. Jedno nie ulegało wątpliwości. Gdyby mógł być tutaj w tej chwili, uśmiełby się nie gorzej niż przed dwunastu laty. Jeśli nie liczyć dywanika rzuconego na podłogę i dużego telewizora w białej obudowie z małym ekranem, mieszkanie wyglądało mniej więcej tak jak w dniu, kiedy się do niego wprowadził. Jeśli chodzi o tapetę w różowe kwiatki, postanowił poczekać, aż sama się zedrze.

Tego wieczoru, tak jak zazwyczaj, był zbyt zmęczony, żeby mu to sprawiało różnicę. Rozebrał się, wszedł pod prysznic i puścił na ramiona i plecy tak gorącą wodę, że ledwo wytrzymał. Po kilku minutach kłęby pary przywołały z jego pamięci scenę z dzieciństwa, do której nie wracał od czterdziestu lat. Było sobotnie popołudnie. Ojciec zabrał go wraz z jego starszym bratem, Patrickiem, do nowego ośrodka stowarzyszenia YMCA w Schuyler Springs, gdzie raz w miesiącu był wolny wstęp na basen. Miała to być zachęta dla młodzieży, żeby wstępowali w szeregi organizacji. Ojciec nie miał zamiaru ich tam zapisać, ale skoro można było popływać za darmo, to czemu nie... Odkrył też, że w sobotnie popołudnia rozgrywano na zapleczu partyjki pokera. Kiedy chłopców zawołano na dół, ojciec został na górze, przy karcianym stoliku. Szatnia była zimna, posadzka goła, ratownicy kazali wszystkim chłopcom wejść pod prysznic, po czym ustawili ich, dygoczących z zimna, wzdłuż basenu, sprawdzili po kolei, czy nie mają wszy, i odczytali im regulamin: zakaz biegania, popychania się, skakania do wody od płytkiej strony. Przy okazji znaleziono kilku niedomytych i odesłano z powrotem pod prysznic. Czyści chłopcy, w tym Sully i jego brat, musieli na nich czekać.

Sully, który miał wtedy osiem lat i był tam jednym z najmłodszych, nie mógł opanować dygotania, nawet kiedy w końcu pozwolono im wskoczyć do basenu. Woda wydawała mu się zimna, regulamin go przerażał. Bał się, że niechcący złamie któryś z jego punktów i każą mu wyjść, podczas gdy jego brat, starszy o cztery lata, będzie pływał dalej. Podziemne korytarze przypominały labirynt. Bał się, że nie znajdzie drogi do szatni, a co dopiero do ojca. Poza tym pozwolono pływać razem z nimi dwóm starszym mężczyznom, mieszkańcom ośrodka. Pływali bez kąpielówek, co również przerażało chłopca, chociaż brat przekonywał go, że wszystko jest w porządku. Na basenie byli przecież sami faceci i nie było obawy, że jakaś dziewczyna zobaczy ich „ekwipunek”. Ekwipunek Sully'ego skurczył się niemal całkowicie, jakby chciał się schować wewnątrz ciała. Próbował się cieszyć pływaniem,

ale nie mógł opanować szczękania zębami. Jeden z ratowników to zauważył i odesłał go z powrotem pod prysznic, żeby się rozgrzał.

Kiedy znalazł się w wyłożonym kafelkami pomieszczeniu, odkręcił kurek na cały regulator i wszedł pod prysznic. Gorące strugi siekły go, dopóki nie poczuł, że woda robi się chłodna. Wówczas przeniósł się pod inny, po przeciwnej stronie łazienki. Zmieniał prysznic za każdym razem, kiedy gorąca woda się kończyła. Wkrótce zrobiło się przytulnie i gęsto od pary. Pograżył się w wilgotnym cieple, tracąc poczucie czasu, budząc się z odrętwienia tylko wtedy, kiedy znów trzeba było zmienić stanowisko. Spędził pod prysznicem całe dwie godziny przeznaczone na pływanie, słuchając dalekich pokrzykiwań chłopców, dobiegających z basenu, nie mając najmniejszej ochoty opuszczać pomieszczenia pełnego pary i wracać do chłodnej wody ani wędrować do szatni po zimnej betonowej posadzce i szukać skrytki, w której zostawili z bratem ubrania.

- Poczekaj, zabiorę cię jeszcze kiedyś - odgrażał się ojciec w drodze powrotnej, kiedy Patrick mu o wszystkim doniósł. - Poczekaj. - Jego pijacki chuch wypełniał wnętrze samochodu, który wypożyczył na tę wyprawę. Sully trząsał się na tylnym siedzeniu przez całą drogę, potem chorował przez okrągły tydzień.

Gorąca woda w mieszkaniu skończyła się nieporównanie szybciej niż ta na basenie. Wychodząc spod prysznica, Sully zastanawiał się, czy to nagłe przypomnienie incydentu sprzed lat, który tak długo spoczywał na dnie pamięci, może być zwiastunem nadciągającej choroby. Wątpił, żeby sprawiło to zapotrzebowanie na nowy bodziec, jakim mogłaby się karmić jego uraza do ojca, którego widmo, nie wiedząc czemu, nawiedzało go ostatnio częściej i bardziej namacalnie, mniej więcej od czasu wypadku.

Jeśli chodzi o kolano, okazało się, że nie jest tak źle i Sully, po raz nie wiadomo który, zadumał się nad brakiem logiki we własnym ciele. Po dniu ciężkiej pracy kolano było w całkiem niezłej formie, ale wiedział z doświadczenia, że nazajutrz rano za to zapłaci.

Oznaczało to, że powinien jak najszybciej zobaczyć się z Jocko. Tylenol 3 czy jak tam się zwało to, co zażywał, był na wykończeniu. Jocko nie zawsze wydawał środki uśmierzające w butelkach opatrzonych etykietami. Przy najmniej jemu. Jeśli Sully potrzebował czegoś na ból, nie bawił się w takie formalności jak recepta. Ilekroć dostawał próbki leków, które, jak sądził, mogłyby zainteresować jego przyjaciela, po prostu wsuwał mu do kieszeni lśniącą plastikową fiolkę, instruując go szeptem: „Masz. Połknij to”.

Kiedy zszedł na dół, panna Beryl czekała na niego w holu, ubrana w szlafrok i ranne pantofle. Zawsze wydawała mu się jeszcze drobniejsza i bardziej podobna do skrzata, kiedy widział ją w obramowaniu wielkich drzwi, prowadzących do jej mieszkania. W ręku trzymała plik korespondencji, którego znakomitą część, jak mógł ocenić na oko, stanowiła makulatura. Czasem nie zaglądał do swojej skrzynki całymi tygodniami, po czym, ledwie rzuciwszy okiem na to, co się przez ten czas uzbierało, wrzucał wszystko do kosza. Ludzie, którzy chcieli się z nim skontaktować, zostawiali informacje w gospodzie „Pod Koniem”. Ci, którzy nie znali go na tyle, żeby wiedzieć o jego skrzynce kontaktowej, nie należeli też zazwyczaj do tych, z którymi miałby ochotę korespondować. Nie miał kart kredytowych, a ponieważ opłaty wliczone były u niego w czynsz, nie musiał się martwić rachunkami. W jego własnym przekonaniu usługi pocztowe po prostu go nie dotyczyły. Na jego skrzynce nie było nawet nazwiska. Nie chciał go tam umieszczać, żeby nie zachęcać listonosza. Od czasu do czasu panna Beryl wygarniała całą zawartość i podtykała mu pod nos, tak jak w tej chwili, kładąc na wierzchu to, co, jej zdaniem, mogło mieć jakieś znaczenie. Tym razem list leżący na wierzchu wyglądał na pismo z Urzędu Gminy, niewątpliwie przypominające mu o zobowiązaniach podatkowych z tytułu nieruchomości, którą zostawił mu w spadku ojciec. Sully nie tracił czasu na otwieranie koperty. Przerzucił resztę, żeby sprawdzić, czy nie schował się tam czek z ubezpieczalni, który zdarzyło mu się już kiedyś wyrzucić z rozpędu do kubła wraz z całym pozostałym śmietnikiem.

- Ma pani może coś do pisania? - zapytał, wiedząc doskonale, że kilka długopisów stoi zawsze w szklance koło drzwi. Panna Beryl, która przewidziała to pytanie, trzymała w ręku jeden z nich, podając mu go z dezaprobatą. „Zwrot do nadawcy” - napisał na kopercie dużymi literami, po czym umieścił resztę w małym, ozdobnym kubelku, stojącym pod drzwiami jego gospodyni.

- Jesteś najbardziej pozbawionym ciekawości człowiekiem na świecie - rzekła panna Beryl, co jej się często zdarzało przy takich okazjach. - Nikt ci nigdy nie powiedział, że dociekliwy umysł chce wiedzieć?

- Może po prostu ma pani więcej szczęścia do poczty niż ja? - zauważył Sully. - Jak dotąd dostałem tą drogą tylko bilet do wojska, pozew rozwodowy, swój termin w ławie przysięgłych i kilka pogróżek. Żadnej dobrej nowiny, o której już bym od kogoś nie wiedział.

Panna Beryl pokręciła głową, patrząc na niego spod oka.

- W każdym razie wyglądasz lepiej - orzekła.

- Lepiej niż kiedy?
- Niż kiedy wróciłeś do domu.
- Długi dzień - przyznał Sully.
- Będą jeszcze dłuższe - powiedziała panna Beryl. - Czytam mniej więcej pięć książek na tydzień, żeby wypełnić czas. Oczywiście nie wszystkie do końca. Przerywam, kiedy do mnie dociera, że już to kiedyś czytałam.
- Kto powiedział: „Człowiek powinien pragnąć więcej, niż może uchwycić”? - przypomniał sobie nagle Sully cytując Carla.
- Ja - przyznała się panna Beryl. - Powtarzałam to przez całą ósmą klasę. Przede mną zrobił to Robert Browning. Wprawdzie tylko raz, ale miał znacznie lepsze audytorium.
- Którą klasę uczył? - zapytał Sully z uśmiechem.
- Założę się, że nie znasz dalszego ciągu, chytrusku.
- Sądziłem, że to już wszystko - odparł szczerze Sully.
- Miałaś gości dziś po południu - zmieniła temat panna Beryl.
- Naprawdę? - zdziwił się Sully. Rzadko się zdarzało, żeby ktoś go odwiedzał. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że łatwiej go spotkać „U Hattie”, „Pod Koniem” albo w OTB.
- Młoda kobieta z wielkim biustem i mała dziewczynka.
- Sully już miał powiedzieć, że nie ma pojęcia, kto to taki, kiedy nagle go olśniło.
- Czy dziewczynka miała coś z okiem?
- Tak, biedactwo - potwierdziła panna Beryl. - Mamuśka to jedna wielka gęba i cycki.
- Sully nie uważał, żeby ten opis oddawał sprawiedliwość Jane, córce Ruth, chociaż pierwsze wrażenie mogło być właśnie takie.
- Zaczynam chyba tracić cierpliwość do istot mojego gatunku - ciągnęła panna Beryl. - Ostatnio jestem za karą śmierci dla ludzi, którzy źle traktują dzieci. Kiedyś uważałam, że wystarczy obcinać im stopy. Teraz uważam, że należy oczyścić z nich świat całkowicie. Jak tak dalej pójdzie, niedługo zaczną głosować na republikanów.
- Rzeczywiście robi się z pani wredota na stare lata - przyznał Sully, starając się podchwycić jej żartobliwy ton, chociaż wyczuwał, że spotkanie ją przygnębiło. - Nie powiedziała, czego chce? - zapytał z lekką obawą w głosie, chociaż wątpił, żeby córka Ruth powiedziała panie Beryl zbyt wiele.
- Nie przeszkadzało jej, że cię nie zastała, takie odniosłam wrażenie. Wygląda na to, że chciała prysnąć przed nieużytym małżonkiem.

- To by się zgadzało potwierdził Sully. Teraz sobie przypominał. Latem, kiedy Jane po raz pierwszy uciekła od męża, powiedział Ruth, że może ją przysłać razem z małą do niego, jeśli potrzebowałyby miejsca, gdzie jej ślubny nie będzie ich szukał. - Wyszła za awanturnika z Schuyler Springs, który co chwila łąduje za kratkami.

- Hm, ulżyło mi, że sprawa się wyjaśniła - mruknęła panna Beryl. - W pierwszej chwili się obawiałam, że to ty zrobiłeś brzuch temu młodemu stworzeniu.

- Młode stworzenia już na mnie nie lecą, droga pani - powiedział Sully. - Choć czasem nie miałbym nic przeciwko temu - dodał, myśląc o Toby Roebuck, której obraz pojawił się, nieproszony przed jego oczyma, tak jak się tam pojawiał przez całe popołudnie.

- Straszny łobuz z ciebie - podsumowała panna Beryl. - Zawsze miałam ochotę to powiedzieć jakiemuś mężczyźnie.

Sully skinął głową, przyjmując oskarżenie.

- Nawiasem mówiąc, myślałem, że jest pani republikanką - powiedział.

- Nie - zaprzeczyła panna Beryl. - To Clive junior jest republikaninem. Jego ojciec też był. Pod wieloma względami był prawdziwym twardogłówkiem.

- Ale pocziwym z kośćcami - rzekł Sully, przypominając sobie dawne czasy.

- Tak - przyznała panna Beryl w zamyśleniu. - Brakuje mi naszych kłótni. Trzeba było wieków, żeby go przekonać do mojego zdania. Czasem podejrzewam, że umarł, żeby nie musiał przyznać mi w końcu racji.

Kiedy Sully wyszedł, panna Beryl wróciła do salonu i usiadła z powrotem w fotelu, w którym przedtem czytała książkę. Fotel ustawiony był naprzeciw rzadko włączanego telewizora, na którym stały fotografie obu Clive'ów - niegdysiejsze i obecne światło jej oczu.

- Byłeś twardogłówkiem - poinformowała swojego męża. Clive senior nie grzeszył elokwencją i przegrywał każdy spór, w który zdarzyło mu się wdać ze swoją małżonką, mającą dostatecznie przenikliwy intelekt i obrotny język, żeby przyprzeć go do muru i położyć na łopatki. Nauczył się więc już na wczesnym etapie ich wspólnego pożycia, że by nie ujawniać szczegółów swojego rozumowania kobiecie, która nie wahała się wytknąć mu jego słabych punktów. „Mam swoje powody”, zwykł mawiać. Słowom tym towarzyszył wyraz twarzy, który miał być w zamierzeniu zagadkowy.

Umarł z tym wyrazem na twarzy i miał go nadal, kiedy panna Beryl przybyła na miejsce wypadku. Kiedy mała Audrey Peach wcisnęła hamulce do deski, poleciał najpierw na przednią szybę, a potem z powrotem na siedzenie, z głową nachyloną pod dziwnym kątem z powodu złamanej szyi. Wyglądał, jakby się nad czymś zastanawiał. „Mam swoje powody”, zdawał się mówić. Została sama, mając dwadzieścia pięć lat na rozważanie, jakie też mogły być owe powody.

- A ty... - zaczęła, zwracając się do syna, ale nie dokończyła.

Wciąż trzymała w ręku kopertę, na której Sully napisał: „Zwrot do nadawcy”. Nie musiała jej otwierać, żeby się przekonać, co zawiera. W metalowym pudełku, które trzymała w swojej sypialni, miała dużą szarą kopertę z napisem „Sully”. Kiedy pójdzie się położyć, włoży do niej i ten list.

- Robię to, co powinnam - powiedziała na głos do obu Clive'ów - więc się odczepcie.

Gospoda „Pod Koniem” miała jedną zaletę, którą Sully bardzo cenił. Było nią okno z nieczynnym od lat kasetonem reklamującym piwo Black Label. Dzięki temu mógł zerknąć dyskretnie do środka i zobaczyć, kto jest na sali, zanim zdecydował się wejść. Zdarzały się wieczory - takie jak ten - kiedy nie miał ochoty na życie towarzyskie. Potrzebował tylko kolacji i łóżka. Jedno piwo by pewnie nie zawadziło, ale na jednym się nigdy nie kończyło i nie wiadomo kiedy robiło się z tego pół skrzynki. Szybki rzut oka utwierdził go w jego obawach. Wirf był w środku, zgodnie z przewidywaniem, niewątpliwie szykował się do wykładu na temat zalet kontynuowania edukacji i zgubnych skutków powrotu do pracy w sytuacji, w jakiej znajdował się Sully. Carl Roebuck, co już mniej oczywiste, był tam również, okupował koniec baru od strony wejścia. Carl załatwiał na ogół swoje pijaństwa i hulanki w Schuyler Springs, a „Pod Koniem” zjawiał się tylko wtedy, kiedy kogoś szukał. Zazwyczaj Sully'ego. Sully z kolei wiedział, że jeśli Carl go szuka, to lepiej, żeby nie znalazł. Fakt, był mu winien drugą część zapłaty za dzisiejszą robotę, ale to nie mogło być powodem jego obecności „Pod Koniem”. Kenney, jego ojciec, należał do ludzi, którzy szukali swoich wierzycieli, ale Carl ścigał wyłącznie tych, którzy byli jemu coś winni. Może był tu po prostu dlatego, że pocałował w domu klamkę, ale Sully wolał tego nie sprawdzać.

Kiedy Carl zsunął się z taboretu i ruszył w stronę toalety, Sully cofnęła się, ale zajrzał ostrożnie po chwili, aby ujrzeć, jak Carl znika właśnie za drzwiami.

Nigdy przedtem tego nie zauważył, ale teraz uderzyło go podobieństwo syna do ojca, chociaż Kenny był dwakroć potężniejszy, a poza tym jako wielki domator nie uganiał się za spódniczkami. Sully żałował, że to nie Kenny, tylko jego syn siusiał właśnie za ścianą. Gdyby chodziło o Kenny'ego, nie wzbraniałby się przed towarzyską pogawędką. Facet, który nie miał ci za złe, że spaliłeś jego dom, był tego wart.

Jedynym lokalem, który mógł być jeszcze otwarty o tak późnej porze, była pizzeria „U Jerry'ego”, kilka bram dalej, gdzie zbierały się wszystkie małolaty. W normalnych okolicznościach wolałby zjeść ociekającego tłuszczem hamburgera „Pod Koniem”, ale pod drzwiami pizzerii nie było tym razem widać młodzieży, postanowił więc zaryzykować. W końcu była wigilia Święta Dziękczynienia, może dzieciaki siedziały w domu i szafa grająca choć raz nie rozbrzmiewała ogłuszającym heavy metalem. Poza tym Ruth powinna być w pracy, a w końcu i tak musiał się z nią spotkać prędzej czy później. Może będzie w świątecznym nastroju. Niewykluczone, że kiedy się z nią zobaczy, przestanie myśleć o Toby Roebuck. I warto byłoby się dowiedzieć, czego chciała Jane, kiedy przyszła do niego po południu.

Na szczęście lokal był pusty. Sully wybrał boks na uboczu, niewidoczny z ulicy i położony możliwie daleko od szafy grającej, która, choć milcząca, jarzyła się gniewną czerwienią, jak gdyby zbierała się w sobie, gotowa w każdej chwili bluznąć jadem w tę niezwykłą dla niej ciszę.

- Sully! - rozległ się z zaplecza tubalny głos. - Dobrze, że nie zamknęliśmy wcześniej.

Głos należał do Vince'a, właściciela pizzerii. Jego brat Jerry prowadził w Schuyler Springs podobny lokal pod nazwą „U Vince'a”. Był w lepszym punkcie, więc zgodnie z umową przypadał zawsze temu z braci, który wygrał doroczny zakład o wynik meczu w koszykówkę Bath-Schuyler. Wiedziony lokalnym patriotyzmem Vince obstawiał z uporem swoją *alma mater*, w wyniku czego bardziej dochodowy biznes znajdował się od dziesięciu lat w rękach jego brata. Jerry zawsze dawał mu fory, ale nigdy dość duże, aby zrównoważyły wysokości przegranej. Obaj byli krzepkimi, potężnymi facetami, z bujniejszym owłosieniem na klatce piersiowej niż na głowie, tak podobnymi do siebie, że z czasem ludzie zaczęli ich mylić, tym bardziej że od dziesięciu lat każdy z nich prowadził restaurację drugiego. Vince znacznie gorzej znosił utratę tożsamości niż restauracji, dlatego Sully, który to wyczuwał, zaczął go nazywać imieniem jego brata.

- Może by tak jakaś obsługa? - zawołał Sully, stukając w przepierzenie pojemnikiem do pieprzu.

Drzwi do kuchni otwarły się z impetem i pojawiła się Ruth. Nie wyglądało na to, by miała świąteczny nastrój. Trwało chwilę, nim go wypatrzyła w odległym kącie sali.

- Nie rozumiem, jaki jest sens wysłać na doksztalcanie faceta, który nawet nie umie czytać - rzekła, wskazując ustawiony na środku napis: „Sektor nieczynny”.

Sully rzeczywiście nie zauważył informacji. Znalazł sobie po prostu miejsce, gdzie nikt nie mógł go zauważyć z ulicy i poczuć się w obowiązku dostrzymania mu towarzystwa.

- Przepraszam - powiedział. - Chciałem tylko usiąść jak najdalej od szafy grającej. Poza tym - dodał, kiedy podeszła bliżej - już nie chodzę do szkoły.

- Słyszałam - odparła Ruth. - Wirf już tu był i cię tu szukał. - Stała nad nim ostentacyjnie, zamiast się przysiąść, jak by zrobiła, kiedy byli jeszcze w pokojowych stosunkach. Sully wiedział, że awantura o powrót do pracy go nie minie, ale jeszcze nie nadszedł właściwy moment. Była to jedna z rzeczy, które sobie cenił u Ruth. Wiedziała, kiedy nie powinna mówić, co myśli. Tym, co go mniej zachwycało, była umiejętność jasnego dawania do zrozumienia, co myśli, bez wypowiedzania tego na głos. W tej chwili na przykład myślała, że zrobił głupio, co przypuszczalnie było prawdą. Będziesz tego żałował - myślała, i też zapewne miała rację.

- W każdym razie pachniesz nie najgorzej - powiedziała, wsuwając się w końcu do boksu.

- Ty też - odwzajemnił komplement Sully, uśmiechając się do niej. - Zawsze lubiłem zapach pizzy.

Ruth siedziała, przyglądając mu się i kiwając głową z tym swoim wymownym, lekko kpiącym uśmiechem, który nigdy nic dobrego nie wróżył. Mimo wszystko jej widok był mu miły i miał nadzieję, że starcie nastąpi wkrótce, żeby mieli je szybko z głowy. Tęsknił za jej towarzystwem.

- Młodość, to ci pachnie - odezwała się Ruth.

Była to dziwna uwaga, nawet jak na Ruth, i Sully zmarszczył brwi, próbując się w tym połapać. Prawda, że Ruth była o dwanaście lat młodsza od niego, ale sądząc z jej tonu, raczej nie wchodziło w grę, żeby mówiła o sobie.

- No więc - podjęła rozmowę po chwili niezręcznego milczenia - jak tam robota?

- Ciężka.

- Dzisiaj się taka stała, prawda? - Ironiczny uśmiech przeszedł w zjadliwy uśmieszek. Patrzyła z przyjemnością, jak mruży oczy, przyglądając się jej z niemądrą miną.

- Jest jakaś szansa, żebym się włączył do tej rozmowy? - zapytał w końcu. - Tej, którą prowadzisz bez mojego udziału?

- Ejże - powiedziała Ruth. - Chciałam się tylko dowiedzieć, jak ci minął dzień. Może spotkałeś przypadkiem kogoś ze starych znajomych? Przepraszam: młodych znajomych.

Coś zaczynało mu świtać. Ktoś musiał zauważyć, jak Toby podwozi go do miasta, i doniósł o tym Ruth, która oskarżała go już w przeszłości o to, że durzy się w żonie Carla. Było to w sierpniu, na krótko przedtem, nim rzucił pracę u Roebucka i zapisał się na kursy. Zarzut nie był, rzecz jasna, bezpodstawny, co nie czyniło go ani trochę mniej zaskakującym, i Sully zaczął się zastanawiać, już po raz któryś, czy Ruth nie ma zdolności telepatycznych. Zdarzało mu się nawet pomawiać ją o jasnowidzenie, ale Ruth twierdziła stanowczo, że aby go rozszyfrować, nie jest potrzebny żaden szósty zmysł.

- Jesteśmy ze sobą od tak dawna, że miejscowi plotkarze traktują nas, jakbyśmy byli małżeństwem, wyobrazasz to sobie? - powiedział Sully. - Kiedyś donosili na nas Zackowi, teraz biegają do ciebie z donosami na mój temat. Z czystej ciekawości, co ci powiedzieli?

- Wygląda na to, że to jakiś zboczony układ z tarzaniem się w błocie w charakterze gry wstępnej.

Sully uśmiechnął się do niej.

- Jestem zbyt wykończony nawet na grę wstępną, moja droga.

- Cieszę się - rzekła Ruth poważnie. - Nie byłabym zachwycona, gdybyś mnie porzucił dla jakiejś harcerki z pomponami. Chcesz coś do jedzenia?

- Makaron linguine - dobiegł z zaplecza śpiewny głos Vince'a, którego słuch był legendarny. Opowiadano, że potrafi wyjść ze swojej buchającej parą kuchni, przejść niepostrzeżenie przez całą salę restauracyjną, torując sobie drogę łokciami pośród rozwrzeszczanej, nastoletniej klienteli, i zdusić w zarodku bójkę, nim zdążył paść pierwszy cios. Tłumaczył potem, że słyszał, o czym rozmawiali. - On chce linguine i małże. Wyrzucam dwa tuziny tych cholernych skorup na tydzień, żeby mógł zjeść swoje danie, kiedy się tu zjawia raz w miesiącu.

- Nigdy ci nie przyszło do głowy, że mogę zamówić coś innego? - krzyknął Sully w stronę kuchennych drzwi. - To, że udało ci się sprzedać mi pół

tuzina nieświeżych małży pięć lat temu, nie oznacza, że będę zamawiał to samo do końca życia.

- Gdyby nie ty, nie kupowałbym ani sztuki tych pieprzonych skorup, niewdzięczniku! - ryknął Vince. - Zamawiaj, co chcesz. Mniej roboty dla mnie. Właśnie miałem przeszukać kubeł na śmieci, żeby zdobyć dla ciebie kilka okazów.

- W takim razie niech będą małże - zgodził się Sully. - Jeśli ma ci to przysporzyć dodatkowej roboty, jestem gotów zjeść truciznę.

- Życie Donalda Sullivana w pigułce. Nie uciekaj, jak skończysz - uprzedziła go Ruth, znów poważniejąc.

- Wszystko w porządku?

- Niezupełnie - powiedziała, wskazując ruchem głowy zamknięte drzwi do kuchni, co miało oznaczać, że nie zamierza o tym rozmawiać w zasięgu radaru Vince'a. Zmartwiło go to, bo niewiele było spraw, o których Ruth nie chciałaby mówić w obecności szefa.

Zdążył zjeść połowę makaronu, kiedy na salę wszedł Wirf, stanął na środku, okręcił się wokół własnej osi na swojej sztucznej nodze i już miał wyjść, kiedy zauważył Sully'ego, siedzącego samotnie w nieoświetlonej, nieczynnej części restauracji.

- Co ty tu, u diabła, robisz? - zapytał, sadowiac się na ławce. Nie pewne ruchy i zaczerwienione oczy wskazywały, że musi być w pół drogi do całkowitego upojenia.

- Próbuję choć raz zjeść kolację w spokoju - poinformował go Sully.

Wirf pokiwał głową ze zrozumieniem, najwyraźniej nie biorąc tej uwagi do siebie. Zdjął rękawiczki i szalik i położył je na parapecie obok sztucznego kwiatka.

- Widziałem „Pod Koniem”, jak zagładasz przez okno, ale potem się gdzieś rozplynałeś. Chyba z pięć razy przeszedłem tę ulicę tam i z powrotem, żeby cię znaleźć.

Sully nawinął porcję makaronu na widelec.

- Trzeba było dać sobie spokój.

- Bałem się, że możesz mieć czarne myśli po wczorajszym - powiedział Wirf. Patrzył wzrokiem wygłodniałego psa, jak Sully podnosi makaron do ust. Mając mózg stale zamroczony alkoholem, zapominał o wielu rzeczach, w tym o posiłkach. Jedzenie rzadko kiedy go pociągało, z wyjątkiem tych chwil, kiedy widział je w trakcie spożywania. Na jego twarzy pojawiał się wówczas tęskny wyraz, jak gdyby nagle nawiedziło go wspomnienie dawnej miłości.

- Pomóż mi to zjeść - poprosił Sully.

Stolik był nakryty na dwie osoby. Ruth nie zawracała sobie głowy uprzątnięciem drugiego kompletu sztućców, toteż Wirf potrzebował jedynie talerza. Ponieważ Sully zdążył się już uporać z sałatą, pchnął miskę w stronę Wirfa, który wylał resztki oleju i octu do najbliższej doniczki. - Zjadłeś wszystkie małże? - zapytał, wpatrując się w stos pustych skorup.

- Nie spodziewałem się ciebie - zauważył Sully.

- Chciałem tylko jednego na spróbowanie - tłumaczył się Wirf. - Nie cierpię tego oślizgłego paskudztwa, ale wciąż mi się wydaje, że któregoś dnia je niespodziewanie polubię.

- W takim razie się cieszę, że nic nie zostawiłem. Mnie smakują za każdym razem - odparł Sully, podsuwając mu koszyk z chlebem.

- Nie bądź kutwą - powiedział Wirf, celując w niego widelcem. - Nie idź przez życie z wężem w kieszeni.

- Dobrze - zgodził się Sully.

- Małż rzecz nieduża - rozkręcał się Wirf - ale zasada jest zasadą.

- Mogę zamówić ci małże - ofiarował się Sully. Nie miał zamiaru tego zrobić, ale gest na ogół wystarczył, żeby Wirfa zawstydzić.

- Kuchnia zamknięta, do cholery! - ryknął Vince.

- Stare pocziwe radary - powiedział Wirf. - Rząd powinien go umieścić na szczycie góry, żeby odbierał sygnały z kosmosu.

- To byłoby dla niego dobre miejsce - zgodził się Sully.

Z kuchni nie było odzewu. Po chwili pojawiła się Ruth i położyła przed Wirfem małża. Był surowy, w szczelnie zamkniętej skorupce.

- Jak wytrzymujesz z tym nierzetelnym skurczybykiem? - zapytał Wirf.

- Bez problemów - wyjaśniła Ruth. - Po prostu go nie widuję.

- Dochodzą mnie słuchy, że wróciłeś do pracy - zaczął Wirf, kiedy odeszła.

Sully odsunął talerz na środek stołu.

- Miło ci będzie usłyszeć, że nie było tak źle. Przyjemniejsze to niż rozmawianie z sędziami.

Wirf się skrzywił.

- Wczoraj nie poszło najlepiej - skomentował ich ostatnie wystąpienie w sądzie - ale weźmiemy łobuzów na przetrzymanie. Jest jeszcze mnóstwo rzeczy, których nawet nie spróbowaliśmy. Pewnego dnia musimy w końcu trafić na sędziego, który przepracował uczciwie choć jeden dzień swojego bezużytecznego życia. Wtedy będziemy w domu.

- Do tego czasu osiągnę siedemdziesiątkę i nie będę żył od pięciu lat.

Posłuchaj. - Wirf znów wycelował w niego widelec. - To są czarne myśli. Wydawało mi się, że uzgodniliśmy pewne rzeczy. Miałeś chodzić na kursy i czekać na właściwy moment. Miejże raz trochę oleju w głowie. Jak cię nakryją, że pracujesz, wpadniemy w prawdziwe kłopoty.

- To są czarne myśli, Wirf - wytknął mu Sully.

Wirf westchnął i pokręcił głową.

- Po co ja się w ogóle z tobą męczę?

- Oto właściwie postawione pytanie. Idź do domu i przemyśl to.

Teraz uśmiechali się obaj.

- A niech cię - powiedział Wirf.

- A niech mnie - zgodził się Sully.

- Carl płaci ci z ręki do ręki?

- Jeszcze pytasz?

- Nic na piśmie, pamiętaj - ostrzegł Wirf z naciskiem. - Ani tu, ani nigdzie.

- Nie musisz mnie przekonywać - zapewnił go Sully. - Jeden raz wyszedłem z podziemia i od razu spadłem z drabiny.

Nie było to zupełnie ściśle, ale niezbyt odległe od prawdy. Jeden z rozlicznych finansowych kłopotów nękających Sully'ego polegał na tym, że większość życia przepracował na czarno. Odprowadził tak niewiele składek, że emerytura, na jaką mógł liczyć, była kroplą w morzu. Renta kombatancka to druga kropla. Co oznaczało, że będzie się kwalifikował do zapomóg i kartek na żywność. Problem polegał na tym, że widział zbyt wielu klientów opieki społecznej i nie miał zamiaru powiększać ich szeregów. Wymagało to stania w zbyt wielu kolejkach i wypełniania zbyt wielu formularzy, a Sully nie cierpiał zarówno jednego, jak i drugiego. W wojsku poprzysiął sobie, że jeśli przeżyje wojnę, nigdy więcej nie będzie stać w żadnej kolejce. Dlatego między innymi wrócił do rodzinnego miasteczka, gdzie kolejki praktycznie się nie tworzyły. Poza tym życie z zapomogi to żebranie, a on powtarzał sobie od lat, że jeśli nie będzie kiedyś mógł zarobić na swoje skromne potrzeby, to strzeli sobie w łeb. Znał kilka osób, które chętnie trzymałyby go za słowo, gdyby mogły.

- Popracuj trochę, skoro musisz, ale pamiętaj o naszej strategii - kładł mu do głowy Wirf. - Dostarczać im coraz to nowej papierkowej roboty, dokumentować pogarszanie się stanu kolana. Prędeż czy później się zorientują, że opłaci im się zakończenie wreszcie kilku spraw. Sąd zaczyna powoli mieć dosyć. Słyszałeś tego sędziego wczoraj?

- Odniosłem wrażenie, że to ciebie ma dosyć.

- Bo wie, że się nie odczepię - odparł Wirf.

- Znam to uczucie - westchnął Sully.

Wirf puścił aluzję mimo uszu.

- Kiedy zaczynają się wściekać, to znak, że jesteś blisko celu. Za sady wstępne, rozdział pierwszy, punkt pierwszy - powiedział, odsuwając salaterkę.

- Nigdy nie próbowałeś punktu drugiego?

Wirf odłożył widelec z urażoną miną.

- Byłem po prostu ciekaw. - Sully się uśmiechnął.

- Nie mogę przeprowadzić tego bez ciebie, zrozum - ciągnął Wirf błagalnym tonem. - Leżę jak głupek po tej pieprzonej gałęzi, a ty mi jeszcze piłę przykładasz!

- Powtarzam ci od miesiący, żebyś dał sobie spokój. Mam już dosyć patrzania, jak dostajesz w tyłek. Nie jestem w stanie wypłacić się z tego, co ci wiszę.

- Prosiłem cię o cokolwiek?

- Tak, przed chwilą. Zjadłeś połowę mojego makaronu.

- Nie prosiłem cię. Sam zaproponowałeś.

- Nie mogę patrzeć, kiedy głód wyziera ci z oczu. Chciałbym, żebyś wziął się wreszcie do czegoś, na czym można zarobić. Gdyby tacy faceci jak ty i ja mogli wygrać z towarzystwem ubezpieczeniowym, toby żadnych towarzystw ubezpieczeniowych nie było. Zdrowy rozsądek, rozdział pierwszy, punkt pierwszy.

Wirf zamachał ręką zde gustowany, po czym chwycił małża leżącego na środku stołu, zamierzając się na Sully'ego w rzekomo morderczych zamiarach.

- Obawiam się, że masz rację - przyznał. - Odrobina wiedzy to diablo niebezpieczna rzecz. Kto by pomyślał, że czegoś cię jednak na tych kursach nauczą? Woląłem, kiedy byłeś całkiem głupi.

Ruth pojawiła się znowu i zaczęła uprzątać nakrycia.

- Vince proponuje, żebyście dokończyli tę dyskusję „Pod Koniem”. Jest już prawie Święto Dziękczynienia. Jak sobie pójdziecie, będzie miał przynajmniej jeden powód do wdzięczności - powiedziała, opierając o brzuch wysoką stertę talerzy. - Jest też ciekaw, dlaczego sądzisz, że Sully nie jest całkiem głupi.

- Nazwijmy to przecuciem - powiedział Wirf, po czym zwrócił się do Sully'ego: - Chodź, wypijemy po piwie.

- Z tobą nie ma czegoś takiego jak jedno piwo.

- To prawda - przyznał Wirf. - A więc?
- A więc jutro pracuję.
- Jutro jest Święto Dziękczynienia.
- Gdzieś już to słyszałem.

Wirf się poddał, wyszedł z boksu, odszukał szalik i rękawiczki.

- Posłuchaj. Nie rezygnuj oficjalnie z kursu. To by nas załatwiło na amen. Bierz dalej swoje świadczenia. W ten sposób zyskamy czas do wiosny, może do jesieni. Jest szansa, że w ciągu tych miesięcy uda nam się wykazać całkowite inwalidztwo. Czas już na kolejne prześwietlenie i zdjęcia kolana, więc załatw to, proszę cię.

Sully zgodził się na wszystko, żeby Wirf sobie wreszcie poszedł. Prześwietlenie nie było tanie, ale gdyby o tym wspomniał, Wirf zaczęłby mu wciskać pieniądze.

- Chodź na jedno piwo.
- Nie. Nie rozumiesz, co to znaczy „nie”?
- I następnym razem zostaw mi jednego małża! - zawołał Wirf przez ramię.

- Nie zjadłeś tego, którego dostałeś - przypomniał mu Sully.

Małż nadal leżał na środku stołu.

Kiedy Wirf wyszedł, Ruth podeszła do stolika, stanęła cicho za Sullym i zaczęła masować mu plecy, pochylając się nad niskim przepierzeniem.

- Co tam u Petera? - zapytała po chwili.

Sully odprężył się, zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać, skąd Ruth wie, że jego syn jest w mieście.

- Czy jest coś, czego nie wiesz na temat moich dzisiejszych poczynań?

- Owszem - odparła wesoło. - Nie wiem, dlaczego wyskoczyłeś z jego samochodu pod IGA i pognałeś przez parking.

- Myślałem, że w środy masz wolne - zdziwił się Sully.

W dzień Ruth pracowała jako kasjerka w IGA, co oznaczało, że musiała go widzieć przez okno.

- Tak było do września - powiedziała. - Kiedyś lepiej się orientowałeś w moim rozkładzie dnia.

- Pamięć mi szwankuje, to prawda, ale mimo wszystko pamiętam, że ty chciałaś przycichnąć na jakiś czas.

Uzgodnili to w sierpniu, kiedy Gregory, najmłodszy syn Ruth, obecnie uczeń ostatniej klasy szkoły średniej w Bath, zobaczył ich późnym wieczorem po drugiej stronie niemal pustej ulicy, wychodzących razem z gospody

„Pod Koniem”. Ponieważ sam skłamał na temat swoich planów na wieczór, nie bardzo mógł sypanąć matkę, i rzeczywiście nie powiedział ani słowa, że widział ją z Sullym, ale kiedy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegła w oczach chłopca nagłe olśnienie. Zaraz potem oznajmiła Sully'emu, że przez jakiś czas muszą być grzeczni.

Tak więc byli grzeczni od sierpnia: ona pracowała na dwóch etatach, on jeździł na kurs i spędzał wieczory „Pod Koniem”, w towarzystwie Wirfa i innych starych bywalców, często aż do zamknięcia lokalu. Prawdę mówiąc, „grzeczne” okresy zawsze przeplatały się w ich związku z mniej grzecznymi i Sully myślał czasem, że gdyby się pobrali, jak tego kiedyś pragnęli, zdążyliby się do tej pory nawzajem unieszczęśliwić. „Przycichnięcie” było niekiedy właśnie tym, czego potrzebowali, pod warunkiem że nie trwało zbyt długo.

Ponieważ okresowa wstrzemięźliwość wymuszana była przez nawroty wzmożonej podejrzliwości u męża Ruth, nie musieli się nigdy zmierzyć z pytaniem, czy „dobre prowadzenie się” nie jest im czasem równie miłe jak występki. Ostatnio okresy cnoty zaczęły się coraz bardziej wydłużać, co w zupełności odpowiadało Sully'emu, choć nie odważył się przyznać do tego przed Ruth. Uwodzenie cudzych żon, podobnie jak koszykówka, jest sportem dla młodych i przez ostatnich kilka lat czuł się dość głupio i niepoważnie z tego powodu, że nadal go uprawia. Byli kochankami od ponad dwudziestu lat i nie mogli się zdecydować, oboje razem ani każde z osobna, czy mają być z tego dumni, czy się tego wstydić, tak jak nie umieli wytłumaczyć odpływów i przyływów wzajemnego pożądania. O wiele łatwiej było mówić o pragnieniu, kiedy trzymało ich w swojej mocy, niż przyznać, że go nie ma, kiedy znikало. Ich najbardziej gorzkie i zawzięte kłótnie zawsze dotyczyły tego, kto tym razem zadecydował, że mają być grzeczni, kto odpowiada za kolejną posuchę, kto kogo unika i ignoruje. Sully czuł, że jedno z takich starć właśnie nadciąga, i czuł również, że stoi na straconej pozycji.

- A więc twierdzisz, że kiedy powiedziałam „przez jakiś czas”, sądziłeś, że mam na myśli trzy miesiące - powiedziała Ruth, wbijając kciuki odrobinę głębiej, przekraczając zrećznie granicę między przyjemnością a bólem.

- Nie - uściślił Sully. - Myślałem, że masz na myśli siedem, dopóki Gregory nie skończy szkoły i nie wyjedzie na studia.

Cios padł najwyraźniej z nieoczekiwanej strony, bo palce Ruth nieco polgowały.

- Cóż, nie musiałeś się tak ochoczo zgadzać.
- Nie umiem czytać w myślach - odparł, trochę ryzykując, choć taktyka ta rzadko kiedy popłacała w przypadku Ruth. - Musisz wyraźnie mówić, czego chcesz.

Ruth przestała masować mu plecy i milczała przez jakiś czas.

- Chcę, żebyś ty chciał - rzekła wreszcie. - Byłabym w miarę zadowolona, gdybym wiedziała, że dzień ci nie upływa bez myśli o mnie. Że kilka razy bierzesz do ręki słuchawkę, bo chciałybyś powiedzieć mi o tym czy o owym. O to by mi z grubsza chodziło, Sully.

- Uszczęśliwiłoby cię, gdybyś wiedziała, że ja jestem nieszczęśliwy? - podsumował Sully jej postulaty.

- Trafieś w dziesiątkę.

- A gdybym po prostu powiedział, że mi ciebie brakowało?

Ruth znów podjęła masaż.

- Myślę, że tym bym się zadowolili, jeżeli mi wytłumaczysz, dla czego twój syn ganiał dziś za tobą po parkingu.

Tak więc opowiedział jej, jak własny wnuk przyłożył mu książkę w kolanach. Wspomniał przy okazji, że ma zaproszenie do Vera na następny dzień. Ruth zawsze było przykro, że Sully spędza święta samotnie, ale żywiła też głęboką nieufność do jego byłej żony, a tego Sully nie potrafił sobie wytłumaczyć, dopóki mu się nie zwierzyła ze swoich obaw, że któregoś dnia znów się pobiorą, nękających ją w sposób najzupełniej irracjonalny, mimo że Vera była od dawna żoną innego mężczyzny.

- Masz zamiar pójść?

- Może wpadnę, jak skończę robotę - oznajmił Sully bez entuzjazmu. - Obiecałem temu karawaniarzowi, że zrobię mu jutro rano szalunek.

- W Święto Dziękczynienia? Sully wzruszył ramionami.

- Dlaczego nie?

Było tak wiele argumentów, żeby nie robić szalunku w Święto Dziękczynienia, na lodowatym zimnie, jeśli jest się przy zdrowych zmysłach, że Ruth nie zwracała sobie głowy wybieraniem jednego z nich. Pytanie Sully'ego nie oznaczało, że żaden sensowny powód nie przychodzi mu do głowy, tylko że z góry je wszystkie zdyskwalifikował. Ruth dała spokój jego plecom i usiadła naprzeciw niego.

- Czy to ci zajmie cały dzień?

- Niewykluczone - odparł Sully. - Dziś miałem robotę na pół dnia, która zajęła mi cały dzień i pół nocy, przy czym większość zrobił Rub.

- To twój pierwszy dzień. Czego się spodziewałeś?

- Czegoś więcej.

- Może jutro będzie lepiej.

- Jutro będzie gorzej - powiedział Sully szczerze. - Tego akurat jestem pewien. Następnego dnia może być rzeczywiście lepszy. Jedno nie ulega wątpliwości, nie mogę pracować w tym tempie co dawniej. Możliwe, że w ogóle nic z tego nie będzie.

- Chcesz rady?

- Niekoniecznie.

- Wróć do szkoły.

Sully nie odpowiedział od razu, mając nadzieję, że cisza stworzy wrażenie autentycznego namysłu.

- W szkole nie zarabiam pieniędzy, Ruth.

- Potrzebujesz pieniędzy?

Sully pokręcił głową.

- Nie w tej chwili. Ale któregoś dnia mogę potrzebować. Z pewnością będę potrzebował nowej furgonetki, prawdopodobnie jeszcze przed końcem roku. Kursując codziennie do Schuyler Springs, zajeżdżałem niemal na amen tę, którą mam. Liczyłem się z tym właściwie, ale jeśli będą jakieś niespodzianki...

- Szturchańce i kuksańce, w tym jesteś dobry - rzekła Ruth. - Oboje jesteśmy w tym dobrzy.

Sully skinął potakująco głową. Wiedział, że to prawda, i podniosło go na duchu, że Ruth to powiedziała. Mając ją naprzeciw siebie po drugiej stronie stolika, uświadomił sobie, jak bardzo mu jej brakowało. Bywały chwile, kiedy się zastanawiał, czy ich związek nie mógłby się do tego ograniczyć: radość z obecności drugiej osoby, wspomnienie przeżytych wspólnie intymnych chwil i pewność dalszej wzajemnej przyjaźni. Miał jednak dość rozumu, żeby nie proponować czegoś takiego Ruth. Była o dwanaście lat młodsza od niego i ich zbliżenia, jakkolwiek nieczęste, miały większe znaczenie dla niej niż dla niego.

- Nie wiem jak ty, ale ja bym sobie dzisiaj darował rękoczynny.

Zastanawiał się właśnie, jak by tu skierować rozmowę na Jane i jej wizytę, o której Ruth mogła, ale nie musiała wiedzieć, kiedy za oknem rozległ się ryk silnika. Ruth wstała szybko i podeszła do okna.

- Oho, cieszę się, że jesteś dziś pokojowo usposobiony. Zgadnij, kto właśnie przyjechał. Na szczęście jest zbyt wielkim kutwą, żeby naprawić ten tłumik.

- Idź, poradzę sobie z nim - powiedział Sully niezbyt pewnym tonem, ale

Ruth zdążyła już zniknąć za drzwiami kuchennymi. Nie odwrócił się, kiedy chwilę później drzwi do restauracji otworzyły się z impetem. Zack, mąż Ruth, potrzebował dobrej chwili, żeby do niego dotarło, kto siedzi w nieczynnej części restauracji, i kolejnej, żeby się zastanowić, co zrobić z tym fantem. Przyjechał, żeby pożyczyć od Ruth pieniędzy, bo wiedział, że Vince zawsze jej płaci w środy. Publiczne starcie z Sullym postawiłoby ten skromny plan pod znakiem zapytania, zastanawiał się więc poważnie, czy nie odwrócić się na pięcie i nie wycofać chyłkiem. Mógł poczekać na Ruth przed restauracją, bo kiedyś przecież musiała wyjść. Zdecydowałby się na tę strategię, gdyby miał pewność, że jego odwrót odbędzie się bez świadków. Zackowi często zarzucano tchórzostwo. Ludzie wciąż dziwili się głośno, dlaczego po prostu Sully'ego nie zastrzeli albo przynajmniej nie przyłoży mu porządnie kijem bejsbolowym. Nie lubił, kiedy nazywano go tchórzem, tak więc wziął głęboki wdech i spróbował wzbudzić w sobie oburzenie, którego w rzeczywistości wcale nie czuł.

- Patrzenie państwo - powiedział, podchodząc do boksu, w którym siedział Sully, nadal odwrócony do niego plecami. - Kogo my tu widzimy? Sully, kto by się spodziewał?

- Zachariasz - odezwał się Sully, wskazując wolną ławeczkę naprzeciw siebie.

Zack rozważał przez chwilę tę uprzejmą propozycję. Mimo uporczywych plotek, krążących na temat Sully'ego i jego żony, osobiście nic nie miał przeciwko niemu. Nie było niezbitych dowodów, że on i Ruth są kochankami (sam nie kochał Ruth i nie widział powodu, dlaczego ktoś inny miałby ją kochać), i ta niepewność przeszkadzała mu zapłonąć naprawdę słusznym gniewem. Ile razy próbował - na ogół podpuszczony przez kogoś - dać upust świętemu oburzeniu, tyle razy robił z siebie durnia. Sully umiał go zawsze położyć na łopatki już we wstępnej, słownej potyczce. Za każdym ciosem Zack łądował na deskach bliski nokautu, rozpaczliwie szukając w głowie odpowiedniej repliki. Czasem, nie umiejąc wymyślić nic sensownego, machał po prostu ręką i dawał spokój.

Ostatni raz doszło do konfrontacji latem i Zack wciąż miał przed oczyma tamten incydent, najgorszy ze wszystkich dotychczasowych. Pojechał „Pod Konia” ze swoim kuzynem Pauliem, bo ktoś mu doniósł, że tam ich nakryje, ale kiedy się zjawili, Sully siedział samotnie przy barze. Ponieważ Paulie naciskał, usiedli na dwóch wolnych stołkach, biorąc Sully'ego między siebie.

- Widzisz tego faceta? - zapytał Zack scenicznym szeptem. - Wyobraża sobie, że jest strasznym donżuanem.

Sully odwrócił się na taborecie i zlustrował Zacka tak spokojnie i niespiesznie, że jego pewność siebie zaczęła kruszeć, aby w końcu ulec kompletnej rozsypce.

- Bo nim jestem w porównaniu z niektórymi facetami - powiedział wreszcie Sully, co nie było ani potwierdzeniem, ani zaprzeczeniem i Zack nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić.

- Wielki donżuan - powtórzył Zack niepewnie, po czym zdecydował się na zawołane oskarżenie. - Niektórzy mówią, że mu się podoba moja żona, ale on się nie przyznaje.

Sully, który zdążył się już odwrócić z powrotem do baru, znów się okrzyknął na taborecie.

- Nigdy nie mówiłem, że mi się nie podoba twoja żona, Zack - od parł, drapiąc się w zamyśleniu po nieogolonym policzku. - Uważam, że jest fantastyczna, jeśli mam być szczerzy. Myślę, że bardziej podoba się mnie niż tobie.

Tu przerwał, najwyraźniej w przekonaniu, że Zack będzie potrzebował trochę czasu, aby przeanalizować to, co usłyszał, i wyciągnąć wnioski. Zack zdawał sobie sprawę, że nie jest zbyt bystry, dlatego często trenował w samotności słowne potyczki z Sullym, próbując sobie wyobrazić, jak się może potoczyć wymiana zdań, i przygotowując z awansu cięte riposty. Tyle że rozmowa nigdy nie potoczyła się tak, jak przewidywał, i tym razem również się na to nie zanosilo. Zack czuł, że zaczyna go ogarniać rozpacz. Już miał powiedzieć po raz trzeci: „Cholerny donżuan”, kiedy Sully wyprowadził cios.

- Nigdy nie mówiłem, że mi się nie podoba twoja żona, Zack. Mówiłem tylko, że jej nie dmucham.

- Toście się obaj dobrali - pisał ktoś z siedzących dalej przy barze i Zack poczuł, że robi mu się ciemno przed oczyma. Kuzyn musiał go wyprowadzić z lokalu, wciąż mamroczącego półprzytomnie: „Pieprzony donżuan”. Dał się uciszyć dopiero na ulicy, w jasnym świetle dnia. Kiedy nieco ochłonął, powziął nieodwołalne postanowienie: nie będzie więcej gadania, koniec ze sparingiem na języki. Albo robi z Sully'ego marmoladę, albo zostawi go w spokoju.

Niestety, okoliczności znów się sprzysięgły przeciwko niemu. Trudno było mu zrobić z Sully'ego marmoladę w miejscu pracy swojej żony. Poza tym, szczerze mówiąc, miał lekkiego pietra. Sully mógł być starym pierdzielem, ale w młodości był z niego twardy zawodnik. Zack, który nie mógł tego

powiedzieć o sobie, obawiał się, że Sully w wieku sześćdziesięciu lat nadal może mieć kilka asów w rękawie, a nie chciałby dostać batów od starego kaleki. Z drugiej strony nie bardzo mógł zignorować obecność Sully'ego w restauracji, zwłaszcza gdy tak siedział po ciemku, co wydawało się mieć szczególną wymowę. Jak zawsze znalazł się między młotem a kowadłem. Pozostawało wdać się w kolejną dysputę.

- Co tu robisz, jeśli wolno zapytać?

Po uprzątnięciu naczyń jedynym śladem po zjedzonej kolacji była filiżanka po kawie i maleńka kostka czerwonej cebulki na blacie z formiki. No i małż, nadal szczelnie zamknięty. Sully miał nadzieję, że mąż Ruth to zauważy i wyciągnie stosowne wnioski, ale nie był zbyt wielkim optymistą. Zack wyciągnął już jeden wniosek jakąś minutę wcześniej i nie należało się spodziewać kolejnego w najbliższej przyszłości.

- Siedziałem i zastanawiałem się właśnie, co by się tu jeszcze mogło spieprzyć - odezwał się w końcu.

- Ach tak - powiedział Zack, czując, że cios go dosięga. Jak zwykle, nie umiał tego przewidzieć chwilę wcześniej.

- Musiałem myśleć na głos - ciągnął Sully - bo od razu się zjawiłeś. - Sytuacja nie była zachwycająca. Siedział zakorkowany w ciasnym boksie i nie można było wykluczyć, że facet tarasujący wyjście wykrzesze z siebie dostateczną determinację, żeby mu przyłożyć. Wówczas, nim Sully zdołałby wstać, zaliczyłby pewnie parę ciosów. A jeśli by go kopnął przy okazji w kolano, Sully mógłby tylko usiąść z powrotem i wyć. Pocieszał się, że gdyby mąż Ruth miał zamiar wszcząć bójkę, prawdopodobnie już by to zrobił. Jego mina świadczyła raczej, że chciałby zminimalizować straty. - Siadaj, szkoda nóg - powtórzył Sully. - Twoja żona zaraz kończy. Mógłbyś ją podwieźć do domu. Wygląda na wykończoną.

Zack nie był jeszcze gotów, żeby usiąść.

- Nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Wchodzę, a ty sobie siedzisz, jak gdyby nigdy nic - poskarżył się.

Sully wzruszył ramionami.

- Nie wiem, co ci mam powiedzieć. To jest jedna z trzech restauracji w mieście. - Zdjął ze stołu skrawek cebuli i pstryknął nią w stronę doniczki ze sztucznym kwiatkiem.

- A czemu siedzisz w tym ciemnym kącie?

- Nie wiem, Zachariaszu. - Sully westchnął. - Czy muszę mieć powód? Czy ja chodzę za tobą i pytam, dlaczego siadasz na tym krześle, a nie na tamtym?

Zack nie miał na to odpowiedzi.

- Ciekawe, że tak siedzisz po ciemku - wydusił w końcu, choć najwyraźniej stracił rezon. Nie mógł odpędzić myśli, że powinien przyrzeć Sully'ego do muru, że facet miał cholernie dużo powodów, żeby się tłumaczyć. Tymczasem dyskutowali sobie miło, czy Sully ma prawo siedzieć sam po ciemku, jeśli mu to odpowiada, co, musiał przyznać, niewątpliwie mu przysługiwało.

W kuchennych drzwiach pojawiła się Ruth, wycierała ręce w ścierkę. Lypnęła spod oka na Zacka, który z miejsca zaczął się niespokojnie wiercić.

- O co chodzi? - zapytała. - Nie wiesz, jak zacząć rozróbę?

- Co on tu robi?

- Wracajmy do domu, kolego - powiedziała Ruth. - Ja dziś z tobą powalczę.

Mina Zacka wskazywała, że wolałby mieć za przeciwnika Sully'ego. Najwyraźniej żałował teraz, że nie skorzystał ze sposobności. Ruth odwróciła się do Sully'ego.

- Chciałabym pójść dzisiaj do domu. Zamierzasz dać mi napiwek czy nie?

- Trochę się boję - odparł Sully. - Pewna niezbyt rozgarnięta osoba mogłaby to opacznie zrozumieć.

- Trudno - rzekła Ruth. - Ktoś w tej rodzinie musi zarabiać na życie.

Zack patrzył, jak jego żona bierze ze stołu dolarowy banknot i trochę drobnych, które Sully tam położył.

- Nie jest to napiwek, który mógłby wzbudzić czyjekolwiek podejrzenia, nieprawdaż? - odezwała się, wkładając pieniądze do kieszeni koszuli swojego męża. - Czy możesz się zachowywać jak dorosły mniej więcej przez dwie minuty, żebym mogła pójść po płaszcz?

- Jasne. - Zack wzruszył ramionami, wbijając wzrok w podłogę.

Kiedy zniknęła za drzwiami, Sully znów wskazał gestem ławeczkę po drugiej stronie stołu. Tym razem Zack westchnął i usiadł. Wygląd miał tak żaloszny i nieszczęśliwy, że Sully zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć mu prawdę i przyrzec poprawę.

- Nie wiem, co tu robię, Zachariaszu - przyznał zamiast tego.

Zack przyglądał się z uwagą swoim paznokciom.

- Wygląda na to, że ja też nie.

Sully roześmiał się, słysząc to wyznanie.

W odpowiedzi Zack uśmiechnął się nieśmiało.

- Nie wiem nawet, o co się martwię - dokończył. - Jestem dziadkiem, do cholery, a ona babcią.

- Ja też - odparł Sully, wsłuchując się w pulsowanie swojego kolana, które jego wnuk Fanga nastroił tego ranka na nowy ton. - To znaczy dziadkiem, chciałem powiedzieć.

Zack wzruszył ramionami.

- Jesteśmy za starzy, żeby dać się aresztować za bójkę w miejscu publicznym.

- Pod warunkiem że ludzie by się zorientowali, że to bójka.

Ruth wyszła w płaszczu i zatrzymała się przy drzwiach.

- Idziemy, zakuta pało - warknęła.

Sully i Zack zamienili spojrzenia.

- Chyba miała na myśli ciebie - powiedział Sully.

Zack podniósł się powoli. Wiedział doskonale, kogo jego żona miała na myśli.

- Ty prowadzisz - powiedziała, kierując się w stronę wyjścia. - Chcę mieć obie ręce wolne.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Vince wyszedł z kuchni i zaczął gasić pozostałe światła, podśpiewując: „Witajcie młodzi kochankowie ze wszystkich świata stron”. Kiedy wyłączył z kontaktu szafę grającą, urządzenie wydało gniewny pomruk, nim lampka kontrolna zgasła.

- Powiedz prawdę i zawstydz diabła - zagadnął Sully'ego. - Kombinujesz z młodą panią Roebuck czy nie? Tylko mi nie opowiadaj, że jesteś zbyt zmęczony.

Sully wyszedł z boksu.

- Chyba jakoś wykrzesalbym siły, gdyby mnie zechciała - przyznał. Była to kwestia, nad którą nigdy się poważnie nie zastanawiał. - Na mój gust ona kocha swojego męża. Nie mam pojęcia czemu, ale na to wygląda.

- Dlaczego tak sądzisz?

Sully nie wiedział właściwie dlaczego, ale rzeczywiście tak uważał. Może dlatego, że powinna. Może dlatego, że wszystkie młódki w Bath wydawały się w nim durzyć.

- Pytam, bo ciągle słyszę, że ma kogoś w Schuyler - poinformował go Vince.

- Wątpię - odparł Sully, jakby trochę za szybko.

- Wątpisz? - Vince się uśmiechnął.

- Wątpię.

- A ja nie. A wiesz czemu?

- Nie wiem, czemu?

- Bo nie chcę przejść przez życie jak ten osioł Zack. Od dwudziestu lat przyprowadzacie mu z Ruth rogi, a on wciąż nie może się zdecydować, bidula, czy to prawda, czy nie. Wolę grzeszyć podejrzliwością niż tępotą.

- Nie jest zbyt lotny - przyznał Sully.

- Ano nie.

Szukając po omacku kluczyków do samochodu, Sully natrafił przypadkiem na małża leżącego na stoliku i schował go do kieszeni. Małż rzecz nie-duża, jak słusznie zauważył Wirf, ale nigdy nie wiadomo, kiedy się może człowiekowi przydać.

- Gdzie, u diabła, są drzwi? - zapytał.

Vince pstryknął zapalniczką tuż przy swojej twarzy, żeby mu pokazać, gdzie stoi. Jego wielkie, pocziwe oblicze przypominało w tej chwili demonicznego klauna z billboardu przy wjeździe do miasta.

- Jeśli po drodze rąbnę o coś kolanem - ostrzegł go Sully - twój brat będzie miał dwie restauracje.

Gospoda „Pod Koniem”, niegdyś szykowne miejsce zakrapianych alkoholem spotkań młodych, zamożnych mieszkańców Albany, latem goszcząca elegancką klientelę z południa stanu, ciągnącą do Schuylers Springs na doroczne sierpniowe gonitwy, stoczyła się za życia Sully'ego do roli lokalnej, obskurnej ni to restauracji, ni to pubu. Ukończenie autostrady międzystanowej, która zapewniła nowojorczykom i mieszkańcom Albany bezpośredni dojazd do Schuylers Springs, Lake George, Lake Placid i Montrealu, dopełniło dzieła całkowitej izolacji Bath, niegdysiejszego rywala Schuylers Springs, jeśli chodzi o wody lecznicze. Dawna kręta asfaltowa szosa zachęcała do częstych przystanków: na drinka zapraszały co najmniej dwa tuziny przydrożnych lokali. W latach czterdziestych i pięćdziesiątych w każdą sobotnią noc dochodziło do niezliczonych stłuczek na dwudziestopięciomilowym odcinku, łączącym Albany z Schuylers Springs, chociaż wypadki śmiertelne czy nawet poważne obrażenia zdarzały się stosunkowo rzadko. Na ciemnych, wysadzanych drzewami zakrętach trudno było rozwinąć zabójczą prędkość, poza tym przydrożne bary były położone tak blisko siebie i tak bardzo przypominały jeden drugi, że nie było powodu się spieszyć. Nie należało do rzadkości, że kierowcy po zderzeniu czołowym wysiadali z samochodów i zaczęli się wodzić po pijanemu za łby na środku szosy o to, kto spowodował wypadek. Od czasu do czasu jakiś nastolatek w podrasowanym

gruchocie skręcił sobie kark, tak jak Patrick, starszy brat Sully'ego, ale każdy wie, że nastolatki to samobójcy. Nie można winić za to ani drogi, ani przydrożnych barów.

Na nowej autostradzie nie dochodziło do zderzeń czołowych. Pas oddzielający dwa strumienie pojazdów, zmierzających na północ i na południe, miał na ogół szerokość co najmniej pięćdziesięciu jardów. Kierowcy po prostu zasypiali na równej jak stół, gładkiej nawierzchni, zjeżdżali z trasy, wylatywali w powietrze z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę i lądowali na najbliższym drzewie. Nie wszczynali burd o to, kto spowodował wypadek. Byli odwożeni dla formalności do szpitala, gdzie stwierdzano zgon.

Z dwudziestu kilku barów, które prosperowały między Albany a Schuylers Springs przed ukończeniem autostrady, ostała się zaledwie garść, z czego jedynie dwa czy trzy, w tym gospoda „Pod Koniem”, były czynne przez cały rok. Większość miała charakter sezonowy i budziła się do życia latem, często po zmianie właściciela. O prawdziwym interesie można było mówić dopiero w sierpniu, kiedy w Schuylers Springs zaczynały się gonitwy i całe południe stanu ruszało na północ. Wówczas właściciel każdej restauracji i każdego baru w promieniu dwudziestu mil od toru wyścigowego zbijał kokosy, windując ceny, lub przynajmniej odkuwał się, ile się dało, wiedząc, że będzie to musiało wystarczyć na cały rok. Ludzie ci zawdzięczali swoją marną egzystencję przybyszom z południa, którzy byli przyzwyczajeni, że się ich okrada, i zadowoleni, że ludzie z północy stanu mają pod tym względem tak mało wyobraźni.

Gospoda „Pod Koniem”, usytuowana w środku miasteczka, nie była zajazdem i funkcjonowała przez cały rok, chociaż jej charakter ulegał podczas sezonu wyścigowego gwałtownej metamorfozie. W czerwcu cały lokal przechodził kurację odmładzającą. Naprawiano stoły i taborety, lakierowano kontuar, otwierano i sprzątano dużą salę na zapleczu, wymieniano żarówki w żyrandolach. Pojawiała się zupełnie nowa ekipa, głównie studenci rekrutujący się z Albany i okolic, odziani w szorty i koszulki polo i zaczynały się nowe porządki: „Cześć, nazywam się Todd, będę was obsługiwał dziś wieczorem”. Dla miejscowej klienteli stanowiło to sygnał, że czas się wycofać w letnie ustronie. Nowe ceny napitków mówiły wyraźnie, że nie są tu mile widzianymi gośćmi w lipcu i w sierpniu. Podobnie jak widok nowych barmanek, często dziewczetek z końskimi ogonami, które nie miały zbyt wielu wspólnych tematów z facetami pokroju Sully'ego czy Wirfa. Rub Squeers w ogóle nie był wpuszczany do środka.

Z nastaniem września, kiedy nadeści nowojorczyacy wracali do siebie, uwożąc swoje fochy, swój południowy akcent i to, co im zostało z gotówki, przydrożne zajazdy zaczynały zamykać podwoje jeden po drugim. Wieczory znów były chłodne i „Pod Koniem” zaczynały się pojawiać znajome twarze. Wymieniano wrażenia i szacowano zniszczenia dokonane w ciągu sezonu. Tyny Duncan, właściciel restauracji, zastanawiał się często, czy zostawić dużą salę jadalną otwartą, po czym, przemyślawszy sprawę, zamykał ją na klucz. Nigdy nie mógł do końca uwierzyć, że interes, który w sierpniu przynosił takie dochody, może się nagle urwać z początkiem września, zaraz po Święcie Pracy, niczym strumień wody, która nagle przestała lecieć z nowego kranu. Logicznie rzecz biorąc, to była normalka, tak się działo zawsze, każdego roku, bez wyjątku. Ale w sierpniu, kiedy jego wzrok ogarniał zatłoczoną salę, kiedy widział kolejkę wijącą się wzdłuż ulicy, po prostu nie przyjmował do wiadomości tego, co przecież doskonale wiedział. Zaczynał analizować mechanizmy przyczynowo-skutkowe, zastanawiając się, czy przypadkiem nie mylił jednego z drugim. Może to zamknięcie dużej sali po Święcie Pracy sprawiło, że tłumy zniknęły, a nie na odwrót? Ale kiedy młodzi kelnerzy i barmanki wracali do Albany, aby rozpocząć nowy semestr na Uniwersytecie stanu Nowy Jork, w RPI czy Russell Sage*, uwożąc ze sobą swój nietutejszy, zaraźliwy optymizm, Tyny wiedział, że zabawa się skończyła, i pozwalał, by wszystko znów się powoli rozlało. Najgorsza chwila w roku następowała dla niego zawsze wtedy, kiedy godził się, na usilne nalegania starych bywalców, wtaszczyć z powrotem do baru stół bilardowy, który miał tam stać aż do czerwca, kiedy znów będzie potrzebna wolna przestrzeń.

* Rensselaer Polytechnic Institute - wysoko notowana politechnika w Troy, stan Nowy Jork; Russell Sage College - uczelnia dla kobiet o profilu uniwersyteckim, również w Troy (przyp. tłum.).

Duży, okrągły stół z sali jadalnej, latem zarezerwowany dla większych, ośmio-, dziesięcioosobowych grup, wędrował na środek, pod żyrandol, gdzie miał służyć za stół do pokera. Wszystko to było bardzo przygnębiające. Przed świętami rozwieszał nad barem pojedynczy sznur kolorowych lampek, w którym co roku ubywało świecących żarówek. Po Nowym Roku nikomu się go nie chciało zdejmować, wisiał więc dalej.

Tego wieczoru, wbrew mocnemu postanowieniu, Sully poszedł „Pod Konia” i ugrzązł. Tyny dał wolny wieczór swojemu barmanowi, którego

podejrzewał o podkradanie pieniędzy i stawianie gościom zbyt wielu darmowych kolejek, i był upierdliwy jak zawsze. Nie rozumiał, czemu zawraca sobie głowę i nie zamyka budy na zimę, kiedy tylko dokłada do interesu. Jak tylko ruszy „Podróż bez Końca”, sprzeda interes, zabierze pieniądze i wyjedzie na Florydę. O ile będzie jeszcze co zabierać, po tylu deficytowych zimach. Sully słuchał jednym uchem jego kwękania przez ostatnie dwie godziny i zaczynał mieć tego powoli dosyć. Wirf słyszał to samo, ale jego nie sposób było wyprowadzić z równowagi ani tego wieczoru, ani żadnego innego. Im więcej pił, tym bardziej był pijany, a wraz z upojeniem rosła jego tolerancja dla ludzkich słabości. Na obecnym etapie nie nazwałby gówna po imieniu, choćby go miał pełne usta.

- Wiesz co - powiedział Sully, nie starając się ukryć irytacji. - Ty byś nie nazwał gówna gównem, choćbyś go miał pełną gębę.

- Nie miałyby to wielkiego sensu - zauważył Wirf. Jego uśmiech, który zawsze wyprowadzał Sully'ego z równowagi, wskazywał, że jest już po północy. Właściwie trudno było to nazwać uśmiechem. Powyżej pewnego poziomu alkoholu we krwi Wirf miał ograniczoną kontrolę nad mięśniami twarzy i usta mu się po prostu nie domykały. Wielki, radosny uśmiech zjadacza gówna.

- Kiedy ostatni raz wygrałeś jakąś sprawę? - zapytał Sully.

Pytanie zdumiało Wirfa, choć nie wyglądało na to, żeby go miało rozzłościć.

- Co to ma do rzeczy?

- Pozwalasz, żeby wszyscy ci sikali do butów, to ma do rzeczy. Każdy podchodzi, rozpina rozporek i odlewa się. A ty co robisz? Stoisz i uśmiechasz się do nich radośnie.

Wirf roześmiał się dobrodusznie.

- Kto mi twoim zdaniem sika do butów? Oprócz ciebie, oczywiście.

- Otóż to - odezwał się Tiny z drugiego końca baru, gdzie się wycofał, żeby zejść Sully'emu z oczu. Tiny, zbliżający się do siedemdziesiątki, odznaczał się potężną tuszą i kiedy przysiadł na taborecie, który trzymał za kontuarem, gdy nie było wielkiego ruchu, mebel zniknął pod nim, stwarzając złudzenie, że mężczyzna wspiera się jakimś niepojętym sposobem na poduszce powietrznej, niczym krążek w pneumatycznym hokeju. Jego opasłość była jeszcze jedną rzeczą, która irytowała Sully'ego po piątym czy szóstym piwie, a także fakt, że wciąż przypominał mu o tym, jak wypraszał z lokalu Dużego Jima, kiedy Sully był małym chłopcem, jak własnoręcznie

wyrzucił go na ulicę nie raz i nie dwa i był znany z publicznie wygłaszanej opinii, że jeden pieprzony Sullivan jest wart drugiego.

- Chodź no tutaj na chwilę - powiedział Sully.

W barze było zaledwie kilku klientów. Carl Roebuck wyszedł, zanim zjawili się Sully i Wirf. Vince wypił jedno piwo, przekazał Sully'ego, niczym pałeczkę, w ręce Wirfa i też poszedł. Tiny nie miał ochoty się ruszać, było mu dobrze tam, gdzie był.

- Po co?

- Chodź tutaj, mówię ci.

Tiny nienawidził czegoś takiego. Nie cierpiał, kiedy ktoś go szarpał za łańcuch, szczególnie Sully. Z drugiej strony obsługiwał bar, a Sully był w towarzystwie Wirfa, jego najlepszego klienta. Zwlókł się z taboretu.

- Czego chcesz?

Sully zaczął, aż podejdzie bliżej, po czym zapytał:

- Co tam u ciebie?

- Czego chcesz? - powtórzył Tiny.

- Zastanawiałem się właśnie, jak ci leci. Nie najgorzej, mam nadzieję?

Wirf spojrział na Tiny'ego. Nie miej do mnie pretensji - mówił jego wzrok.

- Nie mam ostatnio okazji z tobą pogadać - ciągnął Sully. - Chciałem się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku. Nie potrzebujesz pieniędzy czy czegoś?

Kiedy Tiny się odwrócił i ruszył z powrotem, Sully rzucił za nim:

- Gdybyś nam jeszcze zechciał wytłumaczyć, jak to się dzieje, że jesteś takim nieużyтым kutwą?

- Nie zaczynaj od nowa - ostrzegł go Tiny.

Rzeczywiście temat nie był nowy. Sully nie potrafił przejść do porządku dziennego nad skąpstwem Tiny'ego. Bulwersowało go wciąż na nowo, zwłaszcza w stosunku do Wirfa, który co wieczór zostawiał u niego sporo gotówki. Etatowy barman postawiłby co piątą kolejkę, ale Tiny nigdy nie miał takich odruchów. Nawet kpiny Sully'ego nie mogły go do tego sprowokować, choć ten ostatni był w swoim czasie mistrzem w sztuce zawstydzania nieużytych barmanów.

- Popatrz na te pieprzone światełka - powiedział Sully, wskazując lampki choinkowe, które Tiny zawiesił po południu. Prawie połowa mrugała albo w ogóle nie świeciła. - Ile by cię kosztowała wymiana paru żaróweczek? Dolca?

- Za dolca nie kupisz teraz nawet batonika - powiedział Tiny, co wywołało pomruk powszechnej aprobaty, choć był to jawny i nietrudny do wykazania fałsz. Sam Tiny sprzedawał snickersy po siedemdziesiąt pięć centów.

Kwękanie Tiny'ego też było starą śpiewką. Tego wieczoru były na tapecie rosnące koszty usług komunalnych, które powodowały, że otwieranie lokalu w zimowe wieczory, kiedy prawie nie ma ruchu, stawało się sprawą zupełnie nieopłacalną.

- Mam pomysł - powiedział Sully. - Zróbmy zrzutkę na Tiny'ego. Chudnie biedak w oczach. Musi nie dojechać.

- Idź do domu, Sully - doradził mu Tiny.

Sully zwrócił się do Wirfa.

- Nie rozumiem, jak możesz patrzeć spokojnie, kiedy ktoś taki szcza ci do butów. Ile forsy dziś u niego zostawiłeś?

- Ani centa - powiedział Wirf. - Jeszcze nie zapłaciłem swojego rachunku. Poza tym nie potrzebuję, żeby ktoś mi stawiał. Stać mnie, żeby kupić sobie drinka.

- Nie o to chodzi.

- W takim razie o co?

Sully na dobrą sprawę sam dobrze nie wiedział. Tak naprawdę nie był zły ani na Tiny'ego, ani na Wirfa, chociaż dogadywał i jednemu, i drugiemu. Ogarnął go natomiast spóźniony przyływ złości na Zacka, męża Ruth, któremu powinien był przyłożyć, jak teraz zdał sobie sprawę. A także, z powodów, w których sam się nie umiał połapać, na Ruth, której nigdy nie traktował tak dobrze, jak na to zasługiwała. Był wkurzony ogólnie na całą sytuację. Wrócił do pracy u Carla Roebucka, chociaż poprzysiął sobie, że z tym koniec. Odgrzał dawny sentyment do jego żony, o co też był na siebie zły. Był w tej chwili wystarczająco wściekły i pijany, żeby wziąć się z kimś za łby o to wszystko, gdyby znalazł się odpowiedni kandydat.

- Wiesz co - powiedział Wirf - dajmy sobie na dzisiaj spokój, zanim załatwisz nam zakaz wstępu do jedyne go baru w hrabstwie, gdzie nie grają rock and rolla.

- Cholera, dobrze - zgodził się Sully. - Od początku nie chciałem tu przychodzić, jeżeli sobie przypominasz.

Zostawili pieniądze na ladzie.

- Musiałeś chcieć - zauważył Wirf. - Inaczej poszedłbyś do domu.

W drodze do wyjścia Sully zatrzymał się przy końcu baru, gdzie Tiny znów siedział na swoim taborecie.

- Daj mi jednego snickersa, jeśli to nie za wielki kłopot - poprosił.

Tiny wstał i podał Sully'emu batonik z nieufną miną. Sully wręczył mu dwa dolarowe banknoty. Tiny odsunął jeden.

- Siedemdziesiąt pięć - warknął.

- Nie - zaprotestował Sully, wciskając mu banknot z powrotem. - Nie można dziś dostać batonika za dolca. Sam to powiedziałaś.

- Zabieraj swojego pieprzonego dolara, Sully. Nie bądź upierdliwy.

Sully podniósł ręce, jakby go chciano aresztować.

- Nie, nie - bronił się. - To twój dolar.

Tiny włożył banknot do kieszeni.

- Zadowolony jesteś, kołku?

- O tak - zapewnił go Sully. - W życiu nie byłem bardziej zadowolony.

- Pozostajesz niedoścignionym mistrzem pustego gestu - skonstatował Wirf, kiedy przy drzwiach szarpali się ze swoimi zimowymi płaszczami, zamroczeni alkoholem.

- Daj mi pół, co?

- Jasne - zgodził się Sully, rozłamując batonik. - Jesteś mi winien dolara. Daruję ci, bo ja jestem ci winien około dwóch tysięcy.

- Dlaczego nie wrócisz do szkoły? - zainteresowała się Wirf. - Napytasz sobie biedy.

- Nie mam na to wpływu - powiedział Sully, wkładając do ust swoją połówkę batonika. Wirf czekał cierpliwie, aż przeżuje i połknie. - Mój profesor od filozofii nie wierzy, że istnieje coś takiego jak wolna wola.

- W takim razie w co wierzy?

Sully wzruszył ramionami.

- Jest żydem. Przypuszczalnie wierzy w najróżniejsze pokopane rzeczy.

- Niekoniecznie - powiedział Wirf, otwierając drzwi i przytrzymując je, żeby Sully mógł przejść. - Ja też jestem żydem, a nie wierzę w zbyt wiele.

Na dworze zatrzymali się jak na komendę na najwyższym stopniu i wpatrywali się przed siebie z niedowierzaniem. Wcześniej docierało do nich jak przez mgłę, że znów zaczął padać śnieg. Sully widział za oknem płatki, wirujące na tle reklamy piwa Black Label, ale żaden z nich nie oczekiwał czegoś takiego. W blasku latarni oświetlających Główną cała ulica tonęła w widmowej bieli.

- Wierzę, że spadł śnieg - powiedział Sully. - W to wierzę.

Zeszli na dół.

- Wierzę, że jest tego cała stopa - zawtórował mu Wirf, wpatrując się w miejsce, gdzie zniknęły jego zdarte brązowe półbuty. - Wierzę, że potrzebne mi są zimowe buty. - Sully miał na sobie swoje ciężkie robocze trzewiki, ale śnieg również je zakrywał i w dalszym ciągu padał.

- Nie wiedziałem, że jesteś żydem - powiedział zgodnie z prawdą. - Myślałem, że żydzi są bystrzymi prawnikami.

- Sully - upomniał go Wirf, owijając się energicznie szalikiem, którego koniec trzepnął jego towarzysza w twarz. - Jesteś księciem, pamiętaj. Żadnych czarnych myśli.

Sully patrzył przez chwilę za Wirfem, zmierzającym ostrożnie w kierunku zaparkowanego po drugiej stronie ulicy regala, po czym ruszył Główną w stronę domu. Po chwili minął go jadący zygzakiem samochód. Szyba była opuszczona.

- Dobranoc, słodki książę - zanucił Wirf.

Gruba warstwa śniegu otulająca ziemię tłumiała wszelkie odgłosy. Kiedy Sully dotarł do domu, ulica pogrążona była w ciszy. Było po pierwszej. Samochody zaparkowane na chodniku wyglądały jak białe kopczyki. Nie zdziwiłby się, gdyby zza rogu wyjechał powóz konny, pobrzękując dzwoneczkami przy uprzęży.

Ten wszechogarniający spokój mógł oznaczać tylko jedno: jutro spokoju nie będzie. Taki przedwczesny śnieg opóźni jeszcze bardziej rozgrzebane roboty i Carl zacznie się miotać w dwójnasób, żeby skończyć budowę, nim ziemia zamarznie i stanie się to zupełnie niemożliwe. Jeżeli się nie ociepli, jak nic odmrożą sobie jutro z Rubem tyłki. Szalowanie nie należy do prac, które można wykonywać w rękawicach. Do dziesiątej ręce tak im skostnieją, że będą czuli tylko uderzenia młotka, jeśli któryś z nich walnie się niechcący w palec. A Carl złoży im przynajmniej z pięć razy wizytę, żeby zawracać im głowę i opowiadać o następnej zasmarkanej robocie, którą zaplanował dla nich na piątek - robocie, której jego zdaniem nawet oni nie potrafią spieprzyć. Poza tym, nim zacznie robić cokolwiek dla Carla, będzie musiał odśnieżyć podjazd, żeby jego gospodyni mogła się wydostać z domu. A wszystko to przy symfonii bólu, jakim powita go rano kolano.

Wszystko to było bardzo zniechęcające, ale na szczęście przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Odszukanie szczotki z długim trzonkiem, którą miał gdzieś na furgonetce, zajęło mu dłuższą chwilę, ale w końcu ją znalazł. W trzydzieści sekund oczyścił ze śniegu przednią szybę i maskę samochodu, a w dwie minuty

później wjeżdżał tyłem na podjazd przed domem Carla Roebucka, dokładnie tam, gdzie stała dmuchawa, również przysypana w tej chwili śniegiem. Na podłodze furgonetki nadal leżały trzy arkusze dykty, które wykorzystał teraz, żeby zbudować prowizoryczny podjazd. Wygięły się, ale nie pękły pod ciężarem dmuchawy. Kiedy Sully zatrzasnął z hukiem kłapę, w pokoju na górze zapaliło się światło i pojawiła się ciemna sylwetka Toby Roebuck. Kobieta odsunęła okno na tyle, żeby móc wystawić głowę.

- To ty, Sully? - zapytała.

- Ja - potwierdził Sully - chociaż jutro mogę temu zaprzeczyć.

- Przyjechałeś ukraść naszą nową dmuchawę?

- Już to zrobiłem, właśnie przed chwilą.

- Mogłabym cię legalnie zastrzelić i nikt by mi nic nie zrobił - oświadczyła Toby.

- Niezupełnie. Tylko wtedy, gdybym próbował się włamać do twojego domu.

- A zamierzasz to zrobić?

- Nie dzisiaj, aleczko - powiedział Sully. Rozmowa, nawet prowadzona ściszym głosem, była nieco denerwująca. O tej porze nocy mogła ich słyszeć cała okolica. - Gdzie nasz karawaniarz, tak przy okazji?

- Któż to wie? Próbował dostać się do domu jakiś czas temu, ale zrezygnował. Moją groźbę, że go zastrzelę, potraktował znacznie poważniej niż ty.

- Trudno się dziwić - zauważył Sully. - Masz znacznie więcej powodów, żeby zastrzelić jego niż mnie.

- Nie da się ukryć - przyznała, dodając po chwili: - Zdarzyło ci się kiedyś tak się wkurzyć, że miałeś ochotę kogoś zastrzelić i było ci wszystko jedno kogo?

- Jasne - powiedział Sully, nie mając wielkiej ochoty wyjawiać, że tak się właśnie czuł piętnaście minut wcześniej „Pod Koniem”. - Dlatego nie mam broni.

- Powinieneś sobie sprawić - rzekła Toby. - Ja mam pistolet Carla. Moglibyśmy siać spustoszenie, opromieniemi sławą. Rabować banki. Bonnie i Clyde.

- Musiałabyś być Clyde'em - powiedział Sully. - W tym interesie mógłbym co najwyżej siedzieć za kółkiem, kiedy zwiewalibyśmy z łupem. Na wiele więcej bym się nie zdał.

- Mężczyźni nie mają za grosz wyobraźni - orzekła Toby, co przypomniało mu sugestie Vince'a, jakoby miała kogoś w Schuyler Springs. Sądząc z jej ostatniej uwagi, raczej się mylił, chyba że tamten mężczyzna też był pozbawiony wyobraźni.

- Cóż - powiedział Sully, zaskoczony, że oto staje w obronie Carla Roebucka - nie bądź dla niego zbyt surowa. To wszystko przez te bypassy. Usiłuje przeżyć całe życie w sześć miesięcy. Kiedy do niego dotrze, że dożyje siedemdziesiątki, na pewno się uspokoi.

- Niewiele brakowało, żeby nie dożył Święta Dziękczynienia - odparła Toby, jak mu się wydawało, z nutą przekonania w głosie. Po dłuższej chwili milczenia dodała: - Kradnij wreszcie tę dmuchawę. Jesteś najbardziej ślamazarnym złodziejem, jakiego kiedykolwiek widziałam. Wątpię, czy nawet za kółkiem byłby z ciebie jakiś pożytek.

Kiedy znalazł się pod domem, ogarnęła go nagła fala znużenia. Zastrzyk energii, który zawdzięczał połówce batonika, zdążył się wyczerpać i przez chwilę odczuł pokusę, żeby zostawić dmuchawę na furgonetce. Bał się tylko, że rano może zasnąć. Gdyby Carl przyszedł go szukać, niewątpliwie ukradłby ją z powrotem, nim Sully zdążyłby zrobić z niej użytek. Tak więc wyładował maszynę i ukrył ją w bezpiecznym miejscu - pod brezentem, w kącie garażu panny Beryl.

I jak się okazało się, dobrze zrobił, bo pierwszą rzeczą, którą zobaczył po wejściu na górę, był Carl Roebuck, śpiący na kanapie z szeroko otwartymi ustami i rozrzuconymi rękami. Jedna z nich celowała w stojącą na podłodze pustą butelkę po kanadyjskiej whisky. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy żyje, czy fatalny w skutkach atak serca nie dopadł go przypadkiem tutaj, na jego kanapie. Ale wtedy Carl chrapnął głośno i zmienił pozycję, co Sully przyjął z wyraźną ulgą. Mimo wszystko wolał mieć pod swoim dachem żywego niż umarłego, nawet jeśli miał nim być Carl Roebuck.

Miał gdzieś zapasowy koc, ale był zbyt zmęczony, żeby się zastanawiać gdzie, toteż przykrył go kocem zdjętym z własnego łóżka. Jego sypialnia i tak często bywała przegrzana i prześcieradło wystarczało w zupełności. Spał, nim zdążył zadać sobie pytanie, czy uda mu się zasnąć.

Czwartek

Carl Roebuck obudził się wcześniej. Sully słyszał, jak włącza telewizor na poranną gimnastykę. Zegar na nocnym stoliku wskazywał wpół do siódmej, co oznaczało, że Carl ogląda program „Obudź się, Ameryko”. Prowadząca go instruktorka aerobiku musiała być po czterdziestce, sądząc z twarzy. Jej ciało robiło wrażenie, było szczupłe i wysportowane, ale, jak Sully zauważył, nie było to ciało młode. Kiedy tańczyła u boku swoich młodziutkich asystryntek, wyglądała co najwyżej heroicznie. Może dlatego robiło mu się smutno, kiedy na nią patrzył. Tańczyła, jakby stawką było jej własne życie, i miał ochotę jej powiedzieć, żeby zwolniła tempo.

Kiedy zjrzał do pokoju, Carl patrzył na instruktorkę niezbyt przytomnie, na wpół rozbudzony, z ręką w otwartym rozporoku spodenek.

- Zgubiłeś tam coś? - zapytał Sully. - Czy zdarłeś sobie do reszty?

Carl nie okazał najmniejszego zakłopotania.

- To jest najgorsza kanapa, na jakiej kiedykolwiek spałem - zauważył sennie, nie podnosząc wzroku.

- Ile ty masz lat? - zapytał Sully, zaintrygowany.

Siedząc tak z ręką w spodenkach, Carl wyglądał jak dzieciak, mimo zarysowującego się brzuszka.

Carl wydawał się nie słyszeć.

- Nie zdarza ci się już, że się budzisz napalony? - zapytał po chwili.

- Nie - powiedział Sully. Prawdę mówiąc, rzadko mu się to zdarzało również w młodości i poranne zbliżenia, jeszcze gdy był żonaty, nigdy nie należały do szczególnie udanych. Przed południem jego orgazmy zawsze były przytłumione, niczym odległe dudnienie pociągu jadącego gdzieś w świat, słyszane z odległości pół mili. Była to jedna ze spraw, które nie grały w ich

małżeństwie. Vera często budziła się w swawolnym nastroju, ale rzadko się zdarzało, żeby jej entuzjazm przetrwał dłużej niż do śniadania. Sully przypisywał to jej purytańskiemu wychowaniu. Niektóre dziewczyny trzeba dopaść, nim się na dobre obudzą i przypominają sobie, kim są.

- Powiedz mi, że nie masz ochoty przelecieć teraz tej baby - nie dawał za wygraną Carl. Nadal nie odrywał wzroku od telewizora, choć w końcu wyjął rękę z szortów.

- Co się z tobą dzieje, u licha? - zapytał Sully.

- Nie mam pojęcia. Słowo honoru - wyznał Carl z westchnieniem. - Ostatnio mam ochotę przelecieć je wszystkie. Nawet te szpetne. Nigdy cię nie nachodzi chęć, żeby zaliczyć i te paskudy?

- Ta rozmowa staje się nieco zbyt osobista - oświadczył Sully.

Carl wyglądał na urażonego.

- W porządku. Odwróć się do mnie plecami w chwili kryzysu i cierpienia. Wyciągam do ciebie rękę jak do przyjaciela i co mnie spotyka? Cios w samo serce.

Sully uśmiechnął się szeroko. „Cios w samo serce” był ulubionym zwrotem retorycznym Carla i nie należało go traktować poważnie, choć tym razem dźwięczała w nim jakby nuta autentyzmu.

- To, że nie zamykam mieszkania na klucz, nie znaczy jeszcze, że jesteśmy przyjaciółmi. Tak przy okazji, co ty tu w ogóle robisz?

Carl wstał, udając, że robi „pajacyka” dla rozgrzewki, chociaż machał tylko rękami, nie odrywając stóp od podłogi.

- Chciałem się upewnić, że zaczniecie dziś wcześniej. Macie sporo roboty - zauważył. - Skończyliście wczoraj z tamtymi blokami, ty i ten twój śmierzający karzełek?

Sully potwierdził.

- Nie spotkałem cię wczoraj „Pod Koniem” - powiedział Carl. - Rub tam był i twierdził, że skończyliście.

- To po co pytasz?

- Bo miał śmierć w oczach, jak zawsze, kiedy łąze.

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu na myśl o Rubie, usiłującym się nie wysypać, że potłukli furgonetkę betonowych bloków.

- Zawsze się robi nerwowo w towarzystwie mądrzejszych od siebie. Tłumaczyłem mu, że ty do nich nie należysz, ale do Ruba wszystko dociera powoli.

- Nie rozumiem, jak możesz pracować z facetem, który cuchnie jak ropiejący palec.

- Trzymam się po nawietrznej, jeśli się da.
- Nie prościej byłoby powiedzieć skurczybykowi, że śmierdzi?
- Mówilem. Myśli, że to żarty. Twierdzi, że Bootsie by coś o tym wspomniała, gdyby było aż tak źle.

Carl aż się wzdrygnął.

- To jest to, co powinienem robić, kiedy mnie zaczyna nosić. Pomyśleć o Bootsie.

- Wydawało mi się, że chciałeś przelecieć i te szpetne - przypomniał mu Sully.

- Nie aż tak szpetne - poddał się Carl.

Sully wrócił do sypialni, żeby się ubrać. Słyszał, jak Carl buszuje po małej kuchence.

- Masz tu gdzieś kawę? - zawołał.

- Nie - odkrzyknął Sully. - Ale „U Hattie” mają, parę kroków stąd.

Carl wetknął głowę do środka, kiedy Sully siedział na brzegu łóżka, zginając i rozprostowując nogę w kolanie.

- Mogę wskoczyć na chwilę pod prysznic? - zapytał i w tym momencie zobaczył kolano Sully'ego. - O Jezu! - wyrwało mu się.

Ta dość typowa reakcja była jednym z powodów, dla których Sully nie lubił się afiszować ze swoim kolaniem. Groteskowa bania o intensywnej, nienaturalnej barwie i skórze tak naciągniętej, że aż lśniła - sam zdążył już przywyknąć do tego widoku. Tym, co wprawiało go w popłoch, był wyraz twarzy innych ludzi.

Naciągnął świeżą parę roboczych spodni, po czym wstał, żeby zasunąć zamek i zapiąć pasek.

- Wczoraj był ciężki dzień - wyjaśnił.

Carl nadal widział przez materiał kolano, tak jak Peter poprzedniego dnia.

- Mam cholernie fajny pomysł - powiedział Sully. - Może byś mi tak zapłacił za wczoraj? Moje kolano zawsze czuje się lepiej, kiedy biorę od ciebie pieniądze.

- Powinieneś dać sobie zrobić tę operację - rzekł Carl. - Jeżeli potrafili naprawić moje serce, dadzą sobie radę i z twoim kolaniem.

- Mam dla ciebie informację - rzekł Sully. - Oni nie naprawili twojego serca. Podreperowali je tylko, żeby nie przestało bić jeszcze przez jakiś czas. Gdyby je naprawili, byłbyś wierny swojej żonie i wypłacał swoim pracownikom to, co im się należy.

- Myślałem o tym, żeby ci zapłacić za sierpień - przyznał Carl. - Ale wtedy

nie miałbyś się o co żołądkować. Lepiej, żebyś czuł się okantowany. W ten sposób masz na kogo zwalić winę. Zawsze możesz sobie powiedzieć, że gdyby nie CI. Roebuck, to byś pokazał całemu światu, gdzie raki zimują.

Kiedy Carl puścił prysznic, Sully zszedł na dół i wyszedł na dwór. Była dopiero za piętnaście siódma, ale panna Beryl zdążyła już oprzeć łopatę o filar ganku. Słońce wprawdzie wyszło, ale ranne powietrze było ostre i słoneczny blask odbity od świeżego puchu niósł niewiele ciepła. Ale na Sully'ego podziałął rozgrzewająco widok nowej dmuchawy Carla, ukrytej bezpiecznie pod brezentem w kącie garażu, tam gdzie ją zostawił poprzedniego dnia. Silnik zaskoczył od pierwszego pociągnięcia.

Zdążył odśnieżyć chodnik i był w połowie podjazdu, kiedy na ganku ukazał się Carl Roebuck, świeżo wykąpany, ale we wczorajszym ubraniu.

- Spotkajmy się w cukierni! - krzyknął. - Zapłacę ci za wczoraj.

Sully wyłączył dmuchawę.

- Powinieneś pójść do domu i powiedzieć Toby, że ją kochasz, zanim cię ktoś uprzedzi. Zrób to tak, jakby to była prawda - doradził, czując nagły przypływ czegoś w rodzaju sympatii do syna swojego zmarłego przyjaciela. Przypomniał sobie ciemnego sedana, który stał poprzednie go dnia koło placu budowy, a potem pojechał za Carlem do miasta. Może się mylił co do uczuć Toby do męża? Może nosiła się z zamiarem rozwodu i wynajęła kogoś, żeby go śledził? Zastanawiał się przez chwilę, czy powiedzieć Carlowi o tajemniczym samochodzie, ale się rozmyślił. - Złóż jej ode mnie życzenia z okazji Święta Dziękczynienia.

Carl przyglądał się dmuchawie.

- Mam taką samą - powiedział. - Identyczną.

Nim skończył odśnieżać podjazd, wiedział, że najpilniejszą sprawą będzie odnalezienie Jocko i zaopatrzenie się w tabletki przeciwbólowe „wydawane wyłącznie z przepisu lekarza”. Tak jak to przepowiedział w rozmowie z Ruth, stłumione zazwyczaj mурmurando jego kolana zmieniło się tego ranka w prawdziwą operową arię. Oczywiście apteka była w Święto Dziękczynienia zamknięta, co oznaczało, że Jocko, mieszkający samotnie i nie figurujący w żadnym rejestrze, nie będzie łatwy do odnalezienia. Jocko dawał mu wprawdzie z pięć razy swój numer telefonu, ale Sully'emu za każdym razem udawało się go zgubić.

Przede wszystkim należało sprawdzić jadłodajnię „U Hattie”, bo znajdowała się najbliżej, niemal za rogiem i jeśli nie znalazłby tam Jocko, mógł

przynajmniej liczyć na filiżankę kawy. Poza tym umówił się tam z Rubem. Kłopot w tym, że kiedy dotarł na miejsce, zobaczył w oknie wywieszkę „Zamknięte”. Pamiętał, że Cass coś mu o tym przebąkiwała poprzedniego dnia. Reszta Bath też wyglądała na zamkniętą i Sully zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej wrócić do domu i poczekać, aż miasteczko się obudzi, choćby to miało oznaczać czekanie do jutra. Carl Roebuck nie umrze od tego, że jeden z jego tanich domków nie zostanie oszalowany do piątku. Tyle że w piątek będzie mógł zlecić to facetowi, który stale wykonywał dla niego tę robotę, a dla Sully'ego i Ruba wykombinować jakiś jeszcze większy szajs. Za kilka tygodni zostanie już tylko praca pod dachem, tam i z powrotem po schodach, i tej zresztą bardzo niewiele. Dziś mogła być ostatnia okazja, żeby załapać się na robotę, której nie cierpiał, wykonywaną na lodowatym zimnie.

Zazwyczaj najlepszym miejscem, żeby się rozejrzeć za Jocko, było OTB, ale w Święto Dziękczynienia i ten lokal musiał być zamknięty. I rzeczywiście był, wobec czego Sully postanowił zajechać na wszelki wypadek pod „Rexall” - aptekę, w której pracował Jocko. Tak jak się spodziewał, światła były wygaszone, a rzędy półek niknęły w gęstniejącym mroku. Łudził się nadzieją, że może przynajmniej cukiernia jest otwarta.

Rub, siedzący przy kontuarze, nie zauważył jego wejścia, dlatego Sully zrzucił mu z głowy wełnianą czapkę, która przeleciała przez pół lady i wylądowała w cukiernicze.

- Wydawało mi się, że mieliśmy się spotkać „U Hattie” - powiedział, sadowiac się na taborecie obok niego. Jeśli nie liczyć nadąsanej młodocianej kelnerki i czterech zaspanych kierowców ciężarówek w jednym z boksów, byli jedynymi ludźmi w lokalu.

Rub nie wydawał się specjalnie tęsknić za czapką, nie przyglądał też nastrozonego czuba, który mu się zrobił przy tej okazji.

- „U Hattie” jest zamknięte - powiedział. - Chciałbym, żebyśmy nie musieli pracować w Święto Dziękczynienia.

- Nie musisz - zapewnił go Sully.

Młoda kobieta za kontuarem domyśliła się, że Sully będzie chciał kawy i tylko kawy. Postawiła przed nim parującą filiżankę i odeszła, o nic nie pytając. Przechodząc obok cukiernicy, zdjęła delikatnie czapkę Ruba, ujmując ją dwoma palcami, niczym pęsetą.

- Jak nie pójde do roboty, będziesz się na mnie wściekał - rzekł Rub smutno.

- To prawda - przyznał Sully.
- A Bootsie dalej się wścieka o samochód - ciągnął Rub. - Wszyscy się na mnie wściekają.

- Sam widzisz - powiedział Sully. - Lepiej ci się oplaca pójść do pracy.

- Szkoda tylko, że nie mam pieniędzy na pączka.

- A co z twoją wczorajszą wypłatą?

- Bootsie zabrała.

Sully przywołał gestem kelnerkę i zamówił pączka dla Ruba.

- Z tych dużych, z kremem - tłumaczył Rub, pokazując, o które ciastka mu chodzi. Kiedy dziewczyna położyła przed nim jedno z nich, poczekał, aż odejdzie, po czym powiedział: - Dała mi najmniejszego.

- Wszystkie są takiej samej wielkości - powiedziała kelnerka w przestrzeń, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Stała na swoim miejscu obok kasy, nie patrząc ani na Ruba, ani na Sully'ego.

- Wcale nie - szepnął Rub, wpatrując się w pączka.

- Zjedźżeż go, do cholery - przynaglił go Sully.

Rub wbił posłusznie zęby w pączka, w wyniku czego krem pojawił się w otworze, przypominającym kształtem odbytnicę. Sully odwrócił wzrok.

- Nie było tu Carla? - zapytał.

Rub był zajęty pączkiem i nie słyszał. Zaczął od wygryzienia wielkiej dziury na samym środku, tak że po obu stronach pozostały „skrzydełka”. Bez względu na to, z którego końca by teraz zaczął, groziło, że krem wycieknie.

- Za chwilę cię zrzucę z tego stołka - zagroził Sully.

Rub podniósł wzrok, żeby sprawdzić, czy Sully mówi poważnie. Wyglądało na to, że tak.

- O co chodzi? - zapytał.

- Pytałem, czy był tu Carl.

- Kiedy?

- Zanim przyszedłem.

- Wpadł tylko na chwilę i powiedział, że śmierdzą jak ropiejący palec. Chciałbym, żebyśmy nie musieli dla niego pracować w Święto Dziękczynienia.

Sully wyjął dwa dolary, żeby zapłacić za dwie kawy i pączka Ruba i jeszcze starczyło na napiwek, na który ponura kelnerka nie zapracowała.

- Dawał ci jakieś pieniądze?

- Powiedział, żebyśmy zaszli do niego do biura, jak skończymy. Trudno było o bardziej typowe zagranie, jeśli chodzi o Carla.
- Bądź „U Hattie” za dziesięć minut - powiedział Sully. - Może uda nam się uwinąć z tą robotą do wczesnego popołudnia.
- „U Hattie” jest zamknięte - przypomniał mu Rub.
- Bądź pod drzwiami - uściślił Sully.
- Rub miał niepewną minę.
- Nie próbuj tego zrozumieć - doradził mu Sully. - Po prostu zrób, jak ci mówię.
- Nie musisz się od razu wściekać - odparł Rub. - Wściekasz się o byle co, tak samo jak Bootsie.
- Obracamy się w tym samym towarzystwie - skwitował to Sully i wyszedł z cukierni.

Przez okno widział Ruba, pochylonego nad pączkiem, i nie wiadomo czemu przystanął, ciekaw, jak sobie poradzi. Zamiast zabierać się do któregoś z końców, Rub zaatakował dziurę, wygryzioną przy pierwszym kęsie. Okazało się to posunięciem bezbłędnym. Kiedy wessał się w pączka, bańka kremu, wypchnięta przez otworek, została wciągnięta z powrotem. Widok ten dziwnie podniósł Sully'ego na duchu. Zastanawiał się przez chwilę, czy Rub nie jest przypadkiem niedoceniany. Przez krótką chwilę.

Jeżeli na całym świecie istniałaby tylko jedna osoba, z którą chcielibyście się spotkać, jakie byłyby szanse, żeby trafić na nią przed zamkniętym lokalem OTB w North Bath, o wpół do ósmej rano w Święto Dziękczynienia? Większe, niż można by się spodziewać, jak się okazało. W drodze do biura Carla Roebucka Sully ujrzał na pustym parkingu srebrnego marquisa. Za kierownicą siedział Jocko i czytał gazetę. Sully podkrał się niepostrzeżenie i zastukał w szybę, o dwa cale od jego ucha. Jocko podskoczył aż miło. Podkradanie się i straszenie ludzi, tak że mało nie robili w portki, zawsze było dla Sully'ego źródłem głębokiej satysfakcji. Jocko też wydawał się ucieszony, kiedy rozpoznał uśmiechnięte oblicze Sully'ego, które wystarczyło za wszelkie wyjaśnienia. Jocko wykonał dosadny gest, po czym tym samym środkowym palcem pokazał mu, żeby obszedł samochód i wsiadł z drugiej strony. Sully wsunął się ostrożnie, zostawiając w otwartych drzwiach prawie całą nogę.

- Sie masz, karawaniarzu - powiedział Jocko, przyglądając się Sully'emu znad okularów. Jego strój był konserwatywny jak zawsze. Jasnyniebieska

koszula, szeroki krawat, spodnie bez paska. Dobiegał czterdziestki i miał krótko ostrzyżone, siwiejące na skroniach włosy i ponad dwadzieścia kilo nadwagi. Nic w jego obecnym wyglądzie nie zdradzało radykalnej, długowłosej, studenckiej przeszłości, kiedy, jak się kiedyś Sully'emu przyznał, zdobywał pierwsze szlify, gdy idzie o farmaceutyki.

- Zamierzasz tu czekać do rana, aż otworzą? - zapytał Sully.

- Kościoły i lokale OTB powinny być zawsze otwarte - rzekł Jocko.

- Powinien istnieć na to paragraf.

- I jest - przypomniał mu Sully. - Mówi, że totalizator nie pracuje w Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia. Ale znam kilka kościołów, które są otwarte, jeżeli byłbyś zainteresowany.

Jocko zamachał ręką.

- To zbyt niepewny hazard, jak dla mnie.

- Nie może być dużo mniej pewny niż obstawianie trójek.

- Toteż ich nie obstawiam. Trójki są dla takich desperatów i straceńców jak ty. - Jego twarz rozjaśniła się nagle. - Ale mam pomysł: specjalne zakłady trójkowe na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Już widzę tę promocję. Zakłady Trynitarne. Chrześcijaństwo nareszcie popłaca!

- To załatwiałoby sprawę Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Dalej nie wiadomo, co ze Świętem Dziękczynienia.

- Nic nie szkodzi. - Jocko wzruszył ramionami. - Większość ludzi uważa, że Święto Dziękczynienia jest świętem kościelnym. Żyjemy w głęboko zdezorientowanym społeczeństwie.

- Miałem nadzieję, że cię spotkam... - zaczął Sully.

Jocko złożył gazetę i rzucił na tylne siedzenie.

- Zajrzyjmy do mojego gabinetu - zaproponował, sięgając ponad nim, żeby otworzyć schowek na rękawiczki. - I zamknij te cholerne drzwi, zanim obaj zamarzniemy.

- Nie wiem, czy uda mi się zgiąć nogę w kolanie tak wcześnie rano - mruknął Sully z powątpiewaniem.

- Spróbuj - powiedział Jocko, grzebiąc w schowku.

Krzywiąc się, Sully wciągnął jakoś nogę do środka i zamknął drzwi.

- Musisz mieć najkrótsze nogi ze wszystkich facetów w tym mieście.

Schowek na rękawiczki w samochodzie Jocko przypominał małą aptekę albo cukiernię, pełną kolorowych, plastikowych buteleczek. Jocko chwycił garść fiolek, podniósł do światła, mruknął: - Nnnie - i wrzucił z powrotem.

W końcu trafił na fiołkę, która znalazła uznanie w jego oczach.

- Masz to - powiedział, wręczając ją Sully'emu. - Połknij - dodał standardową instrukcję użytkowania.

Na fiołce nie było etykiety, ale Sully przyjął lekarstwo z wdzięcznością.

- Tylko dzisiaj żadnej ciężkiej roboty - dodał Jocko tytułem ostrzeżenia.

- Wyłącznie młotek - obiecał Sully. - Przypuszczalnie będę się walił w ciuk przez cały ranek.

- Nie ma problemu. Nic nie poczujesz - zapewnił go Jocko. - Ktoś mi wspominał, że wróciłeś do pracy. Pomyślałem, że coś tak głupiego musi być prawdą.

- Tylko na trochę, tak sądzę - powiedział Sully. - Chciałem się odkuć przed zimą. Potem dam sobie spokój na jakiś czas. Może na wiosnę poczuję się lepiej.

Jocko spojrział na niego znad okularów.

- Artretyzm nie mija - zauważył. - Może być tylko gorzej. Coraz gorzej.

- Dwa lata i pójde na wcześniejszą emeryturę - oznajmił Sully. - Potem ich pieprzę.

Zabrzmiało to jak buńczuczna deklaracja bez pokrycia i tak było w istocie. Sully wiedział, że Jocko mu nie przeczy jedynie przez życzliwość. Obaj zdawali sobie sprawę, że jego kolano nie pozwoli mu na dwa lata ciężkiej pracy.

- Co tam słyhać przed sobotą? - zapytał Sully. Rzeczywiście był ciekaw nastrojów przed meczem, poza tym chciał jak najszybciej zmienić temat. - Słyszałem, że dają dwadzieścia punktów forów dla Bath.

Sully uniósł brwi.

- To brzmi kusząco. - Podobnie jak Vince, przegrywał przez ostatnie dwanaście lat, stawiając na Bath przeciw Schuyler Springs. I tak samo jak tamten zawsze dostawał fory, ale nigdy wystarczające.

- Rozumiem cię - powiedział Jocko ze współczuciem. - Też chciałbym zobaczyć, jak dzieciaki chociaż raz dają tamtym łupnia. Ten mały twojej lubej to naprawdę świetny obrońca. Ale inni nie bardzo mu pomagają.

Sully zignorował fakt, że Jocko, jak większość mieszkańców miasteczka, wie o jego związku z Ruth.

- Liczyć na zwycięstwo, to by było za wiele - przyznał. Ostatnio pojedynki Bath-Schuyler Springs stały się tak nierówne, że ci ostatni grozili skreśleniem malej szkoły ze swojego kalendarza, powołując się na względy humanitarne. Utrzymanie „rozgrywek” stało się palącą, polityczną kwestią. Kandydat, który wygrał ostatnie wybory na stanowisko burmistrza Bath, w swojej kampanii wyborczej między innymi obiecywał, że spotkania będą się odbywały. - Osobiście byłbym uszczęśliwiony, gdyby im dołożyli. Kto daje dwadzieścia, swoją drogą?

- Istniały uzasadnione obawy, że Bath przegra wyżej niż dwudziestoma punktami, ale były to jak dotąd największe fory, o jakich słyszał.

- Znasz Vince'a, brata Jerry'ego? - zapytał Jocko.

- Masz na myśli Jerry'ego, brata Vince'a?

- Tego, który prowadzi restaurację w Schuyler - uściślił Jocko.

- Zgadza się. Jerry.

- Jak ty ich rozróżniasz?

- Chociażby po tym, że to Jerry daje dwadzieścia punktów forów Bath. To jeden ze sposobów - powiedział Sully. - Dobra, ile ci jestem winien?

- Nic. To są próbki. Daj mi znać, jeśli będzie ci po nich niedobrze - poprosił, kiedy Sully otworzył drzwi i rozpoczął mozolny proces wy dostawania się na zewnątrz. Gdy się z tym uporał i przykuśtykał do okienka kierowcy, Jocko pokręcił głową.

- Wiesz, co powinieneś zrobić?

- Nie, co takiego? - zapytał Sully.

- Powinieneś wrócić do tego interesu z podpalaniem.

Jako że najprawdopodobniej był to żart, Sully udał, że rozważa jego propozycję.

- To jest myśl.

Od czasu gdy spalił dom Kenny'ego Roebucka, ludzie pokpiwali sobie z niego jako rzekomego podpalacza. Jak się przekonał z biegiem lat, niektórzy mówili poważnie, gdyż Kenny publicznie nazywał pożar pomyślnym zrządzeniem losu.

- Do licha - prychnął Jocko. - Jeśli ta historia z lunaparkiem nie wypali, będziesz miał klientów wzdłuż całej Głównej. Niewykluczone, że sam cię wynajmę.

- Nie trać wiary - doradził mu Sully na odchodnym. - Jutro koniki znowu pobiegną.

Czerwony Chevrolet camaro stał pod oknami biura, podobnie jak el camino, co oznaczało, że Carl jest najprawdopodobniej u siebie. Mimo wszystko były to trzy kondygnacje do pokonania, Sully więc ulepił kulę ze

śniegu, wyszedł na środek pustej ulicy i cisnął ją w kierunku rzędu okien z napisem: Tip Top Construction: CI. Roebuck. Hałas wywołany uderzeniem był większy, niż się spodziewał, i na tle białej smugi, którą kula zostawiła na szybie, od razu ukazała się twarz Carla. A także jego ramiona, nie wiadomo dlaczego nagie. Za nim też coś się poruszyło. Biała, wystraszona twarz czmychnęła w głąb pomieszczenia. Carl odsunął okno.

- Czy już ci mówiłem, co oznaczają litery CI, przy moim nazwisku?

- Owszem, wczoraj. - Sully uśmiechnął się, zadzierając głowę. W sąsiednim oknie, należącym do poczekalni, zasłona uchyliła się nieśmiało. - Cześć, Ruby. - Sully jej pomachał. - Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia. - Zasłona opadła z powrotem.

- Czego chcesz, u diabła? - zapytał Carl. - Powinieneś robić w tej chwili szalunek.

A ty powinieneś być w domu, miał mu ochotę powiedzieć Sully.

- Nie zastałem cię w cukierni - rzekł zamiast tego. - Pewnie zapomniałeś, że się tam ze mną umówiłeś, żeby mi zapłacić.

- Więc skoro mnie nie zastałeś, przychodzisz tu i walisz mi śniegiem po oknach. Mogłem dostać zawału.

- I dobrze zrobiłem. Nie zdziwiłbym się, gdybyś pozwolił mi wleźć na drugie piętro, a potem pocałować klamkę. To do ciebie podobne.

- Słuchaj, za pół godziny będę na placu budowy, zgoda? - próbował pertraktować Carl. Zrozum, chłopie, przerywasz mi, miejże litość, bądź mężczyzną, do jasnej cholery, mówił błagalny wyraz jego twarzy.

Sully był niewzruszony.

- Włóż pieniądze do koperty i rzuć. To ci zajmie dwie sekundy. Nawet tobie tak szybko nie opadnie.

- Chyba już zapomniałeś, kiedy ci ostatni raz stanął. To musiało być dawno temu - rzucił Carl i znikł.

Po chwili pojawił się z kopertą w ręku.

- Wyląduj na parapecie, zobaczysz.

- Zaryzykuję - powiedział Sully. - Pieniądze, które mi jesteś winien, na ogół zostają w twojej kieszeni, nie na parapetach.

- Tak się nie robi interesów - poskarżył się Carl, ale rzucił kopertę, która ominęła szczęśliwie parapet na pierwszym piętrze i sfrunęła na ulicę. Sully chwycił ją zgrabnie, otworzył i wyjął banknoty. - Zanim odejdziesz, mam dla ciebie coś jeszcze - zawołał Carl.

Sully podniósł wzrok, żeby stwierdzić, że z niego zakpiono. Z okna sterczał biały tyłek Carla, a w głębi słychać było kobiecy śmiech. Siedzenie znikło, zanim Sully zdążył ulepić i rzucić następną kulę. Okno zamknęło się z trzaskiem.

Już miał zawrócić, kiedy zauważył w głębi ulicy ciemnego sedana, którego widział poprzedniego dnia koło placu budowy. Mężczyzna za kierownicą oglądał z uwagą jakieś czarne pudełko. Sully zamachał do niego, ale tamten nie zareagował. Dopiero kiedy śnieżna kula rozbiła się o przednią szybę jego samochodu, uchylił elektrycznie sterowane okno i wyjrzał na zewnątrz.

- Dobrze wyszło? - zapytał Sully, wskazując okno na piętrze.

- Nie rozumiem - powiedział mężczyzna beznamiętnie.

- Myślałem, że chciał pan to cyknąć.

- Obawiam się, że opacznie pan rozumie zaistniałą sytuację - odparł mężczyzna tonem, którego Sully nie znosił i którym pogardzał. Przypominał mu sposób wyrażania się prawników, reprezentujących firmę ubezpieczeniową na rozprawach w sprawie jego świadczeń.

- Mimo wszystko byłbym ostrożny - powiedział Sully. Wiedział, że Carl ma pistolet.

- Grozi mi pan? - zapytał mężczyzna.

- Nie, chyba że się pan boi kulek ze śniegu.

- To dobrze - rzekł mężczyzna i szyba podjechała z szumem do góry.

Kiedy Sully dotarł pod jadłodajnię „U Hattie”, Rub drobił zawzięcie dla rozgrzewki.

- Chciałbym, żeby było otwarte - wyznał. W kącikach ust miał resztki zaschniętego kremu.

- A to dlaczego?

- Żebym mógł wejść do środka i czekać na ciebie w cieple - wyjaśnił Rub z całą powagą.

Sully stał i patrzył na niego z uśmiechem, dopóki Rub nie opuścił wzroku, wpatrując się z zakłopotaniem w czubki swoich butów.

- Będiesz się ze mnie nabijać przez cały dzień - powiedział smutnym tonem.

Poszli w górę ulicy, w stronę furgonetki Sully'ego. Panna Beryl stała na ganku, otulając szczelnie szyję grubym szlafrokiem i przyglądając się dmu-chawie. To nasunęło Sully'emu pewien pomysł. Wyjął kawałek łańcucha, który trzymał w skrzynce na narzędzia, oraz kłódkę, na którą ją zamykał, i pokuśtykał przez podjazd w stronę swojej gospodyni. - To, żeby mogła sobie

pani poodśniezać, jeśli przyjdzie pani ochota - wyjaśnił.

- Nie dałabym rady, nawet tym - odparła panna Beryl, lustrując urządzenie nieufnie. - Powłokłaby mnie pewnie za sobą wzdłuż ulicy. Sąsiedzi wyglądaliby przez okna i mówili: „Oho, jedzie stara Beryl”.

- Co też pani opowiada - przekomarzał się Sully. - To byłaby świetna gimnastyka.

- Nie chcę gimnastyki. To są moje złote lata. Do czego ten łańcuch?

Sully zdążył już przymocować dmuchawę do barierki. Mógł ją po prostu schować do garażu, ale chciał, żeby Carl wiedział, gdzie jest.

- Żeby facet, któremu ją ukradłem, nie ukradł jej z powrotem. Jak tu przyjdzie, proszę wezwać policję.

Panna Beryl potrzebowała dobrej chwili, żeby to wszystko przetrwać. Była starą kobietą, której życie upłynęło na uczeniu szkolnej dziatwy, ale była też równą babką, o czym Sully doskonale wiedział.

- Jak już mówiłam, szelma z pana. Powiedz mi jedną rzecz, Donaldzie - dodała, poważniejąc. - Czy nigdy ci to nie doskwiera, że nie zrobiłeś lepszego użytku z życia, które ci Bóg podarował?

Sully postanowił sobie przed wielu laty, że nie będzie się obruszał o bardziej osobiste uwagi panny Beryl.

- Nie za często - przyznał, szarpiąc za łańcuch, żeby sprawdzić, czy dobrze trzyma. - Od czasu do czasu.

Robienie szalunku nie należało do ulubionych zajęć Sully'ego, ale jak większość prac fizycznych miało swój rytm, który można było wyczuć, jeśli człowiek zadał sobie trochę trudu, a kiedy już go złapał, ranek mijał jak z bicza strzelił. Rytm był tym, na czym Sully polegał przez długie lata - rytm oraz świadomość, że nie ma takiej roboty, choćby nie wiadomo jak niewdzięcznej, głupiej czy morderczej, z którą nie można by się uporać. Zegar posuwał się naprzód, jeśli mu się na to pozwoliło. Tego dnia, prawdę mówiąc, posuwał się całkiem różnie. Temperatura stale się podnosiła, dzięki czemu Sully i Rub, którzy spodziewali się, że skostnieją na amen, nim minie ranek, wciąż jeszcze mieli czucie w palcach. Wpadli w naturalne, równe, umiarkowane tempo, które dawało zapewne większe szanse na szybkie ukończenie roboty niż pośpiech.

Carl Roebuck nie rozumiał, jak Sully wytrzymuje z Rubem, ale prawdę mówiąc, Rub był jednym z nielicznych ludzi, z jakimi w ogóle mógł pracować. Był idealnym partnerem do tańca, zawsze chętnie zostawiającym

prorowadzenie Sully'emu lub komukolwiek innemu, z kim wypadło mu pracować. Urok Ruba polegał na tym, że nie miał własnego rozkładu dnia. Jeżeli Sully się spieszył, wybierał się gdzieś albo czekała go następna robota, zagryzali z Rubem wędzidła i było dobrze. Jeżeli z jakiegoś powodu - na przykład godzinowej stawki, według której byli rozliczani - opłacało im się zwolnić, Rub okazywał się jeszcze większym fenomenem, demonstrując nadzwyczajną umiejętność pozostawania w ruchu, z którego nic nie wynikało. Był idealnym robotnikiem, urodzonym, by wykonywać polecenia. Nie przejmował się, jeśli kazano mu knocić robotę, umiał stworzyć wrażenie, że praca postępuje, nawet wtedy, gdy wiadomo było, że nie zostanie ukończona danego dnia. W razie potrzeby można było na nim polegać, że nie zostanie ukończona, dopóki nie znajdzie się następna na jej miejsce. A wszystko to na pozór bez odpoczynku czy nawet chwilowej przerwy. Sully zawsze twierdził, że gdyby dziesięciu facetów pracowało przy stercie kamieni, Ruba na samym końcu zwolniono by za lenistwo. Dopiero po zwolnieniu wszystkich pozostałych pracodawca zorientowałby się, że Rub nie wziął jeszcze do ręki pierwszego kamienia.

Tak właśnie było w ów gorący, sierpniowy dzień, kiedy rozkopali trawnik pod domem Carla Roebucka, żeby położyć nowe rury wodociągowe. Udało im się jakimś cudem przekonać Carla do stawki godzinowej, co oznaczało, że nie ma powodu się szarpać, zwłaszcza że Toby zachodziła do nich co jakiś czas, pytając, jak im idzie, i dziwiąc się, jak mogą w ogóle pracować w takim skwarze. Przynosiła im do picia zimną lemoniadę w wysokich szklankach. Ubrana w cienką, luźną bluzeczkę, pochylała się nad wykopem, żeby podać im napój. Rub za każdym razem zapuszczał żurawia pod jej bluzkę, jak gdyby widział tam ziemię obiecaną. Po jej odejściu nadal wpatrywał się z rozdziawionymi ustami w to miejsce, gdzie znajdowały się przed chwilą jej pełne, nagie piersi, jakby wciąż je tam widział, niczym ognistą poświatę w ciemności. „Są całkiem opalone”, powtarzał, na wpół z podziwem, na wpół ze złością, może dlatego, że miał z nimi tak niewiele wspólnego.

Sully przeliczył się wówczas w swoich rachubach co do pięciu rzeczy. Przynajmniej z tyłu zdawał sobie sprawę. Może było tego więcej. Najpierw przecenił ilość czasu, potrzebnego do wykonania pierwszej części roboty. Przez cały poprzedni tydzień lało i ziemia była nadspodziewanie miękka. Większą część rowu wykopali tak szybko, że praca, której miało wystarczyć na cały dzień, mogła, jak się obawiał, zostać ukończona przed południem.

Tak więc zwolnili na dobre. Jeżeli Rub po mistrzowsku udawał, że pracuje na powierzchni, to w wykopie był absolutnym artystą.

Drugi błąd polegał na założeniu, że ostatni etap roboty będzie przebiegać w tym samym tempie co dwa poprzednie. Miał dość rozumu, żeby czegoś takiego nie zakładać, tak samo jak Carl miał dość rozumu, żeby nie zatrudniać jego i Ruba na stawkę godzinową, ale wiedza, jak lubił podkreślać młody profesor filozofii, rzadko kiedy się przekłada na czyn. Kiedy dociągnęli rów pod sam dom i natrafili na korzenie starego dębu, w którego cieniu tak dobrze im się piło lemoniadę podczas długiego, miłego popołudnia, zdążyli do tego stopnia zwolnić, że trudno im się było ponownie zmobilizować. Tymczasem dzień wszedł w swoją najgorętszą fazę, poza tym wypili stanowczo zbyt dużo słodkiego płynu, który musował teraz w ich żołądkach pod wpływem ciągotek, jakie wzbudzała w nich Toby. Tak więc około czwartej namówili ją, żeby pojechała do IGA i przywiozła im sześć puszek piwa (trzeci błąd), które okazało się lodowato zimne. Pierwsza puszka, w połączeniu ze straszliwym skwarem, podziałała jak cios obuchem. Co gorsza, Toby wypła jedno razem z nimi, a potem jeszcze jedno i wszyscy troje zaczęli się czuć w tym upale całkiem miło. Toby siedziała na brzegu wykopu, machając długimi, opalonymi na kremowo nogami, niczym uczennica, którą tak bardzo przypominała.

W końcu poszła do domu, mówiąc, że chce wziąć chłodną kąpiel, zanim będą musieli wyłączyć wodę. Kiedy pojawił się Carl, jego oczom ukazał się widok, który trudno mu było uznać za budujący. Jeżeli nie oczekiwał, to przynajmniej miał nadzieję, że robota będzie skończona, nowe rury położone, rów zasypany, ciśnienie wody przywrócone. Tymczasem zastał rów ciągnący się przez cały trawnik, od ulicy aż pod dom - dwa razy szerszy i bardziej paskudny, niż to było konieczne, puszki po piwie porozrzucane wzdłuż wykopu oraz Sully'ego, na wpół odurzonego upałem i piwem, walącego szaleńczo kilofem w twarde, uparte korzenie dębu, na które się właśnie natknęli.

Czwarty brzemienny w skutki błąd został popełniony, kiedy Sully podniósł wzrok i zobaczył, że to, co Carl ma przerzucone przez ramię, to kije do golfa. W tym momencie cały świat wydał mu się jednym wielkim gównem. Golf nie należał do sportów, które go kiedykolwiek pociągały. Nie uprawiał go nikt, kogo darzył sympatią, grało natomiast na okrągło wielu takich, których zdecydowanie nie cierpiał. Ale w chwili gdy do niego dotarło, że Carl zabawiał się grą w golfa, podczas gdy oni harowali w upale (w tej chwili

wydawało mu się, że faktycznie harowali przez cały dzień), golf jawił mu się jako jedno z licznych dóbr, których został w życiu pozbawiony. Mógł wymienić wszystkie pozostałe, gdyby ktoś go o to zapytał. Ale nikt nie pytał.

Dlatego, nim Carl zdążył otworzyć usta, Sully podniósł umorusany palec, ostrzegając swojego pracodawcę, że jeśli powie choć jedno słowo, wsadzi mu jeden z tych kijów tak głęboko do tyłka, że zaśpiewa wysokie C.

Wówczas dla odmiany Carl zgrzeszył mylną oceną sytuacji. Położył futerał z kijami golfowymi na trawniku, usiadł obok i zaczął się śmiać. W ten sposób zastosował się oczywiście do polecenia. Nie powiedział ani słowa, toteż Sully pozostał w wykopie, z którego gotów był wyskoczyć, nie zważając na kolano, i wprowadzić swoją groźbę w czyn. Stał na dnies rowu i czekał, aż Carl przestanie się śmiać, co w końcu nastąpiło.

- Uważasz, że to takie zabawne? - zapytał cicho.

Carl kiwnął głową, nadal nie mówiąc ani słowa.

- Poczekaj, aż dostaniesz rachunek.

Carl stęknął, podnosząc się i zarzucając z powrotem kije golfowe na ramię.

- Oj, Sully, Sully - powiedział. - Masz rację, to też będzie zabawne. Może nie aż tak, jak twoja mina, kiedy spróbujesz zrealizować czek, którym ci mam zamiar zapłacić, ale niewątpliwie zabawne.

Sully nie sądził, żeby Carl zrealizował swoją groźbę, i to się okazało jego piątym błędem. Obiektywne trudności okazały się przecież większe, niż przewidywali, i sądził, że Carl to rozumie. Rury, do których się dokopali, były stare, przypuszczalnie równie stare jak sam dom, i rozsypywały się w rękach niczym papirus. Nie stanowiło to wielkiego problemu, dopóki ostatni odcinek nie obłamał się przy samym kolanku, łączącym nitkę z główną linią wodociagową biegnącą pod ulicą. Stara rura była przerdzewiała i zapieczona, nie dało się jej odkręcić i założyć nowej, plastikowej. Trzeba było mieć szczęście, żeby jedynym solidnym kawałkiem metalu na całej długości okazała się sześciocalowa złączka, która tkwiła na swoim miejscu jak przy-murowana. Gdyby dało się ją usunąć waleniem i krzykiem, Sully z pewnością by tego dokonał, bo tłukł w nią i miotał przekleństwa, aż zrobiło się zbyt ciemno, żeby cokolwiek widzieć. Wtedy Carl zadzwonił na pogotowie wodno-kanalizacyjne, gdzie obiecano mu przysłać kogoś nazajutrz rano. Oznaczało to, że Roebuckowie będą musieli spędzić noc bez wody. Na szczęście Toby wzięła już swoją kąpiel i kiedy się pojawiła, żeby życzyć im z

zakłopotaniem dobrej nocy, wiało od niej miłym chłodem i wyglądała świeżo w cieniutkiej bluzeczce, chyba jeszcze luźniejszej niż ta, którą miała na sobie przedtem. Sully musiał zaprowadzić Ruba do furgonetki.

Kilka miesięcy później, kiedy pracowali przy szalunku, jedyne piersi, o jakich mogła być mowa, znajdowały się w nieprzyzwoitym wierszyku, którego Sully usiłował nauczyć Ruba, bo temu zawsze lepiej się pracowało, kiedy coś zajmowało jego uwagę. Mogło to być cokolwiek. Już kilka razy gratulowali sobie, że Rub pojął wreszcie zawilosci rymowanki, bo wyrecytował bezbłędnie:

*Mleczko „Carnation”
najbardziej lubię
Nie ciągniesz cycków
W gnoju nie dhubiesz.*

*Nie sprzątasz gnoju
Nie nosisz siana
Wystarczy dziurę zrobić w nim z rana.*

Ale dziesięć minut później znów zapominał początku i po raz kolejny zaczął: „Cycki najbardziej lubię”, co pozbawiało drugą linijkę sensu.

- To dlatego, że naprawdę najbardziej lubię cycki - tłumaczył się. - Cipkę też lubię, jeśli nie muszę na nią patrzeć. Zawsze napędza mi stracha.

Tym, co napędzało stracha Sully'emu, było jego kolano. Jego stan pogarszał się przez cały ranek, ból przeszywał go prądem od kostki niemal do samej pachwiny. Jeszcze kilka tygodni wcześniej potrafiłby to zignorować. Zawsze był dumny ze swojego progu wytrzymałości na ból. Jako dziecko nauczył się, że każdy ból osiąga kiedyś maksimum, po którym już dalej nie rośnie. Wypatrywało się tego momentu, żeby stwierdzić, że da się to wytrzymać, że to człowieka nie zabije. Jako chłopiec nauczył się znosić pijackie razy ojca, czekając, aż furia Dużego Jima osiągnie szczyt, po czym opadnie, pozostawiając Sully'ego pełnego dumy i - tak - miłości. Ból może być źródłem satysfakcji, z czego nie każdy zdaje sobie sprawę. Jeden z ulubionych dowcipów jego ojca brzmiał: „Dlaczego głupek wali głową w ścianę? Bo jest mu tak przyjemnie, kiedy przestaje”. Sully rozumiał, dlaczego ojciec tak lubi

ten kawał. Nie dlatego, że był zabawny, tylko dlatego, że zawierał szczerą prawdę. Ustępujący ból może być źródłem pozytywnych przeżyć. Naprawdę robiło się przyjemnie, kiedy ustawał. Nowy, spotęgowany ból, którego ostatnio doświadczał, przerażał nie tyle intensywnością, ile nieustępliwością. Jako chłopiec nie zdawał sobie sprawy z tego, o czym jego ojciec musiał wiedzieć, a mianowicie, że skutki bólu potrafią się kumulować. Ludzka wytrzymałość związana jest w dużym stopniu z możliwością złapania oddechu między jednym atakiem a drugim. Nie przejmował się swoim kolanem dopóty, dopóki gorsze dni przeplatały się z lepszymi. Ale teraz podejrzewał, że okresy wytchnienia, kiedy fala bólu opadała, pozwalając mu się zmobilizować przed kolejnym maksimum, zaczynają powoli znikać. Ostatnio rzadko zdarzało mu się przespać w nocy więcej niż cztery godziny i nawet ten krótki czas był podszyty bólem. Kuśtykał teraz nawet w snach, a kiedy się budził, czuł się, jak gdyby w ogóle nie kładł się spać. Jakby tego było mało, tabletki Jocko wprawiały go w stan sennego odurzenia nawet na jawie i zaczynał się obawiać, że zmierza powoli w kierunku jakiegoś stanu pośredniego, ni to snu, ni to jawy, gdzie tylko ból jest niezmienny. Przerażało go to bardziej niż nagle, przesywające uderzenia bólu, który nękał go w gorsze dni, takie jak ten. Były ludzkie, tak jak baty, które obrywał w dzieciństwie. Wytrzymał je dzięki świadomości, że ojciec ma ograniczony zasób sił i złości. W którymś momencie zawsze docierało do niego, co robi, czuł się usatysfakcjonowany i ból ustawał. Teraz Sully obawiał się, że stoi w obliczu nowego rodzaju bólu, który nie wie albo go to nie obchodzi, że człowiek już więcej nie wytrzyma. Bólu, który może okazać się nienasycony.

Tego ranka zrezygnował z zażycia tabletki Jocko, bojąc się, że nie będzie się potem nadawał do pracy. Szalowanie nie wymaga wielkiej przytomności umysłu, ale nie można tego robić przez sen, a co silniejsze środki ordynowane przez Jocko potrafiły działać jak głupi jaś i tak samo bez ostrzeżenia. A Rub wymagał nadzoru przy każdej czynności. Jego kuzyni, którym raczej nie groziło, że któryś z nich zostanie wzięty za matematyka teoretyka, skarżyli się, że nawet zadania śmieciarza go przerastają. Sully nie chciał, żeby go zamroczyło w sąsiedztwie dorosłego człowieka, który nie potrafi się nauczyć krótkiego, sprośnego wierszyka po trzygodzinnych usiłowaniach. Nie będzie brał tabletek, aż skończą.

- Ciebie strach nie ogarnia, kiedy patrzysz na coś takiego? - dopytywał się Rub.

- Nie pamiętam - zbył go Sully.
- Jak można tego nie pamiętać?
- A jak można nie pamiętać wierszyka o mleku?
- Dobra - powiedział Rub, ignorując ostatnią uwagę. - Nie lubię tego widoku i już.

Była prawie druga, kiedy skończyli. Rub był rozczarowany, że nie opanował rymowanki, ale pocieszał się, że przynajmniej skończyli z robotą na ten dzień i nie musiał już zajmować niczym uwagi. Cieszył się też na myśl o wielkim, coraz bardziej chrupkim indyku, który rumienił się u Bootsie w piekarniku.

- Lubię ten wielki płat skóry nad tyłkiem - powiedział, kiedy pa kowali młotki i pasy do skrzynki z narzędziami.

Sully podejrzewał, że Rub ma błędne pojęcie o indyczej anatomii. „Tyłek”, o którym mówił, to prawdopodobnie dziura po szyi, czego Rub nie mógł sobie wyobrazić, skoro nie było ani głowy, ani szyi.

- Nie rozumiem cię, Rub - powiedział Sully, kiedy wsiadali do furgonetki. - Widok cipki cię przeraża, a nie możesz się doczekać, żeby się wgryźć w indyczy odbyt. - Wyjął jedną tabletkę z jaskraworóżowej fiołki, przeżegnał się i połknął bez popijania.

- Sie la wi - odparł Rub.

Sully, który słuchał go jednym uchem, drugim nasłuchując symfonii, wygrywanej przez jego kolano, zamrugał oczyma i spojrzął na swojego towarzysza, czekającego cierpliwie, aż przekręci kluczyk w stacyjce, żeby mogli wrócić do domu na wielkiego, byczego indyka. Rub miał dość mglistą świadomość, że mówi w obcym języku, i kiedy Sully wybałuszył na niego oczy, uznał, że przynajmniej raz wie coś, czego nie wie ktoś inny.

- Każdy Bill ma swój pieprzony styl - przetłumaczył na użytek przyjaciela.

Sully śmiał się nadal dziesięć minut później, kiedy zajeżdżali przed dom państwa Squeers.

- Oho! - powiedział Rub i Sully wkrótce zrozumiał przyczynę jego popłochu.

Ścieżką od strony domu nadchodziła Bootsie, żona Ruba, nabuzowana w stopniu niebezpiecznym, biorąc pod uwagę jej rozmiary. Jak lubił mawiać Wirf, było tej niewiasty pod dostatkiem, żeby wykroić dwie doskonałe szpetne kobiety i jeszcze zostałyby dosyć na najbrzydsze dziecko pod słońcem. Rozjuszona tak jak w tej chwili stanowiła przerażający widok.

Mimo to Sully opuścił szybę. Poprzedniego dnia udało mu się uniknąć starcia z Zackiem dzięki temu, że zachował siedzącą pozycję oraz przyjazne nastawienie, i rozważał, czy ta sama taktyka okaże się skuteczna w obecnej sytuacji. Miał pewne wątpliwości. W przeciwieństwie do Zacka, Bootsie była bojowa z natury i chętnie szukała zaczepki.

- Wszystkiego najlepszego z okazji Święta Dziękczynienia, laleczko! - zawołał. - Jak się masz? - Bootsie wyglądała jak dyszące zemstą wcielenie wszystkich męskich grzechów od początku świata.

- Mój świąteczny indyk jest spalony na amen, tak się mam! - powiedziała. - Najpierw nie masz dla niego roboty przez całą jesień, a potem go wyciągasz w Święto Dziękczynienia i psujesz mi cały pieprzony dzień. Tak się mam!

Jedną z rzeczy, których Sully w żaden sposób nie potrafił wytłumaczyć zonie Ruba, był fakt, że Rub nie dla niego pracuje, że to nie on jest jego szefem. Trudność mogła brać się po części stąd, że to Sully, jak wszystko na to wskazywało, dostarczał Rubowi roboty (ponieważ nie było takowej, jeśli Sully jej nie dostarczył), że to on mu płacił i mówił, co i kiedy ma robić. To czyniło go w jej oczach wystarczająco podobnym do szefa. Sully doszedł do wniosku, że teraz nie miejsce i czas na wyjaśnianie sprawy.

- Cóż, przykro mi bardzo - powiedział. - Tak to czasami bywa z robotą. Wyszło nam trochę dłużej, niż przewidywaliśmy.

- Spieprzyliście całe święto, i tyle - powtórzyła Bootsie, chociaż Sully miał wrażenie, że odrobinę łagodniejszym tonem. Rub wolał nie ryzykować. Nie ruszył się, żeby wysiąść z furgonetki, i dla Sully'ego stało się jasne, że nie ma zamiaru się włączać do rozmowy. Musiał radzić sobie w pojedynkę. Rub wiedział, że później sam zostanie na placu boju, więc chwilowo dał pole do popisu Sully'emu.

- Chyba rzeczywiście mogliśmy sobie odpuścić ten zarobek - zgodził się Sully. - Święto Dziękczynienia czy nie.

Bootsie znów spuściła trochę pary, nie dała jednak za wygraną.

- Sklep daje mi tylko trzy płatne święta w roku i musieliście spieprzyć akurat jedno z nich.

- Obiecuję, że Boże Narodzenie zostawimy w spokoju - zapewnił ją Sully.

Bootsie nachyliła się, rzucając mężowi piorunujące spojrzenie.

- Wysiadasz czy mam podejść i ci pomóc? Miałeś dosyć czasu na pożegnania, kiedy mój pieprzony indyk się fajczył. Wyłaż, ale już. - Rub usłuchał bez zbytniego pośpiechu. Bootsie przyglądała mu się nieco bardziej pokojowo

usposobiona. - Właściwie możesz nam pomóc jeść tego gnojka - powiedziała do Sully'ego. - Miał około dwudziestu funtów, kiedy zaczynał się piec, więc nadal musi mieć z osiem.

- Byłoby mi niezmiernie miło, laleczko - odrzekł Sully - ale jestem już umówiony.

Bootsie prychnęła z pogardą.

- Innymi słowy, zmarnowałeś dziś dwa indyki. Mojego i jeszcze czyjegoś.

Prawdę mówiąc, wcześniej Sully nie wziął takiej ewentualności pod uwagę i nie miał ochoty robić tego teraz. Jakkolwiek nieprawdopodobne mogło się to wydawać, nie sposób było wykluczyć, że Vera czeka na niego ze świątecznym obiadem, coraz bardziej krwiożerczo usposobiona, w miarę jak z piekącego się ptaka zostaje coraz mniej.

W domu nalał sobie pełną wannę gorącej wody i wgramolił się do środka. Był zbyt zmęczony i obolały, żeby stać pod prysznicem. Nie pamiętał momentu zasypiania, ale musiał się zdrzemnąć, bo telefon wyrwał go ze snu. Poza tym woda, która była tak gorąca, kiedy wchodził do wanny, że ledwo wytrzymał, teraz zupełnie wystygła.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że byłam z ciebie wczoraj dumna - powiedziała Ruth, pomijając wstępy, jak zawsze, kiedy do niego dzwoniła. - Dawny Sully wdałby się w bójkę.

Stałym elementem ich długoletniego związku, antidotum Ruth na wyrzuty sumienia, wynikające z oszukiwania męża, było przypominanie zarówno Sully'emu, jak i sobie o jej dobroczynnym wpływie na niego. Wpływ ów był faktem, a mimo to jej aluzje do „dawnego” i „nowego” Sully'ego wydawały mu się cokolwiek irytujące. Że w młodości chętnie się wdawał w burdy po paru głębszych, że jego zachowanie pozostawiało wówczas wiele do życzenia, wszystko to mogło być prawdą, niemniej cała koncepcja z dawnym/nowym Sullym opierała się na założeniu, że Ruth przeprowadziła niezbędne zmiany, czego on nigdy oficjalnie nie potwierdził.

- Dawny Sully mógłby tę bójkę wygrać - zauważył.

- Dzisiejszy też - powiedziała Ruth. - Ale jest dostatecznie dojrzały, żeby spokojnie odejść.

- To nie ja odszedłem - przypomniał jej Sully. - To Zack. Ja nie mógłbym się nawet wydostać z boksu.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Jak cholera. Nigdy nie wiem, co masz na myśli.

Zapanowała chwilowa cisza.

- Dobrze, niech i tak będzie - rzekła wreszcie Ruth. - Odgrywaj się na mnie za to, że ci zawracam głowę w Święto Dziękczynienia.

- Cieszę się, że to robisz - powiedział Sully, bo był rad, naprawdę ogromnie rad, że słyszy jej głos. - Tylko że akurat stoję i ociekam wodą. - Po chwili milczenia zapytał: - Dlaczego właściwie nie mielibyśmy się pobrać?

- Dlatego.

- Hm - mruknął. - Zastanawiałem się zawsze, jaki właściwie jest powód.

- Za każdym razem inny. Ale wszystkie są równie dobre.

- Skąd dzwonicz? - zapytał nagle.

- Z domu. Zgadnij, kto chrapie właśnie na kanapie? Wiesz, jak na niego działa jedzenie. Obudzi się w samą porę, żeby zrobić sobie kanapkę z indykiem i pójść do łóżka.

- Nieźle mu się powodzi. Pracujesz na dwóch etatach i jeszcze mu dogadzasz. Na jego miejscu zachowywałbym się tak samo.

- Nie, nie zachowywałbyś się.

- Słuchaj, może byś do mnie wpadła? Moja gospodyni wybrała się gdzieś na świąteczny obiad. Mogłabyś mi przynieść skrzydełko.

- Zack zjadł oba skrzydełka. Udko też.

- Ignorujesz moje zaproszenie.

- Nie wydaje mi się, skarbie.

Sully poruszył nogą, zginając ją i rozprostowując w kolanie. Tabletką Jocko jeszcze nie zadziałała, wobec czego zaczął się zastanawiać, czy jego przyjaciel nie eksperymentuje przypadkiem z placebo.

- Cóż, wobec tego będę musiał pójść do Very - rzekł w nadziei, że Ruth zmieni zdanie. Wiedział, że wzmianka o jego byłej żonie potrafi tego dokonać. - Ona da mi przynajmniej jeść.

Ruth nie odpowiedziała i Sully zdał sobie po chwili sprawę, że płacze, chociaż nie miał pojęcia dlaczego.

- Czemu nie chcesz przyjść? Moglibyśmy się gdzieś wybrać, jeśli masz ochotę. Zjeść świąteczny obiad w jakimś lokalu. Pojechać do Schuyler.

- Jestem już po obiedzie - przypomniała mu Ruth. - Poza tym nie chcę się z tobą teraz widzieć. W tak podłym stanie ducha gotowa byłabym przyjąć twoją propozycję i jak bym wtedy wyglądała?

- Jak szczęśliwa kobieta.

- Chciałeś powiedzieć, że ty byłbyś szczęśliwy.

Szczerze mówiąc, Sully wątpił, czy którekolwiek z nich byłoby szczęśliwe, chociaż ożeniłby się z nią, gdyby się zgodziła.

- Przynajmniej jedno z nas by na tym skorzystało - doszedł do wniosku.

- Tak - powiedziała Ruth, już bardziej opanowanym głosem. - Zack by skorzystał.

- W takim razie wycofuję swoją propozycję. Nie zniósłbym myśli, że mu się przysłużyłem.

Sully usłyszał, że Ruth wyciera nos.

- Miłego obiadu u Very.

- Pewnie są już po obiedzie. Która godzina?

Ruth powiedziała mu, że dochodzi czwarta.

- Prawdopodobnie wyląduję w końcu „Pod Koniem”. Wpadnij, jeśli będziesz miała ochotę.

- Muszę z tobą porozmawiać, Sully - oświadczyła Ruth.

- W tej chwili nie rozmawiamy?

- Nie przez telefon.

Nagle tknęło go niedobre przeczucie.

- Nic ci nie jest? - Czyżby była u lekarza i czegoś się dowiedziała? - Nie jesteś chora?

- Nie.

- To o co chodzi?

- Jutro będzie mnóstwo czasu - powiedziała zdecydowanie Ruth. - Albo pojutrze. Mówiłeś, że dzisiaj wolałbyś sobie darować szturchańce.

- Zniosę je, jeśli ci na tym zależy.

- U mnie wszystko w porządku, naprawdę - powtórzyła Ruth i rzeczywistość jej głos brzmiał nieco raźniej. Może to, o czym nie wiedział, nie było aż tak straszne. - Wszystkiego dobrego z okazji Święta Dziękczynienia.

- Jasne.

Zanim wyszedł z mieszkania, połknął jeszcze jedną tabletkę. W końcu były to środki przeciwbólowe, a popołudnie spędzone w domu byleż żony musiało być bolesne.

Ganek od strony podwórza wyglądał jakoś inaczej, jakby czegoś tam brakowało. Sully stał i patrzył, dopóki do niego nie dotarło, co się stało. Dmuchawa zniknęła. Kiedy dotknął barierki, okazało się, że się rusza. Ktoś odkręcił wielkie śruby z nacięciami w kształcie krzyża, którymi była umocowana do najniższego stopnia. Sully uśmiechnął się na ten widok. Nic więcej nie

mógł zrobić, co oznaczało, że tabletki Jocko zaczynają działać.

Panna Beryl i pani Gruber postanowiły zjeść świąteczny obiad w południe, w gospodzie „Northwoods Motor Inn” na przedmieściach Albany. Po zaproponowaniu kilku innych miejsc, które by osobiście wolała, panna Beryl przystała w końcu na ulubioną restaurację przyjaciółki. Prowadziła, podczas gdy pani Gruber trajkotała radośnie przez całą drogę o przedwczesnym śniegu i innych ważkich kwestiach. Panna Beryl wiedziała, że euforia przyjaciółki ma związek z jej decyzją, żeby tej zimy nie wyjeżdżać z kraju. Zimy były długie i kiedy wyjeżdżała w połowie stycznia, zdawała sobie sprawę, że pani Gruber zostaje praktycznie odcięta od świata aż do jej powrotu. Młodsza od niej o dziesięć lat Alice Gruber była znacznie mniej samowystarczalna. Nie była przygotowana do wdowieństwa, kiedy jej mąż rozstał się z tym światem przed siedmiu laty, i dziś sytuacja wcale nie wyglądała lepiej.

- Będziemy się doskonale bawić na miejscu - oświadczyła, kiedy panna Beryl poinformowała ją, że tej zimy rezygnuje z Maroka. - Będziemy robić sobie wypadki w ładne dni. Zwiedzać. - Zdaniem pani Gruber można było robić mnóstwo rzeczy, nie ruszając się poza granice hrabstwa. Wystarczyło otworzyć gazetę i poczytać ogłoszenia. Nie trzeba było wyjeżdżać do Maroka, żeby zobaczyć coś nowego. Pani Gruber, jak panna Beryl często dochodziła do wniosku, tworzyłaby idealne stadło z Clive'em seniorem, który był tego samego zdania, jeśli chodzi o hrabstwo Schuyler. Miał na ten temat swoją domorosłą filozofię. W jego opinii wszystko na tym świecie można było znaleźć pod jakąś postacią, tam gdzie akurat mieszkali. Trzeba było tylko umieć to dostrzec. Panna Beryl zawsze patrzyła na męża zezem, kiedy formułował ten łatwy do przewidzenia wniosek, po czym mówiła, że zapewne ma rację.

Pani Gruber spędziła całe życie w North Bath i była w Albany mnóstwo razy, ale wciąż nie miała pojęcia, jak się tam dostać ani jeśli już się tam znalazła, jak stamtąd wrócić. Nigdy w życiu nie siedziała za kierownicą samochodu. Zdawała się pod tym względem na męża, a po jego śmierci na pannę Beryl. Nie zastanawiała się nigdy, czy jej przyjaciółce sprawia to jakąś różnicę, tak jak w jej głowie nie zrodziła się myśl, że sama powinna się nauczyć prowadzić. Uważała istniejący stan rzeczy za przypadłość podobną do lewożerności, z którą człowiek się rodzi i na którą nie ma lekarstwa.

Tymczasem panie Beryl sprawiało to różnicę, coraz większą w miarę upływu lat, zwłaszcza gdy pogoda pozostawiała wiele do życzenia, na autostradzie panował duży ruch, a punktem docelowym była restauracja, która nie należała do jej ulubionych. Nigdy nie jeździła szybciej niż czterdzieści pięć mil na godzinę, tak więc co chwila jakiś samochód mijał jej forda i gnał przed siebie, trąbiąc aż do uzyskania pełnego efektu Dopplera, na co ona odruchowo zwalniała, spinając się w sobie w oczekiwaniu na uderzenie. Ryczące klaksony nie wydawały się robić najmniejszego wrażenia na pani Gruber, której słuch zaczynał ostatnio szwankować i która, przynajmniej w samochodzie, w ogóle rzadko reagowała na zewnętrzne bodźce. Panna Beryl zauważyła, że jej przyjaciółka, acz obdarzona normalnym wzrokiem, nie widziała nic z tego, na co patrzyła, kiedy znajdowała się wewnątrz pojazdu. Przednia szyba forda panny Beryl była dla niej ekranem telewizora, a ona oglądała program, który jej nie interesował. Wyłączyłaby go, gdyby mogła.

Nieodmiennie pierwszą rzeczą, jaką rejestrowały zmysły pani Gruber, była restauracja „Northwoods Motor Inn” - niski budynek, zdaniem panny Beryl najbardziej nijaki obiekt w całym Albany. Wyciągała wówczas rękę i wołała: „Tam!”, co było tym bardziej irytujące, że panna Beryl zdążyła już zjechać na lewy pas i włączyć kierunkowskaz. Rozumiała oczywiście, że pasy ruchu, kierunkowskazy i sygnalizatory nic jej towarzysze nie mówią, ale mimo to irytowało ją, że kiedy pokonała już bez niczyjej pomocy dziesięć mil, pulsujący ruchem odcinek autostrady międzystanowej, znalazła właściwy zjazd i wykonała niezbędne manewry w miejskim tłoku, wśród trąbiących klaksonów, pani Gruber wskazywała jej triumfalnie końcem kościstego palca cel ich podróży.

Tego dnia panna Beryl, która nie podzielała wesołego nastroju swojej przyjaciółki, usilnie starała się odciąć od jej paplaniny i stłumić niewczesny żal, że tak pochopnie zrezygnowała z wyjazdu. Clive junior zadzwonił wczesnym przedpołudniem, żeby złożyć jej życzenia z okazji Święta Dziękczynienia. Pod koniec rozmowy zagadnął ją mimochodem, o której spodziewają się wrócić z Albany. Znała swojego syna zbyt dobrze, by wierzyć, że to przypadek. Fakt, że szczególnie podkreślił zdawkowy charakter pytania, stanowił dla niej nieomylny sygnał, że ustalenie pory ich powrotu było właściwym celem jego telefonu. Poza tym była niemal pewna, że nie wspominała mu o swoich planach obiadowych w Albany.

Panna Beryl dostrzegła zbliżający się zjazd, wrzuciła kierunkowskaz i zaczęła odbijać w prawo, spodziewając się pasa ruchu dla zjeżdżających z autostrady. Kiedy ten się pojawił, zjechała jeszcze bardziej na prawo i w końcu stanęła na światłach. Skorzystała z tej okazji, żeby zerknąć na przyjaciółkę, która, jak podejrzewała, była wtyczką Clive'a juniora. Jeżeli pani Gruber zdawała sobie sprawę, że jest obiektem lustracji, nie dała tego po sobie poznać, i nadal paplała radośnie o niczym. Panna Beryl doszła do wniosku, że cokolwiek jej syn ma w zanadrzu, pani Gruber musi już o tym wiedzieć. A przynajmniej wie więcej niż ona. Pozostały jej jedynie domysły. Clive junior wydawał się rozczarowany, niemal zaalarmowany jej decyzją o rezygnacji z zagranicznych wojaży. Wiedziała, że jej syn bez przerwy coś mota, i ta ostatnia sprawa mogła dotyczyć dosłownie wszystkiego. Mógł znów się rozglądać za domem spokojnej starości dla niej, chociaż przyrzekł, że z tym skończy. Sam mieszkał w luksusowej willi w zabudowie atrialnej, będącej częścią osiedla wybudowanego na obrzeżach nowych terenów rekreacyjnych, należących do Schuyler Springs. Któregoś letniego popołudnia, wkrótce potem, jak się wprowadził, zaprosił ją do siebie na lunch. Powiedział jej wtedy, że ten sam wykonawca rozpoczyna po drugiej stronie miasta budowę nowego kompleksu, zaprojektowanego specjalnie dla osób w podeszłym wieku. Obiad jedli na dworze, na wewnętrznym patio. Clive junior pokazywał jej folder i opowiadał o zaletach życia wśród ludzi do wtóru ogłuszającej kanonady piłek golfowych, rykoszetujących co chwila o ściany willi. Jedna z nich wpadła nawet do patio, objijając się z gniewnym warkotem wewnątrz zamkniętej przestrzeni, aż zatrzymała się w końcu u stóp Clive'a juniora. „Wygląda na to, że jesteście obłączeni” - zauważyła panna Beryl, kiedy Clive junior schylił się, żeby podnieść uśmiechniętego titleista, wysłanego w powietrze przez któregoś z graczy ćwiczących na pobliskiej, czternastej rzutni. Jego twarz miała ten sam wyraz co na licznych fotografiach z dzieciństwa, na których demonstrował gwiazdkowe lub urodzinowe prezenty. W założeniu obiektyw miał uchwycić moment radości, ale chłopiec wyglądał najczęściej, jakby zdążył już wywachać, co jest nie tak z nową zabawką i dlaczego nie będzie mógł dokonywać wyczynów, przedstawionych na barwnie ilustrowanym opakowaniu.

Światła się zmieniły i panna Beryl przejechała skrzyżowanie, zastanawiając się, do czego zmierza tym razem Clive junior i czy ma to cokolwiek wspólnego z zakusami na jej dom i z koniecznością wyprowadzki. Nadal

rozważała tę ewentualność, kiedy usłyszała, jak pani Gruber pyta:

- Czy to nie tam, moja droga?

Stwierdziła, że kościsty palec przyjaciółki istotnie wskazuje jedyny budynek w Albany, jaki ta potrafiła rozpoznać - cel ich wyprawy, gospodę „Northwoods Motor Inn”, którą właśnie minęły.

- Ojej - powiedziała ze smutkiem pani Gruber, patrząc, jak restauracja zostaje za nimi, jak gdyby błąd jej przyjaciółki był zbyt poważny, aby dało się go naprawić. - Jak sądzisz, dałoby się zawrócić?

Prawdę mówiąc, nie było takiej możliwości, przynajmniej przez najbliższe ćwierć mili. Ulicę, którą jechały, wysepka dzieliła na dwa pasy, co uszło uwagi pani Gruber. Kiedy restauracja znikła z pola widzenia, pani Gruber wydała głośne westchnienie. Kilka przecnic dalej, kiedy zatrzymały się na światłach, zauważyła coś, co przykuło jej uwagę.

- Ta mogłaby być sympatyczna - podsunęła. - Wygląda zdecydowanie sympatycznie.

- To jest bank - uświadomiła ją panna Beryl, chociaż musiała przyznać, że jeśli nie liczyć wielkiego napisu, budynek faktycznie bar dziej przypominał restaurację.

Pani Gruber znowu westchnęła.

Panna Beryl zawróciła na pustym parkingu przed bankiem i pojechała z powrotem tą samą ulicą. Manewr ów zdezorientował panią Gruber, która okazała równocześnie zdumienie i podniecenie, kiedy ich oczom znów ukazała się gospoda „Northwoods Motor Inn”, tym razem po drugiej stronie ulicy. „Tam!” - Wyciągnęła rękę. Równie pomocna okazała się przy wjeździe na parking. „Tam!” - zawołała znowu, kiedy jej przyjaciółka zdążyła już zwolnić, dać znak kierunkowskazem i zaczęła skręcać. Czyli wszystko się jednak ułożyło. Wszystko się zawsze jakoś układa, nawet kiedy sprawy wyglądają beznadziejnie - doszła do wniosku pani Gruber. Życie uczyło ją tego wciąż na nowo i powzięła mocne postanowienie, tam, na przednim siedzeniu fordą panny Beryl, że raz na zawsze przestanie być starym ponurakiem.

Gospoda „Northwoods Motor Inn” nastawiała się, szczególnie w niedziele i święta, na gości w podeszłym wieku. Sala jadalna była obszerna i jedno-poziomowa, między stolami nakrytymi białymi obrusami było pod dostatkiem miejsca dla wózków inwalidzkich. Młode kelnerki, odziane w sympatyczne tyrolskie stroje, były rosłe i wystarczająco krzepkie, aby podeprzeć leciwego stołownika z obu stron, kiedy wyruszał na trasę wiodącą wzdłuż

szwedzkiego bufetu z wyborem zup i sałatek. Dziewczyny wiedziały z doświadczenia, że ich klienci są entuzjastycznie nastawieni do bufetu, ale niezrządkiem sami by nie sprościli zadaniu, jakim było przemieszczanie się wzdłuż stołu. Im trudniej im to przychodziło na skutek artretyzmu, wypadających dysków, słabego wzroku, zachwiań równowagi i kiepskiego apetytu, tym bardziej bywalcy restauracji kochali się w długich stołach, gdzie w równych rzędach pyszniły się marchewkowe i selerowe słupki, twarożki, sosy jabłeczne i kostki żółtego sera nadziane na fikuśne patyczki owinięte w celofan, a także egzotyczne specjały, takie jak sałatki z groszku i trzech rodzajów fasolki czy makaronu z sosem winegret, z których wiele wymagało objaśnień. Podczas tych konsultacji, w miarę jak dokonywano wyborów i podejmowano decyzje, kolejka wydłużała się coraz bardziej, aż wreszcie wila się pod ścianami, sięgając połowy sali.

Tak wyglądała sytuacja, kiedy panna Beryl i pani Gruber zostały usadzone przy stole, o wiele za dużym dla nich dwóch, znajdującym się na samym środku sali. Panna Beryl była wciąż zbyt wytrącona z równowagi tym, że minęła restaurację, i zbyt wkurzona na swoją towarzyszkę, żeby myśleć poważnie o jedzeniu. Pani Gruber rwała się, żeby dołączyć do kolejki, zanim zrobi się jeszcze dłuższa. Panna Beryl odmówiła, zamawiając koktajl Manhattan. - Nie zrobi się dłuższa - zapewniła ją. - Oprócz nas wszyscy już w niej stoją.

- Skoro tak uważasz, moja droga - ustąpiła pani Gruber, która w większości życiowych spraw zdawała się, acz niechętnie, na swoją przyjaciółkę. - Jak się nazywa ten smakowity koktajl, który tak lubię?

- Staroświecki - przypomniała jej panna Beryl.

Pani Gruber zamówiła staroświecki.

Jadłospis na ten dzień został specjalnie wydany na czerpanym papierze o ozdornie wykończonych brzegach i pani Gruber studiowała go, jakby to był kamień z Rosetty. Miały do wyboru pieczonego indyka, szynkę zapiekaną w polewie i „jankeski kociołek”. Wargi pani Gruber poruszały się podczas lektury opisów kolejnych dań, rozszerzając się wreszcie w uśmiechu, kiedy podjęła decyzję, którą panna Beryl mogła przewidzieć od samego początku.

- Zjem starego Toma - oznajmiła o wiele za głośno. Kilka osób siedzących w pobliżu obejrzało się z zaskoczeniem. - „Indyk starego Toma”, tak, to jest to - powiedziała pani Gruber. Czytała teraz menu po raz drugi, żeby się upewnić. - Soczysty, tak tu piszą.

Jeśli chodzi o potrawy podawane w „Northwoods Motor Inn”, pani Gruber lubiła w nich dokładnie to, czego nie lubiła panna Beryl - wszystko było

rozgotowane. Warzywa rozpoznawało się jedynie po kolorze albo jego wyblakłej wersji, gdyż utraciły w procesie przerabiania na papkę właściwy sobie kształt i strukturę. Mięso też niemal utraciło naturalną konsystencję, tak rozmiękczone pod wpływem temperatury i pary, że, jak pani Gruber zawsze uważała za stosowne podkreślić, można je było kroić widelcem.

- Soczysty to nie jest właściwe określenie w odniesieniu do indyka - powiedziała panna Beryl.

Pani Gruber odłożyła jadłospis.

- Słucham? - zapytała.

Panna Beryl powtórzyła swoją uwagę.

- Zawsze się czepiasz słówek, kiedy jesteś nie w sosie - oświadczyła pani Gruber, najwyraźniej zdecydowana zareagować na humory przyjaciółki. - Nie ma nic niewłaściwego w słowie „soczysty”. Jest absolutnie urocze. Człowiek niemal je widzi.

Panna Beryl zgadzała się z nią w tej ostatniej kwestii, chociaż miała wątpliwości, czy to, co ona niemal widzi, jest tym samym, co niemal widzi pani Gruber. Niemniej twierdzenie, że zawsze irytują ją słowa, kiedy tak naprawdę trapi ją co innego, było najzupełniej słuszne. Może rzeczywiście miała muchy w nosie. Telefon Clive'a juniora i jej podejrzenia pod adresem pani Gruber stanowiły jedynie część problemu. Właściwie wszystko ją po trosze irytowało od porannej rozmowy z Sullym na ganku swojego domu, kiedy ten nieoczekiwanie przyznał jej rację, że przeżył życie nie tak jak powinien. Panna Beryl zawsze podziwiała w nim niezłomną lojalność wobec niezliczonych błędów, które składały się na jego dziwaczną, samotną egzystencję. Oczekiwała jego zwykłej hardej przekory i to smutne, niepodobne do niego przyznanie się do winy sprawiło, że wydał się jej jeszcze bardziej widmowy niż zwykle. Czasami odnosiła wrażenie, że całe miasteczko Bath nabiera widmowego charakteru, a szczególnie ulica Górna, z jej wiązami, płataniną czarnych gałęzi nad głowami i starymi domami, w których po większej części straszyl jedyny pozostały przy życiu członek niegdyś kwitnącej rodziny, częściej rozmawiający dziś z umarłymi niż z żywymi. Może mieszkanie w sąsiedztwie pól golfowych rzeczywiście stanowiłoby dla niej lepsze rozwiązanie? Może lepiej służyć za cel dla rykoszetujących piłeczek, niż tkwić pod konarem, który w końcu musi spaść. Tego ranka, po wyjściu Sully'ego, zanim zadzwonił Clive junior, odbyła długą, niezbyt satysfakcjonującą rozmowę z Clive'em seniorem, którego zawsze najbardziej jej było brak w święta.

Włączyła paradę Macy'ego*, ale jej wzrok biegł w stronę fotografii męża, którego okrągła twarz górowała nad balonem z wizerunkiem Snoopy'ego. Czyżby tego ranka jej wyraz sugerował lekką dezaprobatę? „Jak ci się nie podoba to, co robię, to się wypchaj - powiedziała. - Ty też” - dodała pod adresem Eda, którego mina sugerowała, że ma w zanadrzu spory zapas wywrotowych podszeptów ze skarbnicy mądrości afrykańskiego Zambie.

* Nowojorska parada, stanowiąca jeden z głównych punktów obchodów Święta Dziękczynienia, sponsorowana przez sieć sklepów Macy'ego (przyp. tłum.).

Jeszcze nie tak dawno panna Beryl była całkiem zadowolona z życia, jakie wiodła przy Górnej, i nie rozumiała, dlaczego nie miałyby być zadowolona nadal, skoro okoliczności decydujące o jej egzystencji zmieniły się tak niewiele. Prawda, śmierć się zbliżała, ale ona się jej nie bała, w każdym razie nie bardziej niż przed dwudziestu pięciu laty. Trapiło ją nieokreślone przeczcucie, jak gdyby zapomniała o czymś ważnym, co zamierzała zrobić. Widok nieszczęsnej małej, która pojawiła się u niej z matką poprzedniego dnia, zaostrzył i pogłębił to uczucie, chociaż nie umiała sobie wytłumaczyć, w jaki sposób owo dziecko, choćby nie wiadomo jak godne pożałowania, miałoby wpłynąć na jej własny żal. Żal, który był czymś absurdalnym u osiemdziesięcioletniej kobiety, w śnieżny poranek Święta Dziękczynienia, kiedy, musiała to przyznać, miała wiele powodów do wdzięczności. Całe to gapienie się na korony drzew i czekanie, aż Bóg dokona aktu jakiejś kosmicznej sprawiedliwości, było nonsensem, świadczącym niezbitcie, że artretyzm zaczyna atakować jej mózg, nie tylko palce u rąk i nóg. Musi skończyć z tym wszystkim. Sully nie jest widmem, tylko mężczyzną. A Clive junior jest jej synem, krwią z jej krwi i kością z jej kości i nie ma powodu przypuszczać, że jego protesty mają inną przyczynę niż troska o jej dobro. Te podejrzania to najzwyczajniejsza paranoja. Trudno sobie wyobrazić, co Clive junior mógłby zyskać, knując zamach na jej niezależność, a skoro nie miał powodu tego robić, to tego nie robił. A skoro nie spiskował przeciwko niej, to pani Gruber nie mogła być jego współniczką.

Otóż to, powiedziała w duchu panna Beryl, zadowolona, że przemówiła sobie do rozsądku, dzięki czemu mogła się cieszyć świątecznym obiadem i być wdzięczna. Przyjrzała się ponownie pani Gruber, która wróciła do jadłospisu i wczytywała się w niego jak w powieść. Pomyślała, że zapewne jest jej winna przeprosiny. Już miała to zrobić, kiedy usłyszała własny głos, wypowiadający coś całkiem odmiennego.

- Mów prawdę - rzekła surowo. - Czy mój syn dzwoni do ciebie, żeby mnie kontrolować?

Panna Gruber wykonała ruch, jakby chciała opuścić trzymany w ręku jadłospis, ale się rozmyśliła.

- O co ci chodzi?

- O to, czy mój syn dzwoni do ciebie, żeby mnie skontrolować.

- Ależ skąd, moja droga - zaprzeczyła pani Gruber, ponownie zagłębiając się w lekturę jadłospisu. - Dlaczego miałby do mnie dzwonić?

Panna Beryl się uśmiechnęła, podbudowana nieudolnym kłamstwem przyjaciółki i faktem, że potrafiła je wykryć.

- Nie mówiłam mu, że wybieramy się tu dzisiaj na obiad. - Nagle nabrała pewności w tej sprawie. - Ale kiedy dzwonił do mnie dziś rano, wiedział o naszych planach.

- Musiałś mu wcześniej powiedzieć. - Pani Gruber nadal mówiła do jadłospisu. - Po prostu zapomniałaś.

- Spójrz na mnie, Alice - zażądała panna Beryl.

Pani Gruber z łękiem opuściła kartę.

- Clive junior nie jest moim prawdziwym synem - powiedziała panna Beryl. - W szpitalu zamienili kołyski.

Zszokowany wyraz twarzy pani Gruber świadczył wymownie, że wierzyła w tę rewelację przez długich pięć sekund.

- Jak możesz mówić coś tak okropnego?

- Żartowałam - uspokoiła ją panna Beryl, chociaż nie było to całkiem ściśle. W rzeczywistości było to bardziej niespełnione życzenie niż żart.

Kiedy panna Beryl dopiła swój manhattan, spostrzegła, że kolejka przy bufecie zaczyna się kurczyć.

- Dobra - powiedziała, podnosząc się. - Spróbujmy uchwycić jakiś przyczółek.

Pani Gruber, wciąż z miną winowajczyni, przyjęła tę propozycję z wdzięcznością.

- Przyczółek - powiedziała, odsuwając krzesło. - Te twoje wyrażenia.

Przy bufecie z sałatkami pani Gruber napełniła dwa talerze, pozwalając jednej z kelnerek w tyrolskim stroju odnieść je do stolika.

- Lubię słowa - przyznała panna Beryl, kiedy zasiadły z powrotem i pani Gruber zabrała się z namaszczeniem do swojego twarożku. - Lubię dobrać odpowiednie.

Godzinę później, w drodze powrotnej do Bath, pani Gruber dostała czkawki. Pannie Beryl przypomniał się jeden z ulubionych żarcików sytuacyjnych jej matki, którym postanowiła się podzielić ze swoją przyjaciółką.

- Albo skłamałaś, albo musiałaś coś zjeść - powiedziała. Pani

Gruber spojrzała na nią z miną winowajczyny i czknęła. Kiedy dotarły na Górna, samochód Clive'a juniora stał zaparkowany przed domem.

Vera, była żona Sully'ego, stała przy zlewie kuchennym w swoim domu przy ulicy Srebrnej, czując, po raz nie wiadomo który tego dnia, jak zdradzieckie emocje ściskają jej gardło. Przez okno kuchenne widziała w gęstniejącym mroku zarys zdezelowanej furgonetki, zostawionej na wolnych obrotach przy krawężniku. Chmura błękitnych spalin, wydobywających się z rury wydechowej, wydawała się brać w posiadanie całe najbliższe sąsiedztwo. Właściciel samochodu, kimkolwiek był, wszedł najwyraźniej do domu po drugiej stronie ulicy, zostawiając go na chodzie. Trujący dym nie chciał się rozproszyć i spowijał wszystko ciemnym całunem. Vera wyobraziła sobie, że obłok spalin rozrasta się, pokrywa już nie fragment ulicy, ale całe miasto, w którym się urodziła i żyła, pozostawiając na wszystkich tłusty osad.

Mieszkała w North Bath przy ulicy Srebrnej od blisko sześćdziesięciu lat, przy czym ostatnie trzydzieści przeżyła w tym skromnym, zadbanym domku wraz z Ralphem Mottem, mężczyzną, którego poślubiła wkrótce po rozwodzie z Sullym. Pierwszych dwadzieścia lat życia spędziła niecałą przecznicę dalej, w domu, który jeszcze przed dziesięciu laty, zanim ojciec przeniósł się do ośrodka dla kombatanów, był równie ładny i zadbany jak wszystkie posesje przy tej ulicy. Od tamtego czasu cała okolica zaczęła się wyraźnie chylić ku upadkowi. Dom jej ojca, w którym przeżyła szczęśliwe, dziewczęce lata, był teraz wynajęty trzeciej z rzędu rodzinie niechlujnych, nieokrzyszanych prostaków, żyjących z opieki społecznej. Jego nowego właściciela Vera знаła i darzyła antypatią od czasów, kiedy chodzili do jednej klasy w szkole średniej. Kiedy kupił dom od jej ojca, wszyscy się spodziewali, że w nim zamieszka, ale on go wynajął, podobnie jak inny dom za rogiem, w którym kiedyś mieszkali jego rodzice, a sam się przeprowadził do Schuyler Springs. Dom ojca kupił za bezcen, kiedy Robert Halsey, którego zdrowie systematycznie się pogarszało, poczuł, że wkrótce może potrzebować stałej opieki. Sprzedał dom znacznie poniżej jego wartości rynkowej, nie konsultując tego

ani z córką, ani z kimkolwiek innym, być może nie orientując się w jego rzeczywistej wartości, albo obawiając się, że jeśli będzie czekał zbyt długo, choroba pochłonie wszystko, co jest wart. Sprzedał go latem, kiedy Vera, Ralph i Peter wyjechali na tydzień na wakacje, i przeprowadził się do domu kombatanta w Schuyler Springs, zanim zdążyli wrócić. Wiedział, że Vera próbowałaby mu to wyperswadować i może by jej się to udało, wiedział, że miała zamiar opiekować się nim tak długo, jak długo by jej na to pozwolił. Był pozbawiony sentymentów, jeśli chodzi o córkę, znał aż nadto dobrze jej nadnaturalne oddanie, wiedział, że postawi jego potrzeby, jego dobro, wyżej niż swoje własne, być może nawet wyżej niż dobro własnej rodziny. W młodości, kiedy uczęszczała na pierwszy rok seminarium nauczycielskiego, a on zachorował, po prostu przyjechała do domu, zostawiając studia, żeby się nim opiekować. Kiedy mu się poprawiło, przynajmniej na jakiś czas, nie wróciła na uczelnię, tylko zamiast tego wpakowała się w skazane z góry na klęskę małżeństwo z Sulym (żeby być bliżej niego, jak podejrzewał), a po rozwodzie w kolejne, tym razem bardziej do przyjęcia, ale, jak się obawiał, równie nieszczęśliwe małżeństwo z Ralphem Mottem.

Robert Halsey był zaniepokojony, ale niespecjalnie zaskoczony, kiedy jego córka namówiła swojego drugiego męża na kupno domu przy tej samej ulicy. Rozumiał, że bliskość daje jej poczucie bezpieczeństwa i komfortu psychicznego. Nigdy nie umiał Verze powiedzieć, że powinna dać sobie z nim spokój, że już czas, tak jak nie umiał tego zrobić, kiedy popełniała błędy w innych sprawach, mimo niezliczonych okazji, jakich mu po temu dostarczała. Miłość córki do niego była najstraszniejszą rzeczą, jakiej w życiu doświadczył. Nie widział żadnego sposobu, żeby się jej przeciwstawić, żeby zabezpieczyć ją przed wyrządzeniem sobie samej jeszcze większej krzywdy. Sprzedając dom, przekazując pieniądze Verze i Ralphowi i przeprowadzając się do domu kombatanta, uciekł przed jej poświęceniem i pomógł im wyjść z długów, w które popadli z powodu wcześniejszych niefortunnych decyzji Very.

Choć nigdy jej tego nie powiedział, zdawała sobie sprawę, że sprawiła ojcu zawód. Pracował ciężko i poświęcił sporo, żyjąc ze skromnej pensji małomiasteczkowego nauczyciela, aby zapewnić jej wyższe wykształcenie. Zamiast iść na uniwersytet, na co należał, ona uparła się przy seminarium dla nauczycieli, bo było bliżej, a potem zrezygnowała nawet i z tego. Wiedziała, że nie ucieszy ojca, wracając do domu, żeby się nim opiekować, że było to z

jej strony głęboko zakamuflowane kłamstwo. Nie lubiła uczelni i studenckiego życia, nie nawiązała tam przyjaźni i nie potrafiła się skupić na nauce. Choroba ojca była pretekstem, żeby wrócić do domu i dzielić jego życie. Kochała go tak bardzo, że nie panowała nad swoim oddaniem, choć zdawała sobie sprawę, przynajmniej niekiedy, że to właśnie ono, w nie mniejszym stopniu niż niezliczone mankamenty Sully'ego, odpowiada za rozpad jej pierwszego małżeństwa, jak również za trwały brak szczęścia w drugim. Ujmując rzecz najprościej, żaden mężczyzna nie dorastał do pięt Robertowi Halseyowi, człowiekowi o szlachebnym pochodzeniu, potomkowi w linii prostej Jedediasza Halseya, który pierwszy nakreślił, a potem urzeczywistnił wizję hotelu Sans Souci.

Jedynym człowiekiem, mającym szansę zbliżyć się do tego ideału, był jej syn Peter, w którego Vera bardzo wiele zainwestowała. Przeznaczeniem chłopca było, jej zdaniem, ocalenie sensu wiary i poświęcenia jej ojca. Był inteligentny, uczył się znacznie lepiej niż ona w swoim czasie, miał bardzo dobre wyniki w szkole, chociaż nauczyciele raczej go nie lubili. Jego osiągnięcia nie były błyskotliwe, ale niewiele im do tego brakowało, czego jego matka nigdy nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Był niesłuchanie nerwowym dzieckiem, ale nie podejrzewała, że uczy się wyłącznie ze strachu. Kiedy wreszcie zaczęła się orientować, co się dzieje, ustalenie źródła lęków syna nie zajęło jej wiele czasu. Mógł być nim jedynie Sully, człowiek, który równocześnie był i nie był jego ojcem, czający się na dnie jego świadomości.

Przyszło jej to bez trudu, gdyż sama podzielała ten lęk. Nigdy nie opuściła jej świadomość, że Sully ma moc zniszczenia ich wszystkich, być może przez swoją nonszalancję lub nawet przez źle pojęte dobre intencje. Największa obawa dręcząca ją, kiedy chłopiec dorastał, wiązała się z tym, że Sully obudzi się któregoś dnia i zacznie się interesować swoim synem. Jej obawy okazały się bezpodstawne, ale spędziła wiele bezsennych nocy, opracowując strategię na wypadek gdyby, co mało prawdopodobne, trzeba było stawić czoło Sully'emu. Za każdym razem, kiedy zjawiał się pod jej drzwiami, na ogół podpuszczony przez jej nierozgarniętego męża, proponując, że gdzieś chłopca zabierze, Vera wpadała w popłoch, że może go nagle pokochać. Co miałyby wtedy zrobić? Co mogłaby zrobić?

To ów irracjonalny lęk sprawiał, że tak często mylnie oceniała sytuację. Pamiętając, jak tęskniła za domem w seminarium w Oneonta, jak obco się tam czuła i jak ciężko jej się było skoncentrować na nauce, postanowiła

oszczędzić Peterowi wątpliwej jakości szkoły średniej w North Bath i posłała go do prywatnej szkoły dla chłopców w New Hampshire. Decyzja była rozdzierająco bolesna, bo zdawała sobie sprawę, że choć manewr ten zabezpieczy chłopca przed ojcem, rozdzieli go również z nią samą. W końcu zdecydowała, że warto podjąć ryzyko, wmawiając sobie, że im lepsze otrzyma wykształcenie, im większej oglądy i poloru nabierze, tym mniej atrakcyjny stanie się dla swojego ojca, tym mniej prawdopodobne, że Sully się ocknie i pokocha własnego syna.

To, co się stało, niektórzy nazwaliby zapewne sprawiedliwością. Patrz punkt: „Uważaj, kiedy wypowiadasz życzenie”. Tak jak miała nadzieję, zainteresowanie Sully'ego synem spadło jeszcze bardziej, kiedy chłopiec wyjechał do szkoły. Uświadomiła sobie poniewczasie, że stałoby się to tak czy inaczej. Odpowiedzialność i przywiązanie zawsze stanowiły dla jej byłego męża nieznośny ciężar. Kiedy dało mu się najmniejszą szansę, ciężył w sposób naturalny do beztrudnej kompanii z baru czy pubu, do towarzystwa innych mężczyzn, cudzej żony. Posyłając syna do szkoły w innym mieście, zapobiegła czemuś, co nie wymagało środków zapobiegawczych, płacąc za to wysoką cenę. Jej wysiłki, aby go chronić, jej oddanie i poświęcenie uruchomiły raz jeszcze, tak jak w przypadku jej ojca, łańcuch nieprzewidzianych konsekwencji, w myśl okrutnych praw ironii i paradoksu. Gdyż Peter, wyra-
stając na syna, z którego mogła być dumna - wychowawcę innych, jak jej ojciec, pracownika wyższej uczelni, czującego się swobodnie w środowisku, które ją zawsze onieśmiało - stracił całe zainteresowanie i uczucie dla niej. Chłodno odsuwał książki, które mu polecała, kwitował ironicznym uśmiechem jej poglądy polityczne, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie stać ją na żadną opinię czy spostrzeżenie, które nie byłoby w stu procentach typowe i przewidywalne. Tyle chciałaby mu powiedzieć, teraz kiedy oboje byli dorośli, ale jego to absolutnie nie interesowało. Wyglądało na to, że woli spędzać czas w towarzystwie jej męża Ralpa, który w ogóle nie miał żadnych poglądów, niż z nią. Fakt, że jej syn zachował zdolność do obdarzania innych uczuciem, ale miał go tak niewiele dla niej, był w tym wszystkim największym okrucieństwem losu.

Dziś, w Święto Dziękczynienia, widziała z większą jasnością niż kiedykolwiek przedtem, jak straszną rzeczą jest miłość, przynajmniej ten rodzaj miłości, który zapuścił głęboko korzenie w jej własnym niespokojnym sercu. Wiedząc, jak trudne będzie całe przedsięwzięcie, zaplanowała starannie cały dzień. Ciasta upiekła poprzedniego dnia i wstała wcześniej, żeby nadziać

indyka i przygotować potrawkę z dyni - ulubione danie jej ojca. Potem, wczesnym przedpołudniem, pojechała z Ralphem do Schuyler Springs, żeby przywieźć Roberta Halseya z tego okropnego domu kombatanta, co nie było łatwym zadaniem, bo musieli przetransportować nie tylko wątego staruszka, ale i jego aparat tlenowy, złożony z przenośnej butli i maski, którego nie mogli schować po prostu do bagażnika, bo jej ojciec mógł go potrzebować w czasie jazdy.

Z początku wydawało się, że wszystko pójdzie dobrze. Dojechali szczęśliwie na ulicę Srebrną i zainstalowali ojca w salonie. Staruszek miał jeden z lepszych dni, jeśli chodzi o oddychanie, i potrzebował tlenu jedynie od czasu do czasu. Peter, który zawsze lubił swojego dziadka, przysunął sobie krzesło i zaczęli wymieniać anegdoty „ze szkolnej ławy”. Peter powściągnął na tę okazję swój zwykły cynizm. Na usilną prośbę Very zachował też powściągliwość, jeśli idzie o fakt, że uczelnia nie przedłużyła z nim kontraktu. Ralph ściszył telewizor, w którym oglądał mecz futbolu, a kancista Charlotta zdołała jakoś powstrzymać tego małego potwora Fangę przed znęcaniem się nad swoim bratem i nad całym towarzystwem. Vera pozostała w ciepłej kuchni, gdzie kończyła przygotowania do obiadu, nucąc pod nosem i upajając się zapachami i dźwiękami. Woń potraw i odgłosy rodzinnego życia uderzały jej do głowy, a wraz z nimi straszna, straszna miłość i tęsknota. Jeżeli czuła jakiś lęk, była to stłumiona obawa, że Sully się pojawi i wszystko zepsuje, gdyż Peter poinformował ją, że go zaprosił - po to, żeby jej dokuczyć, jak można się było domyślić. Ale powiedziała sobie, że Bóg nie będzie tak okrutny, by na to pozwolić, przynajmniej nie tego dnia.

Na pół godziny przed obiadem rozsunęła przy pomocy Ralpha stół w pokoju jadalnym i razem przykryli go białym płóciennym obrusem, który trzymała na specjalne okazje. Na nim położyła rodzinne srebra, które odziedziczyła po matce, zmarłej, gdy Vera była jeszcze dzieckiem. Na każdym końcu stołu ustawiła po dwie świece. Zapaliła je i przyciemniła światła, nim zawołała rodzinę do stołu. Wskazała każdemu jego miejsce, co, jak zauważyła, zostało przyjęte ze zniecierpliwieniem. Peter i Charlotta wymienili spojrzenia, Fanga nie chciał zwolnić krzesła u szczytu stołu, dopóki Charlotta nie ściągnęła go z niego siłą. Widziała, że Peter nie tylko nie aprobuje usadzania stołowników według planu, ale że nie podoba mu się ten konkretny układ, w myśl którego jej ojciec miał zająć miejsce u szczytu stołu, on

naprzeciw niego, podczas gdy Ralph, do którego należał stół, znalazł się gdzieś pośrodku, choć ten akurat nie powinien się specjalnie przejmować, pod warunkiem że półmisek z indykiem stał w pobliżu.

Tak więc, kiedy stół zastawiono jedzeniem, a rodzina zgromadziła się wokół niego, Vera mogła sobie z satysfakcją powiedzieć, że umiejętnie i sprawnie przeprowadziła trudne zadanie, że obraz, wypieszczony w jej wyobraźni, został odtworzony tak wiernie, jak tylko się dało, w jej pokoju jadalnym. Ojciec, wyglądający lepiej niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy, zajmował jeden koniec stołu, pozostawiwszy swój aparat tlenowy w sąsiednim pokoju. Peter, przystojny i jedynie odrobinę władczy, okupował drugi. Dopiero kiedy jej bliscy zaczęli sobie podawać przy blasku świec półmisek z jedzeniem, które przygotowała, kiedy dzwonek nie zadzwonił i Sully nie pojawił się w tej jedynej, szczególnej chwili, aby wszystko zepsuć, dopiero wtedy mogła odsapnąć i wtedy do niej dotarło, że ta cudowna chwila, tak długo wyczekiwana i tak starannie zaplanowana, była jednym wielkim kłamstwem. Kiedy półmisek z jedzeniem przechodziły z rąk do rąk, Vera czuła, jak prawda podchodzi jej do gardła, i wiedziała, że nie da zmusić się do przelknięcia ani kęsa. Jedyne Ralph, który nigdy niczego nie zauważał, wydawał się na tę prawdę ślepy i polewał sosem wszystko, co miał na talerzu, z żurawinami włącznie. Vera uświadomiła sobie nagle, że jej ojciec zostawił swój ekwipunek w drugim pokoju nie dlatego, że go nie potrzebował, ale dlatego, żeby nie zepsuć innym obiadu. Słyszała jego świszczący oddech, widziała, jak z trudem chwyta powietrze, czekając na swoją porcję indyka. Kiedy podano mu półmisek, ręka tak mu się trzęsła, że nie mógł nadziać plastra mięsa na widelec. Kanciasta Charlotta musiała nałożyć mu na talerz, ale dała mu ciemne mięso, bo nie wiedziała, że woli białe, a on był zbyt wyczerpany, żeby coś mówić. „Wszystko jest pyszne, mamo” - powiedział Peter, patrząc w talerz. Dwukrotnie w ciągu dnia wychodzili z Charlottą do sypialni, którą zajmowali, kiedy przyjeżdżali w odwiedziny. Vera słyszała ich gniewne, ściszone głosy i z całą jasnością dostrzegła to, co podejrzewała od dłuższego czasu: że w ich małżeństwie nie tylko brak miłości, że jest z nim o wiele gorzej i że nie przetrwa najbliższego roku, być może nawet najbliższego miesiąca. „Tak... Vero - wykrztusił jej ojciec. - Bardzo... dobre”. Ale nie miał siły, żeby powiedzieć choć słowo więcej i Vera czuła wyraźnie, że i on nie dotrwa do następnego roku. Obaj mężczyźni jej życia mówili, nie patrząc na nią, i rozumiała, że albo nie są w stanie, albo nie chcą spojrzeć jej w

oczy. Potrzebowali od niej tylko jednego - żeby to się nareszcie skończyło. Żaden z nich nie podniósł wzroku, kiedy nie odpowiedziała na ich komplementy, gdyż gardło ścisnęła jej świadomość gorzkiej prawdy. Tylko jej wnuk Will wydawał się dostrzegać jej udrękę i przyglądał się jej z takim lękiem, że zapragnęła go pocieszyć, powiedzieć mu, że to minie, że prawda zawsze była czymś, co potrafiła przełknąć i strawić.

Nie była zaskoczona, kiedy jej ojciec odsunął krzesło i podniósł się chwiejnie.

- Tak... mi... przykro... Vero - powiedział, odwracając się tyłem do stołu i kierując w stronę salonu.

Wstała szybko, żeby mu pomóc, ale przy rozłożonym stole w pokoju było ciasno, pomiędzy nimi znajdowała się Charlotta i mały wstrętny Fanga, zresztą, tak czy inaczej, ojciec jej nie potrzebował. Tym, czego potrzebował, był tlen. Powietrze.

Furgonetka zaparkowana pod oknem jej kuchni nadal czekała spalinami, choć ściemniło się na tyle, że trudno było odróżnić, co wydobywa się z rury wydechowej, a co nie. Ciemność pochłonęła brud - pomyślała. Kiedy zmywała, zapaliły się uliczne latarnie, co niewiele pomogło. Wtedy zdała sobie sprawę z obecności Petera. Odwróciła się i zobaczyła, że stoi w drzwiach i patrzy na nią. Trzymał deskę do krojenia, na której spoczywała indycza tusza. Vera kupiła większego ptaka, niż było trzeba, i Peter pokroił tylko pół. Teraz, kiedy złotobrazowy indyk zwrócony był do niej tą drugą, niepokrojoną połową, wydawał się nienaruszony, jak gdyby nikt nic nie jadł, jak gdyby jej ofiara wracała nietknięta, odrażona. Peter postawił deskę na stoliku, widząc, że na blacie koło zlewu nie ma miejsca.

- Powiedziałem chłopcom, żeby się szykowali do kąpieli, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko temu? - zapytała, chociaż znała odpowiedź. Jedyna łazienka w domu Ralpha i Very zawsze była kością niezgody, kiedy przyjeżdżali w odwiedziny. Wiecznie zajęta, niewystarczająca w stosunku do potrzeb, niemożliwa do utrzymania w czystości czy dość szybkiego zaopatrzenia w świeże ręczniki przy tak intensywnym użytkowaniu. Nieczyste ludzkie istoty depczące sobie po piętach w swoich najbardziej nieczystych momentach.

- Chcesz, żebym powycierał? - zapytał Peter, podchodząc niepewnie i stając obok niej przy zlewie. - Nie mam w tej chwili nic do roboty.

- Lepiej sobie radzę sama - odparła. Peter rzadko bywał serdeczny, a jeśli już, wydawał się do tego zdolny wyłącznie w chwilach, kiedy nie potrafiła

tego przyjąć, kiedy jej samej nie stać było na serdeczność.

- To jest strasznie mała kuchnia.

- Kuchnia jest w porządku, mamó - odrzekł Peter, ale zabrzmiało to tak, jakby chciał powiedzieć co innego. Jeśli coś było nie w porządku, to z nią, nie z kuchnią, to miał na myśli.

- Może byś dotrzymał towarzystwa dziadkowi? - zaproponowała. - Ja sobie radzę, naprawdę.

Peter wyjął z szuflady ścierkę do naczyń.

- Dziadek się zdrzemnął. Nieźle sobie podjadł.

Po podłączeniu ojca do butli Vera przyniosła talerz jedzenia i ustawiła przed nim na tacy z nóżkami, podczas gdy Robert Halsey chciwie wdychał tlen.

- Za wiele wzięłaś na siebie - powiedział Peter. - Jak zwykle - dodał, co było do przewidzenia.

- Tak, oczywiście - przytaknęła. - Niechby spędził Święto Dziękczynienia w domu kombatanta.

- Nie to miałem na myśli. - Peter westchnął. - To nas nie trzeba było zapraszać. - Kiedy nie odpowiedziała, dodał: - Charlotta chce wyjechać jutro rano.

Teraz Vera spojrzała na niego w osłupieniu.

- Po prostu... - zaczął Peter.

- Co za wredna baba! - przerwała mu Vera. Ledwie obiad się skończył, Charlotta wyszła, twierdząc, że musi coś kupić w sklepie, ale Vera zdołała podsłuchać fragment kolejnej gniewnej wymiany zdań, odbywającej się za zamkniętymi drzwiami rezerwowej sypialni. „Ten stary człowiek nie jest jedyną osobą, która się dusi w tym domu - usłyszała słowa Charlotty. - Człowiek czuje się tu jak w pojemniku z dezodorantem. Ta kobieta ma po dwa odświeżacze powietrza w każdym pokoju. Przylatuje i psika za każdym razem, kiedy ktoś korzysta z łazienki. Nic dziwnego, że nie znosisz kobiet. - Najwyraźniej Peter uznał ostatnie twierdzenie za zabawne, bo Charlotta dodała po chwili milczenia: - Nie śmieję się. Pieprzyć a lubić to dwie różne rzeczy”.

Peter spuścił wzrok, patrząc na ścierkę do naczyń.

- Między mną a Charlotta się nie układa - wyznał. - Nasz pobyt tutaj tylko pogarsza sprawę.

- Ja pogarszam sprawę, to miałeś na myśli - uściśliła Vera, zeskrobując resztki jedzenia ze ścianek zlewozmywaka.

Peter milczał.

- Chcecie, to jedźcie - powiedziała Vera. - Proszę bardzo.

- Wiedziałem, że tak będzie. Wszystko przyjmujesz tak, jakby człowiek robił coś specjalnie, żeby ci sprawić zawód. Szkoda, że nie widziałaś swojej miny tam w jadalni. Jak gdyby dziadek robił ci na złość tym, że nie może jeść razem z nami, jak gdyby pokrzyżował twoje plany.

- Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nie czynił mnie przedmiotem swoich analiz. - Usuwała do zlewu resztki z ostatniego talerza. Kiedy się z tym uporała, chwyciła miskę z nadzieniem i też opróżniła do zlewu. To samo zrobiła z resztą potrawy z dyni. - Szczególnie jeśli chodzi o twojego dziadka. Wiem, że jesteś wykształcony, a ja nie, ale są na tym świecie rzeczy, których nie rozumiesz i nie zrozumiesz nigdy.

Peter patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma.

- To jest dobre jedzenie - zwrócił jej uwagę.

W ślad za dynią poszły ziemniaki i fasolka szparagowa.

- Po co mam to trzymać? - Kto tutaj będzie, żeby dojadać resztki?

- A co z Ralphem?

- Co ma być? - powiedziała Vera, włączając rozdrabniacz. Rozległ się rumor, aż zlew zadygotał. Najwidoczniej jakaś kostka dostała się do rury wraz z resztkami jedzenia i grzechotała niczym kamyk. Kiedy Peter sięgnął do wyłącznika nad zlewem, Vera chwyciła go za nadgarstek, ściskając kurczowo, mimo że starał się uwolnić rękę. Puściła dopiero, kiedy odzyskała jakieś panowanie nad sobą, po czym wyłączyła urządzenie. - Traktujesz go, jakby nie istniał - szepnął Peter.

Przez chwilę Vera milczała.

- Nie robię tego specjalnie - wykrztusiła w końcu. - To znaczy robię, ale nie wiem dlaczego.

Przez jakiś czas żadne z nich się nie odzywało.

- Wszystko się rozsypuje, prawda? - powiedziała Vera, kiedy w końcu odzyskała głos.

- Co, mam? - zapytał Peter, nie starając się ukryć frustracji. - Co takiego się rozsypuje?

- Ja - rzekła Vera z wymuszonym uśmiechem. - Nie widzisz tego?

Patrzyła przez okno kuchenne na ulicę swojego życia. Latarnie uliczne radziły sobie w tej chwili nieco lepiej. Musiało być naprawdę ciemno, żeby to sztuczne, stworzone przez człowieka oświetlenie na coś się przydało.

- Pamiętasz, jaka to kiedyś była ładna ulica? - zapytała. - Pamiętasz, jak byłeś chłopcem, a my mogliśmy cię wypuszczać na dwór bez obawy, bo

wiedzieliśmy, że tu w sąsiedztwie jesteś całkowicie bezpieczny? Pamiętasz, jak tu było przed inwazją?

Peter przyglądał się jej ze zmarszczonym czołem. Nie musiała na niego patrzeć, żeby to wiedzieć.

- Przed jaką inwazją, mamó?

Vera wskazała szerokim gestem ulicę, świat po drugiej stronie kuchennego okna.

- Barbarzyńców - wyjaśniła. - Otwórz oczy.

Peter wyrzwał przez okno, zauważając po raz pierwszy stojącą pod domem furgonetkę.

- Hm - powiedział skonsternowany, jakby nareszcie zrozumiał, o co jej chodzi. - To tato, prawda?

Ta ewentualność nie przyszła jej wcześniej do głowy. Już miała powiedzieć, że nie, niemożliwe, kiedy to przekonanie pomału zaczęło znikać. Oczywiście, pomyślała, kiedy jej syn naciągał płaszcz i szedł podjazdem, żeby się zorientować w sytuacji. Patrzyła, jak obchodzi samochód dookoła i zagląda przez okienko od strony kierowcy. Patrzyła, jak stuka w szybę, próbuje otworzyć drzwi. Furgonetka zakołysała się lekko w odpowiedzi na te usiłowania. Oczywiście, pomyślała w duchu. Mając cały szeroki świat i wiele dni aż po wieczność, trzeba być Sullym, żeby umrzeć właśnie w Święto Dziękczynienia w cieniu domu, który zdołała stworzyć bez jego udziału. Była to gorzka, mściwa myśl, dlatego zaskoczyły ją łzy, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu.

We śnie Sully i Rub toczyli spór z Carlem Roebuckiem przed słynnym sędzią z telewizji, siedząc razem z nim nago w maleńkiej saunie. Sully opowiedział szczegółowo o pracy, którą wykonali w sierpniu dla Carla, wyjaśniając, że ten uporczywie odmawia im zapłaty. Wezwany do złożenia wyjaśnień Carl przyznał, że nie zapłacił, twierdząc równocześnie, że Sully źle połączył rury. Od tamtej pory, kiedy splukują toaletę, z kranów zamiast wody lecą nieczystości.

- To się dramatycznie odbiło na moim małżeństwie - dodał, tłumacząc, dlaczego również wystąpił do sądu. Kiedy sędzia zapytał Ruba, czy może rzucić jakieś światło na sprawę, ten wyrecytował bezbłędnie wierszyk o mleku i wezwał Sully'ego, żeby zrobił to samo. Podczas całego przesłuchania rozpraszały go odgłosy dobijania się do drzwi sauny i kiedy miał powtórzyć rymowanek, okazało się, że nie potrafi.

Nie mógł sobie przypomnieć, jak to szło, chociaż Rub wyrecytował ją przed chwilą.

- Rozstrzygam sprawę na korzyść pozwanego - powiedział sędzia, opuszczając młotek z całej siły na kolano Sully'ego. W tym momencie drzwi sauny otwarły się z impetem i stanęła w nich Toby Roebuck, również naga. Rub utkwił wzrok najpierw w jej piersiach, potem w łędźwiach, wydając przeraźliwy krzyk. W dłoni Toby pojawił się pistolet, który wycelowwała w męża. Carl wrzasnął. - Proszę nie brać sprawiedliwości w swoje ręce - doradził sędzia. - Proszę wytoczyć mu sprawę. - Toby Roebuck, z twardym, nieprzejednanym wyrazem twarzy, stojąc w szerokim rozkroku, dała ognia pomimo to i teraz przyszła kolej na Sully'ego, żeby krzyczeć.

Wszystkie te krzyki wydawały mu się dziwnie rzeczywiste, pewnie dlatego, że faktycznie pochodziły spoza snu. Pierwszy okrzyk wydał naprawdę nie Rub, tylko Peter, kiedy zajrzał do środka przez szybę i zobaczył ojca w kabinie furgonetki. Za drugim razem krzyknął sam, budząc się gwałtownie ze snu. Znajdował się przed domem swojej byłej żony, w samochodzie, w którym musiał zasnąć. Chciał zamknąć oczy tylko na chwilę, żeby zebrać się w sobie, wziąć głęboki wdech, nim podejdzie i zastuka do drzwi domu, w którym mógł się spodziewać mieszanego przyjęcia. W pierwszej chwili nie potrafił ocenić, jak długo spał, ale podejrzewał, że sauna mogła być jedynie ostatnim z sennych majaków. Poza tym miał wrażenie, że zapada zmrok.

- Boże, tato - powtarzał Peter. Chodził tam i z powrotem wzdłuż furgonetki, kręcąc głową i trzymając się za serce. - Wiesz o tym, że śpisz z otwartymi oczyma?

Sully wiedział, chociaż musiało się to pojawić stosunkowo niedawno. Ruth to zauważyła i doniosła mu o tym z wyraźną irytacją. Za czasów małżeństwa z Verą z pewnością tak nie było, bo jego żona prowadziła szczegółowy rejestr rzeczy, które robił, a jej się nie podobały, a nie należała do kobiet, które cokolwiek przemilczą. Gdyby spał z otwartymi oczyma, bez wątplenia by mu o tym powiedziała.

Sully próbował się otrząsnąć z ciężkiego otumanienia.

- Musiałem przysnąć - powiedział.

- Z silnikiem na chodzie i drzwiami zamkniętymi na zamek?

Silnik rzeczywiście był na chodzie, więc go wyłączył. Drzwi nie były wprawdzie zablokowane, ale otwierały się sposobem. Od zewnątrz trzeba je było pociągnąć równocześnie do siebie i w górę. Sully zademonstrował synowi, jak się to robi. W oddali usłyszał syrenę i, jak zawsze w takiej chwili, próbował sobie przypomnieć, czy nie zostawił gdzieś zapalonego papierosa.

Dwaj mężczyźni wsłuchiwali się w sygnał nadjeżdżającej karetki.

- Stukalem w szybę, ale nie mogłem cię dobudzić - wyjaśnił Peter tonem winowajcy.

Sully usiłował poskładać to wszystko do kupy, ale wciąż był zbyt oszołomiony tabletkami Jocko, gorącym panującym w ogrzewanej kabinie i spaliniami, których się nawdychał. Kiedy karetka skręciła w ich ulicę i Peter machnął, żeby się zatrzymała, Sully spojrzął w stronę domu swojej byłej żony.

- Ktoś zachorował? - zapytał.

- Ty - odparł Peter z zakłopotaną miną. - Myśleliśmy, że nie żyjesz.

Sully siedział w samochodzie przy otwartych drzwiach, trzeźwiejąc z wolna pod wpływem chłodnego powietrza, podczas gdy Peter tłumaczył się przed załogą karetki. Nie bardzo chcieli uwierzyć, że to naprawdę pomyłka, popatrując nieufnie w stronę Sully'ego, jak gdyby wciąż było sprawą otwartą, czy żyje, czy umarł, tak jak zostało zgłoszone. Mieli podobne miny jak tamci ludzie przed dwudziestu laty, którym powiedziano, że zginął w spowodowanym przez siebie pożarze. Już drugi raz wprowadził ludzi w błąd, unikając tragicznego losu. Nawet syn wydawał się niezdecydowany, jeśli chodzi o jego obecność wśród żywych, zapewne dlatego, że wezwawszy karetkę, wyszedł w zaistniałej sytuacji na durnia.

Pojawił się Ralph, którego widok niezmiernie Sully'ego uradował.

- Wcale nie umarłeś - powiedział Ralph rozpromieniony. Sully i drugi mąż Vera zawsze się lubili, a byliby z pewnością w jeszcze lepszej komitywie, gdyby nie świadomość, że Vera odbiera ich wzajemną sympatię jako zdradę. Ralph nie wydawał się ani trochę zakłopotany faktem, że jego żona była kiedyś z Sullym w intymnych stosunkach, że urodziła mu syna. Co gorsza, Sully również się nie przejmował, że to, co kiedyś należało do niego, przejął teraz inny mężczyzna. Jak gdyby uzgodnili, że nie jest warta tego, by o nią walczyć. Wyglądało na to, że raczej łączą ich przesładowania, których doznali.

- Jeszcze nie - potwierdził Sully. - Nie będzie ci przeszkadzać, że puszcę pawia do twojego kanału?

Ralph wzruszył ramionami.

- Zaproponowałbym ci łazienkę, ale chłopcy akurat się kąpią.

- I tak bym nie zdążył - powiedział Sully, czując, że wszystko podchodzi mu do gardła. - Poza tym może nie nauczyłem się zbyt wiele za czasów małżeństwa z Verą, ale mam dość rozumu, żeby nie wymiotować w jej łazience.

Jeśli się nie zmieniła, nie lubi nawet, kiedy ktoś się tam załatwia.

- Nie zmieniła się - przyznał Ralph ze smutkiem. - Ma chyba z tuzin odświeżaczy powietrza w różnych miejscach domu. Nie czuliśmy nawet zapachu indyka.

Wzmianka o odświeżaczach powietrza zrobiła swoje, Sully pochylił się i zwymiotował na ulicę. Ralph odwrócił wzrok. Nie było tego wiele po całodziennym poście. Sully, który przed chwilą pocił się na zapas, od razu poczuł się lepiej. Wydawało mu się, że rozpoznaje nadtrawione resztki drugiej żółtej pigułki, którą dostał od Jocko.

Widząc, co się dzieje, dwaj mężczyźni z karetki, którzy dali Peterowi jakiś formularz do podpisania, podeszli do Sully'ego, wciąż siedzącego w samochodzie.

- Nic panu nie jest, przyjacielu? - zapytał mniejszy z nich. - Mamy pana zabrać do szpitala?

- Ależ skąd - odparł stanowczo Sully. - Już mi znacznie lepiej.

Mężczyzna rzucił okiem na wymiociny i odwrócił wzrok.

- Przykro mi, że się fatygowaliście - powiedział Sully. - Mój syn nie potrafi odróżnić umarłego od śpiącego. Pewnie dlatego zrobili go doktorem historii, a nie medycyny.

Peter, który właśnie podszedł, zdążył usłyszeć ostatnie zdanie.

- Mógł pan być martwy, gdyby się pan nawdychał więcej spalin - zauważył kierowca. - Powinien pan zrobić badania kontrolne.

Sully wstał, żeby pokazać, że nic mu nie jest.

- Nic mi nie jest - zapewnił ich. - Słowo honoru.

- W porządku - powiedział mężczyzna, podając mu formularz. - Proszę tu podpisać. Na dowód, że tu byliśmy.

Kiedy Sully złożył podpis, mężczyźni wsiedli z powrotem do karetki, syrena beknęła krótko i samochód odjechał. Sully, Peter i Ralph patrzyli za nimi, dopóki nie zniknęli za rogami. Wówczas odwrócili się z ociąganiem w stronę domu, gdzie czekało ich składanie wyjaśnień.

- Cóż, synu - powiedział Sully do Petera, puszczając w tym samym momencie oko do Ralpa. - Chodźmy, zanim odwaga całkiem nas opuści.

Jeżeli to kobiet obawiali się ci trzej dorośli mężczyźni - a tak właśnie było - bali się niepotrzebnie. Kiedy weszli do środka, kuchnia była pusta, żadnej kobiety w zasięgu wzroku, choć wydało im się to jeszcze bardziej złowróżbne. Oczyszczone z resztek talerze, salaterki, garnki i patelnie różnych

rozmiarów, w tym brytfanka, w której Vera przyrządziła sos, nadal piętrzyły się w zlewie, pełnym mętnej żółtawej wody, z wianuszkami osadu dookoła. W domu panowała nienaturalna cisza, jeżeli nie liczyć ściśzonego telewizora, który było słychać z salonu. Z miejsca, gdzie stali, Sully widział ojca Verę, śpiącego w swoim fotelu dwa pokoje dalej.

- Gdzie się podziała Vera? - zastanawiał się Ralph, zdumiony jej nagłym zniknięciem.

Peter nie był zaskoczony.

- Na twoim miejscu byłbym dzisiaj ostrożny - uprzedził Sully'ego. - Jest troszkę zirytowana.

- Czym? - zdziwił się Ralph, który usłyszał coś nowego.

- Niech zgadnę - powiedział Sully. - Nikt jej nie kocha.

- Prawie - uściślił Peter. - Nikt jej nie kocha wystarczająco.

- Pójdę i porozmawiam z nią - zaproponował Ralph, jakby się zgłaszał na ochotnika do wykonania niebezpiecznego zadania bojowego.

- Jak długo jesteście małżeństwem? - zapytał Sully znaczącym tonem.

Ralph pomyślał chwilę.

- Trzydzieści lat. Więcej.

- I dalej nie wiesz, że to nie najlepszy pomysł?

- Pewnie dalej myśli, że nie żyjesz.

- Więc nie sprawiaj jej zawodu - doradził mu Sully.

Z łazienki dał się słyszeć odgłos wody lejącej się do wanny i płaczliwy głos Willa.

- Fanga, przestań!

Peter wznosił oczy do nieba.

- Zaraz wracam.

Ponieważ nikt mu nie zabronił, Sully poszedł niespiesznie w stronę salonu, gdzie Robert Halsey drzemał płytko, podłączony do swojej butli tlenowej. Zielony plastikowy ustnik dawał komiczny efekt sztucznych wąsów nad jego górną wargą. Z przenośnego urządzenia zwisała plastikowa maska. W telewizji leciał mecz futbolu. Sully usiadł na końcu kanapy, zdążył zobaczyć, jak ktoś kopnięciem zdobywa punkty, u dołu ekranu pojawił się wynik, po czym zaczęła się przerwa na reklamy.

- Hej - zagadnął staruszką, który otworzył oczy na dźwięk nie pochodzący z telewizora. - Obudź się. Masz towarzystwo.

Ojciec Very zamrugał i wytrzymał wzrok.

- Sully - powiedział, poprawiając się w fotelu, bo podczas drzemki zjechał w dół.

- Jak się masz, burmistrzu? - zagał Sully. Ojciec Very wystartował przed z górą czterdziestu laty na stanowisko burmistrza z ramienia demokratów, dzieląc los wszystkich kandydatów tej orientacji, którzy kiedykolwiek starali się w Bath o obieralny urząd. Tyle że odkąd pamięcią sięgano, nikt nie poniósł równie druzgocącej klęski jak on. W Bath, gdzie burmistrz był zatrudniony na pół etatu, a kandydaci rekrutowali się zazwyczaj spośród właścicieli firm dealerskich, faktyczna walka rozgrywała się podczas praw wyborów republikańskich. Gdy te zostały rozstrzygnięte, sprawa obsadzenia stanowiska była na dobrą sprawę przesądzona. Kandydaci ze strony demokratów wykazywali zdecydowane odchylenie masochistyczne albo, jak w przypadku Roberta Halseya, fatalistyczne. Wystartował z programem oświatowym i został odrzucony z takim impetem, że od tamtego czasu nikt nie odważył się poruszyć sprawy edukacji podczas lokalnej kampanii wyborczej.

- Jaki wynik? - zapytał Sully.

- Nie wiem - przyznał się Robert Halsey.

- Powiedziano mi, że masz tu dyżur.

- Bo mam - potwierdził starszy. - Dallas prowadziło, zanim zasnąłem.

- I nadal prowadzi. Dwadzieścia do czternastu, gdyby ktoś cię pytał.

- Gdzie się wszyscy podziali? - zapytał ojciec Very, rozglądając się po pokoju.

- Pewnie zobaczyli, że nadchodzę, i uciekli w popłochu.

Pan Halsey się uśmiechnął.

- A mnie zostawili.

- Takie są prawa dzungli, burmistrzu - pouczył go Sully. - Jak się czujemy? Można wytrzymać?

- Nie najgorzej - wychrypiał stary mężczyzna. - Nie będzie mi żal, kiedy przyjdzie wycofać się z tych rozrywek.

- Nie za wiele przyjemności ostatnimi czasy?

- Ostatnimi czasy to to już żadna przyjemność.

- Cóż - powiedział Sully. - Nie powtarzaj tego przypadkiem swojej córce. Może ci się wydawać, że gorzej już być nie może, ale się mylisz.

- Jak się miewa moja dobra przyjaciółka, pani Peoples? - zapytał Robert Halsey. - Panna Beryl była jedną z nielicznych osób, które gorąco popierały jego kandydaturę podczas nieszczęsnej kampanii.

- Jak zawsze - odparł Sully. - Nie zmieniła się w ciągu ostatnich dwudziestu lat.

- Dlaczego ludzie bywają nieszczęśliwi, jak sądzisz? - wypowiedział głośno nurtujące go pytanie Robert Halsey, co początkowo zbiło z tropu Sully'ego, który sądził, że nadal rozmawiają o jego gospodyni. Po chwili zrozumiał, że staruszek ma na myśli swoją córkę, która również się nie zmieniła przez ostatnie dwadzieścia lat.

- Nie wiem - wyznał Sully.

- Albo to ich wina, albo nasza - powiedział Robert Halsey takim tonem, jakby był daleki od rozstrzygnięcia tej kwestii. Przez jakiś czas oglądali mecz. - To jest właśnie problem, kiedy człowiek robi się stary i chory - odezwał się ojciec Very, kiedy Sully sądził już, że skończyli rozmowę. - Nie ma za wiele do roboty poza myśleniem.

Ponieważ nie bardzo było wiadomo, co na to odpowiedzieć, Sully milczał. Kiedy po chwili spojrzął na Roberta Halseya, staruszek znowu spał.

W łazience, gdzie chłopcy rozbierali się przed kąpielą, odbywały się jakieś przepychanki. Kiedy Peter otworzył drzwi, żeby sprawdzić, co się dzieje, Fanga podnosił właśnie rękę z wiadomym zamiarem, a Will, starszy i większy z braci, kulił się i cofał przed ciosem. Fanga wydawał się nie tyle zakłopotany, że przyłapano go na akcie agresji, ile niezadowolony, że pomieszano mu szyki. Ulga Willa była jedynie chwilowa.

- Dostyc tego, Fanga - skarcił go Peter. - To przestaje być zabawne.

Will obserwował brata, chcąc się przekonać, jakie wrażenie zrobią na nim słowa ojca. Jego mina nie zdradzała wielkiego optymizmu.

- Rozbierajcie się i wchodźcie do wanny. I uważajcie, żeby woda się nie przelała, bo babcia obedrze was ze skóry - powiedział Peter. Kolejna jałowa pogroźka - uświadomił sobie w tym momencie. Wydawało mu się wręcz, że widzi chytry uśmiezek przemyskający po twarzy Fangi.

- Gdzie mama? - zapytał Will, wyraźnie zafrasowany. To ona nadzorowała zazwyczaj ich kąpiel.

Peter obserwował wannę z niepokojem. Woda lała się nie wiadomo od kiedy i zdążyła ją napęlić zaledwie w połowie. Ciśnienie było marne niemal w całym miasteczku, a już zupełnie beznadziejne w domu Very i Ralpa, gdzie wzięcie prysznicza nie wchodziło w rachubę. Trzeba było odkręcić kran na dziesięć minut przed planowaną kąpielą, ale temperatura pozostawała

wielką niewiadomą. Peter sprawdził wodę w wannie i puścił więcej ciepłej w myśl teorii, że zdąży wystygnać, zanim chłopcy do niej wejdą. Bath - kąpielisko. „Co za idiotyczna nazwa - irytowała się zawsze Charlotta - dla miejscowości, gdzie człowiek nie może się nawet przyzwoicie wykąpać”.

- Gdzie mama? - zapytał po raz drugi Will. Zawsze powtarzał cierpliwie pytanie, aż człowiek na nie odpowiedział.

- W sklepie - odparł Peter zniecierpliwionym tonem, zastanawiając się równocześnie, czy chłopcy słyszeli, jak klócili się z Charlottą przed obiadem.

- Będzie za kilka minut. I lepiej, żebyście do tej pory skończyli kąpiel.

Znów przebiegły uśmiezek Fangi. Bo co? - wydawał się pytać młodszy z braci.

Peter zamknął drzwi i wszedł po cichu do pokoju na parterze, właściwie małej klitki, którą zajmowali z Charlottą podczas swoich wizyt. Chłopcom oddawano pokój na górze, który w dzieciństwie należał do niego. Rozkładana kanapa była złożona, co oznaczało, że matka zdążyła w tym czasie pokój odwiedzić. Zrzucił buty i położył się na kanapie, ze wzrokiem wbitym w sufit. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, gdzie jest Charlotta.

Andy westchnął głośno przez sen. Peter uniósł się na łokciu, ale dziecko się nie obudziło, więc położył się z powrotem. Przed wyjazdem uzgodnili z Charlottą, że po świętach przeprowadzą separację. Perspektywa ta budziła w nim mieszane uczucia. Myślał, że poczuje się wyzwolony, ale kiedy poczynili odpowiednie ustalenia, podupał na duchu. Fakt, że to Charlotta opuszcza jego, a nie on ją, nie stanowił pociechy. Leżąc na kanapie w małym pokoiku, w domu, w którym się wychował, zastanawiał się, czy to rola męża go przerosła, czy rola ojca. A może nie został stworzony do żadnej z nich? Uczciwie mówiąc, nie spisywał się zbyt dobrze ani w jednej, ani w drugiej. Tydzień wcześniej Will, który miał skłonności do introspekcji, siedział w salonie przed telewizorem, dłubiąc w zamyśleniu w nosie. Niespodziewanie udało mu się wydłubać kożę, której rozmiary zdumiały go i zaskoczyły. Ponieważ nie było to odkrycie, którym mógłby się podzielić z rodzicami, siedział po prostu na środku pokoju, wpatrując się z dumą w swój palec, nieświadom, że Fanga skrada się za jego plecami. Kiedy brat porwał jego znalezisko i uciekł, oburzony Will rzucił się za nim w pogoń, krzycząc: „To moje! Moje!”.

W chwili wybuchu awantury Peter siedział w swoim ciasnym gabinecie, właściwie w komórce, którą dzielił z pralką i suszarką Charlotty, usiłując

skończyć artykuł, którego i tak miał nie opublikować. Kiedy udało mu się ustalić, o co chodzi, wszystkie stanowiska, jakie mógłby ewentualnie zając jako ojciec, wydały mu się równie absurdalne. Przez głowę przelatywały mu różne możliwości. Mógł, na przykład odwołać się do zasady sprawiedliwości („Fanga, oddaj bratu jego kozę. Wydłub sobie własną ze swojego nosa”). Mógł zignorować przedmiot sporu („Chłopcy, prosiłem was o ciszę, żeby tatuś mógł popracować”). Lub nawet odwołać się do zdrowego rozsądku starszego chłopca. („Will, na litość boską, niemożliwe, żeby ci zależało na tej kozie. Niech ją sobie gówniarz zatrzyma”). W końcu nie powiedział nic, tylko zebrał materiały, by przenieść się do biblioteki uniwersyteckiej, gdzie miałby spokój i ciszę. Wychodząc, powiedział Charlotte, że stanowisko władz uczelni nie powinno nikogo dziwić. Trudno, żeby przedłużano kontrakt i udzielano awansu człowiekowi mieszkającemu w domu wariatów.

Rzuciwszy tę oskarżycielską bombę, poszedł nie do biblioteki, ale do domu swojej młodej koleżanki z uczelni, której kochankiem był od września. Jej maleńkie mieszkanie znajdowało się w podupadłej dzielnicy, złożonej w większej części z wielkich, starych ruder, podzielonych przez właścicieli na mniejsze, osobno wynajmowane lokale. Czasami wydawało mu się, że ktoś ogłosił konkurs, ilu malezyjskich studentów można upchnąć w domu o pięciu sypialniach. Domek Deirdre był właściwie pensjonatem, położonym na tyłach jednej z takich noclegowni. Ilekroć szedł w tamtą stronę wąskim, wyboistym chodnikiem, brał głęboki wdech, jakby chciał skorzystać z ostatniej okazji, aby odetchnąć świeżym powietrzem.

Deirdre lubiła ciepło i miała szczególne upodobanie do chodzenia po domu w samej bieliźnie, co go początkowo ekscytowało, jak wszystkie sprawy z nią związane. Najpierw myślał, że to efekt pogodnego września oraz braku klimatyzacji, ale wkrótce temperatura zaczęła spadać wszędzie z wyjątkiem jej mieszkania. Którejś nocy, po lepkich od potu zmaganiach miłosnych, zaczął szukać innego wyjaśnienia tego zjawiska i znalazł je. Termostat był ustawiony na dwadzieścia siedem stopni. Tak samo jak w jej pokoju na uczelni. Uzdolniona technicznie Deirdre zdołała rozebrać urządzenie, odłączyć element, mający zabezpieczać je przed niepowołanymi majsterkowiczami, i podkreślić temperaturę również tam, chociaż, o ile mu było wiadomo, nie chodziła po swoim gabinecie w figach i biustonoszu. „Lubię gorąco - powiedziała tej nocy, kiedy dokonał swojego odkrycia. - Lubię być gorąca”

- wymruczała, ujmując jego dłoń i wsuwając do swoich majteczek, by mu to udowodnić”.

Minęły niemal trzy miesiące, nim doszedł do wniosku, że nie miały nic przeciwko lekkiemu ochłodzeniu. To, co było takie ekscytujące we wrześniu, kiedy wpadał do niej po drodze z biblioteki i zastawał ją, siedzącą po turecku na zdezelowanej kanapie w samych majteczkach od bikini, ciamkającą soczystą brzoskwinię i oglądającą po ciemku telewizję - teraz wydawało mu się ciut niezdrowe. We wrześniu, kiedy szedł spieszenie krzywym chodnikiem, schylając się, by nie zawadzić o niskie gałęzie, czuł wzbierający wzwód na samą myśl o tym radującym serce widoku. Teraz, w połowie listopada, jeśli coś mu podjeżdżało do góry, to raczej żołądek, kiedy do niej zachodził i wdychał pierwszy haust dusznego, tropikalnego powietrza. Zarówno atmosfera domku, jak i sama Deirdre znajdowały się w jego odczuciu w stanie zaawansowanej fermentacji.

Jej obyczaje, które wydawały mu się coraz bardziej dekadentkie, nie wzbudzały już w nim dawnego dreszczu podniecenia. Szczególnie bulwersowały go te związane zjedzeniem. Lubiała dzielić się z nim tym, co jadła. Jej specjalnością były przejrzałe brzoskwinie. Odgryzała kęs, przeżuwała częściowo, po czym całowała go, obdarzając przy okazji porcją brzoskwiniowej papki. „Chcę, żebyśmy mieli identyczne doznania” - tłumaczyła. Peter wątpił, czy ich doznania rzeczywiście są identyczne. Fakt, że Deirdre najwyraźniej sprawiało to przyjemność, raczej wykluczał taką ewentualność.

Prawdę mówiąc, to z jej powodu nalegał na ten świąteczny wyjazd, choć nie bardzo sobie mogli na to pozwolić i choć było jasne, że propozycja rozwścieczy Charlotte, którą te wizyty przerażały i która powiedziała mu wprost, że zmuszanie jej do wyprawy w Święto Dziękczynienia i zaraz potem w Boże Narodzenie to okrucieństwo i zwykłe świństwo. Deirdre też się naburmuszyła i prosiła, żeby nie jechał, żeby nie zostawiał jej samej na długi, czterodniowy weekend. Uczyniła mu nawet w związku z tym kilka erotycznych obietnic, byle tylko został w mieście. To ostatnie jeszcze go zdopingoowało, żeby oderwać się od niej na jakiś czas i spokojnie zebrać myśli. Zastanawiał się właśnie, czy są już wystarczająco pozbierane, żeby do niej zadzwonić, kiedy przyłapał się na tym, że stoi przy małym stolczku i wybiera jej numer telefonu.

- Cześć - powiedział miękko, kiedy odebrała telefon i przyjęła rozmowę na swój koszt. - Przepraszam, że dzwonię w taki sposób. Nie chcę, żeby ta

rozmowa pojawiła się na rachunku telefonicznym mojej matki.

- Wiedziałam, że zadzwonisz - powiedziała Deirdre takim tonem, jakby spierała się z kimś przed chwilą na ten temat i teraz oświadczała triumfalnie: „A nie mówiłam?”. Właściwie, jak to sobie uświadomił, nie było to całkiem wykluczone. Wątpił, czy ktoś tak nieustannie pobudzony jak Deirdre da radę przetrwać w cnocie cały długi weekend. Może zaprosiła kilku małutkich Malezyjczyków z sąsiedztwa, żeby dyżurowali przy niej na zmianę, dopóki on nie wróci. Studenci zdążyli się zorientować, że Deirdre rzadko kiedy chodzi po domu ubrana, i nabrali zwyczaju przesiadywania na zewnętrznym patio, gdzie czekali, śmiejąc się, poszturchując i cmokając, aż uda im się coś wypatrzeć.

- Skąd mogłaś wiedzieć, skoro cię uprzedzałem, że nie będę dzwonić? - zapytał.

- Znam cię - powiedziała Deirdre. - Wiem, jaki z ciebie mały świntuszek. Wiedziałam, że nie ulżysz sobie w miłym, czystym domku mamusi.

- Czysty to o wiele za mało powiedziane - westchnął Peter.

- Mówiłam, żebyś został ze mną.

- Charlotta twierdzi, że to z powodu matki nienawidzę kobiet.

- Krowa ruszyła głową?

Peter puścił jej słowa mimo uszu. Nie lubił, kiedy Deirdre robiła złośliwe uwagi na temat Charlotty, ale w układzie opartym na zdradzie trudno było wytyczyć granice. Nie był pewien, czy ma jakiegokolwiek prawo krytykować swoją kochankę za brak życzliwości dla żony, którą sam oszukiwał.

- Ty też uważasz, że nienawidzę kobiet?

- Wszystko mi jedno, dopóki mnie kochasz.

Peter rozważał przez chwilę to, co usłyszał.

- Nie wyrzuca cię przypadkiem z organizacji kobiecej krajówki za takie poglądy? Jak możesz pisać pracę o Virginii Woolf i mówić takie rzeczy?

- Założę się, że nie robiła laski tak dobrze jak ja.

- Boże - powiedział Peter, mając nadzieję, że jego matka nie słucha z drugiego aparatu. Właściwie był tego pewien. Chwilę wcześniej słyszał kroki dwojga ludzi na schodach. Sądząc z odgłosów, byli to Vera i Ralph. Teraz rozmowa dobiegała z kuchni, co oznaczało, że matka pozbiierała się na tyle, żeby zejść na dół i zaproponować Sully'emu filiżankę kawy.

Po drugiej stronie pokoju Andy przewrócił się w swoim kojcu na drugi bok, westchnął jeszcze raz, otworzył na chwilę oczy, po czym zamknął je z powrotem.

- Didi - powiedział Peter po chwili.

- Jestem.

- Zacznij się nastawiać, że będziemy z tym powoli kończyć. To znaczy z nami.

- Nie słucham - powiedziała Deirdre.

- Mam żonę i dzieci.

- To co z tego?

- Powinienem być lepszym mężem i ojcem. Oni mnie potrzebują.

- A ty potrzebujesz mnie.

- To prawda - przyznał. Usłyszał, że jakiś samochód zajezdza przed dom.

- Ale nie mogę tak dłużej żyć. Pogadamy, jak wrócę. Skończ rozdział swojej pracy. Zrobię ci korektę.

- Ależ ty umiesz chrzanić.

- Muszę kończyć - powiedział, ale nim zdążył odłożyć słuchawkę, usłyszał:

- Jesteś mój, kochasiu.

Wstał i wyrzwał przez okno. Gremlin stał znów zaparkowany pod domem, za furgonetką jego ojca. Charlotta, z pustymi rękami, była w połowie drogi do drzwi. Peter przyglądał się jej zza zasłony. Jego wyznanie, że w jego życiu jest inna kobieta, obudziło na nowo zainteresowanie żony. Od kilku tygodni kochali się każdej nocy. Ich gniewne, pozbawione radości zbliżenia wyznaczały rytm dyskusji o technicznych aspektach separacji, planowanej na początek roku, zaraz po świętach.

Słyszał, że w łazience za ścianą woda wciąż się leje, i zaczęła go ogarniać złość na synów, którzy dalej się czubili i pewnie nawet nie weszli do wanny. Ale nim zdążył zrobić krok, usłyszał donośny łoskot i zaraz potem rozpaczliwy wrzask. Pozostał więc tam, gdzie był, na środku małego pokoju, odliczając w myślach do pięciu, aby dać Charlotte czas na dojście do domu i wzięcie swojej części odpowiedzialności za ten najnowszy kryzys ich rozsypanego się małżeństwa.

Robert Halsey, mimo że drzemał w salonie, podłączony do pojemnika z czystym tlenem, który torował sobie drogę poprzez nozdrza, tchawicę, aż po resztki płuc, również usłyszał hałasy dobiegające z łazienki, obudził się gwałtownie i, jak zawsze w takiej sytuacji, nie umiał określić, jak długo spał. Przychodziło mu to z coraz większą trudnością. Czasem pięciominutowa

drzemka wydawała się trwać całe godziny, innym razem po wielogodzinnym śnie miał wrażenie, że zamknął oczy dosłownie przed chwilą. Tym razem musiało jednak upłynąć trochę czasu, bo przed zaśnięciem rozmawiał z Sullym, siedzącym obok niego na brzegu kanapy. Teraz Sully był w kuchni razem z Verą i Ralphem, a żadnego z tych dwojga nie było w pobliżu, kiedy zasypiał.

Na tym etapie rozwiązywania zagadki swojej drzemki Robert Halsey stanął w obliczu kolejnej. W głębi korytarza drzwi otwarły się nagle z impetem, przypominającym wystrzał armatni. Mały chłopiec, goły jak święty turecki, wypadł z łazienki i pognał korytarzem, wyjąc i ściskając kurczowo siusiaka niczym hamulec bezpieczeństwa. Był to jego prawnuk - ten, którego nazywali Fangą. Ten sam, którego przyłapał wcześniej, jak zakręcał zawór jego butli. W kuchennych drzwiach chłopiec pośliznął się na linoleum i wyhamował, mierząc wzrokiem osłupiałe towarzystwo, sprawdzając, kto jest, kogo nie ma i co z tego dla niego wyniknie. Dokonawszy lustracji, skoczył, lądując z rozmachem na plecach, i zaczął się miotać po podłodze niczym delfinek wyrzucony na brzeg, wypuszczając co chwila małe fontanny moczu. Vera, która szła właśnie w stronę stołu z dzbankiem kawy, cofnęła się gwałtownie, jakby jej wnuk siusiał kwasem siarkowym.

- Ooooch! - krzyknęła. - Ten mały - szukała w myślach odpowiedniego słowa - potwór!

W tym momencie w drzwiach stanęła matka chłopca. Ogarnęła sytuację jednym rzutem oka i posłała zjadliwy uśmiech swojemu mężowi, który wyszedł właśnie z pokoiku, skąd dobiegał płacz niemowlęcia. Otoczony milczącym kręgiem dorosłych, Fanga kontynuował swoje przedstawienie, rzucając się, wyjąc i siusiacząc po całej podłodze. Nie sposób było ani go zignorować, ani potraktować poważnie.

Robert Halsey widział to wszystko ze swojego punktu obserwacyjnego w salonie i nie ruszył się z fotela. Według jego własnych obliczeń, popartych przez spore grono lekarzy, pozostało mu nie więcej niż trzy miesiące życia, obserwował więc grupę istot ludzkich zebranych w sąsiednim pomieszczeniu z bezosobowym, niemal klinicznym zainteresowaniem. Byli tam przedstawiciele obojga płci i szeroki wachlarz grup wiekowych. Stary człowiek widział jak na dłoni wszystkich razem i każdego z osobna: swoją nieszczęśliwą córkę i jej stłamszonego męża, swojego okulałego eksznięcia, Sully'ego, Petera - ojca Fangi i jego dużą, niezgrabną, smutną żonę, wreszcie samego chłopca, swojego prawnuka, z siusiakiem w garści, tak pełnego życia i energii.

Robert Halsey objął ich jednym spojrzeniem, czując, że kocha ich wszystkich, ale równocześnie mając pewność, że choćby następny haust czystego tlenu miał się okazać jego ostatnim, nie zamieniliby się miejscami z żadnym z nich. Tak więc zamknął oczy i zapadł ponownie w sen, pozostawiając zagadki niewyjaśnione, tajemnice nierozwikłane.

Kiedy Fanga wyskoczył z łazienki, Will zamknął za nim drzwi na zamek. Nie bał się lania. Ojciec nigdy go mocno nie bił. Nie przerażało go, że będzie się musiał wstydzić tego, co zrobił. Jego młode życie wypełniały upokorzenia, które nauczył się znosić z rezygnacją dorosłego. Naprawdę bał się swego młodszego brata, który nie ogłosił amnestii, a nawet gdyby to zrobił, z pewnością złamałby przyrzeczenie. Fanga był istotą pozbawioną honoru, stworzoną, aby terroryzować innych chłopców, nawet większych od siebie. Willa przerażał brak uczucia strachu u młodszego brata, co w połączeniu z niezawodną pamięcią czyniło z niego straszliwego przeciwnika. Jego rodzice, jak doskonale wiedział, nie mieli o tym wszystkim zielonego pojęcia. Tchórzostwo Willa wzbudzało u nich po prostu niesmak. „Jesteś większy od niego, na litość boską. Twój brat to małe piwo w porównaniu z tobą. Całe życie będziesz biegł na skargę do mamy i taty? To jest - ojciec szukał przez chwilę odpowiedniego słowa - nienaturalne”.

Zdaniem Willa to Fanga był nienaturalny. Jego oczy mrużyły się w nienaturalny sposób, kiedy obmyślał kolejny akt terroru, w nienaturalny sposób wpatrywał się w Willa, dając mu do zrozumienia, że gdy tylko dopracuje pomysł w szczegółach, z rozkoszą go z nim zapozna. Fanga nie bał się niczego, nawet dziadka Sully'ego, który wyglądał jak morderca z telewizji, ze swoim kuśtykaniem, ironicznym uśmiechem i okrywającym go błotem. Sam czuł do dziadka sympatię, choć wiedział, że nie byłoby to mile widziane. Dziadek Sully przynajmniej próbował nastraszyć Fangę, ostrzegając, żeby nie uderzył go po raz drugi w chore kolano. Skąd mógł wiedzieć, że nic nie może przestraszyć Fangi? Czyn brata stanowił dla Willa sygnał, że jego odwaga i złośliwość osiągnęły kolejny, wyższy pułap. Oto zaatakował i zadał ból dorosłemu. W jedną rzecz ojciec żadną miarą nie mógł uwierzyć, że Fanga potrafi zadać autentyczny ból. Uważał, że jest za mały, aby naprawdę zrobić komuś krzywdę. Will wiedział swoje. Ból był specjalnością Fangi. Wręczał go człowiekowi niczym prezent. „Spodoba ci się” - zdawał się mówić wyraz jego twarzy.

Do niedawna jego ulubionym numerem było uszczyptnięcie z podkręceniem, zadane zniemacka z tyłu. Fanga wyczuł, że luźniejsza skóra tuż nad

łokciem jest szczególnie delikatna. Wyczekiwał chwili, kiedy Will będzie odwrócony plecami, podkrażał się i robił użytek z kciuka i palca wskazującego. Stale doskonalił swoją technikę, a Will wspinał się na palce, wyjąc z bólu. Zmaltretowane miejsca nigdy nie miały szansy wygoić się do końca, bo Fanga zawsze celował w ten sam punkt, gdzie skóra i zmiażdżone naczynka krwionośne wciąż były obolałe. Ale ostatnio wyglądało na to, że pracuje nad czymś nowym. Przy obiedzie, kiedy ich oczy się spotkały, pokazał Willowi ostre zęby swojego widelca.

Ostatnio Will myślał niemal wyłącznie o tym, żeby mieć Fangę stale przed sobą, w polu widzenia. Odprężał się tylko wtedy, kiedy jego brat zasypiał. Zawsze czuwał, dopóki się nie upewnił, że Fanga śpi twardo. Ostatnia myśl przed zaśnięciem dotyczyła zawsze jednego i tego samego - żeby koniecznie obudzić się wcześniej niż on. Fanga chyba się orientował, jak bardzo absorbuje swojego brata, i był dumny, że jest dla niego kozłem na jawie.

Tak więc Will wziął w końcu odwet. Ani puszczenie w niepamięć tego, co było, ani negocjacje, ani polityka daleko idących ustępstw nie przynosiły w przypadku Fangi żadnych efektów i Will zaczął podejrzewać, że jego brat ma bzika na punkcie przeprowadzania kolejnych ataków. Do ostatka próbował wszelkich sposobów, żeby nie narazić się na jeszcze większe okrucieństwo. Teraz rozumiał, że niepotrzebnie się bał. Gdyby Fanga miał w zanadrzu coś gorszego, już by z pewnością zrobił z tego użytek. Tego popołudnia Will dostrzegł swoją szansę i się jej uchwycił.

Czekał na swoją kolej przy muszli, lecz Fanga jak zwykle przeciągał sprawę. Woda lejąca się do wanny działała na Willa jak ostroga, ale Fanga nie chciał go dopuścić do wysokiej, staroświeckiej muszli babci Very, tak wysokiej, że musiał stawać na palcach, a jego mały siusiak leżał na zimnym fajansie. Mocz przestał z niego ciurkać przed wieloma minutami, ale Fanga nie chciał ustąpić miejsca bratu.

- Pospiesz się. - Will się skrecał. - Już nie mogę.

Fanga uśmiechnął się w odpowiedzi, popuszczając trochę na dowód, że jeszcze nie skończył.

Will ścisnął siusiaka w dłoni. Wiedział z doświadczenia, że może to potrwać bardzo długo. Jego brat lubił „oszczędzać na potem”. Przystawał i znów zaczynał, pięć razy albo i więcej.

Will zauważył, że deska klozetowa jest podniesiona. Spojrzał na nią, potem na brata, który wypuścił dwa krótkie strumyczki, raz za razem, jakby

nadawał sygnał alfabetem Morse'a. Na Willa podziało to rzeczywiście jak sygnał. Nim zdążył się zastanowić nad konsekwencjami, puścił siusiaka, obszedł brata dookoła, złapał uniesioną deskę i opuścił ją z całej siły.

Fandze nie stała się wielka krzywda. Cztery gumowe podkładki zabezpieczyły dolną część deski, żeby nie leżała bezpośrednio na fajansie. Były mniej więcej tej samej grubości co siusiak Fangi, zamortyzowały więc główny impet uderzenia. Chłopiec był głównie wystraszony, a koniuszek penisa szczytał go trochę na skutek wstrząsu. W ułamku sekundy, nim uderzył w płacz, Fanga opracował plan. Zmrużył oczy w sposób, który zawsze tak przerażał jego brata, po czym wyskoczył z łazienki z gołą pupą, aby odegrać przed dorosłymi zgromadzonymi w kuchni swoje starannie wyreżyserowane, nad podziw udane przedstawienie. Will patrzył przez dziurkę od klucza, jak ojciec i dziadek Ralph oglądają na zmianę siusiaka Fangi. Ich oczywiste zaniepokojenie sprawiło, że upadł na duchu. Czy nic nie rozumieli? Nie wiedzieli, że Fandze nic się nie może stać?

Kiedy nie mógł już dłużej patrzeć, cofnął się i wtedy zdał sobie sprawę, że stoi w ciepłej wodzie. Wanna babci Very napełniła się w końcu, powierzchnia wody była równa i gładka jak szkło. Will zakręcił krany, uświadamiając sobie w tym momencie konsekwencje swojego pochopnego czynu. Usiłując, bezskutecznie zresztą, zadać ból Fandze, stracił jedynie sympatię dorosłych i tę mizerną ochronę, jaką mu do tej pory zapewniali. Wszyscy byli teraz po stronie jego młodszego brata. Nie mógł już liczyć na to, że ojciec czy matka go obronią. Zalewając łazienkę, stracił też jedynego stronnika, jakim była babcia Vera. Ona jedna wydawała się rozumieć, że Fanga jest okrutny i nie-naturalny. Teraz nawet ona będzie trzymać jego stronę.

W tej sytuacji widział dla siebie dwa wyjścia. Mógł siedzieć zamknięty w łazience do końca życia albo jakoś się z niej wyrwać. Może dziadek Sully zgodziłby się wziąć go do siebie? Z sympatią wspominał dowody męstwa, jakie dziadek dał poprzedniego dnia. Pamiętał też, że mrugnął do niego na odjeźdźnym, przekazując mu w ten sposób swoje zrozumienie i sympatię.

Kiedy ktoś szarpnął drzwi łazienki i rozległ się gniewny głos ojca, nakazujący mu otworzyć, Will był już w połowie ubrany i całkowicie zdecydowany. Na szczęście ułożył swoje ubrania na umywalce, więc były suche, podczas gdy rzeczy Fangi leżały w mokrej stercie na podłodze. Tenisówki trochę zamokły, ale się nie przejmował. Stojąc na muszli, sięgał do zasuwki małego

okienka. Otworzyło się łatwo, na dworze panował chłód, do ziemi było daleko, ale decyzja chłopca była nieodwołalna. Rozpocznie nowe życie.

Zamęt panujący w domu jego ekszony przypominał Sully'emu zawieruchę wojenną, z tą zasadniczą różnicą, że tutaj nie było żadnej ujemy w dyskretnym wycofaniu się tylnymi drzwiami, co też uczynił, podczas gdy pozostali, zgromadzeni pod drzwiami łazienki, przemawiali do Willa przymilnym tonem, usiłując go nakłonić, żeby otworzył drzwi. Jedynie Peter zauważył jego odwrót i Sully'emu wydawało się, że widzi krzywy uśmiezek syna. Czy to przed tym porozumiewawczym uśmieszkiem chciał jak najprędzej uciec, czy przed chaosem, który ogarnął rodzinę Very? - zastanawiał się, przekręcając kluczyk w stacyjce. Mniejsza o to. Nacisnął pedał gazu tak gwałtownie, że furgonetka ruszyła z kopyta i pognąła na złamanie karku pogrążoną w ciszy ulicą do wtóru ryczącego silnika. Dopiero kiedy skręcił w Główną, ścinając zakręt, jakby się obawiał pościgu, zatrzymał się na światłach naprzeciw OTB, poczuł się względnie bezpieczny. W gospodzie „Pod Koniem”, w towarzystwie ludzi o w miarę zdrowych zmysłach, jego poczucie bezpieczeństwa wzrosłoby jeszcze bardziej, a że bardzo się do tego spieszył, postanowił przejechać po prostu na czerwonych światłach, nie tracąc czasu na czekanie. Jego furgonetka była jedynym pojazdem na całej ciemnej, opustoszałej ulicy, obowiązek stania na światłach wydawał mu się więc jeszcze bardziej absurdalny niż zazwyczaj. Dodał więc gazu i ruszył wolno przed siebie, ogarniając ulicę szybkim spojrzeniem i sprawdzając w lusterku wstecznym, czy nie widać glin.

To, co ujrzał, tak nim wstrząsnęło, że noga ześliznęła mu się ze sprzęgła, wskutek czego furgonetka skoczyła do przodu i zgasła. W lusterku, niczym odwieczne oskarżenie, mignęły mu przez krótką chwilę wystraszone oczy jego syna. Nie dorosłego Petera, którego zostawił u Very, kręcącego galką tam i z powrotem i przemawiającego do drzwi łazienki, ale chłopca, którym był tak dawno temu. Ich błagalny wyraz był tak natarczywy, tak rzeczywisty, że przez sekundę zastanawiał się, czy znów zasnął w furgonetce i śni, jak wtedy o saunie. Światło zmieniło się na zielone, ale Sully nadal siedział w nieruchomym samochodzie. Pragnienie ucieczki opuściło go nagle. I wtedy oczy znów się pojawiły, a wraz z nimi przeprasający uśmiech pasażera na gapę.

- Cześć, dziadku - powiedział Will, kiedy Sully wysiadł z ciężarówki. Głos małego zabrzmiał piskliwie, tak był podszyty lękiem.

Sully przez chwilę szukał w myślach imienia swojego wnuka, nim je sobie przypomniał.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, zdejmując chłopca ze skrzyni furgonetki.

Malec ukrył się pod zwojem starego płótna workowego, skąd odważył się wychynąć dopiero wówczas, kiedy furgonetka zatrzymała się na światłach. Kiedy w chwilę potem skoczyła do przodu, stracił równowagę i uderzył czołem oabinę.

Will sprawiał wrażenie, jakby nie słyszał pytania dziadka. Jego uwagę przykuła bulwa, wyrastająca w magiczny sposób na czole, tuż poniżej linii włosów. Nie czuł bólu, przynajmniej takiego, jaki potrafił zadać jego brat, ale kręciło mu się trochę w głowie i był zafascynowany tym obiektem, który pojawił się znikąd w tajemniczy sposób i ciągle rósł. Mógł to wyczuć, kiedy dotykał go palcami.

- Nie wrócę do domu - powiedział w końcu. - Nigdy.

Sully skinął głową.

- U kogo masz zamiar mieszkać?

Will westchnął.

- Chyba u ciebie. - Wydawało mu się to jedyną rozsądną ewentualnością i nie chciał okazać dziadkowi, że wolałby jakieś inne rozwiązanie.

Jakiś samochód zatrzymał się za nimi na światłach, które w tym czasie znów zmieniły się na zielone.

- Dobra, w takim razie wsiadaj - powiedział Sully, znów biorąc chłopca na ręce i podsadzając go do kabiny. - Posuń się trochę - dodał, kiedy stało się jasne, że chłopiec nie zrobi tego z własnej inicjatywy. Peter był w jego wieku taki sam, poruszał się niemal jak zahipnotyzowany. Jeśli mu się nie powiedziało, żeby otworzył drzwi, po prostu stał przed nimi bez ruchu. Wówczas Sully'emu nie przyszło do głowy, że przyczyną może być strach. Obawa, że zrobi coś nie tak. W tej chwili wydawało mu się to oczywiste.

Kiedy wnuk zrobił mu miejsce, Sully usadowił się obok niego. Na dźwięk zatraskiwanych drzwi chłopiec podskoczył i Sully zaczął się zastanawiać, w jaki sposób stał się takim kłębkim nerwów.

- A więc odegrałeś się na bracie, tak?

Will wzruszył ramionami, tak jak niegdyś Peter, którego niemal nie sposób było wciągnąć w rozmowę.

W tym momencie kierowca samochodu stojącego za nimi popełnił błąd, naciskając klakson. Sully wyszedł z furgonetki i patrzył na niego, aż tamten

wzruszył ramionami, robiąc głupią minę, cofnął się i objechał furgonetkę szerokim łukiem.

- Dwa samochody na całej ulicy i musisz na mnie trąbić - krzyknął za nim Sully, kiedy samochód wjeżdżał na skrzyżowanie.

Will obserwował go z napięciem, kiedy wsiadał z powrotem do samochodu.

- Tato robi tak samo - powiedział ze smutkiem, jak gdyby odkrył jakąś wadę genetyczną.

- To znaczy?

- Złości się na innych kierowców - wyjaśnił Will. - Ale nie wysiada z samochodu.

Sully skinął głową. To brzmiało prawdopodobnie. Jego syn należał dokładnie do tej kategorii. Dostatecznie wkurzony, żeby wrzeszczeć, ale nie dość, żeby wysiąść z samochodu.

- Co byś powiedział na lody? - zapytał, nie mając pojęcia, co zrobić ze swoim wnukiem.

- Jedliśmy deser - wyjaśnił Will.

Sully westchnął. Vera wychowywała dobrych obywateli. Kolejny chłopiec, któremu kłamstwo nie przeszłoby przez gardło. Ręce opadały.

- Były lody?

- Nie, placek z dynią.

- I lodami?

- Nie.

- W takim razie możesz zjeść lody. Będziemy udawali, że to polewa do placka.

Will się zamyślił. Ostrzegano go, że dziadek Sully jest nieodpowiedzialny. Niemniej, skoro miał zamiar z nim mieszkać, będzie się musiał przyzwyczaić do takich rzeczy.

- W porządku - powiedział z westchnieniem.

- Dobrze. - Sully odetchnął i przekreślił kluczyk w stacyjce. Dzięki Bogu, pomyślał.

Ruszyli, kierując się w stronę peryferii. Will obmacywał w milczeniu guza, który wyskoczył mu na czole. Niemal równie interesującą rzeczą jak guz była dziura w podłodze po stronie pasażera, wielkości piłki do kosza.

- Tylko nie wypadnij - ostrzegł go Sully, widząc, że jego wnuk wpatruje się w jezdnię, umykającą pod jego stopami.

Kiedy wjechali na nowy łącznik, niemal zupełnie pusty, jeśli nie liczyć ich furgonetki, Sully zapytał:

- Chcesz poprowadzić?

Will spojrział na niego z obawą.

- To chodź tutaj - powiedział Sully, dodając: - Uwważaj na moje kolano.

Will usadowił się ostrożnie na jego prawej nodze. Nogi chłopca wisiały w powietrzu. Uważał, żeby nie urazić niechcący chorego kolana dziadka. Razem ujęli kierownicę.

- Trzęsie się - zauważył Will, nie mając pewności, czy ta wibracja jest naturalna.

- Z furgonetkami tak bywa - wyjaśnił Sully. - Zwłaszcza starymi i rozklekotanymi, tak jak furgonetka twojego dziadka.

- To fajna furgonetka - powiedział Will. Jego głos wibrował pod wpływem drgań kierownicy.

- Cieszę się, że ci się podoba - rzekł Sully, zaskoczony komplementem i nie zastanawiając się, co robi, pocałował wnuka w czubek głowy. - No widzisz, prowadziłeś samochód. Nie wiedziałeś, że potrafisz, co? Tylko nie mów matce - dodał zaraz.

Niektóre zwroty mają magiczną właściwość wydobywania przeszłości z mulistego dna jeziora życia. Dla Sully'ego, podobnie jak dla wszystkich marnotrawnych ojców, takim magicznym zdaniem było: „Nie mów matce”. Nie wymawiał go chyba od trzydziestu lat, ale słowa wciąż gdzieś się kołatały, cisnęły się na usta mimo tak długiej przerwy, niczym pradawne, magiczne zaklęcie. Miał je we krwi, przejął od własnego ojca, który musiałby je wynaleźć, gdyby wcześniej nie istniały. „Wstąpimy tu na minutkę” - mawiał pod drzwiami swojej ulubionej tawerny. Sully i jego brat Patrick czekali, aż ojciec upora się z ciężkimi drzwiami i wprowadzi ich, popychając delikatnie, do chłodnego, mrocznego wnętrza, ostrzegając przy tym: „Nie mówcie matce”. W środku zawsze byli przekupywani drobniakami, za które mogli pograć w bilard elektryczny, podczas gdy Duży Jim sadowił się przy barze, zamawiając pierwszą z długiej serii kolejek. Płacił za nie pieniędzmi wydartymi matce, której wydzielał odliczoną kwotę. Leżały teraz bezładną kupą na kontuarze, mając mu zapewnić ciepłe przyjęcie. Czasem, kiedy Sully miał dosyć bilardu (musiał stawać na drewnianym taborecie i nawet wtedy ledwie dosięgał przycisków) albo skończyły mu się drobnaki, podchodził do ojca i wpatrywał się w stertę banknotów, wiedząc, że to te same pieniądze, o których matka mówiła z taką goryczą, kiedy ojca nie było w pobliżu. Mówiła, że przeznaczyłaby je na jedzenie i ubranie, żeby mogli mieć przyzwoite

rzeczy. Ojciec, zaliczający właśnie trzecią kolejkę i coraz gorzej usposobiony, dawał mu solidnego szturchańca, widząc, że gapi się na pieniądze, i powtarzał: „Nie mów matce. Nie musi zabierać wszystkiego, co zarabiam, do ostatniego centa”. Sully obiecywał milczeć, żeby znów nie oberwać, bo każdy następny szturchaniec był mocniejszy od poprzedniego. Potem Duży Jim zamawiał następną kolejkę albo rzucał dolarowy banknot z kurczącej się kupki w stronę barmana, który dorabiał jako bukmacher. „Na jego cholerny nos” - instruował go zawsze, co w jego języku oznaczało najbardziej ryzykowny typ zakładu. Inne uważał za dobre dla tchórzy i nie interesował go nędzny profit, jaki mogły przynieść. „Słyszysz? Na jego cholerny nos”.

Wszystkie te popołudnia kończyły się na ogół tak samo. Duży Jim słyszał, że powinien już iść, bo im więcej pił, tym gorszy miał humor i wszczęcie bijatyki było jedynie kwestią czasu. Niekiedy ktoś próbował przemówić mu do rozsądku i zażegnać groźbę rękoczynów. Pytał, jak może zachowywać się w ten sposób w obecności własnych synów. Manewr ów, który teoretycznie powinien poskutkować, zawsze okazywał się pomyłką. Duży Jim Sullivan nie należał do osób dręczonych wątpliwościami co do własnego postępowania, a największym pewnikiem wśród jego niezbitych przekonań były własne rodzicielskie przymioty. Kiedy ktoś pozwolił sobie na cień sugestii, że mógłby nie być wzorowym ojcem, powinien zaraz potem zrobić unik, bo Duży Jim zawsze wówczas puszczał pięści w ruch.

Niestety, po licznych wypitych kolejkach boks nie był jego najmocniejszą stroną. Wyznając przez całe życie zasadę rozstrzygnięcia walki pierwszym ciosem, wyprowadzał go bez wahania, przynajmniej w teorii. Niestety sierpowy, który planował, był sygnalizowany z takim wyprzedzeniem, że jego przeciwnik miał pod dostatkiem czasu, aby go uniknąć. Siła zamachu sprawiała, że dryblas okręcał się wokół własnej osi, po czym, już w podwójnym nelsonie, zmierzał z czyjąś pomocą w stronę drzwi, które ktoś inny przytrzymywał. Znalazłszy się na ulicy, zawsze podnosił się z wielką godnością z chodnika, zbierał manatki i ruszał zygzakiem w stronę domu, zapominając zupełnie, że jego synowie byli z nim, kiedy wchodził do gospody.

Pewnego dnia, który wciąż żył w pamięci Sully'ego, jego ojciec przyczepił się do faceta, który nie był w lokalu starym bywalcem. Tamten, nie znając reguł gry, nie wiedział, że Duży Jim powinien być wystawiony za drzwi w stanie nieuszkodzonym. Zapewne nie zdawał sobie sprawy, że ów osiłek nie jest po pijanemu ani w połowie tak niebezpieczny, jak wygląda, pod

warunkiem że nie jest się jego żoną albo dzieckiem. Duży Jim wziął się na niego z niewiadomego powodu i obrzucał go wyzwiskami mniej więcej od pół godziny. Kiedy facet miał w końcu dość i dał mu to do zrozumienia, Duży Jim wziął swój nieunikniony, szeroki zamach, ale tamten uchylił się z gracją i ojciec Sully'ego poleciał całym impetem do przodu. Nim zdążył jednak upaść, mężczyzna wyprostował go krótkim, celnym hakiem, nie tylko łamiąc mu nos, ale przestawiając go w inne miejsce. Siła uderzenia przywróciła Dużemu Jimowi magiczną pijacką równowagę, której nie utracił pod wpływem kolejnych, coraz bardziej brutalnych ciosów. Nikt nie interweniował, nawet ci, którzy wcześniej traktowali go z pobłażaniem. Być może oni też mieli go dosyć.

Wreszcie, kiedy twarz ojca Sully'ego była jedną krwawą maską, chwiejąc się od ostatniego z ciosów, zatoczył się w stronę drzwi, jak gdyby od jakiegoś czasu planował ten manewr. Na dworze odczekał, aż drzwi się za nim zamkną, po czym osunął się na kolana, zwymiotował na chodnik i zemdłał. Przeleżał tak jakieś dziesięć minut, co wystarczyło, aby zebrał się przy nim niewielki tłumek i aby ktoś posłał po lekarza. Mimo zapewnień brata, że Duży Jim po prostu stracił przytomność, Sully był przekonany, że ojciec nie żyje. Nie wyobrażał sobie, że może być inaczej, gdy widział oko, które zupełnie znikło pod opuchlizną, i nos, który nie znajdował się już na środku twarzy. Ale nim lekarz zdążył dotrzeć na miejsce, Duży Jim ocknął się, otrząsnął i wstał, najwyraźniej pokrzepiony krótką drzemką, po czym ruszył, zataczając się, w stronę domu. Nikt nie próbował go zatrzymać. Sully i Patrick poszli jego śladem, trzymając się w odległości, którą uważali za bezpieczną, ale kiedy znajdowali się przecznicę od domu, ojciec wyczuł, że za nim idą, odwrócił się, chwycił ich brutalnie za kołnierze i przyciągnął do swojej zmasakrowanej twarzy tak blisko, że Sully czuł zapach krwi i wymiotów. „Nie mówcie matce” - zagroził.

Nawet po swoim rozwodzie z Verą Sully uważał, że był dla Petera lepszym ojcem niż Duży Jim dla niego, chociaż musiał przyznać, że poprzeczki nie zawieszono wysoko. Zasmucało go, że pokonał ją z tak niewielkim zapasem. Zamiast maltretować chłopca, ignorował go, zapominając o jego istnieniu całymi miesiącami. Trudno mu było przełknąć tę prostą prawdę, chociaż nie sposób jej było zaprzeczyć. Lata mijały i Vera, wspierana przez Ralpha, wydawała się osobą aż nadto kompetentną, jeśli chodzi o zapewnienie ich synowi wszystkiego, czego mógł potrzebować. Nie mówiąc tego wprost, często umiała dać Sully'emu do zrozumienia, że doskonale sobie

radzą bez niego, na co rzeczywiście wyglądało. Zapewniała, że Ralph jest urodzonym, chociaż nie rodzonym ojcem, Peterowi więc nie brakuje miłości ani czegokolwiek innego. Powtarzała mu, że są rodziną, sugerując, że może być dla tej rodziny zagrożeniem, jeśli będzie się narzucał ze swoją obecnością. Tak więc miał wymówkę, żeby trzymać się z daleka, rad, prawdę powiadziawszy, że swoje jej wolności.

To Ralph, nie Vera, nachodził go od czasu do czasu, przekonywał, żeby wpadł do nich któregoś dnia, zobaczył, jak bardzo chłopiec urósł od ostatniego razu - tak bardzo, że pewnie ledwie go pozna. Co zresztą nie było prawdą. Sully zawsze poznawał Petera po tym jego dziwnym, jakby strapionym spojrzeniu, które Will po nim odziedziczył. Zdaniem Sully'ego jego wnukowi było z nim znacznie bardziej do twarzy. Jego nieliczne wyjścia z synem zawsze przebiegały w atmosferze napięcia, bo Sully nie wiedział, o czym rozmawiać z chłopcem o wiecznie nachmurzonym czole, który nie spuszczał oka z licznika, żeby potem zrelacjonować matce, z jaką szybkością jechali. Zazwyczaj zabierał go w jakieś miejsce, gdzie było dużo ludzi - do kina albo do wesołego miasteczka, żeby uciec od kłopotliwego sam na sam z synem.

Było prawdą, że stanowił dla chłopca zagrożenie. Nie widział, na przykład, nic niewłaściwego w tym, żeby najpierw dać mu zapiekankę z kukurydzą, a potem wysłać go na diabelski młyn, tak że Peter miał wkrótce wszystko z powrotem na ubraniu, a Sully stał przed problemem doczyszczania chłopca, żeby móc go odwieźć do domu. Prędzej czy później każde ich wyjście kończyło się w jakiejś obskurnej męskiej toalecie, gdzie Sully, uzbrojony w wilgotne papierowe ręczniki, usiłował usunąć kwaśne wymiociny z koszuli i spodni syna, słysząc swoje własne słowa, wypowiedane tonem Jima Sullivana: „Nie mów mamie, brachu, dobrze?”. Potem wsiadali do samochodu, Sully opuszczał wszystkie szyby i pędził na złamanie karku w nadziei, że prąd powietrza osuszy ubranie chłopca, nim dojadą do domu.

Niekiedy Peter zasypiał podczas jazdy, oparty o niego, i Sully zanosił go do domu na rękach. Włosy dziecka zawsze pachniały czysto i świeżo, tak jak teraz włosy Willa. Czuł, że jest to zapach prawdziwego domu: czystości, przyzwoitości i bezpieczeństwa. Tego wszystkiego, co zapewniali chłopcu Ralph i Vera. I dlatego nigdy się u nich nie pojawiał, dopóki Ralph znów nie zaczął go szukać.

W całodobowej restauracji, tuż obok zjazdu z autostrady, Sully zamówił dla Willa lodowy deser, przybrany czeresienką. W jego własnym żołądku coś

się złowieszczo gotowało, toteż dla siebie wziął tylko kawę. „Z podwójną kofeiną” - poinstruował kelnerkę. Dziewczyna, która odbierała zamówienie, była zbyt nieszczęśliwa, że pracuje w Święto Dziękczynienia, aby zareagować na żart. Kiedy podano lody, Sully poszedł do automatu, znajdującego się przy drzwiach wejściowych. Vera podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Cześć - powiedział Sully. - Nie brakuje wam kogoś?

- Wiedziałaś - wyrzuciła z siebie jego była żona. - Gdzie jesteś?

- Nie twoja sprawa - powiedział Sully. - I nie mogłaś nic wiedzieć, bo sam się przed chwilą dowiedziałem. Schował się z tyłu na furgonetce.

Z miejsca, gdzie stał, widział, jak jego wnuk wierci się nerwowo. W końcu ukląkł, wyglądając zza przepierzenia. Sully zamachał do niego i chłopiec uśmiechnął się z wyraźną ulgą, że ustalili miejsce pobytu dziadka.

- Wszyscy przeszukują okolicę - rzuciła Vera oskarżycielskim tonem.

- Cóż, mogą przestać - odparł Sully. - Będę z nim za pół godziny.

W słuchawce zapadła cisza na tak długo, że Sully zaczął się zastanawiać, czy Vera się przypadkiem nie rozłączyła, a on nie dosłyszał szczęku odkładanej słuchawki.

- Jesteś tam?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?

- Nigdy się tak nie czułeś?

- Jak?

- Jakbyś w ogóle nie istniał?

Nie był to temat, który miał ochotę omawiać ze swoją byłą żoną. Możliwości Very, jeśli chodzi o uzalanie się nad sobą, były jego zdaniem nieograniczone.

- Nigdy - odpowiedział. - Nigdy w życiu. - Była to prawda, poza tym chciał dać jej jasno do zrozumienia, że nie ma co liczyć na jego współczucie.

- To masz szczęście - powiedziała Vera i odłożyła słuchawkę.

Kiedy Will skończył lody, Sully pokazał mu małża, którego znalazł w kieszeni, rozmawiając przez telefon.

- To jest muszla - stwierdził Will, dotykając skorupy leżącej na środku stołu.

- Zgadza się - powiedział Sully. - Z tą różnicą, że w środku coś jest.

Will cofnął dłoń, przyglądając się małżowi ze świeżym zainteresowaniem.

Sully uderzył w skorupę trzonkiem noża. Rozległ się cichy dźwięk, jakby uchodzącego powietrza.

- Czy on może się stamtąd wydostać?

- Jest przyrośnięty do muszli - wyjaśnił Sully. - Nie ma ochoty z niej wychodzić.

- Ja bym miał ochotę - powiedział Will.

- Nie miałbyś, gdybyś był małżem. Tam jest bezpieczny - tłumaczył Sully.

- Jak tam, tłuczecie się z bratem na okrągło?

Will nie był pewien, co ma odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, nigdy się nie bili, chyba żeby podciągnąć pod to terrorystyczne ataki Fangi. Jeżeli tak, to rzeczywiście tłukli się na okrągło. Postanowił wypośredkować odpowiedź.

- Od czasu do czasu - przyznał.

- Ja też się tłukłem ze swoim bratem - oznajmił Sully.

- Teraz już się nie tłuczecie?

- Brat zginął w wypadku.

Ta informacja wprawiła w popłoch Willa, który nie był daleki od tego, żeby życzyć swojemu bratu śmierci, gdyby nie obawa, że jego życzenie może się ziścić i sprawa się wyda.

- Będę mieszkał z tatą - wyrzucił z siebie nagle, ku własnemu za skoczeniu, ujawniając swoje ukryte pragnienie. Cóż to za niezwykły dzień! Jak dotąd wziął odwet na bracie, prowadził samochód, a teraz na dokładkę powiedział dziadkowi wierutne kłamstwo. Mniej więcej od miesiąca wyobrażał sobie, że rozpoczyna nowe życie. Rodzice się rozwodzą i on zostaje z tatą. Pomysł z początku go przeraził. Wiedział, że to okropna rzecz pragnąć rozwodu, ale było to lepsze, niż życzyć Fandze śmierci, do czego, jak się obawiał, byłby zdolny, gdyby nie po myślał o jakiejś innej możliwości. Zdecydował się więc na rozwód. Bardzo żałował, że będzie go to kosztowało rozstanie z matką, ale mówi się trudno. Musiał ją poświęcić.

Najatrakcyjniejszą stroną całego pomysłu była pewność, że kiedy Fanga zniknie z pola widzenia, wreszcie udowodni tacie, że jest naprawdę dobrym chłopcem, zasługującym na miłość, chłopcem, który nigdy albo prawie nigdy nie sprawia kłopotu. No i po separacji mama zorientuje się szybko, że to Fanga był powodem wszystkich perturbacji. Teraz robiła wrażenie całkowicie zdezorientowanej. Bez względu na to, co się działo i kto był winien, wymierzała obu jednakową karę. Wrzeszczała na obydwu, obydwóm spuszczała

lanie, obydwu odsyłała do ich pokoju. Po rozwodzie, kiedy Will zniknie, a kłopoty pozostaną, zadzwoni do ojca, żeby wymienić spostrzeżenia. Opowie mu, jaki niegrzeczny był Fanga przez cały tydzień. Ojciec się zdziwi. „Coś podobnego - powie. - Wyobraź sobie, że Will był po prostu idealny”. Wtedy oboje zrozumieją.

Historia miała szczęśliwe zakończenie. Rodzice się w końcu pogodzą, ale wszystko będzie wyglądać inaczej. Zamieszkają w domu, a nie w bloku, każdy z braci będzie miał własny pokój, przy czym rodzice, za radą Willa, będą trzymali Fangę pod kluczem, wsuwając mu jedzenie przez szparę pod drzwiami, dopóki Will nie dorośnie i nie wyprowadzi się z domu. Zobowiąże ich, żeby nie podawali Fandze jego nowego adresu. Był to ważny punkt, bo jego brat z pewnością się wścieknie, kiedy w końcu wydostanie się na wolność.

Will opowiedział o tym wszystkim Sully'emu. Kiedy raz zaczął, nie potrafił się powstrzymać i nowe, wyimaginowane życie wydało mu się dzięki temu jeszcze bardziej rzeczywiste. Jeżeli dziadek dostrzegał w jego planie jakieś słabe punkty, zachował to dla siebie. Po prostu słuchał, za co Will był mu wdzięczny. W całym dotychczasowym życiu nie zdarzyło mu się, żeby dorosły po prostu go wysłuchał, bez zgłaszania najróżniejszych obiekcji i wyłuszczenia powodów, dla których sprawy nie wyglądały tak, jak on je widział albo jak jego zdaniem mogłyby wyglądać. Ponieważ nikt mu nie przerywał, rozkręcał się coraz bardziej, nabierając pewności siebie. Opisał dom, w którym miał zamieszkać wraz z ojcem, a także straszliwe kary, jakie będzie musiał ponieść Fanga, kiedy wszystko się wyda. Oszupiałe milczenie dziadka było akurat takim uwierzytelnieniem, na jakie liczył. Nigdy w życiu nie był równie szczęśliwy. Lody nigdy nie były smaczniejsze. Na ogół nie zwracał uwagi na smak tego, co jadł. Strach powodował, że wszystko podchodziło mu do gardła z jednakowym, kwaśnym posmakiem. Ale te lody tak mu smakowały, że wylizał talerzyk.

- Będiesz mógł nas odwiedzać, kiedy tylko zechcesz - powiedział, jak gdyby to Fanga stanowił przyczynę, dla której dziadek trzymał się od nich z daleka.

- Będę - obiecał Sully, spoglądając na zegarek.

Chłopiec mówił już pół godziny, przez co byli spóźnieni.

- Powinniśmy chyba wracać.

Twarz chłopca zmierzchła.

- Wolałbym mieszkać z tobą.

- Jak zamieszkaż z mną, nie będę mógł cię odwiedzać - zwrócił mu uwagę Sully. - Poza tym, gdybym cię ukradł rodzicom, wsadziliby mnie za kratki. Babcia Vera by tego dopilnowała.

Will wiedział, że to prawda. Nie chciał wracać, ale nie chciał też, żeby dziadek Sully poszedł do więzienia. Nie wiadomo dlaczego rozmowa z dziadkiem dodała mu odwagi. Już się tak bardzo nie bał. Prawda, Fanga odegra się na nim za deskę klozetową, ale on będzie się wówczas pocieszał myślą o tych wszystkich latach, które jego brat spędzi zamknięty w swoim pokoju.

Sully podszedł do kasy, zapłacił za kawę i lody swojego wnuka. Nagle zapachniał mu kotlet z kurczaka, który ktoś jadł w sąsiednim boksie. Jego żołądek uspokoił się już trochę i na widok smacowicie wyglądającego kotleta Sully przypomniał sobie, że nic nie jadł przez cały dzień. Wychodząc z restauracji, zastanawiał się, czy zadzwonić do Very i powiadomić jej, że już jadą, ale pomyślał, że za dziesięć minut i tak będą na miejscu.

I byliby, gdyby mieli choć trochę benzyny. Rano było ponad ćwierć baku, ale większość zużyła się, kiedy Sully spał pod domem swojej eksżony w pracującym na wolnych obrotach samochodzie. Nie zostało ani kropli, co mógłby przewidzieć, gdyby w drodze do restauracji wpadło mu do głowy sprawdzić stan paliwa.

Na szczęście tym razem to Ralph odebrał telefon, a piętnaście minut później to on siedział za kierownicą buicka, który zajechał na parking przed restauracją.

- Dziadzio przybywa na ratunek - zachichotał Ralph, kiedy Will wybiegł mu na spotkanie. Zaczzerwienił się natychmiast, uświadamiając sobie swoją gafę. - Jakoś tak mi się wydaje, że jestem ich dziadkiem - wybąkał tytułem usprawiedliwienia.

- Nie ma sprawy - uspokoił go Sully. - Mnie też się tak wydaje.

- Wsiądź lepiej do samochodu - powiedział Ralph do chłopca. - Nie masz płaszczyka.

Rzeczywiście nie miał, czego Sully wcześniej nie zauważył. Will wdrapał się na siedzenie i usiadł za kierownicą buicka. Ralph wręczył Sully'emu pięciogalonowy kanister benzyny.

- Jak sobie nabił tego guza? - zapytał konspiracyjnym szeptem, jak gdyby z góry wiedział, że będzie musiał zdać z tego sprawę po powrocie do domu.

Sully wyjaśnił z miną winowajcy, jak to się stało. Vera zawsze twierdziła, że jest niebezpiecznym osobnikiem, i mógł się domyślić, co powie, kiedy

chłopiec wróci do domu poobijany. Ralph, ze swojej strony, wydawał się rozumieć, że takie rzeczy się zdarzają.

- Jasny gwint - powiedział. - Najpierw w ogóle się nie połapaliśmy, że go nie ma. Potem baliśmy się, że zwał nie wiadomo dokąd. Ucieszyłem się, kiedy usłyszałem, że jest z tobą.

- Vera nie była zachwycona.

- Znasz ją.

- Zgadza się. W dalszym ciągu jest przekonana, że nikt jej nie kocha, jak się domyślam.

- Miała ciężki dzień, z chorym ojcem i całym tym towarzystwem na głowie. Aż się skręca w środku.

- Powiniennem pomyśleć, zanim się wam zwałem na kark - powiedział Sully, poruszony hojnością Ralpha. - Wiedziałem, jaka jest sytuacja.

- Nie wygłupiaj się - zachnął się Ralph, szczerze urażony. - Jesteś zawsze mile widziany.

- Cóż, bardzo się cieszę, że przyjechałeś - rzekł Sully. - Musiałem wypalić pod twoim domem z pięć galonów.

Odkręcił nakrętkę kanistra i założył końcówkę do przelewania.

- Lej wszystko - zachęcał go Ralph. - Nie będę strzygł trawników przez dłuższy czas.

- Nie masz dmuchawy do śniegu?

Ralph pokręcił głową ze smutkiem.

- Ale powinienem sobie sprawić. Nie mogę szuflą odgarniać śniegu od czasu tej operacji. Dziś rano mało nie kopnąłem w kalendarz, a i tak odczekałem przedtem, aż połowa sama stopnieje. Starość nie radość, co?

Kiedy Sully miał pewność, że w baku jest dosyć paliwa, żeby dojechać do miasta, zdjął przelewkę i zakręcił kanister z powrotem.

- Lej do końca, bez krępacji - powtórzył Ralph.

- Tyle mi wystarczy - powiedział Sully. - Dzięki raz jeszcze.

- Nie wstąpiłbyś do nas? - zapytał Ralph. - Już się uspokoiło. Nawet nie spróbowałeś indyka.

- Dzięki, naprawdę, nie przyszedłem na indyka - zapewnił go Sully. - Co to za historia z Peterem i Charlottą?

Ralph wzruszył ramionami.

- Nigdy nie umiałem się połapać w takich sprawach - przyznał. - Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą po prostu żyć w zgodzie.

- Nie rozumiesz? - zdumiał się Sully. - Ile ty masz lat, chłopie?

- To nie jest takie trudne - upierał się Ralph. - Wystarczy traktować innych dobrze i oni też traktują cię dobrze, przynajmniej większość.

Sully skinął głową.

- Z wyjątkiem tych, którzy tego nie robią. I z wyjątkiem tych sytuacji, kiedy nie jesteś usposobiony, żeby dobrze traktować innych.

- Z tym nie mam problemów. Lubię dobrze żyć z ludźmi - zapewnił go Ralph.

- Wiem - powiedział Sully. - Ale ty jesteś wyjątkiem.

Wyjął paczkę papierosów i wyciągnął w stronę Ralpha, który, jak wyczuwał, nie spieszył się zbytnio do domu. Powietrze było łagodne, z parkingowych megafonów dobiegały dźwięki pieśni „God Rest Ye Merry, Gentlemen”.

Ralph podziękował za papierosa.

- Vera kazała mi odstawić - wyjaśnił. - Piwo też, chyba że cichcem.

- Nikomu nie powiem - obiecał Sully.

Ralph pokręcił głową z uśmiechem.

- Muszę przyznać, że czuję się lepiej - powiedział. - Tak naprawdę to lekarz mi kazał. Vera tylko pilnuje.

- Ma do tego wrodzony talent.

Ralph wpatrywał się w czubki swoich butów.

- Naprawdę sporo straciłeś, że nie przeżyłeś z nią życia - powiedział ku zaskoczeniu Sully'ego i swojemu własnemu.

- Może masz rację - zgodził się Sully, nie dlatego że naprawdę tak uważał, ale dlatego że dziwnie go poruszyły słowa Ralpha na temat kobiety, z którą jeden był kiedyś żonaty, a drugi jest teraz.

- Wiem, że lubi rządzić - przyznał Ralph. - I jest nieszczęśliwa, jeśli nie próbuje przerobić innych na swoją modłę. Ale nie jest zła.

- Nigdy nie była zła - potwierdził Sully. - Tylko sfrustrowana, że nie może postawić na swoim.

- One wszystkie chcą postawić na swoim.

- My też - zauważył Sully.

Ralph pomyślał chwilę.

- Ja nie - rzekł w końcu. - Lubię, kiedy ludzie żyją w zgodzie. Nie ważne, czyje na wierzchu. Co to w końcu za różnica? - Przynajmniej w ten sposób, że pozwala Verze rządzić, pragnął teraz, żeby Sully przyklasnął jego mądrości życiowej.

Sully wzruszył ramionami.

- Przez cały dzień ktoś usiłuje mnie namówić na indyka. A ja mam akurat

ochotę na kotlet z kurczaka. Dlaczego nie miałbym zjeść właśnie tego?

Sully wybrał swój przykład losowo, nieświadomie trafiając w czuły punkt Ralpha, który przepadał za smażonymi potrawami, a musiał ich sobie odmawiać ze względu na zdrowie.

- Bo to niezdrowo - podsunął niepewnie, świadom, że akurat ten argument ma u Sully'ego niewielkie szanse powodzenia.

- A jeśli mimo to mam ochotę?

- Dlaczego miałbyś mieć ochotę na coś, co ci szkodzi?

- Dobre pytanie - przyznał Sully. - Ale ja zawsze mam ochotę na takie rzeczy. - Tytułem przerywnika zdusił czubkiem buta niedopałek. - Przy okazji - dodał, kiedy już uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie. - Znam faceta, który może będzie się chciał tanio pozbyć dmuchawy do śniegu.

- A to czemu? - zdziwił się Ralph. W końcu zima jeszcze się na dobre nie zaczęła.

- Wyjeżdża na Florydę - skłamał Sully.

- Tam nie będzie mu potrzebna, co?

- Jeżeli byłbyś zainteresowany... - ciągnął Sully - właściwie jest zupełnie nowa. Sam jej używałem.

- Nie wiem - zawahał się Ralph, odwracając wzrok. - Ile za nią chce?

- Myślę, że udałoby mi się ją załatwić za darmo - powiedział Sully. - Mógłbyś ją trzymać u siebie, a ja bym ją od czasu do czasu pożyczał.

Ralph niewiele z tego rozumiał. Dmuchawa do śniegu to drogi sprzęt i nie powinno być problemów z odsprzedaniem używanego egzemplarza, zwłaszcza o tej porze roku.

- Brzmi to fantastycznie - rzekł smutno niczym mały chłopiec, przekazujący koledze niepomyślną wiadomość: „Mama mi nie pozwoli”.

- Dam ci znać, jak sprawy stoją - obiecał Sully. - Nie zdziw się, jeżeli ze chce prowadzić w drodze do domu - dodał, wskazując ruchem głowy wnuka.

Ralph przyjrzał się chłopcu z uśmiechem.

- Wiesz, chciałbym dożyć tych czasów, kiedy on i jego bracia będą dorastać. Byłoby mi znacznie lżej, gdybym mógł być przy nich i widzieć, że wszystko jest w porządku.

- Dlaczego miałbyś nie dożyć? - zapytał Sully.

Jego słowa najwyraźniej dodały Ralphowi otuchy.

- A może rzeczywiście dożyję? - rozpromienił się, odpędzając smutne myśli. - Psiakrew, może obaj dożyjemy?

- Tak trzymać - powiedział Sully na pożegnanie i dwaj mężczyźni jeszcze raz uścisnęli sobie dłonie. Sully zatrzymał się przy automacie z papierosami, nim wszedł z powrotem do restauracji. Stał tam przez chwilę, patrząc, jak Ralph ostrożnie wyjeżdża z parkingu na wstecznym biegu, po czym bierze kurs na Bath, prowadząc jak ktoś, kto nie ma zamiaru zginąć w wypadku samochodowym. W pewnej chwili mignął mu jego wnuk, wtulony bezpiecznie w wielkie ciało Ralpa.

Na sali podeszła do niego ta sama kelnerka, która odbierała jego pierwsze zamówienie.

- Jeszcze kawy? - zapytała. Tym razem była uśmiechnięta.

- Dobrze - powiedział Sully. - I do tego kotlet z kurczaka.

Dziewczyna zamrużyła oczami.

- Chce pan kotlet z kurczaka?

- Zgadza się - powtórzył Sully.

- Mamy specjalne ceny na indyka i nadzienie - poinformowała go kelnerka. - Z wszystkimi dodatkami za sześć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów.

- Fantastycznie - odparł Sully. - Zobaczymy, czy nadal będę głodny, jak jem kotlet.

Uśmiech znikł z twarzy dziewczyny. Uznała, że w Święto Dziękczynienia prawo powinno zabraniać wpuszczania do restauracji przemądrzałych dupków.

Samochód Carla Roebucka stał pod domem, Sully zaparkował więc swoją furgonetkę za nim. Rozejrzał się za dmuchawą do śniegu, ale nigdzie jej nie dostrzegł. Zapukał i wszedł do środka. Ujrzał Carla siedzącego przy kuchennym stole i wpatrującego się w na wpół opróżnioną butelkę whisky.

- Wiesz co? - powiedział Carl, podnosząc wzrok. - Kiedy kupowaliśmy ten dom, pośredniczka zarzekła się, że ludzie twojego pokroju nie mają w ogóle wstępu do tej dzielnicy.

Sully przystawił sobie krzesło.

- Musiałeś ją źle zrozumieć - powiedział. - Pewnie chodziło jej o Murzynów.

- Zawsze uważałem cię za Murzyna - rzekł Carl. - Robisz robotę Murzyna za murzyńskie stawki. Oczywiście Murzyni mają wyższe aspiracje.

Sully zapalił papierosa i dmuchnął w stronę Carla w odpowiedzi.

- Byłbym szczęśliwy, gdybyś zaczął mi wypłacać moje murzyńskie stawki. To rzeczywiście moja jedyna aspiracja.

Carl wciągnął chciwie dym.

- Mógłbyś mnie poczęstować?

Sully rzucił mu paczkę papierosów. Carl popchnął butelkę w jego stronę.

- Będziemy pić z gwinta, jak mężczyźni - powiedział. - To jest kawalerska noc w Casa Roebuck. Kieliszki? Po co nam to badziewie? - Zaciągnął się głęboko papierosem. - Nigdy nie chodzisz do kina, co?

- Nigdy - przyznał Sully.

- Nie masz nawet wideo, założę się.

- Nie mam.

Carl pokręcił głową.

- Oj Sully, Sully. Nie jesteś człowiekiem lat osiemdziesiątych.

- Czy gdybym miał wideo, byłbym równie szczęśliwy jak ty?

- No, może nie aż tak jak ja - odparł Carl. Pociągnął łyk z butelki, której Sully nie dotknął, po czym postawił ją z powrotem. Nagle roześmiał się, odrzucając głowę do tyłu, po czym zanurzył dłonie we włosach. - A niech to!

- Robił wrażenie kompletnie wykończonego.

- Jeśli chodzi o ścisłość, które z zaleceń swojego lekarza w tej chwili wypełniasz? - zapytał Sully.

- Wszystkie - powiedział Carl do sufitu. - Wszystkie naraz i każde z osobna.

- Zalecił ci picie, palenie i świrowanie?

- No, wszystkie z wyjątkiem tych trzech - przyznał Carl z pijackim uśmiechem. - Te żądania nie były rozsądne. Nie wysunąłby ich, gdyby mnie lepiej znał.

- Gdyby cię lepiej znał, toby cię nie reanimował. Gdzie jest Toby?

- Jaka Toby?

Sully nie odpowiedział.

- Gdzieś w okolicy. Źle by się czuła na tej czysto męskiej imprezie.

- Carl przyjrzał mu się mętnym wzrokiem. - Boże, mam nadzieję, że nie skończę jak ty.

- Też mam taką nadzieję - rzekł Sully.

Carl pokręcił głową.

- Sześćdziesiąt lat i ciągle się durzy jak sztubak. Mam nadzieję, że w twoim wieku będę miał więcej rozumu.

- Cóż, nadzieja nikomu nie zaszkodziła. Ale masz trochę spóźniony start, jeśli rzeczywiście chcesz nabrać rozumu.

Carl przeczesał palcami włosy.

- Moja żona jest tego samego zdania - przyznał. - Naraziłem się jej, chociaż posłuchałem twojej rady i poszedłem do domu. Kłopot w tym, że po drodze miałem dwa przystanki. Popełniłem błąd, przyznając się do tego i prosząc ją o wybaczenie. Obawiam się, że zepsułem jej Święto Dziękczynienia.

- Dziś też możesz spać u mnie na kanapie, jeśli chcesz - powiedział Sully, wstając. Podszedł do zlewu, zgasił niedopałek i splukał popiół.

- To jest najgorsza kanapa w Bath - oświadczył Carl. - Miałem przez nią koszmary. - Sięgnął po portfel, wyjął z niego zwitek banknotów i rzucił je w stronę Sully'ego. - Kup sobie nową, do cholery. Twoi goście nie mogą spać na kanapie, która przyprawia ich o nocne zmyry.

Sully ułożył banknoty w wachlarzyk. Na oko było tam około tysiąca dolarów.

- Przyjdę jutro - powiedział. - Wtedy możemy się rozliczyć.

- Bierz teraz - doradził Carl. - Kiedy zaczną się korowody z rozwodem, nie będę miał głowy do takich spraw. Korzystaj z okazji. Bierz, ile uważasz, że jestem ci winien.

- Niech cię o to głowa nie boli. Zapłacisz, co mi jesteś winien, nie bój się. Na trzeźwo, nie po pijaku. Chcę widzieć, jak cię szlag trafia.

Carl pokręcił głową.

- Robisz robotę Murzyna za murzyńskie stawki, ale masz skrupuły białego człowieka. Nic dziwnego, że nie dorobiłeś się magnetowidu.

- Ani dmuchawy do śniegu.

Carl zapał triumfalnie, jego twarz poczerwieniała z ukontentowania.

- Powiem ci szczerą, najszczerzą prawdę. Jedyna przyjemność, jaką dzisiaj miałem, to wykradanie z powrotem tej pieprzonej dmuchawy.

- Cóż - odparł Sully, zbierając się do wyjścia. - Trzymaj ją sobie, dopóki znów nie zacznie padać. Następnym razem przykręć przynajmniej z powrotem barierkę. Jeżeli moja gospodyni coś sobie zrobi, to ona zostanie właścicielką firmy CI. Roebuck.

- Może ją sobie zatrzymać - oświadczył Carl. - Jeżeli sprawa tego luna-parku nie ruszy, nikt nie będzie jej chciał nawet za darmo. - W tym momencie coś mu się przypomniało. - Aha, tamtemu wścibskiemu gnojkwowi nic nie powiedziałem.

Sully zatrzymał się w drzwiach.

- Jakiemu gnojkwowi?
- Tamtemu facetowi, dziś rano.
- O kim ty mówisz, na litość boską?
- O facecie, który przyszedł do biura zaraz po twoim odejściu.

Sully przypomniał sobie człowieka w czarnym sedanie, który po wiedział mu, że mylnie interpretuje sytuację.

- Taki nieduży? - zapytał. - Odstawiony?
- Ten sam.

- Jego wóz stał pod twoim biurem - powiedział Sully. - Nie wydawał się zachwycony, że go zauważyłem. Myślałem, że to jakiś wkurzony mąż go wynajął.

- Chciał wiedzieć, czy dla mnie pracujesz. Powiedziałem, że nie. Aha, przy okazji. Może będę miał coś na jutro dla ciebie i twojego kurdupla. Wpadnij do mnie do biura.

- Dobrze. Może byś się tak położył?
- Nie jestem zmęczony.
- Jesteś wykończony. Popatrz na siebie.
- Może i jestem wykończony - zgodził się Carl. - Ale zmęczony nie.

Toby Roebuck siedziała cicho w kabinie furgonetki, kiedy Sully otworzył drzwi. Światło było zepsute, jej obecność zdradzał jedynie żarzący się koniec papierosa.

- Ale z ciebie nerwus - zauważyła.
- Zaskoczyła go, nie da się ukryć.
- Nie spodziewałem się ciebie - powiedział.
- Toby spojrzała na niego.
- Twoje życie musi być pełne niespodzianek, Sully.

Była to prawda, więc nie zaprzeczał. Ten dzień również był ich pełen, od rana do wieczora.

- Więc jednak go wpuściłaś?
- Nie - odparła Toby. - Myślę, że to Horacy dał mu klucz. Brudny, ośli-zgły kanciarz. Carl był w środku, kiedy wróciłam z Schuyler.

Na wzmiankę o Schuyler Springs Sully nagle sobie o czymś przypomniał.

- Głupio mi, że to ja ci o tym mówię, ale krążą o tobie plotki.
- Coś podobnego! - Toby klasnęła w dłonie z udanym zaaferowaniem. -

Co za sensacja! Zamieniam się w słuch.

- Podobno masz w Schuyler przyjaciela.

Toby spojrzała na niego z powagą i nie odwracała wzroku, aż się zaczął niespokojnie wiercić, po czym wybuchnęła śmiechem.

- Biedny Sully - powiedziała, kiedy się wreszcie uspokoiła. - Boki można z ciebie zrywać.

Jak to się działo niemal zawsze, kiedy miał do czynienia z kobietami, Sully poczuł, że rozmowa mu się wymyka.

- Hej, ja sobie tego nie wymyśliłem - wyjaśnił. - Jeśli chodzi o ścisłość, powiedziałem temu gościowi, że w to nie wierzę.

Te słowa wywołały kolejny wybuch wesołości, chociaż tym razem Toby opanowała się szybciej.

- Naprawdę jesteś uroczy - powiedziała, siląc się na powagę.

- To prawda - przyznał Sully. - Żałuję tylko, że tak mało kobiet to dostrzega.

W domu coś się poruszyło. Carl podszedł do okna i wyjrzał na furgonetkę Sully'ego stojącą na podjeździe, osłaniając oczy niczym harcerz na czatach. Sully włączył silnik, na wypadek gdyby to cisza przywabiła Carla do okna.

- Może nie powinnaś tu dziś nocować - powiedział. - On jest w kiepskim stanie.

Toby pochwyciła jego spojrzenie i poszła za jego wzrokiem.

- Rzeczywiście zaczynam mieć tego dość. Popatrz na niego.

Carl, wciąż osłaniając oczy, stał na wprost okna, z trudem utrzymując równowagę, jak gdyby miał lada chwila wylecieć przez szybę.

- Zrób sobie małą wycieczkę. Ja go popilnuję - zaofiarował się Sully.

Propozycja wywołała uśmiech na twarzy Toby.

- Zabawny pomysł. Ty i pilnowanie kogokolwiek.

- Dlaczego?

- Oj, Sully, nie zmuszaj mnie, żebym raniła twoje uczucia. Wiem, że miałbyś dobre chęci. Mniej więcej po dwóch minutach coś odwróciłoby twoją uwagę i przypomniałbyś sobie o nim jakieś dwa tygodnie po jego pogrzebie. Chodziłbyś po mieście i zastanawiał się, dlaczego nigdzie go nie spotykasz.

Carl odwrócił się plecami do okna i ruszył w kierunku schodów.

- Przy okazji, gdzie schował tę dmuchawę?

- Na podwórzu - poinformowała go Toby. - W komórce.

- Dobra. - Sully się ucieszył. - Ukradnę ją znowu jutro albo pojutrze.

- Uważaj na wrednego psa.

- To nie pies mnie martwi. Zastanawiam się właśnie, w jaki sposób przeleżę przez ogrodzenie.

- Jesteś jedyny w swoim rodzaju, Sully.
- Dzięki.
- To nie miał być komplement - zapewniła go Toby.

- Strój wieczorowy nie jest u nas wymagany - powiedział Tiny, kiedy Sully, świeżo ogolony i ubrany jak na wizytę u Very, wszedł na salę i zajął miejsce przy końcu baru. Koszula była prezentem od Ruth sprzed kilku miesięcy i tego dnia miał ją na sobie po raz pierwszy. Wyjął ją prosto z plastikowego opakowania. Widoczne załamania wciąż lepiej oddawały kształt tekturowego usztywniacza niż torsu Sully'ego, dziurki po szpilkach nie zdążyły się zablźnić.

Kilkunastu mężczyzn, którzy umknęli z domowego zacisza w to późne popołudnie, oglądało w telewizji mecz drużyn uniwersyteckich. Parada Macy'ego, otwierająca obchody Święta Dziękczynienia, zaczęła się jak dla nich zbyt wcześnie. Przez to zamieszanie przepadła im popołudniowa porcja futbolu. Mieli nadzieję, że „Pod Koniem” obejrzą spokojnie przynajmniej drugi mecz.

- Lubię wyglądać szczególnie elegancko, kiedy wiem, że ty stoisz za ladą - powiedział Sully. Wyglądało na to, że Tiny jest w lepszym na stroju, i Sully wiedział, że nie wrócą do wczorajszej kłótni przez kilka najbliższych godzin. Obaj będą udawać, że w ogóle nie zamierzają do niej wracać, aż do momentu kiedy spór będzie *de facto* w toku i przyjdzie czas odrzucić pozory. - Gdzie twój najlepszy klient?

Tiny spojrział na zegarek.

- Powinien być lada chwila - powiedział. - Masz dziś powodzenie. Otworzyłem zaledwie godzinę temu, a już był do ciebie telefon i przesyłka. - Tiny wyjął spod lady talerz, przykryty folią aluminiową. - Pachnie jak indyk.

Sully zajrzał pod folię. Indyk, nadzienie, potrawka z dyni, sos z żurawin. Wszystko jeszcze ciepłe. Obejrzał folię z obu stron.

- Nie ma adresu nadawcy.

- Od twojej byłej - wyjaśnił Tiny. - Ten, jak mu tam, to przyniósł. Facet na posyłki.

- Ralph?

- Powiedział, że ominął cię obiad.

- Prawdę mówiąc, dopiero co wstałem od stołu. A kto dzwonił? - zapytał, spodziewając się, że to Ruth, która oczywiście nie podała swojego nazwiska.

- Ktoś w sprawie pracy. - Tiny nagryzmolił coś na karteczce, którą podał

Sully'emu. Numer telefonu oraz imię i nazwisko: Miles Anderson.

Sully zmarszczył czoło.

- Ki diabeł ten Miles Anderson?

- Pierwsze słyszę - powiedział Tiny. - Mówił, że właśnie kupił dom w Bath. Chce, żeby przy nim zrobić to i owo. Pewnie jeszcze jeden dupek. Pieprzony yuppie.

- Lasy są ich pełne - zgodził się Sully. - Dobrze, że przynajmniej mają forszę.

- Bez forsy facet nie byłby yuppie, tylko po prostu dupkiem.

- Byłoby miło, gdyby człowiek mógł pracować tylko dla tych, których szanuje.

Sully pił drugie piwo i nadal miło gawędził z Tinym, kiedy Wirf usadowił się na sąsiednim taborecie, manewrując swoją sztywną nogą.

- Miło zobaczyć, że moi bliscy znów ze sobą rozmawiają - zauważył. - A to co? - zapytał, wskazując przykryte folią naczynie obok Sully'ego. - Pachnie jak jedzenie.

- Bez obiadu, co? - domyślił się Sully.

- Przecież jadłem razem z tobą - przypomniał mu Wirf. - Nie pamiętasz?

- To było wczoraj.

- Aha. - Wirf się uśmiechnął. - Chodziło ci o dzisiejszy?

- Wsadź to do mikrofalówki, dobrze? - poprosił Sully, popychając talerz w stronę Tiny'ego.

Tiny zrobił to, choć bez zbytniego entuzjazmu.

- Będzie się o to żołądkował przez całą noc - zapowiedział Sully.

- Wolałby sprzedać mi dziś wieczorem pół tuzina peklowanych jaj. I trudno mieć o to do niego pretensję.

- Mnie nie byłoby trudno, po kilku następnych piwach.

Kuchenka mikrofalowa zaczęła i Tiny wrócił z parującym teraz talerzem indyka z nadzieją. Kilku gości, oglądających mecz futbolu, od razu zamówiło to samo.

- Widzisz, co narobileś? - zafrasował się Tiny.

Wirf rzucił się chciwie na jedzenie.

- Nie mogę na to patrzeć - powiedział Sully, dziwiąc się w duchu, jak ktoś mógł zdobyć dyplom prawnika, nie nabywając przy tym bodaj minimum oglądy, jeśli chodzi o zachowanie przy stole. Wirf, z widelcem w lewej dłoni i nożem w prawej, atakował jedzenie, nieodkła dając sztuców, dopóki nie stały się całkowicie beużyteczne.

Sully przeszedł na drugą stronę sali i wykręcił numer, który Tiny zapisał mu na karteczce.

- Adironack.
- Proszę?
- Motel Adironack.
- Czy jest u państwa niejaki Miles Anderson?
- Zaraz sprawdzę.
- Dziękuję.
- Miles Anderson - usłyszał w słuchawce po krótkiej chwili.
- Tutaj Don Sullivan.
- Kto taki?
- W porządku, do widzenia.
- Ach tak... zgadza się... Pan Sullivan. Przepraszam. Proszę posłuchać.

Nabyłem właśnie dom w Bath. Przy Górnej. Wie pan, gdzie to jest?

- Słyszałem coś niecoś - powiedział Sully.
- O. - Miles Anderson się zawahał. - Rozumiem, że to żart.
- Mieszkam przy Górnej.
- Naprawdę? - Niedowierzenie w głosie.
- Który dom pan kupił?
- Naprzeciw Sans Merci, po drugiej stronie ulicy.
- Souci.

Zgadza się - poprawił się Miles Anderson. - Wiedziałem, że miało być bez czegoś. Pewnie mi się skojarzyło z Keatsem.

- Pewnie tak - zgodził się Sully. - To duży dom, panie Anderson.
- Zdążył ustalić w myślach, o który budynek chodzi - największy ze wszystkich domów stojących przy Górnej.

Planuję przerobić go na B-and-B - oświadczył Miles Anderson.

Dobra, nie będę zgadywał - powiedział Sully. - Co to takiego, oprócz brandy?

- Bed-and-breakfast, nocleg plus śniadanie - wyjaśnił Anderson.
- Na pewno pan o nich słyszał.
- Nigdy.
- To ostatni krzyk mody.
- W porządku - zgodził się Sully.

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

Tak czy inaczej stan domu jest, że się tak wyrażę, daleki od ideału.

Prawdę mówiąc, całość wymaga odpicowania.

- Odpicowania?

- Wszystkiego po trochu, obawiam się. Malowanie. Mnóstwo malowania. Hydraulika. Instalacja elektryczna. Izolacja. Teren wokół domu też. Dwa pniaki, które trzeba wykopać i wywieźć. Ale mamy czas. Nie planuję odbioru przed wiosną. Środek maja, według wszelkiego prawdopodobieństwa. Otwarcie przed sierpniowym sezonem wyścigowym.

- Nie robię instalacji elektrycznych - zastrzegł się Sully. - Ale mogę kogoś polecić.

- Tak... cóż... To mogłoby być rozwiązanie. I co pan na to?

- Mogłoby - zgodził się Sully. Prawdę mówiąc, przeliczał sobie właśnie w myślach, jak korzystne. Praca na całą zimę, wykonywana we własnym tempie ze względu na kolano. I w dobrym okresie. Kiedy ziemia zamarźnie, Carl Roebuck nie będzie miał dla niego zbyt wiele aż do kwietnia.

- Rozumiem, że ma pan półcieżarówkę?

- Na ogół.

- Na ogół ją pan ma?

- Mam przez cały czas. Na ogół jest na chodzie.

- Rozumiem. Tak, cóż więcej mógłbym panu powiedzieć? To będzie ciężka robota, obawiam się.

Ponieważ zabrzmiało to jak pytanie, Sully odparł:

- Jestem przyzwyczajony do ciężkiej roboty.

- Hmm. Tak. Cóż, w takim razie w porządku. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zapytam, ile pan ma lat?

- Sześćdziesiąt - powiedział Sully. - A pan?

- Dobre pytanie. Czy zechciałby pan wpaść jutro rano i obejrzeć dom? Przedstawić jakieś szacunki? Po południu muszę wracać do miasta.

- Do jakiego miasta?

- Do Nowego Jorku. Czy pańska stawka za godzinę właśnie podskoczyła?

- Nie - zaprzeczył Sully. Jego stawka podskoczyła, kiedy Miles Anderson spytał: „I co pan na to?”.

Uzgodnili, że spotkają się o jedenastej. Sully zapisał sobie adres domu.

- Mieszkam dwie przecznice dalej - powiedział.

- Doprawdy? - Głos w słuchawce wyrażał doskonałą obojętność.

- Przy okazji, kto mnie polecił? - zapytał Sully, nim odwiesił słuchawkę.

- Kilka osób. Ma pan tutaj doskonałą opinię.

Sully zastanawiał się, czy zapytać Milesa Andersona, co sądzi o płaceniu mu na czarno, ale doszedł do wniosku, że ta część negocjacji może poczekać. Jego rozmówca nie robił wrażenia przesadnie skrupulatnego.

Kiedy wrócił do stolika, Wirf kończył się rozprawiać z jego obiadem.

- Przed chwilą rozmawiałem z facetem, który twierdził, że mam tu doskonałą opinię - oznajmił Sully.

Wirf otarł serwetką swój lśniący od sosu podbródek.

- Nietutejszy, co?

- Nowy Jork - potwierdził Sully.

- Duża robota?

- Wygląda na to, że na całą zimę.

- Będzie ci płacił na czarno?

- Jeszcze go nie pytałem, ale zapytam.

- Dobra, nic na piśmie, pamiętaj. Jak wpadniesz, jesteście załatwieni - powiedział Wirf, po czym dodał: - Hej, mam doskonały pomysł. Będziemy tu siedzieli i pili piwo aż do rana.

- Dobra - zgodził się Sully, postanawiając nie poruszać sprawy mężczyzny w ciemnym sedanie ani faktu, że być może już wpadł. Prawdę mówiąc, po trosze na to liczył. Wtedy kości zostałyby rzucone. W tej chwili czuł się dobrze. Kolano nuciło swoje murmurando, ale nie była to aria operowa. Czy to możliwe, żeby sprawy szły ku lepszemu? Czyżby udało mu się wyjść z głupiej passy w rekordowym czasie? Była to ewentualność warta zastanowienia.

- Może, jeśli będziemy tu siedzieć wystarczająco długo, ten nieużyty barman postawi w końcu kolejkę?

Piątek

Clive junior siedział przy kuchennym stole naprzeciw panny Beryl, próbując dopasować fragmenty połamanego krzesła w stylu królowej Anny, tworzące imponującą stertę u jego stóp. Matka była całkowicie ubrana i wściekła, sądząc z gotowości, w jakiej się znajdowała. Nadal wściekła. Usta miała ściągnięte w tę samą cienką, białą linię, która tak go przerażała w dzieciństwie, i prawdę mówiąc, nie przestała przerażać do dziś. Clive junior był świadom komizmu tej sytuacji. Jego masa, kiedy ją sprawdzał po raz ostatni, wynosiła prawie dwieście funtów - za wiele, jak musiał przyznać, przy wzroście pięciu stóp i dziesięciu cali, choć można to było łatwo złożyć na karb genów. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zrobił się uderzająco podobny do ojca. Panna Beryl, mająca raptem cztery stopy i dziesięć cali wzrostu, ważyła, jak oceniał, jakieś dziewięćdziesiąt funtów, i to w pełnym rynsztunku, tak jak teraz, o wpół do siódmej rano, nazajutrz po Święcie Dziękczynienia, kiedy to popełnił, jak sobie to teraz uświadamiał, wielki taktyczny błąd.

- Przepraszam, mamó - odezwał się, zestawiając razem dwa kawałki, które nie chciały do siebie pasować. Mówił ściszym głosem, żeby nie obudzić swojej narzeczonej.

Panna Beryl podniosła wzrok znad torebki herbaty, którą zanurzała gniewnym ruchem w filiżance wrzątku.

- Za co? - spytała, udając - celowo, jak był przekonany - że nie rozumie, o co mu chodzi. - To nie ty je połamałeś.

- Nie chodzi mi o krzesło - rzekł Clive junior, choć równocześnie znów podniósł i zaczął oglądać większy z dwóch kawałków rozszczępionego drewna. - Myślałem, że będziesz zachwycona - powiedział, zresztą niezgodnie z

prawdą. - Niespodzianka to chyba nie był najlepszy pomysł.

Panna Beryl przyjrzała się synowi uważnie i nieco złagodniała. Wyglądał tak żałośnie. Był zaspany i nieogolony. Przybiegł tu z samego rana, wykazując więcej odwagi niż zazwyczaj. Przyniósł nawet ze sobą egzemplarz „Pochodni” - rocznika szkolnego, w którym znajdowało się zdjęcie tej jego Joyce, jak gdyby chciał udowodnić, że jest tą, a nie inną osobą.

- Niegdyś bardziej lubiłam niespodzianki. W czasach gdy nic nie mogło mnie zaskoczyć - przyznała.

Rzeczywiście, spędziła większość bezsennej nocy, próbując ustalić, na kogo jest bardziej wściekła - na Clive'a juniora (oczywisty wariant), na tę okropną Joyce, śpiącą teraz w gościnnej sypialni, czy na siebie. Wspominając wczorajszy dzień, czuła głębokie zawstydzenie z powodu swojej pomyłki, w której wyniku zwyczajna sytuacja wyprowadziła ją kompletnie z równowagi. Syn wyjaśniał dwukrotnie, kim jest kobieta wierząca się nerwowo w jej ulubionym krześle, ale jej dezorientacja była czarną dziurą, nieprzeniknioną i niemożliwą do rozjaśnienia.

Niewiele ponad rok minął od czasu, kiedy zgodziła się niechętnie dać mu klucz do tylnych drzwi swojego domu. „Gdyby coś się stało...” - tłumaczył, zawieszając znacząco głos. Tak więc, kiedy zobaczyła przed domem jego samochód, była przygotowana, że zastanie go samego, chodzącego tam i z powrotem po salonie, taksującego wszystko swoim okiem buchaltera, co mógł czynić otwarcie, kiedy jej nie było w domu. Mógł też węszyć po mieszkaniu Sully'ego, szacując dokonane zniszczenia.

Ale kim była ta starannie ubrana kobieta o wydatnym biuście, siedząca ze złączonymi równo kolanami i kostkami tęgich nóg i wykręcająca nerwowo dłonie w oczekiwaniu, aż zostanie przedstawiona? Panna Beryl od razu zakwalifikowała ją jako pracownicę opieki społecznej, ewentualnie właścicielkę domu opieki.

Clive junior nieraz czynił aluzje do konieczności przeniesienia się w „miłe, bezpieczne otoczenie”, kiedy „czas nadejdzie”, i podejmował się nawet „przejrzeć stosowną literaturę”, za co mu zdecydowanie podziękowała. Ostatnio nawiedzały ją najróżniejsze podejrzenia na jego temat, toteż gdy zobaczyła, że towarzyszy mu podenerwowana, dość afektowana kobieta w zaawansowanym średnim wieku, doszła do wniosku, że ów czas nadszedł, przynajmniej w opinii jej syna.

Tak sobie to wbiła do głowy, że nie umiała się uwolnić od tej sugestii. Ku swojemu późniejszemu zakłopotaniu nadal piorunowała wzrokiem coraz

bardziej zdeprymowaną niewiastę. „Moja narzeczona, mamó” - powtarzał Clive junior, ale do niej nie chciało to dotrzeć. Dlaczego Clive junior miałby być zaręczony z pracownicą opieki społecznej? Wiele lat wcześniej straciła nadzieję, że jej syn się kiedykolwiek ożeni, a teraz miała uwierzyć w ten absurdalny zbieg okoliczności - że zamierza poślubić właścicielkę domu starców? Dopiero później zrozumiała, że jakikolwiek związek pomiędzy tą kobietą a opieką społeczną czy domami starców istniał jedynie w jej wyobraźni.

Tak więc nazajutrz rano nadal była wściekła na Clive'a juniora i na tę jego okropną Joyce, ale podczas długiej, bezsennej nocy zaczęło ją znów nawiedzać podejrzenie, że ów fatalny czas rzeczywiście nadszedł, że dalsze życie w pojedynkę nie ma sensu. Nie była już bezpieczna na autostradzie. Myliła drogę, którą jeździła wcześniej setki razy. Robiła się podejrzliwa, zachowywała się paranoicznie. Zawsze wierzyła, że sama da radę ocenić, kiedy „nadejdzie czas”, by poświęcić swoją niezależność. A jeżeli się myliła? Jeżeli wszyscy oprócz niej już o tym wiedzieli? Panna Beryl, która doświadczyła w swoim czasie okrutnych żartów ósmoklasistów, nie miała ochoty stać się pośmiewiskiem dla tych samych dzieci, teraz mających po czterdzieści lat.

Tuż przed świtem podjęła decyzję, że przeprosi zarówno syna, jak i jego narzeczoną. Wraz z pierwszym brzaskiem zaczęła się chwiać w swoim postanowieniu, nabierając poważnych wątpliwości, nim rozwidniło się niebo za oknem sypialni. Pojawienie się Clive'a juniora, nim zdążyła sobie przyrządzić poranną herbatę, ostatecznie przesądziło sprawę. Przyglądając się, jak usiłuje bezskutecznie dopasować szczątki połamanego krzesła, zachodziła w głowę, jak mogła w ogóle rozważać takie kapitulanicke posunięcie.

- Joyce jest strasznie głupio z powodu tego krzesła, mamó - powiedział Clive junior, jak gdyby wyczuł, że postanowiła usztywnić swoje stanowisko.

Panna Beryl miała, prawdę mówiąc, mieszane uczucia, jeśli chodzi o zniszczony mebel. Incydent dał jej okazję do utwierdzenia się w instynktownej niechęci wobec narzeczonej Clive'a, osoby gadatliwej, paplającej non stop o sprawach, o których nie miała zielonego pojęcia. Omówiono ich szeroki wachlarz podczas owego wieczoru, który wydawał się panie Beryl jednym z najdłuższych w jej życiu. Jedną z wielkich miłości straszliwej Joyce był prezydent Reagan, świeżo wybrany na drugą kadencję. Jako była mieszkanka Kalifornii знаła go w swoim przekonaniu znacznie lepiej niż mieszkańcy innych stanów. Agitowała za nim, oczywiście, zarówno wtedy,

jak i teraz, w Nowym Jorku, kiedy startował po raz drugi. Wbijając w pannę Beryl dość odstręczające spojrzenie swoich bladych oczu, oświadczyła w pewnym momencie, chyba bez zamierzonej ironii, że jedyną sprawą, która ją niepokoi, jest wiek prezydenta. Ktoś tak leciwy, zmuszony podolać obowiązkom, które tak bardzo dodają człowiekowi lat.

- Wydaje się taki zmęczony - powiedziała z przejęciem, jakby łączyła ją z prezydentem osobista więź, jakby lękała się nie tylko o urząd, ale o człowieka. - Ale myślę, że jego umysł jest równie sprawny jak zawsze - dodała.

- Ja również - odparła panna Beryl, posyłając jej nienawistne spojrzenie i wycofując się z pokoju pod pretekstem przyniesienia ciasteczek i kawy.

- Bezkofeinowa? - wykrzyknęła Joyce. - Ach, napiłabym się z rozkoszą.

Clive junior, który zapadł w rodzaj odrętwienia podczas monologu swojej wybranki, podążył za matką do kuchni.

- Czy musisz patrzeć na nią takim wzrokiem, jakbyś ją chciała za mordować? - poskarżył się.

- Nic na to nie poradzę. Mam to, co się określa jako szczerą twarz.

Podając synowi talerz ciasteczek, wypchnęła go z kuchni, po czym odszukała w jakimś zakamarku kredensu kawę rozpuszczalną. Minęło kilka minut, nim zagotowała wodę, ustawiła filiżanki na tacy, zebrała się w sobie i wróciła do salonu, gdzie Joyce strzepywała właśnie okruchy z obfitego biustu. Talerz był pusty.

- Mmmm - zagruchała, sącząc kawę. - Przepraszam, że sprawiam tyle kłopotu, ale słowo daję, gdybym zaaplikowała sobie kofeinę po piątej, noc miałabym z głowy.

Tu znów dostała słowotoku, opowiadając, jak to zawsze uwielbiała kawę, jak piła po dwadzieścia filiżanek dziennie i nigdy nie miała żadnych problemów. Ale ostatnio, mój Boże, to po prostu tragiczne, co się z nią dzieje po kawie. Nie można tego inaczej określić. Ale czy tak się nie dzieje ze wszystkimi dobrymi rzeczami, z tym wszystkim, za czym człowiek naprawdę przepada? Wszystko, co dobre, jest albo niemoralne, albo tuczące - dodała, nie wiadomo à propos czego, cmokając przy tym, jak gdyby błyskotliwość tego spostrzeżenia była jej osobistą zasługą.

Podczas gdy kobieta rozprawiała, panna Beryl usadowiła się wygodnie w swoim fotelu, starając się nie gromić jej wzrokiem i czerpiąc niejaką pociechę

z faktu, że kawa, którą podała, nie była bezkofeinowa. Pocięcha mizerna, bo kobieta najprawdopodobniej myliła się w sprawie kofeiny tak samo, jak we wszystkich innych kwestiach, które poruszała. Myśląc, że wypila nieszkodliwy napój, będzie spała jak zabita, tak samo jak jej uwielbiany prezydent. W ich pustych głowach będą się kołatać nieliczne, wspólne obojgu przekonania, niezagrożone wątpliwościami czy kofeiną.

Okazało się, że nie miała racji. Słyszała, jak straszna Joyce wstaje o północy z łóżka i idzie do łazienki. To samo powtórzyło się o drugiej i wreszcie o wpół do piątej. Za każdym razem panna Beryl mamrotała w ciemności: „Dobrze ci tak”.

Kolejną sprawą, która dotarła do niej z opóźnieniem, były plany Clive'a juniora co do noclegu narzeczonej. Kiedy wreszcie pojęła, że jej syn pragnie, aby Joyce spędziła noc w sypialni gościnniej, zamiast wracać do swojego domu w Lake George, nadal nie była pewna, co ów manewr oznacza. Czy chciał po prostu, żeby obie kobiety się lepiej poznały? Czy też próbowali, wraz z narzeczoną, przekonać ją w ten sposób, że ze sobą nie sypiają? Czy ta przyzwoitość była autentyczna, czy na pokaz? Biedny Clive junior, tak czy inaczej - pomyślała panna Beryl.

Kiedy krzesło wygięło się pod ciężarem Joyce, tylne nogi mebelka pękły wzdłuż i mieli dużo szczęścia, jak sobie pomyślała w duchu panna Beryl, że kobieta nie została nadziana niczym na pal. Zamiast tego wyrznęła o podłogę, aż się ściany zatrzęsły. Ed Ukator spadł z hałasem ze ściany, wyginając sobie podbródek, przez co jego mina stała się jeszcze bardziej ponura i pełna dezaprobaty. Przypominał teraz trochę Kirka Douglasa. Twarz Joyce, wykrzywiona bardziej upokorzeniem niż bólem, wyglądała strasznie. Spojrzała na Clive'a juniora, jak gdyby sobie z niej zakpił, sadzając ją z rozmysłem na tym krześle-pułapce. Jej dolna warga zaczęła dygotać, po czym Joyce rozbeczała się, niczym po nagłej utracie bliskiej osoby, a nie chwilowej utracie godności. Clive junior zaprowadził ją, rozszlochaną i polykającą łzy, do łazienki, skąd nie wychodziła co najmniej przez pół godziny. W salonie Clive junior i panna Beryl rozmawiali szeptem, udając, że nie słyszą przyływów i odpływów żałości po drugiej stronie drzwi łazienki.

- Joyce jest bardzo wrażliwa - tłumaczył Clive junior nazajutrz rano, siedząc w kuchni naprzeciw matki i starając się pozbierać szczątki krzesła. - Klimakterium dokonało w niej prawdziwych spustoszeń.

Oczy panny Beryl zwężyły się na tę uwagę, tak dziwną u jej syna, który, jak daleko sięgała pamięcią, nigdy nie spojrział na żadną sprawę z kobiecego

punktu widzenia. Nie ulegało wątpliwości, że powtarza słowa Joyce, mające stanowić wyjaśnienie jej emocjonalnego rozchwiania. Osobiście nie miała zbyt wiele współczucia dla ofiar rzekomo niszczycielskiego działania klimakterium, które sama zniosła całkiem dobrze. Zauważyła, że często są to próżne istoty, których jedynym atutem była w młodości uroda i które *de facto* nie znają innej waluty.

Joyce musiała być kiedyś atrakcyjna, przynajmniej sądząc z fotografii w roczniku szkolnym. Tego ranka, patrząc na ładną buzię dziewczyny z „Pochodni”, panna Beryl zdała sobie sprawę, że chłpiąc przez pół godziny w łazience poprzedniego wieczoru, Joyce rzeczywiście w jakimś sensie opłakiwała stratę bliskiej osoby - siebie samej z czasów, kiedy była piękna i młoda. Panna Beryl nie wiedziała, czy współczucie komuś takiemu jest właściwe. Skłaniała się ku opinii, że raczej nie. Mogłaby pocieszyć Joyce, mówiąc jej, że za zniszczenie krzesła odpowiada nie tyle ona, ile Sully, który z pewnością je nadwerżył, mocując się na nim każdego ranka ze swoimi roboczymi butami. To, co się stało, było jedynie końcowym aktem długiego procesu. Ale ilekroć chciała to zrobić, Joyce wyskakiwała z jakąś nową bzdurą i w końcu panna Beryl zdecydowała się zostawić ją sam na sam z jej cierpieniem.

Po powrocie do salonu nastrój Joyce uległ radykalnej zmianie. Demonstrowała teraz heroiczne ożywienie, jak gdyby nieprzerwany potok słów, wyrzucanych jednym tchem w postaci bezładnego, bezprzedmiotowego monologu, miał ją uchronić przed pytaniem o samopoczucie, czy to fizyczne, czy psychiczne, któregośkolwiek z nich. Panna Beryl zastanawiała się, czy kobieta lyknęła jakąś tabletkę. W każdym razie nie wspomniała ani słowem o połamanym krześle i nawet nie spojrzała w jego stronę.

- To naprawdę wspaniała dziewczyna, mamó - powiedział Clive junior nietypowym u niego, osobistym tonem. - Wczoraj nie była sobą.

- Tylko kim? - zapytała panna Beryl, co było niezbyt sympatyczne, choć pewnie nie aż tak, jak pytanie: „Jaka dziewczyna?”, które cisnęło jej się na usta. Na oko kobieta miała pod sześćdziesiątkę.

Clive junior spojrział na swoje dłonie.

- Zawsze byłeś surowa dla innych, mamó.

Panna Beryl musiała przyznać, że zapewne ma rację. Clive senior nie raz zwracał jej na to uwagę, tego samego zdania była też pani Gruber. Oraz cały legion jej ósmoklasistów, których mizerne wysiłki nagradzała mizernymi ocenami.

- Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem dla niej niesympatyczna powiedziała panna Beryl. - Przykro mi, jeżeli tak to wyszło. - Tak czy inaczej to nie moja opinia się liczy. Nie ja mam się z nią ożenić. To ty powinieneś ją lubić.

- I lubię - zapewnił ją Clive junior z tą samą nutą uporu w głosie, którą tak często słyszała, kiedy był chłopcem. - Kocham ją - dodał.

Położył z powrotem obok resztek okulałego krzesła rozłupane drzazgi, które usiłował dopasować. Wyjął z rąk matki rocznik szkolny i pogładził czule opuszkami palców wytłaczaną okładkę. Panna Beryl zmięкла nieco, widząc ten wzruszający gest.

Wstała od stołu, zabierając filiżankę i spodeczek.

- Cieszę się. Są gorsze rzeczy niż miłość. Mogłabym ci wymienić kilka na poczekaniu, gdybyś dał mi chwilę.

Miała to być żartobliwa uwaga, ale zabrzmiała tak dobitnie, że sama była tym zaskoczona. Dlaczego powiedziała coś takiego? Nie ulegało wątpliwości, że gdyby Audrey Peach nie rzuciła Clive'a seniora na przednią szybę szkolnego samochodu, nadal byłiby szczęśliwym małżeństwem, a zdumiewające uczucie, jakim ją obdarzał, znajdowałoby się nadal w centrum jej egzystencji, tak jak teraz znajdowało się jego wspomnienie. Nie widziała żadnego powodu dla tego nagłego żalu, że się kochało i było kochanym.

Clive junior nastawił ucha.

- Chyba ją słyszę - powiedział.

Panna Beryl pokręciła głową i wskazała kciukiem sufit. Tym, co usłyszał, był odgłos stóp Sully'ego, lądujących ciężko na podłodze. Przez ostatnie dziesięć minut miała wrażenie, że słyszy brzęczenie budzika w mieszkaniu na górze, nie tak wyraźne tu w kuchni, jak w pokoju od strony ulicy. Clive junior najwyraźniej w ogóle niczego nie dosłyszał, co sprawiło, że uśmiechnęła się w duchu. Jej zmysły były równie sprawne jak dawniej, przynajmniej jeden z nich.

Twarz jej syna się zachmurzyła, kiedy spojrział w stronę sufitu. Razem słuchali kroków Sully'ego, zmierzających w stronę łazienki. Oznaczało to, że za chwilę podejmą stary spór.

- Zastanawiałaś się może nad... tamtymi sprawami? - zapytał Clive junior. - Wiem, że nie podoba ci się ten pomysł, ale powinnaś sprzedać mi dom, dopóki możesz to zrobić.

- Masz rację - zgodziła się panna Beryl. - Nie podoba mi się ten pomysł.

- Mamo - przekonywał Clive junior. - Pozwól coś sobie wytłumaczyć.

Jeżeli jutro zachorujesz i będziesz musiała pójść do szpitala, nie pozwolą ci go sprzedać. Prawo na to nie zezwala. Musisz to zrobić wcześniej. Jeśli będziesz chora, nie dopuszczają do tego, żeby się nie narażać na straty.

- A co, jeżeli ci go sprzedam, a jutro ty zachorujesz?

Clive junior ścisnął dłońmi skronie.

- Mamo - powiedział. - Musisz się liczyć z realiami.

Panna Beryl westchnęła. Znała realia, nie trzeba jej było o nich przypominać. Po prostu nie cierpiała ustępować w dyskusji swojemu synowi, którego w zasadzie łatwo było zapędzić w kozi róg.

- Rozważę to - przyrzekła, mając nadzieję, że przynajmniej chwilowo to go zadowoli.

- A co z górą? - zapytał Clive, ścisząc głos, jak gdyby się obawiał, że Sully, z uchem przy kaloryferze, może podsłuchiwać ich rozmowę. Clive junior zawsze mówił o Sullym jako o „górze”, tak jak Sully zawsze nazywał go „bankiem”. - Nowy Rok to dobra okazja do nowych ustaleń.

- Dotychczasowe mi najzupełniej odpowiadają - oświadczyła panna Beryl.

- Obiecałaś...

- Obiecałam, że o tym pomyślę - przypomniała.

- Mamo. Ryzykujesz wystarczająco dużo, zatrzymując dom. Przynajmniej Sully musi odejść.

Jakby na zawołanie w toalecie na górze odezwała się spłuczka. Panna Beryl uśmiechnęła się z przymusem i znów zrobiło jej się wstyd za siebie.

- Czy potrzebujesz innego znaku? - zapytał Clive junior również z uśmiechem, znów zadowolony z siebie. - Nawet Bóg wyraża zgodę.

- To nie Bóg siedział na tej muszli - zwróciła mu uwagę panna Beryl. - To tylko samotny, uparty pechowiec.

- Którego pech któregoś dnia odbije się na tobie - nie dawał za wygraną Clive junior.

Panna Beryl westchnęła. Jak większość dyskusji, które toczyła ze swoim synem na różne tematy, ta również przebiegała zawsze w ten sam sposób. Za chwilę Clive junior przypomni jej, że Sully spalił już jeden dom, w którym mieszkał.

- Spalił już w Bath jeden dom - przypomniał jej niewinnie Clive junior. - Powinnaś zobaczyć, jak tam wygląda u niego na górze. Wszędzie powypalane dziury. Całkiem świeże, mamo.

Z tym również nie sposób się było nie zgodzić, podobnie jak z poruszoną przed chwilą kwestią „realiów”. Sully palił, zapominał o zapalonych papierosach, które spadały z popielniczek na podłogę i turlały się pod kanapę. Niewykluczone nawet, że ostatniego z nich wypalał do poduszki. Clive junior przysięgał, że widział brązowe dziury, wypalone w jego poszewkach.

- Nie musisz mi wierzyć na słowo - kontynuował Clive junior. - Zobacz sama. Idź na górę i zobacz, jak wygląda mieszkanie. Policz ślady po papierosach. Przekonaj się, ile razy cudem uniknęłaś pożaru.

Odwiedziny w mieszkaniu Sully'ego były ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Nie ulegało wątpliwości, że relacja Clive'a jest zgodna z prawdą. Może nawet nie przesadzona. Sully był niedbały i przez to niebezpieczny. Nie wiedziała tylko, czy istnieje jakiś sposób, aby wytłumaczyć synowi, że jest po prostu gotowa podjąć to ryzyko. Być może nawet sobie samej nie umiałyby wytłumaczyć dlaczego. Po części zapewne dlatego, że zawsze widziała w Sullym sojusznika - kogoś, na czyją lojalność można liczyć. W dalszym ciągu postrzegała go w ten sposób, chociaż się postarzał, był sterany i coraz bardziej roztargniony. Nawet teraz, kiedy z każdym dniem coraz bardziej jej przypominał ducha, uważała, że może na nim polegać, wbrew zdrowemu rozsądkowi, mówiącemu jej, że polegać można głównie na jego talentach do popadania w kłopoty. Musiała przyznać, że jej upór w tej sprawie nie jest racjonalny, ale nie mogła się oprzeć uczuciu, że eksmitowanie Sully'ego byłoby zdradą, złamaniem elementarnych zasad, że zaskoczyłoby go to i zraniło. Poza tym intuicja, racjonalna czy nie, podpowiadała, że jej zgon, który nie mógł być zbyt odległy, nie nastąpi z powodu niefrasobliwości Sully'ego.

- Możesz zdać się w całej tej sprawie na mnie, jeśli nie masz ochoty się tym zajmować - zaoferował swojej usługi Clive junior. - Poradzę sobie z Sullym - dodał niepewnie.

Słyszając to zapewnienie, panna Beryl nie mogła powstrzymać uśmiechu. Twarz jej syna pociemniała z urazy.

- Usidlił cię, mamó - wybuchnął. - Zawsze tak było. Nawet tato w końcu to zauważył.

- Twojego ojca w to nie mieszajmy - powiedziała panna Beryl.

Clive junior uśmiechnął się, widząc, że strzał okazał się celny. Zdarzało mu się już wcześniej powoływać z dobrym skutkiem na pamięć ojca, wiedząc, że jest to sposób, aby dotrzeć do matki.

- Chciałbym, żebyś mi zaufała, to wszystko - ciągnął dalej po długiej

chwili milczenia. Nie patrzył w tej chwili na nią, ale na coś, co wydawało się blisko, niemal w zasięgu ręki. - Za rok o tej porze nie poznasz naszego miasteczka. Będzie tu eldorado. Z chwilą, gdy ruszy „Podróż bez Końca”... - Zawiesił głos, pozwalając sobie na chwilę rozmarzenia, po czym, jakby rozumiejąc, że jego matka jest ślepa na to, co on widzi tak wyraźnie, szybko się z niego otrząsnął. - Nawet Joyce jest podekscytowana - oświadczył. Widać wzbudzenie entuzjazmu u kobiety, którą zamierzał poślubić, było według niego nie lada wyczynem. Obejrzał się za siebie, jakby w nadziei, że Joyce zmaterializuje się u jego boku, aby potwierdzić tę rewelację.

- A więc zamierzasz się ożenić z tą kobietą? - spytała panna Beryl.

- Tak, mam, zamierzam. Przykro mi, że jej nie akceptujesz.

- Jeżeli ona cię uszczęśliwi, Clive, to akceptuję. Chciałam tylko zaznaczyć, dla porządku, że nie jestem jedyną osobą w tym pokoju, którą można usidlić.

Clive junior wydawał się rozważać na serio tę smutną ewentualność, co zawstydziło pannę Beryl, która rzadko brała poważnie pod uwagę poglądy i rady swojego syna.

- Zawsze czarno widzisz przyszłość, mam. Ja jestem optymistą.

Panna Beryl postanowiła nie polemizować. Było faktem, że zawsze przestrzegali rzeczywistość w różny sposób. Widząc, jak jej syn gładzi czule rocznik szkolny - nie wątpiła, że patrząc na okropną Joyce, widzi osiemnastolatkę z fotografii. I nie żartował, kiedy mówił, że widzi eldorado z okna jej salonu. Wyglądało na to, że widzi zarówno przeszłość, jak i przyszłość z niesłychaną wyrazistością. To terazniejszość w jakiś sposób mu się wymykała.

- Zastanawiam się, czy do niej zajrzeć? - powiedział Clive junior, odsuwając krzesło. Wydawał się tak rozpaczliwie niezdecydowany, czy wypada mu to zrobić, że panna Beryl, która włożyła właśnie do zlewu ostatnie naczynia, straciła nagle ochotę na sarkastyczne uwagi.

- Niech śpi - odparła. - Później jej powiem, żeby zadzwoniła do ciebie do banku.

- Powinienem już iść - przyznał Clive junior, spoglądając na zegarek. - Jest dopiero siódma, ale chcę wyjść dzisiaj wcześniej... - Urwał, wstał i podciągnął spodnie, co było wstępem do wizyty w łazience. Była to zawsze ostatnia oficjalna sprawa, jaką załatwiał, zanim opuścił jej dom.

Panna Beryl zastanawiała się, czy pozmywać od razu tych kilka talerzy, ale uznała, że mogą jeszcze trochę pomoknąć. Joyce będzie pewnie chciała

coś przekąsić, kiedy w końcu wstanie, więc pozmywa potem wszystko za jednym zamachem. Kiedy podeszła do zlewu, ujrzała zza kuchennych drzwi Clive'a juniora, stojącego pod gościnną sypialnią i starającego się najwyraźniej złowić uchem jakiś sygnał, świadczący, że jego narzeczona nie śpi. Może z powodu jego niezwykłego podobieństwa do ojca, a także dlatego, że tak żałośnie wyglądał, stojąc pod drzwiami, panna Beryl myślała przez chwilę, że serce jej pęknie na ten widok. Kiedy jej syn zauważył, że mu się przygląda, wyprostował się, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku, wzruszył ramionami i zniknął w łazience, zamykając cicho drzwi za sobą.

Ponieważ zostawił swój rocznik na stole, panna Beryl otworzyła go, chcąc przyjrzeć się jeszcze raz tej całej Joyce, z dala od czujnych, głodnych oczu swojego syna. Ale książka otworzyła się sama na stronie zasmarowanej długopisem, który ktoś przyciskał z taką furią do błyszczącego papieru, że tusz przebił na drugą stronę, tworząc granatową plamę. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że pozbawiona twarzy fotografia należy do Sully'ego. Nadal się w nią wpatrywała, kiedy usłyszała za ścianą odgłos spluczki.

Nie było trudno zamknąć książkę i odsunąć ją, zanim wejdzie Clive junior, ale co miała począć z łzami, które napłynęły jej do oczu? Jak mogła się z nimi uporać, kiedy nie wiedziała nawet, kto jest ich adresatem? Co to oznacza, że w wieku osiemdziesięciu lat nagle nie może się zdecydować, na kogo jest zła, a kto zasługuje na współczucie i zrozumienie?

Czekając w salonie, aż jej syn wyjdzie z łazienki, panna Beryl nie dała się wciągnąć w wymaginowaną dysputę z żadnym ze swoich doradców. Nie chciała słuchać ani męża, wstawiającego się za synem, owocem ich wzajemnej miłości, ani buntowniczych podszeptów Eda z przeciwległej ściany. „Odczepcie się obaj” - powiedziała miękko. W ciszy, która zapadła, samotna stara kobieta patrzyła przez okno na ulicę, przy której przeżyła całe swoje dorosłe życie. Miejsce, do którego przywiódł ją Clive senior, aby stało się jej domem. Ładne i przytulne, gdzie powinni byli dochować się syna, który nie byłby tak głęboko nieszczęśliwy, jak to zawsze podejrzewała. Spojrzała w górę, na czarną płataninę gałęzi, a potem przed siebie, w stronę domu pani Gruber. Nie wyglądało to na eldorado, ale tej nocy żaden konar nie spadł i panna Beryl już niemal doszła do wniosku, że Bóg okazał się tym razem wielkoduszny, kiedy jej uwagę zwrócił jakiś ruch. Środkiem ulicy, ubrana w cienki szlafrok i futrzane pantofle, szła wolno stara kobieta, w której panna

Beryl natychmiast rozpoznała Hattie. Szła pochylona w przód, jakby zmagala się z wichurą, poły jej szlafroka powiewały na wietrze.

- O Boże - powiedziała panna Beryl do siebie. - O dobry Boże.

Sully na korytarzu mocował się z butami tak cicho, jak potrafił. Wyrzwał przez okno i zauważył stojący pod domem samochód Clive'a juniora. Spotkanie z nim było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował w obecnym stanie. Oszczędziłoby mu to wprawdzie późniejszej fadygi, ale w tej chwili, kiedy głowa mu pękała, wolał nie ryzykować podnoszenia głosu. Poza tym nie chciał narażać swojej gospodyni na sceny. Tuż przed zaśnięciem poczuł zapach perfumowanej wody po goleniu, który nadal unosił się w jego mieszkaniu, co oznaczało, że syn panny Beryl był tam i węszył po kątach. Sully ostrzegał go już kiedyś, by tego nie robił, i wyglądało na to, że należy ostrzeżenie ponowić. Później mogło mu to nawet sprawić przyjemność. Fakt, że Clive junior się go boi, zawsze stanowił dla niego źródło satysfakcji. Ale do tego musiał być całkiem przytomny i trzeźwy. Tak więc, kiedy drzwi do mieszkania gospodyni się otworzyły, stwierdził z ulgą, że stoi w nich panna Beryl, a nie jej syn.

- Dzień dobry, pani Peoples - powiedział i podniósł się z trudem, wspierając się na balustradzie. - Mam nadzieję, że nie zamierza pani trzaskać tymi drzwiami?

- Bogu dzięki, że jeszcze tu jesteś. - Panna Beryl odetchnęła. - Hattie znowu uciekła.

- Oho - powiedział Sully bez przesadnej paniki. Byłaby to czwarta ucieczka staruszki w tym roku. Nigdy dotąd nie uszła dalej niż kilka przecznic. Poruszył nogą w kolanie, żeby sprawdzić, jak sytuacja. - Nie pamięta pani, co zrobiliśmy z siatką?

- Pospiesz się - poganiała go panna Beryl. - Jest na środku ulicy.

- Pośpiech to nie jest moja najmocniejsza strona, przynajmniej o tej porze - przypomniał jej Sully, przenosząc dla próby ciężar ciała na chorą nogę, która odpowiedziała siarczystym powitalnym akordem. - Czy to samochód Banku stoi przed domem?

Płaszcz panny Beryl wisiał tuż przy drzwiach. Kiedy zaczęła go wkładać, Sully zrozumiał, że jego gospodyni jest naprawdę przejęta.

- Niech pani da spokój. Zajmę się nią - obiecał, zaciągając suwak płaszcza i oglądając się za rękawiczkami.

- Pospiesz się - powtórzyła panna Beryl.

- Spieszę się. To tylko tak wygląda jak na zwolnionym filmie.

- Mam zadzwonić po jej córkę?

Sully był już w drzwiach.

- Nie trzeba. Odstawię ją. I tak się tam wybierałem, bo pani, jak widzę, znów nie ma dla mnie kawy.

- Pospiesz się!

- Niech pani powie Bankowi, że później do niego zajrzę. Proszę mu ode mnie przekazać, że znów ma kłopoty - powiedział i zamknął drzwi, zanim panna Beryl zdążyła powtórzyć jeszcze raz, żeby się pospieszył. Spojrzał na zegarek. Nie było jeszcze siódmej. Stanowczo za wcześnie na to całe zamieszanie.

Hattie nie bardzo zdawała sobie sprawę, że idzie środkiem pustej ulicy. Mleczne katarakty ograniczały jej pole widzenia, zresztą i tak patrzyła w dół, na swoje stopy w rannych pantoflach. Ich ruch stanowił dla niej budujący widok, jak gdyby ucieczka odbywała się w zawrotnym tempie. Urwała się przed kwadransem i w tym czasie zdążyła przejść półtorej przecznicy. Wiatr rozwiewał jej szlafrok niczym żagiel. Nie czuła zimna ani tego, że jej pantofle zaczynają przemakać. Zmierzała ku wolności.

Wczesnym rankiem, zanim kolano się rozruszało, Sully nie miał ochoty na żadne wyścigi, toteż był rad, że ściganą osobą jest Hattie, przypuszczał nie jedyna mieszkanka Bath, którą potrafił dogonić o tej porze. Od czasu kiedy panna Beryl ją zauważyła, Hattie zdołała pokonać dalszych sześć jardów i znajdowała się teraz dokładnie naprzeciw domu. Jak obliczył, posuwała się przy każdym kroku o jakieś sześć cali, ale jej stopy pracowicie miały błoto. Ukradkowe spojrzenia, jakie rzuciła to przez jedno, to przez drugie ramię, świadczyły, że obawia się pościgu. Nie zauważyła, kiedy Sully się z nią zrównał i zaczął iść obok niej.

- Cześć, staruszko - powiedział.

Hattie wydała słaby okrzyk i zaczęła szybciej przebiegać nogami, niczym na bieżni treningowej.

- A więc uciekasz z domu?

- Kto to? - zapytała stara kobieta. - Sądząc po głosie, to ten skurczybyk Sully.

- Zgadłaś za pierwszym podejściem - odparł Sully. Jakiś samochód skręcił w Główną. Sully zamachał do kierowcy, pokazując, żeby ich wyminął.

- Nie wolno jeździć po chodniku! - wrzasnęła Hattie, kiedy usłyszała przejeżdżający tuż obok pojazd.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Sully.

- Do Albany. Będę mieszkać z siostrą - odpowiedziała Hattie zgodnie z prawdą, bo rzeczywiście miała taki plan. Jego oczywistym słabym punktem był fakt, że siostra nie żyła od dwudziestu lat. Poza tym Albany leżało w przeciwnym kierunku.

- Może bym cię podwiózł? - zaproponował Sully. - Będzie dużo szybciej.

- Dobra.

Sully zawrócił ją w stronę podjazdu panny Beryl, do którego dotarli po kilku minutach. Clive junior wyszedł właśnie na ganek i patrzył, co się dzieje. Ale nim zdążył się odezwać, Sully przyłożył palec do ust, po czym wskazał jego samochód, który stał bliżej. Clive skinął głową i wrócił do domu po kluczyki. Sully usadził starą kobietę na tylnym siedzeniu, po czym obszedł samochód dookoła i usiadł obok niej, za fotelem kierowcy. Clive junior wsiadł i włączył silnik.

- Kto prowadzi? - zapytała Hattie, mrużąc oczy i wyęzając wzrok.

- Ja - zapewnił ją Sully.

- A kto jest tam? - dopytywała się Hattie, słysząc, że jego głos dochodzi z boku.

- Ja - upierał się Sully. - A niby kto?

- Zimno mi w nogi - wyznała Hattie, która dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę. Zaczęła płakać.

Sully zdjął jej pantofle. Stopy staruszki były mokre i lodowato zimne. Na tylnym siedzeniu leżał jeden ze swetrów Clive'a juniora. Sully posłużył się nim, żeby osuszyć i rozetrzeć kościste stopy starej kobiety.

- Kto prowadzi? - zapytała znowu Hattie.

- Ja - powiedział Sully. - Ile razy mam ci powtarzać? Zaraz będziemy na miejscu.

Pokazał na migi, żeby Clive junior stanął za restauracją i zaczął w samochodzie, a sam poszedł po Cassandrę. Syn panny Beryl nie był zachwycony, że zostawiono go sam na sam ze starą Hattie, po części dlatego, że pod nieobecność Sully'ego trudniej mu było udowodnić, że go nie ma.

- Muszę zatankować, staruszko - rzucił Sully na odchodnym. - Zaczekaj tutaj.

- Tutaj - powtórzyła Hattie, przebierając palcami stóp w ciepłym kaszmirowym swetrze.

W restauracji Cass przyjmowała właśnie zamówienie od dwóch nieznanym Sully'emu mężczyznom siedzących przy barze.

- Jaki humor dziś mamy? - zapytał, kiedy jak zwykle postawiła przed nim filiżankę kawy.

- Podły. Jak zawsze.

- To dobrze - ucieszył się Sully. - Nie chciałbym zepsuć ci dnia.

- To niemożliwe - zapewniła go Cassandra, po czym zmarszczyła podejrzliwie brwi, jak gdyby wiedziała, że jest to aż nadto realne. Instynktownie rzuciła okiem w głąb sali, skąd prowadziły drzwi do małego mieszkania na zapleczu restauracji, które dzieliła z matką. - Boże, co się stało? - zapytała, cofając się gwałtownie.

- Nic jej nie jest. - Sully uniósł rękę uspokajającym gestem. - Siedzi w samochodzie Clive'a Peoplesa, od podwórza.

- Łeb jej ukręcę - powiedziała Cassandra, której panika szybko ustąpiła miejsca złości. - Lepiej mi pomóż - dodała, wybiegając z kontuaru.

Sully wolał nie iść za nią. Było do przewidzenia, że stara Hattie będzie wściekła, a on nie miał ochoty na to patrzeć. Ostatnim razem, kiedy ją przywiózł z powrotem, nazwała go śmierdzącym gnojkiem i próbowała kopnąć. Na cztery dotychczasowe ucieczki spod skrzydeł córki, trzy razy to właśnie on odwoził ją do domu. Na szczęście Hattie nie pamiętała jego wcześniejszych zdrad. Tylko odległe wspomnienia były żywe i wyraziste. O świeżych aktach perfidii zapominała niemal natychmiast.

Sully wszedł za ladę i włożył fartuch, pozdrawiając kucharza skinieniem głowy.

- Wygląda na to, że zostaliśmy sami, Rufus - powiedział.

W odpowiedzi Roof długą łopatką zsunął na półmisek dwa smażone jajka. Po bokach były już ułożone placki ziemniaczane i trójkątne tosty. Jeszcze dwa płynne ruchy i trzy dalsze półmiski były gotowe. Ze szpuli odwinęły się cztery paragony.

- Bim bom - powiedział Roof. - Zamówienie gotowe.

- Nie pozwolisz mi nawet wypić kawy, co? - poskarżył się Sully, chwytając w każdą rękę półmisek. Cass potrafiłaby ułożyć sobie na ręce wszystkie cztery, jeden za drugim, ale Sully wolał nie próbować. Roof był spokojnym człowiekiem, dopóki ktoś nie upuścił jajek na podłogę.

Pracując za kontuarem, Sully zupełnie zapomniał o Clive juniorze, pozostawionym w samochodzie sam na sam ze starą Hattie, dopóki Cassandra

nie przybiegła galopem, żeby ją zabrać. Clive pomógł jej doprowadzić starszkę do drzwi, za co ta obrzuciła go stekiem wyzwisk, myśląc, że to Sully, i nazywając go, wśród innych kwiecistych epitetów, śmierdzącym gnojkiem. Potem wrócił do samochodu i czekał dalej, co pół minuty zerkając z rosnącą irytacją na zegarek. Nie miał pretensji, że go wykorzystano, nie pytając o zdanie, ale tego było już za wiele. Cały Sully: zniknąć, zostawiając go w samochodzie, w ciasnej uliczce na tyłach jadalni, obok cuchnącego śmietnika. Odkrył też, jaki użytek zrobiono z jego kaszmirowego swetra.

Teraz, kiedy miał czas się nad tym zastanowić, ogarnęła go również złość na matkę, która instynktownie zwróciła się do Sully'ego, widząc starą kobietę w tarapatach, jak gdyby on, jej własny syn, był kimś zbyt niepewnym, aby powierzyć mu tak delikatne zadanie. Clive junior zresztą wątpił w duchu, czy wywiązałyby się z niego równie dobrze jak Sully. Nie miał wielkiego doświadczenia w perswadowaniu dziewięćdziesięcioletnim uciekinierkom, żeby wróciły do domu, i prawdopodobnie narobiłby tylko bigosu. Oczywiście wyobraźni widział, jak mociuje się ze starą kobietą na środku ulicy, niczym uliczny bandyta czy złodziejaszek, jak zostaje podrapany i obrzucony przekleństwami i w końcu daje za wygraną. Tym, co go irytowało, był fakt, że jego matka najprawdopodobniej wyobraziła sobie podobny finał i poprosiła o pomoc Sully'ego, człowieka, który wiedział, co robić.

Czy to domniemana opinia matki na jego temat, czy łatwość, z jaką Sully objął komendę, sprawiła, że przeniósł się znów w czasy dzieciństwa? Siedząc posłusznie w samochodzie, jak mu Sully polecił, przez cały czas zdawał sobie sprawę z ironii tej sytuacji. Bądź co bądź, był przypuszczalnie najważniejszą osobą w Bath. W chwili gdy ruszy budowa „Podróży bez Końca”, nie będzie co do tego wątpliwości. Wszyscy wówczas przyznają, że miasteczko zawdzięcza swój renesans właśnie jemu, że sprawił to Clive junior, ściągając facetów z południa stanu i dalej, aż z Teksasu, ukazując im możliwości regionu tak, jakby je widzieli jego oczyma, i zaszczepiając wszystkim własną wiarę.

No, prawie wszyscy. Clive junior wiedział, że w Bath zawsze będzie co najmniej dwoje sceptyków, przynajmniej dopóty, dopóki żyć będą jego matka i Sully. Tych dwoje wydawało się nie dostrzegać, że mają do czynienia z nowym Clive'em juniorem, który wrócił, aby uratować przed upadkiem Bank Depozytowo-Kredytowy i zapewnić przyszłość rodzinnemu miasteczku. Zachowywali się, jakby nadal widzieli chłopca, którym był kiedyś, a nie mężczyznę, którym się stał. Co za ironia, że tych dwoje sceptyków mieszkało

w jednym domu, w jego domu, w domu jego dzieciństwa przy Górnej. Własna matka i Sully, który był w tym domu intruzem, niemal odkad sięgał pamięcią. Mieszkali razem w domu, o którym Clive junior myślał teraz jako o głównej kwaterze opozycji.

Zdawał sobie sprawę, że to duży fart, mieć przeciwko sobie akurat tych dwoje, z których żadne nie zrobiłoby niczego na jego szkodę i którzy byliby zaskoczeni, gdyby wiedzieli, że uważa ich za ludzi z wrogiego obozu. Szczególnie matka, nad której pozyskaniem tak ciężko pracował. Zrobił wszystko, co w jego mocy, aby zdobyć jej zaufanie. Pożyczał od niej duże sumy, których nie potrzebował i które zwracał w terminie, proponując nawet odsetki. Udzielał jej pierwszorzędnych porad w sprawie inwestycji, na których mogła nieźle zarobić, a z których, o ile mu było wiadomo, nie skorzystała ani razu. Podobnie jak w ciągu ostatnich dwudziestu lat nie spytała go ani razu o radę w jakiegokolwiek sprawie. Zazwyczaj pocieszał się myślą, że jego matka jest po prostu najbardziej niezależnie myślącą kobietą w hrabstwie Schuyler. Być może nie potrzebowała jego rad, ale nie potrzebowała ich też od kogośkolwiek innego. Twierdziła żartobliwie, że wszystkich potrzebnych porad udziela jej nieżyjący od dawna Clive senior, oraz, co jeszcze bardziej niesamowite, afrykańska maska rytualna wisząca na ścianie w jej salonie. Było to do wytrzymania, z wyjątkiem tych rzadkich sytuacji, kiedy okazywało się, tak jak dziś rano, że jej samowystarczalność ma swoje granice, i kiedy zwróciła się o pomoc nie do niego, tylko do Sully'ego, czyli do najmniej chyba godnego zaufania osobnika w Bath. Jakby tego było mało, Sully natychmiast przydzielił mu podrzędną funkcję. To było więcej niż idiotyczne. Najważniejsza osoba w Bath, przyjmująca polecenia od kogoś, kto się zupełnie nie liczy, od Donalda Sullivana, człowieka, o którym zapomniano, choć jeszcze oddychał, człowieka, który osiągnął swój szczyt w wieku osiemnastu lat i od tamtej pory staczał się nieuchronnie w stronę zasłużonego pogrzebania za życia.

Historia ich znajomości sięgała dawnych czasów. Choć Sully'ego zapewne by to zdumiało, Clive junior uważał go za nieodłączny element swojego długiego i bolesnego okresu dojrzewania. Jako chłopiec obawiał się poważnie o swoją męskość. Właściwie był niemal pewien, że jego przeznaczeniem jest zostać homoseksualistą - „homo”, jak mawiano w Bath w tamtych czasach. Miewał oczywiście wzwody, jak wszyscy chłopcy w jego wieku, kiedy oglądał zdjęcia nagich dziewcząt w magazynach ilustrowanych. Wykradał je

ze sklepu i trzymał na najwyższej półce swojej szafy, gdzie z niewielkim prawdopodobieństwem mogła się na nie natknąć jego niziutka matka. Ale był przekonany, że te erekcje są bez znaczenia, że nadejdzie dzień (za rok? za miesiąc? nazajutrz?), kiedy naga kobieta przestanie go podniecać. Już teraz nie wszystkie na niego działały, zaczął więc wykradać jeszcze więcej czasopism w nadziei, że szerszy wybór kobiecych aktów oddali od niego nieuchronny homoseksualizm.

Źródłem jego obaw był fakt, że uczucia, jakie żywił do chłopców, wydawały się głębsze i mocniejsze niż te wobec dziewcząt, tak jak bardziej mu zależało na miłości ojca niż matki, której niepozorny wygląd stanowił w jego oczach widomy znak podrzędnego statusu. Nie mógł pojąć, co strzeliło do głowy jego ojcu, że się z nią ożenił czy w ogóle zwrócił na nią uwagę. W całej szkole nie było nauczyciela, który stałby się obiektem bardziej okrutnych drwin niż Beryl Peoples. Jej postać skrzata, okrągłe plecy i nienaganna wymowa były małpowane z druzgocącym efektem, szczególnie w obecności Clive'a juniora. Wolał nie myśleć, jak wyglądałoby jego życie, gdyby ojciec nie był trenerem futbolu.

Clive junior kochał ojca i w szkolnych latach rozciągał to uczucie na wszystkich chłopców, których kochał Clive senior. Sam nigdy się nie wybijał w sporcie. Odziedziczył posturę ojca (omal nie zabił panny Beryl przy porodzie), ale natura nie obdarzyła go ani szybkością, ani równowagą, ani celnym okiem, ani koordynacją ruchów. Clive senior był zbyt wielkim pocziwcem, aby głośno wyrażać rozczarowanie, że jego syn nie potrafi łapać, rzucać ani kluczyć z piłką jakichkolwiek kształtów czy rozmiarów, ale Clive junior to wyczuwał, częściowo na podstawie uczuć, jakie ojciec żywił dla swoich podopiecznych. Kiedy zasiadali do obiadu, często nie potrafił się powstrzymać od zachwyków nad ich wyczynami sportowymi. Sam był zawodnikiem przeciętnym, ale darzył sport czystą miłością. Został trenerem, bo wierzył, że sport jest najprawdziwszą i najpiękniejszą metaforą życia. Pozostał niewzruszony w tym przekonaniu, pomimo łagodnych kpin panny Beryl, wymierzonych w komuną, zakorzenione tak głęboko w jego świadomości.

Spośród wszystkich podopiecznych oczkiem w głowie Clive'a seniora wydawał się właśnie Sully i hymny pochwalne na jego cześć rozbrzmiewały przy obiedzie najgłośniej. Sully wszedł w drugiej klasie do głównej reprezentacji szkoły i Clive senior był przekonany, że gdyby miał tuzin takich

zawodników jak on, mógłby co roku zabierać swoją drużynę na mistrzostwa stanu, mimo że chłopiec nie grzeszył ani nadzwyczajnym wzrostem, ani szybkością. Był też niewyuczalny, nie sposób go było urobić. Obijał się na treningach, obruszał o konstruktywną krytykę i nie dało mu się w żaden sposób wpoić idei gry zespołowej. Czasem wydawało się, że jest mu wszystko jedno, czy jego drużyna wygra, czy przegra. Nie chciał rzucić palenia nawet wtedy, kiedy grożono mu zawieszeniem, i stanowił chyba najgorszy przykład dla pozostałych zawodników, których większość w naturalny sposób ciążyła ku gorszemu.

Ale kiedy nadchodził dzień meczu, w Sully'ego wstępował diabeł. Dogaśniał szybszych i ogrywał dwa razy większych od siebie. Czasem drużyna traciła na tym, że nie było go tam, gdzie być powinien, ale niemal równie często okazywało się, że jest jeszcze bardziej przydatny tam, gdzie się znalazł. Kiedy naknocił, trener przywoływał go do linii bocznej, żeby dać mu reprimendę. Sully czasem podchodził, czasem nie. Często, zanim Clive senior zarządził zmianę, chłopiec zdążył uratować drużynę przed stratą albo przechwycić podanie, po czym podchodził, niosąc piłkę niczym widomy dowód, że miał swoje racje, grając tak, a nie inaczej. „Gdybym miał tuzin takich jak on - kręcił głową Clive senior - co to by była za drużyna”. Oczywiście nie miał racji. Tuzin takich jak Sully i w ogóle nie miałby drużyny.

Clive junior, jako syn trenera, miał zawsze prawo się kręcić koło ławki rezerwowych, pod warunkiem że nie przeszkadzał. To właśnie tam, za boczną linią, zrodziło się w nim coś na kształt miłości do Sully'ego, w wyniku czego zaczął się obawiać o swoją męskość. Sully, już jako drugoklasista, ucieleśniał wszystko, czym Clive junior, uczeń ósmej klasy, pragnął być: zuchwały, o bujnej wyobraźni, gardzący autorytetami i, nade wszystko, obojętny na ból. Wydawało się, że rozgrywka niezbyt go interesuje, dopóki jakiś zawodnik z przeciwnej drużyny nie zdobył punktów albo nie rzucił obraźliwym słowem. Wtedy coś się zmieniało w jego spojrzeniu. Jeśli nie mógł wygrać meczu, wdawał się w bójkę i zwyciężał. Jeśli nie mógł zwyciężyć, rzucał się wciąż od nowa, z rosnącą furią, na to, czego nie był w stanie pokonać, jak gdyby świadomość, że bitwa jest nie do wygrania, nadawała jej szczególną wagę. Był niezrównany, kiedy podnosił się po upadku. I kiedy wracał do swoich posiniaczony, z rozbitym nosem, utykając, nadal odwracał się i miotał przekleństwa na tego, kto mu dołożył. Na ten widok serce Clive'a juniora napełniało się podziwem i tęsknotą.

I chociaż było to okropne, ów podziw i tęsknota trwałyby nadal, gdyby nie wypadek, który zdarzył się w sierpniu, kiedy Sully miał rozpocząć ostatni rok nauki. Jego starszy brat zginął po pijanemu w zderzeniu czołowym, wracając pewnej sobotniej nocy z Schuyler Springs. Clive senior obawiał się o chłopca, który bardzo to przeżył, a także o swoją drużynę, której potrzebna była przytomność umysłu Sully'ego. Wszyscy wiedzieli, jak wygląda jego życie rodzinne: z ojcem pijakiem, wszczynającym notorycznie burdy po barach, i matką - zahukaną, szarą myszą, dla której mizerną pociechą był kościół katolicki, gdzie wyznawała grzechy swojego męża w chłodnym cieniu konfesjonału, w którym nie było widać jej czarnych oczu. Tak więc któregoś wieczoru Clive senior zaprosił chłopca na obiad, po czym powiedział mu, że zawsze będzie w jego domu mile widzianym gościem, co Sully potraktował najzupełniej dosłownie i na resztę sezonu zadomowił się w ich jadalni na dobre. Przez pierwszych kilka dni panna Beryl stawiała dodatkowy talerz, kiedy się pojawiał. Mniej więcej po tygodniu uznała, że prościej będzie nakryć od razu i dla niego. Chłopiec najwyraźniej przedkładał dom państwa Peoples, ich stół, ich jedzenie nad to, co miała do zaoferowania jego własna, teraz uszczuplona rodzina.

Ściśle rzecz biorąc, nakrywanie do stołu należało do obowiązków Clive'a juniora, który stawał się w ten sposób mimowolnym współnikiem, zmuszony ugaszczać intruza we własnym domu. W tym czasie sam był już uczniem szkoły średniej. Niejasna tęsknota, która go ogarniała, kiedy patrzył na Sully'ego dwa lata wcześniej, przerodziła się w równie beznadziejne pragnienie, aby stać się takim jak on. Sully chodził właśnie z dziewczyną, stanowiącą najnowszy obiekt pragnień Clive'a. Joyce Freeman, uczennica trzeciej klasy, była o wiele za ładna i miała zbyt duże powodzenie, aby chciała z nim rozmawiać. Nie miał najmniejszej ochoty, żeby Sully zagrzezał miejsce w jego rodzinie, gdzie jego własna gwiazda i bez tego świeciła blado, nie mogąc się przebić przez mrok rozczarowania rodziców swoim synem. Robił, co mógł, aby dać Sully'emu do zrozumienia, że nie jest tu mile widziany. Jeżeli był w domu wyszczerbiony talerz, stawiał go przy jego nakryciu. Jeżeli trafił się widelec z krzywym zębem, Sully również go dostawał, podobnie jak szklankę, która poprzedniego wieczoru nie została zbyt dokładnie umyta. Aluzja byłaby przejrzysta dla każdego, ale do Sully'ego żaden afront nie docierał, po prostu nie rejestrował czegoś takiego. Jeżeli koślawy widelec ukłuł go wargę, najzwyczajniej prostował oporny szpikulec swoimi niezbyt czystymi

palcami, podnosił go do światła, żeby sprawdzić, czy wszystkie zęby są równe, i mówił: „No, ty mały gnojku”. Clive junior, odpowiedzialny za wygięcie owego zęba, czuł się, jak gdyby słowa Sully'ego adresowane były do niego.

W połowie sezonu Clive senior zaczął się orientować, że popełnił błąd. Nic nie mówił, ale Clive junior widział, że zdaje sobie sprawę ze swojej gafy. Zamysł był taki, żeby zrobić z Sully'ego lepszego obywatela, lepszego członka zespołu, czemu zaistniała sytuacja wydawała się sprzyjać. Zapraszając jednego ze swoich kluczowych zawodników do domu, miał nadzieję, że rozmowy przy obiedzie staną się naturalnym przedłużeniem treningów. Pragnął zaszczerpić chłopcu pewne elementarne prawdy. Chciał, żeby zrozumiał, że jest częścią czegoś większego, że powinien stawiać dobro drużyny na pierwszym miejscu. Był przekonany, że ustawi go to również odpowiednio, jeśli chodzi o szerszą platformę życiową. „Szersza platforma życiowa” było jednym z ulubionych określeń Clive'a seniora. Wszystko, co się działo na boisku, miało, jego zdaniem, odniesienie do tej platformy i chciał, żeby Sully to zrozumiał.

Nie przewidział, że chłopiec znajdzie naturalnego sojusznika-wywrotowca w pannie Beryl. To prawda, że jego żona zawsze pokpiwała sobie dobrodusznie ze spraw, które on traktował z całą powagą, ale nie wyobrażał sobie, żeby miała torpedować edukację chłopca. Jeśli rzeczywiście to właśnie robiła, o czym nie był całkowicie przekonany. Miał wrażenie, że jego żona wykonuje jakąś krecią robotę, chociaż nie umiał pokazać palcem niczego, co byłoby szczególnie naganne. Były to po większej części drobiazgi, takie jak zwracanie się do Sully'ego per „Donald” zamiast „Don” czy „Sully”, jak nazywali go wszyscy i co brzmiało po męsku. Clive senior nie chciał, żeby najbardziej bojowy z jego zawodników myślał o sobie jako o „Donaldzie”, chociaż nie był pewien, czy ma ochotę poruszać tę kwestię z panną Beryl. Już słyszał jej pogardliwe prychnięcie i mógł sobie wyobrazić, jak się będzie czuł, kiedy usłyszy je naprawdę. Są sprawy, których kobiety nie potrafią pojąć i lepiej nawet nie próbować im tego tłumaczyć.

Ale nie chodziło jedynie o ten czy inny sposób zwracania się do chłopca. Kiedy go zapraszał, oczyma duszy widział stół w pokoju jadalnym, przy którym dwaj ludzie sportu - on i Sully, omawialiby strategię spotkania z następnym przeciwnikiem, tak aby jego własny syn, któremu nie groziła kariera sportowa, też mógł coś z tego wynieść, uczestnicząc, chociaż pośrednio, w lekcji życia, jaką jest sport. Nie przewidział, że to z panną Beryl, nie z nim,

Sully będzie prowadził wieczorne rozmowy: o książkach, o polityce, o wojnie, wobec której Ameryka nie mogła zbyt długo pozostać obojętna. Na tle tych tematów futbol wypadł jakoś blado, a co za tym idzie, blakło również jego odniesienie do szerszej platformy życiowej.

Jak gdyby jego żona uwzięła się, żeby podkopać każdą lekcję obywatelskiej postawy, jakiej usiłował udzielić chłopcu. Przykładem była sprawa Gertrudy Wynoski, długoletniej gimnazjalnej nauczycielki wychowania obywatelskiego i, zdaniem panny Beryl, awanturnicy pierwszej wody. Szczególnym konikiem tej niewiasty była lokalna historia. Aż do końca swojej kariery wpajała wszystkim siódmoklasistom w Bath analogię między Schuyler Springs a Babilonem, wychodząc z założenia, że pomyślność zarówno jednego, jak i drugiego została zbudowana na niepewnym fundamencie moralnego zepsucia. Na emeryturze, cierpiąc z powodu utraty uczniowskiego audytorium, zmuszonego jej słuchać niezależnie od chęci, zaczęła się dzielić z mieszkańcami Bath swoimi spostrzeżeniami na łamach prasy. W serii jeremiad publikowanych jako listy do redakcji przez „North Bath Weekly Journal”, przypominała wszem wobec, że powodzenie Schuyler Springs ma swoje korzenie w braku zasad moralnych. Zawsze akceptowano tam wszelkie formy hazardu, legalne i nielegalne, od wyścigów konnych po walki kogutów i zawodowe walki bokserskie. Od dziesięcioleci tolerowano również istnienie okrytego szczególną niesławą domu publicznego. „Przybytek złej sławy” - takiego terminu używała ku konsternacji swoich siódmoklasistów, dla których wyrażenie pozostało nieczytelne wobec stanowczej odmowy egzegezy ze strony nauczycielki. Czytelnicy byli bardziej domyślni. Każda epistołę wieńczyła nieodmiennie czytelna aluzja, że pomsta na bezwstydnym Schuyler Springs o biblijnym, jak się można spodziewać, charakterze pozostaje jedynie kwestią czasu.

Clive senior, który kochał Bath i czuł się obco w Schuyler Springs, zwłaszcza podczas sezonu turystycznego, skłaniał się w duchu ku tym poglądom. Jako trener futbolu czuł się w obowiązku zajmować moralnie zdrowe stanowisko i bardzo chciał wierzyć w świat moralnego ładu. Niczego nie pragnął bardziej niż tego, aby jego drużyna stała się, o ile Bóg pozwoli, narzędziem kary przepowiadanej przez panią Wynoski. Chodziły słuchy, że reprezentacja Schuyler Springs ma w swoim składzie graczy nie będących mieszkańcami miasta. Clive senior chętnie dzielił się tym ze swoimi podopiecznymi, licząc, że pobudzi to ich słuszny gniew. „To oszuści - mawiał - a oszuści nigdy nie prosperują”.

Któregoś wieczoru próbował wygłosić coś podobnego przy obiedzie, zainspirowany kolejnym listem pani Wynoski. Liczył, że znajdzie w pannie Beryl sprzymierzeńca.

- Chciałeś powiedzieć, że oszuści zawsze prosperują - wpadła mu w słowo żona, nim zdążył zamknąć usta. - Poza tym - ciągnęła - jeżeli Schuyler Springs rzeczywiście stoi hazardem i nieprawością, nie ma powodu oczekiwać rychłego zawalenia się tej budowli, gdyż nie jest to bynajmniej kruchy fundament. Jeśli z czymś tu jest krucho, to ze sprawnością intelektualną Gerty Wynoski. Poza tym, nie ma powodu czekać, aż Bóg zabierze głos w sprawie Schuyler Springs, bo wszystko wskazuje na to, że już to zrobił. W końcu to w Bath, a nie w Schuyler Springs wyschły źródła.

Jak w takiej atmosferze można uczyć futbolu - myślał zrozpaczony Clive senior - nie mówiąc już o szerszej platformie życiowej? Miał ochotę stanąć żonie okoniem, ale ilekroć próbował, panna Beryl sprowadzała go szybko na ziemię. Gdyby chociaż robiła to w sposób niesympatyczny, wiedziałby może, jak się zachować. Ale ona była taka czuła i kochająca, kiedy obalała wzniezione z trudem konstrukcje moralne, że złość wydawała się po prostu nie na miejscu. Ale w miarę jak jego argumenty były jeden po drugim zbijane, czuł rosnącą irytację, jakby sama cywilizacja rozsypywała się w gruzy, co, jak czasem podejrzewał, mogło być nie tak znów odległe od prawdy. Panna Beryl, mając za słuchacza jego największą sportową gwiazdę, wydawała się dowodzić, o zgrozo, że rząd, prawo, a nawet Kościół nie zawsze zasługują na szacunek. Jeśli zacznie się podawać to wszystko w wątpliwość, ile czasu potrzeba, aby trenerzy futbolu również znaleźli się pod ostrzałem?

Nie oznacza to bynajmniej, że panna Beryl zdołała Sully'ego przekabacić. Prawdę mówiąc, tych dwoje spierało się przez cały czas i panna Beryl besztowała chłopca łagodnie, podobnie jak własnego męża. Nigdy się też nie zdarzyło, żeby stanął po jej stronie w dyskusji, w której uczestniczył Clive senior. Wyglądało na to, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy z konfliktu, z toczącej się walki o jego uwagę. A także z rosnącej irytacji Clive'a seniora, kiedy tematy poruszone przez pannę Beryl wypierały jego własną problematykę. Nie zaprosił Sully'ego do swojego stołu, żeby dyskutować o poezji. Przyprowadził go, żeby rozmawiać o futbolu. Miał nadzieję go przekonać, że futbol to czysta poezja.

Clive junior widział coraz większą frustrację ojca i czekał na stosowną chwilę. Właściwy moment nadszedł pewnego wieczoru, kiedy Sully zaofiarował się,

że pomoże panie Beryl przy zmywaniu. Pomyśleć tylko: podpora drużyny Clive'a seniora, skrzydłowy i rozgrywający w jednej osobie, zmywający naczynia! Nie mogąc na to patrzeć, Clive senior wycofał się do salonu, żeby posłuchać radia czy też udawać, że go słucha. Clive junior poszedł za nim i usiadł nachmurzony w fotelu pod przeciwległą ścianą, czekając, aż ich oczy się spotkają.

- Woląłem - powiedział - kiedy byliśmy tylko my. Tylko nasza własna rodzina. - Ojciec otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmyślił się, jego mroczne spojrzenie zatrzymało się na kuchennych drzwiach, skąd dobiegały odgłosy niefrasobliwej, głośnej dysputy.

- I tak będzie znowu - rzekł zdecydowanym tonem. Bardziej stanowczy nie bywał nawet na boisku.

Nazajutrz po obiedzie, kiedy Sully poszedł gdzieś z przyjaciółmi, Clive senior z synem ruszyli pieszo w stronę hotelu Sans Souci. Był dopiero początek listopada, ale panował już nieprzyjemny ziąb, a nagie, splątane konary wiałów tworzyły nad głowami czarne, niesamowicie dalekie i wysokie sklepienie. Przy skrzyżowaniu Głównej z Bowdon skręcili w lewo, tak jak Clive junior się spodziewał, i zastukali do drzwi małego domku rodziny Sullivanów. Długo czekali, nim matka Sully'ego, ubrana w szlafrok, ukazała się wreszcie w drzwiach. Wyglądało na to, że zna przyczynę ich wizyty, chociaż czekała cierpliwie, poprosiwszy ich do obskurnego saloniku, aż Clive senior złoży wyrazy współczucia z powodu śmierci ich starszego syna, zapewni ją, jak bardzo jest dumny z Donalda (w tym wypadku posłużył się nomenklaturą swojej żony), filaru zespołu, będącego rodziną w szerokim sensie. Teraz, kiedy do końca sezonu pozostał tylko tydzień i futbolowa rodzina będzie musiała się wkrótce rozstać, chciał wyrazić wdzięczność, że mogli tak często gościć ich syna u siebie. Ma nadzieję, że pani Sullivan nie ma im tego za złe. Nie było ich zamiarem odciągać go od własnego domu i rodziców. Clive junior obserwował, jak do kobiety dociera stopniowo faktyczny sens słów jego ojca.

- Dopilnuję, żeby siedział w domu - obiecała, kiedy Clive senior wreszcie zamilkł.

Ojciec i syn podnieśli się wówczas, Clive senior zapewnił raz jeszcze gospodynię, że Sully jest wartościowym młodym człowiekiem, że wyrośnie na dobrego obywatela, że jeśli sport może czegoś człowieka nauczyć, to właśnie obywatelskiej postawy. Ostatnie twierdzenie wywołało nieoczekiwany, gromki wybuch śmiechu Dużego Jima, który pojawił się bezgłośnie w drzwiach za ich plecami, wypełniając je sobą niemal całkowicie. Clive senior,

sam nie ułomek, wyglądał przy nim jak karzeł.

- Macie go wszyscy dosyć, o to chodzi - parsknął.

Nim Clive senior zdążył zaprotestować, Duży Jim odwrócił się do nich plecami.

- Niech pan go po prostu przyśle do domu, trenerze - rzucił przez ramię.
- Już ja go ustawię.

I dotrzymał słowa. Sully nie pojawił się więcej przy ich stole.

Czy zrobili coś złego, ojciec i on? Wyrzut sumienia, jaki poczuł na wspomnienie tamtego incydentu, mógłby to sugerować, chociaż nie przesądzał sprawy. Kiedy zastanowił się nad tym bezstronnie, nie dostrzegł nic złego w pragnieniu młodego człowieka, aby chronić własną rodzinę przed intruzem. Pannie Beryl nie wspomnieli jednak o swojej wizycie. Pozostała ich wspólną tajemnicą, która, zamiast zbliżyć ich do siebie, wbiła między nich jeszcze jeden klin. Clive senior wydawał się teraz jeszcze mniej gustować w towarzystwie syna, który z kolei nigdy już nie miał spojrzeć na ojca tymi samymi oczyma co dawniej.

Wszystko to niepotrzebnie, bo, jak czas pokazał, słuszność była po ich stronie. Koniec końców nie udało im się pozbyć intruza. Po śmierci ojca, kiedy Clive junior wyjechał, Sully zajął na powrót miejsce w domu jego matki i, jak wszystko na to wskazywało, również w jej sercu i nie dało się go usunąć ani z jednego, ani z drugiego. Nie było sposobu, aby przekonać matkę, że to człowiek niebezpieczny. Jej upór stawiał go w kłopotliwej sytuacji. Zmuszony został, jako dorosły człowiek, dokończyć dzieło, które rozpoczął jego ojciec, kiedy on sam był jeszcze nastolatkiem. Pozbycie się Sully'ego raz na zawsze nie wydawało się zadaniem przerastającym możliwości najważniejszej osoby w Bath i własna bezsilność w tej sprawie była dla Clive'a juniora szczególnie irytująca. Jako człowiek interesu, kierujący się raczej zdrowym rozsądkiem niż emocjami, nawet sobie samemu nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego jego dobre samopoczucie jest coraz bardziej uzależnione od wewnętrznego nakazu wyeksmitowania Sully'ego. Nawet ważne powody, którymi się oficjalnie kierował - zagrożenie, jakie ktoś tak niefrasobliwy jak Sully stwarzał dla jego matki - nie mogły przesłonić ani umniejszyć jego ukrytych motywów osobistych.

To, co czuł, było irracjonalne - musiał to przyznać, gdy tak siedział w samochodzie stojącym nieopodal śmietnika, wpatrzony w skraplającą się parę własnego oddechu. Zarówno przekonanie, że Sully musi odejść, zanim

zrealizuje swoje pozostałe cele, jak i poczucie, a właściwie pewność, że jak długo istnieć będzie koalicja przy Górnej, pozostanie chłopcem, którym był kiedyś, a nie mężczyzną, w którego się przeobraził. Dopóki się nie pozbędzie Sully'ego, będzie tkwił w tym samym punkcie co teraz: w zimnym, ciemnym, ciasnym zaułku, gdzie jego powonienie drażnił smród zalatujący z miejskiego wysypiska. To było nie do przyjęcia. Tak więc Clive junior wysiadł z samochodu.

- Cześć - powiedział Sully, najwyraźniej zaskoczony widokiem Clive'a juniora, który pojawił się przy kasie z morderczym wyrazem twarzy. - Chcesz śniadanie?

Sully, objąwszy posterunek za kontuarem, prowadził interes po swojemu. Po pierwsze uznał, że łatwiej mu będzie pracować przy otwartej szufladce kasy. Nie oddzwaniał każdej transakcji, poza tym zaokrąglął należności, czasem na korzyść klienta, czasem restauracji, wydając resztę z otwartej szuflady. Tego dnia specjalność zakładu - normalnie dolar czterdzieści dziewięć centów - kosztowała półtora dolara, pał sześć podatek. Za śniadanie złożone z jajek, boczku, tosta i placków ziemniaczanych, po dwa dolary siedemdziesiąt dziewięć centów, Sully pobierał trzy dolary. Jak dotąd wszyscy płacili grzecznie, rozumiejąc, że sytuacja jest nadzwyczajna, i zdając sobie sprawę z głębokiej awersji Sully'ego do obracania drobniejszą walutą niż ćwierć dolara. Clive junior pokazał na zegarek.

- Wiesz, gdzie byłem do tej pory? - zapytał.

- Nie mam pojęcia - przyznał Sully.

- Siedziałem w samochodzie i czekałem na ciebie.

- Byłem trochę zajęty - zauważył Sully, wykonując szeroki gest obejmujący salę jadalną. Ruch nie był tak duży jak wtedy, kiedy stawał za ladą, ale wciąż wystarczający, aby uzasadnić to twierdzenie. - Myślałem, że będziesz miał dość rozumu i pojedziesz do domu.

Clive junior się najeżył.

- Chciałeś, żebym zaczekał.

- Nie w nieskończoność - powiedział Sully.

Clive junior miał wrażenie, że ktoś zachichotał. Uświadomił sobie, że nie jest to odpowiednie miejsce do konfrontacji z Sullym.

- Napij się kawy - zaproponował Sully, napełniając filiżankę. - Powiedz, co robiłeś w Święto Dziękczynienia? Mam nadzieję, że miło spędziłeś czas?

- Byłem na obiedzie z narzeczoną - poinformował go Clive junior. Już miał dodać, że osoba ta nie jest Sully'emu całkiem obca, kiedy ten,

najwyraźniej niezbyt zainteresowany planami małżeńskimi Clive'a juniora, przerwał mu bezceremonialnie.

- Tak? - zapytał. - A poza tym?

Clive junior zmrużył oczy, domyślając się, dokąd zmierza rozmowa. Po przedniego dnia, czekając, aż matka wróci ze świątecznego obiadu, poszedł z Joyce na górę, żeby ocenić, jakich szkód dokonał Sully od czasu jego ostatniej lustracji.

- Nic szczególnego - odparł niepewnie.

- Nic szczególnego - powtórzył Sully. - Myślałem, że może byłeś tam, gdzie nie powinieneś.

Clive junior czuł, że mężczyźni siedzący przy barze zaczynają się przysłuchiwać ich rozmowie z nieukrywanym zainteresowaniem. Wyczuwał też, po czyjej są stronie. Nie po jego.

- Mówiliśmy już o tym - zaczął odważnie. - Gospodarz ma prawo...

- Nie jesteś moim gospodarzem - przerwał mu Sully.

- Moja matka...

- ...to jedyny powód, dla którego nie skopię ci tyłka - dokończył za niego Sully. - Jeżeli jeszcze raz wejdiesz do mojego mieszkania bez pozwolenia, nawet ona ci nie pomoże.

Clive junior poczuł, że dygoce z wściekłości. I jak zawsze w takich dramatycznych chwilach, znalazł się jakby na zewnątrz własnego ja, obserwując krytycznie swój mizerny występ z dystansu jednego kroku. Ze swojego punktu obserwacyjnego widział, jak się prostuje z kiepsko naśladowaną godnością, jak wyjmuje z portfela dolara i kładzie go bez słowa na ladzie. Widział, jak się odwraca na pięcie, niczym niemiecki żołnierz z telewizyjnej komedii i odprawia błazeńską defiladę, maszerując w kierunku drzwi przed frontem milczących mężczyzn siedzących za długim stołem. Być może owa cisza była jedynie efektem ubocznym dezintegracji, ale jedyną rzeczą, jaka dźwięczała mu w uszach, były jego własne słowa, wypowiedziane tego ranka w rozmowie z matką: „Poradzę sobie z Sullym”.

I jak zawsze, zajęło mu trochę czasu, nim przyszedł do siebie. Kiedy odzyskał poczucie rzeczywistości, stwierdził, że siedzi w banku za swoim dębowym biurkiem, co oznaczało, że musiał dotrzeć tam pieszo albo przyjechać samochodem i wejść do środka bocznymi drzwiami. Musiał też zaciągnąć zasłonę w oknie, wychodzącym na ulicę. Przez ciemne, barwione szkło widział Główną aż po jadalnię „U Hattie”, gdzie właśnie otworzyły się drzwi i ukazało się dwóch roześmianych mężczyzn. Ileż to razy w ciągu tych

wszystkich lat zdarzało mu się wyrzucić przez to okno akurat w porę, by ujrzeć Sully'ego, kuśtykającego ulicą, niczym ofiara wypadku, zbyt ogłupiała i oszołomiona, aby ocenić rozmiary własnych obrażeń? Wszystko, co potrafił, to iść naprzód na przekór zdrowemu rozsądkowi.

Clive junior miał czasem wrażenie, że Sully jest nieśmiertelny, niezniszczalny. Odczuł to wyraźnie przed czterdziestu laty, kiedy tamten chodził do ostatniej klasy. Późnym wiosennym popołudniem pojawił się w ich domu po raz ostatni, żeby powiedzieć pannie Beryl, że ma zamiar zaciągnąć się do wojska. Matka, ku wielkiemu zakłopotaniu Clive'a juniora, próbowała odwieść go od tego zamiaru. Kiedy jej perswazje nie odniosły skutku, zaczęła błagać męża, żeby z nim porozmawiał. Ale Clive senior, jako trener futbolu i człowiek mający poczucie moralnego obowiązku wobec społeczeństwa, nie popierał uchylania się od służby wojskowej i przyklasnął patriotycznej postawie chłopca.

- Ty głupcze - powiedziała panna Beryl, szokując Clive'a juniora, który nie przypominał sobie, żeby matka kiedykolwiek wyrażała się z pogardą o poglądach ojca, chociaż pokpiwała sobie z nich dobrodusznie. - To nie ma nic wspólnego z patriotyzmem - poinformowała męża, który wydawał się z lekka przerażony jej wybuchem. - Ten chłopiec już prowadzi wojnę. Jest taki sam jak jego brat. Szuka samochodu, z którym mógłby się zderzyć.

Clive junior, mimo młodego wieku, wiedział, że matka jest w błędzie. Ocena motywów Sully'ego mogła być wprawdzie prawidłowa, ale mylne były jej obawy, że kolizja okazałaby się dla niego zgubna. Jego zdaniem, należało się raczej obawiać o osoby jadące tym drugim samochodem. Sully mógł wysłać na tamten świat wszystkich pozostałych uczestników wypadku, lecz zgodnie z własnym przeznaczeniem sam miał wychodzić cało z kolejnych katastrof, coraz bardziej pokieraszowany, ale wciąż żywy.

Jego przewidywania okazały się słuszne. To nie Sully zginął w wypadku, pędząc dziewięćdziesiątką, ale jego ojciec, przy szybkości zaledwie dwudziestu mil na godzinę.

A jednak zdawał sobie sprawę, że Sully nie jest nieśmiertelny. Był jedynie człowiekiem. Człowiekiem-dinozaurem, drepzczącym cierpliwie w miejscu, skazanym na zagładę. Niewykluczone, że już nie żył, tylko był zbyt głupi, żeby to zauważyć. Clive junior chętnie by go oświecił w tej materii, ale kiedy wyobrażał sobie tę rozmowę, odwaga jakoś go opuszczała. „Wiesz, w jaki sposób wyginęły dinozaury?” - miałby ochotę zapytać. Sully przyznałby,

że nie ma pojęcia. „Wcale nie wyginęły - powiedziałby wtedy Clive junior. - Cały czas były martwe”.

Kiedy Cass wreszcie się pojawiła, prowadząc Hattie, po czym usadziła staruszkę, wykąpaną i ciepło ubraną, w jej ulubionym boksie, humanitarny zapal Sully'ego niemal wygasł. Stać go było na takie akcje od czasu do czasu, bawił się przy tym dobrze, ale porzucał swoją rolę bez żalu, kiedy akcja dobiegała końca.

- Następnym razem zostaw ją w spokoju. Niech sobie idzie - powiedziała Cassandra, stając obok niego za kontuarem. Sully zdążył już odwiązać fartuch.

- Co ją napadło? - zapytał, siadając na taborecie, który przed chwilą zajmował Clive Peoples.

- Była na mnie wściekła po wczorajszym - powiedziała Cassandra, zniżając konfidencjonalnie głos. - Chciała, żebym otworzyła lokal w Święto Dziękczynienia, by mogła siedzieć w swoim boksie. Powiedziałam, że jak chce, może iść i siedzieć do woli. Myślisz, że nie poszła? Siedziała przez bite trzy godziny, po czym wróciła i oświadczyła, że przeze mnie interes schodzi na psy.

- Wydaje się zadowolona w tym boksie - przyznał Sully. Staruszka uśmiechała się teraz szeroko, nie pamiętając już o swojej niefortunnie zakończonej ucieczce.

- Tu nie ma się co wydawać. Gdybym trzymała lokal otwarty przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i pozwalała jej siedzieć w boksie przez cały czas, byłaby najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

- To jej pozwól - powiedział Sully. - Co by to szkodziło?

- Jasne. - Cassandra rzuciła mu mordercze spojrzenie. - Dlaczego miałabym mieć własne życie?

Sully wzruszył ramionami.

- To ją oddaj do domu starców. Kto mógłby mieć do ciebie pretensję?

- Wszyscy, nie wyłączając ciebie - rzekła Cassandra z przekonaniem. - Nie wyłączając mnie - dodała. Wymijając go wzrokiem, spojrzała w stronę, gdzie siedziała jej matka. - Przypięliby ją do wózka i zapomnieli o niej - powiedziała jeszcze ciszej niż poprzednio.

Pojawienie się Ruba uwolniło Sully'ego od konieczności zabierania głosu w tej sprawie. Młody człowiek podbiegł truchtem, przysunął twarz do szyby i zajrzał do środka zafrasowany.

- Ktoś mi powiedział, że tu teraz pracujesz - wyjaśnił, jak gdyby wieść była zbyt straszna, aby w ogóle rozpatrywać taką ewentualność.

- Kto, ja? - zdziwił się Sully.

Cass przyniosła Rubowi filiżankę kawy.

- Nie powinienem być wierzyć - powiedział Rub z powagą.

- Dlaczego? - zapytał Sully, zawsze ciekaw logiki Ruba.

- Bo to nieprawda - skwitował sprawę Rub.

- Faktycznie. - Cass kiwnęła głową w stronę Sully'ego, jak gdyby wszystko stało się dla niej jasne.

- Mogę pożyczyć dolca? - zapytał Rub.

Sully dał mu dolara. Rub wsunął go do kieszeni. Sully popatrzył na niego, kręcąc głową.

- O co chodzi? - zaniepokoił się Rub.

- Nic takiego - uspokoił go Sully.

- To czemu na mnie patrzysz?

Sully nie odpowiedział.

- Oboje na mnie patrzycie - zauważył Rub, gdyż Cassandra obserwowała ich obojgu, jak zwykle w niemym podziwieniu.

- Jesteś przystojnym mężczyzną - powiedział Sully. - Naprawdę przystojnym.

Rub spojrział na Cassandrę, szukając wskazówki, jak ma rozumieć tę uwagę.

- Nie jestem - zaprzeczył.

- Ależ jesteś - zapewnił go Sully. Odsunął pustą filiżankę po kawie, wstał i ucałował Ruba w porośniętą szczeciną łepetyną.

Rub oblał się jaskrawym rumieńcem.

- Chcesz, żeby ludzie pomyśleli, że jestem jakiś inny.

- Już tak myślą - powiedział Sully. - Chodźmy do roboty.

Rub wstał pospiesznie, dopijając kawę jednym haustem.

- Nie wiedziałem, że mamy robotę.

- Robotą jest zawsze - oznajmił Sully. - Dzisiaj część z tego przypadła nam.

Cass nie policzyła im za kawę.

- Dzięki - powiedziała do Sully'ego. - Jestem ci naprawdę wdzięczna, nawet jeśli tego nie widać.

- Do zobaczenia, staruszko - krzyknął Sully do Hattie, idąc w stronę wyjścia.

- Kto to taki? - zapytała stara kobieta z irytującym uśmiechem. - Sądząc po głosie, to ten skurczybyk Sully.

Kompletna cisza. Brak reakcji na przekręcenie kluczyka w stacyjce. Jak gdyby kable podłączone były wyłącznie do zimnego listopadowego powietrza po drugiej stronie tablicy rozdzielczej. Sully spróbował jeszcze kilka razy, usiłując wydobyć jakikolwiek dźwięk - nawet niepożądany. Zgrzytanie, wycie, chróbot mogłyby zasugerować jakąś diagnozę, a ta z kolei zapewne byłaby opatrzona metką z orientacyjnym kosztem naprawy. Co mogła, w kategoriach finansowych, oznaczać kompletna cisza, tego nie wiedział. Kojarzyła mu się z czymś ostatecznym, z niezdatnością do reanimacji. Sully odchylił się na siedzeniu, zostawiając kluczyk w stacyjce, i przecesał włosy palcami. Przestraszony Rub wbił wzrok w swoje kolana. Nie było bezpiecznie siedzieć w takiej chwili obok Sully'ego, który potrafił wyładowywać swoją furię na martwych przedmiotach. W tak ciasnej przestrzeni nietrudno było o rykoszet.

Rub nie miał ochoty pierwszy zabierać głosu, ale niezmacona cisza była trudniejsza do zniesienia dla niego niż dla Sully'ego, który sprawiał wrażenie, jakby zamierzał tak siedzieć przez całą zimę. Kiedy nie mógł już dłużej wytrzymać, zapytał:

- Nie chce zapalić?

Spojrzenie Sully'ego uświadomiło mu, że ewentualny rykoszet to najmniejsze zmartwienie.

- Przejdźmy się - powiedział Sully po chwili, wysiadając z samochodu.

Rub wysiadł również.

- Nie zabierasz kluczyków? - zapytał.

- Po co?

- Ktoś może ukraść furgonetkę.

- Zastanów się - doradził mu Sully.

Rub pomyślał chwilę.

- Ktoś może ukraść klucze.

- Na kółku są tylko trzy - wyjaśnił Sully. - Jeden do furgonetki. Nie pamiętam, do czego są dwa pozostałe.

- Stara Peoples znów nas szpieguje - poinformował go Rub, rad ze zmiany tematu. Zaslona w pokoju od ulicy drgnęła. - Chciałbym, żeby się w końcu przekręciła i przestała szpiegować ludzi.

- To niezbyt sympatyczne, nie sądzisz? - zauważył Sully, kiedy ruszyli pieszo w stronę centrum.

- To ona zaczęła - bronił się Rub. - Była dla mnie niesympatyczna przez całą ósmą klasę. Ja jej tylko odpłacam tym samym.

- Pewnie chciała po prostu, żebyś się czegoś nauczył - wyraził przypuszczenie Sully.

- Chciała, żebym się nauczył wszystkiego - odparł Rub z gniewem. - Niechby wreszcie kopnęła w kalendarz, żebym mógł o niej zapomnieć.

W OTB zastali Jocko, który podpierał fragment ściany.

- To były dopiero pastylki - powiedział Sully. - Spałem jak niemowlę.

- To dobrze - odezwał się Jocko, choć, jego zdaniem, w głosie Sully'ego zabrzmiała jakaś podejrzana nuta.

- Jedyne kłopot, że siedziałem wtedy za kierownicą furgonetki.

Jocko skinął głową.

- Ostrzegalem cię, jeżeli sobie przypominasz. Ale widzę, że jesteś cały.

- Uhum - mruknął Sully. - Jaka trójka wygrała w środę?

- Trzy-jeden-siedem - poinformował go Jocko. - Pamiętam dokładnie, bo to właśnie obstawiłem.

- Szczęściarz z ciebie - powiedział Sully. - Bogaci stają się jeszcze bogatsi. Bądź tak dobry i nie wydawaj wszystkiego. Niewykluczone, że będę potrzebował pożyczki.

- Właśnie przelałem wszystko na konto żony. Dzięki temu prawie wyszedłem na prostą, jeśli chodzi o alimenty. Jeśli chodzi o uczucia, jestem ciągle w tym samym punkcie.

- Kobieta, której miłości nie można kupić. To rozumiem. Jeszcze raz, jak szła ta trójka? - zapytał Sully.

- Trzy-jeden-siedem. Słuchaj, co się do ciebie mówi, na litość boską.

Sully wygrzebał swój kwit i przestudiował go, żeby się upewnić, czy nie dano mu przez pomyłkę odcinka zwycięzy.

- Miałem z tego dwie trzecie - oświadczył.

- Nieźle - pogratulował mu Jocko. - Ile tabletek wczoraj zażyłeś?

- Dwie.

Jocko pokiwał głową.

- To nie aspiryna.

- Wydawało mi się, że pierwsza jakoś nie zadziałała.

- A druga?

- Jak obuchem - przyznał Sully.

- Następnym razem zaczekaj, aż pierwsza zacznie działać.

- Zaczekam.

Sully obstawiał swoje 1-2-3 i zabrał Ruba, który zrobił użytek z pożyczonego dolara, obstawiając podwójny zakład.

- Na co postawiłeś? - zapytał Sully, kiedy znaleźli się na ulicy.

- Zapomniałem - przyznał się Rub.

- Naturalnie - powiedział Sully. - To było prawie minutę temu.

- Mleko „Carnation” najbardziej lubię - zacytował Rub w odpowiedzi, po czym wyrecytował cały wierszyk równie bezbłędnie, jak dzień wcześniej we śnie Sully'ego.

- No proszę, kto by pomyślał - zdumiał się Sully, zatrzymując się na środku chodnika. Gotów byłby postawić całą wygraną Jocko, że Rub nie będzie pamiętał wczorajszej rymowanki.

- Stara Peoples zmuszała mnie przez całą ósmą klasę, żebym się uczył wierszy na pamięć - powiedział Rub. - Nigdy mi się nie udało.

W cukierni stała za ladą ta sama dziewczyna co dzień wcześniej. Widok Sully'ego i Ruba, delikatnie mówiąc, jej nie zachwycił. Za to Sully uradował się na widok Carla Roebucka, który siedział przy jednym z dalszych stolików. Od chwili gdy silnik jego furgonetki zamilkł na dobre, pluł sobie w brodę, że nie wziął pieniędzy, które Carl wciskał mu pełną garścią poprzedniego wieczoru. Kobieta towarzysząca Carlowi miała jasne włosy i Sully wziął ją w pierwszej chwili za Toby, ale wkrótce spostrzegł swoją omyłkę.

- Mogę pożyczyć dolca? - zapytał Rub.

- Pod warunkiem że usiądziesz spokojnie przy barze i nie będziesz mi zwracał głowy. Muszę coś załatwić - powiedział Sully, wskazując stolik Roebucka.

- Nie znoszę Carla - przypomniał mu Rub.

Sully wręczył mu dolara.

- Niejedna kobieta w tym mieście kosztowałaby mnie mniej niż ty.

- Ale nie byłaby twoim prawdziwym przyjacielem - rzekł Rub z powagą.

- Widzę, że już się pozbierałeś - powiedział Sully, kiedy Carl podniósł wzrok i go zobaczył.

- Dwie godziny snu - oświadczył Carl z dumą - i jestem świeży jak stokrotka.

Sully musiał przyznać, że Carl wygląda zaskakująco dobrze.

- Byłbyś jedyną w swoim rodzaju stokrotką - powiedział, kładąc rękę na ramieniu kobiety. Z bliska stwierdził, że to najbardziej bezbarwna istota, jaką w życiu widział. Trudno było określić jej wiek, płeć również była mniej

oczywista, kiedy patrzyło się na nią z przodu, a nie z tyłu. - Zostawisz nas na minutkę, laleczko? - zapytał.

Kobieta spojrzała na Carla, który wzruszył ramionami tytułem potwierdzenia.

- Dotrzymaj towarzystwa temu facetowi przy barze - zaproponował Sully, wskazując Ruba, który zamówił właśnie wielkiego pączka z bitą śmietaną. - Powie ci wierszyk, jak go ładnie poprosisz.

Kobieta podeszła do baru, ale usiadła na jednym z dalszych stołków, być może dlatego, że pączek Ruba zdążył już obscenicznie eksplodować.

- Jesteś chyba największym głupkiem w Bath - powiedział Sully.

- Obelga nie byłaby taka straszna, gdybyś nie przyprowadził tu właśnie największego głupka w Bath - odparł Carl. - Siebie, oczywiście, nigdy nie liczysz.

- Skoro mowa o liczeniu - przerwał mu Sully. - Odlicz, co mi jesteś winien za wczoraj.

- Nawet tam nie byłem, żeby sprawdzić, coście zdziałali - bronił się Carl.

- To nie jest najlepszy moment na takie gadki - powiedział Sully. - Wczoraj wciskałeś mi tysiąc dolarów. Mówiłeś, żebym wziął, ile chcę.

Carl skinął głową, przypominając sobie rozmowę z poprzedniego wieczoru.

- Cóż to był za dzień - rozmarzył się. - W jak rzadkim nastroju byłem.

Sully kiwnął głową ze zniecierpliwieniem.

- Dobra, wyskakuj z forsy, jeżeli chcesz doczekać następnej zmiany nastroju.

Carl odliczył na stół pieniądze, które był mu winien za robienie szalunku, i popchnął w jego kierunku.

- Coś takiego - zdziwił się, kiedy Sully włożył banknoty do kieszeni. - Nie zamierzasz się żołądkować o tamto?

- Wolę o tym teraz nie myśleć - rzekł Sully. - Moja furgonetka zdechła dziś rano i gdybym zaczął myśleć o wszystkich pieniądzech, które jesteś mi winien, mógłbym skrócić ci kark, zanim sam byś to zrobił.

- Kogo byś obwiniał o żalorny stan swoich finansów, gdyby mnie zabrakło?

- W dalszym ciągu ciebie - powiedział Sully, podnosząc się.

Przez chwilę obaj milczeli. Sully pomyślał, że nigdy nie widział smutniejszego faceta niż Carl w tym momencie.

- Może pożyczylbyś mi el camino na kilka dni? - zapytał.

- Czemu nie? I tak jest już prawie gotów - powiedział Carl, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu kluczyków. - Ktoś mi powiedział, że pracujesz „U Hattie” - dodał.

Sully pokręcił głową, zdumiony, jak szybko rozprzestrzeniają się w Bath różne bzdurne wieści.

- Lepiej pojedę zobaczyć, czy Harold ma dla mnie jakiegoś innego grata. Poza tym jestem umówiony z jakimś Milesem Andersonem, który chce, żebym odnowił dla niego pewien dom przy Głównej.

- Powinieneś sprawić sobie wizytówki - podsunął Carl - „Don Sullivan: Majster Klepka do Wszystkiego”.

- Dzięki za samochód. - Sully zadzwonił kluczykami.

- Wydawało mi się, że miałeś dzisiaj pracować dla mnie - zauważył Carl.

- Zobaczę, co da się zrobić, jak skończę z majsterkowaniem - obiecał Sully, wysuwając się z boks. - Może jakoś cię wcisnę po południu.

- Przyślij mi tu z powrotem tę dziewczynę, jak będziesz wychodził - poprosił Carl. - Właśnie proponowała, że mi zrobi loda pod stołem.

Kiedy znów podszedł do baru, Rub właśnie ocierał papierową serwetką z twarzy bitą śmietaną.

- Ta dziewczyna cały czas się na mnie gapiła - powiedział, wskazując kobietę, która siedziała przedtem w boksie Carla i teraz do niego wróciła. - Teraz dostała się Carlowi - skwitował ze smutkiem.

Firma Proxmire Motors, znajdująca się milę za miastem, tuż przy asfaltowej szosie, była wciśnięta pomiędzy składnicę złomu i magazyn części zamiennych. Właścicielem i zarządcą wszystkich trzech przedsiębiorstw był Harold Proxmire. Na podwórzu stała też ciężarówka z napisem „Proxmire Usługi Holownicze”. Przed bramą, na szczycie krzywego słupa, umocowany był szyld: Świat Motoryzacji „U Harolda”. Firma zatrudniała pięciu pełnoetatowych pracowników. Oprócz Harolda i jego żony należał do nich główny i jedyny mechanik - człowiek o zgryźliwym usposobieniu, któremu Harold zakazał pod jakimkolwiek pozorem odzywać się przy ludziach, magazynier - niewielki staruszek, wędrujący między rzędami metalowych półek pełnych części zamiennych i wypatrujący w mroku pod sufitem właściwego kartuska, oraz nastolatek, z reguły czarna owieczka będąca na bakier ze szkołą, którego państwo Proxmire wzięli pod swoje skrzydła. Harold Proxmire i jego żona jako chrześcijanie zatrudniali wyłącznie trudną młodzież o

chrześcijańskim rodowodzie, wypełniając w ten sposób lukę w kadrach, przewidzianą dla osoby młodocianej. Harold starał się zawsze wyszukać chłopca, który otarł się przynajmniej raz o więzienie czy poprawczak, którego nikt inny nie chciał zatrudnić. Płacił mu minimalną stawkę, a jego żona wprowadzała go za darmo w arkana wiary chrześcijańskiej, udzielając mu nauk ze swojego stanowiska przy kasie. W ciągu roku przez firmę przewijało się na ogół trzech takich młodzieńców. Średni okres ich zatrudnienia wynosił cztery miesiące. Później jednych wywabiała mamona, w postaci ćwiartki dolara więcej za godzinę, inni po prostu opróżniali szufladę kasy i dawali nogę. Ostatni zostawił w przegródce na banknoty karteczkę ze słowami: „Jezus był skończonym durniem i wy tak samo”.

Obecnie zatrudniany nastolatek, Dwayne, był chuderlawy, rudowłosy i posepny. Jak dotąd nie ukradł niczego, chociaż zaczynał wędznąć pod brzemieniem codziennej porcji moralnych pouczeń. Kazania pani Haroldowej na temat uczciwości, ciągle nawoływanie do czujności wobec podstępów szatana, przybierającego najróżniejsze postacie, zaczynały go nieco trapić. Nigdy dotąd nie doświadczył pokusy, żeby ukraść coś Haroldowi, którego lubił i któremu był wdzięczny, ani jego żonie, którą tolerował w niewielkich dawkach, i zastanawiał się, co jest z nim nie tak, że szatan tak zupełnie go ignoruje. Jeszcze bardziej irytowało go podobne traktowanie ze strony klientów. Każdy z nich chciał rozmawiać wyłącznie z Haroldem i podstawowym obowiązkiem Dwayne'a było ustalanie miejsca pobytu szefa, który dzielił swój czas pomiędzy komis, warsztat, skład złomu i magazyn części zamiennych, nadzorując funkcjonowanie wszystkich instytucji naraz, porzucając jedną, aby obsłużyć zniecierpliwionego klienta czekającego na niego w drugiej.

Tak więc, ujrzawszy samochód firmy CI. Roebuck, Dwayne nie oczekiwał zbyt dużego respektu i nie był zawiedziony, kiedy Sully wysiadł z samochodu i zapytał: „Gdzie jest Harold?”. Niestety chłopiec zgubił trop szefa. Rankami w dni robocze bywało tu tak niewielu klientów, że większość czasu spędzał, myśląc o niebieskich migdałach i starając się trzymać z daleka od pani Haroldowej, która tego dnia była w starotestamentowym nastroju.

Harold Proxmire był chudy, wysoki, miał ziemistą cerę i nosił się na szaro. W tak szary dzień jak ten snuł się po obejściu niczym bezcielesna zjawia, stąpając bezgłośnie na swoich grubych, gumowych podszwach. „Gdzieś tutaj” - powiedział Dwayne, obejmując szerokim gestem wszystkie trzy przedsięwzięcia.

O ile jej mąż mógł być wszędzie, o tyle panią Proxmire - małą, okrągłą kobietkę, o wysoko upiętej fryzurze, która wydawała się niemal podwajać jej wzrost - zawsze można było znaleźć przy kasie, Sully udał się więc prosto tam. To pani Haroldowa zaraziła swojego męża wiarą, która zapadła w niego głęboko, odkładając się aż w kościach, jakby dla zrównoważenia religijności żony, znajdującej się tuż pod powierzchnią, zawsze na podorędziu. W przerwach między transakcjami pani Proxmire czytała Pismo Święte, siedząc przy kasie w otoczeniu disnejowskich souvenirów. Disneyland był jej ulubionym miejscem i każdego roku w lutym wyciągała męża na wyprawę do Orlando. Nie opuszczała żadnej przejażdżki po Magicznym Królestwie, gdzie wszystko było czyste, słoneczne i na chodzie. Gdzieś musiała się znajdować brudna, cuchnąca, umazana smarem maszyna, która wprawiała całe królestwo w ruch, ale disnejowska ekipa miała dość rozumu, aby trzymać ją w ukryciu, przypuszczalnie pod ziemią. Program zwiedzania przewidywał, zdaje się, objazd, w ramach którego można się było zapoznać z działaniem wszystkich urządzeń, ale była to jedyna rzecz w całym Disneylandzie, która pani Haroldowej nie interesowała. To by zepsuło całą magię. Haroldowi też na to nie pozwalała w obawie, że potem by jej wszystko opowiedział, co byłoby jeszcze gorsze.

Każdego roku, nim wrócili do domu, pani Proxmire nabywała różne pamiątkarskie akcesoria mniej więcej za dwa tysiące dolarów i uruchamiała w biurze firmy mały disnejowski sklepik, prowadzony bez koncesji czy upoważnienia. Prawie przez całą wiosnę ściany pokrywały plakaty filmowe i koszulki, a przy kasie tłoczyły się figurki Goofy'ego jeżdżącego na nartach wodnych, gumowe pieski Pluto oraz piramida kapeluszy o wielkich, mysich uszach. Teraz, pod koniec listopada, większość towaru była już wyprzedana i odrapane ściany znów były nagie, jeśli nie liczyć wielkiego plakatu z filmu „Kopciuszek”. Widniały na nim, wśród innych rzeczy, trzy pulchne disnejowskie wróżki, z których jedna przypominała Sully'emu panią Haroldowa. Obok kasy stało małe pudełko tanich, plastikowych figurynek i kilka gumowych aligatorów.

Faktury i rachunki ze wszystkich trzech firm przechodziły przez jej kasę i kiedy pani Proxmire podnosiła znad nich wzrok na klientów, w jej nieufnym spojrzeniu czaił się ukryty lęk, że któryś z nich może się okazać szatanem w niewinnym przebraniu. Była na przykład pewna, że Sully jest z nim sprzymierzony, chociaż wątpiła, żeby zajmował eksponowane stanowisko w diabelskiej hierarchii. W jakimś odległym zakątku swojego serca, do którego

nie miała już swobodnego dostępu, darzyła Sully'ego wielką sympatią. On jeden zawsze się z nią przekomarzał, na co nikt inny by się nie odważył, nawet jej własny mąż. Ilekroć pojawiał się Sully, dziewczyna, którą kiedyś była, wymykała się na chwilę ze swojej wieży, choć nietrudno ją było pochwycić z powrotem, bo dawno zapomniała, jak, dokąd, a nawet po co miałaby uciekać.

- Witaj, Esmeraldo - powiedział Sully, kiedy drzwi zamknęły się za nim i za Rubem.

Nie było to oczywiście imię pani Haroldowej, ale Sully, który nie potrafił zapamiętać, jak się kto nazywa, zwracał się tak do niej od wielu, wielu lat. Czyżby było to imię uwięzionej dziewczyny?

Pani Proxmire odłożyła Biblię, nie odpowiadając Sully'emu uśmiechem, na który, jak wiedziała, liczył.

- Harold! - warknęła do mikrofonu. Tuby, zainstalowane na dziedzińcu na drewnianych słupach, obudziły się z trzaskiem do życia. - Klient!

Sully wziął z pudełeczka jednego z gumowych aligatorów i zaczął go oglądać.

- Ile za to zdzierasza? - zapytał.

Pani Proxmire już miała powiedzieć, że aligator kosztuje trzy dolary - tyle, ile normalnie za nie liczyła - kiedy, ku jej zaskoczeniu, odezwała się Esmeralda.

- Jednego dolara.

- Dobra - powiedział Sully, wsuwając gadżet do kieszeni płaszcza i podając jej dolarowy banknot. - Wezmę jednego. Znam kogoś, kto przepada za aligatorami. Ale musisz mi coś powiedzieć, zanim przyjdzie twój mąż. - Sully zniżył konfidencjonalnie głos i pochylił się w jej stronę, opierając łokcie na kontuarze. - Tylko nie kłam - uprzedził. - Kłamstwo to grzech.

- Chrześcijanie nie kłamią, panie Sullivan - powiedziała pani Haroldowa, spoglądając na niego spod oka i odchylając się do tyłu, żeby zachować dystans, chociaż młoda dziewczyna, uwięziona w jej sercu, pochyliła się równocześnie do przodu.

Sully wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że z takimi twierdzeniami nie warto dyskutować. Niech sobie gada zdrowa.

- Powiedz mi prawdę, Esmeraldo - powtórzył. - Folgujesz sobie czasami?

- Harold! - szczerknęła znów w mikrofon pani Proxmire.

Sully podniósł ręce, jakby mierzyła do niego z pistoletu.

- Co ja takiego powiedziałem? - zapytał Ruba, który stał w progu i wyglądał, jakby miał zaraz narobić w spodnie. - Posłuchaj, Esmeral do. Uświadom mnie, jeżeli jestem w błędzie, ale wydaje mi się, że nie ma nic złego w folgowaniu sobie po ślubie. Jezus nie ma nic przeciwko temu, pod warunkiem że robisz to z Haroldem, prawda?

- Harold! - Tuby na dziedzińcu zadrżały od jej krzyku.

Sully wciąż trzymał ręce w górze.

- Rozumiem, że w naszym wieku człowiek musi trochę przyhamować, ale nie ma powodu całkiem sobie odmawiać tych rzeczy. Raz na parę tygodni powinnaś zrobić przerwę na lunch, wysłać personel do domu, zamknąć kasę na kluczyk, zabrać Harolda w jakiś ustronny kąt, gdzie nikt się nie będzie kręcił... i dogodzić sobie i jemu.

W tym momencie Harold wpadł do biura, ledwie zapiąc, szary na twarzy, z Dwayne'em depczącym mu po piętach.

- Ach - powiedział z ulgą, kiedy się zorientował w sytuacji. - To ty. Myślałem, że napad.

- Gdybyś słyszał, co on tu wygaduje, kiedy cię nie ma - poskarżyła się jego żona, już spokojniejszym tonem. W obecności Harolda potrafiła schwytać dziewczynę, przywołać do porządku i odstawić z powrotem do twierdzy swojego serca.

- Esmeraldo - powiedział Sully, na co dziewczyna obejrzała się po raz ostatni. - Któregoś dnia zranisz moje uczucia. Pokaż mi - zapytał, wskazując Biblię - gdzie tu jest napisane, że powinno się źle traktować ludzi.

Największy problem z Sullym polegał na tym, że zawsze potrafił w oburzający sposób wykręcać kota ogonem, jeśli chodzi o Pismo Święte. Normalnie potrafiła znaleźć i przytoczyć ustęp z Biblii niemal na każdą okazję. W chwilę po odejściu Sully'ego przychodziło jej do głowy kilkanaście stosownych cytatów, ale nigdy w jego obecności. Na przykład teraz nie mogła podjąć wyzwania i pokazać mu, gdzie w Biblii jest napisane, że powinno się źle traktować innych, chociaż była pewna, że gdzieś musi coś takiego być.

Nim zdążyła się zastanowić nad odpowiedzią, Sully odwrócił się i zaczął rozmawiać z Haroldem. Dziewczyna i Esmeralda posmutniały.

- Masz na placu coś, co mogłoby mnie zainteresować? - zapytał Sully.

- Furgonetka wysiadła?- spytał Harold z poczuciem winy. Nie cierpiał, kiedy klient do niego wracał, bo oznaczało to, że maszyna, którą mu sprzedał, nie była wieczna, na co w skrytości ducha liczył. Wiedział oczywiście, że

wszystko, co mechaniczne, tak jak wszystko, co ludzkie, ma ograniczony żywot, ale marzył o lepszym świecie, w którym sprzedawane przez niego samochody działałyby w nieskończoność. Sully wprowadził go w szczególne zakłopotanie, bo furgonetki, które u niego nabywał, były już mocno sfatygowane w momencie kupna. Harold nigdy nie sprzedał mu niczego, co nie miałooby na liczniku przynajmniej osiemdziesięciu tysięcy mil. Prawdę mówiąc, zawsze starał się wyperswadować mu kolejny zakup. „Za pół roku będziesz tu z powrotem” - ostrzegwał. Ale pół roku wydawało się Sully'emu odległą perspektywą. Będąc zasadniczo optymistą, zakładał, że za sześć miesięcy będzie lepiej stał finansowo niż obecnie, z tej prostej przyczyny, że gorzej już stać nie mógł. Oczywiście, niemal zawsze był w błędzie, zarówno jeśli chodzi o rozumowanie, jak i o jego następstwa. Furgonetka, którą Harold sprzedałby mu dzisiaj, byłaby w jeszcze gorszym stanie niż ostatni egzemplarz, co przysporzyłoby mu jeszcze większych wyrzutów sumienia, a w przyszłym roku cała historia powtórzyłaby się od nowa. Harold nie był pewien, czy kapitalizm i chrześcijaństwo dadzą się pogodzić, nawet jeżeli była to tak skromna odmiana kapitalizmu, jak ta, która rządziła jego „Światem Motoryzacji”, z trudem zapewniając utrzymanie jemu samemu, jego żonie, gburowatemu mechanikowi, na wpół ślepemu magazynierowi i występnemu nastolatkowi.

Sully potwierdził, że furgonetka odmówiła posłuszeństwa tego ranka. Harold wysłuchał relacji z nadzieją.

- To mogła być zwykła korozja przewodów akumulatora - wysunął przypuszczenie.

- Mogła - zgodził się Sully. - Ale nie jest.

Wyszli na zewnątrz: Rub trzymający się z respektem krok za nimi, Dwayne w jeszcze głębszym odwodzie.

- Skąd wiesz? - zapytał Harold.

Sully pomyślał chwilę. Nie miał rzecz jasna pewności, ale była w tym jakaś fatalistyczna logika. Poprzedniego dnia otrzymał propozycję pracy, gdzie warunkiem było posiadanie furgonetki, więc jego wehikuł musiał do końca żywota właśnie dzisiaj. Tkwiąc po uszy w grzęzawisku głupiej passy, dopatrywał się w tym jakiejś przewrotnej kosmicznej sprawiedliwości.

- Nazwij to przecuciem - powiedział.

- Można by rzucić na nią okiem - zasugerował Harold. Nie lekcewał przycuć, ale zawsze wołał się na wszelki wypadek upewnić. - Poślemy Dwayne'a, żeby ją przyholował.

- Byłoby niezłe - zgodził się Sully, którego trzeźwe podejście Harolda natchnęło chwilowym optymizmem.

- Znasz Dwayne'a? - zapytał Harold. Chłopiec, który nie spodziewał się prezentacji, został przyłapany z palcem w nosie. - Pojedź i przyholuj tu furgonetkę Sully'ego - polecił mu Harold. Dwayne kiwnął głową i ruszył w stronę ciężarówki.

- Dwayne! - zawołał za nim Harold. - Nie interesuje cię, gdzie to jest? Chłopiec zawrócił.

Sully podał mu swój adres przy Górnej i poinformował go, że furgonetka stoi pod domem.

- Jakiego jest koloru? - zapytał Dwayne.

Sully powiedział, że zielonego.

- To ta, która wygląda, jakby nie było jej warto holować - dodał.

Harold uśmiechnął się, kiedy Dwayne znów się oddalił.

- Minutę wcześniej wybierał się po furgonetkę, nie wiedząc, gdzie jej szukać. Kiedy mu powiedziałeś, gdzie stoi, żąda szczegółowego opisu.

Rub wycierał dłonie w koszulę.

- Najpierw dłubał w nosie, a potem podał mi rękę - poskarżył się ze złością.

- Tutaj jest coś, co powinieneś kupić - powiedział Harold, kiedy mijali składnicę złomu, wskazując pług do śniegu, oparty o ogrodzenie z drucianej siatki. - Jego poprzedni właściciel robił niezłe pieniądze na odśnieżaniu podjazdów.

- To dlaczego go sprzedał? - zdziwił się Sully.

- To nie on - wyjaśnił Harold - tylko wdowa po nim. Kupiłem go na wyprzedaży.

- Obawiam się, że nie mam samochodu, do którego mógłbym go przymocować - zauważył Sully, chociaż pomysł go zaintrygował. Przy władzach gminy, wciąż obcinających wydatki na cele komunalne, i śniegu, który zaczynał padać w listopadzie, pług był sprawą wartą rozważenia. - Sam chyba nie dałbym rady go pchać.

- Poszedłbym ci na rękę, gdybyś się zdecydował - rzekł Harold i podał cenę niewiele wyższą od tej, którą sam zapłacił na wyprzedaży. - Nie namyślaj się za długo.

- Musiałbym obrabować bank, gdybym miał kupić furgonetkę i jeszcze do tego pług.

- Niektórzy biorą w bankach pożyczki - zauważył Harold.

- Nie tacy jak ja - odparł Sully. - Bank chce, żeby człowiek miał coś o

zbliżonej wartości, żeby mógł to zająć, gdyby klientowi się noga powinęła.

Harold miał w tym momencie tylko dwie furgonetki. Jedna z nich była w całkiem dobrym stanie. Sully wziął drugą na próbną jazdę. Była minimalnie lepsza od jego własnej, która nadawała się na złom.

- Nie policzę ci za nią zbyt dużo - obiecał Harold, kiedy Sully wysiadł z samochodu i przyglądał się mu sceptycznie. - Ale też nie jest wiele warta. Kupiłem ją na części. Zaoszczędziłbyś sporo, kupując tę drugą.

- Wiem o tym - zgodził się z nim Sully. - Ale pieniądze, które bym zaoszczędził, to pieniądze, których nie mam.

- Kto wie? - powiedział Harold. - Może uda mi się naprawić tę, którą masz.

W tym momencie usłyszeli warkot silnika i zobaczyli, że Dwayne wraca. Zajechał na dziedziniec, holując furgonetkę, która nie była furgonetką Sully'ego. Zielona też nie była.

Harold westchnął potężnie.

- Niech mnie d... under świsnie - mruknął cicho. Omal nie powiedział: „Niech mnie diabli porwą” - ale ugryzł się w język w ostatniej chwili.

Dom, który nabył Miles Anderson, zajmował północno-zachodni róg skrzyżowania Górnej z Bowdon. Był to najokazalszy z dużych domów stojących przy Głównej - dwupiętrowa ceglana budowla, z dwoma niewielkimi balkonikami na najwyższym piętrze i ogromnym, narożnym gankiem, okalającym go od strony skrzyżowania. Jego poprzednią właścicielką była leciwa wdowa, która zrejterowała do domu starców przed dwoma laty po pamiętnej gradowej burzy, kiedy to potężny konar jednego z prastarych wiązów rosnących przy Głównej spadł jej na dach. Od tamtego czasu dom stał pusty. Sully nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek widział na nim wywieszkę „Na sprzedaż”, ale rzadko zapuszczał się w tę stronę, toteż mógł jej nie zauważyć.

- Chciałbym mieć forszę na taką wielką chałupę - powiedział Rub. Zajechali przed dom samochodem Carla i siedzieli w nim teraz, czekając, aż pojawi się Miles Anderson. Miał już piętnaście minut spóźnienia, a Rub źle znosił beczynne czekanie, jeśli mu za to nie płacono.

- Tylko dla ciebie i Bootsie chyba ciut za obszerna - zauważył Sully, który zastanawiał się właśnie, co człowiek może robić z domem tych rozmiarów, jak ma się zabrać do zapewniania takiej przestrzeni. Prawda, że Bootsie mogła być jedną z nielicznych osób, dla których nie było to zadanie ponad siły.

Ich mieszkanie niemal pękało w szwach, bo codziennie przynosiła do domu jakiś drobiazg, ściągnięty ze sklepu, w którym pracowała. Najłatwiej było jej zwędzić z półki i wsunąć do jednej ze swoich przepastnych kieszeni wypełnioną wodą foliową torebkę ze złotą rybką. W ich akwariium panował więc taki tłok, że ryby nie bardzo miały gdzie się poruszać. Mętna woda była brunatna od pływającego pokarmu. W tych warunkach mieszkańcy akwariium zdychali niemal w tym samym tempie, w jakim gospodyni uzupełniała stan. Bootsie nie ograniczała się do przedmiotów, które można zmieścić w kieszeni. Nie wiadomo jakim sposobem zdołała wynieść nawet płótno rozmiarów kanapy, przedstawiające zachód słońca nad Atlantykiem. Wzburzone fale lśniły na nim jaskrawym błękitem i oranżem. Żadne z państwa Squeers nigdy nie było nad Atlantykiem, nie mogli więc ocenić realizmu marynistycznego pejzażu.

- Mój pokój byłby tam - powiedział Rub, wskazując facjatkę, okoloną większym z dwóch balkoników. - Mógłbym wychodzić i stać sobie na tym ganeczku.

- Pewnie byś mógł - powiedział Sully, próbując wyobrazić sobie Ruba w tej scenerii.

- Szkoda, że nie poszliśmy przedtem na lunch - dodał Rub.

Sully po raz nie wiadomo który spojrzął na zegarek.

- Idź i zjedz - polecił. Pomyślał, że może to i lepiej, jeśli Ruba nie będzie przy jego rozmowie z Andersonem. Zabrał go ze sobą jedynie na dowód, że ma sprawnego fizycznie pomocnika. Ale na to będzie dość czasu później.

- Dokąd? - zapytał Rub.

- „U Hattie” jest przy tej samej ulicy.

Rub obejrzał się za siebie, jak gdyby chciał się upewnić, czy to prawda. -

A ty?

- Przynies mi hamburgera.

- Możesz mi pożyczyć pięć dolców?

- Nie - odparł Sully. - Ale zapłacę ci za wczorajsze.

- Dobra. - Rub wzruszył ramionami.

Sully dał mu pieniądze.

- Co chcesz do swojego hamburgera?

- Bułkę.

- To wszystko? - zmarszczył brwi Rub.

- I keczup.

- W porządku. - Rub otworzył drzwi, żeby wysiąść.
- I ser.
- Dobra.
- I pikle. I plasterek cebuli.
- Dobra.
- I sos.
- To jest hamburger ze wszystkimi dodatkami. - Rub się nachmurzył.
- Zgadza się, hamburger ze wszystkimi dodatkami - potwierdził Sully z uśmiechem.

- Dlaczego nie powiedziałaś od razu?

- I do tego frytki - ciągnął Sully. - Z keczupem.

Rub westchnął, pomyślał chwilę, poczekał, aż informacja mu się uleży.

- Dobra - powiedział w końcu.

Sully dołożył mu jeszcze trzy dolary.

- Czemu nie pójdziesz ze mną? - zapytał Rub.

- Bo jak pójde, to zaraz się zjawi Anderson.

- Skąd wiesz?

- Bo tak już jest.

Po odejściu Ruba Sully zapalił papierosa i zaczął układać w głowie listę. Ganki osiadły, stolarka okienna wymagała przeszlifowania i odmalowania. Niektóre deski były do wymiany. Dach nie wyglądał najgorzej, jeśli nie liczyć miejsca, w które uderzył spadający konar, przekrzywiając komin. Przed domem widniał ogromny pień po ściętym drzewie, który Sully zostawiłby najchętniej w spokoju, ale którego Miles Anderson najwyraźniej sobie nie życzył. Wszystko pokrywała gęsta płatanina brązowych, suchych badyli. A w środku? Miles Anderson wspominał o kilku czasochłonnych pracach, co było Sully'emu na rękę, bo większość tego, co było do zrobienia na zewnątrz, i tak musiała poczekać do wiosny. Gdyby zima była łagodna, mógłby poprzycinać trochę krzaków, wygrabić dwuletnią warstwę suchych liści i patyków, pokrywających trawnik, wywieźć ten cały majdan. Roboty wydawało się dosyć, żeby zapewnić jemu i Rubowi zajęcie, choć nie nazbyt absorbujące, na całą zimę i większą część wiosny. Ponieważ Anderson przebywał w Nowym Jorku, mogli dłużyć przy domu w takim tempie, jakie by im odpowiadało. Kiedy czułby się na siłach, wieczorami porobiłby to i owo, z korzyścią dla kieszeni, bo miałby mniej czasu na wysiadanie „Pod Koniem”, dotrzymanie towarzystwa Wirfowi i użeranie się z Tinym. A kiedy kolano

nie pozwoliłoby mu pracować, machnąłby po prostu ręką i Miles Anderson nigdy by się o tym nie dowiedział.

Zgasił papierosa, wysiadł z samochodu i ruszył ścieżką w stronę ganku. Kiedy wszedł po stopniach, jego oczom ukazało się wielkie, nieosłonięte okno, a za nim szerokie schody prowadzące na górę. Pod jedną ze ścian widniał kominek, w którym mógłby spokojnie usiąść dorosły mężczyzna. Nieumeblowane pomieszczenia robiły wrażenie dwa razy większych niż te w jego własnym mieszkaniu. Pamiętał, jakie puste wydawały mu się pokoje w domu Roebucków, nim Carl i Toby zaczęli je wypełniać sprzętami. Ten dom był jeszcze większy od tamtego. Kimkolwiek jest Miles Anderson - pomyślał znowu - musi mieć mnóstwo gratów, żeby zapełnić tyle pomieszczeń. Sam nie zdołał zapełnić w ciągu dwudziestu pięciu lat własnego mieszkania, gdzie połowa pokoi była zamknięta na klucz. Wiedział, że są ludzie, którzy mają wręcz przeciwne problemy. Ruth zawsze narzekała, że nie może zrobić kroku we własnym mieszkaniu, żeby się nie nadziać na coś, czego poprzedniego dnia tam nie było. A mieszkanie panny Beryl, równie obszerne jak jego, było pełne różności, które przywoziła ze swoich podróży. Był pewien, że jego antytalent do obrastania gratami coś oznacza, tylko nie wiedział co. Usiadł na stopniach ganku i zamyślił się.

Kiedy zrobiło się wpół do dwunastej i Miles Anderson miał pół godziny spóźnienia, Sully wyciągnął z kieszeni karteluszek i jeszcze raz sprawdził adres, choć szansa, że się pomylił, nie była zbyt wielka. Był to jedyny pusty dom przy całej ulicy, a na kartce napisano to samo, co usłyszał przez telefon. Nie, Miles Anderson zwyczajnie się spóźniał, co Sully'ego specjalnie nie zaskoczyło. Jego głos miał ten szczególny ton, którego Sully nie cierpiał. Sugerował, że bez względu na to, o której się pojawi jego właściciel, będzie to z definicji „o czasie”. Na szczęście, gdyby doszło do współpracy, nie musieliby się zbyt często widywać. Byłby to nie najgorszy układ, pod warunkiem że uda mu się nie zacząć od awantury. Żeby tego uniknąć, Sully wstał, poruszał nogą w kolanie i ruszył niespiesznie w stronę skrzyżowania. Półto-rej przecznicy dalej, tuż przed ślepym zakończeniem ulicy, stał dom, w którym się wychował. Służył za mieszkanie dozorca, dopóki hotel Sans Souci nie popadł w ruinę, a kąpieliska nie zostały zamknięte. Ojciec Sully'ego piastował tę funkcję przez długie lata. Jego praca sprowadzała się do egzekwowania zakazu wstępu, o którym informowały tabliczki rozmieszczone co kilka kroków wzdłuż wysokiego na osiem stóp, pordzewiałego ogrodzenia z

żeliwnych prętów, otaczającego teren hotelu. Chodziło przede wszystkim o to, żeby przeganiać okoliczne dzieciaki, pilnować, by nie myszkowały po starym hotelu, nie wynosiły armatury, marmurowych kafelków czy kolorowych szybek. Jim Sullivan był stworzony do tej roboty, gdzie jeden z nielicznych obowiązków sprowadzał się do złego traktowania cudzych dzieci. Wobec własnych robił to za darmo i nie miał nic przeciwko pobieraniu pensji za nękanie innych. Pewien chłopiec, którego przyłapał na terenie posesji, trafił przez niego do szpitala, gdzie o mało nie umarł. Ojciec Sully'ego dogonił go, kiedy był na szczycie ogrodzenia i usiłował sforsować ostre, sterczące szpikulce.

Duży Jim był powolnym, potężnie zbudowanym mężczyzną, dumnym ze swojej postury, tam gdzie stanowiła ona atut, i łatwo wpadającym w furję w takich sytuacjach jak uganianie się za dziećmi, gdzie liczyła się nie masa, ale szybkość. Rozjuszyło go, że chłopiec najpierw mu uciekł, a potem zaczął sobie z niego kpić (zarzekał się później, że robił do niego małpie miny z wysokości ogrodzenia). Potrzęsnał więc metalowymi prętami, „żeby ściągnąć go na dół, zanim zrobi sobie krzywdę”, jak zeznał na policji. Kiedy chłopiec się zsunął, Duży Jim zjawił się w domu, błady jak ściana, każąc matce zadzwonić po straż pożarną, żeby go zdjęli. A także po lekarza. Sully i jego brat popędzili zobaczyć, co się dzieje. To, co ujrzeli, wydawało się w pierwszej chwili nierealne, jak gdyby jakaś scena rodem z dziwaczного snu nawiedziła rzeczywisty świat. Z tej odległości wydawało się, że chłopiec stoi za ogrodzeniem, z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i patrzy w niebo. Tyle że jego stopy znajdowały się sporo nad ziemią. Wyglądał, jakby stał w powietrzu.

Metalowy szpikulce przebił miękką tkanę pod brodą i wystawał z otwartych ust chłopca niczym czarny język. Oczy dziecka przypominały Sully'emu oczy przerażonej ryby. Jego spojrzenie, z początku rozbiegane, stało się nieruchome i szkliste, nim pomoc zdążyła nadjechać. Patrzył teraz obojętnie w błękitne niebo. Wiele lat później, we Francji i Niemczech, Sully widywał ludzi umierających we wszelkich możliwych do wyobrażenia okolicznościach, ale nic z tego, co widział, nie dało się porównać z widokiem chłopca wiszącego na ogrodzeniu. Jego wspomnienie nadal było wstrząsające, nawet po tylu latach. Sully uświadomił sobie w tym momencie, że przeszedł półtorej przecznicy, dzielące go od domu jego dzieciństwa, i że stoi dokładnie naprzeciw miejsca, gdzie wtedy wisiał chłopiec. Ostre szpikulce zostały usunięte wkrótce po wypadku, jakby chciano zapobiec powtórzeniu

się dziwacznej tragedii albo pomóc ludziom szybciej zapomnieć o upiornym widoku.

Kiedy tak stał, ściskając rdzewiejące pręty, poczuł odległe dudnienie. Ziemia pod jego stopami zaczęła drżeć, jak gdyby przeszłość, którą przywołał, usiłowała się przebić do teraźniejszości. Na wpół oczekiwał, że jego ojciec pojawi się, z uśmiechem na twarzy, w którymś z ciemnych, pustych okien domu, kiedy zamiast tego ujrzał potężnych rozmiarów śmieciarkę, z ogromną skrzynią po brzegi wypełnioną ładunkiem. Wynurzyła się spomiędzy drzew otaczających hotel i pędziła na złamanie karku prosto na walący się dom. W ostatniej chwili skręciła i przemknęła obok, aż ziemia zadygotała. Sully'emu od razu przeszło przez myśl, że kierowca stracił panowanie nad pojazdem, bo było oczywiste, że nie zdąży wyhamować przed ogrodzeniem z kutego żelaza, którego pręty Sully wciąż ścisnął kurczowo oburącz. Zebrał się w sobie, przygotowując się na uderzenie w tym samym momencie, w którym ciężarówka wyjechała na ulicę Bowdon przez dziurę po usuniętej części ogrodzenia i skręciła w lewo, kierując się w jego stronę. Gdy mijała go z hukiem, uśmiechnięty kierowca przyłożył palce do daszka cyklistówki, co było jednym z ulubionych pijackich gestów ojca Sully'ego. Dopiero kiedy skręciła w Górną i oddaliła się w kierunku Schuyler Springs, Sully, wciąż ściskający pręty ogrodzenia, zdołał się otrząsnąć z otumanienia, które przetoczyło się po nim jak fala. Ból przeszywający kolano przywrócił mu poczucie rzeczywistości, chociaż nawet wtedy nie mógł się pozbyć uczucia, że Duży Jim złożył mu przed chwilą wizytę.

Równie wyraziste, jak upiorny widok wiszącego chłopca, było wspomnienie ojca, urabiającego gromadkę gapiów, czekających, aż nadjedzie pomoc. „Poczekajcie tylko... Zobaczycie, co się wyrabia w tym cholernym kraju. Zakład o sto dolców, że mnie wyleją za wykonywanie moich obowiązków - szeptął konspiracyjnie w każde przychylne ucho. - Zobaczycie... Niech mnie kule biją, jeśli tego nie zrobią”. Do czasu przybycia karetki zdołał przekonać połowę gapiów, że to on jest godną współczucia ofiarą, pomimo że chłopiec, w stanie głębokiego szoku, nadal wisiał cicho o kilka stóp od nich.

Sully uświadomił sobie w tym momencie, że siła perswazji zawsze była jednym z największych darów natury, jakimi jego ojciec został obdarzony. Zdolność wzbudzania współczucia to talent nie do pogardzenia u leniwego faceta, obdarzonego wrednym charakterem. Jeżeli jesteś w stanie powiesić dwunastoletniego chłopca za szcękę na ogrodzeniu, a następnie zarazić

troską o swoją posadę ludzi, po których mógłbyś się raczej spodziewać lin-czu - czy jest coś, co by nie uszło ci płazem? Nie ma wątpliwości, że możesz rachować kości żonie i dzieciom ile dusza zapagnie i nadal być uważanym przez sąsiadów za jednego z nich - za faceta, który może czasem wypije jed-nego za dużo i któremu zdarza się przeholować, ale w sumie swojego chłopa. Dzięki owej zdolności jedynie twoja żona i dzieci będą wiedziały, że je-steś potworem. I może nawet ich uda ci się przekonać, że to miłość jest przyczyną ich bólu, że jego źródłem jest poczucie obowiązku, a nie frustra-cja i wredny charakter. Brat Sully'ego, Patrick, nigdy nie przestał kochać starego. A matka? Kto wie? Może nawet ona, najczęstsza ofiara jego okru-cięstwa, pozostała zahipnotyzowana aż do końca, wciąż żywiąc nadzieję, że jej mąż przemieni się na powrót w mężczyznę, w którym się kiedyś zakocha-ła.

Ruth nie mogła zrozumieć, dlaczego Sully nie chce się pojednać z ojcem. Sądziła, że udało jej się dokonać wyłomu, kiedy zgodził się odwiedzić starego w domu kombatanta w Schuyler Springs. Było to przed niespełna pięciu laty - jak się okazało, na rok przed śmiercią Dużego Jima. Od progu stało się dla niego jasne, że ojciec nie postradał swojego daru. Wystarczyły mu trzy minuty, żeby oczarować Ruth - kobietę, której nie było łatwo zamydlić oczu. Jak zauważył, Duży Jim zmienił nieco styl, aby wykorzystać w pełni efekt wózka inwalidzkiego, na który był skazany po zawale, ale zasadniczo stosował te same ograne chwytaki. Pielęgniarki skakały koło niego, ignorując nale-gania innych pensjonariuszy. Zaspokajały jego potrzeby, tak samo jak kie-dyś matka, chociaż ona robiła to ze strachu.

- Popełniałem ludzkie błędy - zwierzył się Ruth, bliski łez, z tą samą mie-szaniną pokory i arogancji, którą Sully tak dobrze pamiętał z czasów dzie-ciństwa. Nadal z łatwością przybierał ów służalczy, przymilno-sentymentalny ton, zarezerwowany dla tych, których przychylność chciał sobie zaskarbić: profesjonalistów wysokiej klasy, których pozycja zawodowa budziła w nim lęk, oraz młodych, atrakcyjnych kobiet, które zapraszał od czasu do czasu, żeby im pokazać stary hotel. Kiedy w końcu stracił stanowis-ko dozorca, powodem było właśnie przemykanie dziewczyn na teren pose-sji, a nie fakt, że powiesił chłopca za szczękę na ogrodzeniu. - Tak, jestem człowiekiem i popełniałem ludzkie błędy - powtórzył ze smutkiem. - Dziś tego żałuję, ale Bóg przebacza podobno wszystkim grzesznikom, więc mam nadzieję, że przebaczy i mnie.

- Co nie znaczy, że mój syn to kiedykolwiek uczyni - dodał, kiedy Sully prychnął pogardliwie.

Serce Sully'ego rzeczywiście stwardniało od razu na widok ojca, z którym się nie widzieli przez długie lata. Skinął głową, potwierdzając jego ocenę sytuacji.

- Możesz wcisnąć swój kit Panu Bogu, tato - odparł - ale ze mną ci się to nie uda.

- A więc to tak - powiedziała Ruth w drodze powrotnej. - Zawsze powtarzałam, że jesteś nie w ciemną bity. Ale nie wpadłabym na to, że jesteś mądrzejszy od Pana Boga, gdybym tego nie usłyszała od ciebie.

- Tylko w tej jednej sprawie - rzekł Sully, czując, że zbliża się konfrontacja, której jak dotąd udawało mu się uniknąć.

Resztę drogi przejechali w milczeniu, chociaż Ruth spróbowała jeszcze raz, kiedy dojechali do Bath.

- O czym to może świadczyć, kiedy dorosły człowiek nie chce przebaczyć własnemu ojcu? - zapytała.

- Mam przeczucie, że mi powiesz. - Sully westchnął.

- Jesteś taki sam jak on, wiesz o tym.

- Nie, nie wiem.

- Ale to prawda. Patrzą na niego i widzę ciebie.

- Nie mam wpływu na to, co widzisz - powiedział, kiedy zatrzymała samochód, żeby mógł wysiąść. - Ale dziękuj Bogu, że nie jesteś jego żoną.

- Dziękuję Bogu, że nie jestem żoną żadnego z was - odparła Ruth, ruszając.

Byli potem „grzeczni” przez dłuższy czas.

Dom jego ojca był w znacznie gorszym stanie niż posesja Milesa Andersona. Od razu rzucało się to w oczy. Cały budynek wydawał się przekrzywiony, drewno poszarzało od wilgoci. Czarna papa wyzierała w miejscach, gdzie gonty obluźowały się i zsunęły ze stromego dachu, tworząc na ziemi bezładną, gnijącą stertę. Oznaczało to, że deszcz utorował sobie zapewne drogę do wnętrza domu, chociaż bez wchodzenia do środka trudno było ocenić rozmiary szkód. Poddasze pełniło funkcję bufora pomiędzy dachem a dwiema niższymi kondygnacjami. Ale przypuszczalnie były inne problemy. Dom stał niezamieszkały od dłuższego czasu. Z tego, co wiedział, piwnice mogło zalewać przy każdym deszczu. Dom mógł gnić od podstawy, równocześnie rozsypując się od dachu. Były zapewne termyty, może nawet szczury. Ruth wierzyła mu dziurę w brzuchu od lat, żeby go wyremontował i sprzedał,

nie rozumiejąc, że powolne niszczenie domu sprawia mu większą przyjemność, niż sprawiłyby pieniądze uzyskane ze sprzedaży, które rozeszłyby się bez śladu; rok później nie umiałby nawet powiedzieć, na co je wydał. Natomiast w ten sposób miał go zawsze przed oczyma, za każdym razem w gorszym stanie niż poprzednio. Nie chciał się nawet zastanawiać nad zmianą decyzji czy nad tym, ile by kosztowało odwrócenie długiego procesu niszczenia. Wszędzie piętrzyły się psie kupy. Pierwszą rzeczą, jaką należałoby zrobić, byłoby załadowanie tego wszystkiego na taczkę i wywiezienie. Robota w sam raz dla Ruba.

O wilku mowa. Z miejsca, gdzie stał, dostrzegł, że Rub zdążył wrócić od Hattie i przekonać się, że go nie ma. Natomiast el camino wciąż stał pod domem, co stanowiło zagadkę, której Rub raczej nie potrafił samodzielnie rozwiązać. Zaglądał właśnie przez okno do środka, kiedy Sully nadszedł od strony skrzyżowania.

- Za czym tak się rozglądasz? - zawołał.

Rub wyprostował się z wyrazem widocznej ulgi.

- Za tobą.

- A wiesz, za czym ja się rozglądam? - zapytał Sully. - Za moim hamburgerem.

Rub osłupiał.

- Zapomniałem.

Sully pokazał mu gestem, żeby wsiadł do samochodu.

- Nieźle - powiedział. - Przez cały czas się zastanawiałem, czy zapomnisz o keczupie, piklach, sosie, czy frytkach. A ty po prostu zapomniałeś o wszystkim.

- Mówiłem ci, żebyś poszedł ze mną. - Rub zagrał jedyną kartą, jaką miał. - Ten facet się nie zjawił, prawda?

- Prawda - przyznał Sully. Przekreślił kluczyk w stacyjce, ale nadal nie ruszał z miejsca.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Rub, mając nadzieję, że udało mu się zejść z linii strzału.

- Donikąd - powiedział Sully. - Jest jeszcze jedna rzecz, o której zapomniałeś.

- Jaka?

- Dałem ci trzy dolce na hamburgera, którego mi nie przyniosłeś.

Rub odszukał pieniądze, podał je Sully'emu i nastawił się z rezygnacją na dalszy ostrzał, który mógł trwać nawet całe popołudnie.

- Chcesz wiedzieć, co jest w tym wszystkim pocieszające? - zapytał Sully.

Rub nie był ciekaw, ale mimo to przytaknął.

- Nie byłem głodny - powiedział Sully, zwracając o sto osiemdziesiąt stopni.

Tusz do rzęs Ruby znów był w użyciu. Tak było przez cały ranek. Za każdym razem, kiedy przestawała płakać, szła do łazienki, zmywała twarz coraz bardziej poszarzałym żółtym ręcznikiem i malowała oczy od nowa. Gdy tylko się z tym uporała, łzy napływały znowu na myśl o tym, jaką gnidą okazał się Carl Roebuck, którego ona mimo to tak rozpaczliwie kochała. Nie przyszło jej wcześniej do głowy, że człowiek, który oszukuje własną żonę, może być również zdolny do oszukania swojej sekretarki, i świadomość tego faktu nappełniała ją teraz goryczą. Gorzej niż goryczą. Wściekłością. Zauważyła właśnie w lustrze, że tusz zaplamiał dekolt jej ulubionej bluzki, tej drogiej, perłowej, półprzezroczystej, którą lubiła nosić pod swoim szkarłatnym bolerkiem. Wdzianko było z grubej wełny i kiedy miała je na sobie, nie sposób było stwierdzić, że pod bluzką nie ma biustonosza. Ruby miała jasną karnację i natura obdarzyła ją, jakby dla kontrastu, parą małych, ciemnych sutek, które prześwitywały przez cieniutki materiał, co dawało zabójczy efekt. Oczywiście bolerko było zapięte, kiedy pracownicy Carla kręcili się po biurze, ale kiedy zostawali z Carlem sami, puszczała poły luzem.

Teraz kołnierzyk cennej bluzki był popapwany, podobnie jak jej życie, które po raz kolejny wróciło do punktu wyjścia, przez co wyplakiwała oczy nad jeszcze jednym niewartym tego facetem. Nad łobuzem, który obiecywał jej Bóg wie co, żeby potem niczego nie dotrzymać. Ruby nigdy dotąd nie spotkała mężczyzny, który okazałby się prawdomówny w jakiegokolwiek sprawie, a ci, do których instynktownie lgnęła, jak ćma do płomienia, byli największymi łgarzami ze wszystkich.

I jakby tego wszystkiego było mało, jakby ten dzień nie był równie zmarnowany, jak jej perłowa, półprzezroczysta bluzeczka, diabli musieli jeszcze nadać Sully'ego. Słyszała jego ciężkie kroki, kiedy pokonywał powoli trzy kondygnacje schodów, stękając przy każdym stopniu. Nie dość że Carl Roebuck, który powiedział jej kiedyś, że jego jedynym pragnieniem jest spędzić resztę życia - gdzie tam, całą wieczność - w jej ramionach, okazał się największą gnidą ze wszystkich, musiała jeszcze usłyszeć od Sully'ego: „A nie mówiłem?”.

- Ruby - zawołał Sully od drzwi, w których przystanął, żeby złapać oddech - te twoje dydki to się na mnie gapią czy co?

Ruby szybko narzuciła bolerko. W swojej niedoli całkiem zapomniała, że je zdjęła, aby ocenić rozmiary szkód. Sully był ostatnią osobą, której miała ochotę demonstrować swoje piersi.

- Nie ma go - syknęła.

- Zawsze tak mówisz - zauważył Sully, opadając na jeden z foteli stojących w poczekalni i zaciągając się papierosem.

- Czasem to prawda - powiedziała Ruby.

- Zostawił jakąś wiadomość?

- Dlaczego miałby ci zostawiać wiadomość?

- Bo miał dla mnie robotę, którą mógłbym wykonać, gdyby mi powiedział, o co chodzi i gdzie to jest.

- Popiół zaraz ci spadnie na dywan - zauważyła Ruby.

Miała rację, dlatego Sully zdusił niedopałek w malutkiej popielniczce, stojącej na stoliku zarzuconym czasopismami.

- Nie jest wart, żeby się zalewać łzami z jego powodu.

- Skąd wiesz, z czyjego powodu zalewam się łzami? - zapytała Ruby.

- Wiem, że połowa kobiet w tym mieście wypłakuje przez niego oczy w dowolnie wybranym momencie - odparł Sully. - Dlaczego, nie mam zielonego pojęcia.

- Bo rozumie kobiety - wyjaśniła Ruby buntowniczo.

- Cóż, skoro tak, to jest ich wszystkich wart. Masz jakiś pomysł, gdzie może teraz być?

- Pewnie ze swoją idealną żoną, z którą nie zamierza się rozwodzić - wyrzuciła z siebie Ruby z goryczą. - Z tą, której kupuje nowe samochody. Z tą, która mieszka we wspaniałym domu przy Glendale, kiedy ja się gnieźdź w kawalerce i jeżdżę ośmioletnim gruchotem kupionym z drugiej ręki.

- Życie jest niesprawiedliwe - powiedział Sully, powstrzymując uśmiech.

- To jedno wielkie brandzłowanie - oświadczyła Ruby z całą powagą. - A mnie się zawsze dostaje upaprany koniec kutasa.

- Drugi koniec jest przytwierdzony - zauważył Sully.

- Och, odpieprz się. Nie widzisz, że jestem zdenerwowana?

- W porządku - powiedział Sully, wstając. - Przekaż mu, że byłem i że może mnie znaleźć „Pod Koniem”, jeśli chce, żebym zrobił tę robotę. I wiesz co, Ruby...

- Co takiego?

- Nie zabieraj swojej miłości do miasta.

Sully zaparkował samochód Carla przed OTB, na samym środku ukosnych pasów oznaczających zakaz parkowania. Młody policjant nazwiskiem Raymer, z którym Sully miał już wcześniej na pieńku, stał pochylony w drzwiach, opierając dłonie na kolanach.

- Masz dwie minuty, żeby się stąd zabrać - przedstawił mu swoje niezbyt liberalne warunki. - Albo wlepię ci mandat.

- Nie krępuj się - powiedział Sully. - To nie mój wóz.

Otis był w środku, wśród innych bywalców w żółtych wiatrówkach.

- Sully! - zawołało kilku z nich.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - uprzedził go Otis. - Miałem przez ciebie koszmarnie sny.

- Nieźle - powiedział Sully.

- Śniło mi się, że aligator wtarał się po schodach i wlaź mi do łóżka. Obudziłem się, kopiąc i wrzeszcząc. Moja żona ma na udzie wielkiego siniaka.

- I ty wierzysz, że to w ten sposób się go nabawiła? - zapytał Sully. Zastanawiał się, czy wręczyć Otisowi gumowego aligatora, którego kupił od pani Proxmire, ale doszedł do wniosku, że nie jest to najlepszy moment.

Wszyscy poza Otisem uznali jego uwagę za bardzo dowcipną. Kilku zaproponowało inne wyjaśnienia w sprawie rzezonego siniaka. Sully widział przez szybę, że posterunkowy Raymer coraz bardziej się niecierpliwi.

- Jeśli chcesz wiedzieć, moja żona była mi wierna przez czterdzieści lat - rzekł Otis z oburzeniem.

Sully skinął głową.

- To prawie tyle, ile jesteście po ślubie.

- Idź, obstaw swoją kretyńską trójkę - doradził mu Otis. - Zanim znów mi się coś przez ciebie przyśni.

Sully podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie miałem zamiaru sprowadzać na ciebie złych snów. Uważam, że Floryda to całkiem dobre miejsce dla ciebie. Chciałem tylko, żebyś uważał na aligatory, to wszystko.

- Zmywaj się - powiedział Otis, opędzając się od niego. - Zejdź mi z oczu.

- Naprawdę uważam, że powinieneś się przeprowadzić na Florydę - ciągnął Sully. - Jeżeli będziesz ostrożny, przypuszczalnie nic ci nie grozi.

- Odwal się. Już cię nie widzę.

- Jedna mała uwaga - nie dawał za wygraną Sully. - O której zazwyczaj wstajesz?

- Nie odczepi się - powiedział Otis, biorąc obecnych na świadków.

- Jak się obudzisz, zajrzyj szybko pod łóżko - doradził mu Sully, demonstrując, jak należy to zrobić.

- Znów będę miał koszmary przez całą noc - jęknął Otis.

Sully obstawił swoją trójkę, pogawędził chwilę z kasjerem i wyszedł spacerkiem z lokalu akurat w momencie, kiedy posterunkowy Raymer kończył wypisywanie mandatu.

Sully wziął go bez protestów, otworzył drzwi samochodu od strony pasażera i wrzucił kwit do schowka na rękawiczki.

- Jak myślisz, kto wygra w sobotę? - zapytał dobrodusznym to nem.

Policjant przyjrzał mu się nieufnie, ale temat był tak kuszący, a Sully wydawał się tak szczerze zainteresowany jego opinią.

- Schuyler - powiedział ze smutkiem. - To cholernie dobrzy zawodnicy.

Sully pokiwał głową.

- Grywałeś kiedyś w reprezentacji Bath, prawda?

- W pierwszym składzie, przez trzy lata - potwierdził Raymer z dumą.

- Chciałoby się, żeby nasze dzieciaki choć raz wygrały - powiedział Sully, obchodząc samochód dookoła. - Może wtedy udałoby im się przebić i znaleźć sobie jakieś miejsce w życiu.

Posterunkowy Raymer już miał mu przytaknąć, ale zwiertzył coś podejrzanego, o czym świadczył jego zmarszczony nos.

- Przegrani zawsze zostają tutaj i kończą jako gliniarze - podsumował Sully z uśmiechem, otwierając drzwi samochodu.

Roześmiał się w głos, kiedy Raymer sięgnął do kabury pistoletu.

- Słyszałem świetny dowcip - oznajmił Wirf, okręcając się na taborecie, kiedy Sully wszedł do środka, rezygnując na ten dzień z dalszych prób podjęcia pracy. Jeśli zamieszanie przekraczało określony poziom, po prostu dawał sobie spokój, taką miał zasadę. Zdarza się, że świat rzuca człowiekowi pod nogi więcej kłód, niż przewiduje dzienna norma. Kiedy Sully czuł, że jeden z takich dni właśnie nadszedł, zawieszał wszystko na kołku. - Ręczę, że ci się spodoba, bo to historia twojego życia - zapewnił go Wirf.

- Zakład, że nie będę się śmiał - powiedział Sully, mrugając do pełniacej

w tym dniu obowiązki barmanki Birdie, która weszła na stołek i próbowała ustawić ostrość na swoim ulubionym kanale z telenowelami. Obraz był niezły, dopóki stała na taborecie.

- Facet chce się dostać na autostradę - zaczął Wirf.

- Zaczekaj chwilę - powiedział Sully. - Nie lubię się rozpraszać, kiedy zaglądam Birdie pod spódnicę.

Birdie, niezdeprymowana, nadal manipulowała ostrością.

- Znowu nic nie widać - powiedziała. - Dlaczego jedyny kanał, na którym jest taki zakichany obraz, to musi być akurat ten z moimi serialami?

- Mnie się wydaje, że coś widać - powiedział Sully, nachylając się. - Ale nie jestem pewien, co to takiego.

- Przez pomyłkę trafia na zjazd - mówił dalej Wirf. - Na poboczu widać tablicę z napisem: „Niewłaściwy kierunek”.

- Przysięgamy, że rzucę tę robotę, jeżeli Tiny się nie szarpnie na kabel - oświadczyła Birdie, schodząc w końcu na podłogę. - Popatrz tylko. W ogóle nie widać, kto jest z kim w łóżku.

- Dla mnie oni wszyscy wyglądają jednakowo - rzekł Sully, zadzierając głowę, żeby spojrzeć na ekran. - Poza tym nie wygląda mi to na łóżko.

- Telenowełe trzeba oglądać codziennie - pouczyła go Birdie. - Inaczej się człowiek nie połapie.

- Facet mimo to jedzie dalej - ciągnął Wirf. - Wkrótce pojawia się kolejny napis. Tym razem dużymi literami. „Jedziesz w niewłaściwym kierunku”.

- Był do ciebie telefon z godzinę temu - powiedziała Birdie.

- Miles Anderson? - domyślił się Sully.

- Nie, jakaś kobieta. Powiedziała, że złapie cię w domu jutro rano.

- A więc facet jedzie dalej - kontynuował Wirf swoją opowieść. - Tym razem pojawia się wielka tablica, a na niej napis ogromnymi, czerwonymi literami: „Niebezpieczeństwo! Zawracaj!”.

Sully przeszukał kieszenie, ale nie znalazł żadnego bilonu. Podał Birdie dolarowy banknot.

- Masz parę ćwiartek? - zapytał.

Birdie wpatrywała się w ekran, mrużąc oczy.

- Mimo to - ciągnął Wirf - facet ignoruje ostrzeżenie i nadal jedzie pod prąd. Na chwilę przedtem, nim zderza się z samochodem nadjeżdżającym z naprzeciwka, na poboczu pojawia się maleńka tabliczka z napisem: „O cholera, ale daleko zajechałeś”.

Birdie plasnęła mu przed nosem czterema dwudziestopięciocentówkami. Wirf zgarnął swoją resztę i wstał.

- Nie wiem, po co tu w ogóle przychodzę - powiedział.

- Żeby być wśród przyjaciół? - podsunął Sully.

- To musi być powód. - Wirf skinął głową. - *Vaya con huevos, amigos.*

- To był świetny kawał - zawołał Sully w stronę jego oddalających się pleców. - Myślałem, że umrę ze śmiechu.

- Powinniście mnie lepiej traktować - rzucił Wirf przez ramię. - Kiedy mnie zabraknie, przekonacie się, jak trudno o jednonogiego adwokata, który jest zawsze w dobrym humorze.

- To prawda - zgodziła się z nim Birdie, kiedy za Wirfem zamknęły się drzwi. - Nie wiem, kto nam go zastąpi.

Sully zmarszczył brwi.

- Dlaczego ktoś miałby go nam zastępować? Siedzi tu przy tym barze średnio przez osiem godzin dziennie.

- Słyszałam, że jest chory - wyjaśniła Birdie.

Sully pomyślał chwilę.

- Nie wydaje mi się - powiedział w końcu. - Po prostu za dużo pije.

- Moja kuzynka pracuje w szpitalu - ciągnęła Birdie złowróżbnym tonem. - Według niej jego wątroba jest na wykończeniu. Sika krwią od miesięcy.

- Wirf? - zdziwił się Sully. Już miał powiedzieć, że od dziesięciu lat sikają „Pod Koniem” do tego samego korytka, ramię przy ramieniu, kiedy zdał sobie sprawę, że to nieprawda. Od pewnego czasu, choć trudno mu było ustalić od kiedy, Wirf chodził się załatwiać do kabiny. - Nie wygląda na chorego - powiedział niepewnie.

Birdie pokręciła głową.

- Wygląda, i to jak cholera. Kiedy ostatni raz mu się przyglądałeś?

- Coś by przecież powiedział - nie dawał za wygraną Sully.

- Nie - ucięła Birdie. - Nie powiedziałaby.

Sully uświadomił sobie nagle, że to prawda. Wirf nie nazwałby gówna gównem, choćby miał go pełne usta.

- Mam nadzieję, że się mylisz.

- Ja też - powiedziała Birdie. - Idź do tego telefonu.

Ruth podniosła słuchawkę po pierwszym dzwonku.

- Cześć - powiedział Sully. - To ty dzwoniłaś „Pod Konia”?

- Ja. Mam równo półtorej godziny, jeżeli miałbyś ochotę na numerkę po południu.

- Na nic nie miałbym większej ochoty - odparł Sully zgodnie z prawdą. - Chyba że na nową furgonetkę - dodał szczerze. Nową furgonetkę i zapewnienie, że to, co przed chwilą usłyszał na temat Wirfa, to nieprawda.

- Co on takiego powiedział? „Idźcie z jajami?” - zastanawiała się głośno Birdie, kiedy Sully wrócił do baru.

- Kto taki?

- Wirf. Powiedział: *Vaya con huevos*.

- Nie zwróciłem uwagi - przyznał Sully.

- Serio, tak powiedział - powtórzyła Birdie.

- Jesteś po prostu zbity z pantałyku - oświadczyła pani Gruber, kiedy przyjaciółka poinformowała ją o swoim nie najlepszym samopoczuciu. Było to jedno z jej ulubionych powiedzonek. Kiedy rozmawiała przez telefon, używała go bez zahamowań, niczym pospolitego zwrotu, który słyszy się raz po raz w każdej rozmowie, niezależnie od grupy wiekowej. - Sama jestem zbity z pantałyku - wyznała. - Cały czas mi się wydaje, że dziś jest poniedziałek. - Pani Gruber wyjaśniła, skąd się wzięło to wrażenie. Poprzedniego dnia, w Święto Dziękczynienia, pojechały na obiad do „Northwoods Motor Inn”, gdzie rzadko bywały kiedy indziej niż w niedzielę. Tak więc poprzedni dzień stał się w jej świadomości niedzielą, wobec czego obecny musiał być poniedziałkiem.

- Nie rozumiem, w czym problem - powiedziała panna Beryl z irytacją. Nie oznaczało to przecież, że jej przyjaciółka nastawia się w związku z tym na czekający ją tydzień pracy zamiast na jutrzejszy weekend. - Niech sobie będzie poniedziałek, co za różnica.

Pani Gruber rozważyła tę szaloną sugestię.

- Oj - powiedziała po krótkiej chwili - coś mi się wydaje, że ktoś ma dzisiaj muchy w nosie.

Była to niewątpliwie prawda. Okropna Joyce wyniosła się wreszcie. Wyrzuciła się półprzytomna o jedenastej, bo obudził ją dzwonek telefonu. Clive junior dzwonił trzy razy między dziewiątą a jedenastą, żeby się dowiedzieć, co z nią. Zamierzał wyjść tego dnia wcześniej z pracy i zabrać ją na lunch do Schuyler Springs, bo w Bath nie było odpowiedniego lokalu. Już dawno odkrył, że bliskość Schuyler Springs jest atutem, jeżeli chce się podnieść wartość Bath w czyichkolwiek oczach. Zazwyczaj umieszczał swoich

gości w luksusowym hotelu w Schuyler Springs, tam ich podejmował i ugaszczal, latem zabierał na wyścigi czy na koncert, pokazując im, że wszystko to znajduje się zaledwie dziesięć minut drogi od miejsca, gdzie mieli zainwestować swoje pieniądze. Jeśli to było możliwe, w ogóle nie zawoził ich do Bath.

- Jesteś pewna, że nic jej nie jest? - zapytał pannę Beryl, kiedy dzwonił ostatni raz. - Nie mogę uwierzyć, że ciągle śpi.

- Uwierzyłbyś, gdybyś usłyszał, jak chrapie - zapewniła go panna Beryl.

W normalnych okolicznościach pozbycie się upiornej Joyce wpłynęłoby znakomicie na jej samopoczucie, ale tego ranka wciąż prześladował ją widok starej Hattie w trakcie jej żalostnej ucieczki w cienkim szlafroku, rozwianym na wietrze niczym peleryna. Panna Beryl nigdy nie żywiła dla staruszki zbyt ciepłych uczuć, uważając ją za istotę pazerną i ordynarną, ale ta upokarzająca eskapada oraz jej odarty z godności finał nieomal wycisnęły jej łzy z oczu. Co gorsza, ujrzała w Hattie siebie samą i uświadomiła sobie, że przed takim właśnie finałem usiłował ją uchronić syn. Nadejdzie dzień, kiedy i na nią będą polować z siecią. Clive junior chciał zdziałać przynajmniej tyle, żeby jej sprawy finansowe były uporządkowane, „kiedy nadejdzie czas”. Być może o nic więcej mu nie chodziło. Musiała stawić czoło rzeczywistości i zrobić to, o co ją prosił. Sprzedać mu dom, żeby się zabezpieczyć na tę fatalną okoliczność. I to im wcześniej, tym lepiej. Powinna się pogodzić z tą koniecznością, zamiast z uporem odkładać sprawę na potem tak długo, aż będzie za późno.

Od chwili gdy sformułowała ten logiczny wniosek, barometr jej samopoczucia zaczął spadać na łeb na szyję. Późnym przedpołudniem dostała krwotoku z nosa, po czym, kiedy już myślała, że osiągnęła dno, listonosz przyniósł jej egzemplarz „North Bath Weekly Journal”, który zawsze dostarczano w piątkowe przedpołudnie. Dwie z ośmiu stron gazety poświęcone były jak zawsze opinii mieszkańców. Elokwencję i ogładę tych, którzy wypowiadali się pod wspólnym nagłówkiem: „Nasz głos”, porównać można było jedynie do ryczącego przez tubę kibica z Bronxu. Ponieważ autorzy mieli prawo używać pseudonimów, panowała tu kompletna wolna amerykanka. Jeden z listów był dokonany na papierze mordem na dyrygencie szkolnej orkiestry dętej, inny czymś w rodzaju chrześcijańsko fundamentalistycznego wyznania wiary, którego przesłanie, jeśli w ogóle istniało, ginęło w gąszczu gramatycznych i stylistycznych błędów. Jeszcze inny zawierał płomienny

atak na homoseksualistów w szczególności i zбочeńców wszelkiej maści w ogóle. Autor posunął się niemal do zalecania ich zbiorowej eksterminacji, a jego powściągliwość w tej ostatniej kwestii brała się jedynie stąd, że, jak twierdził, okazało się to na szczęście zbędne. Bóg wziął sprawy w swoje ręce, zsyłając na świat swojego wirusa. Jeszcze inny korespondent wzywał wszystkich mieszkańców Bath, aby stawili się na wielkim sobotnim meczu, obwieszczając tym samym wszem wobec, jak mizerny duch panuje w Bath, jeśli chodzi o szkolną solidarność. Ten ostatni głos byłby zapewne miły sercu Clive'a seniora. Szkolna solidarność była jedną z wyznawanych przez niego żelaznych zasad, dopóki jego szkoła nie wyrugowała futbolu z programu zajęć i nie powierzyła mu tytułem rekompensaty nauki jazdy.

Panna Beryl przeczytała uważnie wszystkie listy, szukając choćby przypadkowego powiewu zdrowego rozsądku, szczerego uczucia, elementarnej przyzwoitości lub dobrej woli i pragnąc, aby myśli, które przelewali na papier jej bliźni, dały się wytłumaczyć zwykłym zbicem z pantaląku. Najlepsze, co jej przychodziło do głowy, to stara prawda, że człowiek nieodmiennie ujawnia najgorszą stronę swojej ułomnej natury, kiedy ma dać wyraz swoim przekonaniom na piśmie, zwłaszcza gdy towarzyszy temu usankcjonowany brak odpowiedzialności za własne słowa, kryjący się pod pozorami demokracji.

Tu tkwi sedno sprawy. Jeżeli zamierzała scedować swoje sprawy, a co za tym idzie swoją wolność, na innych, lepiej, żeby wierzyła w mądrość tego posunięcia. Nie ulegało wątpliwości, że Clive junior nie jest żadnym z autorów listów do miejscowego periodyku, a scedowanie na niego swoich spraw, swojej możliwości działania, nie jest tym samym co przepisanie majątku na ósmoklasistów, byłych czy obecnych. Mimo to panna Beryl nie mogła się oprzeć podejrzeniu, że nawet jeśli było z nią gorzej, nawet jeśli nie była tą samą kobietą co dziesięć lat wcześniej, jeśli jej zdrowie i równowaga były bardziej kruche niż kiedyś, jeśli miewała chwile dezorientacji i zagubienia, nadal była bystrzejsza niż większość znanych jej osób - niż autorzy listów do „Bath Weekly”, niż jej przyjaciółka pani Gruber, która chciała, żeby dzisiaj był poniedziałek, i przypuszczalnie nawet niż jej własny syn, który widział eldorado z okna jej mieszkania. Nie była starą Hattie ani teraz, ani w przeszłości. I co ważniejsze, nie zanosilo się na to, że kiedykolwiek nią będzie.

- To twoja wina - mówiła właśnie do Clive'a seniora, kiedy zadzwoniła pani Gruber, aby jej uświadomić, że jest zbita z pantaląku.

Ostatni raz złożyła dobrowolnie własną przyszłość w ręce innego człowieka, kiedy Clive senior zdołał ją przekonać, żeby za niego wyszła i zamieszkała razem z nim w Bath. Zastanawiała się teraz, jakim cudem udało mu się tego dokonać. Miłość, niech ją kule biją, to był ten cud. Kochał ją, a ona, żeby mu się odwdziaczyć za ten wielki dar, pozwoliła się przywieźć do Bath, gdzie natychmiast wydał ją na łup ósmoklasistów. Potem pozwolił się zabić i zostawił ją samą na resztę długiego życia w towarzystwie „dogłębnie zbulwersowanych” i „prawdziwych chrześcijan”. A teraz rozważała oddanie swojej niezależności w zastaw jego synowi, który z wiekiem tak się do niego upodobił, że mógłby być jego klonem.

- Przepraszam, jeżeli zrzęde - usprawiedliwiła się przed panią Gruber. - Ale siedziałam właśnie i żałowałam, że nie mam komu ciosać kołków na głowie, kiedy zadzwoniłaś.

Pani Gruber pominęła to wyjaśnienie milczeniem.

- Widziałam przejeżdżającego Clive'a juniora - powiedziała. - Czyżby to kobieta siedziała obok niego w samochodzie? - Pani Gruber doskonale wiedziała, że to kobieta.

- Clive junior, światło moich oczu, zamierza się ożenić - poinformowała przyjaciółkę panna Beryl. - Sama dopiero co się o tym dowiedziałam.

- I dlatego masz muchy w nosie.

- Niezupełnie - zaprzeczyła panna Beryl. - Z radością przekażę go w ręce dowolnej kobiety, która go zechce, a wygląda na to, że znalazła się taka.

- A ja jem dzisiaj jak ptaszek - oświadczyła pani Gruber, która lubiła przeskakiwać z tematu na temat bez zbędnych wstępów. - Sok ze śliwek, później suchy tost i trochę herbaty.

Suchy tost, herbata i sok ze śliwek to były stare sposoby pani Gruber na zaparcie, które nękało ją po obfitym posiłku w „Northwoods Motor Inn”. Poprzedniego dnia wybrała w bufecie sałatkę z zielonych warzyw, sałatkę „ambrozja”, sałatkę z marchewką i rodzynkami, sałatkę serowo-gruszkową oraz makaronową. Potem był „stary Tom”, nadzienie, żurawiny i konfitura oraz placek z dynią i bita śmietana. Pani Gruber, ważąca raptem dziewięćdziesiąt pięć funtów, po prostu z trudem to wszystko pomieściła i wczorajsza uczta leżała jej dziś ciężko na żołądku.

Do tego dochodził ciężar wyrzutów sumienia. Od ponad roku przekazywała potajemnie informacje na temat swojej przyjaciółki jej synowi, który

dzwonił do niej w tym celu przynajmniej raz w tygodniu. Nie szpiegowała w ścisłym tego słowa znaczeniu, po prostu dzieliła się z nim tym, co sama wiedziała. Dla jej własnego dobra, jak podkreślał. Jego matka była zbyt uparta, żeby zadbać o swoje bezpieczeństwo. Czy latem nie próbowała ukryć przed nim faktu, że upadła, nadwerężając sobie przy tym mocno nadgarstek? Pani Gruber rozumiała jego synowską troskę, toteż udzielała mu informacji. On w zamian również opowiadał jej różne rzeczy. Wiedziała już, na przykład, o jego planowanym ożenku i teraz zakarbowała sobie w pamięci, że powinna udawać niewiedzę.

Jedyna obawa związana z owym cichym układem z synem najlepszej przyjaciółki miała związek z faktem, że czasem zdarzyło jej się wygadać z czymś, o czym wcale nie zamierzała mu mówić. Tego ranka na przykład, kiedy Clive junior zadzwonił, żeby zapytać, jak im się udał świąteczny obiad, nie miała najmniejszego zamiaru mu opowiadać, jak panna Beryl zgubiła drogę w Albany i jak niewiele brakowało, żeby w ogóle nie znalazły restauracji.

- Opowiedz mi o niej - poprosiła pani Gruber.

- O kim?

- O pannie młodej.

- Nie jest młoda - sprostowała panna Beryl. - Ma pod sześćdziesiątkę, jeśli to ona jest dziewczyną z rocznika szkolnego.

- Miła?

- Gadatliwa - powiedziała panna Beryl. - Entuzjastka prezydenta.

- To brzmi sympatycznie - ucieszyła się pani Gruber, która też lubiła prezydenta, a gadulstwo innych przeszkadzało jej nieporównywalnie mniej niż cisza panująca w jej wielkim domu. - Kiedy ślub? - zapytała, ciekawa, ile Clive junior ujawnił przed matką. Jej powiedział, że chcą się pobrać wczesną wiosną. Koło Wielkanocy.

- Wyleciało mi z głowy, żeby zapytać - przyznała panna Beryl. - Ale sądzę, że nie ma pośpiechu. Jestem pewna, że oblubienica nie jest w ciąży.

- Czy Joyce będzie pracować w banku? - Pani Gruber miała właściwie zamiar zadać to pytanie jej synowi, który wspomniał, że jego przyszła żona jest księgową, ale zapomniała.

Panna Beryl już miała powiedzieć, że i na to pytanie nie zna odpowiedzi, kiedy nagle coś ją tknęło.

- Skąd wiesz, że ma na imię Joyce?

Pani Gruber zamarła. Wygadała się, chociaż nakazywała sobie ostrożność.

- Muszę kończyć - powiedziała. - Telefon dzwoni.
- Właśnie rozmawiasz przez telefon - zwróciła jej uwagę panna Beryl. - Niemożliwe, żeby dzwonił.
- Miałam na myśli dzwonek przy drzwiach - poprawiła się pani Gruber i rozłączyła się.

Panna Beryl również odłożyła słuchawkę, ale nie cofnęła dłoni, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. Teraz przynajmniej wiedziała, kto jest wtyczką. Ostatnio zaczęła się obawiać, czy to przypadkiem nie Sully. Opinie jej doradców w tej kwestii były podzielone, tak jak we wszystkich pozostałych. Clive senior przychylił się do zdania syna, że Sully wodzi ją za nos od lat, podczas gdy Ed zapewniał ją o jego lojalności, a nawet szeptał jej do ucha podejrzenia pod adresem Clive'a juniora, których wysłuchiwała z poczuciem winy. Teraz, kiedy miała pewność, nie mogła powstrzymać uśmiechu. - I jak ci się to podoba? - zapytała męża.

Clive senior miał dość głupią minę za swoją szybką.

Dłoń panny Beryl nadal spoczywała na słuchawce leżącej na widelkach, kiedy telefon znów zadzwonił.

- Pod drzwiami nie było żywej duszy - powiedziała pani Gruber, jak gdyby ów fakt stanowił niepojętą zagadkę. - Nie rozumiem. Wyraźnie słyszałam dzwonek.

- Wiesz, co ci powiem? - odezwała się panna Beryl złowróbnym tonem, puszczając oko do Eda, wiszącego na przeciwległej ścianie.

Pani Gruber przełknęła ślinę.

- Co takiego? - zapytała z pewną obawą.

- Jesteś kompletnie zbita z pantafyku.

Ruth była w dobrym humorze, czego zupełnie nie potrafiła sobie wytłumaczyć. Poprzedniego dnia, akurat w Święto Dziękczynienia, wydawało jej się, że osiągnęła dno. Czowała się tak podle, że zadzwoniła do Sully'ego w nadziei, że to ją podniesie na duchu. Czego to człowiek nie robi w desperacji. Po tylu latach powinna wiedzieć przynajmniej tyle, że Sully znacznie skuteczniej umie podtrzymać czyjś dobry nastrój, niż wyciągnąć kogoś z dołka psychicznego. Był zdecydowanie zbyt uczciwy, żeby poprawiać komuś samopoczucie, jeśli ten ktoś miał akurat przeciwne inklinacje.

Tak więc nie zdziwiła się, kiedy Sully, który poprzedniego dnia zawiódł na całej linii, gdy szukała u niego pociechy, okazał się nazajutrz dokładnie tym, czego jej było trzeba. Dziś była w optymistycznym nastroju, choć wystrój

pokoju motelowego był tandetny, prysznic obskurny, a Sully zasnął jak kamień w niespełna minutę po ich pierwszym od wielu miesięcy zbliżeniu. Kiedy wyszła spod prysznica, owinięta w motelowy ręcznik, chrapał spokojnie z półprzymkniętymi powiekami, spod których prześwitywały białka. Choć był koniec listopada, nie stracił jeszcze całkowicie letniej opalenizny, która zawsze wywoływała u niej uśmiech. Twarz, kark i przedramiona były brązowe, wpadające w szary odcień od przebywania na słońcu i wietrze, podczas gdy reszta ciała była biała, niemal przezroczysta. Zawsze był zaskakująco nieśmiały, teraz też nie zapomniał podciągnąć prześcieradła do pasa, nim zasnął. Leżał oparty o wezłowie łóżka, z rękami założonymi za głowę, w pozycji, która według wszelkiego prawdopodobieństwa miała go uchronić przed zaśnięciem, co mu się ostatecznie nie udało. Wzruszył ją fakt, że starał się nie zasnąć, choć był tak bardzo zmęczony. Był to jeden z tych drobnych gestów, na jakie potrafił się zdobyć od czasu do czasu. Wiedziała, że sen był mu znacznie bardziej potrzebny niż seks.

Za to jej seks był bardzo potrzebny. Od jakiegoś czasu przestała respektować małżeńskie prawa swojego męża, czego on zdawał się prawie nie dostrzegać. Nie było wykluczone, że kogoś miał, ale Ruth uważała to za mało prawdopodobne. Z tego, co się orientowała, Zack był jednym z tych mężczyzn, którzy ciężą w naturalny sposób ku abstynencji, jak gdyby celibat był wygodnym fotelem klubowym, dostosowanym do kształtu ciała, i znacznie łatwiej było się w niego zapaść niż później wygrzebać. Nie sądziła, żeby jej romans z Sullym go zbytnio obchodził. Podpuszczony, był zdolny do wybuchów zazdrości, ale zdawała sobie sprawę, że złości go nie tyle samo przyprawianie rogów, ile fakt, że się go przy tym ośmiesza. Najbardziej by mu odpowiadało, jak podejrzewała, gdyby ludzie przestali mu na nich donosić, tak by mógł spokojnie udawać, że nic nie wie. Potrafił udawać niewiedzę równie przekonująco jak lenistwo, które w jego wydaniu było nie do odróżnienia od rzeczywistego.

Trwający prawie dwa i pół miesiąca post zaostrzył jej pragnienie. Dziśniejsze zbliżenie, niestety, sprawiło jej radość, nie umniejszając potrzeb. Miała nadzieję, że barometr ich miłości znów idzie w górę, że długa przerwa będzie miała zbawienny efekt, rozpalając na nowo ich namiętność. Sully, który leżał przed nią, uśpiony, napelniał ją taką czułością, że puściła na chwilę wodze wyobraźni, zastanawiając się, jak wyglądałoby ich wspólne życie, gdyby przyjęła jego propozycję i wyszła za niego. Był to jednak

niezawodny sposób, żeby sobie popsuć humor, do czego zdecydowana była nie dopuścić. Zamiast tego puściła ręcznik, który zsunął się na podłogę, delikatnie odsunęła prześcieradło i zaczęła go głąskać. Jego powieki zatrzępotwały w odpowiedzi, chociaż chrapał jeszcze przez kilka sekund. Wreszcie otworzył oczy, które nigdy się do końca nie zamykały, nawet we śnie, i uśmiechnął się do niej.

- A, to ty.

- Tak, to ja - potwierdziła Ruth. - Pilnuj się lepiej. Widzisz, co tu mam?

Sully znów zamknął oczy, oddychając głęboko.

- Mam nadzieję, że nie masz co do tego żadnych dalszych planów. Pamiętaj, że mam sześćdziesiątkę. I nie nadaję się do wielokrotnego użytku.

- Szkoda - powiedziała Ruth. - A ja właśnie rozważałam twoją propozycję.

- Jaką propozycję?

- Wczorajszą. Prosiłeś, żebym za ciebie wyszła.

Sully się zamyślił.

- Nie - rzekł w końcu. - Pytałem, dlaczego się nie pobierzemy. Wiedziałem, że musi być jakiś ważny powód, tylko zapomniałem jaki.

Ruth głąskała go nadal.

- Pamiętam, że niezupełnie tak to szło.

- Jeślibyś nalegała - powiedział Sully, teraz zupełnie rozbudzony - tobym się z tobą ożenił. Jesteś jedną z najprzystojniejszych starszych pań w Bath. Au!

- Odwołaj to.

- Nie jesteś jedną z najprzystojniejszych starszych pań w Bath? Au!

- Wiesz co. Ty chyba lubisz ból.

- Nie opieraj się tylko o moje chore kolano - uprzedził. - Tej przyjemności miałem ostatnio pod dostatkiem. Nie wiem, czy zniósłbym większą dawkę.

- Przedtem nie bolało, prawda? - powiedziała, robiąc aluzję do ich miłego zbliżenia.

- Nie - zapewnił ją Sully, czując lekkie wyrzuty sumienia z powodu własnych, tak bardzo ograniczonych możliwości jako kochanka. - Pewnie za wiele z tego nie miałaś.

- Było świetnie - odparła Ruth rozmarzona. - Lubię być na górze.

- Jak wszystkie baby - zauważył Sully z uśmiechem.

Ruth zignorowała tę uwagę.

- Na dole też lubię być.

- Cieszę się, że jesteś elastyczna - powiedział. - Ale obawiam się, że od tej pory twoje miejsce będzie na górze.

Przeciągnęła paznokciem po wewnętrznej stronie jego uda, zatrzymując się na granicy opuchlizny, jak gdyby dokładnie wiedziała, gdzie zaczyna się ból.

- Pogorszyło się, prawda? - Zaskoczył ją widok jego kolana, kiedy zsuwał spodnie. Był odwrócony tyłem, nie mogła więc się dokładnie przyjrzeć, ale zobaczyła dosyć.

- To pewnie po prostu płyn - wyjaśnił. - Muszę pójść któregoś dnia do szpitala dla kombatantów, żeby mi go te gnojki spuściły. Nie uwierzysz, ale mam teraz większe problemy niż to. Nie masz przypadkiem przy sobie dwóch kawałków na zbyciu?

Ruth oparła się na łokciu.

- Przy sobie?

- Tak przypuszczałem, że nie masz. - Sully opowiedział jej o furgonetce, na którą namawiał go Harold, i o śnieżnym pługu.

- Brzmi to świetnie. I pewnie dlatego na to nie pójdziesz, zgadza się?

- Nie wiem, jak miałbym to zrobić - zauważył Sully. - Nawet gdybym znalazł idiotę, który zgodziłby się pożyczyć mi tyle forsy. Robię się za stary, żeby wisieć ludziom więcej, niż mogę zarobić w ciągu paru miesięcy.

- Nie pogniewasz się, jeśli ci przypomnę, że jesteś właścicielem nieruchomości?

Sully pokręcił głową.

- Jeśli ty się nie pogniewasz, kiedy ci przypomnę, że nikim takim nie jestem. Przynajmniej nie naprawdę.

- W takim razie kto ją ma, Sully? - nie dawała za wygraną Ruth. - Jeżeli ty nie jesteś właścicielem domu twojego ojca, to kto?

- Nie mam pojęcia - odrzekł Sully. - Pewnie gmina. Mój ojciec nie płacił podatków całymi latami, a ja z całą pewnością też nie zapłaciłem ani centa. Ciągłe mi powtarzają, że go zlicytują. Z tego, co wiem, mogli już to zrobić.

- Zawiadomiliby cię.

- Niewykluczone, że to zrobili. Wyrzucam cały ten chłam bez otwierania, razem z kuponami konkursowymi.

- Chcesz, żebym to sprawdziła?

- Nie, nie chcę od niego niczego, Ruth - powiedział po raz nie wiadomo który. - Wiesz o tym.

- To nie jest już kwestia chęci czy niechęci. To potrzeba. Potrzebujesz środka transportu. Sprzedaj dom i wykorzystaj pieniądze na to, co jest ci potrzebne. Zapomnij o ojcu.

- To by było sensowne - przyznał, mając nadzieję, że to zakończy dyskusję. Czasem Ruth zadowolala się tym, że przyznał jej rację.

- W ten sposób chcesz powiedzieć, że tego nie zrobisz, prawda?

Sully usiadł, odszukał papierosy i zapalił jednego na spółkę z Ruth.

- Żeby było śmieszniej, dzisiaj tamtędy przejeżdżałem - powiedział. Nawet taki drobiazg, jak przyznanie, że dom istnieje i że mógłby być nim zainteresowany, to już było dla niego za dużo, dlatego zgrzeszył półprawdą, twierdząc, że jedynie przejeżdżał obok niego, przemilczając fakt, że się zatrzymał, że przyglądał się posesji, zastanawiając się, ile może być wart grunt, na którym stoi. - Zaległe podatki wynoszą pewnie więcej, niż dom jest wart. Co i tak jest bez znaczenia, bo nie mam pieniędzy, żeby je opłacić.

- Załóżmy, że dostałbyś za niego tylko dziesięć tysięcy, czyli tyle co nic. I załóżmy, że zaległe podatki wynoszą siedem tysięcy. To by była bardzo duża kwota. W dalszym ciągu zostałyby ci trzy tysiące. Ale ty nie potrzebujesz trzech tysięcy, to mi chcesz powiedzieć?

- Myślałem, żeby podarować go Peterowi - powiedział Sully, zastanawiając się, jak Ruth zareaguje na ten pomysł. Jak dotąd, okazywała na przemian to troskę, to niechęć wobec jego syna.

- To nie rozwiązałyby twojego problemu - zauważyła.

- Dałbym go tobie, gdyby był na to jakiś sposób. - Sully się uśmiechnął. - Ale Zack mógłby nabrać podejrzeń, gdybym nagle sprezentował ci dom. Ludzie donoszą mu na nas przez dwadzieścia lat i mógłby dojść do wniosku, że może jednak coś w tym jest.

- Wielkie dzięki - odparła Ruth z uśmiechem - ale mam już jedną rudę.

- A gdybym go tak sprzedał i jakoś ci przemyślił pieniądze? Mogłabyś je wykorzystać na studia dla Gregory'ego. Zack nie musiałby wiedzieć.

- To bardzo miło z twojej strony, ale za mojego syna ja odpowiadam.

Nacisk, jaki położyła na to stwierdzenie, nie pozostawiał wątpliwości, że czeka ich rozmowa o jej córce - ich córce, jak lubiła sobie wyobrażać Ruth. Tak więc stary spór miał się zacząć od nowa. Dziewczyna miała podobieństwo do Zacka wypisane na twarzy, ale Ruth nie chciała tego przyjąć do wiadomości. „Jestem pewna” - powtarzała.

Sully był niemal całkowicie pewien czegoś wręcz przeciwnego. Ruth miała po prostu jakąś kobiecą potrzebę, żeby Jane była ich córką, a nie jej i Zacka.

Tylko raz zdarzyło mu się poważnie zwątpić, czy ma rację. Było to ubiegłej wiosny, w kilka miesięcy po jego wypadku. Poszedł do IGA pod koniec zmiany i stanął w kolejce do kasy Ruth. Skasowała jego zakupy: pastę do zębów i paczkę papierosów, po czym zamknęła kasę i wyszli razem.

- Chodź, chciałabym ci kogoś przedstawić - powiedziała, widząc, że pod sklep zajeżdża z rykiem stary, zardzewiały cadillac.

Kiedy samochód zatrzymał się obok nich i zatrąbił, Ruth pociągnęła Sully'ego za sobą. Już miała przedstawić go Jane, kiedy jej wzrok padł na dziecko, siedzące z przodu obok matki. - Gdzie, u diabła, jest fotelik, który dla niej kupiłam? - zapytała, od razu przybierając zaczepny ton.

- Wiedziałam, że to będzie pierwsza rzecz, jaką zauważysz, zanim jeszcze się zdążysz przywitać.

- Kosztował sześćdziesiąt dolarów - przypomniała jej Ruth. - Masz rację, zauważyłam jak cholera.

- Zgadnij, kto go sprzedał - odparła Jane.

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu, widząc, że córka Ruth przyswoiła sobie sposób matki mówienia o Zacku.

- Ja kupuję dla niej fotelik, a on go sprzedaje?

- Uprzedzałam cię, zgadza się? - powiedziała dziewczyna, na oko niespecjalnie przejęta. - Kup następny, to zobaczysz, że zrobi to samo, idiotko.

Ruth spiorunowała córkę wzrokiem.

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała Jane. - To nie ja go sprzedałam. Ja tylko odziedziczyłam szczęśliwą rękę mojej matki do mężczyzn. - Mówiąc to, łypnęła podejrzliwie w kierunku Sully'ego, jak gdyby chciała dać mu do zrozumienia, że pojawił się w jej polu widzenia w samą porę, aby zilustrować to twierdzenie.

Jej spojrzenie nie uszło uwagi Ruth.

- To jest Sully - powiedziała. - To znaczy Don Sullivan.

Dziewczyna ucisnęła mu dłoń po męsku.

- Witam - powiedziała. - Wiele o panu słyszałam - dodała, ku zaskoczeniu swojej matki.

- No tak, małe miasteczko... - zauważyła Ruth.

- Zgadza się - przytaknęła Jane z uśmiechem. - Mam cię podwieźć do domu czy nie?

Ruth, która znów zaglądała do wnętrza samochodu, zignorowała to po-naglenie.

- Przywitasz się z babcią? - zapytała.

- Śmiało - zachęciła Jane dziecko, które wdrapało się matce na kolana, wychylając się przez otwarte okno, gdzie czekały wyciągnięte ramiona Ruth. Dopiero wtedy Sully zauważył, że z okiem małej jest coś nie tak, i poczuł w środku jakieś szarpnięcie.

- Słuchaj, muszę lecieć - powiedział.

- Wiem - przytaknęła Ruth. - Zobaczmy się innym razem.

Wieczorem zadzwoniła do niego „Pod Konia”. Przedtem miał czas na za-stanawianie się, dlaczego ujrzał siebie w kalekim dziecku, dlaczego serce zabiło mu od odpowiedzialności, choć równocześnie dało impuls do ucieczki.

- Nie miałam zamiaru stawiać cię w kłopotliwej sytuacji - powiedziała Ruth.

- Nie postawiłaś - skłamał.

- Jak cholera.

- Słuchaj, Ruth, ja mam syna - poinformował ją. - Żadnych córek. Ani wnuczek. - Po czym odwiesił słuchawkę.

Byli potem „grzeczni” przez dłuższy czas.

- Moja gospodyni mówi, że miałem dziś gości - napomknął, skoro temat miał wypłynąć tak czy inaczej.

Ruth skinęła głową.

- Sytuacja była krytyczna. Oferowałeś pomoc, jeśli sobie przypominam?

Sully przytaknął.

- Tyle że staruszka przeżyła lekki szok - wyjaśnił.

- Dlaczego? - Ruth zmarszczyła brwi, od razu poirytowana.

Sully wzruszył ramionami, nie bardzo wiedząc, jak wytłumaczyć Ruth, że jej córka jest hałaśliwą, często gruboskórną młodą kobietą, czego Ruth, która sama bywała hałaśliwa i gruboskórna, wydawała się w ogóle nie zauważać. Prawdę mówiąc, sam nie zwróciłby na to większej uwagi, gdyby nie chodziło o jego gospodynię.

- Wiele nie trzeba - powiedział. - To w końcu starsza osoba.

Ruth wydawała się usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem.

- Nie wysłałabym ich do ciebie, gdybym miała jakiś inny pomysł.

Myślałam, że Roy jest w mieście.

Ruth opowiedziała mu, że Jane postanowiła w końcu rozstać się z mężem. Wymknęła się, kiedy pojechał polować na jelenie. Miała załatwioną

pracę w Albany. Mieszkanie też, od pierwszego. Roy zorientował się, że jej nie ma, i odgrażał się, że ją znajdzie, porachuje jej wszystkie kości i przywiezie z powrotem do domu, gdy tylko skończy ze swoim jeleniem, co, jak miały nadzieję, powinno mu zająć jeszcze kilka dni. Jane była pewna, że kiedy się przeprowadzi do Albany, Roy nigdy jej tam nie znajdzie.

Roy, złodziejaszek z Mohawk, spędził młodość w kolejnych poprawczakach i więzieniach. Chodziły słuchy, że kiedyś niemal zatłukł barmana na pustym parkingu na tyłach baru w Schuylers Springs, z którego go wcześniej wyrzucono. Uszło mu na sucho, bo nie było świadków.

- O ile pamiętam, wszyscy jej mówili, co z niego za ziółko, kiedy wychodziła za niego za mąż.

- Masz rację - przytaknęła Ruth. - Ty nigdy nie popełniłeś błędu. Czy to chcesz mi powiedzieć? Nigdy nie zignorowałeś dobrej rady? Nigdy się nie upierałeś, żeby zrobić coś tylko dlatego, że wszyscy ci powtarzali, żebyś tego nie robił? Jeżeli ktoś na tym świecie powinien ją rozumieć, to człowiek, który twierdzi, że nie jest właścicielem własnego domu.

- A więc wracamy do sprawy domu - zauważył Sully.

- Nie rozmawiamy o domach - zaprzeczyła Ruth; - Rozmawiamy o oślim uporze i o tym, kto go po kim odziedziczył.

- Jesteś przekonana, że Jane odziedziczyła go po mnie - powiedział Sully. - A nie na przykład po tobie. Albo po Zacku.

- Nie. - Ruth się uśmiechnęła. - Ten rodzaj uporczywości jest tak idiotyczny, że nosi twoją wizytówkę. Czy znasz jeszcze kogoś, kto mógł zostać współwłaścicielem Tip Top Construction i odmówił? Kto mógł być dzisiaj przyzwoicie urządzony, gdyby nie jego zakuty łeb? I kto przez te wszystkie lata nie chciał przyznać, jakim był idiotą?

Ten temat też był mu dobrze znany. Było to jedno z ulubionych działań, które Ruth wytaczała przeciwko niemu. Oczywiście było prawdą, że Kenny Roebuck proponował mu „udziały w zamian za pot”, kiedy obaj byli młodszy. I zapewne było prawdą, że należało przyjąć jego ofertę. Próżny żal nie wydawał mu się jednak zbyt produktywny. Gdyby pozwolił sobie na luksus oplakiwania faktu, że nie został partnerem w Tip Top Construction, zacząłby to stopniowo rozciągać na inne sprawy i wkrótce znalazłby się na równi pochyłej. Skończyłby jako rozczulający się nad sobą stary oszust, na wzór własnego ojca, wciskającego pielęgniarce rzewne kawałki o swoich ludzkich błędach.

Nie, Sully poprzysiął sobie dawno temu wstrzemięźliwość, jeśli chodzi o wszelkie formy żalu, z wyjątkiem tych najbardziej ogólnych. Pozwalał sobie na oględne dywagacje, że sprawy mogłyby się potoczyć inaczej, ale bez obwiniania się, że tak się nie stało, podobnie jak nie miał do siebie pretensji, że jego trójka: 1-2-3 ani razu nie wygrała, chociaż mogła. Gdybanie na temat każdej życiowej decyzji było pułapką, w którą wielu ludzi wpadało na starość, udając mądrych po szkodzie z bezpiecznej perspektywy teraźniejszości. Jak gdyby, mając jeszcze jedną szansę, rzeczywiście mieli zrobić mądrzejszy użytek ze swojego życia. Sully nie spotkał zbyt wielu ludzi, którzy by zmądrzeli w zauważalny sposób z upływem lat. Niektórzy popełniali mniej błędów, ale jego zdaniem po prostu dlatego, że musieli trochę przyhamować. Mieli mniej energii, a nie więcej cnót, mniej okazji, żeby coś spieprzyć, a nie więcej rozumu. Jego własna polityka polegała na dochowywaniu wierności swoim błędom, co uczynił i tym razem.

- I jak się okazało, mądrze zrobiłem - powiedział. - Gdybym był dzisiaj właścicielem połowy Tip Top Construction i widział, jak Carl wszystko przepuszcza, zastrzeliłbym gówniarza i skończył za kratkami. A tak chodzę sobie po świecie jako wolny człowiek i nie obchodzi mnie, co on robi.

- Chodzisz, zgadza się, i w ten sposób wracamy do sprawy samochodu.

- El camino stoi pod oknem - przypomniał jej Sully.

- Fantastycznie. Zamiast mieć do dyspozycji służbowy samochód, ty go musisz pożyczać.

- Wolę pożyczać - odparł Sully szczerze, wyjaśniając, że zdążył już tego ranka zarobić mandat. - Wrzuciłem go do schowka na rękawiczki. Taka mała niespodzianka dla Carla.

- No i jak to nazwiesz? - Ruth pokręciła głową z niedowierzaniem. Zdumiewające, jak szybko Sully potrafił ją wyprowadzić z równowagi. - Żeby inni ludzie płacili twoje mandaty?

- Jeśli chodzi o Carla Roebucka, nazwałbym to sprawiedliwością - powiedział Sully z szerokim uśmiechem.

Ruth wstała zirytowana i zaczęła się ubierać. Tak jak się obawiała, jej optymistyczny nastrój nie wytrzymał próby poważnej rozmowy z Sullym.

- Powiem Jane, że tak byś to nazwał.

Sully zamrugał oczyma.

- Czy rozmawialiśmy o Jane?

- Jedno z nas rozmawiało.

Sully westchnął, opuścił nogi na podłogę i zaczął szukać swoich slipów, które zaplątały się gdzieś w pościeli.

- Jak zwykle, zabiłaś mi ćwieka - przyznał.

- Nie jest to trudne, kiedy pojawia się temat odpowiedzialności - powiedziała Ruth, zapinając biustonosz gniewnym ruchem.

Sully zamachał rękami.

- Chciałbym po prostu wiedzieć, o co ci chodzi. Rozmawiamy o mandatach, nagle się okazuje, że to chodzi o Jane. Czy chcesz, żebym coś dla niej zrobił? Czy ona chce, żebym coś dla niej zrobił? Potrzebuję odpowiedzi, Ruth.

- Mógłbyś o niej od czasu do czasu pomyśleć - wyjaśniła Ruth, teraz już wściekła. Może nie zawsze wyrażała się jasno, ale podejrzewała, że coś musi być nie tak z facetem, nieumiejącym skojarzyć spraw, których związek był dla niej oczywisty. Podejrzewała, że celowo udaje ślepotę. Gra po prostu na zwłokę, domagając się od niej za każdym razem wyjaśnień. Miał zapewne nadzieję, że nie będzie umiała ubrać swoich uczuć w słowa, co pozwoli mu nadal stosować uniki. Próby zmuszenia go, żeby spojrzął na sprawy jej oczyma, przypominały usiłowania, żeby wsadzić kota do torby - zawsze jedna noga wystawała. - Mógłbyś się o nią przynajmniej martwić. To normalne, kiedy człowiekowi na kimś zależy.

Sully stał w tej chwili tyłem do niej, ale mimo to widziała jego spuchnięte kolano.

- Dlatego ja się o ciebie martwię, chociaż nie najlepiej na tym wy chodzę. Włożył szorty, zanim się odwrócił.

- Nigdy cię nie prosiłem, żebyś się o mnie martwiła - odrzekł. - Szczerze mówiąc, wolałbym, żebyś tego nie robiła.

Ruth powstrzymała łzy napływające jej do oczu, ubrała się najszybciej, jak potrafiła, podczas gdy Sully szukał swojego podkoszulka.

- Naprawdę masz zamiar skończyć sam jak palec? - zapytała.

- Może tak by było najlepiej - przyznał.

W drzwiach odwróciła się do niego.

- Powinieneś być przebaczyć swojemu ojcu - powiedziała. - A ja powinienam była wiedzieć, co to znaczy, kiedy nie chciałeś tego zrobić.

Wyszła, a Sully wpatrywał się zdumiony w drzwi, które się za nią zatrzaśnęły. Oto ojciec zdołał się jakoś wśliznąć do ich rozmowy. Nawet po śmierci był przebiegłym sukisynem.

- Znowu ty - powiedział Sully, zajmując taboret obok Ruba, który siedział przy barze nad kuflem piwa.

- Gdzie się podziałeś? - zapytał Rub. - Byłem u Carla, ale cię tam nie zastałem.

- Pewnie już wyszedłem - wyjaśnił Sully.

- Dokąd?

- Nie twoja sprawa - uciął Sully. - Nie ma przepisu, że muszę spędzać w twoim towarzystwie dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Rub wzruszył ramionami.

- Nie ma przepisu, prawda? - powtórzył Sully.

- Sam się wściekasz, jak jestem ci potrzebny i nie możesz mnie znaleźć.

Była to prawda.

- Ale tym razem jesteś.

- Mamy robotę?

- Carla nie było.

- Jest na zapleczu, gra w karty. - Rub wskazał ruchem głowy dużą salę jadalną, tę, którą Tyny zamykał po sezonie.

- To wyjaśnia sprawę - powiedział Sully. Pojawiła się Birdie.

- Był do ciebie telefon, zaraz po twoim wyjściu - powiedziała.

- Miles Anderson?

- Miles Anderson. Mówił, żebyś do niego zadzwonił „najszybciej, jak to będzie możliwe” - powiedziała, przedrzeźniając jego ton. - Tu jest numer.

Sully wziął od niej karteczkę i schował do kieszeni.

- Nie zadzwonisz do niego? - zdziwił się Rub.

- Nie w tej chwili - odparł Sully, chociaż wiedział doskonale, że to właśnie powinien zrobić. Na tym właśnie polega problem z głupią passą. Często wiesz, co powinienes zrobić, ale twoja woła chodzi własnymi drogami.

- Dlaczego?

- Bo w tej chwili nie jest odpowiedni moment - powiedział Sully, ku konsternacji Ruba, któremu moment wydawał się wyjątkowo odpowiedni, jako że nie było nic innego do roboty. - Czekałem na gnojka godzinę, to teraz on może poczekać na mnie. Teraz mam ochotę na partyjkę pokera. A ty?

Rub wpatrywał się smutno w resztki piwa na dnie kufła.

- Bootsie zabrała mi pieniądze - wyznał. - Niepotrzebnie przechodziłem koło jej sklepu.

- Skąd ona wie, kiedy ci płacę? - Sully pokręcił głową.
- Zawsze wyniucha - powiedział Rub, dla którego również było to niepojęte. - Klamać też nie warto. Nic to nie daje.

- Myślałem, że dziś po południu pracujesz - rzekł Carl Roebuck, podnosząc wzrok na Sully'ego. Przy okrągłym stole, ustawionym na środku pod żyrandolem, siedzieli czterech graczy. Sully znał pozostałych i wiedział, że mogą sobie pozwolić na przegraną. Była to okoliczność pomyślna, pod warunkiem że udałoby się ich do tego zmusić.

- Ja też tak myślałem - powiedział Sully, odsuwając wolne krzesło. - Ale może to i lepiej. Wygląda na to, że tu są ciekawsze widoki na przyszłość.

- Nie byłbym taki pewien - uprzedził go jeden z graczy. - Ten skurczybyk wygrywa co drugie rozdanie.

Wszyscy spojrzeli na Carla, który nie wydawał się specjalnie zakłopotany tym faktem.

- Pan Farciarz - powiedział jeden z graczy.

Sully wyjął trochę pieniędzy, żeby zapewnić sobie życzliwe przyjęcie. - Kantuje, to cały jego sekret - podsumował. - Na szczęście znam jego wszystkie sztuczki, więc na dzisiaj koniec pieśni.

Carl odsprzedał mu trochę żetonów.

- Mogłeś robić w tej chwili dach przy Belwederskiej.

Sully pokiwał głową.

- To całkiem do ciebie podobne, wysłać jednonogiego faceta na dach. Zleciałbym, rozwalił sobie łeb i nie musiałbyś mi zapłacić tego, co jesteś winien.

- Gadaj zdrow, twoja wola - odrzekł Carl. - Ale nawet z jedną nogą byłbyś bezpieczniejszy na dachu niż tutaj.

- Mogę grać z wami? - zapytał Rub. Odkąd weszli, stał w drzwiach, zerkając w stronę ostatniego wolnego krzesła. Nie było to towarzystwo, które by go ośmielało.

- Nie, Rub - odrzekł Carl.

- Nie - zawtórowali mu pozostali.

Rub wbił wzrok w podłogę.

- Jasne, że możesz - powiedział Carl. - Na litość boską, nie wiesz, kiedy ktoś się z ciebie nabija?

Prawdę mówiąc, nie wiedział. Bywało, że ci sami faceci nie chcieli z nim grać, twierdząc, że śmierdzi. Nie wiedział, po czym ma poznać, że tym razem żartują, skoro na ogół nie żartowali.

- Nie dałeś mi kart - poskarżył się, siadając na krześle obok Sully'ego.
- Nie grałeś, kiedy zaczynałem rozdawać - usprawiedliwił się Carl.
- Stałem tam - powiedział Rub, wskazując pustą przestrzeń, którą przed chwilą zajmował.

- Jak miałem cię uwzględnić przy rozdaniu, kiedy stałeś tam? - zapytał Carl. Tytułem zilustrowania tego faktu rzucił jedną z kart w stronę drzwi. - Miałem robić coś takiego?

- Rozdanie nieważne - odezwał się jeden z graczy.

- Miałem parę siódemek - zirytował się drugi. - Zrobiłeś to specjalnie.

Carl pokazał swoje karty, a wśród nich parę dziesiątek.

- Mister Farciarz - mruknął ten sam facet co przedtem, po czym zagwizdał stosowną melodyjkę.

Rub poszedł i podniósł kartę z podłogi, po czym usiadł z powrotem przy stole. Carl potasował jeszcze raz. Sully przełożył. Carl rozdał, znów pomijając Ruba.

- A ja? - zapytał Rub.

- Przepraszam - kontynuował Carl. - Chcesz grać? Wszyscy jęknęli, znów rzucając karty na stół.

- Zdecyduj się - powiedział Carl. - Grasz czy nie?

- Jeszcze chwila i rozwałę ci łeb - zagroził Sully. Carl potasował i rozdał jeszcze raz.

- Mówiłem, że lepiej by ci było na dachu. Niektórzy ludzie nie wiedzą, co jest dla nich dobre.

Mężczyzna siedzący na lewo od Ruba otworzył licytację. Rub, który był zaskakująco dobrym graczem, podbił.

- Nie przyszło ci nigdy do głowy, że możesz być jednym z nich? - zapytał Sully, podtrzymując licytację Ruba.

- Ja doskonale wiem, co jest dla mnie dobre - powiedział Carl, rzucając karty na środek stołu. Dwaj inni gracze zrobili to samo, pozostawiając jedynie tego, który otworzył licytację, Ruba i Sully'ego. Sully obejrzał swoje karty. Wraz z dwiema, które dobrał, tworzyły „parzystego” strita: dwójka, czwórka, szóstka, ósemka.

Tiny ustawił koło stołu stary grzejnik ze spiralą. Jego brzęczenie skojarzyło się Sully'emu z szumem nadjeżdżających pojazdów. Nie ulegało kwestii, że najmądrzej byłoby zwinąć żagle. Z drugiej strony, skoro zajechał już tak daleko...

Miles Anderson dzwonił jeszcze trzy razy. Za trzecim razem Sully, mając równe sto dolarów do tyłu, podszedł do telefonu.

- Wydawało mi się, że byliśmy na dzisiaj umówieni - powiedział Miles Anderson. W jego tonie przebijała irytacja.

- Mnie też się tak wydawało - potwierdził Sully. - Byłem o tym przekonany do tego stopnia, że poszedłem i czekałem na pana przez godzinę.

- Musieliśmy się rozminąć - rzekł Miles Anderson nieco łagodniejszym tonem. Najwyraźniej chciał się podzielić odpowiedzialnością. Ponieważ Sully milczał, dodał: - Czy ta cisza ma oznaczać, że nie jest pan już zainteresowany pracą, o której rozmawialiśmy?

- Nie - odparł Sully. - Po prostu nie wiedziałem, że teraz moja kolej na zabranie głosu.

- Mam rozumieć, że nadal się pan tego podejmuje?

Sully przytaknął.

- Bo szczerze mówiąc, nie słyszę w pańskim głosie zbyt wielkiego entuzjazmu. - Miles Anderson znów tracił cierpliwość. - Jeśli nie jest pan pewien, wołałbym, żeby mi pan powiedział od razu. Człowiek, z którym rozmawiałem dziś rano w banku, uprzedzał mnie, że pańska solidność pozostawia wiele do życzenia.

- Panie Anderson, naprawdę mi zależy na tej robocie - powiedział Sully.

- Po prostu jestem za stary, żeby skakać z radości, rozumiemy się? Ale w środku skaczę pod sufit, proszę mi wierzyć.

- Hm. - Miles Anderson się zamyślił. - Uprzedzano mnie też o pańskim tupecie, ale to było raczej do przewidzenia. Niezależny, kresowy duch amerykańskiego robotnika i takie tam rzeczy.

Kim mógł być ten facet?

- Rezygnuję właśnie ze studiów, żeby się zająć pańskim domem - poinformował Sully swojego rozmówcę, co nie było znów tak bardzo odległe od prawdy. - Proszę posłuchać, panie Anderson. Czy nie moglibyśmy zacząć wszystkiego od nowa? Pan mógłby mnie na początek przeprosić za to, że mnie pan przetrzymał, potem ja bym pana przeprosił za swoją niewyparzoną gębę i moglibyśmy ustalić następny termin, żeby obejrzeć dom. Pan by obiecał, że tym razem na pewno przyjdzie i jakoś byśmy się z tym uporali.

- Może być jutro o dziesiątej rano?

- Przeskoczyliśmy kilka etapów, zgadza się? - zauważył Sully. - Dobrze, o dziesiątej. Będę miał goździk w klapie marynarki.

- Hm. Mogę zadać panu jedno pytanie?

- Jasne.
- Pił pan?
- Tylko odrobinę. Czy teraz ja mogę zadać panu pytanie? Czym się pan zajmuje?
- Jestem wykładowcą na wyższej uczelni.
- To tak jak mój syn.
- Naprawdę? - W głosie Milesa Andersona brzmiało niedowierzenie.
- Właśnie mu odmówiono przedłużenia kontraktu.
- Ponure czasy. Gdzie?
- W Wirginii Zachodniej.
- Ojej - zafrasował się Miles Anderson. - Dokąd człowiek może się stamtąd przenieść?

Kiedy Sully wrócił do stolika, Carl odsprzedawał właśnie żetony Wirfowi, który zdążył przyjść w tym czasie. Było widać na pierwszy rzut oka, że jest pijany. Kiedy transakcja została sfinalizowana, przed Carlem nadal piętrzył się stos, zawierający około dziewięćdziesięciu procent wszystkich żetonów. Mimo to Sully był optymistą. Robota na całą zimę, na którą liczył, okazała się aktualna, a pojawienie się Wirfa oznaczało, że nie musi się obawiać natychmiastowego bankructwa. Sully usiadł, wstał z powrotem, obszedł swoje krzesło zgodnie z ruchem wskazówek zegara, potem w przeciwną stronę, żeby odczynić pecha, który go nękał tego popołudnia.

- Czerwona rzeka koło tyłka zielonej małpy - powiedział, robiąc skomplikowany znak nad talią.
- Skończyłeś? - zapytał Carl, biorąc karty.
- Tak.
- Chcesz przelożyć?
- Nie, tak jest dobrze.

Karty rzeczywiście okazały się dobre, ale dla Carla. Nim Sully się obejrzał, w puli było prawie czterdzieści dolarów. Zrozumiał, że mądrze by zrobił, wycofując się dwa okrażenia wcześniej. Co gorsza, Wirf wpatrywał się w niego z tak rozanieloną miną, że Sully obawiał się, czy nie wystąpi z jakąś łzawą deklaracją przyjaźni, do czego był zdolny, kiedy poziom alkoholu w jego krwi przekroczył określony próg.

- O co chodzi? - zapytał w końcu Sully.
- Próbuję porozumieć się z tobą telepatycznie - powiedział Wirf z pijackim uśmiechem.
- To daj sobie spokój - poradził mu Sully.

- To strata czasu - zgodził się z nim Carl Roebuck, rzucając żetony na środek stołu. - Żeby się porozumieć z Sullym, trzeba walnąć go łopatą przez łeb.

- Odpieprzcie się obaj - powiedział Sully, podbijając stawkę.

Nim skończyli, w puli było siedemdziesiąt dolarów. Carl wygrał wszystko i z westchnieniem zgarnął pieniądze.

- Próbowałem przekazać ci telepatycznie, żebyś się wycofał - wyjaśnił Wirf, rzucając na stół swoje trzy dwójki.

Sully rzucił karty grzbietem do góry. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył, z czym grał.

Gra się skończyła o piątej, kiedy trzej gracze oświadczyli, że czas iść do domu i zjeść to, co zostało ze świątecznego indyka, dopóki jest szansa, że zostaną wpuszczeni do środka.

- Moja żona ma chyba coś nie tak z głową - powiedział facet imieniem Herbert, odsuwając krzesło i zgarniając do kieszeni pieniądze, których nie wygrał Carl Roebuck. - Zostaliśmy tylko we dwoje, a ona co roku kupuje największego indyka, jakiego mają w sklepie. Jemy skubańca aż do Bożego Narodzenia, a wtedy ona kupuje następnego, jeszcze większego niż tamten.

- Ja lubię indyka - oświadczył Rub.

- Ja też lubiłem - powiedział Herbert - dopóki nie musiałem zjadać co roku pięćdziesięciu funtów.

- Budzić go czy nie? - zastanawiał się jeden z mężczyzn. Chodziło mu o Wirfa, który zasnął z otwartymi ustami w połowie ostatniego rozdania. Wirf, grając po pijanemu i w nieprzewidywalny sposób, okazał się dla Sully'ego gwoździem do trumny.

- Niech śpi - rzekł Sully, który od czasu wypadku uważał sen za cenne dobro.

W barze było cieplej niż na zapleczu. Sully zdał sobie sprawę, że przez ostatnie dwie godziny był zziębnięty i obolały. Zastanawiał się, czy łapie go jakieś choróbko. Może byłoby to coś szybkiego, bezbolesnego i śmiertelnego?

Carl Roebuck upchnął wygraną po kieszeniach i usiadł przy barze na sąsiednim stołku. - I co, mądrało, jakie straty?

Sully przecesał włosy palcami.

- Duże - powiedział.

Oceniał je na trzysta pięćdziesiąt, czterysta dolarów. Może więcej.

- Mówiłem, że bezpieczniej by ci było na dachu.

- Skąd wiedziałeś, że właśnie chciałem usłyszeć twoje: „A nie mówiłem?”

- Kto cię zna, ten musi to powtarzać. Zapytaj, kogo chcesz.

- W twoim wydaniu jakoś tego wyjątkowo nie lubię - zauważył Sully. W rzeczywistości jego awersja była mniej lub bardziej uniwersalna. Boczył się na Ruth, która w ciągu godziny, jaką ze sobą spędzili, powiedziała to wprost lub dała mu do zrozumienia kilka razy. Jeżył się, kiedy słyszał to samo od Wirfa. Miał za złe ludziom nawet wtedy, kiedy nie wypowiadali tego na głos, ale po cichu myśleli swoje.

- Muszę iść się odlać - oznajmił Carl.

Rub wyszedł z toalety, kiedy Carl wchodził właśnie do środka. Podszedł do Sully'ego, ale nie usiadł obok niego przy barze.

- Muszę wracać do domu - powiedział. - Bootsie jak nic urwie mi jaja.

- Może byś przynajmniej wypił swoje piwo? - rzekł Sully, wskazując na butelkę Carla Roebucka.

- Myślałem, że to Carla - zdziwił się Rub.

- Kupiłem je dla ciebie - zapewnił go Sully.

Rub przyjrzał się butelce podejrzliwie.

- Wygląda, jakby ktoś już z niej pił.

- Nic podobnego - uspokoił go Sully. - Siedzę tutaj przez cały czas.

- To dlaczego nie jest pełna?

- Czasem tak bywa. Nie wiadomo dlaczego.

Rub pociągnął łyka.

- Tak jakby już ktoś miał to w ustach - powiedział.

- Jak wyszedłeś? - zapytał Sully z uśmiechem.

Rub wyjął pieniądze i przeliczył. - Wygrałem dwadzieścia dolców - oświadczył radośnie.

- Świetnie. Wręcz fantastycznie. Pod warunkiem że o czymś nie za pomniałeś.

Rub zmarszczył brwi.

- Na przykład o dwudziestu dolarach, które ci pożyczyłem, żebyś mógł grać.

Rub podał mu pieniądze, po czym wsadził ręce w kieszenie.

- W każdym razie miałem zabawę - powiedział.

- Ja też - zapewnił go Sully. - To najważniejsze.

- Przegrałeś, a teraz będziesz się na mnie odgrywał - oświadczył Rub.

Carl wrócił z ubikacji, usiadł na stołku i pociągnął długi łyk z butelki, która według zapewnień Sully'ego należała do stojącego obok Ruba. Ten

otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknął. Krew odpłynęła mu z twarzy.

- Muszę lecieć - powiedział i wyszedł.

Carl Roebuck wpatrywał się w szyjkę butelki.

- On z tego pił? - zapytał.

- Nie - zaprzeczył Sully.

Carl pociągnął kolejny łyk, tym razem ostrożniej, po czym zmarszczył brwi, zerkając na Sully'ego, który uśmiechał się szeroko.

- No, może troszeczkę.

Carl wstał, przechylił się przez ladę i wylał resztę piwa do zlewu.

- Sully, Sully, Sully - westchnął.

- Co, co, co?

- Szkoda, że nie jesteś bogaty.

- Też żałuję.

- Trzymałbym cię w piwnicy na łańcuchu i utrzymywał się, grając z tobą w pokera.

- Karta mi nie szła. Zdarza się. Nie tobie, ale innym się zdarza.

Carl machnął ręką w stronę Birdie na znak, że niczego nie potrzebuje.

- Zostawiam cię sam na sam z tą żalną wymówką. Jestem już spóźniony. Wszystko w porządku?

Sully zapewnił go, że tak, choć w rzeczywistości daleko mu było do tego przekonania. Jak mu się często zdarzało w takich chwilach, aby nie uschnąć z żalu, próbował sobie przypomnieć, o czym myślał, siadając do pokera z pieniędzmi, na których przegranie nie mógł sobie pozwolić. Jak gdyby odwołanie własnego toku rozumowania i doszukanie się w nim jakiegoś sensu, lub choćby jego namiastki, mogło przywrócić mu stracone pieniądze. Niestety, rozumowanie ulotniło się wraz z pieniędzmi. Nawet gdyby wygrał czterysta dolarów, zamiast je przegrać, nadal nie byłoby go stać na furgonetkę, którą chciał kupić od Harolda, a która, jak sobie to teraz uświadamiał z całą jasnością, była mu niezbędna, i to jak najszybciej. Nie mógł się otrząsnąć z irracjonalnego poczucia, że czterysta dolarów na minusie to w jego sytuacji znacznie większa suma niż te same czterysta dolarów na plusie. Rozpaczliwy stan jego finansów sprzed kilku godzin, który pchnął go do gry, chociaż nie stać go było na przegraną, jawił mu się teraz jako szczyt aspiracji. Będzie musiał pracować o kilka dni dłużej, aby znaleźć się z powrotem w punkcie wyjścia - tak beznadziejnym, jak mu się jeszcze niedawno wydawało. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej przypominało to ten właśnie gatunek

żału, którego się zawsze wystrzegał.

Pocieszający w tym wszystkim był fakt, że zlecenie Milesa Andersona nie przeszło mu koło nosa, jak się tego obawiał. Ale, o zgrozo, niewiele brakowało, żeby tak się stało przez jego niewyparzoną gębę. Przez całe życie miał w pogardzie facetów pokroju Milesa Andersona i okazywał im to, chociaż nie przysporzyło mu to jak dotąd ani centa. To ojciec, jak podejrzewał, znów wciskał się niepostrzeżenie w jego życie. Na trzeźwo Duży Jim kładł uszy po sobie i okazywał niemal psią służalczość w obecności tych wykształconych, dobrze ubranych, mówiących nienaganną angielszczyzną facetów. Później, po pijanemu, mieszał z błotem nieobecnych lekarzy, prawników i innych profesjonalistów, odreagowując swoje upokorzenie na tym, kto się nawinał. Już jako mały chłopiec Sully zdawał sobie sprawę, że ludzie tego pokroju mają nad jego ojcem szczególną władzę. Nie wiedząc dokładnie, jak miałyby się to stać, Duży Jim wyczuwał, że gość, który ubiera się i mówi w taki sposób, może mu zaszkodzić, gdyby przyszła mu na to ochota. Ilekroć ujrzał kogoś z nich na ulicy, z jego przymrużonych oczu wзираła nieufność i - tak - strach. Sam będąc tchórzem, terroryzującym słabszych od siebie, wiedział, jak może smakować przemoc, której źródłem są pieniądze i uprzywilejowana pozycja. Sully podejrzewał, że jego ojciec widzi ich oczyma duszy przez cały czas. Facetów z gatunku tych, którzy wydawali mu polecenia w Sans Souci. Wszczynając burdy po knajpach, wyobrażał sobie zapewne, że to im daje wycisk. Zawsze upatrywał sobie kogoś, kogo podejrzewał o zadzieranie nosa. Kogoś, kto zarabiał nieco więcej niż on albo był trochę lepiej ubrany. Kogoś, kto mógł mu posłużyć jako substytut tych wszystkich, których tak szczerze nienawidził. Dlatego Sully już w młodości postanowił sobie, że nie będzie się płaszczył przed facetami, przy których jego ojciec czuł się karłem. Pokazywanie Milesom Andersonom tego świata, gdzie jest ich miejsce, nie przysporzyło mu rzecz jasna większych korzyści, niż służalczość przysporzyła jego ojcu, ale Sully uważał, że jego metoda jest przyjemniejsza, i myśl, że miałby się wyrzec tych drobnych satysfakcji, była mu naprawdę nienawistna. Faktycznie jednak znalazł się w dołku - większym niż kiedykolwiek, odkąd sięgał pamięcią. W tej sytuacji wypuszczenie z rąk pracy, która mogła mu się pomóc z niego wygrzebać, do czego omal nie doprowadził, byłoby tym rodzajem oślego uporu, który Ruth zawsze uważała za jego wyłączną specjalność.

Ale jakoś mu się upiekło, co oznaczało, że jeszcze nie wszystko stracone. Jutro się poprawi, powie Andersonowi, że nie miał zamiaru być takim chamelem. Nawet fakt, że Carl ograł go na taką sumę, mógł mieć swoje jaśniejsze strony. Będzie czuł teraz wyrzuty sumienia i zostawi mu el camino na kilka dni, dopóki nie uda mu się jakoś rozwiązać problemu środka transportu. Jeżeli zdołałby wytrzasnąć pieniądze na przyzwoitą zaliczkę, może udałoby mu się przekonać Harolda, żeby pozwolił mu zatrzymać furgonetkę i pług, a resztę spłacić w miesięcznych ratach. Gdyby śnieg sypał jak wściekły przez całą zimę, na co się chyba zanosilo, może zdołałby spłacić Harolda do wiosny, pod warunkiem że znów nie siądzie do pokera albo nie robi czegoś równie idiotycznego.

W niedalekiej przyszłości, jak się obawiał, będzie musiał zrzucić pychę z serca i udać się do kogoś o pożyczkę. Ruth dałaby mu pieniądze, gdyby miała, ale wiedział, że ich nie ma. Wirf przypuszczalnie miał pieniądze i pewnie by mu pożyczył, ale Sully i tak był mu winien o wiele za dużo. Z zasady nie pożyczał od starych kobiet, co wykluczało pannę Beryl. Od Carla Roebucka może udałoby mu się coś wyciągnąć, gdyby znów go przydybał po pijanemu, ale to mu nie odpowiadało, bó nie chciał być jego dłużnikiem. Mógł zajść do banku do Clive'a juniora, ale żołądek mu się wywracał na samą myśl o tym, poza tym uświadomił sobie właśnie, że to prawdopodobnie Clive ostrzegął przed nim Milesa Andersona.

Pozostawało wreszcie rozwiązanie, które proponowała Ruth: sprzedać dom ojca i zrobić użytek z pieniędzy. Zaczął się zastanawiać, o ile bardziej rozpaczliwa musiałaby być jego sytuacja, żeby ta ewentualność stała się realna. O wiele, jak podejrzewał.

- Cóż - wyrwał go z zamyślenia Carl - pora sprawdzić, czy jest jakiś dom, do którego mógłbym wrócić dzisiaj wieczorem.

- Nie radziłbym składać teraz wizyty Ruby.

- Ciągle nabzdyczona, co?

- Nie wiem, jak w tej chwili. Po południu była wściekła.

Carl wydawał się zasmucony tą wiadomością.

- Nie powinienem był wspominać o małżeństwie - przyznał.

- Nie powinienes - zgodził się Sully, przypominając sobie, że sam proponował ożenek w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. - Kobiety lubią brać takie rzeczy poważnie, nawet jeśli wiedzą, że nie powinny.

Carl westchnął.

- Ruby zasługuje na małżeństwo - powiedział w zamyśleniu. - W tym sęk. Wszystkie na to zasługują. Rozkładają swoje piękne nogi i słyszę swój głos, pytający, czybysmy się pobrali, i w tym momencie mówię poważnie. Za każdym razem.

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu. Carl wydawał się tak szczerze stropiony.

- Niezły z ciebie numer.

- Czułbym się źle, gdybym im czegoś nie obiecał - odparł Carl. - Ożeniłbym się z nimi wszystkimi, gdybym mógł.

- Wierzę ci - zapewnił go Sully. - Nie zostawiłbyś dla innych ani jednej.

- Zostawiłbym Bootsie dla Ruba - powiedział Carl, po czym wskazał ruchem głowy salę, w której grali w pokera. - Widzę, że Ahab się obudził.

Wirf stał w drzwiach, próbując się otrząsnąć ze snu.

- Co z grą? Gdzie się wszyscy podziali? - zapytał, kuśtykając w stronę baru.

- Właśnie przepłynął tędy biały wieloryb - poinformował go Carl, wskazując ulicę za oknem.

- No i dobrze - skwitował Wirf. - Niech sobie płynie. Dlaczego miałbym się uganiać za wielorybami?

- Nie mam pojęcia - powiedział Carl, zmierzając w stronę drzwi.

- Obudziłem się i nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie jestem. Pod tym wielkim kandelabrem czułem się jak w Nowym Jorku w latach czterdziestych. Pomyślałem, że umarłem i przeniosłem się do hotelu Waldorf-Astoria.

- Nie uwierzycie - zawołał Carl z drugiego końca sali - ale znowu pada.

- Ja wierzę - powiedział Sully. - Prawdę mówiąc, doskonale się składało.

- Coś tu cuchnie - zauważył Carl, po czym wyszedł, zatraskując za sobą drzwi.

Sully i Wirf rozważali przez jakiś czas jego pożegnalny komunikat. Wreszcie Wirf znalazł rozwiązanie.

- W tej sytuacji lepiej zostaniemy w środku - powiedział.

Ryba - zdecydowała panna Beryl.

Usiłowała zlokalizować źródło zapachu, który rozprzestrzenił się w całym mieszkaniu Sully'ego. Sprawa była zagadkowa. W jaki sposób u mężczyzny,

który nigdy sobie nie gotował, który nawet nie trzymał jedzenia w swojej lodówce, mogło śmierdzieć rybą? Zastanawiała się, czy mogły to sprawić nigdy nie otwierane okna. Trudno było rzecz jasna oczekiwać, aby wietrzył mieszkanie pod koniec listopada, w czasie przymrozków, ale panna Beryl wątpiła, żeby Sully robił to kiedykolwiek, nawet w lecie. W tym momencie uświadomiła sobie, że było to niemożliwe z prostej przyczyny: nie zadał sobie trudu, aby zdjąć zimowe, zewnętrzne okna. W ciągu ostatnich dwudziestu lat w jej mieszkaniu wymieniał je sumiennie każdej wiosny na siatki ochronne, ale odblokowanie własnych okien uważał za zbyt dużą fatygę.

- Ugotujesz się - ostrzegęła go panna Beryl, na co Sully reagował swoim zwykłym wzruszeniem ramion, jak gdyby chciał powiedzieć, że zapewne ma rację, będzie się smażył.

- Proszę się nie martwić - dodawał. - Jak u mnie się zrobi za gorąco, zejść na dół i będę spał z panią.

Panna Beryl zaczęła się zastanawiać, jak nieznośny musiałby być żar, aby Sully zaczął to odczuwać jako dyskomfort. W tej chwili w mieszkaniu nie dało się wytrzymać, jak gdyby cały sierpniowy skwar tu się skumulował, nie znajdując ujścia. Spojrzenie na termostat wyjaśniło sprawę. Dwadzieścia pięć stopni. Nic dziwnego, że tapeta oblażyła.

Panna Beryl ustawiła termostat na dwadzieścia dwa stopnie, myśląc, jak to się jej często zdarzało, kiedy rozważała dziwaczne przyzwyczajenia swojego lokatora, że Sully powinien był znaleźć sposób, aby zachować status człowieka żonatego. Potrzebował opiekuna. Kogoś, kto by pilnował termostatu i gasił papierosy, które zostawiał zapalone na stołach i blatach (Clive junior miał rację, wszędzie widniały powypalane brązowe ślady). A także spłukiwał toaletę - zauważyła po zajrzeniu do łazienki, gdzie przywitała ją spora kałuża żółtego moczu, którą Sully zostawił, wychodząc do pracy.

Panna Beryl pociągnęła za spłuczkę i patrzyła, jak intensywna żółć blednie stopniowo, aż wreszcie, przy akompaniamencie bulgotu, woda odzyskuje przezroczystą barwę. Czas trwania tej operacji był akurat wystarczający, aby rozwiązać zagadkę. Pamiętała odgłos porannego spłukiwania, który zbiegł się w spektakularny sposób z żądaniem Clive'a juniora, żeby wyeksmitowała Sully'ego ze swojego domu. Czy to możliwe, aby Sully zdołał potem, w krótkim czasie, zabarwić wodę na tak intensywny kolor? Możliwe - uznała - jeśli spędził wieczór „Pod Koniem”, pijąc piwo w towarzystwie swoich kompanów. Ale przyszło jej do głowy inne, bardziej zadowolające wyjaśnienie. Sully musiał należeć do tych mężczyzn, dla których spłukiwanie

było czynnością wstępną, a nie naturalną konsekwencją wypróżnienia. Poranna operacja usunęła to, co zostało z poprzedniego wieczoru. Z kolei poranna dostawa zwróciłaby po raz pierwszy jego uwagę wieczorem, po powrocie z pracy. Panna Beryl nie mogła się powstrzymać od spekulacji, zastanawiając się, czy czysta woda, którą Sully zastanie w muszli po swoim powrocie, będzie dla niego sygnałem alarmowym, że ktoś był w jego mieszkaniu.

Mężczyźni - pomyślała. Nie ulega wątpliwości, że to inny gatunek. Jedyne ich zasadniczo odmienna natura może wyjaśnić pociąg czy miłość jakiegokolwiek rozsądnej kobiety do mężczyzny. Czy zdarzyło się kiedykolwiek, żeby kobieta spojrzała na mężczyznę i wyczuła w nim istotę pokrewną? Panna Beryl miała co do tego wątpliwości. Z drugiej strony, jak na ironię, tylko istota tak odmienna może być tak łatwa do rozszyfrowania. Ich potrzeby są wyjątkowo nieskomplikowane w porównaniu z potrzebami kobiet. Poza tym nie wydaje się, aby umieli je ukrywać. Sully, mający ich jeszcze mniej niż większość mężczyzn, stanowił oczywiście przypadek skrajny, w którym istota męskiej natury została wyśrubowana do jakiejś niezemskiej lapidarności, ale Clive senior tak bardzo znów się od niego nie różnił. Lubił grube, miękkie bluzy z mechatym spodem i luźne spodnie od dresu. Za jeden ze swoich największych przywilejów jako trenera uważał prawo do paradowania po szkole w stroju, który niewiele się różnił od domowego (z tą różnicą, że szkolnego uniformu dopełniał noszony na szyi gwizdek), podczas gdy inni się męczyli (jak sobie wyobrażał, bo on z pewnością by się męczył) w marynarkach, krawatach i zaprasowanych w kant wizytowych spodniach. Dbanie, by jego bluzy były miękkie i kosmate, wymienianie ich na nowe, kiedy się przetrwały lub sfilcowały, było jedną z nielicznych rzeczy, jakich od niej kiedykolwiek wymagał. Kiedy jego bluzy były przyjemne i miłe, on był taki sam. Ile razy kupiła mu nową i wsunęła do szuflady jego serwantki, mogła być pewna, że podejdzie do niej z tyłu, kiedy będzie zajęta w kuchni, i obdarzy mocnym, serdecznym uściskiem. Kiedy pytała o powód takiego zachowania, zawsze odpowiadał: „A, nic takiego”. Prawdę mówiąc, nie była pewna, czy w ogóle dostrzegał związek pomiędzy swoim nagłym serdecznym odruchem a jej miłością, której owocem były te skromne dary, czy też bluza zaspokajała po prostu jego elementarną potrzebę, a przyływ czułości był zwykłym skutkiem ubocznym zadowolenia. Nie była pewna, co należy sądzić o mężczyźnie, którego miłość można kupić za cenę bluzy od dresu, a

następnie utrzymać za pomocą płynu do zmiękczenia materiału. Kochała tego mężczyznę i wtedy, i teraz, ale miała wątpliwości, czy potrafiłaby wytłumaczyć się z tego uczucia przed inną kobietą, przynajmniej przed taką, która znała Clive'a seniora.

Jeszcze trudniej było wyobrazić sobie jakąkolwiek kobietę, usprawiedliwiająca swoją miłość do Sully'ego - musiała to przyznać, kiedy wróciła do salonu po zakończeniu obchodu mieszkania swojego lokatora. Chodziły słuchy, że miał długoletnią kochankę, kobietę zamężną, której uczucie przetrwało zapewne dzięki temu, że nigdy nie odwiedziła jego mieszkania. Stojąc na środku pokoju, próbowała sobie uzmysłwić, z czym jej się kojarzy otaczający widok, i wreszcie znalazła odpowiedź. Mieszkanie Sully'ego wyglądało, jakby jego właściciel przeszedł właśnie rujnujący rozwód, po którym żona zabrała wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, a jemu pozostało umeblować mieszkanie starymi gratami, upchniętymi przed laty w wilgotnej piwnicy i zapomnianymi z kretesem. Może to kanapa była źródłem owego zapachu? Panna Beryl podeszła i ostrożnie powąchała tapicerkę. Pachniała starymi ubraniami, których nie zdejmowano do spania, ale nie rybą.

Zaczęła się zastanawiać, czy to, co czuje, to przypadkiem nie woń jej własnej perfidii. Ed odradzał tę zdradziecką, potajemną inspekcję. I nie pomagało tłumaczenie, że Sully nie miałby nic przeciwko temu. Wiedział, że przetrząsa jego korespondencję, podtykając mu to, co jej zdaniem powinien otworzyć. Przypuszczalnie orientował się również, że wyjmuje i otwiera koperty, zostawione przez niego pod jej drzwiami w puszcze na śmieci, odzyskując w ten sposób czeki z rentą i refundacją za leki. Nie podejrzewał zapewne, że ma dużą szarą kopertę z napisem „Sully”, zawierającą ważne dokumenty, które mogły się któregoś dnia okazać przydatne, ale wątpiła, czy miałby jej to za złe, gdyby wiedział. Poza tym nigdy nie miała wyrzutów sumienia, że potajemnie pilnuje interesów swojego lokatora. Ale to najście było czymś zupełnie innym i doskonale o tym wiedziała. Nie miała zamiaru słuchać Clive'a juniora, który radził jej, żeby sama sprawdziła stan mieszkania Sully'ego, dopóki nie znalazła się na schodach prowadzących na górę. Teraz żałowała, że nie postąpiła zgodnie ze swoją wypróbowaną zasadą, i nie odrzuciła *a priori* rady Clive'a juniora. Jak udało mu się ją nakłonić, żeby naruszyła prywatność swojego długoletniego lokatora? Czyżby robił postępy, jeśli chodzi o umiejętność przekonywania? A może to ona robiła

się z upływem lat coraz bardziej niepewna i podatna na wpływy? Obawiała się, że raczej to ostatnie, i zaczęła się zastanawiać, czy nie sporządzić sobie na przyszłość listy spraw, na które w żadnym wypadku nie powinna wyrażać zgody, choćby jej syn nie wiadomo jak nalegał. W ten sposób, gdyby jej wola i pewność siebie doznały poważnego uszczerbku, gdyby obudziła się któregoś ranka i doszła do wniosku, że rady Clive'a juniora wydają jej się całkiem sensowne, będzie mogła skonfrontować je z listą sporządzoną, kiedy była jeszcze w pełni władz umysłowych, gdzie wszystko przedstawiła czarno na białym.

1. Nie inwestuj w żaden z pewnych interesów Clive'a juniora.
2. Nie mów mu, ile masz pieniędzy. Lepiej dla niego, żeby się dowiedział dopiero po twojej śmierci, kiedy będą należeć do niego.
3. Nie sprzedawaj mu swojego domu, bo wtedy będzie to jego dom, a nie twój. Nie słuchaj jego argumentów, bo są dobre.
4. Nie daj mu się przekonać do głosowania na republikanów. Nie czuła-bys się potem dobrze.

Pytanie, czy należało dodać do tego punkt piąty:

5. Nie daj mu się namówić na wyeksmitowanie Sully'ego, który cię lubi, tak samo jak ty jego. Jeżeli spali twój dom razem z tobą, na pewno nie zrobi tego specjalnie.

Panna Beryl zmarszczyła czoło, przeglądając w myślach swoją listę. Każdy z punktów wydawał jej się wątpliwy, a ostatni budził tych wątpliwości najwięcej. Cztery pozostałe sprowadzały się do braku hojności wobec Clive'a juniora, nie mówiąc już o niemal zupełnym zaniku instynktu macierzyńskiego, który każe matce obdarzać swoje dziecko większym zaufaniem, niż na to zasługuje. To były dezyderaty Eda, nie jej własne.

Panna Beryl była tak zatopiona w myślach, że nie usłyszała kroków na schodach i nie zauważyła, że nie jest już sama w mieszkaniu. Kiedy intruz przemówił, staruszka aż podskoczyła. Nie tyle z powodu zaskoczenia, ile z powodu trwającego ułamek sekundy złudzenia, że ów głos, który wydał jej się znajomy, rozbrzmiewa we wnętrzu jej własnej głowy. „Po szóste - powiedział głos - przestań mówić do siebie, bo ludzie pomyślą, że brak ci piątej kleпки”.

Panna Beryl nie mogła oderwać wzroku od dziewczynki. Mała siedziała bez ruchu, wlepiając w nią oczy, które wydawały się niczego nie rejestrować. Jej nóżki zwisały z kanapy, nie dotykając podłogi. Inne dziecko bębniloby piętami o sofę, nóżki dziewczynki były nienaturalnie nieruchome. Nie to

jednak najbardziej zdumiewało. Zamiast usiąść obok dziecka, matka zajęła miejsce na podłodze u jego stóp, opierając się plecami o poręcz kanapy, jak gdyby uznawała w ten sposób własną niegodność. Kiedy się usadowiła, panna Beryl zrozumiała przyczynę. Choć dziewczynka nie spojrzała na matkę, mała rączka odnalazła jej ramię, palce zaczęły sunąć lekko wzdłuż karku i szyi, aż natrafiły na ucho. Staruszka patrzyła zafascynowana, jak dziecko ujmuje płatek ucha pomiędzy kciuk i palec wskazujący i zaczyna go delikatnie masować. Matka pomogła jej nawet, odsuwając włosy drugą ręką i przytrzymując je, aby drobne paluszki mogły łatwiej odnaleźć ucho.

- Lubimy być w kontakcie, prawda, Ptasi Mózdzku? - powiedziała tytułem wyjaśnienia.

Dziecko nie zareagowało wprawdzie na te słowa, ale panna Beryl zauważyła, że wydawało się teraz spokojniejsze i bardziej odprężone. Po raz drugi zwróciła też uwagę na błędzące oko dziewczynki. Odkąd mała zlokalizowała ucho matki, upośledzone oko odjechało bardziej zdecydowanie, celując w sufit, podczas gdy drugie nadal pozostawało utkwione w pannie Beryl. Zaczęła podejrzewać, że dziewczynka może być po prostu niewidoma na jedno oko. Właściwie mogła być zupełnie niewidoma, tak mało było w jej oczach wyrazu czy śladu, że cokolwiek widzą. Kiedy tak siedziała bez ruchu, delikatnie masując koniuszek ucha swojej matki, jak gdyby jedynie dotyk potrafił ją upewnić o jej obecności, panna Beryl pomyślała, że mogłaby być zarówno niewidoma, jak i głucha.

- Tak czy inaczej - ciągnęła młoda kobieta - przepraszam za przedwczoraj. Byłam wtedy wkurzona na cały świat. Pani też miewa takie dni, kiedy człowiek nie wie, czy olać wszystko czy wykorkować?

Panna Beryl postanowiła zignorować to pytanie, uznając je za retoryczne.

- Jak się nazywasz? - zapytała, kierując wzrok najpierw na dziewczynkę, a potem na jej matkę. - Rozumiem, że Ptasi Mózdzek to taki pieszczotliwy zwrot?

- To jest stwierdzenie faktu, i już - powiedziała młoda kobieta rzeczowym tonem, przechylając odrobinę głowę, żeby mrugnąć do swojej córeczki. - Naprawdę nazywa się Tina, prawda, Ptasi Mózdzku? Mała Tina Trzewiczanka*.

* Little Miss Goody Two Shoes - bohaterka książeczki dla dzieci, wydanej w 1765 roku przez Johna Newbery'ego, jednego z pierwszych wydawców literatury dziecięcej (przyp. tłum.).

Tina nadal bawiła się koniuszkiem ucha matki. Innej reakcji nie było.

- Tak jest od czasu, kiedy przestałam karmić piersią - wyjaśniła kobieta.
- Mam nadzieję, że to już zbyt długo nie potrwa. Człowiek się czuje, jakby miał w uchu wibrujący kolczyk, ważący czterdzieści funtów.

Panna Beryl spojrzała w zdrowe oko dziecka i zapytała, powoli wymawiając słowa:

- Masz ochotę na ciasteczko, Tino?

- W domu pewnie by zjadła z tuzin, ale tutaj wątpię, czy zechce chociaż jedno.

Dziewczynka milczała.

- Nie jest zbyt rozmowna, jak się pani domyśla. Czasem są dni, jakby jej w ogóle nie było, prawda, Ptasi Mózdzku?

Panna Beryl wstała, zbyt zła na młodą osobę, żeby wysiedzieć w pokoju.

- Mimo wszystko przyniosę ciasteczka. Wczoraj wieczorem miałam gościa, który zjadł cały talerz, więc muszą być dobre.

Z kuchni panna Beryl słyszała, jak matka przemawia do dziecka, trochę tylko zniżając głos.

- To dopiero dom, co? Widziałas kiedyś tyle staroci w jednym miejscu? Coś jak to muzeum w Albany, do którego cię kiedyś zabrałam, pamiętasz? Widzisz tę wielką starą Victrolę? Kiedyś się na tym puszczało muzykę. A jak ci się podoba ten facet na ścianie, z rogami i z dziobem?

Nastąpiła chwila ciszy. Czyżby dziewczynka się odezwała?

- Pamiętasz muzeum? Pamiętasz Indian? Jak siedzieli dookoła ogniska? Pamiętasz ogień? To ci się najbardziej podobało. A tego wielkiego dinozaura? Te wszystkie kości, tak wysoko jedne na drugich?

- Mój Boże - wyszeptała do siebie panna Beryl, tak samo jak rano, kiedy ujrzała starą Hattie, drepczącą środkiem Głównej, z połami szlafroka rozwianymi na wietrze. Życie jest naprawdę pomyłone. Wróciła do salonu z talerzem ciasteczek i postawiła go na stoliku do kawy. Żadne z oczu dziecka nie spojrzało w tamtą stronę.

Młoda kobieta wzięła jedno ciasteczko.

- Czasami, kiedy ja zacznę... - powiedziała, odgryzając kawałek, przeżuwając i wreszcie połykając w zamyśleniu. - Jakiś facet zjadł tego cały talerz? - W jej głosie zabrzmiało niedowierzenie.

- Kobieta - wyjaśniła panna Beryl. - Przykro mi, że pani nie smakuje.

- Są w porządku - powiedziała dziewczyna. - Ale chyba bym puściła pawia, gdybym zjadła cały talerz.

- Tego określenia nie słyszałam chyba od dwudziestu lat - odparła panna Beryl.

Dziewczyna uśmiechnęła się łobuzersko.

- Tak, pamiętam, że nie była nim pani zachwycona. - Po chwili do dała: - Nie pamięta mnie pani, co?

Prawdę mówiąc, twarz dziewczyny wydawała jej się znajoma. Ale tak było niemal z każdym mieszkańcem Bath pomiędzy dwudziestym a sześćdziesiątym rokiem życia, co odpowiadało jej okresowi zatrudnienia jako nauczycielki angielskiego w ósmej klasie.

- Proszę się nie martwić, wyglądałam wtedy jak chłopak - wyjaśniła dziewczyna. - To pojawiło się w dziewiątej klasie - dodała, celując palcami wskazującymi w swój ogromny biust.

- Donnely - powiedziała panna Beryl, przypominając sobie nagle nazwisko dziewczyny. - Usiłowałam nauczyć też czegoś twojego ojca, Zachariasza. Teraz widzę podobieństwo.

Oczy Jane Donnely się zwięzły.

- Jest pani pewna?

W zasadzie była pewna. Jako osoba, która uczyła kilka pokoleń mieszkańców North Bath, uważała się za kogoś w rodzaju mimowolnego eksperta od miejscowej puli genów i ich możliwych do przewidzenia kombinacji.

- Usta i podbródek, to przede wszystkim - powiedziała. Przyszło jej do głowy, że być może obraziła dziewczynę, dopatrując się w jej rysach podobieństwa do ojca. - Dowiaduję się z ulgą, że nie pozwalałam ci używać w klasie określenia „puszczać pawia”.

- Potem pani żałowała, że mi wtedy nie pozwoliła. Powiedziałam, że mi niedobrze i muszę iść do kibla puścić pawia. Słowo „kibel” też się pani nie spodobało. Powiedziała pani, żebym sobie postąpiła, aż przyjdą mi do głowy „synonimy nadające się dla przyzwoitych uszu” - zrelacjonowała dziewczyna, naśladowując ją wcale udatnie, acz bez złośliwości.

Panna Beryl przypominała sobie incydent jak przez mgłę. Rzeczywiście, Jane Donnely wyglądała wtedy jak chłopak, ze swoimi krótko przyciętymi włosami, rysami twarzy, sposobem bycia i językiem, które były przygnębiająco męskie. Podczas gdy inne ósmoklasistki eksperymentowały z makijażem, często z wulgarną przesadą, twarz Jane uderzała smutną, niczym nieożywioną bledością.

- Na „łazienkę” wpadłam od razu - ciągnęła Jane. - Ale puściłam pawia, zanim wykombinowałam to drugie: „zwrócić”.

Młoda kobieta najwyraźniej dobrze się bawiła. Nie wiadomo dlaczego złość panny Beryl nieco zelżała.

- Zwrócić - poprawiła ją.

- Wszystko jedno - powiedziała dziewczyna. - To jak, Ptasi Mózdzku? Chcesz ciasteczko czy nie? - zapytała, zwracając się znów do córeczki.

Brak odpowiedzi.

- Tylko mamine ucho, tak? Może byśmy wzięły trochę na potem?

Jane Donnelly wzięła dwa ciasteczka, zwinęła w serwetkę i schowała do torebki.

- Można?

- Oczywiście - powiedziała panna Beryl.

- Pewnie tam za panią tęsknią w gimnazjum - ciągnęła dziewczyna. - Nie wiem, skąd wzięli drugą taką piłę, kiedy pani odeszła.

Panna Beryl nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

- Myślę, że musieli się obejść.

Jane Donnelly wzruszyła ramionami.

- Szkoda - powiedziała. - Ja ciągle lubię czytać różne historie, gdyby to panią interesowało. Nie mam czasu, ale lubię. Założę się, że Ptasi Mózdzek też to polubi, kiedy się nauczy. Ma hyzia na punkcie wszystkiego, co może robić sama, prawda, Trzewiczanko?

- Ile masz lat, Tino? - zwróciła się panna Beryl do dziecka, które nadal wpatrywało się w nią jednym okiem.

- Właśnie skończyła pięć - odpowiedziała za dziewczynkę matka. - Do zerówki jesienią, chociaż nie wiem, jak to będzie. Wybieramy się do szkoły, tak, Ptasi Mózdzku? Koniec z maminy uchem. Będziemy cię musieli posadzić z kimś, kto ma duże uszy. Jeżeli życie to nie jest draka, to chciałabym wiedzieć, czym u diabła jest? - dodała pod adresem panny Beryl.

Młoda kobieta spojrzała na zegarek.

- Mogłabym skorzystać z pani telefonu? To tylko miejscowa rozmowa.

Panna Beryl wskazała zapraszającym gestem telefon - ten sam, z którego dziewczyna ostatnio pokpiwała.

- Przepraszam, że nie ma na czym usiąść - powiedziała. - Było tu krzesło, ale coś mu się przytrafiło.

- Nic nie szkodzi - zapewniła ją Jane, odwracając się do córeczki i delikatnie zdejmując jej palce ze swojego ucha. - Może byś posiedziała chwilę i pooglądała czasopisma? Słyszysz mnie, Trzewiczanko? Widzisz, jakie pani ma tu ładne czasopisma? Popatrz na te zdjęcia. Obejrzyś sobie wszystkie, a kiedy wrócę, powiesz mi, które ci się najbardziej podobały. Co ty na to? Może udałoby się nam znaleźć nożyczki, żebyś mogła wycinać obrazki, tak jak w domu?

Otworzyła jeden z magazynów panny Beryl na dwustronicowej wkładce o świątecznych wypiekach i położyła dziewczynce na kolanach.

- O rety - powiedziała. - Ale pychotki, co? Mogłybyśmy zjeść to wszystko, tylko we dwie, prawda? Pooglądasz to sobie, jak mamusia będzie dzwonić, dobrze? Będiesz mnie widziała przez cały czas. W porządku?

Podczas całej przemowy wyraz twarzy dziewczynki nie zmienił się ani trochę, chociaż w końcu zdecydowała się spojrzeć na ilustrację.

- Mamusia zadzwoni, a potem wrócimy do babci.

Donnelówna klęczała naprzeciw córeczki, przekonując ją niepotrzebnie, zdaniem panny Beryl, bo dziecko wydawało się pochłonięte oglądaniem ciast. Dlaczego nie wstała po prostu i nie poszła zatelefonować?

- Zadzwonię tylko do dziadka i zaraz wrócę, dobrze? Zostań tutaj i pooglądaj obrazki. Może znajdziemy ci jakieś nożyczki. - Tu spojrzała błagalnie na pannę Beryl, która była, delikatnie mówiąc, niezbyt za chwycona perspektywą pocięcia jej czasopism.

Jane podniosła się wreszcie z klęczek, postąpiła chwilę, przyglądając się córeczce, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę telefonu, znajdującego się w drugim końcu długiego pokoju. Jak tylko dziecko przestało ją widzieć kątem oka, czasopismo zsunęło się jej z kolan. Dziewczynka wstała, najwyraźniej zamierzając podążyć za matką, która odwróciła się z gniewem na pięcie.

- Tina, w tej chwili siadaj z powrotem na tyłku! - krzyknęła.

Dziecko stanęło, ale nie usiadło. Jego matka była w połowie drogi. Wyglądało na to, że gdzieś w głębi swojej jaźni dziewczynka oblicza odległość pomiędzy nimi, oceniając, że nie może usiąść, nie ryzykując, że zgubi matkę. Panna Beryl mogła jedynie patrzeć, wstrząśnięta i zafascynowana równocześnie.

- To jest coś, co mnie doprowadza do szału - rzekła młoda kobieta do panny Beryl, jak gdyby się cieszyła, że ma świadka. - Widziała pani kiedyś coś podobnego? Niech pani patrzy.

Odwróciła się i zrobiła krok w stronę telefonu, po czym stanęła i obejrzała się. Mała dziewczynka, nie podnosząc nawet wzroku na matkę, również zrobiła krok i stanęła.

- Miałaby pani ochotę na coś takiego gdzieś tak przez tydzień? - zapytała ze złością. - A może przez jeden dzionek? Po dwudziestu czterech godzinach nie wiedziałyby pani, czy jeść gówna, gonić króliki, czy wyć do księżycy.

- Pójdę po nożyczki - powiedziała panna Beryl niepewnie.

- Aha. I niech mnie pani nimi zaciuka, dobrze? Niech pani położy kres mojej niedoli. - Kobieta znów przemówiła do dziewczynki. - Jak, u diabła, mam wrócić do pracy, kiedy tak to wygląda? Możesz mi powiedzieć? Jak mam być kelnerką u Denny'ego? Mam cię nosić ze sobą po restauracji przez cały dzień, żebyś mogła mnie trzymać za ucho? Mam to wytłumaczyć klientom, tak? Proszę bardzo, oto jajka dla państwa. Proszę bardzo, oto moja córka. Ma pięć lat, ale dostaje kociokwiku, jeśli nie może trzymać mnie za ucho przez cały dzień. Jasne, że każdy to zrozumie, prawda?

Jeżeli dziewczynka dosłyszała czy zrozumiała z tego choć słowo, nie dała tego po sobie poznać. Zdaniem panny Beryl, głos matki w ogóle do niej nie docierał. Po prostu czekała na następny zrozumiały dla niej sygnał. Jeśli matka się oddalała, szła za nią. Jeśli nie, wyglądało na to, że gotowa jest stać w miejscu w nieskończoność.

Dziwne, ale gniew matki jakby stopniał nieco, kiedy się wykrzyczała. Albo po prostu nie miała już sił.

- Co my zrobimy, Ptasi Mózdzku? Chciałabym to wiedzieć i chęć nie wysłucham każdej rady w tej sprawie. Telepie ci się jakaś po tej twojej lepetynie? Jeśli tak, to mi ją zdradź.

Dziewczynka nadal stała w miejscu.

- No, dobra, chodź do mnie - poddała się w końcu matka. - Razem zadzwonimy do dziadka. Tak będzie dobrze? Zadzwonimy i zobaczymy, czy tatuś już był i pojechał z powrotem. Potem zostawimy tę biedną staruszkę w spokoju, zanim zadzwoni po gliny i doniesie, że powariowałyśmy.

Dziewczynka w dalszym ciągu stała bez ruchu, aż matka przyklekła i wyciągnęła ręce. Wtedy ruszyła w jej stronę powoli, jakby ostrożnie, i scena zakończyła się uściskiem na środku pokoju, trwającym tak długo, że staruszcze omal nie pękło jej kruche serce. Nagle rozległo się głośne klaśnięcie i ręka dziewczynki opadła wzdłuż boku.

- Nie zaczynaj znowu z tym cholernym uchem - ofuknęła ją matka,

podnosząc się na nogi. Ucho jest mi potrzebne do telefonu! Boże!

Ujęła dłoń córki, po której ją przed chwilą trzepnęła, i poprowadziła ją przez pokój w stronę telefonu. Podniosła słuchawkę i przyjrzała się telefonowi krytycznie. - Założę się, że stoi tutaj od czasów wojny secesyjnej! - krzyknęła w stronę panny Beryl, która poszła do kuchni, żeby poszukać nożyczek, bo nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Jeżeli było coś bardziej obscenicznego niż Rub zjadający pączka z kremem, był to Wirf jedzący peklowane jaja w gospodzie „Pod Koniem”. Sully'ego wyprowadzał z równowagi sam widok jajek, pływających w słonej zalewie. Zawsze ustawiał się tak, żeby nie mieć ani potrawy, ani pożywiającego się Wirfa w polu widzenia.

Wirf był właśnie przy trzeciej sztuce. Wyczuwając dyskomfort Sully'ego, nie spieszył się, wysysając najpierw płyn z obu końców miękkiego jaja, zanim wbił w nie swoje przednie zęby. Odgłos, który przy tym wydawał, przypominał wyciąganie tenisówek z błota.

- Chcesz jedno? - zapytał z uśmiechem. - Postawię ci.

Sully był spocony i zielony na twarzy.

- Powinieneś wynajmować się ludziom, którzy chcą się odchudzić.

Jak sobie na ciebie popatrzę, apetyt mi przechodzi gdzieś tak na tydzień.

A raczej to, co zostało z jego apetytu. Zawsze trzeba mu było przypominać o jedzeniu. Zostawiony sam sobie, jadł nie więcej niż jeden posiłek dziennie. Jedyłą przyczyną, dla której jadał regularnie, był wiecznie głodny Rub, który służył mu za nieustanną ostrogę, nawet jeśli woń, którą roztaczał, działała zabójczo na apetyt Sully'ego.

- Masz żołądek trzynastoletniej dziewczynki - dziwił się Wirf. - Jak, u licha, udało ci się przeżyć wojnę?

- Nigdy nie wdepnąłem w nic, co wybuchło - wyjaśnił Sully, zmieniając tym samym temat. Z powodów, których nie potrafił pojąć, jadł w wojsku chętniej niż kiedykolwiek, chociaż nigdy żarcie nie było gorsze niż wtedy. Poza tym chwile, kiedy jadł z autentycznym apetytem, zdarzały mu się w życiu niezwykle rzadko. W szkolnych czasach rzucał się wygłodniały na pizzę, którą się raczyli z kolegami z drużyny po meczach futbolowych. Ale ogólnie rzecz biorąc, Wirf miał rację. Zawsze jadł nerwowo i grymasnie, a z wiekiem było z tym coraz gorzej. Czasem nagle przychodził mu na coś apetyt, jak wtedy na kotlet z kurczaka, który zjadł w Święto Dziękczynienia, ale nie zdarzało się to zbyt często. Przyczyna leżała zapewne częściowo w tym,

że nigdy nie potrafił całkowicie oddzielić jedzenia od strachu.

Jako chłopiec często, choć nie celowo, wyprowadzał z równowagi swojego ojca, mężczyznę obdarzonego imponującym apetytem, który wiedział, co to głód, i traktował grymasy Sully'ego jako afront zarówno dla pożywienia, jak i dla żywiciela. Stół zamieniał się wówczas w pole bitwy. Duży Jim nie mógł zrozumieć, że pewne potrawy, których chłopiec nie cierpiał, wywołują u niego odruch wymiotny. Sully nauczył się go opanowywać, odgryzał małe kęsy i żuł, dopóki niemal nic nie zostało. Wtedy, wielkim wysiłkiem woli, udawało mu się w końcu przełknąć. Ale ciągnęło się to w nieskończoność i w miarę jak żuł i żuł jeden i ten sam kęs, ojciec coraz bardziej gotował się w środku. Sully zawsze to wyczuwał, nie podnosząc wzroku znad talerza, i świadomość, że ojciec lada chwila wybuchnie, bynajmniej nie ułatwiała mu sprawy. Starał się przyspieszyć akcję, próbując połknąć oporny kawałek chrząstkowatej baraniny, zanim był do tego gotowy. Kęs nie chciał mu przejść przez gardło, tylko tkwił tam, aż go wykrztusił na serwetkę. Wówczas ojciec rozwijał ją i zmuszał syna, żeby obejrzał to, czego nie mógł przełknąć. Sully zawsze był zaskoczony, widząc w ostrym, żółtym świetle kuchennej lampy, jak mały jest kawałeczek, leżący na serwetce w kałuży śluzu. W gardle wydawał się dziesięć razy większy.

- I ty chcesz mi powiedzieć, że nie możesz tego połknąć - mówił ojciec. Ręce mu się trzęsły z wściekłości. Potem szedł pokazać to samo matce. Czasem, kiedy nie chciała spojrzeć, gniew ojca zwracał się częściej przeciwko niej, za co Sully był jej zawsze wdzięczny.

Jego ojciec zawsze miał w sobie coś takiego, że Sully'emu w jego obecności nic nie wychodziło.

- Zostaw go w spokoju - doradzała roztropnie matka. - Pogarszasz tylko sprawę straszaniem.

- Straszaniem! - ryczał Duży Jim. - Chryste, on się boi wszystkiego. Pieprzony kawałek marchewki go przeraża. Co będzie, jak mu się przytrafi coś naprawdę strasznego? Co wtedy?

- Chciałam tylko powiedzieć, że lepiej sobie radzi, kiedy dajesz mu spokój - mówiła matka cicho, dobrze wiedząc, że lepiej nie podnosić głosu, kiedy jej mąż jest zdenerwowany. - Jak będziesz na niego wrzeszczał, to na pewno nie zje. Wiesz o tym.

- Powiem ci, co wiem - mówił ojciec, odwracając się w stronę syna. - Wiem, że on zje ten gulasz. Do ostatniego kęsa. Chociażbyśmy mieli tu

siedzieć do wtorku. Jeśli zwymiotuje, dostanie następną porcję, większą od tej. Za każdym razem, kiedy zwymiotuje, dostanie jeszcze więcej, aż zje wszystko.

Tak więc siedzieli w maleńkiej kuchni, gdzie zawsze panował największy żar w całym domu. Wszystkie nakrycia były uprzątnięte, z wyjątkiem jego małej miski gulaszu, który Sully połykał, krztusząc się, razem ze łzami, jak mu się wydawało, przez całe godziny. Po wyekspediowaniu matki i brata na ganek na żądanie ojca, byli w kuchni sami ze swoimi myślami i jedzeniem, którego ubywało drobina za drobiną. Za każdym przelitykaniem kęsem chłopiec tłumił szloch trwogi. Przystawał jeść, kiedy żołądek podchodził mu do gardła, aż poczuł, że może przełknąć następny kęs, wszystko to pod niewzruszonym spojrzeniem ojca. Wierzył, że Duży Jim zrealizuje swoją groźbę i będzie kazał mu jeść coraz więcej, toteż nie odważył się zwymiotować tego, co udało mu się w siebie wmusić. Wolałby umrzeć, niż zaczynać od nowa.

- No - mówił ojciec, kiedy chłopiec przełknął ostatni kęs i siedział ze spuszczoną głową, czując w niej pulsowanie po całym tym wysiłku. Kiedy było po wszystkim, czuł się tak wyczerpany, że mógłby zasnąć na kuchennym krześle i spać tak całymi dniami. Duży Jim odkładał miskę do zlewu i wracał do syna. - Widzisz, jednak zjadłeś - powtarzał i Sully uświadamiał sobie, że ojciec nadal jest wściekły, że jego wyczyn nie zdołał uśmierzyć jego furii. Podejrzewał nawet, że jest w skrytości ducha rozczarowany takim zakończeniem. Liczył na to, że chłopiec zwymiotuje, a wtedy będzie mógł spełnić swoją groźbę, wmuszając w niego kolejną porcję. Ta świadomość, trudniejsza do przełknięcia niż nieszczęsna baranina, sprawiała, że jedzenie znów podchodziło Sully'emu do gardła, ale jakoś udawało mu się powstrzymać odruch wymiotny.

- Nauczyłeś się dzisiaj czegoś? - pytał ojciec. Chodziło mu, jak chłopiec się domyślał, o to, kto rządzi przy Bowdon 12.

Sully kiwał głową.

- Bo możemy powtarzać to co wieczór, dopóki się nie nauczysz, kto tu jest szefem. - Ojciec stał nad nim, mierząc go wściekłym spojrzeniem. - Możesz próbować, ile chcesz, ale wygrać ze mną ci się nie uda.

Mylił się jednak, jak się miało okazać następnego wieczoru. Chłopiec był jeszcze bardziej podenerwowany i wylęknięty niż poprzedniego dnia. Matka musiała przyprowadzić go do stołu, bo ojciec nie chciał przyjąć do wiadomości, że źle się czuje. Lepiej by zrobił, zostawiając go w spokoju. Sully

wziął jeden kęs gorącej zapiekanki z makaronem, którą matka przygotowała właśnie dlatego, że wszystko tam było miękkie i nie wymagało żucia, po czym chlusnął drugim śniadaniem przez całą długość stołu. Nie wiadomo dlaczego nie rozzłościło to ojca tak, jak przeżuwanie każdego kęsa w nieskończoność poprzedniego wieczoru. Sully zrozumiał, ku swojemu zaskoczeniu, że ojciec blefował. Nie miał zamiaru prowadzić co wieczór długiej batalii. Tego dnia, na przykład, było mu szczególnie spieszo do tawerny na rogu, dlatego kiedy zobaczył, co chłopiec zrobił ze stołem, podniósł się z godnością, rzucił żonie spojrzenie pełne pogardy i wymaszerował za drzwi. Wrócił późno, po zamknięciu lokalu i odegrał się nie na nim, tylko na matce. Sully, który nie mógł zasnąć, słyszał wszystko. Najpierw wrzaski ojca, potem odgłos uderzenia, który rozległ się echem w całym domu, zdumiony krzyk matki, później cisza. Pamiętał, że uśmiechnął się do siebie w ciemności. Koniec końców wygrał.

- Możesz już patrzeć - powiedział Wirf z uśmiechem. - Skończyłem.

Sully udawał zainteresowanie meczem futbolowym między drużynami akademickimi, popatrując w telewizor umieszczony nad barem i zastanawiając się, jaki też może być powód wizyt, które mu składał ostatnio jego ojciec. Teraz przyjrzał się Wirfowi, kręcąc głową. Ponieważ nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby podsłuchać, zdecydował się zapytać.

- Co u licha, słyszałem, że chorujesz?

- Kto, ja? - zdziwił się Wirf, co zabrzmiało niezbyt przekonująco. Sully widział teraz, że Birdie miała rację. Wirf nie wyglądał najlepiej. Jego skóra miała żółty odcień, czego wcześniej nie zauważył przypuszczalnie dlatego, że rzadko widywał Wirfa w dziennym świetle.

- Nie, papież.

- Papież jest chory?

- Niech ci będzie - powiedział Sully. - Nie moja sprawa.

- Twoja, naturalnie, że twoja. - Wirf się uśmiechnął. - Jeśli coś mi się przytrafi, nie dostaniesz swojej grupy inwalidzkiej.

Sully skinął głową potakująco.

- Jak dożyjesz setki, wyjdzie na to samo.

Wirf patrzył w swoje piwo.

- Wygląda na to, że nie dożyję setki - przyznał.

- To opinia lekarzy czy twoje domysły?

Opinia lekarzy, z którą akurat się zgadzam. To między nami - dodał.

- W porządku - powiedział Sully.

Obaj milczeli przez dłuższą chwilę.

- Mówią, że jem za dużo peklowanych jaj - odezwał się w końcu Wirf. - Ta zalewa jest ponoć szkodliwa. Zżera człowiekowi wątrobę.

Sully skinął głową.

- Zwłaszcza jeśli popijasz każde galonem piwa.

- Zwłaszcza - zgodził się Wirf.

- Cóż, mógłbyś dać sobie na wstrzymanie z tymi jajami.

Wirf wzruszył ramionami, po czym pokręcił smutno głową.

- Na to był czas pięć lat temu. Może dziesięć. Mówią, że moja wątroba jest nieodwracalnie zapeklowana. Nie chcą powiedzieć tego wprost, ale odnoszę wrażenie, że w tej chwili nie ma znaczenia, którym halsem żegluję, czy to „zyg”, czy „zak”.

Sully pokręcił głową, czując podobny przypływ frustracji jak dwa dni wcześniej, kiedy Cassandra tłumaczyła mu, że nie ma żadnej możliwości manewru, jeśli chodzi o swoją matkę. Teraz Wirf mówił to samo o sobie. Miał przerąbane, czy będzie coś robił, czy nie. Niewykluczone, że młody wykładowca filozofii z kursu doskonalenia zawodowego miał rację. Może człowiekowi się tylko wydaje, że ma wolną wolę. Może jego własne usiłowania, żeby wymyślić jakieś sensowne posunięcie, też były głupotą. Może nie było wyjścia z tej koleiny, w którą się ostatnio wpakował. Pewnie nawet karta atutowa, którą trzymał w zanadrzu albo wydawało mu się, że trzyma, nie należała już do niego. Może dom jego ojca został przejęty przez gminę Bath albo stan Nowy Jork. Może Carl Roebuck kupił go na wyprzedaży za zaległe podatki.

Była w tej ewentualności jakaś symetria. Może Carl wykorzystał pieniądze, których odmówił jemu i Rubowi, żeby wpłacić zaliczkę? Kto wie? Może Carl też nie miał wyboru? Może wdzięczność za to, że miał pieniądze, wielki dom i najpiękniejszą kobietę w mieście wyłącznie dla siebie, po prostu nie leżała w jego naturze. Może był zaprogramowany, żeby krążyć po okolicy z nieustannym wzwozem, roztaczając urok i wygrywając loterie. Może. Ale Sully czuł mimo wszystko, że teoria jego wykładowcy jest błędna. Wszystko by się rozlało, gdyby tak było. Nigdy nie uważał, że życie nakłada człowiekowi aż tak sztywny gorset, jak sądzili niektórzy (do głowy przychodziła mu w tym momencie Vera, a także pani Proxmire), ale pełny luz to też nie było to.

- Więc co planujesz? - zapytał.

- Nie wiem. - Wirf wzruszył ramionami. Ku zaskoczeniu Sully'ego, nie wydawał się tak bardzo przybity. - Może po prostu będę dalej płynął tym samym kursem, dopóki się da. W tym wieku nie umiem sobie nawet wyobrazić zmiany halsu.

Sully pokiwał głową.

- Ile lat żeglugi ci dają?

- Miesiąc - powiedział Wirf - jeśli będę płynął tym samym kursem. Jeśli zmienię „zyg” na „zak”, mogę zyskać rok albo dwa. Wszyscy wylądujemy w Waldorf-Astorii, Sully, bez względu na to, którym halsem płyniemy. Nie boję się. Przynajmniej jeszcze nie teraz - dodał. - Prawdę mówiąc, nie bałem się w ogóle, dopóki nie zaczęliśmy tej rozmowy.

Sully wstał, przepraszając, że poruszył ten temat. Teraz żałował, że to zrobił.

- Nie ma sprawy - uspokoił go Wirf. - Zastanawiałem się, kiedy coś powiesz.

Sully poczuł nagle falę wyrzutów sumienia, że niczego wcześniej nie zauważył, że nie zwracał uwagi, przynajmniej nie tak, jak powinien.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Wirf.

- Do domu, przynajmniej raz - powiedział Sully. Myśl, że mógłby spędzić następną długą noc „Pod Koniem”, wydała mu się nagle nie do zniesienia. Miał nadzieję, że znajdzie kogoś, kto pomógłby mu ukraść dmuchawę Carla Roebucka, ale w lokalu nie było nikogo poza nim i Wirfem. Nie wyobrażał sobie, żeby zwerbowanie jeszcze jednego kuternogi mogło zwiększyć jego szanse powodzenia. - Spróbuję zaplanować swój następny ruch.

- Ale to chyba nie znaczy, że nie będziesz już ze mną halsować?

Sully zapewnił go, że nie ma obaw.

- Ale może powinniśmy trochę przyhamować - powiedział. - Nie rezygnując całkowicie.

- Hmm. - Wirf pokiwał głową w zamyśleniu. - „Zyg” umiarkowany. Interesująca koncepcja. Podoba mi się, jako alternatywa dla tchórzliwego „żaka”. Skoro mowa o zdrowym rozsądku, czy Miles Anderson się zgadza, żebyś pracował na czarno?

- Zapomniałem zapytać - odparł Sully, kierując się w stronę drzwi.

- Naciskaj - zawołał za nim Wirf. - Inaczej narobisz sobie kłopotów.

Biorąc pod uwagę jego aktualną sytuację, myśl o przyszłych kłopotach wydała się Sully'emu tak zabawna, że zachichotał, podchodząc do wieszaka na płaszcz. Jego kolano pulsowało do wtóru. Ubierając się, stwierdził, że Carl Roebuck miał rację. Coś śmierdziało koło drzwi. A może obaj ulegali temu samemu złudzeniu, uświadamiając sobie nagle, tuż przed wyjściem w zewnętrzny świat, że tkwią po uszy w gównie?

Ta ostatnia interpretacja przypadłaby do gustu młodemu filozofowi z kursu. Lubił znikowane teorie, im bardziej kopnięte, tym lepiej. Sully przeciwnie. Zmarszczył nos. Coś naprawdę śmierdziało, ale nie była to woń przeznaczenia.

Otwierając drzwi, o mało nie wpadł na własnego syna, który aktualnie wchodził do środka. Potrzebował dobrej chwili, nim do niego dotarło, że to on. Ulica za Peterem znów była biała. Śnieg sypał obficie w szarzącym świetle późnego popołudnia. Dla większego efektu, w tej samej chwili zapłonęły uliczne latarnie.

- Co się dzieje, synu? - zapytał Sully, wyciągając rękę na powitanie.

Nie wiadomo dlaczego Peter uznał to pytanie za zabawne.

- Ile masz czasu? - zapytał, podając ojcu rękę gestem pełnym znużonej rezygnacji.

- Przychodzisz w samą porę - powiedział Sully, patrząc na śnieg. - Mam dla ciebie robotę.

Panna Beryl wyciągnęła rękę w stronę domu pani Gruber, stojącego o trzy posesje dalej w górę ulicy. Znów zaczęło sypać. Pani Gruber zapaliła światło na ganku i atakowała świeży śnieg szczotką do zamiatania.

- To jest moja przyjaciółka, pani Gruber - tłumaczyła panna Beryl młodej dziewczynce imieniem Tina. - Nie uwierzysz, ale kiedyś zjadła ślimaka.

Stara kobieta z małą dziewczynką stały naprzeciw okna wychodzącego na ulicę od jakichś pięciu minut. Dokładnie od momentu, kiedy mała Donnelly odłożyła słuchawkę i oznajmiła, że lepiej na wszelki wypadek przestawi samochód.

- Niech jej pani pozwoli patrzeć na mnie przez okno, to będzie stała, dopóki nie wrócę. Nie będzie problemu, jeśli nie zechce jej pani stamtąd ruszyć. Będzie stała i już.

Pannie Beryl pozostało jedynie wyrazić zgodę, chociaż odnotowała sobie w myśli, że to, co ją spotyka, to skutek węszenia po mieszkaniu Sully'ego.

Nie powinna tego robić. Pan Bóg pokarał ją za to, że usłuchała rady Clive'a juniora.

Kiedy Jane Donnelly wymknęła się przez drzwi frontowe, dziecko próbowało pójść za nią, ale panna Beryl powiedziała: - Zobacz, tam jest mamusia - i Tina wróciła do okna. Patrzyła, jak matka wsiada do samochodu i odjeżdża, i od tej chwili stała w tym samym miejscu, tak jak zapowiedziała Jane. Panna Beryl obawiała się, że mała zacznie płakać, ale nic takiego nie nastąpiło. Po prostu stała, wpatrując się w punkt, gdzie zniknęła jej matka, najwyraźniej w oczekiwaniu, że pojawi się znowu dokładnie w tym samym miejscu. Ale odwróciła na chwilę wzrok, podążając za kościstym palcem panny Beryl, kiedy staruszka pokazała jej panią Gruber.

- Żuła go chyba przez pół godziny, po czym wypłuła do serwetki - powiedziała panna Beryl. - Nie uwierzysz, jak się trzęsie nad tymi schodkami. Jeżeli nie przestanie padać, zamiecie je pewnie jeszcze ze dwa albo trzy razy, nim pójdzie spać, po czym rano zacznie od nowa.

Panna Beryl wysłuchiwała mimo woli większej części rozmowy, którą Jane odbyła przez telefon. Dziewczyna najpierw próbowała wynieść do holu stary aparat, który wcześniej potraktowała z taką pogardą, ale sznur okazał się za krótki, postawiła go więc w drzwiach i naciągnęła przewód słuchawki, ile się dało, żeby móc usiąść na schodach prowadzących na górę, do mieszkania Sully'ego. Ponieważ nie dało się zrobić tego wszystkiego przy drzwiach zamkniętych, do panny Beryl dotarło prawie wszystko, co mówiła Jane. Wyglądało na to, że od początku sprawy poszły nie tak. Jeżeli panna Beryl dobrze rozumiała intencje młodej kobiety, ta miała zamiar zadzwonić do ojca i upewnić się, czy może bezpiecznie opuścić wraz z małą swoją kryjówkę. Tymczasem telefon odebrał jej mąż, facet imieniem Roy.

- Daj tatę, Roy - usłyszała panna Beryl. - Bo nie chcę z tobą rozmawiać i już. Gdybym chciała rozmawiać z tobą, tobym zadzwoniła do ciebie.

Przez dłuższą chwilę z holu nie dobiegał żaden dźwięk.

- Cóż, moje gratulacje - powiedziała Jane, kiedy znów przyszła na nią kolej. - Musi ci wystarczyć, bo na mój powrót nie masz co liczyć. Możesz załatwić go do domu i zjeść skurczybyka w całości. Mam załatwioną pracę i mieszkanie... Nie opowiadaj, że mnie znajdziesz, Roy. Wystarczy wywieźć cię z Schuyler i okręcić jeden raz wokół osi i nie będziesz miał pojęcia, gdzie jest południe. Nie znalazłbyś Albany nawet z mapą, a co dopiero mnie w Albany. Jestem pełna podziwu, że trafiłeś do Bath, skoro ci nie mówiłam,

gdzie i w którą stronę masz skręcić. Przecież byłeś tu zaledwie kilkadziesiąt razy... Nie strasz mnie, Roy, twoje pogroźki się skończyły. Będziesz sobie musiał znaleźć inną nierozgarniętą nastolatkę do poniewierania. To będzie o wiele łatwiejsze niż znalezienie mnie... Dobra, troskę o Tinę zostaw mnie, jasne? I nie mów mi, że się zmienisz. Nawet bieliznę zmieniasz co najwyżej raz na tydzień, a zdania nie zmieniłeś ani razu od czasu naszego ślubu. Zmiana to jest temat, z którym powinienś sobie dać spokój... No cóż, tato nawet nie wie, gdzie jestem, z czego wynika, że raczej ci tego nie powie. A jesteś i za wielki buc, i za wielki mięczak, żeby wyciągnąć to od mamy... Daruj sobie te pogroźki, Roy. Pamiętaj, co powiedział sędzia. Porachujesz kości jeszcze jednej osobie i idziesz za kratki... Dobra, próbuj, jeśli chcesz. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby cię zobaczyć w pierdlu. Dobra, będę kończyć. To jest najdłuższa rozmowa, jaką odbyliśmy chyba od roku. Najprzyjemniejsze jest to, że mogę ją skończyć, kiedy zechcę, nie ryzykując, że oberwę... Po prostu wracaj do domu, Roy. Wracaj do domu i zjedz swojego jelenia. Zacznij od tego końca, gdzie jest dupa, i posuwaj się do przodu... Nie, nie wiesz, gdzie jestem. Gdybyś wiedział, już byś tu był i zatrwał wszystkim życie. Nie masz zielonego pojęcia, gdzie jestem. Możesz wrzucić tę sprawę do tej samej przegródki co wszystkie inne rzeczy, których nie wiesz. Jedna więcej powinna się zmieścić... Cześć, Roy... Tak, tak... Nie mogę się doczekać... Wracaj do Schuyler, Roy. Wracaj do swojego jelenia, i smacznego.

Odłóż słuchawkę - myślała panna Beryl, ale rozmowa toczyła się w tym samym stylu przez następne pięć minut. Temperatura rosła, choć sprawy nie posuwały się naprzód, i kiedy wreszcie konwersacja dobiegła końca i młoda kobieta odstawiła telefon na swoje miejsce na stoliku pod ścianą, panna Beryl nie mogła się oprzeć wrażeniu, że to jej mąż się rozłączył, nie ona.

- Lepiej przestawię samochód - powiedziała dziewczyna. Jej twarz wyrażała dziwną mieszaninę irytacji i złych przeczuć. - Jest takim jelowem, że może mnie znaleźć przez czysty przypadek. Kiedy wrócę, pójdziemy z Ptasim Mózdzkiem na górę i będziemy czekać. Lepiej pani w to wszystko nie mieszać.

Za oknem padający śnieg tworzył aureole wokół ulicznych latarni. Pani Gruber skończyła zamiatanie i waliła energicznie szczotką o ganek, żeby ją otrzepać ze śniegu. Każdej zimy udawało się jej w ten sposób połamać dwie lub trzy szczotki, przy czym użalała się gorzko na nietrwałość owych tandetnych wyrobów.

W tym momencie panna Beryl usłyszała niskie, głębokie dudnienie silnika pojazdu, nadjeżdżającego z przeciwnego kierunku. Samochód okazał się wielkim, przeżartym rdzą cadillakiem koloru brudnego śniegu. Panna Beryl nie mogła uwierzyć własnym oczom, widząc, co się znajduje na masce. Nie uwierzyła, dopóki wielki samochód nie zahamował gwałtownie pod tą samą latarnią, pod którą stał przed chwilą samochód małej Donnelly.

Do samochodu przytroczony był jelen. Liny bieły pod maską, zamotane o osłonę chłodnicy i przednie okna w sposób, który mógł być jedynie efektem improwizacji. Głowa zwierzęcia kołysała się na smukłej szyi, język był wywalony, całość zsuwała się niebezpiecznie. Z samochodu wysiadł osiłek ubrany w pomarańczową kraciatą kurtkę i czapkę z nausznikami. Kiedy zatrzasnął za sobą drzwi, jelen zsunął się jeszcze bardziej, napinając oplatające go liny. Wyglądało na to, że mężczyzna patrzy nie na dom panny Beryl, tylko na sąsiedni.

- Tatus - powiedziała dziewczynka. Jej głos zabrzmiał tak nieoczekiwanie, że panna Beryl, która zupełnie zapomniała o małej, chociaż jej dłonie cały czas spoczywały na ramionach dziecka, aż podskoczyła z wrażenia. Kiedy spróbowała odciągnąć dziewczynkę od okna, okazało się, że, tak jak zapowiedziała Jane, nie sposób ruszyć jej z miejsca. Wobec tego panna Beryl zaciągnęła firankę, którą odsuwała każdego ranka, że by wpuścić do pokoju więcej światła. Wyłączyła też stojącą w pobliżu lampę. Przez półprzezroczysty materiał nadal mogły obserwować poczynania mężczyzny. Widziały, jak otwiera tylne drzwi samochodu i wyjmuje strzelbę. Kiedy je zatrzasnął, ładunek zsunął się jeszcze bardziej. Rogi jelenia dosięgały teraz ośnieżonego chodnika, tworząc coś w rodzaju trójnogu. Mężczyzna ze strzelbą obszedł samochód dookoła, spojrzął na swoje trofeum, pokręcił głową, po czym odwrócił się z powrotem w stronę domu, oparł strzelbę na ramieniu i pociągnął za spust. Huk wystrzału zmieszał się natychmiast z odgłosem tłuczonego szkła.

Panna Beryl wykręciła numer policji, nie czekając na następny strzał. Jej rozmowa z oficerem dyżurnym odbywała się przy akompaniamencie dalszej kanonady, gdyż mąż Jane wybijał teraz systematycznie wszystkie szyby na piętrze sąsiedniego domu, zarówno od ulicy, jak i po bokach, wykrzykując coś niewyraźnie pomiędzy kolejnymi salwami. Jak się można było domyślić, wzywał żonę, żeby wystawiła wreszcie tyłek i nie zmuszała go, żeby się po nią pofatygował.

- Niech mnie szlag - powiedział oficer. - To brzmi, jakby ktoś strzelał. Jest pani pewna, że to nie w telewizji?

Zanim panna Beryl zdążyła wrócić do okna, strzały ucichły i wkrótce zrozumiała dlaczego. Pod lampą stała Jane Donnely, wściekła i nie sprawiająca wrażenia przestraszonej. Mężczyzna nie trzymał już strzelby przyłożonej do ramienia, ale przed sobą, na ukos, z jedną ręką na zamku, drugą na lufie. Wyglądało na to, że słucha z uwagą i usiłuje zrozumieć słowa żony, informującej go między innymi o tym, że powybiłszy szyby w niewłaściwym domu. A także o tym, co myśli na jego temat.

W oddali rozległ się dźwięk syreny. Samochód policyjny zajechał przed dom akurat w momencie, kiedy mężczyzna najwyraźniej uznał, że usłyszał dosyć. Panna Beryl zobaczyła, jak unosi się kolba strzelby, a głowa małej Donnely odskakuje do tyłu. Kiedy dziewczyna upadła bezwładnie na chodnik, panna Beryl krzyknęła i chciała zasłonić oczy dziecku, ale wtedy okazało się, że mała zniknęła. Drzwi do mieszkania panny Beryl stały otworem, podobnie jak drzwi domu.

Najpierw zatrzymali się przy IGA, gdzie Sully kupił najmniejszą porcję mielonej wołowiny, jaką znalazł.

- A bułki? - zapytał Peter z roztargnieniem, biorąc do ręki jedno opakowanie. Była to jedna z tych rzeczy, które Sully najmniej lubił u swojego syna: fakt, że rzadko zdarzało mu się naprawdę skupić na czymś uwagę. Bez względu na to, gdzie się znajdował, wydawał się przebywać myślami gdzie indziej. Choć tym razem miał, trzeba przyznać, wytłumaczenie. Poprzedniego dnia, kiedy Ralph pojechał odebrać Willa z restauracji, do której Sully zabrał chłopca na lody, a Vera i Peter odwozili Roberta Halseya do domu kombatanta w Schuyler, Charlotta wsadziła Fangę i Andy'ego do samochodu, zapakowała ich ubrania i zabawki i wyjechała. Upредиła Petera, że zamierza to zrobić, dała mu nawet szansę, żeby pojechał razem z nią. Mógł sam odebrać Willa, po czym wyjechaliby razem. Mogli przynajmniej wrócić do Morgantown jako rodzina. Ale Peter odmówił, tłumacząc jej, żeby się uspokoiła, że omówią wszystko, kiedy on i Vera wrócą z Schuyler Springs. Charlotta ostrzegła go raz jeszcze, że nie będzie miał z kim tego omawiać, ale on nie potraktował jej gróźb poważnie. Wiedział, że jest wściekła i że ma powody. Po prostu nie potrafił sobie wyobrazić, że mogłaby zrobić coś takiego. Spakować rzeczy i wrócić do Wirginii Zachodniej, sama, w nocy.

Vera, będąca u kresu wytrzymałości, przyspieszyła tę konfrontację, oskarżając Charlotte o zniszczenie jej łazienki. Upierała się, że łazienka jest

zdemolowana, że woda, która przelała się z wanny, dostała się pod kafelki, że teraz trzeba będzie wszystko zrywać, co pociągnie za sobą wydatek około tysiąca dolarów. Zdaniem Charlotty była to oczywista nieprawda. W końcu stali w wodzie głębokości cala, co oznaczało, że znajduje się ona na kafelkach, a nie pod nimi. Podłoga nie była zniszczona, tylko mokra. Nie wymagała zrywania, tylko wytarcia. Charlotta popełniła błąd, wypowiadając to wszystko na głos, przez co odmówiła potraktowania sytuacji z powagą, na jaką ta, w przekonaniu teściowej, zasługiwała. Vera skorzystała z okazji, żeby poinformować synową o innych sprawach, za które Charlotta jej zdaniem odpowiadała. To przez nią Peterowi odmówiono przedłużenia kontraktu, na który sobie zasłużył. Może nie na to akurat powoływały się władze uczelni, ale powszechnie wiadomo, że nieodpowiednia żona często bywa powodem zrujnowania kariery męża. Ponościła winę nie tylko za to, że jej dzieci nie umiały się zachować, ale również za oplakany stan ich nieszczęsnego małżeństwa.

- Jesteś kulą u nogi mojego syna - syknęła, po czym padła drama tycznie na kolana i zaczęła wycierać zalaną podłogę łazienki swoimi nowiutkimi ręcznikami, które, jak obwieszczała wśród łkań, nadawały się teraz tylko do wyrzucenia, tak samo jak kafelki. Wszystko, dosłownie wszystko było zrujnowane.

Charlotta zaniemówiła wobec tej litanii oskarżeń, ale ich krzycząca niesprawiedliwość sprawiła, że udało jej się w końcu odzyskać mowę. Zdażyła właśnie dać wyraz swojemu najszczerzszemu przekonaniu, że Vera ma w sobie więcej gówna niż świąteczny indyk farszu, kiedy w drzwiach stanął Robert Halsey, blady i wymizerowany, z trudem chwytający powietrze po wysiłku, jakim było pokonanie trasy od salonu do łazienki.

- Czy ktoś... - zapytał słabym, piskliwym głosem - byłby tak dobry... i odwiedził mnie... do domu?

Vera zerwała się pospiesznie na nogi.

- Widzicie, coście zrobili - wykrztusiła przez łzy, piorunując wzrokiem nie tylko Charlotte, ale i Petera, który usiłował bezskutecznie uspokoić matkę. - Spójrzcie na niego! - powiedziała. - Chcecie go wpędzić do grobu!

Relacja Petera była bardzo oszczędna. Ograniczył się do opowiedzenia, że Charlotta wyjechała z dwoma młodszymi chłopcami, że jej wyjazd był bezpośrednim następstwem awantury z Verą, na którą się zanosilo od dłuższego czasu, aż wreszcie wrzód pękł. Napomknął też znowu, że są i inne przyczyny, nie mające nic wspólnego z jego matką.

Sully był zaskoczony, że syn powiedział mu nawet tyle. I jak to bywa ze zwierzeniami, nie poczuł się lepiej przez to, że więcej wiedział. Peter przedstawiał fakty czy raczej ich zarys, jakby jego to wszystko nie dotyczyło, nie angażując się w pełni nawet w tę relację. Rzeczywiście, był z gatunku tych, którzy wrzeszczą na innych kierowców, nie wychodząc z samochodu, którzy nie mają dość ikry, żeby wysiąść i pogrozić komuś pięścią. Poinformował Sully'ego o odejściu Charlotty beznamiętnym tonem, niemal z roztargnieniem, patrząc w pojemnik z mięsem, jak gdyby wyjaśnienie tego wszystkiego było wypisane na etykietach paczkowanych hamburgerów. Wziął nawet do ręki kilka opakowań, żeby im się lepiej przyjrzeć.

- Psy nie jedzą pieczywa - powiedział Sully, odpowiadając na jego pytanie o bułki.

- Kupujesz mieloną wołowinę dla swojego psa? - zapytał Peter obojętnie, bez ciekawości.

Sully postanowił się wstrzymać z wyjaśnieniami, dopóki Peter nie okaże autentycznego zainteresowania.

- Nie mam psa - odparł. - To nie dla mojego.

Przy kasie Sully zapłacił i zabrał swoją porcję mielonki, zanim kasjerka zdążyła ją zapakować do torebki.

- Nie ma potrzeby, laleczko - powiedział.

- Chce pan paragon? - zawołała za nim.

- Po jakie lichy?

Kiedy wyszli ze sklepu, Sully rzucił Peterowi kluczyki od el camino.

- Ty prowadzisz - poinformował go.

- Co masz przeciwko „alpo”? - zapytał Peter, wycofując samochód z parkingu i kierując go w stronę ulicy.

- Chcę mieć pewność - wyjaśnił Sully, rozrywając celofanowe opakowanie. - Akurat ten pies może nie lubić „alpo”.

Pilotowany przez Sully'ego, Peter wyjechał na szosę wylotową. Sully odszukał w kieszeni spodni fiolkę, którą dostał od Jocko, wydostał z niej dwie kapsułki i wetknął do mięsa.

- To powinno wystarczyć - ocenił. - Nie uważasz?

Peter spojrzął na porcję wołowiny z niewyraźną miną.

Sully nie umiał powstrzymać uśmiechu. Wykształceni ludzie to dziwne istoty. Nie potrafią po prostu przyznać, że czegoś nie rozumieją. Młody wykładowca filozofii w ośrodku doskonalenia zawodowego był taki sam. Zawsze udawał, że rozumie rozmowy o sporcie, które toczyły się, kiedy wchodził do klasy.

- Może masz rację - powiedział Sully, wyjmując trzecią pastylkę.

Dwie wystarczyły dla niego, ale wolał się zabezpieczyć. - Stań tutaj - rzekł, wskazując ogrodzony teren, gdzie Carl Roebuck trzymał swój ciężki sprzęt. - Zjedź pod tylną bramę.

Peter wykonał polecenie, nadal nic nie rozumiejąc.

- Zaczekaj - polecił Sully i wysiadł z samochodu.

Rasputin, doberman Carla Roebucka, skakał już na siatkę, ujadając. Sully przeszedł wzdłuż płotu, szukając dostatecznie dużego prześwitu, żeby wsunąć dołem porcję mięsa. Rasputin, z pianą na pysku, rzucił się na ogrodzenie z niesłabnącą furią. Sully znalazł wreszcie odpowiednie miejsce, położył paczuszkę na ziemi i przepchnął ją patykiem na drugą stronę. Rasputin przestał szczekać mniej więcej na dwie sekundy - tyle potrzebował, żeby pochłonąć mięso jednym imponującym kłapnięciem szczęk - po czym dalej atakował ogrodzenie.

- Mam nadzieję, że będziesz miał przyjemniejsze sny niż ja - życzył mu Sully, przypominając sobie majaki, z których wyrwał go Peter poprzedniego dnia.

- Nie do wiary - odezwał się Peter, kiedy Sully usadowił się z powrotem w samochodzie. - Właśnie pomogłem ci otruć psa, zgadza się?

- Nie - sprostował Sully. - Po pierwsze, to nie była trucizna. Po drugie, w niczym mi nie pomogłeś. Twoja kolej przyjdzie później. Na razie mamy czas na jedno piwo.

- Czemu nie? - zgodził się Peter tonem człowieka, którego już niewiele gorszych rzeczy może spotkać tego dnia.

- Jadłeś kolację?

Peter przyznał się, że nie jadł.

- Dobrze - powiedział Sully, który nagle poczuł, że jest głodny. - Postawię ci hamburgera.

- Nie jestem pewien, czy mam ochotę na twojego hamburgera - zauważył Peter, wyjeżdżając z powrotem na szosę.

Kiedy wrócili „Pod Konia”, Wirf siedział dokładnie w tym samym miejscu, w którym Sully go zostawił. Na ekranie telewizora umieszczonego nad barem rozgrywał się właśnie epizod z „Sądu obywateli”. Wirf wraz z kilkoma innymi osobami odprawiał cowieczorny rytuał, próbując odgadnąć, jaki werdykt wyda sędzia. Starzy bywalcy lokalu rywalizowali o to, kto będzie najbliższy prawdy. Wirf zajmował obecnie w tej klasyfikacji czwartą pozycję, za nocnym barmanem Jeffem, dzienną barmanką Birdie, która czasem zostawała trochę po godzinach, i Sullym, który, niespecjalnie wierząc w sądową

sprawiedliwość, zazwyczaj rzucał w myślach monetą, rozstrzygając bądź na korzyść pozwanego, bądź powoda.

- Pozwany to duppek - mówił właśnie Jeff. Miał zwyczaj wypowiadać zdecydowane opinie i całkiem nieźle przewidywał, jak się sprawy potoczą. - Sędzia w życiu nie rozstrzygnie na jego korzyść.

Birdie pokręciła głową.

- To jest sąd - powiedziała. - To, że ktoś jest dupkiem, nie ma tu nic do rzeczy.

- I tu się mylisz - wtrącił Wirf. - Sędziowie nie darzą dupków większą sympatią niż ty.

Ponieważ towarzystwo nie zauważyło ich wejścia, Sully szturchnął Petera, żeby był cicho, po czym podkrał się do Wirfa i kopnął go z całej siły w goleń jego sztucznej nogi, aż proteza ześliznęła się z poprzeczki taboretu i uderzyła z rozmachem o bar.

- Jezu Chryste! - wykrztusił Peter. Na jego twarzy widniał ten sam wyraz przerażenia co wtedy, gdy odkrył, że jego ojciec zamierza otruć psa. Nie mógł się zdecydować, co jest w tym wszystkim dziwniejsze: to, że jego ojciec podkraża się do faceta i kopie go w nogę, czy to, że tamten nie wykazuje oznak bólu.

- Posuń się - powiedział Sully, sadowiac się na taborecie obok Wirfa. - Jak to się dzieje, że zawsze musisz zajmować dwa stołki?

- Ten drugi trzymałem dla ciebie - poinformował go Wirf.

- Po co - zdziwił się Sully. - Przecież ci powiedziałem, że idę do domu.

- Nigdy nie wierzę w to, co mówisz - wyjaśnił Wirf. - A już na pewno nie wierzę, jeżeli mówisz, że idziesz do domu w piątek o wpół do ósmej wieczorem. Kiedyś zapomnisz, która z moich nóg jest sztuczna - dodał.

Sully skinął głową.

- Już zapomniałem - potwierdził. - Celowałem na chybił trafił. Zdaje się, że nie znasz mojego syna.

Wirf odwrócił się na taborecie, wyciągając rękę do Petera.

- Nic nie rozumiem - powiedział, marszcząc czoło. - Robi wrażenie inteligentnego.

- Bo jest inteligentny - odparł Sully, czując niespodziewany przypływ dumy. Usiłował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni przedstawiał komuś Petera. Doszedł do wniosku, że musiało to być przed wielu laty. - Wykłada na wyższej uczelni.

Wirf uściśnął dłoń młodego człowieka.

- Jeszcze parę dni temu pański staruszek był studentem. Ale musiał być bliski tego, żeby się czegoś nauczyć, bo zrezygnował - oznajmił. - Jak zwykle, ominęły cię największe atrakcje - dodał, zwracając się do Sully'ego.

- To dobrze - powiedział Sully. - Atrakcji miałem dzisiaj pod dostatkiem. A co się stało?

- Jakiś facet zastrzelił jelenia na środku Głównej.

Sully zmarszczył czoło, oceniając tę informację. Pojawienie się jelenia na środku Głównej nie było niemożliwe. W czasach jego dzieciństwa jelenie żerowały na terenach, należących do hotelu Sans Souci. Ludzie mieszkający przy Głównej twierdzili nawet teraz, że kiedy spadnie świeży śnieg, zdarza im się widywać o pierwszym brzasku tropy jelenie na swoich trawnikach, choć sam nigdy niczego takiego nie zauważył.

- Facet musiał uznać, że miał dzisiaj nielichy fart - ciągnął Wirf. - Spędził cały dzień w lesie, odmrażając sobie tyłek, w końcu pojechał do domu, zaparkował samochód, wziął strzelbę z tylnego siedzenia i zastrzelił jelenia na trawniku przed własnym domem. Na przyszły rok będzie pewnie siedział w ciepелku przy oknie, czekając, aż się pojawi zwierzyna.

- Rozumiem, że nie byłeś naocznym świadkiem tego wydarzenia - domyślił się Sully. W Bath wieści rozprzestrzeniały się na ogół szybko i niezgodnie z prawdą.

- Nie - powiedział Wirf. - Nie ruszałem się stąd. Ale wszystko mi zrelacjonowano.

- Uważasz, że ta historia jest prawdziwa?

- Niekoniecznie - przyznał Wirf. - Ale historyjka mi się podoba. Poza tym facet, który mi o tym opowiedział, przysięgał, że widział jelenia na własne oczy.

Sully uśmiechnął się szeroko.

- Pewnie był pijany, tak samo jak ty. Jakiś gość przejechał psa i zostawił go na ulicy. O co się założyliśmy?

- A nie mówiłem! - huknął Jeff. Sędzia rozsądził właśnie sprawę na korzyść powoda, tak jak przewidywał.

Birdie zamachała rękami.

- Dosyć tego - powiedziała. - Idę do domu.

- A może byś nam zrobiła po hamburgerze, zanim wyjdiesz? - zaproponował Sully.

- Kuchnia czynna do siódmej - poinformowała go Birdie, pokazując na zegar ścienny w kształcie piwnego logo. Było piętnaście po.

- W porządku - powiedział Sully. - Sam zrobię.

Jeff pokręcił głową.

- Tiny nie chce, żebyś się tam kręcił. Zawsze zostawiasz upačkany ruszt.

- Jakie chcecie dodatki? - Birdie westchnęła, zsuwając się ze stołka.

- Bułeczka byłaby sympatyczna - powiedział Sully - i co tam jeszcze przyjemnie wygląda... - Jego instrukcje bardzo przypominały te udzielane w południe Rubowi, kiedy chciał hamburgera, którego się w końcu nie doczekał.

- A ty, przystojniaczku? - zapytała Birdie.

- Z wszystkimi dodatkami - powiedział Peter.

Sully zauważył z pewnym zaciekawieniem, że Peter wydaje się oswojony z tego rodzaju komplementami. Kiedy był chłopcem, łatwo było go wprawić w zakłopotanie, ale to się zmieniło.

- Dziękuję - dodał Peter.

- To jest słowo, którego na pewno się nie nauczyłeś od swojego ojca - zauważyła Birdie, znikając w drzwiach kuchni.

W telewizji sędzia wyjaśniał właśnie zasadę współwiny, dzięki której mógł ocenić procentowy udział stron w odpowiedzialności. Nie robiło to takiego wrażenia jak metody stosowane przez młodego wykładowcę filozofii. Tamten ledwie skończył wyjaśniać jakieś pojęcie, na przykład wolnej woli, ta znikła bez śladu, odesłana przez logiczną argumentację do niebytu. Dzielenie takich rzeczy jak odpowiedzialność, co proponował sędzia, też nie było złą sztuką, ale nie miało w sobie tej czystości co filozofia. Dobry filozof umie sprawić, że problem po prostu znika. W jednej chwili odpowiedzialność istnieje, w następnej przestaje istnieć i nie ma czego dzielić.

- Wydał decyzję na korzyść powoda? - zdumiał się Wirf, wpatrując się w sędziego z telewizji z tym samym osłupieniem, co podczas kolejnych rozpraw w sprawie renty inwalidzkiej Sully'ego.

- Tak samo jak tydzień temu - odezwał się Sully. - To jest powtórka, głąbie.

Wirf skinął głową.

- Też mi to jakoś znajomo wyglądało.

- Jak jeździmy do Albany, też za każdym razem jest powtórka - rzekł Sully. - Dlatego niedługo damy sobie spokój.

Wirf wyjął z portfela banknot pięciodolarowy. Już miał go podać Jeffowi, który minimalnie wygrał cotygodniowy zakład.

- Widziałeś to już wcześniej?

Jeff miał rozbiegane oczka, które w tej chwili uciekły w bok.

- Sully chrzani jak zawsze. To wcale nie była powtórka.

- Ja też miałem wrażenie, że skądś to pamiętam - powiedział Wirf.

- W takim razie powinieneś zapłacić podwójnie - zauważył Jeff. - Skoro źle obstawiasz przy powtórkach.

Wirf musiał uznać ten argument za nie pozbawiony słuszności, bo pchnął banknot w jego stronę. Kiedy Jeff podał Sully'emu dwa piwa, ten zabrał je i przeniósł się z Peterem w drugi koniec baru, gdzie nie było ludzi i mogli spokojnie porozmawiać.

- Co takiego? - zaprotestował Wirf. - Nie chcecie ze mną gadać?

- Nie w tej chwili - odrzekł Sully.

- Nie skończyłem ci opowiadać o tym facecie, co zastrzelił jelenia.

- Jest coś jeszcze do opowiedzenia?

- Aresztowali skurczybyka - huknął Jeff z drugiego końca baru. Stał na taborecie, przerzucając kanały, żeby znaleźć jeszcze jeden świąteczny mecz futbolu. - Nie wolno używać broni palnej na terenie miasta. To sprzeczne z prawem - wyjaśnił, na wypadek gdyby ktoś chciał wiedzieć, co stanowiło przyczynę aresztowania.

- Każdy jest prawnikiem. - Wirf westchnął.

- Oprócz ciebie - przytaknął Sully.

Wirf puścił tę uwagę mimo uszu, znów zaabsorbowany tym, co się działo na ekranie.

- Czy ten mecz idzie na żywo? - zapytał podejrzliwie. Ktoś, kto potrafi założyć się z przyjaciółmi o werdykt „Sądu obywateli” przy powtórce programu, nie będzie miał skrupułów z retransmitowanym meczem, którego wynik zna.

- A więc - zapytał Sully. - Co zamierzasz?

Peter wpatrywał się w swoje piwo. Bąbelki pojawiały się znikąd na dnie szklanki, unosząc się i tworząc kożuch piany.

- Chyba jutro pojedę z powrotem. Dałbyś radę mnie podrzucić do Albanii? Tam mógłbym wynająć samochód.

- Jasne - powiedział Sully. - Byłbym cię zawiózł i dzisiaj. Szkoda, że nie przyszedłeś wcześniej. Zaoszczędziłbym trochę pieniędzy.

- Też żałuję, że nie udało mi się wyrwać - zapewnił go Peter.

Sully pokiwał głową ze zrozumieniem.

- Matka, co?

- Coraz bardziej goni w piętę - powiedział Peter, co zaskoczyło Sully'ego, który nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek dzielił się z synem swoją opinią na temat zrównoważenia psychicznego Very.

- Nie zauważyłem, żeby się specjalnie zmieniła - odparł, chociaż widok bylej żony go zaskoczył. Postarzała się mocno od czasu ich ostatniego spotkania. Wydawała się jakaś mniejsza, jakby ciaśniej zamotana czy coś w tym rodzaju.

- Moim zdaniem jest na progu załamania nerwowego i zaraz doprowadzi Ralpa do tego samego.

- Ralph nie wyglądał za dobrze - przyznał Sully. - Dlaczego był w szpitalu?

- Prostata - wyjaśnił Peter. - I okrężnica.

Sully skinął głową.

- Co mówią lekarze?

- Mówią, że będzie dobrze. Nie sądzę, żeby im wierzył. Chcą rozpocząć naświetlania. Ralph nie rozumie po co, jeśli sprawa z guzem wygląda tak, jak twierdzą.

- Mimo wszystko powinien ich posłuchać - wyraził swoją opinię Sully, chociaż zastrzegł sobie prawo do przeciwnego wniosku, gdyby sprawa dotyczyła jego. - To dlatego matka jest taka roztrzęsiona?

- Pół biedy, gdyby o to chodziło. To byłoby zrozumiałe.

Sully odkrył, że nie jest zachwycony tonem, jakim Peter mówi o Verze. Może sam uważał ją za stukniętą, ale nie wydawało mu się w porządku, żeby jego syn był tak niskiego mniemania o własnej matce.

- Bądź dla niej wyrozumiały - powiedział. - Wszystko, co robi, robi głównie z myślą o tobie.

Peter skwitował to uśmiechem.

- Tak sądzisz?

- A ty nie?

Peter wydawał się zastanawiać przez chwilę nad odpowiedzią

- Myślę, że robi to głównie z myślą o sobie. Szczególnie z myślą o swoim cierpieniu.

- Uważasz, że lubi cierpieć?

- Tak uważam.

- Sądzę, że się mylisz - rzekł Sully, chociaż wcale tak nie uważał, przynajmniej nie do końca.

- Powinieneś widzieć wyraz jej twarzy dzisiaj wieczorem, kiedy jej powiedziałem, że idę się z tobą zobaczyć. Jakbym ją własnoręcznie udusił. Myślę, że to był najgorszy moment w jej życiu.

Sully przyjrzał się uważnie swojemu synowi, świadom, że chwilowa dumą z jego osiągnięć ulotniła się, ustępując miejsca poważnym obawom o jego charakter. Wyglądało na to, że to Peter delektuje się wspomnieniem cierpienia matki.

Kiedy pojawiły się hamburgery, Sully poczuł skurcz żołądka, co mu się często zdarzało na widok jedzenia. Podzielił swoją porcję na dwie części, po czym odłożył większy kawałek i trochę frytek na serwetkę.

- Zanieś to Długiemu Johnowi - powiedział do Jeffa. Wirf zwietrzył jedzenie z drugiego końca baru, potem zobaczył hamburgery i obserwował teraz jedzącego Petera z typowym u niego tęsknym wyrazem twarzy.

Peter pochłoniął swojego hamburgera, demonstrując wyśmienity apetyt, co niewątpliwie było skutkiem wyrwania się z zasięgu odświeżaczy Verry. Przyglądał się ojcu na poły z ubawieniem, gdy ten walczył z pozostałą porcją hamburgera, aż wreszcie dał sobie spokój.

- Skoro mowa o lekarzach - powiedział Peter - kiedy po raz ostatni widziałeś któregoś z nich?

- Kilka miesięcy temu.

- W związku z twoim kolanem, zgadza się?

- Zgadza się - potwierdził Sully.

- Miałem na myśli badania kontrolne. Schudłeś ostatnio.

Sully wiedział, że to prawda, chociaż się tym nie przejmował.

- Nie obraż się, ale ty z kolei chyba trochę przytyłeś. - Zauważył, że jego syn, choć faktycznie przystojny, ma zaczątki brzuszka, podobnie jak Carl Roebuck.

- Stacjonarny tryb życia - wyjaśnił Peter. - Siedzenie na tyłku - dodał, kiedy Sully nie zareagował.

- Wiem, co oznacza ten termin - powiedział Sully. - Nie zapominaj, że jeszcze kilka dni temu byłem studentem. To właśnie siedzenie na tyłku budziło moje największe obiekcje.

Peter się uśmiechał.

- Trudno sobie wyobrazić ciebie w szkolnej ławce.

- Trudno wyobrazić sobie ciebie, jak przelazisz przez płot. - Sully wstał i poruszył kilkakrotnie nogą w kolanie. - Ale zaraz się przekonamy, jak sobie z tym radzisz. - Rzucił na kontuar dziesięciodolarowy banknot, płacąc za hamburgery i piwo. Ostatnia dziesiątka, przemknęło mu przez myśl. - Chodźmy zobaczyć, czy ten buc już zasnął.

- Dokąd się znowu wybierasz? - zdziwił się Wirf, kiedy ruszyli w stronę drzwi. - Wypij ze mną jedno piwo.

Sully zauważył, że Wirf wydłubał ser ze swojego hamburgera.

- Co masz do tego sera? - zapytał.
- Dostaję od niego zaparcia - zwierzył mu się Wirf. - Następnym razem powiedz im, że moja połówka ma być bez sera.
- Następnym razem zjem całego.
- Siadaj. Wypij ze mną piwo.
Sully pokręcił smutno głową i spojrzął na syna.
- Spotkałeś już kiedyś faceta z automatycznym pilotem?
- Tak - potwierdził Peter. - Ciebie.
Wirfowi ta riposta najwyraźniej przypadła do gustu.
- Ten chłopak mi się podoba - powiedział.
- To zrozumiałe - rzekł Sully. - Mam swoje udziały w produkcji.
- Fakt, ale akurat nie to mi się najbardziej podoba.
Przy drzwiach, kiedy Sully walczył ze swoim płaszczem, znów poczuł ów dziwny, upórczywy zapach, który czepiał się go przez cały dzień, co jakiś czas docierając do jego świadomości. Tyle że teraz był intensywniejszy.
- Mogę się dowiedzieć, dlaczego mam przelazic przez płot?
- Nie ma problemu. - Sully otworzył drzwi, przepuszczając Petera przed sobą. - Po to, żeby ukraść dla mnie dmuchawę do śniegu.

- Nie jestem pewien - powtórzył Peter trzeci raz z rzędu. Jego ojciec przeciągał kijem po ogrodzeniu, robiąc piekielny hałas i nawołując psa. Rozległy, pełen ciężkiego sprzętu teren po drugiej stronie ogrodzenia był pogrążony w ciemności. Pies mógł znajdować się wszędzie. - Może czai się gdzieś do skoku - powiedział Peter.

Sully spojrzął na niego.

- Pamiętasz, jak przyjechaliśmy tu pierwszy raz? Nie czaił się do skoku, tylko skakał.

Była to prawda. Pies rzucał się na ogrodzenie z pianą na pysku, nim Sully zdążył wysiąść z samochodu. Mimo wszystko jego nieobecność miała swoją wymowę. I budziła lęk. Gdyby znaleźli go umianego, pod płotem, tak jak się spodziewali, Peter by się nie wahał. Ale nigdzie nie było śladu Rasputina. Nawet styropianowe opakowanie po mielonej wołowinie znikło.

- Gdzie jest opakowanie? - zastanawiał się głośno Peter.

Sully po raz kolejny skierował światło latarki na ziemię po drugiej stronie siatki i przejechał wzdłuż ogrodzenia. Opakowania nie było.

- Pewnie je zjadł - wyraził przypuszczenie. - To nie jest najinteligentniejszy pies na świecie. Tylko najbardziej wredny.

- To mnie właśnie martwi - przyznał Peter. - Biorąc pod uwagę, jaki obrót przyjęły sprawy w ciągu ostatnich kilku dni, w ramach zakończenia powinieniem skończyć z gardłem rozszarpanym przez psa łańcuchowego.

- Włazisz czy nie? - zniecierpliwiał się Sully. - Powinieniem był poprosić Wirfa. Nawet kuternoga byłby do tej pory po drugiej stronie.

- Mógłbyś mi jeszcze raz wytłumaczyć, jakim sposobem ta dmuchawa miałaby należeć do ciebie? - zapytał Peter. Sully powiedział mu wcześniej, że „w pewnym sensie” dmuchawa jest jego własnością, bo jej właściciel jest mu winien pewną sumę pieniędzy i nie chce zapłacić. Sully ukradł ją już raz, ale Carl Roebuck ukradł ją z powrotem. Wyglądało to na rodzaj gry. Mimo to cała sprawa budziła jego zastanowienie. To, co robili, tak bardzo przypominało włamanie, że sprawiedliwość mogła okazać się bezradna wobec tak subtelnej różnicy.

- Czuję, że matka tak cię wychowuje - powiedział Sully. Była to skuteczniejsza krytyka, niż się spodziewał.

Peter chwycił ogrodzenie i potrząsnął nim, żeby sprawdzić jego stan.

- Właż - przynaglił go ojciec. - Starzejemy się.

Pokonanie ogrodzenia nie należało do spraw łatwych. Podeszwy adidasów Petera były mokre od stania w błocie i ciągle się ześlizgiwały. Poza tym nie wspinał się na nic od czasów dzieciństwa i własna niezręczność wprawiała go w okropne zakłopotanie. Kiedy w końcu udało mu się postawić stopę na szczycie ogrodzenia, wciskając ją pomiędzy dwa oka siatki, zdał sobie sprawę, że nie ma dość siły, żeby się podciągnąć.

- Co się dzieje? - dopytywał się z dołu jego ojciec. Dobrze pytanie.

- Nic - skłamał Peter, czując, że ręce mu drżą. - Chcę chwilę odsapnąć.

- Nie utknij tam.

Nie utknij. Życiowa rada, rzeczywiście.

I nagle Peter był po drugiej stronie, stał naprzeciw Sully'ego, zaledwie o stopę od niego. Ojciec był ledwie widoczny w ciemności, choć oddzielała ich jedynie druciana siatka. Czując piekący ból dłoni, Peter obejrzał ją z bliska i stwierdził, że skaleczył się o zwieńczenie siatki. Ojciec skierował światło latarki na obrażenie. Było to zaledwie draśnięcie, ale wzdłuż ranki zaczęły się pojawiać drobne kropelki krwi. Peter poczuł dziwne uniesienie na widok skaleczenia i własnej krwi, utoczonej w podejranych okolicznościach, w

obecności niebezpiecznego faceta, który, tak się składało, był jego ojcem.

- Tu masz piłę - powiedział Sully, przesuwając narzędzie pod płotem. - Tam jest tylko kłódka.

Peter podniósł piłę i zaczął się przesuwac po omacku wzdłuż płotu, dopóki nie natrafił na bramę. Po wewnętrznej stronie rzeczywiście wisiała kłódka. Sully oświetlił ją najlepiej, jak się dało.

- Postaraj się nie obciąć sobie palca - rzucił.

Peter ujął rękojesć piły, gładką i dobrze przylegającą do świeżego skaleczenia. Nie wiadomo dlaczego sprawiało mu satysfakcję, że odda ojcu piłę ze śladami swojej krwi na uchwycie. Znał nieufny stosunek Sully'ego do inteligentów, w tym do niego, i wykształcenia, a zwłaszcza do prywatnych szkół, do których uczęszczał, dopóki nie skończyły się pieniądze. Według matki Sully zarzucał jej, kiedy wysłała chłopca do prywatnego liceum, że chce go wychowywać ponad stan. Vera miała na to odpowiedzieć, że to nieprawda, że chce go jedynie wychować ponad stan Sully'ego. Była to jedna z ulubionych anegdot matki, chociaż Peter podejrzewał, że w rzeczywistości rozmowa niezupełnie tak wyglądała.

- Chcesz rękawicę? - zapytał ojciec.

Peter podziękował i zaczął piłować. W nocnej ciszy zgrzyt metalu rozlegał się głośniejsz, niż się spodziewał. Wyobraził sobie, że hałas dociera do miasta, że budzi matkę, której instynkt podpowiada, że to jej trzydziestopięcioletni syn, wykładowca na wyższej uczelni, pomaga ojcu, przed którego zgubnym wpływem go zawsze ostrzegała, włamać się do Tip Top Construction. Konszachty z ojcem za plecami odwiecznej cierpiętnicy budziły u niego przyjemny dreszczyk, sycąc głód narastający od trzydziestu pięciu lat. Towarzyszyło mu mniej przyjemne podejrzenie, że może nie tak znów bardzo się różni od swojego biologicznego ojca, jak to sobie wyobrażał. Fakt, nie był typem faceta, który zostawia żonę i dzieci. Raczej takim, który doprowadza do sytuacji, kiedy to oni mają dosyć i podejmują decyzję o rozstaniu.

Mocując się z kłódką, zaabsorbowany swoimi myślami, Peter nie od razu zdał sobie sprawę z czyjejś milczącej obecności. Ktoś stał nieruchomo w ciemności po tej samej stronie ogrodzenia co on. Pracował dalej, nie oglądając się, czego nauczył go Will, który miał zwyczaj pojawiać się bezszelestnie w jego gabinecie, a właściwie klitce, służącej mu za miejsce pracy. Zostawiał zawsze drzwi uchylone, żeby był przewiew, dzięki czemu chłopiec mógł wejść po cichu i stanąć za jego plecami, by przyglądać się w milczeniu, jak

jego ojciec pracuje, i czekać cierpliwie, aż podniesie wzrok, zauważy go i wtedy Will będzie mógł zdać mu sprawę z najnowszej zbrodni Fangi. Obecność syna często docierała do Petera stopniowo. Wyczuwał, że chłopiec w odruchu jakiejś instynktownej, nad wiek dorosłej solidarności pozwala mu dokończyć czytaną stronę czy notatkę, którą sporządzał na fiszce. Był to drobny podarunek, który Peter zawsze przyjmował z powagą, zanim odwrócił się w fotelu - powoli, żeby nie wystraszyć Willa, który był najbardziej nerwowym dzieckiem, jakie znał - i posadził sobie chłopca na kolanach.

Właśnie ten rodzaj obecności wyczuł teraz za swoimi plecami. Coś tak nieruchomego i spokojnego, że mogło być jedynie złudzeniem albo małym chłopcem czekającym, aż będzie mógł się odezwać. Nie odwracał się więc, żeby sprawdzić, co to takiego, dopóki nie udało mu się przepiłować pierwszego bolca kłódki. Choć było to zupełnie irracjonalne, na wpełń oczekiwał, że w ciemności stoi za nim jego synek.

Ale nie był to Will, tylko Rasputin.

Doberman stał bez ruchu. Nie drgnął nawet wtedy, kiedy Peter odskoczył przerażony i zaczął się czołgać w kierunku płotu. Światło latarki Sully'ego, które było skierowane pod kątem, żeby oświetlić kłódkę, nie od razu odszukało psa, ale kiedy w końcu wydobyło go z ciemności, Peter o mało nie zemdlał ze strachu. Pysk dobermana wydawał się upiornie uśmiechnięty, pies wyszczerzył zęby i odsłaniał dziąsła. Absolutna cisza - nie zakłócana nawet gardłowym pomrukiem, jakiego mógł się spodziewać po zwierzęciu gotującym się do skoku - czyniła ten widok jeszcze bardziej przerażającym. Tyłne nogi psa były szeroko rozstawione.

Tak więc Peter, nim zdążył się zdecydować, czy jest, czy nie jest taki sam, jak jego biologiczny ojciec, przygotował się na śmierć. Nie było mowy o wspinaniu się na ogrodzenie. Pies dopadłby go przy pierwszym ruchu. Nie było też co liczyć na czyjąkolwiek pomoc. Siatka oddzielała go od ojca, który zresztą i tak nie miał broni. Sądząc z tego, jak światło latarki zastygło nieruchomo na pysku Rasputina, Sully również zamarł, zaskoczony, jeśli nie przerażony. Przynajmniej w sekundę będzie po wszystkim, pomyślał. Pies skoczy, rozerwie mu gardło szybko i, jak się modlił, bezboleśnie, bo bez wątplenia pod tym kątem został wytresowany. To ojciec będzie musiał patrzeć ze zgrozą na rozgrywającą się przed jego oczyma straszliwą scenę. Peter mu nie zazdrościł i nie żałował, że rozstaje się z życiem. W jakimś sensie śmierć była dla niego wyzwoleniem. Od Charlotty, której miał już po

dziurki w nosie od dawna. Od gorącej Didi i jej brzoskwiń jedzonych na spółkę. Od zawodu, w którym się nie sprawdził i który zawiódł jego oczekiwania. Od bezlitosnych, nieubłaganych oczekiwań jego matki. Wszystko to zniknie w jednej, litościwej chwili. A potem błogosławiona nieświadomość.

Gdyby tylko pies już skoczył i wszystko się skończyło. Rasputin uśmiechał się nadal, ale nic więcej się nie działo, przynajmniej na początku. W miarę jak mijały wlokące się w nieskończoność ułamki sekund, Peter zauważył, że przednie łapy zwierzęcia drżą ledwie zauważalnie, jak gdyby miał dreszcze. Dygotanie przybierało stopniowo na sile, aż wreszcie łapy ugięły się pod psem i pysk wyładował w kałuży, podczas gdy tylna część ciała nadal sterczała w górze. Pies zastygł na chwilę w tej pozycji, po czym sapnął czy puścił bąka, trudno powiedzieć, i przewrócił się na splechec brunatnego śniegu.

Niewiele brakowało, żeby Peter poszedł za jego przykładem. Powstrzymał go głos ojca, który rozległ się tuż nad jego uchem.

- Ta trzecia pigułka go załatwiła. - Miał irytującą manierę winszowania sobie trafnego sądu w sytuacjach, które stanowiły po temu nie najlepszą okazję. - Pospiesz się, zanim się obudzi.

Niestety, ręce za bardzo mu się trzęsły, żeby robota szła składnie. Piła nie chciała się trzymać wyżłobionej koleiny, a ręka Sully'ego, trzymającego lartarkę, też nie wydawała się tak pewna jak przedtem. Peter napoczął pozostały bolec w trzech różnych miejscach. Kiedy niewiele mu brakowało do końca, ostrze piły pękło.

- Nie szkodzi - powiedział jego ojciec, wsiadając do samochodu.

- Jak to nie szkodzi? - nie rozumiał Peter. Sully opuścił szybę i wychylił się przez okienko.

- Odsuń się na chwilę od furtki.

Peter usłuchał. W miarę jak sprawy przybierały coraz bardziej zwariowany obrót, zaczynał rozumieć, jak może wyglądać obcowanie z jego ojcem. Zasadniczą sprawą było wykonywanie poleceń, zdecydowanie ważniejsze niż ich rozumienie. Rządziły tu zupełnie inne prawa niż te, którym podporządkowane było jego życie wykładowcy. Samochód wyjechał na szosę, nawrócił i wjechał tyłem na podjazd, celując prosto w bramę.

- Równie najeżdżam? - zawołał ojciec.

- Na co?

- Nieważne - powiedział Sully, wjeżdżając tyłem w bramę, która wygięła się do wewnątrz. Kłódka wyprężyła się na ułamek sekundy, po czym prysnęła.

Brama otwarta się powoli, zatrzymując się dopiero na śpiącym Rasputinie, który nawet nie drgnął.

Reszta zajęła im nie więcej niż pięć minut. Dwie wystarczyły, żeby odszukać dmuchawę, którą Carl Roebuck ukrył pod brezentem, trzy pozostałe - żeby załadować ją do samochodu. Kiedy Sully wyjechał za bramę, Peter chciał ją zamknąć, ale ojciec powstrzymał go gestem.

- Co znowu? - zapytał Peter. Jego zdaniem okazał się jak dotąd aż nadto cierpliwością.

Ojciec jak zwykle nie odpowiedział. Grzebał w wielkiej skrzynce na narzędzia, którą woził z tyłu na furgonetce, aż jego palce trafiły na to, czego szukał. Okazało się, że to inna kłódka.

- Lepiej zamknijmy bramę - powiedział, rzucając ją Peterowi. - Jeszcze ktoś coś ukradnie.

Kiedy zatrzymali się na światłach przed IGA, Sully włączył sufitową lampkę.

- Pokaż tę rękę.

Peter pokazał mu z dumą długą rysę o nierównych brzegach. Ranka początkowo krwawiła obficie, teraz krew zastygła, tworząc brązowy strup.

Sully skinął głową i wyłączył światło.

- Dobra - powiedział, wjeżdżając na skrzyżowanie, bo światło zmieniło się w tym czasie na zielone. - Bałem się, że coś sobie zrobiłeś.

Peter patrzył ze zdumieniem na przekrzywiony budynek.

- Masz zamiar przerobić to na pensjonat?

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu. Podczas jazdy opowiedział Peterowi o zleceniu Milesa Andersona, a kiedy syn, ku jego zaskoczeniu, okazał zainteresowanie, obiecał zajechać tam i pokazać mu, który to dom. Ale zamiast tego wpadł na inny pomysł i skręcił w Bowdon, zatrzymując się przed domem Dużego Jima.

- Wsiądźmy na chwilę - zaproponował.

Peter zrobił to z pewnym ociąganiem, jak się Sully'emu wydawało, o co trudno było mieć do niego pretensję. Kiedy stanęli przed czarnym, żelaznym ogrodzeniem, otaczającym zarówno dom, jak i większość terenu należącego do hotelu, Peter chwycił pręty i potrząsnął nimi z powątpiewaniem, aż jego ojca przeszedł dreszcz.

- Mam nadzieję, że nie chcesz, bym na to włąził?

- Chyba że miałbyś ochotę. Tam dalej jest dziura - powiedział Sully,

pokazując mu miejsce, w którym poprzedniego dnia ciężarówka przejechała w czarodziejski sposób przez ogrodzenie.

Prawdę mówiąc, była to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzył, chociaż szpikulce wieńczące ogrodzenie zostały dawno usunięte. Jednak pół godziny wcześniej, pod bramą Tip Top Construction, kiedy wyglądało na to, że Peter może stracić równowagę i nadziać się na ogrodzenie, analogia pomiędzy tym scenariuszem a sytuacją sprzed pięćdziesięciu lat nasunęła się z taką siłą, że był przekonany o nieuchronności straszliwego finału. Nagle wydało mu się zupełnie naturalne, że ma stać się sprawcą tego samego co jego ojciec, który trząśł ogrodzeniem, aż nadział na jeden ze szpikulców chłopca. Tylko że byłoby to jeszcze bardziej przerażające. Później też zachowałby się przypuszczalnie tak samo jak Duży Jim. Podczas tych kilku sekund, kiedy Peter balansował na szczycie ogrodzenia, Sully wyobraził sobie nie tylko swojego syna nadzianego na płot, ale i swoje późniejsze usiłowania, żeby wytłumaczyć Verze, co się stało z ich synem. Tym, którego próbowała chronić, trzymając go z daleka od jego ojca, którego również on sam starał się chronić, schodząc mu z drogi, tak jak chciała jego matka, po to tylko, aby ostatecznie przywieść go do zguby. To przeczucie tego wszystkiego nawiedziło go przy drzwiach gospody „Pod Koniem” pod postacią stęchłej woni.

- Domyślasz się, co to za dom? - zapytał.

Peter przyjrzał się budowli w nikłym świetle, jakie rzucała odległa latarnia.

- A powinienem?

Sully wzruszył ramionami.

- Pewnie nie. Myślałem, że może matka ci wspominała. Należał do twojego dziadka. To dom, w którym się wychowałem.

Wymowa tego faktu, jeśli w ogóle istniała, najwyraźniej nie dotarła do Petera, który nadal oglądał skaleczenie na swojej dłoni. Gest ten uświadomił Sully'emu, jak bardzo się różnili jako ojciec i syn, jak wiele zaprzepaścił, godząc się, żeby Peter był wychowywany przez matkę. Teraz nie był najlepszy moment, żeby zacząć udzielać chłopcu nauk. Według wszelkiego prawdopodobieństwa pierwsze trzydzieści pięć lat życia jego syna wystarczyło, aby go ukształtować. Mimo to pokusa doradzenia mu, żeby przestał studiować zadrapanie, była silna. Wygląd ranki nie zmienił się od czasu, kiedy ostatni raz na nią spojrział. Najlepszą polityką, jeśli chodzi o obrażenia, było ich ignorowanie. To tak jak z kartami w pokerowym rozdaniu, które też się

nie zmieniały, choćby człowiek nie wiadomo ile razy je oglądał. Albo jak z jego własnym kolanem, które oglądał raz dziennie z samego rana, po czym nie zwracał na nie uwagi przez resztę dnia. Jak ze wszystkimi błędami, które człowiek w życiu popełnia, a którymi można się potem zamartwiać, można je obmacywać niczym strupy, ale lepiej zostawić je w spokoju. Dobrze by było powiedzieć to wszystko synowi, ale trzydzieści pięć lat to z pewnością nie najlepszy wiek, żeby zacząć wysłuchiwać ojcowskich pouczeń.

- Jak sądzisz, mógłby ci się na coś przydać? - zapytał Sully.

Peter spojrzął na ojca, potem na chylący się dom i znów na ojca.

Sully wiedział, o czym jego syn w tej chwili myśli. Trudno było się zorientować, czy ta posesja ma jakąkolwiek wartość. Rozsądek mówił mu, że Ruth ma rację, że grunt, na którym stoi, musi być coś wart, szczególnie ze względu na bezpośrednie sąsiedztwo terenów należących do hotelu Sans Souci, ale patrząc na poszarzałe, sfatygowane domostwo, niełatwo było sobie wyobrazić, że ktoś mógł być nim na tyle zainteresowany, aby pieniądze przeszły z rąk do rąk.

- Jasne. Moglibyśmy używać go jako letniego domku - powiedział Peter.

- Wiem, nie wygląda na to, żeby był wiele wart - przyznał Sully. - Ale najprawdopodobniej należy do mnie i chciałbym, żeby jak najszybciej zmienił właściciela.

- Nie dziwię ci się - rzekł Peter, wciąż patrząc na dom.

Sully nie chciał się złościć na Petera, ale czuł, że jego irytacja rośnie. Nie cierpiał, kiedy zmuszało się go do używania cudzych argumentów, a wiedział, że będzie musiał to zrobić, mówiąc to, co powiedziałyby Ruth, gdyby znajdowała się na jego miejscu. - Patrzysz nie na to, co trzeba - zaczął bez wielkiego przekonania. - Gdybyś był właścicielem, od razu powinieś wyburzyć dom i sprzedać na złom to, co by z niego zostało. To grunt może być wart parę kawałków. Zapłaciłbyś zaległe podatki, sprzedał całość i schował zysk do kieszeni.

- Ty mógłbyś zrobić to samo - zauważył Peter nie bez racji.

Sully nie zamierzał omawiać motywów, które nim kierowały, wyjaśniać, że nie chce mieć do czynienia z niczym, co ma jakikolwiek związek z Dużym Jimem, żywym czy martwym. Jak dotąd argument ten nie przekonał nikogo i nie przekonałby również Petera. Prawdę mówiąc, przyszło mu do głowy, że Peter mógł powziąć podobne postanowienie w jakimś momencie swojego życia i nie odwołać go do tej pory.

- Mógłbym, gdybym miał na opłacenie zaległych podatków, ale nie mam.
- Cóż, ja też nie mam - odparł Peter. - Nie jestem nawet pewien, czy stać mnie, żeby wynająć jutro samochód w Albany. Jeżeli nie przyjmą mojej karty kredytowej, będę musiał poprosić cię o pożyczkę.

Sully zaczął się zastanawiać, skąd mógłby wytrzasnąć pieniądze.

- Myślałem, że dobrze ci się powodzi - powiedział, marszcząc brwi. - Jesteś w końcu wykładowcą na wyższej uczelni.

Peter zaśmiał się ironicznie, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że jego ojciec nie wie, na jakim świecie żyje.

- Czy masz pojęcie, ile dostaje młodszy wykładowca, tato?

Prawdę mówiąc, nie wiedział.

- Skoro tak wysoko zaszedłeś, myślałem, że zarabiasz całkiem nieźle.

- Wysoko? - powtórzył Peter, jakby Sully palnął jakąś głupotę.

- Nie znam odpowiedniego terminu - powiedział Sully - ale masz przecież doktorat, prawda?

- Dno, to jest odpowiedni termin - oświecił go Peter. - Każdy ma doktorat. Gdybyś pochodził na zajęcia jeszcze przez kilka miesięcy, pewnie też by ci go dali.

Sully puścił obraźliwy podtekst mimo uszu.

- To dlaczego chciałeś zostać naukowcem?

- Żeby nie być kimś takim jak ty - odparował Peter tak szybko, że Sully zastanawiał się, czemu nie przygotował sobie odpowiedzi zawnazu, bo przecież spodziewał się, jaki obrót przybierze rozmowa. Jak zawsze zaskoczyła go szybkość, z jaką uraza jego syna wypływała na wierzch. Nie chodziło o to, że nie miał powodu, ale niby wszystko było w porządku, aż tu nagle ni stąd, ni zowąd to z niego wyłaziło. - Ściśle rzecz biorąc, to był argument mamy. To ona tego chciała.

- Cóż, oboje możecie się przestać martwić, że kiedykolwiek będziesz taki jak ja.

Na twarzy Petera pojawił się jeden z jego najbardziej irytujących uśmiezków.

- Nie jestem takim twardzielem, co?

- Nawet w przybliżeniu - potwierdził Sully, gdyż była to prawda, a uśmiezek Petera stanowił o tę jedną kroplę za dużo. - Ale za to jesteś mądrzejszy, a to jest coś.

- Ale twoim zdaniem nie tak znów dużo mądrzejszy.

Sully nie odpowiedział od razu. Kiedy w końcu to zrobił, starannie dobierał słowa.

- Nigdy nie chciałem, żebyś był taki jak ja. Bywały chwile, kiedy wolałbym, żebyś był mniej podobny do swojej matki, ale to inna sprawa.

Uśmiezek Petera stał się teraz mniej pogardliwy.

- Fantastycznie. Ona się boi, że skończę tak jak ty, a ty - że skończę tak jak ona.

- To ten - poinformował go Sully, kiedy zajechali pod dom Milesa Andersona.

- Jak wygląda w środku? - zapytał Peter.

- Nie wiem - powiedział Sully. - Dowiem się jutro. Wygląda na to, że wymaga sporo pracy. I dobrze się składa, boja potrzebuję tego samego. Zakładając, że moje kolano to wytrzyma.

Peter skinął głową, oglądając dom w zamyśleniu.

- Co byś powiedział, gdybym chciał ci pomóc przez jakiś miesiąc? - zapytał ku kompletnemu zaskoczeniu Sully'ego.

- Mówisz poważnie?

- Ostatnie zajęcia mam trzynastego grudnia. Wracam na uczelnię dopiero w połowie stycznia.

- Nie wiem, ile mógłbym ci płacić - zastanowił się Sully.

- Stawka minimalna?

- Może trochę więcej - powiedział Sully, przeprowadzając w myślach kalkulację. Jeśli nie zrezygnowałby z Ruba, czego nie mógł zrobić, nie był pewien, czy wystarczy mu pieniędzy, żeby obdzielić trzech mężczyzn, zwłaszcza gdyby miało to potrwać dłużej. - Ale mimo wszystko dół siatki płac.

- W porządku - zgodził się Peter.

- Nie robisz tego aby na złość mamie?

- Nie, potrzebuję pieniędzy.

- Bo że ją to rozzłości, to pewne - uprzedził go Sully.

- Przykro mi - powiedział Peter niezbyt zafrasowanym tonem.

Sully znów poczuł irracjonalny impuls, żeby stanąć w obronie swojej byłej żony, kobiety, o której miał niezbyt wysokie mniemanie i na której, jak sobie to uświadomił, chyba jeszcze mniej mu zależało.

- Możesz zamieszkać u mnie, jeśli masz ochotę - zaproponował zamiast tego. - Miejsca jest dosyć.

- To by ją dopiero rozjuszyło! - Peter się uśmiechnął.

Sully podniósł kołnierz płaszcza, bo na Głównej wiał przenikliwy wiatr, jak zawsze w zimie od czasów jego dzieciństwa, kiedy wędrował tędy do szkoły do centrum miasteczka.

- I przywieź ze sobą Willa - dodał.

Peter znów się uśmiechnął.

- Nie Fangę?

Sully wzruszył ramionami, nie chcąc deklarować określonych preferencji, jeśli chodzi o swoich wnuków, chociaż doskonale wiedział, którego woli.

- Powiedział mi, że macie zamiar się rozwieść.

Peter był wyraźnie zaskoczony.

- Will tak powiedział?

- Pewnie podsłuchał waszą rozmowę - domyślił się Sully. Pamiętał z czasów dzieciństwa, jak leżeli z Patrickiem w ciemności w małym pokoiku, nasłuchując dźwięków dochodzących z sypialni rodziców, czekając na odgłos uderzenia pięścią lub otwartą dłońią. Z początku obaj byli jednakowo przerażeni, ale potem Sully zaczął zauważać u brata stopniową zmianę. Odgłosy przemocy coraz częściej wywoływały na twarzy Patricka mroczny uśmiech. Miał nadzieję, że jego wnuk nie musiał słuchać niczego podobnego.

- Wątpię - powiedział Peter. - Rozmowa to coś, co się nam z Charlottą prawie nie zdarza. Kiedy jedno z nas wchodzi do pokoju, drugie zazwyczaj wstaje i wychodzi.

Sully próbował to sobie wyobrazić, ale nie potrafił. Obie kobiety, z którymi miał w życiu do czynienia, odznaczały się wojowniczym temperamentem. Różniły się, jeśli chodzi o styl: Vera ze swoim bezustannym nękaniem, swoim nieubłaganiem, powolnym wierceniem dziury w brzuchu - dwa kroki naprzód, krok w tył - i Ruth, atakująca brutalnie, dążąca do zwarcia, nie stroniąca od ciosów poniżej pasa. Sully doszedł do wniosku, że woli jedno i drugie niż milczenie.

- Ona uważa, że to ty jesteś wszystkiemu winien.

- Charlotta? - Sully nie mógł w to uwierzyć. Zawsze miał wrażenie, że synowa go lubi.

- Nie, mama.

- Aha - powiedział Sully z uczuciem ulgi. Wcisnął ręce głębiej w kieszenie płaszcza i przy tej okazji zauważył, że w jednej z nich jest dziura. Macając pod podszewką i czując, że jest tam jakieś ciało obce, wydobyl gumowego aligatora, którego kupił od pani Haroldowej, po czym zupełnie o nim zapomniał. Peter przyjrzał się zwierzakowi bez zdziwienia czy zainteresowania. Jeśli chodzi o rzeczy zdumiewające, wieczór przyniósł mu ich wystarczająco wiele. Dlaczego jego ojciec nie miałby nosić w kieszeni aligatora?

Sully powąchał maskotkę, wydzielającą tę samą intensywną, cuchnącą woń, która prześladowała go przez cały wieczór.

- Ten skurczybyk chyba mi narobił w kieszeń.

Peter zmarszczył nos i cofnął się o krok. Sully włożył aligatora z powrotem do kieszeni.

- Nie czuję nienawiści do twojej matki - oświadczył dla porządku.

- To miło z twojej strony - powiedział Peter.

Pojechali z powrotem pod dom Very, zatrzymując się dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Sully zasnął poprzedniego dnia. Żaden z nich się nie ruszył, żeby wysiąść.

- Chcesz usłyszeć dobry dowcip? - zapytał w końcu Peter.

Sully nie był pewien, ale powiedział, że chce.

- Miałem dzisiaj niezłą frajdę - poinformował go Peter, po czym dodał: - Biedna mama. Tego się chyba najbardziej obawia. Że twoje życie to niezły ubaw.

- Powiedz jej, żeby się nie martwiła.

Drzwi od garażu się otworzyły i po chwili ukazał się w nich Ralph, wytężający wzrok na widok obcego samochodu, który pojawił się na jego ulicy. Peter opuścił szybę i zawołał cicho:

- To ja, papciu.

- Tam obok ciebie to twój tato? - zapytał Ralph.

Sully wysiadł z samochodu i pomachał mu.

Ralph podszedł wolnym krokiem do stojącego na podjeździe el camino.

- Co to takiego? - Zdziwił się na widok dmuchawy w tylnej, bagażowej części samochodu. Sully zapomniał o niej, gdy tylko udało mu się ją świsnąć z powrotem. Potwierdzało to jedną z jego życiowych teorii, że pragnienie tego, czego się nie ma, jest uczuciem dużo silniejszym niż satysfakcja z tego, co się ma. Dlatego zawsze był zdania, że posiadanie jest sprawą mocno przecenianą. Jedyne pożytek, jaki z niego płynie, to złagodzenie przykrości, spowodowanej brakiem.

- Dmuchawa, którą ci obiecałem - wyjaśnił Sully. - Chodź i obejrzyj.

Ralph zbliżył się z powątpiewaniem.

- Cudo - powiedział, kiedy przyjrzał się urządzeniu w świetle ulicznej latarni. - Ale mnie na nią nie stać.

- Stać cię, na pewno - zapewnił go Sully. - Dostałem ją za darmo.

- To prawda - potwierdził Peter ku zaskoczeniu Sully'ego, który nie

spodziewał się znaleźć w nim sojusznika. Przeciwnie, liczył się z tym, że surowe zasady moralne, które wpajała chłopcu Vera, każą mu poinformować Ralpa, w jaki sposób weszli w jej posiadanie. Zamiast tego blade światło latarni wydobywało z ciemności jego łobuzerski uśmiech.

- Od czasu do czasu będę chciał ją pożyczyć - uprzedził Sully. - Na przykład wtedy, kiedy będzie naprawdę ostro sypać.

- Jasne - zgodził się Ralph.

Trzej mężczyźni wyładowali wspólnie dmuchawę i przenieśli do garażu Ralpa, gdzie powinna być bezpieczna przez jakiś czas, rzecz jasna, jeśli Carl Roebuck nie zacząłby przeszukiwać systematycznie jednego domu po drugim. Stali teraz w ciemnym garażu, patrząc na skradzione urządzenie.

- To strasznie miło z twojej strony - powiedział Ralph. - Vera na pewno też by chciała, żebym ci od niej podziękował.

- Skoro jesteś pewien - uśmiechnął się Sully. - Przekaż jej, że to drobiazg.

- Gdzie teraz jest? - zapytał Peter ściszym głosem, jak gdyby normalny ton groził, że Vera zmaterializuje się pośród nich.

- W końcu usnęła - powiedział Ralph, który wydawał się podzielać obawę swojego pasierba.

- Niezły dzionek, co? - zauważył Sully.

Wszyscy mężczyźni przytaknęli.

- Charlotta nie dzwoniła? - zapytał Peter.

Ralph pokręcił głową.

- Wciąż nie mogę uwierzyć, że wyjechała i zostawiła cię tutaj. - Najwyraźniej nigdy dotąd nie słyszał, żeby kobieta zrobiła coś takiego swojemu mężowi i chociaż kobiety zaskakiwały go przez całe życie swoimi posunięciami, nie był przygotowany na tę niespodziankę.

- Ojciec podwiezie mnie jutro rano do Albany, więc będziesz mógł zostać z mamą - powiedział Peter.

Ralph nie wydawał się w stu procentach przekonany do tej koncepcji. - A co, jeżeli Charlotta w tym czasie po ciebie wróci?

- Tato - powiedział Peter z przesadną łagodnością, jak gdyby chciał zamortyzować cios. - Ona odeszła. Kiedy kobieta odjeżdża w ten sposób, nie wraca, żeby powiedzieć „przepraszam”.

Ralph westchnął. Wyglądał, jakby miał się za chwilę rozplakać.

- Mogę go zawieźć do Albany, jeśli to dla ciebie problem - zwrócił się do Sully'ego.

- Nie ma problemu - zapewnił go Sully.

- To pierwsza przysługa, o jaką go proszę od dwudziestu lat - zauważył Peter. Uraza znów dała znać o sobie, choć tym razem żartobliwy ton ją nieco złagodził.

W tym momencie Sully wpadł na pewien pomysł.

- Podjedźmy do mnie na chwilę - zwrócił się do syna.

- Teraz? - zapytał Peter znużonym tonem. Jak dotąd opuściła go żona, ukradł dmuchawę do śniegu i omal nie zginął, zagryziony przez dobermana. Było tego dosyć, jak na jeden dzień.

- Tylko na chwilę - nalegał Sully. - Zaraz odwiozę go z powrotem - zapewnił Ralph.

Po chwili byli na miejscu. Sully wyjął kluczyki ze stacyjki i podał Peterowi.

- Bierz - powiedział. - Za trzy tygodnie wracasz, prawda?

- Tak, ale...

- Bierz. - Sully rzucił mu kluczyki na kolana.

- Najpierw chcesz, żebym wziął twój dom, potem samochód. Następnym razem zaproponujesz mi swoją kobietę.

- Nie jestem właścicielem żadnego z tych dóbr. Samochodu też nie. Ten należy do tego samego faceta, któremu ukradliśmy dmuchawę. On to zrozumie.

- On to zrozumie - powtórzył Peter.

- Zgadza się. Już moja w tym głowa.

- Czym będziesz jeździł?

- Jutro odbieram nową furgonetkę - uspokoił go Sully. - Ten był pożyczony. Normalnie stoi na zapleczu - skłamał.

Peter wziął kluczyki i przyglądał się im z powątpiewaniem.

- Aresztuj mnie, zanim zdążę przekroczyć granicę stanu, zgadza się? - westchnął.

- Nie aresztują, jeśli wyjedziesz dzisiaj - powiedział Sully. - Będzie się wściekał przez dzień czy dwa, to wszystko.

- Wiesz, że miałem zamiar wyjechać rano - przypomniał mu Peter.

Sully czytał w myślach swojego syna.

- Jedź teraz. Ralph się zaopiekuje matką. Ty tylko pogorszysz sprawę. Pod tym względem rzeczywiście jesteś do mnie podobny.

Peter przyglądał mu się przez chwilę, po czym włożył kluczyk do stacyjki.

- Wiesz, myślę, że mama ma rację. Miałeś w życiu sporo frajdy. Nieźle się bawiłeś.

- Kiedy się dało - przyznał Sully. Jego samopoczucie rzeczywiście znacznie się poprawiło, kiedy dał Peterowi samochód, który do niego nie należał. Niemal przez cały wieczór prześladowała go myśl, że nie ma synowi nic do zaferowania, kiedy ten znalazł się w potrzebie, i z przyjemnością sobie uświadomił, że jednak coś przegapił.

Uścisnęli sobie dłonie, co wyszło nie najgorzej, jako że trudno przekazać tą drogą ironię czy urazę.

Gdy Peter zawrócił i ruszył z powrotem w dół Głównej, reflektory samochodu wydobyły na chwilę z ciemności jakiś kształt. Sully zmrużył oczy, sądząc w pierwszej chwili, że to kot przycupnął przed sąsiednią posesją i jego oczy rozjarzyły się przez moment odbitym światłem. Ale kiedy podszedł bliżej, okazało się, że to nie kot, tylko jelen, który leżał nieruchomo w śniegu. Zapewne ten sam, o którym opowiadał mu Wirf, co oznaczało, że jego opowieść była prawdziwa. Jeszcze większą zagadkę niż fakt znalezienia martwego jelenia pod jakimś domem stanowiła płatanina sznurów, którymi był omotany. Jak gdyby facet, który go zastrzelił, najpierw go nimi związał. Albo jak gdyby skrępował martwego jelenia, żeby przypadkiem nie ożył. Do kogokolwiek należało usunięcie martwego zwierzęcia, zakładając, że dało się to ustalić, ten ktoś uważał najwyraźniej, że sprawa może poczekać do rana. Wiatr trzepotał karteczką, przymocowaną do sznura. Sully pochylił się, żeby się lepiej przyjrzeć. „Nie ruszać jelenia” - głosiła notatka. W dolnym rogu widniał dopisek: „Komenda policji”. Notatka była nagryzmołona długopisem. Ktoś dopisał ołówkiem przecinek pomiędzy dwoma ostatnimi wyrazami. Sully rozważał przez jakieś trzydzieści sekund różne możliwe rozwiązania zarówno zagadki jelenia, jak i notatki, po czym dał sobie spokój, zadowolony, że są na tym dziwnym świecie tajemnice, które go nie dotyczą. I ogólnie rzecz biorąc, miał zapewne rację, nawet jeśli nie odnosiło się to akurat do tego konkretnego przypadku.

Na górze rzucił swój zimowy płaszcz na poręcz kanapy, po czym opadł na nią wyczerpany, ale w lepszym nastroju, niż - jak się doskonale orientował - miał prawo. Nie przypominał sobie, żeby ostatnimi czasy kiedykolwiek znajdował się w gorszej sytuacji niż ta, z którą miał się zmierzyć nazajutrz rano. Wspaniałomyślne gesty wobec Ralphi i Petera niczego nie rozwiązywały, świadczyły jedynie o pogłębianiu się jego osobistego dylematu. Mimo to czuł irracjonalny przypływ sennego przekonania, że coś na pewno wymyśli. Rozwiązania istnieją. Na jedne człowiek wpada przypadkiem, do innych dochodzi, jeszcze inne przywołuje wysiłkiem woli albo po prostu wymusza.

Jedną z zagadek, które usiłował rozwiązać, siedząc na kanapie, nim zmożył go sen, był smród, od którego nie mógł się uwolnić przez cały wieczór. Carl Roebuck pierwszy zwrócił na niego uwagę pod drzwiami gospody, ale kiedy Sully wyszedł z baru, woń poszła za nim, towarzysząc mu również w samochodzie. W drodze powrotnej z IGA Peter zauważył, że przypomina mu zapach z okolic Boca Raton, gdzie spędzali z Charlottą swój miesiąc miodowy. Później odór stał się tak potężny, że Sully musiał opuścić szybę, mimo panującego na dworze zimna.

Spał zaledwie przez kilka minut, po czym obudził się gwałtownie z koszmaru, w którym źródłem zapachu była jego własna gnijąca noga. Co dziwniejsze, obudził się z gotową odpowiedzią. Sięgnął po płaszcz i włożył rękę do kieszeni, szukając po omacku, aż natrafił na rozdarcie w podszewce, a następnie na zepsutego małża, który zawędrował aż pod drugą kieszeń, gdzie utknął pod zwiniętymi w kłębek rękawicami. Z otwartej teraz skorupy ciągnęła się nitka śluzu, znacząc przebytą trasę. Małż rzecz nieduża, jak słusznie zauważył Wirf, ale Sully nie mógł pohamować wesołości, że znalazł rozwiązanie.

Do uszu panny Beryl, leżącej w ciemności w swojej sypialni, dobiegł śmiech jej sublokatora. Wcześniej usłyszała samochód zajeżdżający przed dom i zastanawiała się nawet przez chwilę, czy wstać i wyjść mu na spotkanie, ale zdecydowała się tego nie robić. Do rana zostało zaledwie kilka godzin. Będzie dość czasu na złe wieści. Prawdę mówiąc, wołała nie widzieć się z Sullym tego wieczoru, nie ulec jego urokowi, nie dać się oczarować wspomnieniu chłopca, którego ona i jej mąż kiedyś tak bardzo lubili. Eda też nie miała zamiaru więcej słuchać. Gdyby to było możliwe, zamknęłaby uszy na ten zuchwały śmiech, który docierał do niej przez sufit, jak gdyby chciał ją podnieść na duchu, jak gdyby po tym wszystkim, co się rozegrało pod jej oknem, cokolwiek było w stanie tego dokonać. A jednak, jaki miły dla ucha był ten dźwięk w porównaniu z pozbawionym ikry, zawodowo modulowanym głosem Clive'a juniora, którego zmuszona była słuchać tego wieczoru, kiedy mówił: „Czy nie ostrzegałem cię przez cały czas?”. Zjawił się razem z tą straszną Joyce, twierdząc, że widział radiowóz, ale panna Beryl podejrzewała, że to jej przyjaciółka pani Gruber go ściągnęła. Przyjechał, kiedy wciąż jeszcze była roztrzęsiona po tym, co zaszło, i powitała go przychylnie. Bądź co bądź był jej synem, nosił nazwisko mężczyzny, który ją niegdyś

kochał, który był światłem jej oczu. Tak, była rada, że go widzi, że ktoś porozmawia ze stojącymi pod domem policjantami ze spokojem i pewnością siebie człowieka, który wypłaca im pensję, a oni będą przytakiwać skwapliwie każdemu jego słowu. Później zwierzyła mu się ze swoich obaw, że w tym roku dosięgnie ją ręka Boga, po czym pozwoliła się przekonać, że to Sully, tak jak ją Clive junior zawsze ostrzegał, jest owym symbolicznym konarem, gotowym spaść jej na głowę. Jak smutno było przyznać rację synowi, widzieć satysfakcję w jego oczach, kiedy zrozumiał, że matka zamierza wreszcie postąpić zgodnie z jego radą. Jakie to okropne, być zmuszoną utracić sojusznika, którym był dla niej od tylu lat Sully. Jakie to straszne uczucie widzieć jasno jak na dłoni, że nie ma wyboru, że nie pozostaje jej nic innego, jak to zrobić.

Część druga

Wtorek

Pierwsze promienie szarego grudniowego świtu wydobyły z mroku nowy transparent, który właśnie zawieszano nad ulicą naprzeciwko jadłodajni „U Hattie”. Cassandra, stojąca za ladą, przerwała pracę, żeby zobaczyć, jaki tym razem będzie napis. Poprzednie hasła nie przyniosły odmiany fortuny. Drużyna Schuyler Springs nie została rozgromiona. Prawdę mówiąc, T Bath w ogóle się nie liczyło w rywalizacji i gazeta „Schuyler Springs Sentinel” po raz kolejny zamieściła artykuł sugerujący, żeby wykreślić je z kalendarza rozgrywek ze względów humanitarnych. Ludzie nie byli też przekonani, czy rzeczywiście wszystkie drogi prowadzą Ź Bath. Ostatnio zaczęły krążyć pogłoski, że odwleka się zapowiadane na lato ponowne otwarcie hotelu Sans Souci. Były też nowe kłopoty z „Podróżą bez Końca”. Pojawiła się opozycja w postaci grupy zatroskanych o to, że trzeba będzie przenieść w inne miejsce nowy cmentarz, położony za rogatkami miasta, co zakłóci wieczny spoczynek na nim pochowanych. Jak dotąd była to zaledwie garstka mieszkańców, którym nie udało się pozyskać dla sprawy nawet członków własnej społeczności. „North Bath Weekly Journal” nie zamieścił relacji z ich dziewiczej akcji protestacyjnej, zorganizowanej pod tablicą z demonicznym klaunem. Jak można się było spodziewać, gazeta z Schuyler Springs, która nigdy nie przegapiła okazji, żeby upokorzyć niegdysiejszego rywala, a obecnego pozornego konkurenta, opublikowała niewielką notatkę na temat tego wydarzenia na jednej z ostatnich stron wydania świątecznego. Po niej nastąpiły trzy dalsze artykuły na temat wynikłej „kontrowersji”, każdy dłuższy od poprzedniego i znajdujący się bliżej pierwszych stron. Zainteresowanie

wywołane publikacjami w „Sentinelu” zmusiło „North Bath Weekly Journal” do opublikowania obszernej polemiki, w której sugerowano, żeby Schuyler Springs, mające swój tor wyścigowy, swoje kąpieliska, swój letni teatr i serię koncertów, przestało wtykać nos w sprawy swojego mniej fortunnego sąsiada i porzuciło wysiłki, by odwrócić tak długo oczekiwaną i tak bardzo zasłużoną odmianę losu. Żywi mieszkańcy Bath potrzebują tego ekonomicznego zastrzyku, dlatego niech umarli grzebią swoich umarłych. Co ważniejsze, teren wyznaczony pod nowy cmentarz nigdy nie był odpowiedni do tego celu ze względu na zbyt bagnisty grunt. Ostatniej wiosny po kilkudniowej ulewie okazało się, że świeżo wykopany grób ma już swojego lokatora. Trumna przemieściła się o kilka stóp w stosunku do pierwotnego położenia. Pod nagrobkiem, do którego była przypisana, znalazła się w tym czasie inna. Zachodziła obawa, że cały regiment trumien, zakopywanych tam w ciągu dziesięciu lat istnienia cmentarza, maszeruje, szereg za szeregiem, w kierunku autostrady z prędkością kilku cali na miesiąc. Może lepiej było wykopać je teraz, dopóki znajdowały się mniej więcej tam, gdzie być powinny, niż czekać, aż dotrą do morza. „Journal” domagał się powołania komisji w celu ustalenia innej lokalizacji cmentarza.

Sully, który właśnie wszedł, otwierając sobie drzwi własnym kluczem, stał w drzwiach, próbując odczytać napis na transparencie. „Gniazdko w Nowej Anglii” - tak chyba brzmiał.

- Gniazdko?

Spojrzał jeszcze raz.

- Gwiazdka - poprawił się.

- Tak czy inaczej bez sensu - skwitowała Cassandra - jako że tu nie jest Nowa Anglia.

- Cóż, do Vermontu jest zaledwie trzydzieści mil - przypomniał jej Sully, zamykając z powrotem drzwi na klucz.

- Wydaje się, że więcej, co? - powiedziała Cass. - Jak to się dzieje, że ich miasta wyglądają jak z pocztówki?

- Mam przyprowadzić staruszkę? - zapytał Sully, widząc, że boks Hattie jest pusty.

Ponieważ Cassandra milczała, Sully uznał to za odpowiedź twierdzącą. Powoli stawało się jasne, że przyprowadzanie staruszki z mieszkania na zapleczu sklepu i usadzenie jej w boksie, gdzie spędzała długie, poranne godziny, wchodzi w zakres jego codziennych obowiązków. Jeżeli tego nie zrobił, Cassandra pozwalała jej walić kościstymi pięściami w drzwi mieszkania, czerpiąc z tego perwersyjną satysfakcję. Hattie była poinstruowana,

żeby nie przychodziła sama do baru, bo po drodze znajdował się stopień, którego nie mogła pokonać bez pomocy. Ale kiedy staruszka uznawała, że zbyt długo zostawiono ją samą, wrzeszczała bez zahamowań na całe gardło i waliła w drzwi, aż jej zartretyzowane dłonie pokrywała groteskowa opuchlizna. „Niech sobie wali” mówiła Cassandra, ale Sully wiedział, że lepiej ją przyprowadzić i usadzić wygodnie w boksie, w którym czuła się szczęśliwa. Podejrzał też, że Cass lubi, kiedy spełnia za nią ten obowiązek, że jest to dla niej króciutki urlop od ciężącej na niej nieustannej odpowiedzialności. Cieszyło ją tych kilka minut, które spędzała sama w ciemnej restauracji, zanim, wraz z otwarciem lokalu o wpół do siódmej, pojawili się pierwsi klienci.

Stara Hattie, której słuch rejestrował poza tym bardzo niewiele, zawsze wiedziała, kiedy Sully po nią idzie. Może wyczuwała po prostu wibracje, które powodowało jego ciężkie stąpanie na korytarzu, bo kiedy wtykał głowę do ciemnego salonu, stara kobieta była w trakcie wstawania.

- Czołem, staruszko - powiedział tego ranka. - Jeszcze wierzgamy, jak widzę.

- Wierzgamy - potwierdziła Hattie z dzikim uśmiechem, wykorzystując oparcie kanapy do wyprostowania się i wysuwając w jego stronę kościsty łokieć.

- Gotowa do pracy? - Sully wziął ją pod ramię i poprawił się, żeby nie stracić równowagi pod dodatkowym obciążeniem. Hattie nie mogła ważyć więcej niż osiemdziesiąt pięć funtów, ale Sully zorientował się szybko, że to wystarczający ciężar, szczególnie o tak wczesnej porze, kiedy jego kolano jeszcze się nie rozruszało.

- Do pracy! - powtórzyła Hattie jak echo, wczepiając się w niego pazurami.

- Momencik - mitygował ją Sully, usiłując wyswobodzić się z uchwytu. - Ustaw się od zdrowej strony. Codziennie ci to powtarzam. Mogłabyś wreszcie zapamiętać!

- Zapamiętać! - huknęła Hattie.

Trwało chwilę, nim znalazła się po właściwej stronie i mogli ruszyć w stronę drzwi.

- Wiem, że uwielbiasz szturchać mnie w chore kolano, ale dzisiaj nic z tego, jasne?

- Jasne!

- Teraz będzie stopień.

- Do góry?
- W dół, zakuta pałko, tak samo jak wczoraj. Myślisz, że ktoś wybudował nowy stopień specjalnie po to, żeby cię zmylić?
- W dół - powtórzyła Hattie i razem pokonali przeszkodę.
- Dobra - powiedział Sully. - Znowu nam się udało.
- Udało!
- Teraz uważaj - powiedział Sully. - Jak będziesz wracać wieczorem, stopień będzie w górę czy w dół?
- W dół!
- W dół? - zdziwił się Sully. - W dół było dopiero co. Nie może być przez cały czas w dół. Prędzej czy później musi być w górę, zgadza się?
- W górę!
- No to jesteśmy, staruszko - oznajmił Sully, kiedy przeszli przez salę pod czujnym okiem Cassandry. - Potrzeba ci czegoś?

Stara kobieta wsunęła się do boksu i usiadła przy stoliku, przesuując dłońmi po blacie z formiki, jakby była tam dla niej jakaś wiadomość, zapisana brajlem.

- A kto to taki? - zapytała w końcu. - Bo tak z głosu to coś jak ten skurczybyk Sully.

- Goni w piętę - powiedział Sully, stając obok Cassandry za kontuarem i zawiązując fartuch.

Cassandra rzuciła mu spojrzenie ponad oprawkami okularów.

- Nie próbuj mnie pocieszać - powiedziała.

Sully pracował „U Hattie” od dwóch tygodni, odkąd Roof zrezygnował i wrócił do Karoliny Północnej, wskutek czego miasteczko Bath pozbawione zostało chwilowo przedstawiciela czarnej rasy, a co za tym idzie, dogodnego pretekstu do używania słowa „czarnuch”. Wcześniej też nie było w zbyt częstym użyciu, a teraz mieszkańcy Bath, przynajmniej ci, którzy regularnie bywali „U Hattie”, przekonali się, że pozostał im na pamiątkę pewien oddech warunkowy. Przez lata, ilekroć im się to wyrwało, oglądali się, żeby sprawdzić, czy nie ma w pobliżu Roofa, i przeprosić, jeżeli dosłyszał. Teraz robili to nadal i było im głupio, kiedy sobie przypominali, że wyjechał. Przez kilka dni starzy bywalcy żartowali sobie, że trzeba wysłać delegację do Schuyler Springs, gdzie czarnoskórych było pod dostatkiem, sądząc ze składu ich futbolowej i koszykarskiej reprezentacji, i wypożyczyć jednego, dopóki nie znajdzie się następcą dla Roofa. Kiedy Sully zdecydował się pomagać Cassandrze przed południem, posypały się docinki, w których celował Carl Roebuck. Przekonał się z ulgą, jak twierdził, że znalezienie nowego

czarnucha na miejsce dawnego jest łatwiejsze, niż się spodziewał.

Pomaganie Cassandrze było oficjalnym powodem, dla którego Sully przejął obowiązki kucharza na rannej zmianie, ale były i inne, wszystkie sprowadzające się do pieniędzy. Od czasu, kiedy pożyczył od Wirfa niewielką sumę na zaliczkę, uzgadniając z Haroldem, że resztę spłaci mu w ratach oraz że będzie mógł wypożyczać pług w razie śnieżycy, nie padało ani razu, co oznaczało, że nie uiści pierwszej raty, którą powinien wpłacić w przyszłym tygodniu. Harold zapewne tego nie oczekiwał, biorąc pod uwagę brak śniegu, ale uporczywy błękit zaczynał działać Sully'emu na nerwy. Poprzednia zima była praktycznie bezśnieżna i jeżeli ta miała być podobna, do wiosny wpadnie po uszy w długie, których nie spłaciłby, nawet mając dwie nogi zdrowe. Stan jego kolana nie pogorszył się wprawdzie, odkąd wrócił do pracy, ale również się nie poprawiał, poza tym obawiał się nowej kontuzji, gdyż wiedział, że to by go załatwiło na dobre.

Praca „U Hattie” za ladą miała swoje zalety. Wyrzewanie kolana przy gorącym ruszcie, przy którym stał, łagodziło stopniowo ból, zawsze najbardziej dotkliwy rankami. Tych kilka kroków, które musiał zrobić pomiędzy rusztem a lodówką, stanowiło dostateczną porcję gimnastyki na kilka porannych godzin, między szóstą trzydzieści a dziesiątą, po których był wystarczająco rozruszany, aby udać się na posesję Milesa Andersona, gdzie pracowali Rub z Peterem, albo na fuchę dla Carla Roebucka, jeżeli ten miał dla niego którąś z tych swoich małych, smrodliwych robótek, jakie uwielbiał mu zlecać. Wolał pracować dla Carla, jeśli tylko się dało, bo przy domu nie było na dobrą sprawę aż tyle roboty, żeby dać zatrudnienie trzem mężczyznom na całą zimę, nawet jeżeli jeden z nich był kuternogą, drugi przygłupem, a trzeci dorabiającym na boku pracownikiem wyższej uczelni. Prawdę mówiąc, był zaskoczony, kiedy Peter zjawił się wraz z samochodem równo dwa tygodnie od swojego powrotu do Wirginii Zachodniej. W tym czasie Sully zdołał niemal całkowicie zapomnieć o propozycji, którą złożył swojemu synowi. Przywykł do myśli, że zlecenie stanowi wyłączną własność jego i Ruba. W zaistniałej sytuacji musiał albo zrezygnować z Ruba, skazując go znów na pracę dla kuzynów, albo znaleźć sobie dodatkowe zajęcie. Tak więc powiedział Cassandrze, żeby się nie martwiła o kucharza na śniadania, przynajmniej przez resztę zimy. Ten krok nie był trudny, kiedy się raz zdecydował. Trudniej było wydebić jakąś fuchę od Carla Roebucka, który ciągle

jęczał, że Tip Top Construction schodzi powoli na psy, a znacznie schodzić szybko, jeśli Clive junior spieprzy sprawę i wypuści z rąk „Podróż bez Końca”. Sully nie przypuszczał, żeby to marudzenie miało jakieś rzeczywiste podstawy. Nie wątpił wprawdzie w możliwości Clive'a Peoplesa, jeśli chodzi o spieprzenie dowolnej sprawy, nie sądził jednak, żeby stało się to akurat w tym wypadku. Musiałoby to oznaczać ruinę Carla Roebucka, a jego fart Sully uważał za jeden z nielicznych stałych elementów na tym skądinąd zmiennym świecie. Było faktem, że Carl zazwyczaj nie miał zbyt wiele roboty o tej porze roku. Co gorsza, wyczuwał szóstym zmysłem, że Sully jest przyparty do muru i bez skrupułów płacił mu mniej, niż ten by zaakceptował w innej sytuacji, mówiąc mu potem, że jest znacznie sympatyczniejszy, kiedy trochę spokojnieje. Sully odpowiadał mu niezmiennie, że na tym właśnie polega różnica między nimi - Carl nigdy nie jest sympatyczny.

Kiedy Cassandra otworzyła o wpół do siódmej, pod drzwiami stała już grupka mężczyzn, przytupujących z zimna i czekających, aż zostaną wpuszczeni do środka, gdzie było jasno i ciepło. Rub, znajdujący się wśród nich, zajął natychmiast taboret jak najbliższej Sully'ego, który stał przy ruszcie i mieszał w misce jajka metalową trzepaczką. Ostatni tydzień, odkąd Peter wrócił do Bath, nie był dla niego łatwy. Dotąd miał Sully'ego tylko dla siebie, nie musiał się nim dzielić z Peterem i dzieciakiem. Zaledwie miesiąc wcześniej trwał w błogiej nieświadomości, nie zdając sobie w ogóle sprawy, że Sully ma syna, nie mówiąc o wnuku. Uważał za chwyt poniżej pasa, że ci dwaj pojawili się bez uprzedzenia, oczekując, że będzie się ich witać z otwartymi ramionami. Nie lubił pracować z Peterem, który nie był tak dobrym słuchaczem jak Sully. Kiedy już się do niego odezwał, co nie zdarzało się często, używał jakiejś innej angielszczyzny niż ta, z którą Rub był oswojony, co sprawiało, że czuł się jak głupiec. Stara Peoples ostrzegęła go w ósmej klasie, że świat nagradza ludzi, mówiących na tyle dobrze, że inni czują się przy nich jak głupcy. Oczywiście miała rację, dlatego nie był nawet specjalnie zaskoczony. Co gorsza, Sully również zaczął mówić inaczej, przynajmniej wtedy, kiedy rozmawiał z Peterem. Wyglądało na to, że to jemu, a nie Rubowi ma teraz różne rzeczy do powiedzenia. Były też pewne sygnały świadczące o tym, że słucha, co jego syn mu odpowiada. Fakt, że Sully słucha Petera i odpowiada mu, szczególnie irytował Ruba, który przywykł myśleć o nim jako o swoim jedynym prawdziwym przyjaciolem. Bądź co bądź, Rub zwierzał mu się ze spraw, o których nie mówił nikomu innemu, nawet

swojej żonie Bootsie. Powierzał mu swoje najgłębsze pragnienia, które nie miały nic wspólnego z Bootsie, nie zatajając niczego. Gdy tylko uświadomił sobie jakieś pragnienie, natychmiast dzielił się nim z Sullym, żeby mogli to wspólnie rozważyć. Jedyna wada Sully'ego polegała zdaniem Ruba na tym, że nie pragnął zbyt wiele ponad to, co miał, a tego Rub nie potrafił wytłumaczyć. Kiedy człowiek stoi na dworze, marznąc i moknąc, jest rzeczą naturalną, że pragnie być tam, gdzie jest ciepło i sucho, toteż Rub pragnął tego, nie tylko dla siebie, co byłoby samolubne, ale również dla Sully'ego. Na tym polega przyjaźń. Peter mógł być synem Sully'ego, ale Rub był przekonany, że nie zależało mu na Sullym tak, jak jemu. Nie był jego prawdziwym przyjacielem. Kiedy więc usadowił się na taborecie, miał ochotę mu wytłumaczyć, jak to jest z tą przyjaźnią, żeby on też wiedział, ale zamiast tego zapytał:

- Mogę pożyczyć dolca?

Sully wsunął długą łopatkę pod pęto kielbasek, przerzucił je szybko na drugą stronę, po czym odwrócił się do Ruba, który natychmiast poczerwieniał, wbijając wzrok w ladę.

- Nie możesz - powiedział.

- Nie to nie. - Rub wzruszył ramionami.

Sully westchnął i pokręcił głową.

- Jak chcesz, możesz pożyczyć dwa jajka.

- Nie da się pożyczać jajek - zaprotestował Rub. - Jak się je zje, to ich nie ma.

- Z pieniędzmi, które ci dają, jest tak samo - zauważył Sully. - Już wolę dawać ci jajka.

Sully wbił na blachę dwa jajka, które zaskwierczały w gorącym tłuszczu. Odkąd przejął poranne obowiązki przy ruszcie, wprowadził, na mocy arbitralnej decyzji, kilka drobnych, ale istotnych zmian. Po pierwsze, jajka były odtąd smażone w tłuszczu wytopionym z boczku. Jego zdaniem smakowały w ten sposób lepiej, poza tym tłuszcz był gotowy do użycia. Podawał też takie tosty, jakie mu było wygodniej - w tej chwili na przykład pszenne, z białego pieczywa. Po usmażeniu nie było widać specjalnej różnicy, ale Sully lubił skończyć jeden bochenek, nim zaczął następny. Jego nieprzejednana postawa stała się już przedmiotem żartów ze strony stołowników, którzy wiedzieli, że poda im śniadanie po swojemu. Zamawiali więc jajko w koszulce na żytniej grzance, świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy, rogalika, pomarańczową marmoladę i ziołową herbatę, mając w ten sposób gwarancję, że zestaw, który otrzymają (sok z kartonu, jajecznicza, grzanka z białego pieczywa

z dżemem truskawkowym plus mętna kawa), nie będzie zawierał ani jednej pozycji z tego, co zamówili. Sully postawił talerz jajecznicy przed Rubem.

- Wiesz, o czym marzę? - zapytał.

Rub zabrał się łapczywie do jedzenia.

- Hej! - zawołał Sully.

Rub podniósł wzrok znad jajek.

- Mówię do ciebie.

- Co? - zapytał Rub. Cały Sully: nie zwraca na niego uwagi, a kiedy wreszcie dał mu jedzenie, nagle mu się zbiera na pogaduszki.

- O czym marzę?

Rub spojrział w twarz przyjaciela, jakby odpowiedź mogła być na niej wypisana.

- Podpowiem ci. Jest to ta sama rzecz, o której marzyłem wczoraj i przedwczoraj. Marzyłem o jednym i tym samym przez ostatnie dwa tygodnie. Każdego ranka marzyłem o tym pod twoim nosem. Wyśpiewywałem to marzenie na cały głos.

Rub, z porcją jajecznicy na widelcu, w pół drogi do otwartych ust, usiłował sobie przypomnieć, co było poprzedniego dnia. Cassandra i dwaj mężczyźni siedzący przy barze, którzy przysłuchiwali się rozmowie, zaczęli znacząco podśpiewywać „Białe święta”. I nagle pojawiła się odpowiedź.

- O pieprzonych białych świętach - powiedział Rub i zadowolony siorbnął ściekającą z widelca jajecznicę.

- Jakbyś zgadł - potwierdził Sully. - O białych pieprzonych świętach.

Mężczyźni przy barze zaczęli śpiewać:

- Marzę o białych, pieprzonych świętach.

Stara Hattie kołysała się w swoim boksie, w jej niewidzącym spojrzeniu pojawiła się łagodna zaduma. Zawsze był to jeden z jej ulubionych kawałków.

Ledwie przebrzmiała piosenka, kiedy do baru wszedł Peter z Willem. Chłopiec był zaspany, ale robił wrażenie zadowolonego, jego ojciec był tylko zaspany. Peter pomógł synowi wdrapać się na taboret obok Ruba, sam usiadł na następnym. Will zmarszczył nos.

- Coś śmierdzi - powiedział.

Sully skinął głową.

- Usiądź na miejscu taty.

Peter i Will zamienili się miejscami.

- Lepiej? - zapytał Sully.
- Trochę - powiedział chłopiec.
- Zaraz będzie dużo lepiej - pocieszył go Sully.

Rub oczyszczał talerz z resztek jajecznicy, głuchy na wszystko inne. Sully wątpił, czy słyszał chociaż słowo z ich rozmowy.

- Jadłeś śniadanie? - zapytał Sully chłopca.

Will kiwnął potakująco głową.

- Babcia zrobiła mi tosta.
- Nie potrafisz sam sobie zrobić?
- Nie w kuchni babci - wtrącił się Peter.
- Chcesz gorącej czekolady?
- Dobrze.

Sully zrobił mu czekoladę z torebki, okraszając hojnie bitą śmietaną z puszeki.

- Będziesz dziś znowu moim pomocnikiem?
- Dobrze - zgodził się chłopiec, z nosem umorusanym bitą śmietaną.

Sully obserwował Petera, który wyglądał tego ranka szczególnie pośepnie. Nie przywykł wstawać tak wcześnie i zazwyczaj nie odzywał się do dziesiątej czy jedenastej.

- Kawy? - zapytał Sully.
- Nie - podziękował Peter zaspanym głosem.

Przyglądał się Rubowi, który właśnie odsunął talerz i dopiero wtedy go zauważył.

- Cześć, Sancho - powiedział Peter.
- Masz czas na filiżankę - powiedział Sully. - Rub się nie spieszy, prawda?

Rub przyjrzał się Sully'emu uważnie, wiedząc, że w pytaniu może kryć się podstęp. Czasem właśnie takie pytanie było sygnałem, żeby ruszył tyłek i zabrał się do pracy.

- Co mamy dzisiaj robić? - zapytał Peter.

Sully wzruszył ramionami.

- Zapowiada się ładny dzień. Ja bym popracował na dworze. Poprzycinał żywopłoty, wygrabił patyki i gałęzie, wywiózł to wszystko. Niech nasz pracodawca ma wrażenie, że robimy jakieś postępy, gdyby się, nie daj Boże, pojawił. Trzeba też będzie w końcu wykopać ten pniak.

- Pomyślałem, że to doskonała robota na wiosnę - powiedział Peter, zdobywając się na słaby uśmiech. - Kiedy mnie już tu nie będzie.

- Nie rozumiem, co on komu przeszkadza - oświadczył Rub, jak zawsze, kiedy pojawiał się temat pnia. - Dlaczego facet nie zostawi go po prostu w spokoju?

- Niektórzy nie lubią pniaków na trawniku przed swoim domem - powiedział Sully. - Powinieneś być zadowolony. Zajmie nam to pewnie z tydzień. To jest tygodniowa wypłata.

- Pniaki nikomu nie szkodzą, i koniec - oświadczył Rub. Jego stanowisko w tej sprawie było wyjątkowo szytywne. - To jest wiąz. Korzenie ma aż do Chin. Pamiętasz wtedy u Carla?

- Nie zaczynajmy od nowa - uciął Sully.

- Chciałbym, żeby nam zapłacił za tę robotę - powiedział Rub nachmurzony.

- W końcu zapłaci - zapewnił go Sully. - Dopilnuję tego.

- Kiedy? - chciał wiedzieć Rub.

- W końcu - powtórzył Sully. - Tak jak ty pójdziesz dziś w końcu do roboty.

- Sam powiedziałeś, że nie ma pośpiechu - bronił się Rub.

- To było pół godziny temu.

Rub zsunął się z taboretu.

- Przyjdiesz, jak skończysz tutaj?

Sully powiedział, że przyjdzie.

Kiedy Rub i Peter wyszli, Will wysączył resztki czekolady, które pozostały na dnie kubka. Nadal miał na nosie kropkę z bitej śmietany. Sully wytarł ją serwetką. Chłopiec uśmiechnął się do dziadka, po czym zmarszczył czoło, spoglądając w stronę drzwi, za którymi właśnie zniknęli tamci dwaj. Coś go najwyraźniej trapiło. Pochylając się w stronę Sully'ego, powiedział pełen zakłopotania:

- Rub śmierdzi.

Sully z kilku powodów miał opory przed kupnem furgonetki, którą jeździł dzięki uprzejmości Harolda Proxmire'a. Po pierwsze, nie stać go było na nią, nawet bez pluga. Poza tym ktokolwiek był jej poprzednim właścicielem, najwyraźniej się z nią cackał. Nigdzie nie było śladu rdzy, a tapicerce w kabinie nic nie można było zarzucić. Nawet lakier na karoserii był dopieszczony. Fakt, samochód miał prawie sześćdziesiąt tysięcy mil przebiegu, ale Sully mógł stwierdzić, że nie były to ciężkie mile. Całkiem prawdopodobne, że nikt jej dotąd nie używał do pracy, a on właśnie miał zamiar to robić. Furgonetki, zdaniem Sully'ego, były jak ludzie. Jeśli się takiej zaczęło pobłażać, trudno było później na niej polegać. Toteż postanowił uświadomić jej od samego początku, że dawne, dobre czasy minęły. Już pierwszego dnia wjechał niechcący na ślup, cofając samochód, przy czym stłukł szkło od kierunkowskazu i wygiął zderzak. W następnym tygodniu otworzył drzwi

prosto na hydrant przeciwpożarowy, kiedy wysiadał przed OTB, żeby ob-
stawić swoje 1-2-3, co pozostawiło imponujące ślady na lakierze. Poprzedni
właściciel wyścielił skrzynię furgonetki gumową wykładziną, żeby ją zabez-
pieczyć, co Sully uważał za wyjątkową głupotę. Hałas, jaki czyniły narzędzia,
kiedy je wrzucał na samochód po skończonej robocie, był miły jego uszom.
Lubił słyszeć, jak łom obija się o metalowe dno, i nie życzył sobie, żeby ktoś
go pozbawiał tej przyjemności. Kiedy po raz pierwszy rzucił klucz francuski
na furgonetkę i nic nie usłyszał, pomyślał, że chybił. Obszedł pojazd dooko-
ła, szukając w śnieżnej zaspie śladu przypominającego kształtem narzędzie.
Ponieważ nie znalazł, zajrzał na furgonetkę. Klucz leżał na środku, na gu-
mowym podkładzie. Następnego dnia sprzedał gumę za dwadzieścia dola-
rów synowi Ruth, który potrzebował czegoś dla poprawienia nastroju.
Gregory rzucił szkołę po ostatnim meczu z Schuyler Springs, najął się jako
pomocnik magazyniera w nowym supermarkecie przy autostradzie i kupił
sobie furgonetkę, żeby mieć czym dojeżdżać do pracy. Wykładzina mu się
spodobała. Mając to plus dmuchany materac, można było urządzić sobie w
furgonetcie randkę. Teoretycznie.

Kiedy późnym rankiem opuścili z Willem jadłodajnię i wsiedli do furgon-
etki, Sully zauważył z satysfakcją, że pojazd zaczyna przypominać w doty-
ku, wyglądzie, a nawet zapachu furgonetkę, która mogłaby należeć do niego,
a nie taką, na którą go nie stać. Szyby pokrył swojski brud, po kabinie wala-
ło się coraz więcej styropianowych kubków po kawie, a podłogę zaścielały
fragmenty gazet poznaczonych śladami podeszew. Will też najwyraźniej
uznał, że furgonetka zaczyna wyglądać, jakby należała do jego dziadka, bo
wchodził ostrożnie, badając grunt pod nogami, jak gdyby pod gazetą mogła
się kryć zamaskowana dziura w podłodze.

Sully przekreślił kluczyk w stacyjce i zaczął wyjeżdżać tyłem z parkingu za
restauracją:

- Mój pas, dziadku - przypomniał mu chłopiec.

Sully zatrzymał samochód i przypiął wnuka.

- No - powiedział. - Gdyby babcia się dowiedziała, że cię wożę bez pasa,
to ze mną koniec, prawda?

- Mama też - dodał chłopiec, pochmurniejąc.

- Rozmawiałeś z nią ostatnio? - zapytał ostrożnie Sully, wrzucając z po-
wrotem wsteczny bieg i zwalniając hamulec.

- Dzwoniła wczoraj wieczorem. Wrzeszczeli na siebie z tatą - wyznał Will
zawstydzony.

- Uhum mruknął Sully. - Ale mimo to cię kochają. To, że się kłóca, nie znaczy, że przestali cię kochać.

Chłopiec nie odpowiedział.

- Wiesz co? - powiedział Sully, kiedy wyjeżdżali z bocznej uliczki na Główną.

Chłopiec milczał, więc Sully szturchnął go w bok.

- Dziadek też cię kocha.

Will zmarszczył czoło.

- Dziadek Ralph?

- Nie, dziadek ja.

- Wiem - powiedział chłopiec.

Najgłupsze, że, jak sobie Sully właśnie uświadomił, była to prawda. Lubił mieć wnuka przy sobie. Pierwszego dnia, kiedy Peter stawiał się rano do pracy z Willem, Sully dał mu do zrozumienia, że to nie najlepszy pomysł.

- Nie będzie przeszkadzał - obiecał Peter, ścisząc głos.

- Nie o to chodzi - powiedział Sully, chociaż o to właśnie chodziło albo głównie o to. - A jeżeli mu się coś stanie?

- W jaki sposób?

- Na przykład uderzysz krzywo młotkiem, gwóźdź ci wyleci i trafi go w oko. Twoja matka wyrwałaby nam nogi z tyłka.

Peter pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Proszę, proszę. Mój ojciec się martwi, że coś może trafić jego wnuka w oko.

- Dobra - powiedział Sully. - Nie chcesz, żebym się przejmował, to nie będę.

- Przejmuj się, jak chcesz. Tylko że to trochę do ciebie nie pasuje.

- Chciałeś powiedzieć, że tobą się nie przejmowałem, tak?

- No cóż - mruknął Peter, kwitując sprawę wymownym wzruszeniem ramion.

I rzecz jasna miał rację. Przez całe dzieciństwo Petera Sully nie martwił się o niego ani razu. Po trosze dlatego, że miał własne zmartwienia. Po trosze dlatego, że Vera potrafiła się martwić za dziesięcioro. Po trosze... po prostu się nie martwił, i już. Zaniedbał to, nie czując wielkiej potrzeby, był nawet zadowolony, że może się usunąć, a w chwilach użalania się nad sobą mówił sobie, że gdyby się włączył w życie syna, pewnie by tylko narobił bi-gosu. Taka była wówczas jego postawa i prawdę mówiąc, nie wydawała mu się ona tak nienaturalna, jak to nowe uczucie, to ściskanie się serca na myśl

o wnuku, jak gdyby naturalne, biologiczne przywiązanie dopadło go z opóźnieniem, przeskakując jedno pokolenie.

- Tak czy inaczej - rzekł Peter - nie mamy wielkiego wyboru.

Wyjaśnił, że po pierwszej wizycie Ralpha w szpitalu Vera wzięła rano parę godzin w sklepie papierniczym.

- A Ralph? - zapytał Sully. - Nie powiesz mi, że też wraca do pracy.

- Proponował, że zajmie się Willem, ale...

- Ale?

Peter wyjaśnił później, kiedy chłopca nie było w pobliżu, że Will nie chciał zostać sam w domu z Ralphem, który, jak wiedział, był ostatnio w szpitalu. Will bał się, że dziadek umrze, kiedy wszyscy wyjdą, i będzie sam z nieboszczykiem w pustym domu, aż do ich powrotu. Może dziwne uczucie, jakie Sully żywił dla chłopca, brało się między innymi stąd, że dostrzegł u niego mnóstwo irracjonalnych obaw. Poza tym Ralph i bez tego był zabiegany, ze swoimi „Lwami”^{*} i Komisją Terenów Zielonych.

* Lions Club - organizacja ochotnicza, skupiająca 1,4 mln członków, uczestniczących w lokalnych i międzynarodowych akcjach humanitarnych (przyj. tłum.).

Zamiast dołączyć do Ruba i Petera, którzy pracowali przy domu Milesa Andersona, Sully najpierw zajechał do biura Carla Roebucka. Kilka dni wcześniej Carl mgliście sugerował, że może pojawić się jakaś robota. Mając niespłaconą furgonetkę, Sully nie mógł sobie pozwolić na zignorowanie żadnej mglistej sugestii. Zaparkował samochód pod biurem, wziął ze sobą Willa i wdrapali się po wąskich schodach na trzecie piętro. Wychodził z założenia, że nawet jeśli nie zastanie Carla, z czym należało się poważnie liczyć, może uda mu się dowiedzieć od Ruby, gdzie jest. Może sekretarka Carla znów będzie miała na sobie swoją prześwitującą bluzeczkę, co zawsze stanowiło widok radujący serce. Ku jego zdumieniu Ruby w biurze nie zastał. Zamiast niej ujrzał Toby Roebuck, która nie miała na sobie nic przezroczyściego, wręcz przeciwnie, ubrana była w obszerną, luźną bluzę, z tych, co to zwykle są opatrzone napisem: „Własność...” studium wychowania fizycznego jakiejś tam uczelni. Co to jest - zastanawiał się - że bardziej podobna mu się Toby Roebuck w workowatej bluzie niż Ruby, młoda powabna kobieta, w półprzezroczyściej bluzeczce? Prawdopodobnie to przez to, że ma sześćdziesiątkę na karku. I że jest starym durniem. I być może jeszcze kilka innych rzeczy, z których żadna nie była pocieszająca. Bez względu na to, co miałyby to oznaczać, ucieszył się, widząc ją za biurkiem Ruby, z telefonem

przy uchu i najwyraźniej w dobrym humorze, sądząc z uśmiechu, jakim go przywitała, wskazując gestem dwa krzesła stojące przy stoliku do kawy.

- Dobrze, Clyde, powiem mu - mówiła do słuchawki. - Ale nie gwarantuję. Wiesz, jak z nim jest...

Sully nie skorzystał z zaproszenia, zamiast tego wetknął głowę do gabinetu. Carla nie było.

Toby odłożyła słuchawkę i spojrzała na Sully'ego.

- Słyszałam, że dokonałeś kolejnego zwrotu w karierze. Czuję zapach smażonego tłuszczu.

Sully miał właśnie powiedzieć parę słów na temat zwrotu, który się najwyraźniej dokonał w jej własnej karierze, ale niestety zdążyła go ubiec. Zauważył też z niepokojem, jak często kobiety robią uwagi na temat jego zapachu, zanim jeszcze się zdąży przywitać.

- To straszne mieć tyle talentów - poskarżył się.

- A to kto taki? - zapytała Toby, przyglądając się Willowi, o którego istnieniu Sully zupełnie zapomniał w jej obecności.

- Mój wnuk - wyjaśnił Sully. - Przywitaj się z panią Roebuck - dodał, zwracając się do Willa.

Will, nieśmiały jak zawsze, wymamrotał coś, co można by uznać za powitanie.

- Nie zdążyłam się jeszcze oswoić z myślą, że masz syna - zauważyła Toby - a tu proszę, jesteś dziadkiem. Trudno to sobie wyobrazić.

- Mój syn powiedział dziś rano coś bardzo podobnego - przyznał Sully. - Co się dzieje? Ruby zachorowała?

Toby się skrzywiła.

- Niestety już tu nie pracuje. Złożyła rezygnację w piątek. Powinnam ją była uprzedzić, że tak się to skończy.

- Dokąd poszła?

Toby wzruszyła ramionami.

- Można by pójść tropem tuszu do rzęs...

- Lepiej nie - zaproponował Sully. - Smętnie się robi człowiekowi na duszy, kiedy pomyśli, ile dziewcząt wylewa łzy przez twojego męża. Wiem, że mamy dziś emancypację i nie wolno mówić, że kobiety są głupie, ale kiedy się widzi, jak wszystkie tracą głowę dla Carla, trudno się oprzeć takiemu wrażeniu.

- A ty chciałbyś, żeby wszystkie durzyły się w tobie?

- Nie wszystkie - sprostował Sully. - Ale skoro Carl potrafi zbajerować aż tyle, ja też powinienem sobie poradzić z jedną czy dwiema.

- Ruth już nie bajerujesz?

Sully zignorował pytanie. Prawdę mówiąc, nie widział Ruth od trzech tygodni, od kiedy Roy ostrzelał niewłaściwy dom, a Jane wylądowała w szpitalu ze złamaną szczęką i poważnym wstrząśnieniem mózgu. Ruth uznała, nie wiedzieć czemu, że to Sully ponosi winę za cały splot wydarzeń. O tym właśnie przysłała go poinformować nazajutrz skoro świt, nim zdążył się na dobre obudzić. Nie była to jedna z ich zwykłych kłótni, toczonych w cztery oczy w motelowym pokoju czy w jego furgonetce. Ruth pojawiła się „U Hattie” zniecacka, nim zdążył pożyczyć Rubowi pierwszego dolara, nim pociągnął pierwszy łyk kawy, nim zdołał ułożyć sobie choć trochę w głowie, co jej powie, kiedy ją spotka. Zaledwie kilka minut wcześniej usłyszał od nadal wstrząśniętej panny Beryl, co się wydarzyło poprzedniego dnia. Kiedy siedział „U Hattie”, usiłował rozstrzygnąć dylemat, czy samemu poszukać Ruth, czy czekać, aż ona znajdzie jego. Szukanie kłopotów było czymś, czego z założenia nie znosił, ale wiedział też, że kłopot może się stać jeszcze większy, jeżeli będzie się czekać, aż on człowieka znajdzie. I oto kłopot znalazł go, nim zdążył podjąć decyzję. Nie od razu zauważył Ruth, zorientował się tylko, że wszyscy przy barze nagle umilkli, jak gdyby wstrzymali oddech.

Kiedy się obejrzał i stwierdził, że stoi obok niego, jej wygląd zaniepokoił go bardziej niż niespodziewana wizyta. Miało się wrażenie, że z dnia na dzień utraciła wszystko, co pozostało z jej młodości. Wyglądała, bez żadnej taryfy ulgowej, na swoje czterdzieści osiem lat i kilka miesięcy. Poza tym było w jej twarzy coś strasznego, coś jakby świadomość, że definitywnie przegrała wielką batalię, którą od dawna toczyła, i teraz, patrząc z dystansu, była zadowolona, że tak się stało.

Czymkolwiek była owa przegrana batalia, nie ulegało wątpliwości, że nie zamierza przegrać potyczki, która miała się rozegrać za chwilę. Sully widział, że Ruth nie będzie się patyczkować ani z nim, ani z nikim, kto w swej głupocie stanąłby w jego obronie. Jedyńm jego ewentualnym sojusznikiem na całej sali mógłby być Rub, który tak się przeraził na widok Ruth, że nie mógł dobyć głosu, aby go ostrzec. Mniej byłby przerażony, gdyby ktoś mu powiedział, że Carl Roebuck znalazł betonowe bloki, które wysypali za tablicą z demonicznym klaunem, a nawet, że oto Bootsie we własnej osobie nadciąga, żeby urwać mu jaja.

I rzeczywiście Ruth nie patyczkowała się z Sullym, który odważnie zagrał jedyną kartą, jaką dysponował, mylnie uważając ją za atut.

- Ruth, przecież nawet mnie tam nie było - powiedział.

Ruth odczekała, aż jej słowa, które zawisły między nimi, zmaterializują się, niczym napis na niebie.

- Wiem, że cię nie było - rzekła szorstko, zniżając głos, jak zawsze, kiedy miała wyprowadzić cios. - Ale powiedz, kiedy ostatni raz byłeś na miejscu, kiedy ktoś cię potrzebował?

Zawsze miała talent do efektownych puent. Sully patrzył, jak Ruth idzie w stronę wyjścia; nie podniósł się z taboretu, nie zawołał za nią. Widział przez okno restauracji, jak wsiada, ku jego jeszcze większemu osłupieniu, do samochodu, w którym czeka na nią Zack. W tym momencie na sali wybuchł obłąkańczy rechot. Sully zastanawiał się przez chwilę, czy rozbrzmiewa w jego własnej głowie, czy panujący w niej zamęt nie przybrał czasem takiej postaci, ale okazało się, że to stara Hattie, siedząca w swoim boksie za jego plecami, odreażowuje w ten sposób napięcie, które niejasno wyczuwała. Uspokajanie matki zajęło Cassandrze resztę poranka.

- Nigdy nie bajerowałem Ruth - poinformował Toby. - Tak się po prostu składało, że lubiła mnie pomimo to.

- Wszyscy cię lubią pomimo, Sully.

- Cóż, lepsze to, niż gdyby mnie mieli w ogóle nie lubić - doszedł do wniosku.

Toby nie odpowiedziała, wskutek czego rozmowa utknęła w martwym punkcie. Gdyby Sully miał w tym momencie wymienić jedną rzecz, której szczególnie nie lubił u kobiet, nawet u tych, do których miał zdecydowaną słabość, byłoby to znaczące milczenie, którym się z upodobaniem posługiwały, jak gdyby chciały dać mężczyźnie szansę, żeby jeszcze raz przemyślał to, co powiedział.

- Widziałam ją wczoraj - oznajmiła w końcu.

- Kogo?

- Kogo? - powtórzyła Toby, przedrzeźniając go. - Ruth, a niby kogo? O kim przed chwilą rozmawialiśmy?

- Ach, ją. - Sully zmusił się do uśmiechu.

- Była z nią mała dziewczynka.

Miało to zapewne być pytanie, ale Sully nie podjął tematu. Jane wciąż przebywała w szpitalu. Sully wiedział jedynie z grubsza, co się działo w ciągu ostatnich dwóch tygodni. Vince przyszedł kiedyś „Pod Konia” późnym wieczorem, po zamknięciu lokalu Jerry'ego, i poinformował go, jak sprawy stoją. Według jego informacji Ruth wzięła dwa tygodnie bezpłatnego urlopu i w IGA, i w pizzerii (za co Vince obarczał odpowiedzialnością Sully'ego),

aby móc opiekować się Tiną podczas pobytu córki w szpitalu. Znaczny uszczerbek dochodu sprawił, że Zack zaczął rozważać znalezienie sobie stałego zajęcia. Roy, któremu nie udało się wyjść za poręczeniem, nadal przebywał w areszcie, czekając na proces. Wszyscy wydawali się zgodni, że to dla niego najlepsze miejsce, zwłaszcza kiedy zapowiedział, że jak tylko wyjdzie na wolność, policzy się z Sullym za ukrywanie jego żony i dziecka.

- A więc? - powiedziała Toby.

- A więc? - powtórzył bezmyślnie Sully.

- A więc, krótko mówiąc, z tobą i Ruth koniec.

- To prawda, że jestem do wzięcia, jeśli tego się chciałaś dowiedzieć.

- Oj, Sully, Sully.

- Twój mąż też to zawsze powtarza - zauważył Sully. - Ale nie odpowiedział na moje pytanie - dodał, widząc okazję do zmiany tematu. - Jesteś tu tymczasowo czy zawsze mogę wpaść i cię zastać?

- Na jakiś czas, na to wygląda - odparła Toby. - Carl jest na placu, gdybyś go szukał. Mówi, że jest nowym człowiekiem. Poczynił ponoć liczne postanowienia. Powinieneś go o to dokładnie wypytać. Ale to było chyba z godzinę temu, dlatego może nie pamiętać.

Sully skinął głową, wstając.

- Umieram z ciekawości. Gdybym go nie spotkał, przekaz mu, że byłem - powiedział. - I co, brachu? Gotów do wyjścia? - zwrócił się do Willa.

Will, który nie odezwał się ani słowem od chwili, gdy wymamrotał pod nosem coś w rodzaju przywitania, wstał i ruszył w stronę drzwi, wyprzedzając dziadka.

- Na pewno jest z tobą spokrewniony? - zapytała Toby.

- Na mur beton - zapewnił ją Sully. Po czym, kiedy chłopiec był za daleko, żeby go usłyszeć, dodał: - Nie chcę nic mówić, ale Ruby zawsze nosiła takie prześwitujące bluzeczki. Oczywiście, to twoja sprawa...

Sully nie wiedział właściwie, czego się spodziewa po tej prowokacji. Może tego, że Toby rzuci czymś w niego z udanym oburzeniem. Na wszelki wypadek zaczął zamykać drzwi, kiedy jeszcze mówił, i zanim skończył, została tylko niewielka szpara. Bardzo niewielka. Nie był więc pewien, czy nie przywidziało mu się to, co zobaczył, kiedy Toby, wciąż siedząc za biurkiem, uniosła bluzę na ułamek sekundy i natychmiast ją opuściła. Stał jak wrośnięty w ziemię na korytarzu pod drzwiami biura. Nie wiedział, jak długo to trwało. Jedno uderzenie serca? Dwa? Trzy?

Głos Willa, dochodzący z dołu schodów, przywrócił mu poczucie czasu i przestrzeni. - Co się dzieje, dziadku? - pytał chłopiec. Jego buzia zastygła w wyrazie nagłego niepokoju.

Zza drzwi dobiegł go wybuch śmiechu.

- Aha, dziadku! - zawołała Toby. - Co się dzieje?

Złodziejska wyprawa Sully'ego i Petera po dmuchawę nie obyła się, o czym wówczas nie wiedzieli, bez ofiar i niewiele brakowało, aby mieli życie na sumieniu. Rasputin, doberman Carla, dostał wylewu. Widzieli wprawdzie, jak się zwała z nóg, ale sądzili, że po prostu zasnął na stojąco i przewrócił się. Byli w błędzie. Wpojony przez tresurę przymus wewnętrzny, by rzucać się na każdego nieproszonego nocnego gościa, znalazł się w ostrym psychologicznym konflikcie z dobroduszością i sennaścią, wywołaną przez podany specyfik. Pies nie mógł rozstrzygnąć dylematu: zagryźć intruza czy zasnąć i jego układ nerwowy po prostu odmówił posłuszeństwa.

Od tamtego czasu Rasputin tylko w niewielkim stopniu odzyskał sprawność. Jego sylwetka była teraz przekrzywiona na jedną stronę. Jedna połowa ciała była prawie zupełnie niesprawna. Dawna bojowa natura znikła bez śladu. Pies jak gdyby docenił wreszcie powaby solidnej drzemki, spał teraz niemal bez przerwy, a w pozostałym czasie wałęsał się bez celu wzdłuż ogrodzenia, jakby szukał tam swojej utraconej agresji. Z jednej strony pyska sęczył mu się strumyczek śliny. Gości, którym wcześniej działał na nerwy jego głęboki, gardłowy pomruk, teraz witał czule, ocierając się o nich swoim długim pyskiem i liżąc ich dłonie. Wszystkich, z wyjątkiem Sully'ego.

Możliwe, że pies nigdy nie zapomina swojego truciciela. Kiedy Sully zajechał pod bramę i wysiadł z samochodu, Rasputin, który spał w swoim ulubionym miejscu - tam gdzie upadł, kiedy hamburger Sully'ego zmienił jego życie - obudził się, zawarczał głucho i usiłował wstać. Operacja ta zawsze przyciągała tłumek gapiów. Carl Roebuck i dwaj robotnicy, którzy właśnie wyszli z firmowego barakowozu, zatrzymali się, żeby obejrzeć ten uciśzny spektakl. Kiedy Rasputin już wstał, kuśtykał całkiem nieźle, ale podnieść się po długiej drzemce na chłodnej ziemi udawało mu się na ogół dopiero za piątym czy szóstym razem. Problem tkwił przypuszczalnie w tym, że zdrowa połowa, reagująca tak jak zawsze, nie miała cierpliwości do tej drugiej, uszkodzonej, która za nią nie nadążała. W efekcie pies kręcił się w kółko, niczym łódź z jednym wiosłem, aż wreszcie padał i wszystko

zaczynało się od nowa. Dopiero kiedy się zmęczył, sprawna strona dostrajała się do strony dotkniętej wylewem i wstawał. Do tego czasu był gotów do następnej drzemki.

Mężczyźni stojący na stopniach barakowozu obejrzelili kilka nieudanych prób, kręcąc głowami z ubawieniem i niedowierzaniem. Sully i Will też przyglądali się przez chwilę. Oczy chłopca zrobiły się okrągłe ze zdumienia i przerażenia.

- Co mu jest, dziadku? - zapytał.

- Miał mały wypadek parę tygodni temu - wyjaśnił Sully, który od tamtej pory widział psa kilka razy. - Chcesz na barana?

Will przytaknął entuzjastycznie, wobec czego Sully zarzucił go sobie na plecy.

- Kogo ja widzę - zawołał Carl Roebuck na widok Sully'ego i chłopca. - Przyszedełś podziwiać swoje dzieło?

- Nie moja wina, że masz pokręconego dobermana - powiedział Sully, stawiając Willa na stopniu. Chłopiec nadal obserwował nieufnie kręcącego się w kółko Rasputina. Słyszac głos Sully'ego, sfrustrowany pies wydawał teraz urywane skowyty.

- Myślę, że to jest twoja wina. Żałuję tylko, że nie potrafię tego udowodnić. Wiem, że najchętniej stalibyście tutaj przez całe popołudnie i patrzyli, jak ten pies dostaje następnego wylewu... - dodał pod adresem robotników, przyglądających się Rasputinowi.

- Ja bym stał i patrzył, przyznając się bez bicia - powiedział jeden z nich, ale ruszył wraz z drugim mężczyzną w stronę bramy. Carl i Sully z chłopcem weszli do środka.

Carl usiadł za metalowym biurkiem, zakładając nogi na blat, po czym przyjrzał się najpierw chłopcu, a następnie Sully'emu.

- Don Sullivan - oznajmił porozumiewawczym tonem. - Złodziej dmuchaw do śniegu, truciciel psów, zongler naleśnikami. Potajemny ojciec i dziadek. Majster-klepka do wszystkiego. Jak interesy?

Sully usiadł.

- Cieniutko, jak zawsze - powiedział, zachęcając Willa gestem, że by podszedł bliżej i usiadł na kanapie. - Tylko jej nie pobrudź - uprzedził.

Will spojrział z lękiem na mebel. Obicie było w strzępach, przez dziury wylazła gąbka. Chłopiec usadowił się ostrożnie i zauważył, że obaj mężczyźni przyglądają mu się z uśmiechem.

- Czy dziadek ci opowiadał, jak truje psy?

Oczy chłopca znów się rozszerzyły.

- Kradnie też ludziom dmuchawy do śniegu.
- Nie zwracaj uwagi na tego człowieka - powiedział Sully. - On po prostu nie wie, gdzie co ma.
- Schowałeś ją nieźle, to fakt - przyznał Carl.
- Sully skinął potakująco głową.
- Myślę, że tym razem możesz się z nią pożegnać. - Uprzedził pannę Beryl, że Carl może się kręcić w pobliżu i węszyć, i nie pomylił się. Sully powiedział jej, żeby pozwoliła mu przeszukać jego mieszkanie, jeśli będzie miał ochotę. Ale kiedy mu to zaproponowała, Carl odparł ze smutkiem, że Sully nie ukryłby zdobyczy w tak oczywistym miejscu, a nie ma u siebie nic, co warto byłoby gwizdnąć w charakterze zastawu.
- Prędzej czy później wyjdzie sztydło z worka - powiedział Carl. - Na mur beton, kiedy spadnie śnieg.
- Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby spadł - przyznał Sully, myśląc o pługu śnieżnym Harolda i pieniądzach, które mógłby dzięki niemu zarobić.
- Dobra śnieżycy czy dwie i uwolniłbym się od ciebie na dobre.
- Carl uśmiechnął się szeroko.
- Nigdy się ode mnie nie uwolnisz. Choćby było dwadzieścia burz śnieżnych, a ty miałbyś dwadzieścia pługów, tydzień później znów nie miałbyś centa przy duszy.
- Nigdy nie twierdziłem, że mam fart. W miasteczku tej wielkości jest miejsce tylko dla jednego szczęściarza i ty nim jesteś. Reszta musi po prostu robić, co się da.
- Jesteś jedynym facetem, jakiego znam, który wierzy w fuksy - prychnął Carl.
- Sully skinął głową.
- Wierzyłem w inteligencję i ciężką pracę, dopóki nie poznałem ciebie. Tylko fuks może stanowić wytłumaczenie twojego przypadku.
- Ale wciąż nie wyjaśnia twojego.
- Wyjaśnia go pech. - Sully się uśmiechnął.
- Na twarzy Carla pojawił się ten jego uśmieszek, który potrafił doprowadzić człowieka do szału.
- Znalazłeś już sobie nowe mieszkanie?
- Nie przypominaj mi - powiedział Sully. Obiecał panie Beryl, że wyprowadzi się do końca roku, miał więc na to jeszcze około dwóch tygodni, ale jak dotąd nie poczynił wielkich postępów, jeśli chodzi o szukanie nowego lokum. Clive junior usiłował go wyeksmitować nazajutrz po incydencie, ale Sully odesłał go do diabła. Wyprowadzi się, jeśli panna Beryl wyrazi takie

życzenie, nie wcześniej. Choć wyglądało na to, że wszyscy chcą go oskarżać o wszystko, Sully nie czuł się za nic odpowiedzialny. Nie było go w domu, kiedy to się stało, i nigdy nie widział na oczy faceta, który strzelał. Jane mogła przyjechać do panny Beryl, licząc, że znajdzie u niego schronienie, ale to nie czyniło go odpowiedzialnym za wszystko, co z tego wynikło. Kiedy rozważył na spokojnie wszystkie wymierzone w niego oskarżenia, doszedł do wniosku, że ostrzał jego skromnej osoby jest stanowczo za ciężki. W uszach wciąż jeszcze dźwięczały mu słowa, które cisnęła mu w twarz Ruth, kiedy z kolei Clive junior zaczął swoje. Niech się od niego wszyscy odpieprzą - tak można by w skrócie ująć jego stanowisko.

Ale wieczorem, kiedy siedział z Wirfem „Pod Koniem”, robiąc kolejny „zyg”, doszedł do wniosku, że chyba jednak się wyprowadzi. Panna Beryl go nie oskarżała i w zamian za jej dobroć wypadało zadbać, żeby przestała się znajdować na linii strzału. Może nie był sprawcą tego, co się stało, ale bez niego by do tego nie doszło. Może miał rację, że Jane nie jest jego córką, ale Ruth wierzyła w to niezachwianie i niewykluczone, że Jane również. A może i Zack. Wszystko to było bardzo skomplikowane i przypominało mu jedną z tych pomyślonych teorii, które tak lubił wytrząsać z rękawa jego młody wykładowca filozofii. Według tej koncepcji wszyscy ludzie na świecie są ze sobą powiązani niewidzialnymi nićmi i każdy twój ruch odbija się w jakiś sposób na innych. Nawet jeśli człowiek nie widzi, który sznurek jest w danym momencie pociągany, niewidzialne więzy są najzupełniej realne. Wtedy Sully uważał cały pomysł za wierutną bzdurę. Bądź co bądź halsował przez życie od blisko sześćdziesięciu lat, co nie odbiło się w zauważalny sposób na nikim poza nim samym i być może Rubem. Żona ledwie dostrzegła jego nieobecność po rozwodzie, pochłonięta nowym życiem, syn z kolei myślał o kimś innym jako o swoim ojcu. Znów nie licząc Ruba, nie przychodził mu do głowy nikt, kto byłby od niego zależny, co dowodziło, musiał przyznać, zdrowego rozsądku pozostałych.

Ale wszystko to było przed Świętem Dziękczynienia, zanim pojawił się Peter ze swoimi potrzebami, przywożąc synka, a wraz z nim jego potrzeby, zanim Jane przyszła szukać u niego schronienia, zanim dowiedział się o kłopotach Very i Ralpa i o chorobie Wirfa. Może naprawdę istnieją te niewidzialne sznurki. Może człowiek powoduje różne rzeczy, choćby ze wszystkich sił starał się tego nie robić. Jeżeli tak jest w istocie, to chyba powinien sobie poszukać nowego mieszkania.

Panna Beryl była równą babką, ale w wieku osiemdziesięciu lat miała prawo do odrobiny ciszy i spokoju. Nie zasługiwała na to, żeby rzucono martwe jelenie pod jej domem, żeby zazdrośni mężowie bez piątej klepki czy inna hołota z Schuyler Springs ostrzeliwała domy w jej sąsiedztwie. Nie będzie tego wszystkiego, kiedy on się wyprowadzi.

Tak więc nazajutrz zapowiedział swojej gospodyni, że wyprowadzi się do końca roku, pod warunkiem że Clive junior będzie się trzymał od niego z daleka i przestanie mu zawracać głowę. Chociaż wydawała się szczerze zasmucona jego decyzją, nie protestowała, co nasunęło mu myśl, która nawiedzała go czasami w ciągu ostatnich czterdziestu lat, że może naprawdę jest niebezpiecznym facetem, za jakiego ludzie go uważają.

- Za bardzo się nie martwię - uspokoił Carla. - Toby wspomniała, że mogę zamieszkać u was, dopóki coś mi się nie trafi. Miło byłoby mieć w domu mężczyznę - tak się wyraziła.

Za drzwiami barakowozu dało się słyszeć głucho warczenie, a potem węszenie i drapanie w drzwi. Will przysunął się bliżej Sully'ego.

- Zabawne, jak ten pies cię nienawidzi - zauważył Carl.

- Skąd wiesz, że to mnie?

Znów głucho warknięcie za drzwiami. Carl Roebuck się uśmiechnął.

- Słyszysz głos pana.

- Czy on może wejść do środka? - dopytywał się Will.

- Popatrz - powiedział Carl. - Podejdz do okna i wyjrzyj zza firanki.

Will wyglądał na trochę wystraszonego, ale zrobił, jak mu powiedziano.

- Stoi tam?

Kiedy Will skinął głową, Carl Roebuck kopnął z całej siły w drzwi. Z zewnątrz dobiegło stłumione pacnięcie.

- Upadł - zrelacjonował Will.

Carl pokręcił głową, patrząc na Sully'ego.

- Czy to nie żalotne? Świetny doberman, wredny jak jasna cholera. Ruina.

- Słuchaj - przerwał mu Sully. - Podobno masz dla mnie jakąś robotę.

- To zależy - powiedział Carl, siadając z powrotem i zakładając nogi na biurko. Jesteś nadal właścicielem tej pozał się Boże nieruchomości przy Bowdon?

- A bo ja wiem.

- Nie wiesz?

- Mam to gdzieś - oświadczył Sully, raczej z nawyku niż z rzeczywistego przekonania. W ciągu ostatnich tygodni niemal codziennie zdarzało mu się myśleć o domu. Przeszedł się tam nawet któregoś popołudnia, kiedy pracował dla Milesa Andersona, i znów się zastanawiał, czy nieruchomości mogła być warta więcej niż zaległe podatki, a jeżeli tak, to o ile. Czy byłoby tego dosyć, żeby wyciągnąć go z pogłębiającego się finansowego dołka? Albo żeby stanowiło to istotną różnicę dla Petera? Przyjazd syna do Bath sprawił, że znów ożyło jego irracjonalne pragnienie, aby coś mu dać. Kiedy Peter był dzieckiem, Sully posyłał mu prezenty na Boże Narodzenie i, jeśli nie zapominał, na urodziny, ale nie pamiętał żadnego z tych podarunków, przez co czuł się niemal tak, jakby nigdy synowi nic nie dał. Może gdyby podarował mu dom, coś by to znaczyło.

- Pamiętasz, czy są tam podłogi ze szlachetnego drewna?

Sully pamiętał, że są. Przed oczyma miał obraz matki szorującej je na kolanach.

Carl podniósł słuchawkę telefonu i wykrecił numer.

- Cześć - powiedział, nie zadając sobie trudu, żeby się przedstawić.

- Zrób mi przysługę. Zadzwoń do zarządu gminy i dowiedz się, jaki jest status nieruchomości Sully'ego przy Bowdon. On sam nie bardzo wie, czy nadal do niego należy. Ucałuj ode mnie małego Rodriga.

Zanim treść rozmowy zdołała dotrzeć do Sully'ego, Carl odłożył słuchawkę i zapytał: - Moglibyśmy tam zajrzeć i rzucić okiem?

- Czemu nie - zgodził się Sully, udając obojętność. W rzeczywistości pomyślał, żeby zasięgnąć opinii Carla w sprawie domu, bardzo mu się podobał. Zastanawiał się nawet wcześniej, czy go o to poprosić. Jedyne, co go powstrzymywało, to obawa, żeby nie zostało to odebrane jako wyłom w jego oficjalnym stanowisku, zgodnie z którym nie warto zasięgać opinii Carla Roebucka na jakikolwiek temat, bo jego rady nie są warte funta kłaków.

- Dobra - powiedział Carl, nie podnosząc się i nie zdejmując nóg z biurka. Will, który wziął dosłownie to, co wyglądało na zgodę, wstał, ale widząc, że żaden z mężczyzn się nie poruszył, usiadł z powrotem zdezorientowany.

Sully przyjrzał się Carlowi uważnie. W jego zachowaniu był jakiś nowy rys. Przypomniały mu się słowa Toby, że jej mąż jest odmienionym człowiekiem.

- Wyglądasz dzisiaj na szczególnie zadowolonego z siebie - zauważył Sully, pochylając się i przysuwając sobie do sofy mały stolik, zarzucony czasopismami, żeby mieć na czym położyć nogi. Uważał, że jeśli w pomieszczeniu jest dwóch ludzi i jeden z nich trzyma nogi na stole, to ma nad tym drugim zdecydowaną przewagę. Zwłaszcza jeśli jest nim Carl Roebuck. Tak więc, kiedy tylko się dało, starał się zakładać nogi na stół w obecności Carla, nawet jeśli była to operacja bolesna. Tak zrobił i tym razem, rad szczególnie, że ma na sobie ubłocone, robocze buty. Na okładce czasopisma leżącego na wierzchu zaczęła się natychmiast tworzyć brudna kałuża.

- Zgadza się - potwierdził Carl. - Mojego wyśmienitego humoru nie może dziś zepsuć nawet twoja wizyta.

- Miło mi to słyszeć - powiedział Sully. - Przyjemnie wiedzieć, że tacy ludzie jak ty są szczęśliwi. Oczywiście ja też byłbym szczęśliwy, gdybym odziedziczył majątek, ożenił się z najładniejszą dziewczyną w hrabstwie, a oprócz tego dmuchał wszystkie pozostałe.

Carl się uśmiechnął, sadowiac się jeszcze wygodniej w swoim obrotowym fotelu i zakładając splecione dłonie za głowę.

- Masz rację - przyznał, jak się Sully'emu wydawało, z pewnym smutkiem. - Jest najładniejszą dziewczyną w hrabstwie.

- Powtarzam ci to od lat, jeśli sobie przypominasz.

- Owszem, powtarzasz, mądralo - zgodził się z nim Carl. - W związku z czym ucieszysz się pewnie, kiedy usłyszysz, że zaczynam nowe życie.

- To samo usłyszałem od Toby. Nie miałem serca jej przypominać, o kim mówi.

- Niech sobie kpią, Wolter, Rousseau - powiedział Carl. Cokolwiek było powodem jego zadowolenia z siebie, palił się, żeby o tym komuś powiedzieć. Tak więc Sully'emu nie pozostawało nic innego, jak udawać kompletny brak zainteresowania.

- Kpią? Niby z kogo?

Carl puścił to mimo uszu.

- Widziałeś Toby w biurze?

- Jakbyś zgađł - powiedział Sully.

I gdyby nie kompletne zaskoczenie, rzeczywiście by zobaczył to, co zobaczył. Patrząc na zadowoloną minę Carla, zastanawiał się nawet przez moment, czy mu powiedzieć, czym Toby błysnęła mu przed oczyma, chociażby po to, żeby się prze konać, czy coś w ogóle może mu zepsuć dobry nastrój. Powstrzymała go jedynie ewentualność, jakkolwiek mało prawdopodobna,

że było to swoiste zaproszenie, aby wrócił, kiedy będzie bez wnuka. W końcu flirtował z kobietą od lat. Byłaby głupia, gdyby traktowała to poważnie, ale skoro traktowała poważnie Carla Roebucka, można się było po niej spodziewać i tego.

- Nic ci nie powiedziała? - Carl wciąż się uśmiechał jak idiota. - Nieważne - ciągnął. - Widocznie mówi tylko tym, których lubi.

Nagle Sully doznał olśnienia.

- Co? - zawołał. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że jest w ciąży?

- Wpadła jak śliwka w kompot - przytaknął Carl. Jego uśmiech wydawał się teraz zajmować całą twarz, tak że Sully, pomimo doznanego zawodu, też nie umiał powstrzymać uśmiechu.

Obaj milczeli przez jakiś czas.

- A więc - odezwał się w końcu Carl - spodziewam się, że zechcesz być ojcem chrzestnym.

- Nie mogę być równocześnie ojcem i ojcem chrzestnym - powiedział Sully. - Coś muszę zostawić dla ciebie.

- Mniejsza z tym. Koniec z bieganiem po opłotkach. Ogier rozplodowy wraca do stajni. Uświadomiłem sobie teraz - ciągnął, wkładając swój ciężki płaszcz, rękawiczki, zimowy kapelusz - że chciałem po prostu zostać ojcem. Czyż nie dziwnymi ścieżkami chodzi czasami ludzka świadomość?

- Bardzo dziwnymi - zgodził się Sully. - Udało ci się zupełnie zmylić nas wszystkich. Myśleliśmy, że jesteś po prostu palantem. Jak sądzisz, długo dasz radę wytrwać?

Carl odetchnął głęboko.

- Nie licząc zbliżeń z Toby, żyję jak mnich od trzech dni i nawet nie jestem napalony. Prawdę mówiąc, nigdy nie czułem się lepiej. Czemu mi nie powiedziałaś, że oklapnięty fiut to całkiem przyjemne uczucie?

Rzucam hazard, picie, palenie i w ogóle wszystko. Wszystko, oprócz nieodpowiedniego towarzystwa, dlatego jeszcze z tobą rozmawiam.

Kiedy wyszli z barakowozu, Carl zawył niczym Tarzan, grzmocąc się pięściami w pierś.

- Białe łowca zrobić dziecko! - zapiał. - Jedźmy dwoma samochodami. Spotkamy się na miejscu.

Sully powiedział, że mu to odpowiada. Zrobił kilka kroków w stronę bramy, kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma przy nim Willa. Chłopiec wciąż stał na schodkach barakowozu, rozglądając się nerwowo za Rasputinem, którego nigdzie nie było widać.

- Gdzie on jest? - zapytał.

- Chodź tutaj - zachęcił go Sully. - Weź mnie za rękę.

Will podszedł z ociąganiem.

- Tu jest - powiedział, spostrzegając psa.

Rasputin stał w pobliżu bramy, oparty o ogrodzenie z siatki drucianej, ze skrzyżowanymi łapami, jak gdyby odpoczywał. Gdyby był człowiekiem, można by pomyśleć, że zrobił sobie właśnie „pięć minut przerwy” na papierosa.

- Czyż to nie żaloszny widok - powiedział Carl, podchodząc do swojego dawnego wiernego stróża. Rasputin uczynił mizerny wysilek, żeby się wyprostować, ale stracił równowagę i klapnął z powrotem na ogrodzenie, które powstrzymało go przed upadkiem.

Carl obszedł go dookoła, dźwignął i delikatnie postawił.

- Wiesz, kogo on mi przypomina? - zapytał i odpowiedział, zanim Sully zdążył zaprzeczyć: - Ciebie.

Sully pokiwał głową.

- Faktycznie, uderzające podobieństwo. Że też tego wcześniej nie zauważyłem.

Było południe. Panna Beryl stała w kuchni naprzeciw otwartej szafki, zastanawiając się, czy zjeść miseczkę zupy, nie tyle z głodu, ile z obowiązku. Apetyt, na ogół znakomity, jak na osobę w jej wieku, przestał jej dopisywać od dwóch tygodni. Najgorsze, że знаła przyczynę tego stanu rzeczy. Nie było to, jak twierdziła pani Gruber, zwykle „zbiecie z pantaląku”, efekt uboczny faktu, że jakiś wariat ostrzelał dom w jej sąsiedztwie. Ani, jak sugerował Clive junior, poczucie zagubienia, wywołane rezygnacją z wyjazdu. Pod koniec grudnia zawsze była tak bardzo zajęta, pochłaniały ją przygotowania do podróży i pobytu w jednym z dalekich krajów, który miał być w danym roku celem jej wyprawy. Clive junior nadal uważał, że powinna wyjechać. Tym razem w planie była Afryka, gdzie panna Beryl miała nadzieję znaleźć towarzyszkę dla Eda. Gdyby Ed miał lepszy humor, może zaprzestałby swoich buntowniczych podszeptów. Myślała dla niego o jakiejś tolerancyjnej masce rodzaju żeńskiego, której mina pozwalałaby żywić nadzieję, że zgodzi się dzielić ścianę ze starym, zgorzkniałym podżegaczem w rodzaju Eda, który zrobił się jeszcze bardziej ponury, odkąd zaczęła słuchać rad Clive'a juniora.

Jedną z konsekwencji zmiany planów miała być dalsza przymusowa samotność Eda. W ostatni weekend panna Beryl, do której dotarło, ile wolnego czasu będzie miała podczas długiej zimy spędzonej w Bath, wybrała się z

panią Gruber na poszukiwanie najbardziej skomplikowanych puzzli, jakie uda się znaleźć. Pojechały do drogiego hobbystycznego sklepiku w Schuyler Springs, gdzie panna Beryl kupiła puzzle, a pani Gruber maskotkę Slinky, twierdząc, że nigdy przedtem czegoś podobnego nie widziała. „Jak żywa”-powtarzała, kiedy wydawało się, że zabawka z własnej inicjatywy schodziła z podstawionych schodków.

W drodze powrotnej panna Beryl, która była w Schuyler Springs chyba z tysiąc razy, nie wiadomo czemu skręciła w niewłaściwym miejscu, co zauważyła dopiero wtedy, kiedy przejechały pod autostradą, odprowadzane hukiem ciężarówek pędzących do Kanady. Pani Gruber, który nigdy nie patrzyła, co się dzieje za oknem samochodu, trwała w nieświadomości, co dało pannie Beryl szansę zastanowienia się nad jakimś wyjściem z tej sytuacji. Gdyby po prostu zatrzymała samochód i zawróciła na środku szosy, mogłoby ją to zdemaskować nawet przed panią Gruber. Jechała więc dalej, aby po jakiejś mili czy dwóch skręcić w prawo na skrzyżowaniu wśród pól, na południe, jak miała nadzieję, a potem znów w prawo przy pierwszej nadarzającej się sposobności, teoretycznie na zachód, w stronę Bath. Jej kalkulacje okazały się trafne. Przejechały po raz drugi pod autostradą, potem koło nowego supermarketu i znalazły się na czteropasmowym łączniku. Kiedy mijały demonicznego klauna, reklamującego przyszły lunapark, pani Gruber, która przejeżdżała obok niego z pięć razy i nigdy go dotąd nie zauważyła, zawołała:

- Popatrz, moja droga! Toż to Clive junior!

Układanka, którą panna Beryl kupiła w Schuyler Springs, przedstawiała ośnieżony, zimowy krajobraz, przywodzący jej na myśl wiersz Roberta Frosta, którego uczyła przez tyle lat swoich ósmoklasistów. Zimowy las był ciemny i nieprzenikniony - płatanina czarnych gałęzi. Dlaczego akurat to? - nie mogła zrozumieć pani Gruber. - Ja bym od tego dostała kociokwiku.

Panna Beryl żałowała teraz, że jej nie posłuchała. Robert Frost Robertem Frostem, ale układanka nie była dobrym nabytkiem. Śnieg miał niemal taką samą barwę jak niebo i kiedy pannie Beryl udało się ułożyć brzeg, z resztą miała dużo kłopotu. W labiryncie czerni i bieli (o szarościach nie wspominając) trudno się było połapać, czy dany fragment jest częścią tła, czy pierwszego planu, czy powinien być z lewej, czy z prawej strony. Układała średnio jeden do dwóch elementów na godzinę i nawet o tych sukcesach często decydował ślepy traf. Przekonała się też, że po godzinie musi zrobić sobie

przerwę - po prostu nie mogła dłużej wpatrywać się w łamigłówkę. Nauczyła się też szybko, żeby nie podchodzić wtedy do okna w salonie i nie patrzeć na drzewa, jak to miała w zwyczaju, bo nieodmiennie przychodziło jej do głowy, że krajobraz za oknem wygląda identycznie jak ten na układance. Lepiej już pójść do swojej jasnej, żółtej kuchni.

Ale tego dnia, kiedy wpatrywała się w zawartość szafki kuchennej, pragnąc zrzucić winę za swoje poczucie wyobcowania, swoje „zbitcie z pantafiku”, na puzzle, na zakręty brane nie tam, gdzie trzeba, i obcych facetów ze strzelbami, musiała przyznać, że to wszystko nie ma nic do rzeczy. Po prostu źle postąpiła i od tamtej pory jej żołądek nie funkcjonował normalnie.

Nieprędko miała zapomnieć wyraz twarzy Sully'ego tamtego ranka, kiedy jej oznajmił, że Clive junior ma chyba jednak rację i że wyprowadzi się przed pierwszym styczniem. Wstąpił do niej, wychodząc do pracy, dwa dni po okropnościach, które rozegrały się pod jej domem.

- Jeszcze pani żyje, jak widzę - powiedział. Swojski czarny humor nabiera nowej wymowy, kiedy faceci uzbrojeni w strzelby zaczynają ostrzeliwać dom twojego sąsiada, sądząc, że to twój, co nawet Sully wydawał się tym razem dostrzegać. Niósł w rękę swoje robocze buty i rozglądał się za krzesłem w stylu królowej Anny, chcąc na nim usiąść. - Co pani zrobiła z moim krzesłem?

- Narzeczona mojego syna na nim usiadła i nie wytrzymała - odparła panna Beryl. To, co zostało z krzesła, zawiozła do Schuyler Springs do niejakiego pana Blue, który zapewniał ją przez telefon, że potrafi naprawić wszystko.

Panna Beryl wciąż się jeżyła na myśl o Joyce, której osobowość nie zyskała przy bliższym poznaniu. Narzeczona towarzyszyła jej synowi owego pamiętnego wieczoru, zasypując ją gradem pozbawionych sensu słów na temat tego, co zaszło. Jej usta, kiedy raz je otworzyła, nie zamykały się przez pół godziny. Cała kultura, jak twierdziła, chyli się w szybkim tempie ku upadkowi. Dowody widać wszędzie naokoło. Ona sama ledwie ogląda wiadomości lokalne. Kiedyś istniało coś takiego jak spokojna okolica, ale dzisiaj to przeszłość. Ba, nawet w jej własnych stronach, w Lake George, zdarzają się rzeczy, które człowiek kojarzy raczej z Nowym Jorkiem czy New Jersey. Dzisiejsi ludzie to zwierzęta, nic więcej. Gadała i gadała, wyrzucając fontanny odkrywczych sądów. W ramach odwetu panna Beryl poszła do kuchni i przyrzędnęła jej filiżankę szczególnie mocnej, „bezkofeinowej” kawy.

Co dziwne, Sully, który sływał z awersji do wszelkiej, nawet najmniejszej odpowiedzialności, tym razem się nie uchylał.

- To chyba ja je załatwiłem - przyznał z niewesołą miną. - Czulem, że jest rozchwiane, kiedy ostatnio na nim siadałem. Powinienem był pani powiedzieć.

Wciąż stał na środku pokoju, wyglądając, jak się jej wydawało, jeszcze bardziej widmowo niż zazwyczaj, z czołem pobrużdżonym głębokim namysłem.

- Powinienem był je naprawić - dodał. - Prawdę mówiąc, taki miałem zamiar.

Już miała wpaść mu w słowo, powiedzieć, że to nieważne, żeby o tym zapomniał, jakby Sully'emu trzeba było mówić takie rzeczy, ale on wydawał się tak zamyślony, co było u niego tak nietypowe, że w końcu nic nie powiedziała.

- Proszę posłuchać - powiedział, wyrzucając z siebie to, z czym przyszedł. - Czy gdybym się wyprowadził do końca miesiąca, dałaby pani radę znaleźć innego lokatora?

- Gdzie się podziejesz? - wyraziła głośno swoją obawę panna Beryl, uświadamiając sobie, że jej pytanie jest w niezamierzony sposób obraźliwe, bo sugeruje, że nie ma na tym świecie miejsca, gdzie byłby mile widziany.

Szczęściem Sully ani nie dostrzegł lapsusu, ani nie podzielał jej obaw.

- Coś sobie znajdę - powiedział, wzruszając ramionami. - To miasteczko i tak zawsze świeci pustkami. Prawdę mówiąc, pokój z łazienką by mi zupełnie wystarczył. Z kuchni w ogóle nie korzystam. Nie chcę zostawić pani na lodzie, to wszystko.

- Nie potrzebuję lokatora, Donaldzie - zapewniła go panna Beryl. - Po prostu lubiłam twoje towarzystwo. - Uświadamiając sobie w tym momencie, że to niezbyt mądra uwaga, bo Sully przychodził do domu tylko po to, żeby się wykapać i przespać, dodała: - Lubiłam wiedzieć, że jesteś pod ręką.

- Nie było mnie znów tak często - zauważył Sully samokrytycznie. - I nie było mnie w zeszyły piątek, kiedy powinienem być...

- On by cię najzwyczajniej zastrzelił - powiedziała panna Beryl. - Twoja obecność tylko pogorszyłaby sprawę.

- Cóż, dzięki za dobre słowo, pani Peoples. - Sully uśmiechnął się sarkastycznie. - Ale pomyślałem, że pod moją nieobecność sprawy mogą się trochę uspokoić. Tego zdania jest pani syn i być może wyjątkowo ma rację.

Nikt nie może się mylić przez cały czas. Nawet sam Bank.

Prawdę mówiąc, panna Beryl doszła wcześniej do podobnej konkluzji, toteż teraz nie polemizowała.

- Gdybyś zmienił zdanie, Donaldzie...

- Nie zmienię - zapewnił ją Sully - skoro już się zdecydowałem. Poza tym - dodał, rozglądając się wokół siebie - tu nie ma już nawet na czym usiąść.

Rozmowa odbyła się przed dwoma tygodniami i od tamtej pory panna Beryl nie była sobą. Odkąd Sully wymówił mieszkanie, widywała go jeszcze mniej niż przedtem. Po części dlatego, że zaczął pracować rankami „U Hattie” i musiał wcześniej wstawać. Zamiast czekać pod drzwiami na otwarcie lokalu, pomagał przy otwieraniu, nastawiał więc budzik, który go nigdy nie budził, pół godziny wcześniej. Jego terkotanie w sypialni, położonej nad jej własną, budziło pannę Beryl, która trzymała teraz szczotkę przy łóżku, na podorędziu, żeby móc od razu postukać w sufit. Od chwili gdy usłyszała jego ciężkie stąpanie na podłodze, upływało zazwyczaj nie więcej niż pięć minut i już kuśtykał w stronę drzwi. Nakładał teraz swoje robocze buty u stóp schodów i od razu wychodził w szarość ulicy. Czasem widywała go późnym popołudniem, kiedy przychodził po pracy, żeby się wykapać, zanim znów wyszedł, ale tęskniła do ich porannych słownych potyczek. Myślała właśnie o tym, jak bardzo jej ich brakuje i jak bardzo będzie jej brakowało Sully'ego po jego wyprowadzce, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi.

Panna Beryl od razu pomyślała z pewną obawą, że to pani Gruber, która dzwoniła koło dziesiątej, żeby się dowiedzieć, czy przyjaciółka wypuściłaby się gdzieś na lunch, i usłyszała, ku swojemu wielkiemu żalowi, że panna Beryl nadal nie czuje się najlepiej. Zima zawsze była ciężką porą roku dla pani Gruber, która lubiła spacerować, ale musiała ich zaniechać po Święcie Dziękczynienia, kiedy ziąb stawał się tak dokuczliwy, że obawiała się fatalnego w skutkach przeziębienia. Dopiero w kwietniu, kiedy pod jej domem zakwitły tulipany, zbierała się na odwagę i ponownie wyruszała. Jeśli nie udało jej się namówić panny Beryl, żeby zabrała ją gdzieś swoim fordem, była skazana na siedzenie w domu, zdrowie przyjaciółki obchodziło ją więc szczególnie żywo. Początkowo uradowana wieścią, że panna Beryl zrezygnowała tej zimy z wyjazdu, przekonała się wkrótce - i świadomość ta niesłychanie ją przynębiła - że nie tylko plany zamorskich wojaży zostały

odłożone *ad acta*, ale i na wypadki po okolicy bynajmniej się nie zanosilo. Przekonana, że przyjaciółka cierpi bardziej wskutek „zbitcia z pantaląku” niż czegokolwiek innego, zdecydowana była, jak wszystko na to wskazywało, wcielić w życie ambitny plan uleczenia jej ciała i duszy na tyle szybko, aby jej ford zdążył wyruszyć na autostradę, nim minie okres poświęceń wyprzedzący. Stąd brała się obawa panny Beryl, że pani Gruber stoi właśnie pod jej drzwiami z parującym garnkiem rosółu Campbella, który przyrządzała zawsze tak samo, dodając za dużo wody. W drodze do drzwi zerknęła zza ażurowej firanki, żeby się przekonać, czy ma rację.

Nie miała. Na ganku czekała cierpliwie wysoka, chuda kobieta w średnim wieku, w tanich spodniach i męskiej płóciennej marynarce, bez kapelusza. Panna Beryl przypominała ją sobie etapami. Pierwsze stadium rozpoznania było dość abstrakcyjne.

- Znam cię - mruknęła sama do siebie, przyglądając się jej uważnie.

- Co o tym myślisz, Ed? Skąd ja ją mogę znać? - zapytała po chwili. Ed nie dał się wyciągnąć na domysły. Problem polegał na tym, że osoba, która tak długo parała się nauczaniem w małym miasteczku, „zna” niemal wszystkich mieszkańców, a właściwie rozpoznaje dawnych ósmoklasistów w ich obecnych, dorosłych wcieleniach. Panna Beryl miała teorię, że idea reinkarnacji zrodziła się w głowie jakiejś małomiasteczkowej, z lekka sfiksowanej nauczycielki - ofiary nękającego ją nieustannie poczucia, że każdą spotkaną na ulicy osobę znała już kiedyś w poprzednim życiu. Ale tę kobietę chyba znała w jej dorosłym wydaniu, co czyniło zagadkę jeszcze bardziej intrygującą, jako że krąg osobistych znajomych panny Beryl kurczył się stale w ciągu ostatnich dziesięciu lat. - Nie siedź tak, Clive, tylko mi pomóż - zaapelowała tym razem do męża.

Dlaczego oczyma duszy widziała tę kobietę w uniformie?

Zadaj właściwe pytanie, a uzyskasz odpowiedź. Gdy tylko panna Beryl je sobie zadała, rozpoznała w kobiecie jedną z kasjerek z IGA.

- No, to jesteśmy w domu - poinformowała swoich doradców, choć nadal nie wszystko było jasne. Nie widziała na przykład powodu, dla którego kasjerka z IGA miałaby stać pod jej drzwiami. Nie miała puszki, nie zbierała więc pieniędzy na fundusz pomocy chorym na serce. Panna Beryl doszła do wniosku, że aby rozwiązać zagadkę, będzie musiała otworzyć drzwi i zapytać. Już miała opuścić z powrotem firankę, kiedy zauważyła, że za kobietą, prawie niewidoczna spoza niej, stoi mała dziewczynka z wędrującym okiem, z czego wynikało, że nieznajoma musi być jej babką i, według krążących

pogłosek, długoletnią kochanką Sully'ego. Czy to chore, czy zdrowe oko małej odnalazło ją, nim zdążyła opuścić firankę?

Dzwonek zadzwonił po raz drugi, kiedy panna Beryl otwierała drzwi.

- O - powiedziała kobieta, najwyraźniej zaskoczona. Jej głos był równie szorstki i męski jak strój. - Już miałam pójść... to znaczy, myślałam, że pani nie ma w domu.

- Po prostu sprawdzam przez okno, kto idzie, zanim otworzę - przyznała się panna Beryl. Mówiąc to, próbowała spojrzeć na dziewczynkę, ale mała schowała się za nogami kobiety. - Mormonom pozwalam stać na ganku. Co zresztą robią. Stoją, jak gdyby mieli zamiar doczekać tu „powtórnego przyjścia”. Ich i agentów ubezpieczeniowych zostawiam własnemu losowi.

- Jestem Ruth. Ją pani pamięta? - zapytała kobieta.

- O tak - zapewniła ją panna Beryl. - Ulotniłaś mi się ostatnio, co? Patrę, a tu po tobie ani śladu.

Była to jedna z najokropniejszych chwil w jej życiu. Takie proste zadanie, a ona odstawiła taką fuszerkę. Nie dopilnowała dziecka, które jej powierzono. Ojciec małej, kiedy rozprawił się z matką kolbą karabinu, najzwyczajniej wsadził dziewczynkę do furgonetki i odjechał. Policjant idiota stał tuż obok i pozwolił mu na to.

- O, potrafi się ruszać, kiedy zechce - rzekła Ruth. Jej ton sugerował, że nie zdarza się to zbyt często.

Panna Beryl pamiętała zachowanie małej.

- Proszę tak nie stać na zimnie - powiedziała. - Mała nie chciała ostatnio spróbować moich ciasteczek, ale może teraz zechce, kiedy jesteśmy starymi przyjaciółkami.

Dziecko wciąż chowało się za Ruth, nie przyznając się jak na razie do panny Beryl.

- Możemy wejść tylko na chwilę. Przyszliśmy, żeby podziękować.

- Za co? - spytała panna Beryl, szczerze zainteresowana.

- Za to, że wezwała pani policję. Kto wie, co by się stało, gdyby nie to? Przykro nam z powodu całego zamieszania, prawda, Trzewiczanko? Przyjechałybyśmy wcześniej, ale ostatnio większość czasu spędzamy w szpitalu.

Ku zaskoczeniu panny Beryl dziewczynka po raz pierwszy przemówiła, nie opuszczając bezpiecznego stanowiska.

- Jutro - powiedziała.

Ruth odwróciła się i wzięła małą na rękę.

- Zgadza się, kochanie. Jutro jest wielki dzień, prawda? Mama wychodzi ze szpitala, a babcia wraca do pracy. Przynajmniej na jakiś czas.

Panna Beryl wzięła od nich płaszcz i poszła je powiesić. Ruth z dziewczynką weszły tymczasem do salonu.

- Mama miała rację - usłyszała panna Beryl głos Ruth. - To dopiero mieszkanie, co? Widzisz te świąteczne dekoracje?

Panna Beryl uśmiechnęła się mimo woli, bo jak dotąd z powodu nękającej ją chandry nie zabrała się do świątecznych przygotowań. Wszystkie ozdoby leżały jeszcze w pudłach. Jej goście wpadł przypuszczalnie w oko mały stolik, na którym panna Beryl trzymała dziadki do orzechów. Reszta egzotycznego wystroju mogła w oczach Ruth, która nie wyglądała na globtroterkę, skojarzyć się w pierwszej chwili ze świętami.

- Popatrz, pani Peoples układa puzzle. Chyba za niczym tak nie przepadamy jak za puzzlami, co?

Dziecko zerknęło na puzzle, po czym jej spojrzenie powróciło do panny Beryl. Staruszka zaczęła się zastanawiać, czy kobieta wyraziła w ten sposób ukryte pragnienie, żeby jej wnuczka się czymś zainteresowała. Kiedy Ruth usiadła na kanapie, dziewczynka odwróciła się plecami do układanki, wdrapała się na kanapę, zajmując miejsce obok babci i przez cały czas nie spuszczając oka z panny Beryl, namacała kciukiem i palcem wskazującym ucho Ruth. Na jej buzi pojawił się w tym momencie wyraz ukojenia.

Ruth wstała z kanapy i usiadła na podłodze u stóp dziecka.

- No, teraz będzie ci łatwiej - powiedziała.

- Rezygnuje pani z pracy w IGA? - zapytała panna Beryl, pamiętając, że Ruth powiedziała: „przynajmniej na jakiś czas”.

- To IGA z nas rezygnuje. Nie zapowiedzieli tego oficjalnie, ale mają zamiar zamknąć sklep. - Ruth wyjaśniła, że nowy supermarket przy autostradzie skrócił ostatecznie męczarnie małego, borykającego się z kłopotami finansowymi domu towarowego, podobnie jak IGA wykończyło naróżne sklepiki spożywcze dwadzieścia lat wcześniej.

- Pójdzie tam pani pracować? - zapytała panna Beryl.

Ruth pokręciła głową.

- Nie sądzę, żeby zatrudnili kogokolwiek poniżej dwudziestego piątego roku życia. Nie, babcia będzie musiała znaleźć coś innego, prawda, Trzewiczanko?

Mała nadal wpatrywała się w pannę Beryl.

- Jeszcze nie wiemy dokładnie co, ale coś, przecież, do licha, wymyślimy - ciągnęła Ruth. - W życiu nie można stać w miejscu, bo cię rozjadą. Jak przyjdzie co do czego, będziemy musieli coś wykombinować. Jeśli wszystko inne zawiedzie, może poszukamy pracy dla dziadka Zacka? To byłby dopiero numer, co? Zobaczyć dla odmiany, jak dziadek Zack chodzi do pracy?

Panna Beryl słuchała zafascynowana tym, jak bardzo kobieta przypomina sposobem mówienia swoją córkę. Jak gdyby młoda dziewczyna obudziła się nagle o trzydzieści lat starsza i mądrzejsza, jej ostry język i wybuchowy temperament złagodniały z wiekiem, ale zrab osobowości pozostał ten sam.

- Może coś się samo nawinie? - powiedziała panna Beryl, starając się, żeby zabrzmiało to optymistycznie. - Clive junior, światło moich oczu, twierdzi, że niedługo będzie tu eldorado i gorączka złota.

Ruth wydawała się nieco zdezorientowana tym oświadczeniem, chociaż panna Beryl nie wiedziała, czy to dlatego, że nie wie, kim jest Clive junior, czy nazwa eldorado nic jej nie mówi, czy wreszcie podziela wątpliwości panny Beryl co do wybuchu gorączki złota gdziekolwiek w pobliżu Bath. Tak czy inaczej nie wyglądało na to, że ma chęć na ten temat dyskutować.

- Trochę złota by nam nie zaszkodziło, prawda, Trzewiczanko? Wiedzieliśmy, co z nim zrobić.

- To jak będzie z tym ciasteczkami? - zapytała panna Beryl, przypominając sobie o obiecany poczęstunku.

- Może zjadłyśmy jedno - odpowiedziała Ruth za dziecko. - Nigdy nic nie wiadomo.

Panna Beryl poszła do kuchni po ciasteczka. Kiedy wróciła, dziewczynka, ku jej zaskoczeniu, nie siedziała już koło babci, tylko stała, z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, przy stole, na którym gospodyni układała swoje puzzle. Panna Beryl postawiła talerz z ciasteczkami na stoliku do kawy i podeszła do małej.

- Znajdź mi ten kawałek - poprosiła, pokazując niewielki fragment w prawym górnym rogu. Szukam go od trzech dni i zaczynam podejrzewać, że go tu w ogóle nie ma. Nie zdziwiłabym się, gdyby ci, co produkują te narzędzia tortur, zrobili taki dowcip tylko po to, żeby się znęcać nad biednymi staruszkami.

- Niech pani poszuka na podłodze - doradziła Ruth. - Tam zawsze znajdują puzzle, których szukam.

- Szukałam wszędzie - odparła panna Beryl, siadając z powrotem

naprzeciw Ruth, która żuła w zamyśleniu ciasteczko, przyglądając się swojej wnuczce.

Panna Beryl zauważyła z radością, że Ruth miała rację. Dziewczynka wydawała się zainteresowana układanką, co dowodziło, że babcia rozumie ją lepiej niż matka, która, jak podejrzewała, próbowałaby ją w tej chwili nakłonić do zjedzenia ciasteczka. Niemal słyszała głos młodej kobiety: „Chodź tu i zjedz ciasteczko, Ptasi Mózdzku. Ta starsza pani była tak miła, że je dla ciebie przyniosła. Mogłabyś zjeść przynajmniej jedno, do cholery”.

- A więc mówi pani, że jej mama wychodzi jutro ze szpitala?

- W tej chwili wyjmują jej druty ze szczęki - wyjaśniła Ruth. - Jutro będzie mogła wrócić do domu. Mieliliśmy sporo kłopotów ze zrozumieniem, dlaczego mama się do nas nie odzywa. Normalnie buzia jej się nie zamyka, a tu nagle ani be, ani me. Ale najważniejsze, że będzie w domu... a kogoś innego nie będzie.

- Co z nim jest właściwie nie tak? - zapytała panna Beryl. W zachowaniu mężczyzny było coś osobliwego, nasuwającego skojarzenia z wojskowym, kiedy metodycznie, nie okazując emocji, ostrzeliwał jedno po drugim okna sąsiedniego domu, jak gdyby wykonywał rozkazy, które ktoś przekazywał mu przez słuchawki.

- Jest kretynek - powiedziała Ruth. Proste wyjaśnienie, tłumaczące wszystko. - Pochodzi z rodu o długiej tradycji. Kiedy zejdzie mojej córce z drogi, będzie miała szansę zacząć wszystko od nowa. Kto wie, może nawet starczy jej rozumu, żeby to sobie uświadomić?

- Może odwiedziłybyście mnie z mamą od czasu do czasu? - zwróciła się panna Beryl do dziecka, które wciąż wpatrywało się w układankę, nie wykazując chęci, żeby jej dotknąć. - Jestem starą kobietą i nie mieszkam zbyt wielu gości, jeśli nie liczyć tej pani o kilka domów dalej, o której ci opowiadałam.

Czyżby to uśmiech zaczął się formować na ustach dziecka? Panna Beryl doszła do wniosku, że trudno to ustalić, kiedy jedno oko wciąż ucieka gdzieś w bok.

- Ślimak - wyszeptała dziewczynka.

- Zgadza się - powiedziała panna Beryl, uradowana - Ta, która zjadła ślimaka.

- A, to stąd się wziął ślimak. - Ruth się uśmiechnęła. - Słyszymy o ślimakach mniej więcej od dwóch tygodni.

- Gdybyś mnie kiedyś odwiedziła, mogłybyśmy zadzwonić do tej pani, która zjadła ślimaka, i zaprosić ją do nas, żebyś mogła ją poznać. Ona nawet

wygląda, jakby zjadła ślimaka - dodała panna Beryl, po czym zerknęła na Ruth. - Babcie też zapraszamy, gdyby miała ochotę.

- Babcia do tego czasu wróci do pracy - odparła Ruth, pochylając się i gładząc łydkę wnuczki grzbietem dłoni. - Poza tym, gdybym zaczęła tu bywać, ludzie by pomyśleli, że odwiedzam kogo innego.

Na tę aluzję do Sully'ego panna Beryl poczuła napływającą falę wyrzutów sumienia.

- Donald wyprowadza się od pierwszego stycznia - powiedziała. - Nic pani nie mówił?

- Poprzykaliśmy się ostatnio - przyznała się Ruth. - Ale coś mi się obilo o uszy.

- Będzie mi go brakowało. Clive junior, światło moich oczu, jest przekonany, że to niebezpieczny typ, ale nie ma racji. Donald jest niedbały i nieostrożny, ale zawsze zagrażał przede wszystkim samemu sobie.

- Wiem, o czym pani mówi - powiedziała Ruth. - Ale w końcu się poddałam. Wkrótce skończę pięćdziesiąt lat i coś z tego, do cholery, wynika. Nie jestem tylko pewna co. Że jestem już za stara na te głupoty, pewnie to. Poza tym mam przeczucie, że wkrótce czeka mnie spora odpowiedzialność - dodała, wskazując dziewczynkę niemal niedostrzegalnym ruchem głowy. - A odpowiedzialność nie jest najmocniejszą stroną naszego wspólnego przyjaciela.

- Donald potrafi człowieka zmylić - rzekła panna Beryl i natychmiast tego pożałowała. Prawda była taka, że wierzyła w niego, bo tak jej nakazywała osobista sympatia, i czekała długie lata na jakąś pozytywną odmianę u niego, ale wyglądało na to, że jego upór ma twardszy żywot niż jej wiara. Zawsze hołdowała przekonaniu, że ludzie się zmieniają, kiedy życie ich do tego zmusza, ale codzienne uporcezywe zmagania Sully'ego, które on sam nazywał „szufłowaniem gówna pod prąd” - wydawały się zadawać temu kłam.

- Potrafi. - Ruth uśmiechnęła się smutno. Był to cudowny, otwarty uśmiech, który zupełnie ją odmieniał, łagodząc rysy twarzy i czyniąc ją niemal piękną. Panna Beryl pomyślała, że wie teraz, co pociągało w niej Sully'ego przez tyle lat, bo poza tym wydawała się zupełnie zwyczajna. Tajemnica uczucia - w szczególności uczucia, jakie żywił do niej Clive senior - to jedna z największych zagadek życia. Często się zastanawiała, co sprawiło, że znalazła się w centrum jego życia. Zawsze była realistką, jeśli chodzi o swoją aparycję. Nawet jako młoda kobieta musiała uznać, że Clive senior jest obdarzony szczególnym darem widzenia czegoś więcej niż wygląd

zewewnętrzny. Pamiętała mizerną pociechę, jaką częstowała ją w dzieciństwie matka, chcąc jej wynagrodzić brak powodzenia. „Nie martw się. Masz to, co się nazywa pięknem wewnętrznym, i właściwy człowiek to dostrzeże” - mawiała. Niezwykły uśmiech Ruth rzucał nowe, szczególne światło na matczy-ny wyświechtany komunał.

- To w jego stylu, zrobić mi niespodziankę teraz, kiedy jest za późno, żeby to cokolwiek zmieniło.

- Łańcuchy, które dźwigamy w życiu, wykuwamy sobie sami - powiedziała panna Beryl. - Donald zacytował mi to nie tak dawno. Omal nie zgubiłam sztucznej szczęki.

Ruth się uśmiechnęła, po czym nagle spochmurniała.

- W końcu zostanie zupełnie sam, prawda? - rzekła. Jej oczy zwilgotniały.

Wszyscy zostaniemy - omal nie powiedziała panna Beryl. Pod sklepieniem czarnych gałęzi odwiecznych wiązów ulica Górna była pełna samotnych wdów, patrzących i czekających w samotności. Panna Beryl nie martwiła się o nie. O siebie też nie. Dlaczego więc miałyby się niepokoić o Sully'ego? I cóż z tego, że coraz bardziej przypominał ducha przy każdym kolejnym spotkaniu, blaknąc stopniowo, jak gdyby, w miarę jak ludzie tracili wiarę w niego i wykruszali się po cichu, tak jak ona i Ruth w tej chwili, każdy z nich zabierał ze sobą jakąś część jego samego? Jego życiem wydawała się rządzić jakaś okrutna reguła odejmowania i to, co pozostało, wyrażało się już jednocyfrowymi liczbami. Kiedy opuści mieszkanie na górze, czy pozostanie go dosyć, aby potrzebował dachu nad głową? Dlaczego miałyby się martwić, że ktoś skończy jako samotnik, kiedy ten ktoś robił wszystko, co mógł, aby taki właśnie koniec sobie zapewnić?

- Przy Donaldzie - powiedziała panna Beryl - zawsze zostawiałam drzwi otwarte.

Na twarzy Ruth pojawił się ten sam smutny uśmiech.

- Moja strategia była podobna - przyznała, patrząc w stronę mieszkania na piętrze, jak gdyby sobie wyobrażała, że Sully może tam być. - Problem w tym, że co chwila spoglądałam na drzwi i nie mogłam opanować rozczarowania - dodała, po czym jej wzrok znów powędrował w stronę wnuczki.

Panna Beryl również spojrzała na dziecko, myśląc, jak to się jej często zdarzało, kiedy obserwowała swoich ósmoklasistów, że może ludzie rzeczywiście sami wykuwają swoje łańcuchy, ale często są one na w pół gotowe,

zanim dodadzą do nich pierwsze własne ogniwo. Może całe nasze życie to kończenie pracy, rozpoczętej przez innych?

- Idziemy, mała - powiedziała Ruth.

Dziecko zareagowało dopiero na dotknięcie, a wówczas wróciło na kanapę i zaczęło szukać ucha babci.

Ruth delikatnie odsunęła rękę dziewczynki.

- Jedziemy do mamy. Będziesz mogła się bawić jej uchem przez całe popołudnie. A ucho babci sobie odpocznie, zgoda?

Dziecko wpatrywało się znów w pannę Beryl, nieomal z uśmiechem, jak się jej wydawało.

- Znamy tu każdy zakręt po drodze do szpitala, prawda, Tino? - powiedziała Ruth, ujmując małą rączkę. - Jeździmy do Schuyler i z powrotem przynajmniej raz dziennie.

- Też się wybierałam - zaczęła się usprawiedliwiać panna Beryl - ale nie czuję się już za kierownicą tak pewnie jak kiedyś. Zgubiłam drogę, kiedy tam byłam ostatni raz.

Odprowadziła babcię i wnuczkę do drzwi, patrząc, jak schodzą po schodkach i wsiadają do starego samochodu Ruth. Silnik zapalił z rykiem, który wzmógł się jeszcze, kiedy Ruth wrzuciła wsteczny bieg, nacisnęła pedał gazu i powoli wyjechała na Główną, wykonując przeproszający gest z powodu hałasu. Czując lekkie mrowienie w palcach stóp i dłoni, które wydawały jej się dziwnie dalekie, panna Beryl poszła do łazienki i z całej siły wydmuchała nos, szukając na chusteczce śladów krwi. Ponieważ nic nie znalazła, wróciła do salonu, gdzie dzwonił telefon.

- Co byś powiedziała, gdybym zrobiła dla nas duży garnek gorącego rosółku z makaronem? - zapytała pani Gruber tytułem powitania. Zanim udałoby się jej przejść od tego pytania do kwestii obcego samochodu, który zobaczyła pod domem przyjaciółki, musiałyby poświęcić kilka minut na gawędzenie o tym i o owym. W tej sytuacji, zamiast „postawić kropkę” na końcu zdania, zawiesiła znacząco głos, dając do zrozumienia, że oczekuje wyczerpujących i szczegółowych wyjaśnień. Panna Beryl pomyślała w duchu, że zabawnie byłoby wstrzymać się z tym przez jakiś czas, aby móc obserwować, jak jej wścibska przyjaciółka cierpi.

- Powiedziałabym „nie”, bo czuję się lepiej - odparła zgodnie z prawdą. Kiedy podnosiła słuchawkę telefonu, rzuciła okiem na układankę i zobaczyła, że element, którego szukała, znajduje się na swoim miejscu. Dziewczynka znalazła go i umieściła cichutko tam, gdzie być powinien, nie mówiąc

przy tym ani słowa. - Wybierzmy się gdzieś na lunch.

- Dobrze - zgodziła się potulnie pani Gruber.

- Oto przedni rocznik marki „Sully” - powiedział Carl Roebuck.

Stali z Sullym na tylnym ganek domu przy Bowdon. Will, zapomniany, trzymał się z boku. Zniszczony ganek był przekrzywiony. W kącie, gdzie nie dochodziło słońce, pozostały resztki śniegu sprzed dwóch tygodni. Chłopiec patrzył spoza pleców dziadka na pochylony szary budynek. Nie miał ochoty wchodzić do środka. Miał nadzieję, że dziadkowi nie uda się otworzyć drzwi. Dom był w opłakanym stanie i wyglądał, jakby w nim straszło. Wiedział, że jego mama, gdyby tu była, też by nie chciała, żeby tam wchodził. Ani babcia Vera. Na myśl o niej przypomniawszy mu się zasłyszana przypadkiem rozmowa między babcią a dziadkiem Ralphem. Zdaniem babci poranne eskapady Sully'ego, w których towarzyszył mu Will, były dla chłopca niebezpieczne. Nie powiedziała, na czym polegało niebezpieczeństwo, ale Will, choć jego przywiązanie do bardziej egzotycznego z dwóch dziadków mieszkających w Bath rosło z każdym dniem, rozumiał, jak mu się wydawało, jej niepokój. Dziadek Sully prowadził go po ciemnych, cuchnących schodach na tyłach domów, zabierał go w miejsca, gdzie były złe psy, a teraz przywiózł do tego walącego się domu. Od niektórych jego znajomych brzydko pachniało. Will się przekonał, że w towarzystwie dziadka często targają nim różne obawy. Wiedział, że niebezpiecznie byłoby znaleźć się zbyt blisko niego, zwłaszcza kiedy miał w rękę młotek albo, tak jak w tej chwili, łom czy długą, ostrą łopatkę, której używał w restauracji do odwracania smażonych jajek. Nawet ojciec ostrzegał go, żeby nie podchodził zbyt blisko, kiedy dziadek trzyma w rękę jakiegokolwiek narzędzie. Dlatego Will nie odważył się w ogóle wejść na ganek, kiedy Sully zaatakował drzwi wejściowe łomem.

Problem w tym, że nie odważyłby się również stracić dziadka z oczu, gdyż wyczuwał, że pozbawiłoby go to ochrony, jaką mu zapewniał we wrogim otoczeniu. Wiedział, że dziadek Sully jest roztargniony i potrafi zupełnie zapomnieć o swoim wnuku. Prawdę mówiąc, raz mu się to nawet zdarzyło. Kilka dni wcześniej wybrali się za miasto do tartaku. Kiedy weszli do środka, dziadek Sully kazał mu zaczekać przy drzwiach, po czym podszedł do mężczyzny stojącego za ladą i wdał się z nim w rozmowę. Po kilku minutach obaj wyszli przez boczne drzwi na wielki plac, na którym piętrzyły się góry desek. Will patrzył przez okno, jak ładują kilkanaście z nich na furgonetkę

dziadka i umocowują je, obwiązując sznurem. Do końca jednej z desek mężczyzna przyczepił czerwoną chorągiewkę, która zatrzepotała na wietrze. Chłopiec zanotował sobie w myśli, żeby zapytać dziadka, po co to zrobił. Potem mężczyźni uścisnęli sobie dłonie, po czym dziadek Sully wsiadł do furgonetki i odjechał. Czerwona chorągiewka pomachała Willowi na pożegnanie, kiedy samochód zniknął za zakrętem. Will obserwował wskazówki dużego zegara posuwające się naprzód w ślimaczym tempie. Wydawało mu się, że upłynęły całe wieki, zanim dziadek Sully wrócił, pędząc, jak mu się wydawało, na złamanie karku i nie zwalniając nawet na parkingu.

Furgonetka zahamowała z piskiem opon, żwir wyrzucony spod kół zagrzechotał o szybę, za którą stał Will z oczyma pełnymi łez. Mimo wszystko nie płakał, z czego był bardzo dumny. Odkąd przyjechali z ojcem do North Bath, nie rozplakał się ani razu, zgodnie z powziętym postanowieniem. Zdecydował, że teraz, kiedy nie było Fangi, postara się być dzielny. Dziadek wysiadł z furgonetki i pokuśtykał w stronę drzwi szybciej, niż chłopcu kiedykolwiek zdarzyło się widzieć. Wyglądał na wystraszonego. Willowi zrobiło się lżej na duchu, gdy się zorientował, że ktoś tak groźny jak dziadek Sully też może się martwić.

- Pewnie myślałeś, że dziadek całkiem o tobie zapomniał - powiedział.

Will skinął głową potakująco. Tak właśnie myślał, trudno zaprzeczyć.

- Tylko na chwilę - zapewnił go dziadek. Zapomnienie o czymś na tak krótki czas najwyraźniej w ogóle się u niego nie liczyło. Will się do myślał, że dziadek przywykł zapominać o różnych rzeczach na znacz nie dłużej. - Nic nie mów babci - uprzedził chłopca, kiedy siedzieli już w furgonetce i gnali przed siebie. - I jeśli mama by zadzwoniła, to też jej nie mów.

Will obiecał, że nie powie.

- Właściwie - ciągnął dziadek po chwilowym namyśle - tacie lepiej też nie mów.

W czasie jazdy deski na furgonetce obluzowały się i zaczęły spadać, odbijając się i podskakując na asfalcie. Dziadek Sully zjechał raptownie na pobocze i wysiadł, żeby je pozbierać. Większość ich mieściła się bez trudu w skrzyni furgonetki. Siedząc w kabinie, Will słyszał pomstowania dziadka, klnącego na deski i kierowców, którzy musieli wymijać zarówno rozsypany

ładunek, jak i jego. Ale kiedy podniósł ostatnią sztukę i wrzucił na samochód, nieco się uspokoił. Odetchnął głęboko, wsiadł z powrotem, rzucił okiem na Willa, po czym podjął przerwany temat.

- Właściwie to nie mów nikomu.

Will dotrzymał obietnicy i nie powiedział nikomu ani słowa, ale obecna sytuacja przypomniła mu o tartaku i o tym, co się tam wydarzyło. Chłopiec czuł, że znów się na coś zanosi, że dziadek znów będzie go później instruiował, żeby nic nikomu nie mówił. Znów się pieklił, ciskał i kłął, a stary dom wyglądał, jakby się miał za chwilę zawalić od jego kopniaków. Może zaczeka, aż wejdą do środka, i dopiero wtedy na nich runie. Albo wejdą, dziadek z tym drugim panem każą mu poczekać, po czym zapomną o nim i odjadą, a wtedy dom się zawali na niego.

Sully, który, o ile sobie przypominał, nie miał klucza, próbował sforsować tylne drzwi za pomocą łomu. Poszarzałe drewno, z którego farba dawno oblaźła, zrobiło się miękkie i porowate, co nie ułatwiało sprawy. Jak dotąd zdołał jedynie poharatać drzwi, które nie chciały ustąpić.

- Kto z wyjątkiem Dona Sullivana używałby łomu, żeby wejść do własnego domu? - zastanawiał się głośno Carl, przytupując na zimnie.

- Odsuń się na chwilę - powiedział Sully, napierając całym ciężarem na łom. Drzwi, jak wszystko inne w tym domu, wisiały krzywo. Sully zdołał wcisnąć płaski koniec łomu w szczelinę między nimi a framugą. Ale kiedy naparł, stal weszła po prostu głębiej w spróchniałe drewno.

- Czemu miałoby mnie to dziwić, to inna sprawa - ciągnął Carl. - Twój dziadek to człowiek z łomem - zwrócił się do Willa. - Użyłby łomu, żeby usunąć wieczko z zegarka.

- Nie mam zegarka - przypomniał mu Sully. - A jak się nie przymkniesz, użyję łomu, żeby usunąć ciebie.

Carl oparł się o poręcz ganku, puszczając tę pogroźkę mimo uszu, jak wszystkie pogroźki Sully'ego.

- Martwi mnie tylko, że zanim uda ci się otworzyć, zjawią się gliniarze, wezmą nas za włamywaczy i zapuszkują.

- Może mnie - odrzekł Sully, prostując się, żeby nabrać tchu. - To ja się włamuję. Ty jak zwykle nie ruszyłeś tyłka.

Carl zapalił papierosa i zajrzał do środka przez okno kuchenne.

- Hej - powiedział. - Coś mi właśnie przyszło do głowy. Można by wejść

tędy. Zaciągnął się głęboko, po czym przypomniał sobie, że rzucił palenie, i pstryknął papierosem ponad balustradą.

Sully przyglądał mu się z uśmiechem.

- Nie idzie ci, co?

- Chcesz? - zapytał Carl, podając mu paczkę papierosów. - To bierz.

Sully wziął papierosy i schował do kieszeni.

Carl wyglądał na zaskoczonego. Najwyraźniej gest miał być symboliczny i nie zrobiłby go, gdyby wiedział, że Sully potraktuje to poważnie. To nie tę konkretną paczkę miał na myśli, mówiąc o rzuceniu palenia, ale jakąś inną, w przyszłości. Już żałował tego, co zrobił.

- Nawet takich nie palisz - zauważył.

- Nie szkodzi - powiedział Sully. - Wypalę je pomimo to. Znam cię od dwudziestu lat i chyba ze dwa razy dostałem od ciebie coś za nic.

- To i tak lepsze niż nic za coś, które ja zawsze dostaję, kiedy cię zatrudniam - zauważył Carl. - Dlaczego nie wybijesz po prostu jednej z tych szybek, nie włożysz ręki do środka i nie otworzysz drzwi?

- Bo wtedy musiałbym ją wstawić z powrotem - wyjaśnił Sully, odsuwając się i patrząc na drzwi z wściekłością. - Potrzymaj.

Carl chwycił łom.

- Czy może być? - wykrzyknął z udanym zdumieniem. - Czyżby Don Sullivan, majster-klepka do wszystkiego, uznał, że jego wierny łom nie jest dość precyzyjnym narzędziem do wykonania jakiegoś zadania?

Sully uśmiechnął się, oceniając w myśli odległość do drzwi.

- Przynajmniej raz w życiu masz rację - przyznał. - A oto precyzyjne narzędzie, którego mi potrzeba.

Opierając się na chorej nodze, wymierzył zdrową potężnego kopniaka, tuż nad klamką. Huknęło jak z armaty. Drzwi nie ustąpiły, ale wszystkie cztery szybki poleciały, rozsypując się w drobny mak u jego stóp.

- Ty ścierwo - powiedział pod adresem drzwi.

Carl oddał Sully'emu łom, kręcąc głową.

- Pozwól - powiedział, wkładając rękę do środka i otwierając drzwi. Tłuczone szkło chrzęściło pod ich stopami.

W tym momencie Sully przypomniał sobie o Willu i stwierdził, kompletnie zaskoczony, że chłopiec płacze. Podszedł do wnuka i usiadł na najniższym stopniu, żeby ich oczy były na tej samej wysokości.

- Hej! - zawołał. Will spojrział na niego z ociąganiem. - Co się dzieje?

Will odwrócił wzrok.

- Dziadek cię przestraszył? - domyślił się Sully.

Chłopiec pociągnął nosem.

- Nie chciałem.

Will znów podniósł na niego zaczerwienione oczy.

- Teraz możemy już wejść do środka. Nie chciałbyś zobaczyć domu, w którym mieszkał dziadek?

- Dziadek Ralph?

- Nie, dziadek ja. Nie ma się czego bać - zapewnił go Sully.

Will pociągnął nosem, nadal pochlipując cicho. To właśnie dobroć dziadka sprawiała, że najtrudniej mu było powstrzymać łzy. Jakby jego odwaga była dziadkowi naprawdę potrzebna i przez to jeszcze trudniej było się na nią zdobyć.

- Dziadek nie pozwoli, żeby ci się coś stało - powiedział. - Ejże... popatrz na mnie - dodał, kiedy Will wbił spojrzenie w ziemię.

Chłopiec podniósł wzrok.

- Co to ma być? - zapytał Sully.

Will stłumił szloch.

- Zuch chłopak - pochwalił go dziadek. - Dobra. Ty decydujesz. Możemy wejść na chwilę do środka, żebyś zobaczył, gdzie dziadek się wychowywał, albo pojechać do tamtego drugiego domu, do taty.

- Dobrze - chlipnął Will.

- Co dobrze?

- Do taty - wykrztusił Will, równie pewien tego, że nie jest to właściwa odpowiedź, jak tego, że tylko na taką może się zdobyć.

- Chryste - wymamrotał Sully. - Jezu Chryste.

Kiedy zajechał pod dom Milesa Andersona, Rub i Peter siedzieli bezczynnie, Rub na stopniach frontowego ganku, Peter o kilka stóp dalej, oparty plecami o drzwi. Można było jedynie zgadywać, czy przerwa w pracy trwała od pięciu minut, czy od godziny. Skoro tak, Sully obstawiał godzinę. Pewnie też od takiego czasu się do siebie nie odzywali. Rub wciąż był naburmuszony z powodu obecności Petera, tak jak się boczył na wszystkich pozostałych - pannę Beryl, Wirfa, Ruth, Carla Roebucka - których uważał za konkurencję do uczuć swojego najlepszego przyjaciela. Różnica polegała na tym, że tamci nie włązili im na kark w czasie pracy, kradnąc jego najcenniejsze godziny. Peter wykonał pod adresem Ruba kilka przyjaznych gestów, bez wielkiego zresztą entuzjazmu. Najwidoczniej nie zależało mu zbytnio, żeby podbić jego serce.

Coś jednak zostało zrobione. Nagi krzew forsycji został przycięty, a przed domem piętrzył się stos zgrabionych gałęzi i patyków. Siekiera Sully'ego była wbita w sam środek pnia, sterczącego na trawniku przed domem. Naokoło widać było trochę odłupanych drzazg, poza tym nic nie wskazywało, żeby podjęta akcja zrobiła na pniaku szczególne wrażenie. Rub miał rację. Korzenie wiązu sięgają aż do Chin. Sully nie przejmował się, że nie posunęli się zbyt daleko w pracy. Pozbycie się pniaka to cholerna robota, ale z gatunku tych, które mógł wykonać sam z nadejściem wiosny, kiedy grunt odtaje. Mógł się z nim rozprawić za pomocą siekiery i łopaty, ewentualnie piły mechanicznej, jeśli będzie mu się chciało ją pożyczyć, przy czym mógł to robić niemal w każdej pozycji. Była to jedna z prac, w których się specjalizował, na których zjadł zęby; nie wymagała szczególnych kwalifikacji z wyjątkiem zawziętości oraz wiary, że jego żywot okaże się twardszy niż żywot pnia. Robota, do której lepiej byłoby się pewnie zabrać inaczej, z lepszym sprzętem, wykonać ją szybciej i mniejszym wysiłkiem. Ruth zawsze twierdziła, że gdyby Sully zaangażował swój upór w jakiś konstruktywny cel, zostałaby już prezydentem.

Will ruszył truchtem po ścieżce, mijając Sully'ego i dopadając ojca, który przyjrzał się jego buzi ze znajomością rzeczy. Chłopiec nie płakał, ale ojcowskie oko Petera było dostatecznie wyrobione, żeby go to nie zmyliło. Sully, dla którego smutki innych, a także jego własne, zawsze stanowiły kompletne zaskoczenie, uważał za jeden z dziwów natury, że inni potrafią dostrzec nadszarpniętą zgrzyzotę już z daleka, a także wykryć japo fackie, kiedy jest jeszcze świeża. Wszystkie kobiety, z którymi w życiu coś go łączyło, miały za złe, że nie rozpoznaje, kiedy coś je gnębi. Nawet jego własny syn chyba miał ów dar, którego brak u niego tak bardzo rzucał się w oczy.

- Miałaś podobno przyjść, jak skończysz „U Hattie” - powiedział Rub, nadąsany niczym dziecko, które oszukano.

- No i jestem - rzekł Sully.

- Teraz. Zaraz pora na lunch - zauważył Rub. - Pewnie nie pozwolisz nam dziś nawet zjeść.

- Idźcie - powiedział Sully. - Jak macie tak siedzieć przez cały dzień, możecie równie dobrze iść na lunch.

- Czekaliśmy na furgonetkę - wyjaśnił Rub. - Canimo trza by obrócić z dziesięć razy.

- Camino - poprawił go Sully. Rub nie potrafił wymówić nazwy prawidłowo. - El camino

- Tu trza furgonetki - orzekł Rub, mając dość rozumu, żeby nie robić kolejnego podejścia do trudnego słowa. Znał cenę porażki w obecności Sully'ego.

Sully podał mu kluczyki.

- Postaraj się jej nie rozbić - poprosił Sully. - Przynajmniej dopóki nie zapłaciłem pierwszej raty.

- Nigdy nie rozbiłem żadnej twojej furgonetki - obruszył się Rub.

- Dlatego wciąż jesteśmy przyjaciółmi - zapewnił go Sully.

Rub wzruszył ramionami.

- Teraz to bardziej z nim się przyjaźnisz - zauważył ze smutkiem, zniżając głos, żeby Peter go nie dosłyszał.

- Rub, Peter jest moim synem - odparł Sully. - Przykro mi, jeśli ci to nie odpowiada, ale wolno mi się przyjaźnić z własnym synem, jeżeli mam ochotę.

- On cię nawet nie lubi - rzekł Rub.

- Fakt - przyznał mu rację Sully, nie troszcząc się, czy Peter słyszy, czy nie. - Ale sprawy idą ku lepszemu. Potrzebuje po prostu trochę czasu po tym, jak go ignorowałem przez jakieś trzydzieści lat. Jeszcze do niego nie dotarło, że robiłem to dla jego własnego dobra.

Czoło Ruba pokryły jeszcze głębsze bruzdy.

- Dlaczego on zawsze mówi na mnie Sancho? Jakby myślał, że jestem jakiś głupi.

- Cóż - mruknął Sully.

Rub pozwolił sobie na nieśmiały uśmiech.

- Dlaczego mi nie przeszkadza, kiedy ty mówisz, że jestem głupi? - zapytał z ciekawością.

Sully też się uśmiechał. Nikt nie potrafił go rozweselić szybciej niż Rub.

- Bo jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciel może ci powiedzieć prawdę w oczy.

- To dlaczego ja ci nie mówię, że jesteś głupi?

- Bo ja jestem mądry.

Rub westchnął. Przerabiali już wcześniej ten temat. Zawsze wyglądało to podobnie.

Peter rozmawiał ściszym głosem z Willem, którego posadził sobie na kolanach. Słuchał, kiwał głową ze zrozumieniem, zerkał w stronę Sully'ego,

wreszcie powiedział do syna coś, czego Sully nie dosłyszał, chłopiec na to zbiegł ze schodków, minął ich, popędził ścieżką i usadowił się na przednim siedzeniu el camino, który stał zaparkowany pod domem.

- Lepiej zawiozę go do domu - powiedział Peter w przestrzeń, nie zwracając się do nikogo konkretnego. - Mama powinna niedługo wrócić.

- Dobra - zgodził się Sully, napotyając oskarżycielski wzrok syna.

- Masz zamiar mi powiedzieć, co się stało?

Sully wzruszył ramionami.

- Sam chciałbym wiedzieć - odparł zgodnie z prawdą. - Obejrzałem się i zobaczyłem, że płacze.

- Powiedział mi, że się rozzłościleś.

- Nie na niego.

- Coś go musiało przestraszyć - nie ustępował Peter.

- Boi się prawie wszystkiego - powiedział Sully i natychmiast tego pożałował. - Jeśli go przestraszyłem, to niechący - dodał niezbyt przekonująco.

Peter prychnął pogardliwie.

- Zapomniałeś o nim, prawda? Zapomniałeś, że w ogóle tam jest.

Sully zastanawiał się przez chwilę, czy Will powiedział mu o tartaku. Doszedł do wniosku, że raczej nie. Peter coś by o tym wspomniał, gdyby wiedział. Albo powiedziałby: „Znów o nim zapomniałeś”.

- Żebyś ty tam był, też sobie nie przypominam - powiedział bez przekonania. Mimo wszystko był pod wrażeniem intuicji Petera.

- To mój tekst, nie podbieraj mi puenty - rzucił Peter na pożegnanie. Odszukał w kieszeni kluczyki do el camino. - Będę z powrotem za kilka minut.

Sully i Rub patrzyli, jak odchodzi. Peter zapalił silnik, zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i ruszył gazem w dół Głównej. Sully'emu mignęła przez chwilę błada buzia wnuka siedzącego z przodu, po czym znikła wraz z samochodem, zostawiając go własnym myśłom. Jego syn, jak sobie właśnie uświadomił, powtórzył przed chwilą stały refren Ruth - że nigdy go nie ma, kiedy jest potrzebny. Był to również jeden z głównych zarzutów Very pod jego adresem, chociaż ginął w gąszczu innych pretensji. Opinie innych osób stanowiły wariacje na ten sam temat. Poczynając od jego dawnego trenera, Clive'a seniora, który dostawał szału, kiedy Sully lekcewał przydzielone mu zadania, poprzez Carla Roebucka, który posyłał go gdzieś, zjawiał się

tam później i go nie zastawał, a kończąc na Rubie, który lubił dokładnie wiedzieć, gdzie można go znaleźć w dowolnie wybranej chwili. Tak wielu ludzi wydawało się zgodnych, że nigdy nie ma go tam, gdzie jest potrzebny, że miał wielką pokusę, by przyznać im rację. Tyle że pofolgowaliby w ten sposób owej szczególnej formie bezsensownego żalu, na którą nie pozwalała mu jego życiowa mądrość.

- Cóż - Sully spojrział chmurnie na Ruba - chcesz usłyszeć dobrą nowinę?

- Chyba tak - powiedział Rub nieco podejrzliwie.

Dobra nowina w wydaniu Sully'ego oznaczała czasem, że zostali właśnie wynajęci, żeby wykopać czyjś pęknięty zbiornik na nieczystości.

- Mam dla nas drugą robotę. Twój ulubiony pracodawca.

Rub zmrużył oczy.

- Carl?

Sully skinął potakująco.

- Czeka na nas. Z niecierpliwością, jak się domyślam.

- Gdzie czeka?

- Koło domu. - Sully wskazał ruchem głowy kierunek, gdzie znajdowała się posesja jego ojca.

- Podobno mówiłeś, że nie chcesz mieć nic do czynienia z tym domem - przypomniał Rub.

Była to jedna z tych właściwości Ruba, do których Sully wciąż nie mógł się przyzwyczaić. Od czasu do czasu, ni stąd, ni zowąd, okazywało się nagle, że coś pamięta - czasem coś, o czym była mowa tylko raz albo co usłyszał przypadkiem. Zazwyczaj Sully wołałby, żeby akurat to wyleciało mu z pamięci.

- Zdaje się, że tak - przyznał Sully.

Nie wiedział, jak wytłumaczyć Rubowi czy komukolwiek innemu, jaką przyjemność sprawiłoby mu zdzieranie podłóg w domu ojca, patroszenie jego bebechów, pogłębianie zniszczenia.

- Mówiłeś też, że nigdy więcej nie będziesz pracował dla Carla Roebucka - ciągnął Rub naburmuszony, kiedy szli ścieżką w stronę ulicy.

- Chodźmy pieszo - zaproponował Sully, kiedy Rub chciał wsiąść do furgonetki. - Możesz chyba przejść jedną przecznicę?

Rub zamknął z powrotem drzwi samochodu.

- Myślałem, że wolisz jechać.

- Dlaczego?

- Z powodu kolana.

- Miło, że o tym pamiętasz, ale wolę się przejść.

- Dlaczego?

- Z powodu kolana.

Rub pomyślał chwilę.

- Dlaczego, kiedy jesteś zły na Petera, to odgrywasz się na mnie?

- Jak z kolaniem jest nie najgorzej, wolę iść pieszo. Jak boli, wolę jechać samochodem - wyjaśnił Sully. - Jak mnie wkurzysz, w ogóle o nim zapominam. I nie jestem zły na Petera. To on jest zły na mnie.

Po drodze Sully wyjaśnił Rubowi, że Carl chce zerwać podłogi w domu przy Bowdon i wykorzystać deski w domku kempingowym nad jeziorem, z którego rzadko z Toby korzystali.

- Po co zrywać podłogę, kiedy Carl może kupić nowe deski?

- Szlachetne drewno jest drogie.

- No to co z tego? - Rub wzruszył ramionami. - Carl jest bogaty.

Sully wiedział, że Rub ma fałszywe wyobrażenie na temat bogactwa i tego, ile co kosztuje. W jego wizji świata niektórzy - na przykład Carl Roebuck - mieli pieniądze, w związku z czym stać ich było na rzeczy, na które innych - na przykład jego - stać nie było. Ludzie pokroju Carla Roebucka mogli sobie pozwolić na to wszystko, na co on nie mógł. Cała egzystencja Ruba skupiała się wokół tego, co było dla niego nieosiągalne, a należało do tej kategorii prawie wszystko. Odwracając sprawę, Carla było stać niemal na wszystko. Pomyśl, że ludzie, którzy mają pieniądze, mogliby popaść w kłopoty finansowe, przekraczał zdolność pojmowania Ruba, który nie widział powodu, dlaczego mieliby oszczędzać na czymkolwiek.

- W ten sposób ludzie dochodzą do pieniędzy - tłumaczył mu Sully. - Zamiast robić coś drożej, zaoszczędzą tu i tam po parę dolców. Zatrudniają takich facetów jak ty i ja, żeby im uprzyjemniali życie.

Twarz Ruba była niczym chmura gradowa, za którą mogła się kryć jedynie głupota najwyższej próby.

- A potem nam jeszcze nie płacą za robotę - powiedział, przypominając sobie rów, który wykopali pod domem Carla.

Kiedy byli mniej więcej w połowie drogi, przeszli na drugą stronę ulicy. Patrząc na dom ojca z odległości pięćdziesięciu jardów, Sully pomyślał, że Will ma rację. Wyglądał, jakby miał się zaraz zawalić.

- Carl nam zapłaci.

- Wtedy nie zapłacił.

- Ten jeden raz. Tym razem zapłaci. Zapłacił nam za przewiezienie tych bloków, które potłukłeś, pamiętasz?

Złość Ruba w jednej chwili ustąpiła miejsca przerażeniu. Zwolnił kroku.

- Potłukliśmy je razem, nie ja sam.
- Wiem o tym - powiedział Sully z uśmiechem.
- To ty wjechałeś w tę dziurę, nie ja.
- Zgadza się.
- Nawet ich nie ładowałem.

- Strasznie się denerwujesz - zauważył Sully. Twarz Ruba rzeczywiście zrobiła się jaskrawoczerwona pod wpływem strachu. - Chciałem tylko powiedzieć, że Carl nie jest taki zły, to wszystko. Nawet gdyby wiedział, że potłukłeś te bloki, założę się, że by ci darował.

- Cśśś! - syknął Rub. - Właśnie idzie.

Carl wyszedł na frontowy ganek i patrzył, jak nadchodzą. Kiedy byli pod domem, nadjechał Peter. Wysiadł z samochodu, unikając wzroku Sully'ego, co oznaczało, że uzyskał od Willa szczegółowszą relację o tym, co zaszło. Dołączył jednak do nich, doganiając Ruba. Weszli gęsiego przez furtkę i szli ścieżką pod okiem Carla Roebucka, który kręcił nad nimi głową.

- Sullivan i spółka - parsknął. - Moe, Larry i Curly*. - Otworzył i przytrzymał zewnętrzne drzwi. - Nie przypuszczam, żeby którykolwiek z was kładł wcześniej podłogi ze szlachetnego drewna.

* Moe, Larry i Curly - bohaterowie serialu komediowego, prezentującego dosadny humor sytuacyjny (przyp. tłum.).

- Ja raz leżałem na takiej podłodze - powiedział Sully.
- I jak było? - zainteresował się Carl.
- Nie pamiętam.

- Śmierdzi tu jak dziesięć pokoleń martwych Sullivanów - zauważył Carl, kiedy weszli do środka.

- Nic nie czuję - powiedział Rub, marszcząc czoło z wysiłku.

Wszyscy popatrzyli na niego z uśmiechem.

- Nie czuję i już - powtórzył Rub zirytowany.

Carl przykucnął i przejechał kciukiem po podłodze, zdejmując grubą warstwę kurzu. Odslonięte deski wciąż zachowały nieco z dawnego połysku.

- Ile stóp kwadratowych, jak sądzisz?
- Na górze i na dole?

Carl skinął głową.

- Jeden pokój trzeba spisać na straty, bo dach przecieka. Przypuszczam, że nie wiedziałeś, że jest dziurawy.

Sully przyznał, że nie wiedział.

- Co z meblami?

- Z jakimi meblami? - zdziwił się Sully.

- Jeden z pokoi jest zapchany meblami, głąbie - poinformował go Carl Roebuck. - Jest tam kanapa w lepszym stanie niż to gównno w twoim salonie. A także łóżko i komoda. Bądźcie wszelkiego rodzaju. Ledwie da się otworzyć drzwi.

- No i dobrze - powiedział Sully. Coś mu zaczynało świtać. Po śmierci ojca ktoś mu powiedział, że powinien zorganizować wyprzedaż, ale on nie skorzystał z rady, a przynajmniej chciał odsunąć sprawę na potem. Wynajął paru chłopaków, żeby upchnęli wszystkie meble do jednej sypialni na górze, mówiąc sobie, że zajmie się tym później, choć dobrze wiedział, że tego nie zrobi. I rzeczywiście nie zrobił.

Carl Roebuck pokręcił głową.

- Mogłeś uratować ten dom - powiedział. - Mogłeś go wynająć.

Mogłeś go sprzedać, schować pieniądze do kieszeni i pozwolić, żeby ktoś inny się o niego zatroszczył.

- Nie chciałem tych pieniędzy.

Carl odwrócił się do Petera.

- On nie chciał tych pieniędzy.

Peter wzruszył ramionami. Było jasne, że najchętniej odzegnałby się od jakichkolwiek powiązań z ojcem.

- Wiesz co, Rub? - zagadnął go Carl.

Rub aż podskoczył. Rzadko kiedy Carl zwracał na niego uwagę.

- Co? - zapytał.

- Nie jesteś najgłupszym facetem w Bath. Nie pozwól, żeby ktokolwiek tak o tobie mówił.

- Dobra - zgodził się Rub.

- To jak? - zapytał Sully. - Chcesz te podłogi czy nie?

- To zależy, jaką wygórowaną kwotę zamierzasz mi zaśpiewać.

- Wiesz co? - powiedział Sully. - Drewno możesz sobie wziąć za darmo. Zapłać nam tylko za robotę.

- Od godziny, jak przypuszczam.

- Czemu nie?

Carl prychnął.

- Jeżeli będę płacił waszej trójce od godziny, to drewno nie będzie za darmo. Nie skończycie do maja.

- Chcesz, żebym ci oszacował wartość roboty, której nigdy przedtem nie robiłem? To ci się wydaje w porządku?

Ku zdumieniu wszystkich, Peter, który oglądał deski wzdłuż jednej ze ścian, zabrał nagle głos.

- Tysiąc dolarów - powiedział.

Wszyscy trzej popatrzyli na niego.

- Dla trzech ludzi to robota mniej więcej na tydzień - powiedział. - Dzień czy dwa, żeby pozrywać deski. Mniej więcej jedną czwartą trzeba spisać na straty, nawet jeśli będziemy uważać, bo pękają. Każda ma z boku wyżłobienie, w które wchodzi następna i nie zawsze da się je tak oderwać, żeby żadnej nie połamać. Na położenie trzeba liczyć więcej czasu. Powiedzmy trzy dni. Do tego szlifowanie i lakierowanie. Ale nowe drewno i tak wyniosłoby pana więcej niż tysiąc dolarów.

Carl spojrzął na Sully'ego i obaj wzruszyli ramionami.

- Rzecz jasna, jeśli nie weźmiemy poprawki na nieprzewidziane wypadki. Przypadkowe zniszczenia mamy jak w banku, kiedy ktoś jest na tyle głupi, żeby wpuścić do domu Dona Sullivana z jego łomem. - Pokręcił głową znużonym ruchem. - Zanim skończycie, mój domek będzie wyglądał tak jak ten tutaj.

- Tysiąc sto - powiedział Sully.

- Co takiego? - zapytał Carl.

- Ta obelga kosztowała cię właśnie sto dolarów - poinformował go Sully.

- I sześćset z góry, bo mam do czynienia z tobą.

- Pożałuję tego - rzekł Carl, sięgając do kieszeni spodni. - Już to czuję.

Odliczył sześćset dolarów z dużego rulonu banknotów.

- Masz rację - powiedział Sully. - Jestem najgłupszym facetem w Bath. Gdybym miał choć trochę oleju w głowie, dałbym ci łomem przez łeb, zabrał ten plik banknotów, pogrzebał cię pod podłogą i zobaczylibyśmy, czy ktoś był za tobą zatęsknił.

- Ty byś zatęsknił, robaczku - powiedział Carl tonem, w którym brzmiała pewność, kwitując to pieśczętliwym uszczypnięciem w policzek.

- Dla uczczenia sprawy lunch „Pod Koniem”.

Lokal był pełen, jak zawsze w południe. Miejscowi biznesmeni, ilu ich tylko urzędowało przy Głównej, zajmowali wszystkie stoliki. Na szczęście były trzy wolne taborety przy barze, w samym rogu. Sully poprowadził Ruba i Petera w tym kierunku. Clive junior i kobieta, której nigdy przedtem nie widział, wstawali właśnie od stolika pod oknem.

Na widok Sully'ego twarz Clive'a pociemniała. Spojrzał na towarzyszącą mu kobietę, jak mu się wydało, niemal z lękiem.

- Muszę pogadać z tym kutasem - powiedział Carl, kiedy tamci trzej skierowali się w stronę baru.

- Z kim? Z Bankiem?

- Słyszę rzeczy, których nie chcę słyszeć. Ten pieprzony interes się rozłązi, czuję to.

- Lunapark?

- Co za dupek - powiedział Carl, zerkając w stronę Clive'a juniora, będącego po przeciwnej stronie sali. - Gdyby to o mnie chodziło, przeleciałbym tę szybę z Teksasu i wsadził z powrotem w samolot, zanim atrament zdążyłby wyschnąć na kontrakcie. Ale on chyba się z fiutem na głowy zamienił. Nieodrodny syn swojego staruszka. Najprzyzwoitszy z przyzwoitych. Uwierzysz, że chce się z tą babą ożenić?

- Ona też nie wygrała losu na loterii - zauważył Sully. - Ruszaj. Przyślemy ci rachunek, jak skończymy.

- To by było do ciebie podobne - odparł Carl.

- Przesuń się o jeden - powiedział Sully do Ruba, wskazując następny stółek.

Rub nie okazał entuzjazmu.

- Bo co?

- Bo chcę usiąść na ostatnim.

- Dlaczego?

- Żebyś nie walił mnie w kolano, jak to uwielbiasz robić, kiedy się wierzysz.

Rub zszedł.

- Dlaczego mi zawsze rozkazujeś? - zapytał, sadowiac się na środkowym taborecie.

Sully przesunął zwolniony taboret, żeby móc stanąć obok niego.

- O co ci chodzi? Mam wydać polecenie Peterowi, tak?

Rub wzruszył ramionami, zakłopotany wywołaniem otwartego konfliktu.

- No więc? - zapytał Sully.

- Nie rozumiem...

Sully podniósł rękę i Rub urwał.

- Chcę po prostu wiedzieć, co by cię uszczęśliwiło, Rub. Jeżeli to cię uszczęśliwi, wydam Peterowi bezpośrednie polecenie. A on będzie miał dość rozumu, żeby je wykonać.

Rub znów wzruszył ramionami, ale widać było, że pomysł chwycił.

- Jesteś gotów? - zapytał Sully. - Uważasz?

Rub potwierdził.

- Synu.

- Co? - zapytał Peter, który nie wydawał się w nastroju do takich zabaw.

Jak się Sully domyślał, wciąż był zły z powodu Willa.

- Chcę, żebyś siedział tam, gdzie siedzisz - powiedział Sully. - Nie waż się ruszać z tego cholernego stołka. To rozkaz.

Peter zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Dobra - mruknął.

Sully odwrócił się do Ruba.

- Zadowolony?

Rub nie był zadowolony, ale wiedział, że lepiej nie mówić tego głośno.

Na szczęście zjawiała się Birdie, żeby przyjąć zamówienie.

- Mamy nowość - oznajmiła. - Skrzydła bizona na gorąco.

- Nie wiedziałem, że bizona mają skrzydła - odezwał się Peter, który najwyraźniej lubił Birdie albo jej pochlebstwa.

Rub zmarszczył brwi, łypiąc wrogo na Petera.

- Nie mają - oświadczył, po czym zerknął na Sully'ego, żeby się upewnić.

- Miałaś dwa telefony - zakomunikowała Birdie. - Twoja eks i pani

Roebuck.

- Dobrze - powiedział Sully niepewnie, szukając bilonu w kieszeni spodni. - O czym twoja matka może chcieć ze mną rozmawiać?

- Nie mam pojęcia - powiedział Peter nieszczerze, jak się Sully'emu wydawało.

Sully znalazł dwie dziesięciocentówki.

- Pewnie chce mnie poinformować, że nie jestem najlepszym dziadkiem.

Czy wystarczy, jak jej powiem, że już to zrobiłeś?

- Może byście przynajmniej zamówili, zanim uciekniesz? - zasugerowała Birdie.

- Hamburgera - powiedział Sully.

- Nie chcesz spróbować skrzydełek?

- Dobra, niech ci będzie.

- Nie musisz się rzucać. Po prostu pytałam.

- Cheesburgera - powiedział Rub, kiedy Birdie spojrzała w jego stronę.

- Spróbuj skrzydełek - zaproponował Sully.

- Dobra - zgodził się Rub.

- A ty, przystojniaku? - spytała Petera.

- Hamburgera. I frytki.

- Nie utrudniaj sobie życia - doradził jej Sully, idąc w stronę telefonu. - Przyniesz nam trzy porcje skrzydełek.

Ponieważ nie dało się przewidzieć, ile czasu zajmie mu rozmowa, Sully wziął ze sobą stołek i ustawił go pod automatem. Miał wykonać dwa telefony. Jeden do najładniejszej dziewczyny w Bath, która, kto wie, czy nie dzwoniła do niego z zaproszeniem, drugi do swojej byłej żony, która niemal na pewno chciała zmyć mu głowę z jakiegoś powodu. Do kogo oddzwonić najpierw?

- Witaj, laleczko - powiedział, kiedy Toby Roebuck podniosła słuchawkę.

- Twój nicpoń mąż siedzi właśnie „Pod Koniem”. - Clive junior i towarzysząca mu kobieta już wyszli. Carl dosiadł się do miejscowych biznesmenów i zaczął, jak się Sully domyślał, opowiadać im, jakim dupkiem jest Clive Peoples. - Właśnie zamówił lunch. Mogę być u ciebie za pięć minut.

- Niezły z ciebie kozak przez telefon - powiedziała Toby. Zdziwiająco, jak bezbłędnie umiała wyczuć, kiedy blefował. Prawdę mówiąc, to go chyba ostatecznie upewniło, że blefuje. - Poza tym - dodała - nie mógłbyś być tutaj w pięć minut. Samo wchodzenie po schodach zajmuje ci mnóstwo czasu.

- Założę się, że mógłbym go skrócić do połowy, gdybym miał ważny powód - powiedział. To prawda, niezły był z niego kozak przez telefon. - Co ja słyszę, u diabła? Podobno wpadłaś?

- Niestety - potwierdziła Toby. - Wciąż się nadyma i pieje?

- Jak kogut liliput.

- I jak tu go nie kochać?

- To już twój problem.

- Dobra - powiedziała Toby Roebuck tonem, sugerującym, że zaspokoila jak na razie swoją potrzebę pogaduszek. - Oto wyniki śledztwa w sprawie domu.

- Jakiego domu?

- Twojego domu, Sully. Przewróć stronę. Przeszliśmy do nowego tematu.

Sully przypomniał sobie teraz, że Carl prosił ją o ustalenie stanu prawnego domu przy Bowdon, i poczuł coś jakby nadzieję, z której zdał sobie sprawę, nim zdążył ją stłumić.

- Formalnie rzecz biorąc - powiedziała - wciąż należy do ciebie.

- Formalnie - powtórzył Sully, któremu to słowo nie najlepiej się kojarzyło.

- Jesteś w trakcie czegoś, co się nazywa okresem wykupu. Ten stan trwa już ponad miesiąc. Musiałeś dostać zawiadomienie.

- Musiałem - zgodził się Sully.

Toby zostawiła to bez komentarza.

- To znaczy, że ktoś zawarł umowę kupna domu po cenie zaległych podatków. Ale jeśli ty przedłożysz taką samą kwotę do pierwszego lutego, nieruchomości wraca do ciebie.

- Kto go kupił?

- Nie wiem. Nabywcy nie są zobowiązani ujawniać swojej tożsamości.

Sully pomyślał chwilę.

- Cóż - powiedział. - Kimkolwiek jest, czeka go duża niespodzianka, bo właśnie sprzedałem podłogi twojemu mężowi.

- Hmmmmm.

- Kto mógłby go chcieć, to mnie ciekawi - wyraził wątpliwość Sully, choć w tym samym momencie uświadomił sobie, że właściciele Sans Souci mogli być zainteresowani tym skrawkiem gruntu, maleńkim jak znaczek pocztowy, sąsiadującym z ich posiadłością. Może chcieli, żeby cały teren na północ od Bowdon należał do nich - bez niepotrzebnego bałaganu. To prowadziło do oczywistego pytania. - Ile za niego chcą? Ile wynoszą zaległe podatki?

- Jesteś gotów?

- Myślę, że tak - powiedział Sully, przypuszczając, że z pięć tysięcy dolarów.

- Trochę ponad dziesięć tysięcy.

- Wyglupiasz się.

- Przykro mi.

Sully wziął głęboki wdech. To w każdym razie rozstrzygało sprawę.

- To kupa forsy za dom bez podłóg. Nie przypuszczam, żebyś chciała mi pożyczyć taką sumę?

Toby była szczerze ubawiona.

- Oj Sully - westchnęła, nim odłożyła słuchawkę. - Naprawdę boki można przy tobie zrywać.

Vera odebrała telefon po pierwszym dzwonku.

- Cześć - powiedział Sully, nie bawiąc się w przedstawianie. Zawsze zakładał, że Vera pozna go po głosie, choćby nie rozmawiali ze sobą od roku. Uważał, że tyle mu się należy, skoro byli małżeństwem dostatecznie długo, żeby mieć syna. Wyznawał pogląd, że kobieta, którą człowiek miał za żonę,

jest mu winna przynajmniej tyle, zwłaszcza jeśli nie oczekuje od niej niczego więcej. - Co się dzieje?

- Kto mówi?

Prawdę mówiąc, Sully miał pokusę, żeby odbić piłeczkę, zadając to samo pytanie. Jeśli nie pomylił numeru, musiała to być Vera, ale głos był jak nie jej, niższy o kilka tonów. Do kogokolwiek należał, brzmiał, jakby osoba po drugiej stronie słuchawki obudziła się właśnie ze snu trwającego dwie doby.

- Vera?

- Och - zabrzmiało w słuchawce.

- Co znaczy „Och”? - Sully zaczynał być zły. - Dostałem wiadomość, że dzwoniłaś.

- Tylko żeby ci powiedzieć, że wygrałeś.

Sully pomyślał chwilę. Nie przychodziło mu do głowy nic, co mógłby wygrać. A już na pewno nic, co miałyby związek z Verą.

- Co wygrałem, Vero? - zapytał, ale ona już się zdążyła rozłączyć.

Sully gapił się przez chwilę na telefon, nim odłożył słuchawkę i ruszył z powrotem w stronę baru, gdzie Rub i Peter zajadali właśnie kurze skrzydełka. Ponieważ żaden z nich nie podniósł wzroku, wrócił do telefonu i jeszcze raz wybrał numer Very. Tym razem musiał odczekać dwadzieścia dzwonek, nim odebrała telefon.

- Co się dzieje, do cholery? - zapytał. - Tylko nie próbuj odkładać słuchawki. Mogę być u was za dwie minuty. I nie licz na to, że Ralph mnie nie wpuści, bo się przeliczysz.

- Nie mam złudzeń, że mój mąż kiedykolwiek stanie po mojej stronie. - Głos Very świadczył, że właśnie była w trakcie uzalania się nad sobą. - Zresztą w tej chwili go nie ma.

- Nie dziwię mu się - powiedział Sully. Słowa padły, nim zdążył je powstrzymać. Co nie znaczy, że by je cofnął, gdyby mógł. - O co chodzi, Vero? - zapytał, kiedy po drugiej stronie zbyt długo panowała cisza. - Nie dzwoniłaś, gdybyś nie miała zamiaru mi powiedzieć.

Kiedy znów się odezwała, w jej głosie dało się wyczuć rezygnację.

- Tak bardzo... Tak bardzo... się... starałam - wykrztusiła w końcu.

Sully zawsze był podejrzliwy, jeśli chodzi o dramaty swojej byłej żony, znając z długoletniego doświadczenia jej teatralne skłonności. Vera mogła wpaść w histerię w każdej sytuacji, błahej czy poważnej.

- Ty się w ogóle nie starałeś - ciągnęła - a mimo to go zdobyłeś.

- Czy to o Peterze rozmawiamy? - doznał olśnienia Sully. Był tak przekonany, że chodzi o Willa, że nie potrafił się przestawić.

- Wygrałeś - powtórzyła Vera. - Ale nie jest to wielka wygrana.
- Do cholery z tobą. - Teraz on gotów był odłożyć słuchawkę.
- Niech ci opowie o tej dziwce z niewyparzoną buzią, którą ma w Morgantown.

- Peter nie opowiada mi bzdetów.

- Opowie ci - zapewniła go Vera. - Jesteście bratnimi duszami. To mną gardzi.

- Masz nie po kolei.

Znowu cisza. Pewnie dalszy ciąg przedstawienia. A może jednak nie.

- Człowiek wie, kiedy kogoś traci, Sully. Przynajmniej ja to wiem. Doświadczenie czyni mistrza. Kiedy ktoś jest mi droższy niż cały świat, wiem, że to tylko kwestia czasu.

- Nie straciłaś Petera, Vero - powiedział Sully. - A ja z pewnością go nie zdobyłem. Nawet nie próbowałem.

- To go właśnie pociąga - powiedziała Vera, siąkając nosem. - Ja go kochałam, że mało mi serce nie pękło. Ty mogłeś się nie wysilać, toteż to na tobie mu zależy.

- Posłuchaj, Vero...

- Szkoda, że nie słyszałeś tych brudów, którymi mnie uraczyła ta dziwka - powiedziała Vera. - Jak gdyby ze słuchawki wylewał się smród i zanieczyszczał mój dom.

- Nie było mnie tam, Vero - przypomniał jej Sully. - Nie słyszałem tego.

- Jak jakiś stęchły odór - ciągnęła Vera. - Stworzyłam czysty dom, Sully.

- Z całą pewnością.

- I zobacz, co do niego przywłókl - powiedziała. - Więc jaki sens...?

- Nie wiem, Vero. - Sully był zmęczony tą rozmową. - Będę kończył.

- Jasne - powiedziała. - Ucieknij.

- Popukaj się w głowę.

- Ciesz się, że możesz uciec - powiedziała. - Że nie jesteś tym, kto nie ma dokąd pójść.

Ruba i Petera zastał tam, gdzie ich zostawił - przy barze, nad imponującą stertą kurzych kości. Oczy Sully'ego i Petera się spotkały. Wyraz twarzy syna wskazywał, że domyśla się przynajmniej części rozmowy, która odbyła się przed chwilą pomiędzy Sullym i jego matką. Rub płakał, co było równie niepojęte jak irytujące.

- Co się z tobą dzieje, do cholery?

- To jest ostre - wyjaśnił Rub. Cały był upačkany pomarańczowym sosem. Jego dłonie były pomarańczowe aż po nadgarstki, podobnie jak policzki i koniec nosa, a nawet porośnięty szczecina czubek głowy.

- I wygląda na to, że brudzące - zauważył Sully.

Nawet Peter, wychowanek Very, zawsze staranny i uważny przy jedzeniu, miał pomarańczowe dłonie.

Rub przyjrzał się swoim, jak gdyby po raz pierwszy je zauważył, i zaczął oblizywać palce.

- Założę się, że były dobre - powiedział Sully. - Wiesz, po czym to poznałem?

Na twarzy Ruba widniała autentyczna ciekawość, jak gdyby brał pod uwagę najróżniejsze formy telepatii.

- Bo nie zostawiliście mi ani jednego.

Rub spojrział na piętrzący się przed nim stos kostek, jakby szukał choć jednej, która nie byłaby ogryziona do czysta. Nie znalazł, więc twarz mu pociemniała.

- On zjadł tyle samo co ja - powiedział, wskazując Petera. - Czemu nigdy nie jesteś zły na niego?

- Nie jestem zły na nikogo, Rub - zapewnił go Sully. - Po prostu zauważyłem, że zjedliście wszystkie skrzydełka.

- On też - upierał się Rub.

Sully nie mógł powstrzymać uśmiechu, podziwiając niezwykle talent Ruba do poprawiania innym samopoczucia kosztem własnego.

- Nie zrozum mnie źle. Cieszę się, że wam smakowało. Mogliście zostawić mi jedno skrzydełko, ale skoro byliście głodni, to niech wam idzie na zdrowie.

Rub zwiesił głowę jeszcze niżej. Jak na mężczyznę tak niskiego wzrostu miał nieproporcjonalnie dużą głowę i kiedy był przepelniony wstydem, nie potrafił utrzymać jej w pionie. Peter, który wycierał ręce w serwetki i najwyraźniej nie poczuwał się do tego, żeby podzielić z Rubem brzemię wstydu, pochylał się w jego stronę i powiedział scenicznym szeptem:

- Skoro mowa o dzieleniu się, mógłbyś mi przypomnieć, że sześćset dolarów, które nam wypłacił Carl Roebuck, wylądowało w jego kieszeni i tyleśmy je widzieli.

Ponieważ była to prawda, Sully dał każdemu po dwie setki. Rub wziął swoje banknoty pomarańczowymi palcami, złożył starannie i schował do kieszeni.

- Co się tak gapiacie? - zapytał Sully, bo wyglądało na to, że wszyscy na niego patrzą. - Może byśmy tak wrócili do roboty?

- Dobra - zgodził się Rub, zsuwając się z taboretu.

- Zaczekaj minutkę na dworze - polecił mu Sully. - Muszę porozmawiać z synem.

Twarz Ruba znów się zachmurzyła.

- Następnym razem zostaw mi skrzydełko, to z tobą też porozmawiam - obiecał Sully.

- Boże, ależ ty go traktujesz - powiedział Peter, kiedy Rub wyszedł.

- On wie, że nie mam nic złego na myśli.

- Jesteś pewien?

- Najzupełniej.

Peter skwitował to milczeniem.

- Lepiej odżałuj parę minut i zajrzyj do mamy - powiedział Sully. - Zamartwia się.

- Z powodu Willa?

- Z twojego powodu.

- Z mojego? Niby dlaczego?

- Skąd mogę wiedzieć, u licha? Nigdy nie twierdziłem, że rozumiem twoją matkę. Mówi, że miałaś telefon od jakiejś kobiety z Wirginii Zachodniej.

Peter przewrócił oczyma.

- O Chryste. Dobra.

- Matka sądziła, że zechcesz mi o tym opowiedzieć.

- Nie zechcę.

- Powiedziałem jej to.

- Miałaś rację.

- Świetnie. Zachowuj wszystko dla siebie. Każdą pieprzoną sprawę. Ale nie wyobrażaj sobie, że będę nie wiadomo jak długo znosił twoje ponure miny - powiedział Sully. - Wiem, że twoim zdaniem mi się to należy, ale to nie znaczy, że mam na to ochotę.

Wydawało się, że Peter ma coś na końcu języka, ale się nie odezwał.

- Idź i zobacz, czy z matką wszystko w porządku. My zabierzemy się do podłóg.

- Zaczynjcie na górze, tam gdzie deski i tak są zniszczone - poradził Peter. - Potrzeba trochę czasu, nim człowiek nabierze wprawy i nauczy się ich nie łamać.

- Skąd wiesz?

- To będzie moja trzecia podłoga. Dwie poprzednie kładłem dla profesorów.

Pierwszą na roku dyplomowym, dla mojego promotora. Drugą dwa lata temu w Wirginii Zachodniej. Powinienem pracować nad publikacją, ale potrzebowałem pieniędzy. Tak więc położyłem podłogę dla profesora zwyczajnego, a w trzy miesiące później ten sam profesor głosował przeciwko mojemu awansowi i przedłużeniu kontraktu. Powiedział, że mam niewłaściwie ustawione priorytety. Ale przynajmniej mam talent, gdyby wszystko inne zawiodło, prawda?

- Masz na myśli układanie podłóg czy uzalanie się nad sobą? - za pytał Sully. Znow pozwolił wymknąć się słowom i natychmiast tego pożałował.

- Dzięki - odciął się Peter. - Wiedziałem, że mnie zrozumiesz.

Po jego wyjściu Sully opróżnił do końca swój kufel.

- Birdie - odezwał się do barmanki, która akurat stała obok niego. - Sam nie wiem...

- To jest nas dwoje, bo ja też nie - powiedziała Birdie współczująco. - Ale nie to jest najgorsze.

Sully zmarszczył podejrzliwie brwi.

- A niby co?

- Ktoś jest mi winien za trzy porcje skrzydełek.

Sully rozejrzał się po sali, która tymczasem mocno opustoszała, bo wszyscy biznesmeni z Głównej wrócili do swoich popołudniowych obowiązków. Niestety Carl Roebuck też zdążył się zmyć.

- Coś mi mówi, że to ja - domyślił się.

W drodze powrotnej powitał ich niecodzienny widok. Jechali Główną w stronę Bowdon. Rub, wciąż naburmuszony, że kazano mu wyjść, aby Sully i Peter mogli porozmawiać w cztery oczy, wyglądał przez okienko na ulicę. Nagle zauważył samochód zaparkowany pod dziwacznym kątem na środku trawnika przed domem Milesa Andersona. Nieopodal, na stopniach ganku, siedziała dobrze ubrana kobieta w średnim wieku i wyglądała na to, że szlochała. Widok był wystarczająco niezwykły, żeby Rub zapomniał o swoich żalach.

- Patrz - zawołał, kiedy Sully zahamował przed skrzyżowaniem z Bowdon. Tym, co go najbardziej zaintrygowało, nie był samochód zaparkowany na trawniku ani nieznajoma, zapłakana kobieta, siedząca na stopniach, ale wrażenie, że czegoś tu brak. Odkąd podjęli się do prowadzić do porządku posesję Andersona, Rub oczekiwał z obawą dnia, kiedy będą musieli zaatakować pień, sterczący na środku trawnika. - Ktoś zabrał pień - powiedział z nadzieją do Sully'ego.

Sully cofnął się od skrzyżowania na wstecznym biegu, zatrzymał samochód przy chodniku i wysiadł. Kobieta przypomniała tę, która wcześniej towarzyszyła Clive'owi juniorowi „Pod Koniem”. Sprawiała wrażenie, jakby pomiędzy kolejnymi chlipnięciami mówiła do siebie. Na dźwięk zamykanych drzwi samochodu podniosła wzrok i jej rozgoryczenie najwyraźniej jeszcze wzrosło, kiedy się przekonała, że to nie ci, których się spodziewała. Wyras jej twarzy sugerował, że niespodziewane pojawienie się Sully'ego i Ruba dopełnia miary jej upokorzenia, cokolwiek było jego powodem.

- Zapytaj ją, kto zabrał pień - odpowiedział Rub. Sully spojrział na niego i pokręcił głową.

- Nikt go nie zabrał, matolku. Jest pod samochodem.

Rub przykucnął i zjrzał pod samochód. Sully miał rację, pień znajdował się pod samochodem, a ściśle biorąc - samochód na pniu, co tłumaczyło jego dziwne nachylenie.

Sully zauważył w tym momencie, że z domu Alice Gruber, stojącego nieopodal przy tej samej ulicy, wychodzi Clive junior i rusza pieszo w ich stronę, mały i jakby nie na miejscu pod szpalerem ogromnych, czarnych wiązów. Kiedy zobaczył, kto na niego czeka, jego chód zmienił się ledwie dostrzegalnie, jak gdyby sygnalizując w ten sposób zmianę niepomysłnej sytuacji na jeszcze gorszą. Co było prawdą.

- Witaj, laleczko - zawołał Sully. Prawdę mówiąc, kobieta wyglądała na znacznie starszą niż te, do których zazwyczaj się zwracał w ten sposób, ale wyglądała też na taką, której przydałaby się odrobina otuchy.

- Czy to wóz holowniczy? - zapytała tak żałośnie, że Sully wyczuł melodramat wiszący w powietrzu.

- Ja? Czy wyglądam na coś podobnego?

- Mój narzeczony wezwał... wóz holowniczy - wyjaśniła rozdygotanym głosem.

Rub lypał na nią spode łba, jakby była jakimś mitycznym stworem.

- Czy mógłby pan odprawić tego okropnego człowieka? - zapytała kobieta błagalnym tonem, wskazując Ruba.

- Niestety nie - powiedział Sully. - Nigdy mi się to dotąd nie udało. Ale może pani spróbuje?

Kobieta odwróciła głowę, spoglądając beznadziejnym wzrokiem w głąb ulicy, w stronę Sans Souci.

- Cześć, Clive - powiedział Sully, kiedy ten do nich dołączył.

- Sully - powitał go Clive junior.

Kobieta siedząca na stopniach podniosła się na jego widok, ale nadal stała pod gankiem.

- Nie chcę nic mówić zauważył Sully - ale wygląda na to, że siedzisz na pniu.

Clive junior spojrział na głębokie ślady opon, zaczynające się przy kra-
węzniku, a kończące tam, gdzie utknął samochód.

- To był wypadek - westchnął.

- Domyślałem się, że nie zaparkowałeś w ten sposób specjalnie - rzekł Sul-
ly.

- To nie ja - sprostował Clive. - Dawałem Joyce lekcję jazdy. - Coś na
kształt chytrego uśmieszku pojawiło się na jego wargach. - Nie spodziewałeś
się znów jej zobaczyć, co?

- Kogo? - nie rozumiał Sully.

Wszyscy trzej mężczyźni spojrzeli w stronę pogrążonej w smutku kobie-
ty.

- Joyce - pospieszył z wyjaśnieniem Clive junior.

- Jakiej Joyce?

Uśmiech, jeśli to rzeczywiście był uśmiech, znikł.

- Mojej narzeczonej. Spotykałeś się z nią kiedyś.

Sully przyjrzał się uważniej kobiecie siedzącej na stopniach ganku.

- Nigdy w życiu jej nie widziałem - zapewnił Clive'a juniora. - Ona też
mnie nie zna. Wzięła mnie przed chwilą za wóz holowniczy.

- Chodziłeś z nią w szkole średniej - powiedział Clive junior.

Sully był zachwycony, widząc, że Clive junior się złości.

- Nic podobnego - powtórzył. - Nigdy w życiu.

- Nazywała się Joyce Freeman.

- Pierwsze słyszę.

- Dlaczego ona płacze? - nie rozumiał Rub.

Clive junior spiorunował go wzrokiem, aż Rub spuścił głowę, wbijając
wzrok w swoje buty, po czym szturchnął Sully'ego, konfidencjonalnie, jak
mu się wydawało.

- Dlaczego ona ciągle płacze? - powtórzył.

- Pewnie myśli o swojej przyszłości - powiedział Sully. - Wychodzi za na-
szego juniora. Rozchmurz się, Clive. To był żart.

Clive junior wydawał się wdzięczny za te słowa i ku zaskoczeniu
Sully'ego rzeczywiście się nieco rozpogodził, opowiadając z ociąganiem, jak
doszło do incydentu. Wyjaśnił, że Joyce nie nauczyła się dotąd prowadzić
samochodu. Przez ostatnich kilka tygodni udzielał jej lekcji jazdy. Tego dnia
ćwiczyli parkowanie równoległe przy Głównej, gdzie było mnóstwo miejsca i
prawie żadnego ruchu. Joyce nie była samorodnym talentem. Pomimo jego
cierpliwych objaśnień wciąż za bardzo skręcała koła, uderzając w krawężnik

przy cofaniu. Kiedy widział, że za chwilę znów zrobi to samo, powiedział jej, żeby zaczęła od nowa. Joyce zapomniała najwidoczniej, że jest na wstecznym biegu, i zaskoczyło ją, kiedy po zwolnieniu hamulca ruszyła do tyłu. Natychmiast wyciągnęła mylno wniosek, że samochód się stacza, na co jedyną radą wydało jej się dodanie gazu.

- Mówiłem jej, że rozumowała najzupełniej logicznie, ale nic nie może jej pocieszyć.

- Chcesz, żebym spróbował? - zaoferował się Sully. - Skoro była moja dziewczyną?

Clive junior spojrział na niego spod zmrużonych powiek.

- Ty byłeś w czwartej klasie, ona w trzeciej.

- Mniejsza o to. Chcesz, żebyśmy ci zdjęli wóz z tego pniaka? - zapytał Sully.

- Mówiłem ci już - powtórzył Clive junior - że wóz holowniczy jest w drodze.

- Nie sądzę, żeby dało się po prostu go ściągnąć - powiedział Sully. - Popatrz, gdzie jest tylna oś.

- Będą wiedzieli, co robić - upierał się Clive junior, którego twarz znów przypominała chmurę gradową. Przyczyna, jak się Sully domyślał, leżała w tym, że za nic nie chciał rozpoznać jego narzeczonej. - Możesz spokojnie iść.

W tym momencie nadjechał wóz holowniczy, należący do „Świata Motoryzacji”. Za kierownicą siedział Harold Proxmire, ze swoim rudym nastolatkiem, Dwayne'em, u boku. Ponieważ nie było pewności, czy młody człowiek przyholuje właściwy pojazd, Harold postanowił najwidoczniej mieć go na oku, i przyjechał razem z nim.

Harold, w swoim szarym ubraniu wyglądający równie szaro jak zawsze, zaparkował samochód po drugiej stronie ulicy i wygramolił się z niego, kręcąc głową na widok Sully'ego.

- Powinienem się domyślić, że maczałeś w tym palce - rzeki, oceniając sytuację jednym rzutem oka. - Utknął pan na pniu, prawda, panie Peoples?

Clive junior potwierdził, wyjaśniając jeszcze raz, jak do tego doszło. W Haroldzie znalazł znacznie wdzięczniejszego słuchacza niż w Sullym. Proxmire kiwał poważnie głową, a kiedy Clive junior skończył swoją opowieść, powiedział:

- To pech, że pień musiał się znajdować akurat w tym miejscu.

- Raczej szczęście - wtrącił się Sully. - Gdyby nie on, wjechałaby pewnie prosto do salonu.

- Mówiłem mu, że nie musi czekać, jeśli nie chce poinformować Clive junior Harolda, który przykleknął właśnie, żeby zajrzeć pod samochód.

- Cieszę się, że zaczął - odparł Harold. - Trzeba będzie podnieść samochód.

- Mógłbyś wziąć go na hol i przy okazji wyciągnąć tego pniaka - zasugerował Sully. - Zaoszczędziłbyś nam roboty.

- Przestań dłużyć w nosie, Dwayne, i idź podnieść samochód - polecił swojemu pomocnikowi Harold.

Twarz chłopca, który oddawał się ukradkiem temu zajęciu, przybrała ten sam kolor co jego włosy. Ustawił się z Sullym i Rubem za samochodem, podczas gdy Harold otworzył przednie drzwi i ujął kierownicę.

- Gdzie ja mam się ustawić? - zapytał Harolda Clive junior, którego najwyraźniej pominięto przy rozdzielaniu zadań. Przy tylnym zderzaku, który Sully z Rubem i chłopcem mieli za chwilę dźwignąć, nie było już miejsca.

- Może obok niej? - zaproponował Sully.

- Myślę, że jest nas dość, panie Peoples - rzekł Harold. Policzył do trzech i podnieśli. Samochód potoczył się do przodu z zaskakującą łatwością. Jedyną ofiarą był Dwayne, który zajmując środkową pozycję pomiędzy Sullym i Rubem, potknął się o pień, kiedy samochód ruszył, upadł i rozciął sobie dolną wargę.

- W porządku, panie Peoples - oznajmił Harold, włączając hamulec ręczny. - Jest pan wolnym człowiekiem.

Clive junior nie wyglądał na wolnego człowieka. Wyglądał jak człowiek, który dźwiga niewidzialne jarzmo, wlokąc za sobą coś, czego tylko on sam jest świadom.

- Ile jestem panu winien? - zapytał.

- Jak za zwykle wezwanie. Nie musieliśmy pana holować. Na pańskim miejscu wstawiłbym go gdzieś na podnośnik, żeby ktoś mu się dobrze przyjrzał. Upewniłbym się, że oś nie jest pęknięta.

Clive junior dał mu dwadzieścia dolarów, po czym odwrócił się do Sully'ego.

- Nie wygłupiaj się - powiedział Sully.

Wciąż stali wokół dopiero co uwolnionego samochodu. Pięciu mężczyzn, z których żaden chyba nie miał wystarczających kompetencji, żeby zakończyć to zebranie.

- Powinniśmy wracać, Dwayne i ja - oświadczył w końcu Harold - bo

szeffowa nabierze podejrzeń. Proszę powiedzieć swojej przyjaciółce, że nie takie rzeczy się zdarzają. Powinna zobaczyć, jak się innym zdarza wpakować. Nie z takich dołków już ludzi wyciągałem.

- Postaram się zlikwidować ten pień jak najszybciej - obiecał Sully. - Na wypadek gdybyś chciał kontynuować naukę jazdy.

- Nie przypuszczam, żebyś zdążył już znaleźć nowe mieszkanie? - zapytał Clive junior.

- Jeszcze nie. - Sully się uśmiechnął. - Ale dzięki za troskę.

Odprowadzili z Rubem Harolda i chłopca do ich samochodu. Harold usiadł na miejscu pasażera, Dwayne za kierownicą.

- Weź to, zanim zrobię jakieś głupstwo - powiedział Sully, podając mu dwie setki, które przypadły na niego z sześcioro, wypłaconych im przez Carla Roebucka.

- Jesteś pewien? - zapytał Harold.

Sully potwierdził.

- Chcesz rachunek?

- Nie, chcę, żeby spadł śnieg.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz się nie martwić - uspokoił go Harold. - Nie mam zamiaru windykować furgonetki.

- Wiem, że nie masz - powiedział Sully. - Ale Esmeralda może to zrobić.

- To najbardziej skąpa chrześcijanka w całym hrabstwie - przyznał Harold. - Prawda, Dwayne?

Dwayne najwyraźniej nie widział wielkiego pola manewru, jeśli chodzi o odpowiedź na tak postawione pytanie, bo ograniczył się do wzruszenia ramion.

- Czy to nie ją widziałem w telewizji w zeszłym tygodniu? - przy pomnił sobie Sully. Był wtedy „Pod Koniem” i rzucił okiem na ekran w samą porę, żeby zobaczyć ostatnich kilka sekund relacji z protestu przeciwko budowie lunaparku „Podróż bez Końca”.

Harold skinął głową z westchnieniem.

- Tak myślałem. Ale na małym ekranie cała fryzura się nie zmieściła, dlatego nie miałem pewności.

Harold zignorował tę uwagę.

- Nasz chłopiec leży na tym cmentarzu - wyjaśnił.

Sully zupełnie zapomniał, że państwo Proxmire mieli syna, który zginął w Wietnamie. - Nie chce, żeby zakłócano jego spokój.

- Rozumiem ją - powiedział Sully, który pożałował teraz swoich kpin z pani Haroldowej.

- Zabawny moment na protest - kontynuował Harold, którego oczy zwilgotniały. - W czasie wojny nie protestowała. Mnie też nie pozwoliła.

- Sami też wojowaliśmy, o ile pamiętam - zauważył Sully.

Harold, który służył w wojsku, podobnie jak on, pokiwał głową.

- Zgadza się. Myślałem, że nigdy nie przestaniemy.

Obaj mężczyźni milczeli przez dłuższą chwilę.

- Dobrze słyszałem, że twój syn jest w mieście? - zapytał Harold.

Sully przytaknął z dziwnym uczuciem. Niewielu ludzi pamiętało, że ma syna, a nawet ci, którzy pamiętali, rzadko kiedy kojarzyli z nim Petera. Fakt, że Harold tak się o nim wyraził, przypomniał mu słowa Very, twierdzącej, że wygrał, że ich syn należy teraz do niego.

- Będzie mi pomagał przez parę tygodni - wyjaśnił, omal nie dodając: zanim wróci na uczelnię. Uświadomił sobie w porę, że byłaby to niedelikatność wobec człowieka, którego własny syn leżał pochowany miłą za miastem. Poza tym zabrzmiałoby to jak przechwałka. Mój syn, wykładowca na wyższej uczelni. Przechwałka, do której nie czuł się w żaden sposób uprawniony.

Harold wskazał ruchem głowy Clive'a juniora, któremu udało się w końcu nakłonić rozszlochaną narzeczoną do opuszczenia stopni ganku; szedł z nią teraz w stronę samochodu, nadal stojącego na środku trawnika. Trzymał ją pod ramię i prowadził jak niewidomą.

- W dzieciństwie miałem setera irlandzkiego podobnego do niej. Taki sam kłębek nerwów.

Patrzyli, jak Clive junior pomaga kobiecie wsiąść do samochodu, po czym obchodzi go dookoła i siada za kierownicą. Silnik zapalił od razu, Clive zjechał z trawnika i łagodnie pokonał krawężnik.

- Powinien sprawdzić tę os - powiedział Harold. - Ale załóżę się, że tego nie zrobi.

- Nic mu nie będzie - odparł Sully.

Złe rzeczy nie przydarzają się bankierom. Jednak w pamięci stanęły mu niedobre przeczucia Carla Roebucka co do „Podróży bez Końca” i zadał sobie pytanie, czy Clive junior może się znaleźć w kłopotach. Za względu na pannę Beryl miał nadzieję, że mu to nie grozi.

- Na jego miejscu dałbym sobie spokój z nauką jazdy. W ten sposób zgiął jego staruszek, prawda?

- Do niektórych ludzi nic nie dociera. Pozdrów ode mnie Esmeraldę.

Kiedy wóz holowniczy ruszył, Sully zauważył, że Rub ma nos spuszczone na kwintę. - O co chodzi?

- Wolałbym, żebyś je wziął - powiedział Rub.
- Żebym co wziął?
- Te dwadzieścia docłów, które ci dawał.
- Kto? - nie rozumiał Sully.
- Facet z banku - powiedział Rub. - Wiedziałbym, co z nimi zrobić.
- Z dziesięcioma, chciałeś powiedzieć.
- To było dwadzieścia - upierał się Rub. - Widziałem.
- Ale tylko połowa byłaby twoja, zgadza się?
Rub wzruszył ramionami.
- A może chciałeś zatrzymać dla siebie całą dwudziestkę, a mnie odprawić z kwitkiem?
- Nie dostałem nawet połowy - zauważył Rub. - Nic nie dostałem.
- Cóż, ja też nie - skwitował sprawę Sully.
Rub westchnął. Kolejnej utarczki słownej z Sullym nie wygrał.
- Jest Peter - zauważył smętnie Rub, kiedy pojawił się el camino. - Z nim też byś się pewnie podzielił, chociaż go tu w ogóle nie było.

- Jak tam robota? - zapytał Wirf, kiedy Sully zjawił się wieczorem „Pod Koniem” i usiadł na taborecie obok niego. Jakiś szczególny ton w głosie prawnika zdradzał, że nie jest to tylko grzecznościowe pytanie.

- Ciężka - powiedział Sully. - Brudna. Niewdzięczna. - Wskazał ruchem głowy spotniałą butelkę piwa, stojącą przed Wirfem. Ostatnio jego przyjaciel poprzestawał na wodzie sodowej, dopóki Sully nie dołączył do niego po kolacji. - Widzę, że już zaczęłaś „zyg”.

- Rozmyślałem - wyjaśnił Wirf. - „Zyg” zawsze mi pomaga w rozmyślniach. Interesuje cię, nad czym rozmyślałem?

- Nie.

- Nad głupotą - poinformował go Wirf.

Sully przyjrzał mu się uważnie, próbując ocenić stopień upojenia alkoholowego, co w przypadku Wirfa nigdy nie było łatwym zadaniem.

- Nie jesteś w najlepszym nastroju, Wirf. To widać.

Birdie podeszła i podała Sully'emu piwo, które, jak wiedziała, i tak by zamówił.

- Nawet nie obstawił „Sądu obywateli” - powiedziała ze smutkiem.

- Chyba wezmę jeszcze jedno - zwrócił się Wirf do Birdie - skoro pojawił się obiekt moich rozmyślań.

Kiedy Birdie pochyliła się, żeby wyjąć butelkę z lodówki, Sully wykonał teatralny popis, stając na poprzecznych szczeblach taboretu i zapuszczając jej żurawia za bluzkę.

- Jaki to typ biustonosza?

- Dwupokładowiec - poinformowała go Birdie, po czym postawiła przed Wirfem butelkę, krzywiąc się z dezaprobatą. - Skoro mowa o głupocie.

- To nie głupota - sprostował Wirf - tylko autodestrukcja.

- Gdzie Jeff? - zapytał Sully, do którego nagle dotarło, że Birdie powinna już dawno pójść do domu.

- Tiny go zwolnił.

- Czemuż to?

- Nie należy kraść, kiedy interes słabo idzie - odrzekła Birdie znacząco, po czym poszła w drugi koniec baru, żeby obsłużyć Jocko, który właśnie wszedł; Sully i Wirf zostali w swoim kącie.

- To było jedno z oryginalnych dziesięciu przykazań, jeśli sobie przypominaś - powiedział Wirf. - „Nie będziesz kradł, kiedy interes słabo idzie”. Przedtem było „Szkoly swojej nie będziesz porzucał”. A jeszcze przedtem: „Nie dasz się przyłapać na pracy, kiedy pobierasz zasiłek od państwa”.

- Słuchaj - odezwał się Sully. - Nie wiem, jaki giez cię dzisiaj ugryzł w tyłek, ale ja wyjątkowo mam dobry humor. Nie wiem, kiedy mi się trafi następna okazja, dlatego nie zamierzam ci pozwolić zepsuć tej, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Wirf wydawał się tej chwili zaskakująco trzeźwy i zdecydowany.

- Założę się, że mógłbym ci ją zepsuć.

- Założę się, że nie mógłbyś - zapewnił go Sully, zsuwając się z taboretu i zabierając ze sobą swoje piwo. Znalazł się przy drugim końcu baru w tym samym momencie, w którym Jocko odebrał swoje zamówienie, a ponieważ ostatnia fiolka jego tajemniczych pigulek była znacznie lepsza od tych, które go swego czasu uśpiły, a dobermana Carla przyprawiły o wylew, zapłacił więc za jego drinka.

- Nie mów mi, że twoja trójka dzisiaj wygrała - uprzedził Jocko, przyglądając mu się ponad oprawkami okularów - bo wiem, że to nieprawda.

- Chciałem ci tylko podziękować - powiedział Sully, zniżając głos. - Te małe niebieskie są jak dotąd najlepsze.

Jocko skinął głową.

- Pomyślałem, że mogą ci przypaść do gustu. To nowa rzecz. Raczej nie mieszałbym ich z alkoholem.

- Ja też nie - zgodził się Sully, pociągając łyk piwa. - Biorę je rano, z so-
kiem z suszonych śliwek.

- Na to też coś mam - powiedział Jocko.

Birdie znów się zjawiła, tym razem z liścikiem, napisanym charakterem
Wirfa na papierowej serwetce. „A następne brzmiało: Nie pozwolisz się
sfilmować przy ładowaniu betonowych bloków na furgonetkę, kiedy się
sądzisz o rentę inwalidzką”. Uśmiech Wirfa był widoczny z drugiego końca
baru.

- Wątpię, czy to sprawa tabletek - powiedział Jocko. - Podobno artre-
tyzm mniej dokucza, kiedy człowiek się rusza. Co nie znaczy, że zalecałbym
forsowanie tego kolana.

- Nawet go tak bardzo nie maltretuję - odparł Sully, zwijając w kulkę li-
ścik Wirfa i podrzucając. Facet w ciemnym sedanie, nie ulegało wątpliwości.
Ten, którego podejrzewał, że jest prywatnym detektywem wynajętym dla
zdobycia dowodów niezliczonych zdrad Carla.

Wirf skrobał coś na kolejnej serwetce.

- Czyżby nasz zaprzyjaźniony prawnik pracował nad aktami jakiejś
sprawy? - zapytał Jocko.

- Wątpię. Prędzej sam by pozował do aktu.

Birdie przyniosła następny liścik. „Zaprawdę, zaprawdę, powiadam ci.
Jeśli dasz się przyłapać na pracy podczas pobierania zasiłku, masz praw-
dziwie i na zawsze przechłapano w oczach władz”.

Sully zwinął i tę serwetkę w kulkę i poszedł z powrotem w przeciwny ko-
niec baru.

- Sfilmować?

- Zaprawdę.

- Hmm - mruknął Sully, przeczesując włosy palcami. - Więc to takie
buty. Sądziłem, że to jakiś zazdrosny mąż, który planuje zamach na Carla
Roebucka. Myślałem, że to, co ma w ręku, to lornetka.

- Kamera wideo.

- Bez kitu?

- Zaprawdę.

- Co mogą nam zrobić?

- Nie wiem - przyznał Wirf. - To zależy, do jak wrednych metod zechcą
się posunąć. Mogą wystąpić o zwrot wypłaconych zasiłków. I dofinansowa-
nia na przekwalifikowanie.

- Zrobią to?

- Raczej nie. Zażądałbym, żeby przedstawili sfilmowany materiał jako
dowód rzeczowy, a sądzę, że taśma pokazująca ciebie przy pracy przyniosłaby

tyle pożytku nam co im. Widzisz, jedno z oryginalnych dziesięciu przykazań działa w tym wypadku na naszą korzyść.

- Tylko jedno?

- „Nie będziesz władny zrobić z owsa ryżu”.

Sully wzruszył ramionami.

- To czym się przejmujemy?

Wirf uśmiechnął się szeroko, kiedy Sully sadził się z powrotem na taborecie obok niego.

- Oj, Sully, Sully - westchnął tytułem wstępu do miło zapowiadającej się, wspólnie spędzonej reszty wieczoru.

Środa

Śnieg.

Nie przypominający żadnego, jaki do tej pory widziała. Panna Beryl patrzyła jak zahipnotyzowana przez uchylone żaluzje frontowego pokoju na wirujące płatki. Po obudzeniu czuła lekki zawrót głowy, jak gdyby za szybko wstała. Ale nie: wstawała powoli, a potem stała obok łóżka przez jakiś czas, zastanawiając się, czy usiąść z powrotem. Grypa, niech ją licho, pomyślała. Nie chorowała na nią od blisko dziesięciu lat, nie bardzo więc pamiętała, jak się człowiek powinien wtedy czuć. A czuła się, pomijając karuzelę w głowie, jak gdyby jej stopy i palce dłoni znajdowały się o całe mile od niej, jak gdyby należały do kogoś innego. Słowo „grypa”, jako wytłumaczenie tego stanu rzeczy, wyskoczyło niczym świeżo upieczone ciasto z piekarnika i zawładnęło w jednej chwili jej świadomością, ciepłe i sycące głód wyjaśnień.

Grypa. To tłumaczyło jej poczucie oderwania, doskwierające jej przez kilka ostatnich dni, a nawet, być może, nękające ją poczucie winy wobec Sully'ego. Panna Beryl wyznawała pogląd, że wyrzuty sumienia zachowują się podobnie jak kultury bakteryjne, rozmnażając się w sprzyjającym klimacie choroby, a ich atak często wróży rychłe wkroczenie do akcji wirusa. Zdecydowała, że ten konkretny wirus musiał być prezentem od okropnej Joyce. Nie żeby dostrzegła u niej jakiegokolwiek objawy grypy. Joyce robiła na niej po prostu wrażenie osoby nękaanej licznymi przypadłościami. (Słyszała o wczorajszym incydencie z samochodem od pani Gruber, która w zamian za szczegółową relację udostępniła jej synowi telefon, żeby mógł wezwać pomoc drogową. Utwierdziło to pannę Beryl w przekonaniu, że Joyce stanowi

zagrożenie). Nie zdziwiłaby się ani trochę, gdyby się okazało, że narzeczona Clive'a juniora jest nosicielką wirusa grypy.

Od czasu przejścia na emeryturę stan zdrowia panny Beryl poprawił się znacznie pod wieloma względami, mimo postępujących lat. Ósma klasa stanowi idealne środowisko, w którym człowiek „łapie” wszystko, co lata w powietrzu i przypomina chorobę. Także depresję, która w połączeniu z poczuciem winy otwiera w jej przekonaniu drzwi chorobie. Nie знаła ani jednego nauczyciela, który nie cierpiałby na chroniczną depresję i wyrzuty sumienia. Wyrzuty, że nie działał więcej, jeśli chodzi o swoich uczniów, depresję, bo niewiele więcej zrobić się dało. Odkąd zakończyła karierę, miała znacznie mniej okazji, żeby folgować czy to jednemu, czy drugiemu. Nie licząc tych chwil, kiedy wypominała sobie niedostatek uczuć wobec Clive'a juniora, miała niewiele powodów, by czuć się winną, a z wyjątkiem piątkowych popołudni, kiedy ukazywał się „North Bath Weekly Journal”, rzadko kiedy była narażona na depresję. Tak więc wrota, przez które mogła wejść choroba, pozostawałyna ogół zamknięte na cztery spusty. Nie - zdecydowała panna Beryl - to okropna Joyce, niszczyicielka samochodów i krzeseł, z której nigdy niećmykających się ust płynął nieprzerwany strumień toksycznych opinii i kto wie czego jeszcze, musiała być winowajczynią. Jej samopoczucie poprawiło się nieco, kiedy rozstrzygnęła sprawę po swojej myśli. Ale nie za bardzo.

Skoro przyczyna jej dziwnego samopoczucia została ustalona, panna Beryl zdecydowała, że najlepiej będzie potraktować wirusa tak samo, jak potraktowałoby się osobę, od której pochodził. To znaczy, ignorować go i mieć nadzieję, że sobie pójdzie.

- Zrób swoją poranną herbatkę, staruszko - powiedziała do siebie - i włóż parę porządnych, ciepłych skarpetek.

Zrobiła to i znów poczuła się nieco lepiej, chociaż dziwne uczucie, że jej stopy i dłonie są daleko od niej, wydawało się nasilać, kiedy krzątała się po swojej jasnej kuchni, przyrządzając herbatę. No, w porządku - pomyślała, wrzucając torebkę do wrzątku. - Gotowe. Zrobiłaś swoją herbatkę i wcale nie czujesz się gorzej. Zabierz ją teraz do salonu i zobacz, czy na ulicy nie widać zbłąkanych staruszek albo strąconych konarów. Sprawdź, czy ręka Boga nie dosięgła kogoś, kiedy spałaś, chytrusko.

Właśnie gdy podeszła do okna i uchyliła żaluzje, zobaczyła padający śnieg i dostrzegła jego dziwny, migotliwy blask. Jakby równocześnie świeciło słońce, którym rozblęyskał każdy spadający płatek. Ulica ożyła, pełna

tańczących robaczek świętojańskich. Panna Beryl usiadła i obserwowała ów spektakl z cichym zdumieniem, zaskoczona, że filiżanka herbaty prawie wcale nie ogrzewa jej dłoni. Poruszenie palcami stóp też wydawało się przekraczać jej możliwości, poza tym czuła, że są od niej tak strasznie daleko. Wszystko to nie miało sensu. Przy tak niewielkim wzroście nie mogła znajdować się zbyt daleko od własnych stóp.

Tak zastał ją Sully, kiedy zszedł na dół i po raz pierwszy w tym tygodniu wetknął głowę do jej mieszkania. Przekonał się, że jego gospodyni zdążyła wstać, ubrać się i siedzi tyłem do niego, patrząc przez okno na ulicę.

- Niech mnie pani ignoruje, proszę bardzo - powiedział, kiedy nie zareagowała na jego zwykłą uwagę, że jeszcze nie umarła.

Ale panna Beryl nadal milczała. Kiedy podniósł głos, pytając, czy nic jej nie jest, a ona i tym razem nie odpowiedziała, podszedł bliżej i przyjrzał się staruszce podejrzliwie, jakby oglądał manekin z wystawy, sprawdzając, czy nie jest to przypadkiem zamaskowany człowiek.

Panna Beryl, która nie słyszała ani jego wejścia, ani powitania, uradowała się, kiedy pojawił się w jej polu widzenia. W końcu to on modlił się o śnieg i cieszyła się, że jego skromna modlitwa została wysłuchana. Miała tylko nadzieję, że ten dziwny śnieg, którego płatki rozbłyskały, nim spadły na ziemię, nagromadzi się w dostatecznej ilości, żeby wymagał odśnieżania. Chciała powiedzieć, że życzy mu w tej sprawie jak najlepiej, jak zresztą i w każdej innej, że chociaż go skrzywdziła, zachował miejsce w jej sercu, ale jej głos wydawał się równie daleki jak palce stóp i dłoni. Kiedy wreszcie zdołała go dobrać, brzmiał, jakby należał do kogoś innego, na przykład do pani Gruber.

- Popatrz - powiedziała - jaki śliczny śnieg.

Żaden widok nie ucieszyłby Sully'ego bardziej niż śnieg, ale niestety ulica za oknem skąpana była w jasnym blasku zimowego słońca. Podbródek, szyja, przód szlafroka i nocnej koszuli jego gospodyni lśniły od krwi.

- W górę czy w dół? - zapytał Sully.

- W górę! - huknęła Hattie. Stali na krawędzi stopnia, stara kobieta uwieszona u jego ramienia, wczepiona w niego, żeby nie stracić równowagi. Z szeroko rozstawionymi nogami i niemal złączonymi kolanami dziwnie przypominała dziecko stawiające pierwsze kroki na łyżwach. Jej ręce były opuchnięte od walenia w drzwi mieszkania. Sully przyszedł tego dnia późno,

bo nie chciał zostawiać panny Beryl samej, dopóki się nie upewnił, że nic jej nie grozi. W pierwszej chwili, kiedy się do niego odezwała, wydawała się w jakimś transie, ale otrząsnęła się z niego błyskawicznie, twierdząc, że to po prostu kolejny „prysznic” z nosa. Zapewniała go, że nie ma powodu do niepokoju, i nalegała szczególnie stanowczo, żeby nie wspominał o niczym jej synowi, na co niechętnie przystał. Rzeczywiście wyglądała dość raźnie, kiedy biegła między kuchnią a salonem, uprząając bałagan, którego narobiła.

Przyrzekł zajrzeć do niej koło dziesiątej, kiedy skończy w jadalni „U Hattie”, a ona obiecała, że pójdzie do lekarza, ale widok staruszki zalanej krwią prześladował go cały czas, szczególnie teraz, kiedy stara Hattie zataczała się u jego boku. Gdyby pokpił sprawę, jego gospodyni mógł grozić podobny stan. Zachodził w głowę, skąd się bierze na świecie tyle starych kobiet.

- W górę? - powtórzył. - Cóż, stopień jest w przeciwną stronę, więc lepiej chodźmy w dół, chyba że umiesz fruwać.

- W dół! - zgodziła się Hattie i razem chwiejnie pokonali stopień.

- Dobra - odetchnął Sully, kiedy mieli to za sobą. - To najbardziej niebezpieczna rzecz, jaką robię w ciągu całego dnia - dodał, kiedy szli w stronę sali jadalnej. - Któregoś dnia spróbujesz zrobić krok w górę i oboje polecimy w dół. I tam zostaniemy.

- W dół to do piekła - rzekła stara Hattie.

- Nie mam zamiaru towarzyszyć ci aż tak daleko - zapewnił ją Sully.

Wiedział, że Hattie nie nadąża za tokiem rozmowy. Od czasu Święta Dziękczynienia jej słuch mocno szwankował i było jasne, że dociera do niej tylko piąte przez dziesiąte, że musi się zadowolić pojedynczymi słowami. Dlatego każdego ranka powtarzał z nią ten sam rytuał, odpytując ją z „góry” i „dołu”. Podejrzewał, że cieszy ją dźwięk prostych słów w jej własnych ustach, że sprawia jej radość dialog, nawet złożony z monosylab, które wyrzucała z siebie z nadzwyczajną energią i satysfakcją.

- Mają płacić - wymamrotała, kiedy przechodzili między ladą a stołem stojącym wzdłuż ściany. Cassandra, która ani razu nie podniosła na nich wzroku podczas ich powolnej wędrówki, posłała teraz starej kobiecie spojrzanie, w którym czaił się mord.

- Co ona powiedziała?

Hattie odwróciła się w stronę, skąd dobiegł do niej głos córki.

- Mają płacić! - huknęła gromko.

Cassandra wyglądała, jakby miała przesadzić kontuar i udusić staruszkę własnymi rękami.

- Mamo! - wrzasnęła. - Posłuchaj mnie uważnie. Nie mam zamiaru znów tego znosić przez cały dzień. Słyszysz? Koniec z tym! Jak nie będziesz się zachowywać przyzwoicie, pójdziesz z powrotem do pokoju. Zamknę cię na klucz, rozumiesz?!

Hattie odwróciła się i ruszyła przed siebie.

- Mają płacić - mruknęła pod nosem.

- Będzie dobrze - uspokoił Cassandrę Sully. - Nie martw się, staruszko - zwrócił się do Hattie. - Każemy wszystkim zapłacić. Każemy im zapłacić podwójnie. Co ty na to?

- Zapłacić - zgodziła się Hattie.

- No - powiedział Sully, usadziwszy staruszkę w jej boksie. - Siedzieć mi prosto. Nie gibać się.

- Nie gibać - powtórzyła Hattie. - Mają płacić.

Sully chwycił fartuch i stanął za ladą obok właścicielki. Cassandra wciąż mierzyła matkę wzrokiem, w którym kryła się autentyczna groźba. Poprzedni dzień był fatalny. Od wielu miesięcy restauracyjna kasa, wielka landara, pamiętająca początki lokalu i niemal tak stara jak sama Hattie, zachowywała się kapryśnie, zacinając się przy otwieraniu szuflady na pieniądze. Wreszcie zaklinowała się na amen i Cassandra zamówiła nową u dostawcy sprzętu specjalistycznego w Schuyler Springs. Nowa kasa została zainstalowana poprzedniego dnia między śniadaniem a obiadowym młynem, kiedy ruch był niewielki.

Kłopot w tym, że stare urządzenie było głośnie, a jego pobrzękiwania, stukoty i klekoty stały się z biegiem lat nieodłączną częścią świata starej Hattie, zwłaszcza odkąd katarakty osłabiły jej wzrok. Hałaśliwa, nieskładna muzyka wiekowego gruchota penetrowała jej przytępiony słuch, stanowiąc żywy dowód, że interes wciąż się kręci. Nowa kasa nie wydawała owych krzepiących odgłosów. Kiedy stało się blisko, ucho mogło złowić jakieś owadzie szmery, ale konstruktorzy urządzenia hołdowali najwyraźniej przekonaniu, że milczenie jest złotem. Nie słysząc swojskiej kakofonii, stara Hattie, śledząca nieostre sylwetki klientów, wchodzących do niej z jadłodajni i wychodzących, musiała dojść do wniosku, że jej córka rozdaje jedzenie za darmo, co ją kompletnie rozjuszyło. Kiedy nadeszła pora lunchu i sznur klientów zaczął się przesuwac przed jej boksem, znajdującym się blisko wejścia, zaczęła skrzeczeć „Mają płacić!”, „Mają płacić!”. Z początku mogło się to wydawać zabawne, ale wyraz jej twarzy był tak dziki, a furia tak auten-

tyczna, że nawet rośli mężczyźni omijali ją szerokim łukiem, nim wyszli z lokalu, jak omija się małego, zajadłego psiaka trzymanego na cienkiej smyczy.

Furia starej Hattie nie słabła. Gdy ludzkie cienie nadal przesuwały się przed jej oczyma, a drzwi otwierały się i zamykały tuż pod jej nosem, zaczęła miotać najpierw ostrzeżenia, potem wulgarne epitety. Stołownicy nie przejmowali się zbyt, kiedy nazywano ich wypierdkami, ale widok rozjuszonej starej działał im na nerwy. Ci, którym udało się umknąć, byli szczęśliwi, że znaleźli się na ulicy. Kiedy Hattie przekonała się, że ani ostrzeżenia, ani obelgi nie mogą powstrzymać strumienia klientów, chwyciła pełną solniczkę i cisnęła w Otisa Wilsona, który aż określił się na taborecie, ugodzony za prawym uchem.

- Boże Narodzenie - powiedziała Cassandra do Sully'ego nazajutrz rano, kiedy stanął obok niej za kontuarem. Jej cichy głos brzmiał złowieszczo. Sully na ogół nie zauważał takich rzeczy, ale Cassandra robiła tego ranka wrażenie szczególnie wyczerpanej - jeszcze jedna stara kobieta.

- Będzie dobrze. - Sully starał się uderzyć w optymistyczną nutę i oczywiście poruszył zupełnie inną strunę. - Uspokoi się. - Oboje spojrzeli na starą kobietę. Sądząc z ustawienia jej dolnej szczęki, trudno było sobie wyobrazić, żeby ostatnio zmieniła zdanie na jakikolwiek temat. Albo przyznała komuś rację.

- Uspokoi się po świętach - powiedziała Cass.

Wchodząc rano do restauracji, Sully zauważył na drzwiach przyklejoną taśmą wywieszkę, informującą, że lokal będzie nieczynny między świętami a Nowym Rokiem, co, jeśli było prawdą, zdarzyłoby się po raz pierwszy. Jadalnia bywała zamknięta w większe święta, ale nigdy przez cały międzyświąteczny tydzień, jeśli dobrze pamiętał. Pospiesznie nagryzmołona wiadomość, w połączeniu z faktem, że Cassandra nic mu o tym wcześniej nie wspominała, wskazywała, że decyzja została podjęta ostatniej nocy. Głębokie cienie pod oczami Cass świadczyły, że nie przespała jej zbyt dobrze.

- Ona na to nie pójdzie. - Sully wskazał wywieszkę ruchem głowy i w tym samym momencie dostrzegł Ruba, który stał pod drzwiami, przestępując z nogi na nogę w szarym świetle poranka, z rękami wciśniętymi w kieszenie płaszcza, najwyraźniej w nadziei, że ktoś go zauważy i wpuści do środka, gdzie było jasno i ciepło. Przy swoim wzroście mógł od biedy zajrzeć do środka ponad wywieszką. Ucieszył się wyraźnie, że został zauważony, chociaż spochmurniał, kiedy nic z tego nie wynikło.

Spojrzał na swój nadgarstek, jak gdyby chciał sprawdzić, ile czasu zostało do oficjalnego otwarcia lokalu. Ponieważ nigdy nie nosił zegarka, na jego nadgarstku nie znajdowało się nic, co miałyby tutaj jakiegokolwiek zastosowanie. Sully zastanawiał się, gdzie Rub mógł podpatrzeć ten gest.

- Ona nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia - oświadczyła Cassandra, która nie zauważyła Ruba. W jej głosie brzmiało wyzwanie. Sully może polemizować, jeśli mu starczy odwagi.

- W porządku - wycofał się Sully, któremu nie starczyło odwagi. - Chciałem tylko powiedzieć, że jej się to nie spodoba, to wszystko.

- Nie - odparła Cassandra. - Chciałeś powiedzieć coś więcej. Chciałeś powiedzieć, że nic z tego nie będzie i żebym lepiej dała sobie spokój od razu. Chciałeś powiedzieć, że prościej będzie jej ustąpić jak zawsze, bo i tak w końcu postawi na swoim. To miałeś na myśli, mówiąc, że ona na to nie pójdzie.

Cóż, była to prawda. Tak właśnie myślał.

- Wcale nie - zaprzeczył.

- Wczorajszy dzień to była ostatnia kropla - ciągnęła Cassandra, celując w niego dłonią, w której trzymała garść świeżo wyjętych z ociekacza noży. - Miarka się przebrała. Idzie do zakładu. Będzie mogła obrażać ludzi, którym za to płacą. - Wrzuciła z rozmachem noże do plastikowego korytka, umieszczonego pod ladą.

- Dobra - powiedział Sully. - W porządku.

Nie wiedzieć czemu, wzbudzając podejrzenie, że kwestionuje jej opinię czy też jej wolę, Sully sprawił, że gniew Cassandry zwrócił się przeciwko niemu. Zastanawiał się czasem, czy ma jakiś szczególny dar ściągania na siebie złości niemal każdej kobiety, która była cięta na kogoś innego. Wyglądało na to, że każda z nich gotowa jest porzucić dla niego dotychczasowy obiekt swojej wzdargy. Ile razy Ruth była zła na Zacka, Vera na Ralpha, Toby Roebuck (i inne kobiety jego życia) na Carla, wszystkie zadawały się wyładowaniem złości na nim, jeśli był pod ręką, jak gdyby uosabiał w jakiejś skondensowanej postaci ów pierwiastek męskiej natury, który sprawiał, że ich własny mężczyzna im podpadł. Pomyślał, że dobrze byłoby odwrócić jakoś uwagę Cassandry, zanim się jeszcze bardziej wkurzy.

- Może by wpuścić Ruba do środka? - zasugerował.

Rub, stojący pod drzwiami, drobił teraz jeszcze szybciej niż przedtem.

- Przychodzi co dzień wcześniej - poskarżyła się Cassandra. - Jak go wpuszczę, będzie wyglądało, że jest otwarte.

- Poprawi ci humor - zapewnił ją Sully.
 - W jaki sposób?
 - Nie wiem. Ale zawsze tak jest.
 - Po prostu lubisz się nad nim znęcać.
 - Pomachaj mu - zaproponował Sully.
- Zamachali oboje. Rub się nachmurzył i nie odpowiedział na ich gest.
- Dobra, nie mogę na to patrzeć - powiedziała Cassandra, próbując powstrzymać uśmiech. - Idź i wpuść go.
 - Widzisz? - powiedział Sully, przechodząc obok niej.
 - Zaczekaj chwilę - zatrzymała go Cassandra.
 - Tak?
 - W przyszłym tygodniu będę potrzebowała pomocy. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.
 - Dobra - zgodził się Sully.
 - Nie obiecuj, jeśli nie zamierzasz dotrzymać.
 - Znajdę wolną chwilę.
 - Jedno przedpołudnie powinno wystarczyć. Chciałam zajrzeć w dwa miejsca. Jedno w Schuyler i jedno w Albany.
 - Dobra.
 - Przestań to w kółko powtarzać.
 - Dobra.
 - Idź i wpuść go.
- Sully wpuścił Ruba.
- Rozmawialiście o mnie - powiedział Rub, kiedy Sully zamknął za nim drzwi na zamek. - Widziałem.
 - Ma zapłacić - powiedziała głośno stara Hattie tuż pod jego nosem.
- Rub, który bał się wszystkich starych kobiet, odskoczył, zerkając na Hattie i próbując ocenić, czy to o niego chodzi. Nie odezwała się do niego ani razu przez te wszystkie lata, kiedy przychodził do jadalni, ale wyglądało na to, że zrobiła to teraz i co gorsza, zażądała pieniędzy, których nie miał.
- Mogę pożyczyć dolca? - wyszeptał, nie spuszczając wzroku ze starej kobiety.

Kiedy Peter, zaspany, ale w roboczym ubraniu, wyszedł z pokoju, który zajmowali z Willem w domu matki, natknął się na Ralpa nasłuchującego pod drzwiami żony. W trudnych momentach ich wspólna sypialnia stawała się sypialnią Very i Ralph wiedział, że nie wolno mu tam wchodzić bez

pozwolenia. Dwaj mężczyźni stali obok siebie w wąskim korytarzu oddzielającym sypialnię, nasłuchując dźwięków po drugiej stronie drzwi. Ale jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć w całym domu, było skrobanie łyżką o miskę w kuchni na dole. Will kończył swoją porcję płatków. Peter odwrócił się w końcu i zaczął schodzić po schodach. Ralph podążył za nim.

- Jesteś gotów, brachu? - zapytał Peter.

Will był gotów. Skończył jeść i pochłonięty był teraz naukowym eksperymentem, do czego posłużyło mu kilka płatków, które pozostały na dnie miski. Na początku wszystkie pływały. Można było je zanurzyć w mleku na dłuższy czas, ale kiedy cofnęło się łyżkę, natychmiast wypływały. Jeżeli przełamało się płatek na pół, obie połówki pływały. Kiedy podzieliło się i te połówki, wszystkie ćwiartki nadal wypływały na powierzchnię. Ale kiedy rozdrobniło się je jeszcze bardziej, pęczniały i szły na dno, zamieniając się w brązową paćkę. Nie formułując żadnych wniosków w sprawie natury tego zjawiska, Will uważał je mimo wszystko za bardzo interesujące. Miło było oddawać się takim rozmyślaniam w spokoju. Jeszcze niedawno w połowie tych skomplikowanych rozważań Fanga, który zawsze potrafił wyczuć, że ktoś myśli, zaatakowałby go znieuważenie. Will potarł wrażliwe miejsce po wewnętrznej stronie prawej ręki, pomiędzy łokciem a pachą. Obolała skóra zaczynała się goić. Chłopiec uśmiechnął się do ojca i dziadka.

- Odłóż miseczkę do zlewu, dobrze? - powiedział Peter. - Babcia będzie miała mniej roboty.

Will odniósł miskę.

- Czy babcia jest chora? - zapytał. Wiedział, że coś strasznie rozstroiło babcię Verę, i miał nadzieję, że ktoś mu niebawem wyjaśni, co to takiego. Wiedział, że ma z tym coś wspólnego telefon i ktoś, kto wy dzwonił do taty, ale zamiast tego rozmawiał z babcią. A także fakt, że nie mieszkali już z mamą, Fangą i Andym. I to, co tato powiedział babci poprzedniego wieczoru: że być może po świętach nie wróci na uczelnię. Może zostaną tutaj i tata będzie pracował z dziadkiem Sullym. To ostatnie rozgniewało ją najbardziej. Wciąż jeszcze była zła. Na tatę i dziadka Sully'ego, i dziadka Ralpha za to, że nie są po jej stro nie. Na mamę, że wyjechała. Chyba nie była tylko zła na niego. Chłopiec był jej za to wdzięczny, z wyjątkiem tych chwil, kiedy zadawała ta cie pytanie: „Co się stanie z tym dzieckiem? Co się stanie z twoją rodziną?”. Zastanawiał się wtedy, czy babcia wie o jakimś niebezpieczeństwie, które im grozi, a z którego on nie zdaje sobie sprawy.

- Może byś skoczył z nami do baru na filiżankę kawy? - zagadnął Peter ojczyrna, kiedy Will uprzętnął swoją miseczkę.

- Lepiej nie - odparł Ralph.

Peter pokręcił głową.

- Jak zostaniesz w domu, wszystko się skrupi na tobie.

Ralph wzruszył ramionami, idąc za nimi na tylny ganek, gdzie Peter z chłopcem włożyli ciepłe kurtki i rękawice.

- Jestem przyzwyczajony - powiedział, ścisząc roztropnie głos. Rozsądek nie był jedynym powodem. Nurtowało go także poczucie winy. Mówiąc, że to dla niego nie pierwszyzna, przyznawał jakby, że widzi Verę w tym samym, niepoehlebnym świetle co Peter, a to nie była prawda. Ralph nie posunąłby się nawet do twierdzenia, że wzburzenie jego żony jest bezpodstawne. Sam byłby wzburzony, gdyby to była jego sprawa, a nie coś, do czego nie miał najmniejszego prawa wtykać swojego nosa. Ludziom zdarza się wpakować w tarapaty i już, takie było jego zdanie. Coś takiego przydarzyło się właśnie Peterowi. A ponieważ z tym rodzajem tarapatów nie miał praktycznie żadnego doświadczenia, uważał za swój moralny obowiązek nie pchać się z dobrymi radami. To, co by zaproponował, okazałoby się pewnie najgorszym rozwiązaniem z możliwych. Vera, przeciwnie, wydawała się wiedzieć, co Peter powinien zrobić. To było dla niej charakterystyczne. Mocną stroną jego żony było to, że potrafiła innym wskazać właściwą drogę, i to właśnie miał na myśli, kiedy twierdził, że jest przyzwyczajony. Przywykł do tego, że jego żona wie, co należy zrobić w danej sytuacji, i że dopilnuje, aby zostało to zrobione.

- Cóż. Mama chce po prostu twojego dobra, to wszystko - powiedział.

- Wiem - zapewnił go Peter, dopinając kurtkę Willa. Chłopiec, którego zamek błyskawiczny musiał kiedyś uszczypnąć w szyję, zawsze osłaniał ją dłonią w wełnianej rękawiczce. Sully miał oczywiście rację, pomyślał Peter. Mały boi się prawie wszystkiego. - Gdyby tylko nie była zawsze taka pewna, że wie najlepiej, co jest dla mnie dobre. Dla mnie i dla innych - dodał dla podkreślenia, że również Ralph jest ofiarą jej nieomyślności.

- Psiakrew, to tylko miłość, nic więcej. - Ralph wzruszył ramionami.

Peter pokręcił głową.

- Mylisz się, papciuu. To jest miłość, zgadza się, ale nie „tylko miłość”.

Ralph nie był pewien, czy dostrzega różnicę, ale nie miało to znaczenia.

- Mniejsza z tym - powiedział. - Nie bierz sobie do serca tego, co powiedziała. Wiesz, że możesz tu zostać, jak długo chcesz. Ten dom jest także mój i dopóki tak jest, ty i twoja rodzina...

Ralph poczuł, że nie może mówić dalej, bo dławi go potężna fala czułości dla jego bliskich, „tylko miłość” obejmująca ich wszystkich. Peter przyjrzał się ojczymowi uważnie.

- Jak ty to robisz, papciu? - zapytał z niedowierzaniem. - Jak ty to znosisz?

Ralph był wdzięczny za słowa uznania, ale nie miał pojęcia, co odrzec, żeby znów nie wyglądało to na brak lojalności.

- Dopilnuję tu wszystkiego - powiedział. - To nigdy nie trwa długo. Do wieczora... - Urwał, bo przypomniał sobie, do kogo mówi. Obcego byłby może potrafił przekonać, że do wieczora sytuacja się wyklaruje. Ale Peter za dobrze znał swoją matkę. Prawdę mówiąc, nigdy nie widział Very w większym dołku psychicznym. - Mam nadzieję, że nie będzie więcej telefonów.

Peter spuścił wzrok, patrząc w podłogę garażu.

- Nie mam pojęcia, jak zdobyła numer. - Nie była to prawda. Uświadomił sobie poniewczasie, że w Święto Dziękczynienia dzwonił do Deirdre na jej koszt. Numer pojawił się zapewne na jej rachunku telefonicznym. Choć telefony niepokoiły go mocno, nie ich się najbardziej obawiał, ale tego, że Didi we własnej osobie pojawi się w miasteczku, jak się zresztą odgrażała.

- Skąd ty ją wytrzasnąłeś? - zapytał Ralph. Nurtowało go to od poprzedniego popołudnia, kiedy odebrał ostatni z jej telefonów i pożałował, że to zrobił. Nie znał bliżej ludzi ze środowisk akademickich, ale wyobrażał sobie, że przypominają tych, których widywał na kablowym kanale edukacyjnym z Albany. Vera lubiła oglądać ich programy i zawsze patrzyła na niego z politowaniem, kiedy po godzinie oglądania tego spektaklu zmuszony był przyznać, że nie bardzo rozumie, o co chodzi. Wyobrażał sobie, że wszyscy ludzie z uczelni Petera wyrażają się tak jak tamci, toteż nie był przygotowany, kiedy młoda kobieta, która domagała się rozmowy z Peterem, najwyraźniej nie wierząc, że nie ma go w domu, powiedziała w końcu: „Ale proszę zadać mu jedno pytanie, kiedy wróci, dobrze? Niech go pan spyta, czy ciągnę druta najlepiej na całym Wschodnim Wybrzeżu”.

- Poznałem ją na wieczorku poetyckim - powiedział Peter.

Ralph pokiwał poważnie głową, udając zrozumienie.

- Te, co tam chodzą, Wszystkie są takie?

Peter nie umiał powstrzymać uśmiechu.

- Zaskakująco wiele.

Ralph pokręcił głową. Sam nigdy nie był na wieczorku poetyckim. Fakt, że miała być tam czytana poezja, wydawał mu się wystarczającym powodem, aby unikać tego rodzaju imprez, ale teraz zyskał dodatkowy argument, na wypadek gdyby kiedykolwiek go potrzebował. Vera nigdy dotąd nie próbowała go wysłać na wieczorek poetycki, ale któregoś dnia mogła to zrobić, gdyby się jej naraził i chciałyby go ukarać, a kanał edukacyjny by się jej znudził. Na szczęście w Bath nie odbywało się nic takiego, ale do Schuyler Springs nie było znów tak daleko, a tam sytuacja mogła wyglądać zgoła inaczej. A jak nie tam, to w Albany. Aż strach pomyśleć. Wieczorki poetyckie mogły człowieka osaczać ze wszystkich stron, a on nie był niczego świadom.

Ralph był zbyt zawstydzony, żeby powtórzyć Peterowi pytanie młodej kobiety. Tak samo, jak za nic w świecie nie przyznałby się, że w młodości spróbował seksu oralnego. Zdarzyło się to w Karolinie Południowej, gdzie było to nielegalne, nie tylko dlatego, że zapłacili za tę usługę. Jak większości okropnych przeżyć, Ralph nie potrafił wymazać tego z pamięci. Jak mógł do tego dopuścić? Dzisiaj, w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, zadawał sobie to samo pytanie co wtedy, jako osiemnastolatek. I odpowiadał sobie tak samo: że nie miał pojęcia, co to będzie, a potem było za późno, żeby się wycofać. Po pierwsze, spodziewał się, że każdy z nich będzie miał dziewczynę dla siebie. I osobny pokój. Tak to sobie wyobrażał. Nie jedną dziewczynę dla nich wszystkich, stłoczonych w ciemnym, ciasnym, dusznym pomieszczeniu. Wyobrażał sobie intymną scenę, nie publiczny występ. I przyjemność, nie jej dalekie echo, bardziej przypominające skurcz żołądka. Wyobrażał sobie dwoje nagich ludzi, a nie kompletnie ubraną dziewczynę, obsługującą sześciu mężczyzn, którzy po kolei spuszczaali spodnie i podciągali je, kiedy tylko skończyli. Nie wyobrażał sobie występu przed audytorium, dobrych rad, krytycznych uwag i wreszcie aplauzu. Jak mógł wziąć udział w czymś tak ohydny?

Cóż, nie miał takiego zamiaru, naprawdę. To wszystko, co miał do powiedzenia na swoją obronę. Po prostu nie wiedział, w co się pakuje, i był przekonany, że tak samo miały się sprawy z Peterem, o którym za nic na świecie by źle nie pomyślał. Jeżeli miał do kogoś pretensje, kiedy tak stali nieporadnie pod drzwiami, nie mogąc za wiele powiedzieć przy dziecku, to

do siebie za to, że nie umiał mu nic sensownego doradzić. Nie ostrzegł go nawet, że istnieją takie kobiety jak ta, z którą sam się zadał przed laty. Umiejące pozbawić człowieka poczucia męskości tak, jak nie zrobiłyby tego żaden mężczyzna, choćby nie wiadomo jak sarkastyczny i urągliwy. „Coś ci nie idzie, panie luźny” - powiedziała szyderczo wynajęta dziewczyna, kiedy popracowała już nad nim trochę, bez wielkiego efektu. Kilku kolegów wybuchnęło śmiechem w odpowiedzi. Ale jeden z chłopaków, którego kolej jeszcze nie nadeszła i który pewnie obawiał się podobnych problemów, przyszedł mu w sukurs, mówiąc jej, żeby nie gadała z pełnymi ustami. Ten akt solidarności pomógł Ralphowi odprężyć się i skoncentrować aż do momentu, kiedy nadszedł ów daleki pogłos, niczym dudnienie pociągu, który przystanął na chwilę na stacji w pobliskim miasteczku. Nie, Ralph nie chciał źle myśleć o swoim pasierbie. Chciałby powiedzieć coś dowcipnego i krępującego, jak tamten chłopak z Karoliny Południowej, albo jak Sully, który zawsze miał na podorędziu różne cięte powiedzonka, ale nie przychodziło mu do głowy nic lepszego niż zapewnienie, że będzie rad gościć w swoim domu jego i chłopca tak długo, jak długo będą tego potrzebować. Ralph podejrzewał, że Peter się ukrywa, i nie miał o to do niego najmniejszych pretensji. Nawet dzisiaj, po czterdziestu latach, gdyby tamta dziewczyna z Karoliny Południowej pojawiła się w Bath, zrejterowałyby w panice, może zaszyłby się gdzieś w górach i nie wychynał ze swojej kryjówki, dopóki by się nie upewnił, że niebezpieczeństwo minęło. A przecież nie uważał się za tchórza. Mężczyzna ma prawo bać się takich kobiet. Pewnie nawet moralny obowiązek.

- Chyba nie zamierzasz naprawdę odejść z uczelni, co? - zapytał Ralph. Był niemal równie zaskoczony jak Vera, kiedy Peter oznajmił, że być może skończy ze wszystkim za jednym zamachem: z Charlottą, której specjalnie na nim nie zależało, dopóki się nie dowiedziała, że jest ktoś inny; z Deirdre - kobietą z wieczorku poetyckiego; z pracą na uczelni, która okazała się najgorszym rodzajem wyrobnictwa, najbardziej niewdzięczną robotą, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się wykonywać; z Wirginią Zachodnią, która była... no właśnie, Wirginią Zachodnią. Poza tym uważał, że jego pomoc mogłaby się przydać Sully'emu, a także Ralphowi i Verze.

- Nie wiem, papciu - powiedział Peter. - Tak czy inaczej został mi tylko jeden semestr. W ten sposób mam choć tę satysfakcję, że odchodzę na własne życzenie.

- Chyba nigdy nie zrozumieję tej sprawy z kontraktem. - Ralph westchnął.

Peter wyjaśniał mu już kilka razy, że odmówiono mu przedłużenia umowy ubiegłej wiosny, dając mu jeden rok akademicki, żeby sobie coś znalazł, ale Ralphowi nie mogło się to pomieścić w głowie. Jak można zwolnić człowieka, który wywiązywał się ze swoich obowiązków przez pięć lat? Jego szef (którego nazywał dyrektorem instytutu) przyznawał ponoć, że Peter nie został uczciwie potraktowany, że był dobrym dydaktykiem, miał wysokie notowania, czy co tam człowiek dostaje, kiedy studenci go lubią. A mimo to uczelnia zamierzała się go pozbyć, bo czegoś tam nie spełniał i można było pod tym pretekstem zatrudnić kogoś młodszego, kto byłby tańszy niż Peter. Vera wpadła w furję, ale Peter powiedział jej, że nie ma powodu. Nie był ani wybitnym dydaktykiem, ani naukowcem, a uczelnia oczekuje i jednego, i drugiego. Te słowa rozjuszyły Verę - która nigdy nikomu nie ustąpiła ani na krok - niemal w równym stopniu jak samo wymówienie. A wczorajsze oświadczenie Petera, że nie zamierza wracać na uczelnię na ostatni semestr, stanowiło jawny dowód życiowej kapitulacji i całkowitego opuszczenia rąk. Nie mogła uwierzyć, że jest jej synem - tak powiedziała. Nie mogła uwierzyć, że jest wnukiem Roberta Halseya.

Peter tylko uśmiechnął się smętnie, mówiąc, że to dla niego żadna nowina. Jak mógłby się spodziewać, że dorasta do pięt Robertowi Halseyowi, skoro nikomu się to jak dotąd nie udało? Powiedział, że wszystkie jej wcześniejsze zarzuty pod jego adresem też są bezpodstawne. Nie porzucił uczelni, to uczelnia rezygnowała z niego. Nie rozbijał swojego małżeństwa, to Charlotta postawiła kropkę nad „i”. Zaraz po powrocie do Morgantown podjęła z konta ich skromne oszczędności, wynajęła mały meblowóz i wyjechała z Fangą i małym Andym do Ohio, do swoich rodziców. W Wirginii Zachodniej czekał na niego jedynie gospodarz i comiesięczna porcja niezapłaconych rachunków, których nie miał za co uregulować.

- Nie tracę wiele, rezygnując w tej chwili - zapewnił swojego ojczyma. - Kiedy ci odmówiono przedłużenia kontraktu, stajesz się trędowaty. Najlepsze, co mógłbym znaleźć, to posada w college'u u baptystów gdzieś w Oklahomie. Albo w centrum doskonalenia zawodowego w Karolinie Południowej. Specjalnie się do tego nie palę.

Ralph wzдрыgnął się na wzmiankę o Karolinie Południowej.

- Zawsze byłoby to coś, prawda?

- Zależy, co się rozumie przez „coś”.

Ralph pokiwał głową.

- Cóż, nie namawiam cię, skoro nie chcesz. Twoja mama po prostu nie bardzo to rozumie. Wiesz, jaka jest z ciebie dumna. Pierwszy doktorat w rodzinie. Wszystkie twoje wyróżnienia. Wydawaloby się, że powinny coś znaczyć.

- Przykro mi, że sprawilem jej zawód - powiedział Peter. - Sam jestem trochę zawiedziony.

- Też bym był na twoim miejscu. - Ralph westchnął. - Harowałeś jak wół. Ja nie wysiedziałybym nad książkami nawet połowy tego co ty. Tak czy inaczej mama ma rację. Tu w okolicy nie ma zbyt wielkich możliwości.

- Może wezmę parę kursów wieczorowych w Schuyler Springs.

Ralph skinął głową, starając się, żeby nie wypadło to zbyt zachęcająco. Prawdę mówiąc, pociągała go myśl, że mógłby mieć pasierba przy sobie.

- W każdym razie trzymałbyś rękę na pulsie - powiedział ostrożnie.

Peter uśmiechnął się szeroko.

- Ojciec mówi, że zna tam paru gości. To byłby dopiero numer, co? Dostać pracę wykładowcy z polecenia Dona Sullivana.

Ralph nie rozumiał, dlaczego miałoby to być takie dziwne. - Ludzie lubią Sully'ego. Ja też go lubię. On jest... - Ralph zaczął się zastanawiać, jak to wyrazić.

- Zgadza się, jest - przyznał mu rację Peter.

Ralph, który poczuł, że „tylko miłość” znów ściska go za gardło, rozejrzył się za czymś, co odwróciłoby jego uwagę. W kącie garażu stała dmuchawa, którą dostał od Sully'ego.

- Wiesz, nie padało ani razu od czasu, kiedy twój tata nam ją dał - powiedział.

- To jest kolejna sprawa, co do której mama ma rację - rzekł Peter. - Zawsze powtarza, że jeśli człowiek potrzebuje czegoś od taty, może być pewny, że tata nie będzie tego miał. A to, co będzie miał, okaże się bezużyteczne.

Obaj spojrzeli na dmuchawę, jak gdyby w poszukiwaniu czegoś, co uzasadniałoby tak rozbudowany komentarz. Na dworze, gdzie właśnie przejeżdżał jakiś samochód, strzelił gaźnik. Will pisnął, przerażony.

- To nic takiego - uspokoił chłopca Ralph. - Nie ma się czego bać.

- Wiem - skłamał Will.

Dochodziło wpół do jedenastej, kiedy Sully rzucił swój zatłuszczony fartuch do pojemnika na brudną bieliznę. Prawie pół godziny później, niż

normalnie kończył robotę, gdyż ruch trwał tego dnia dłużej niż zazwyczaj. Poprzedni dzień obfitował w mocne wrażenia i ludzie byli ciekawi, czy stara Hattie nadal kroczy po ścieżce wojennej, miotając solniczki i nieprzyzwoite wywiska.

- Jak tam, gotów? - zawołał Sully w stronę Willa, który właśnie sprzątał z ostatniego stolika. - Pojedziemy spróbować szczęścia? - Nim dołączyli do Ruba i Petera, zazwyczaj wpadali po drodze do OTB.

- Dobrze - powiedział Will, przerywając pracę, co Sully skwitował uśmiechem. Żeby mały się nie nudził, nauczył go sprzątać ze stołów, składać naczynia do plastikowych pojemników, osobno szklanki, osobno talerze, porządnie i w odpowiedniej kolejności. W ciągu zaledwie dwóch dni chłopiec opanował całkiem nieźle tę sztukę, pełniąc nowe obowiązki z dumą i na ogół całkiem dobrze, mimo naturalnej skłonności do popadania w niemal hipnotyczną zadumę, czy to nad ciekawym wzorem, jaki utworzyło na talerzu rozmazane żółtko, czy to nad rozmową toczącą się przy sąsiednim stoliku. Sully musiał go pouczyć, żeby się nie gapił na ludzi i nie przysłuchiwał rozmowom.

Pamiętał, że Peter był w dzieciństwie taki sam: wszystko go rozpraszało, ciągle był nieobecny duchem. Oczywiście, sam był wtedy młodszy i skłonność syna do popadania w zadumę, która nie pozwalała mu się skupić na żadnej konkretnej czynności, wydawała mu się co najmniej irytująca. Nie umiał sobie przypomnieć, w jakim stopniu to chłopcu okazywał. Przypuszczalnie bywał mocno zniecierpliwiony, chociaż nie posuwał się do rękoczynów, tak jak Duży Jim. Zresztą nie miał z nim aż tak wiele kontaktu, żeby narobić poważniejszych szkód. A Ralph, o tym wiedział z całą pewnością, był uosobieniem cierpliwości. W końcu wytrwał w małżeństwie z Verą. Trudno o lepszy wskaźnik niż to. To dzięki połączonym wysiłkom tych dwojga Peter wyrósł na ludzi, nawet jeśli jego życie wydawało się w tej chwili nieźle popaprane. Być może miłość Very (mniejsza o jej niektóre dziwaczne przejawy) i stabilizujący wpływ Ralpha zdołają uchronić również ich wnuka przed załamaniem nerwowym, nim osiągnie wiek dojrzewania. Kto wie? Może nawet on sam się do tego przyczyni, jeśli nie będzie zapominał o chłopcu i fundował mu takich horrorów jak wczoraj?

- Może byś zaniósł ten pojemnik do zmywarki? - zaproponował. - Wtedy skończysz pracę.

- Dobrze - zgodził się Will, podnosząc wielki plastikowy kontener, pełen brudnych naczyń. Oczy rozszerzyły mu się z wysiłku. Cassandra skrzywiła się

za swoją ladą, ale Sully spojrział na nią i pokręcił przecząco głową - chłopak da sobie radę. Sam chwycił gumowy kubek na śmieci i potoczył przed sobą, idąc za wnukiem. Kiedy Will dźwignął pojemnik i postawił na płycie koło zlewu, Cassandra dała mu dwa dolarowe banknoty, wyjęte z szufladki novej, bezszmerowej kasy.

- Zaczyna być z ciebie prawdziwy pomocnik - pochwaliła go. - Co ja zrobię, kiedy wrócisz do Wirginii Zachodniej?

Will poczerwieniał z zadowolenia i dumy.

- Zostajemy tutaj - oznajmił. Tak przynajmniej zrozumiał to, co dotarło do niego z rozmowy między dorosłymi, prowadzonej w jego obecności.

Cassandra spojrzała na Sully'ego, unosząc pytająco brwi.

- Pierwsze słyszę - powiedział Sully. - Rzecz jasna nikt mi nigdy nic nie mówi.

- Wszyscy bez przerwy do ciebie mówią. - Cassandra się uśmiechnęła. - Tylko ty nigdy nie słuchasz.

- Czyżby?

- Co będziesz robił następnego dnia po świętach?

Pytanie wyglądało na podchwytliwe, toteż zamiast oznajmić, że nie ma pojęcia, zaczął się zastanawiać nad odpowiedzią. Szczęśliwie okazało się to pomocne.

- Będę ci pomagał - przypomniał sobie.

- Musiałeś pomyśleć, prawda?

- Przepraszam - usprawiedliwił się Sully. - Myślałem, że to nie jest zabronione.

Cassandra spoważniała.

- Chodź no tutaj - powiedziała, a kiedy zrobił nieufnie krok w jej kierunku, cmoknęła go w czoło. - Dziękuję ci - powiedziała i oboje spojrzeli w stronę boksu Hattie, chociaż z miejsca, gdzie stali, widać było jedynie kłęb siwych włosów starowiny, pochylonej nad zdemontowaną kasą.

- Coś podobnego - rzekła Cassandra, zerkając na Sully'ego. - Ty się rumienisz. Ile ty masz lat?

- Kto, ja?

- Tak, ty. Will, popatrz no na dziadka. Powiedz mu, że jest czerwony jak burak.

- Jesteś, dziadku.

Sully był czerwony i wiedział o tym.

- Dobra, jutro się zamieniamy miejscami - oświadczył. - Jak sobie postoisz

przez parę godzin przy gorącym ruszcie, to zobaczymy, kto będzie czerwony.

- Idź, obstaw swoją trójkę - powiedziała Cassandra. - Uważaj, żeby dziadek nie zrobił z Ciebie hazardzisty - dodała, zwracając się do chłopca.

- Idziemy - zarządził Sully, popychając wnuka przed sobą. - Jak nie będziemy w domu o jedenastej, wujek Rub się okoci.

Will się skrzywił.

- Nie martw się - uspokoił go Sully. - Tak naprawdę nie jesteś spokrewniony z Rubem.

Idąc w stronę wyjścia, zatrzymali się koło boksu Hattie.

- Jak leci, staruszko? - zapytał Sully, podnosząc głos. - Lepiej ci, kiedy masz swoją kasę?

Stara kobieta najwyraźniej odzyskała humor.

- Masz głos jak ten skurczybyk Sully - oznajmiła, uśmiechając się szeroko.

- Bo to ja - powiedział Sully. - Ten, który dał ci kasę. Nic nie pamiętasz? - Rzeczywiście, pomysł był jego. Peter i Rub musieli w dwóch zataścić landarę do boksu Hattie.

Hattie wcisnęła jeden z ciężkich, mosiężnych klawiszy. Rozległ się krzepiący brzęk i w prostokątnym okienku ukazał się paragon na osiemdziesiąt centów. Było tam już kilka innych, opiewających na różne kwoty.

- Obawiam się, że to nie na moją kieszeń - bronił się Sully. - Poza tym ja tu pracuję. Każesz mi jeszcze za to bulić?

Hattie zarechotała radośnie, wcisnęła jeszcze dwa klawisze, wskutek czego w okienku pojawiły się dwa kolejne paragony.

- Płać! - huknęła.

- Płać - powtórzył Sully, oglądając się przez ramię na Cassandrę, która obserwowała scenę z wyrazem bezbrzeżnego smutku na twarzy. - Dobra, masz.

Podał jej dolarowy banknot, który stara chwyciła łapczywie.

- Pieniądze widzisz całkiem dobrze, co? - powiedział. - Jak to się dzieje, że nie widzisz nic poza tym?

Staruszka gmerała przy kasie, próbując otworzyć szufladkę.

- To się już nie otwiera, nie pamiętasz? - przypomniał jej Sully. - Co teraz robimy z pieniżkami?

Hattie podała mu banknot z powrotem.

- Bardzo dobrze - pochwalił ją Sully. - Dajemy Cassandrze. Ty kasujesz, ona bierze pieniądze.

Ten podział ról wydawał się satysfakcjonować Hattie, która wystukiwała najdłuższe kwoty przez cały ranek. Był tylko jeden mały problem. Jeśli nie wcisnęła przypadkiem klawisza „Suma”, kolejne paragony klinowały się w okienku, tworząc coraz grubszy plik. Sully wałnął klawisz „Suma”, wywołując jeszcze głośniejszy i miłszy dla ucha brzęk.

- Pieniądze - wyszeptła Hattie.

- Wiem - powiedział Sully - wszyscy będziemy niedługo bogaczami. Do zobaczenia jutro rano, staruszek. Będziemy iść na dół czy do góry?

- Do góry!

- Dobra, niech będzie do góry. - Sully westchnął. - Nie mam już siły z tobą dyskutować.

Posterunkowy Raymer trzymał wartę przed OTB, kiedy Sully zajeżdżał przed lokal, ignorując miejsce przeznaczone do parkowania samochodów, i wjechał tyłem na pomalowany w pasy trójkąt, opatrzony napisem „Zakaz parkowania”. Policjant westchnął ciężko. W ciągu ostatnich dwóch tygodni wypisał Sully'emu z pół tuzina mandatów, chociaż wiedział, że el camino nie należy do niego, tylko do Carla Roebucka, który miał układy z szefem policji i mógł gwizdać na dowolną liczbę mandatów, wypisanych przez posterunkowego Raymera. Ignorując zakaz parkowania, Sully kpił sobie z niego w żywe oczy. A był to dopiero początek.

- Zabawimy się trochę - powiedział Sully do Willa, kiedy wysiedli z samochodu. - Przywitaj się z tym dużym brzydalem w mundurze - dodał głośnie.

Will uśmiechnął się nieśmiało.

- Dzień dobry - powiedział.

Policjant nie spojrział na chłopca, jakby w ogóle nie słyszał, że ktoś coś do niego mówi. Zamiast tego rzucił Sully'emu mordercze spojrzenie.

- Nie zaczynaj - uprzedził.

- Zaraz, zaraz - rzekł Sully, podnosząc ręce w obronnym geście. - Chciałbym tylko, żebyś mi coś wytłumaczył. - Jest jeden drobiazg, którego nie mogę zrozumieć.

- Nie zaczynaj.

- Naprawdę, chcę po prostu mieć jasność. Sprostuj, proszę, gdybym pokręcił jakieś szczegóły, bo mnie przy tym nie było.

Posterunkowy Raymer odwrócił się i spojrział w głąb ulicy, w przeciwnym kierunku niż ten, z którego nadchodził Sully. Dwaj mężczyźni idący do OTB zatrzymali się, żeby posłuchać.

- Zatem - ciągnął Sully. - Dostajesz meldunek o zakłóceniu porządku publicznego. Zajeżdżasz na miejsce i co widzisz? Jakiś facet ze strzelbą stoi na środku chodnika i wali po oknach sąsiednich domów. Popraw mnie, proszę, jeżeli jestem w błędzie, ale... to by było sprzeczne z prawem, prawda?

Posterunkowy Raymer odwrócił się z powrotem, zauważył dwóch gapiów i nie odpowiedział.

- Ładna dziewczyna podchodzi do faceta, a on wali ją na odlew kolbą, łamiąc jej szczękę mniej więcej w piętnastu miejscach, po czym dla równego rachunku kilka razy ją kopie. To by było sprzeczne z prawem, nieprawdaż?

- Zrobił to, zanim tam przyjechałem - odparł policjant. - Nie widziałem, jak ją uderzył.

Grupa słuchaczy, udających się do OTB, stawała się coraz większa.

- W porządku - powiedział Sully pojednawczo. - O to mi właśnie chodzi. Chciałbym po prostu mieć jasność, jak się wszystko odbyło. A więc zajeżdżasz, a facet ze strzelbą stoi nad dziewczyną, która leży na ziemi ze złamaną szczęką. Facet mierzy do niej ze strzelby i mówi, że właściwie powinien rozwalić jej łeb. To by było sprzeczne z prawem, prawda?

- Zdecydowanie - powiedział jeden z dwóch mężczyzn, którzy zatrzymali się pierwsi.

Policjant łypnął na niego złowieszczo, po czym odwrócił się z powrotem w stronę Sully'ego.

- Masz mniej więcej dziesięć sekund, żeby się ode mnie odwieprzyć - rzucił.

Sully spojrział na zegarek.

- I co wtedy robisz? Pozwalasz facetowi ze strzelbą zabrać małą dziewczynkę, wsiąść do furgonetki i odjechać w siną dal.

- To była kłótnia małżeńska. Sprawa rodzinna. Facet został zatrzymany dziesięć minut później, na litość boską.

- Sprawa rodzinna - powtórzył Sully.

Posterunkowy Raymer zrozumiał swój błąd. Nie powinien dać się wciągnąć w dyskusję.

- Spróbowałbyś pobycć gliniarzem przez jeden dzień, Sully - rzekł bez wielkiego przekonania.

Na twarzy Sully'ego widniał chytry uśmieszek, pozostali też uśmiechali się ukradkiem.

- Sprawa rodzinna - powtórzył jeszcze raz Sully, ruszając w stronę OTB. - Trzymaj się ciepło, stróżu prawa.

- W razie pożaru módl się, żebym to nie ja stał z wężem w pobliżu - rzucił za nim policjant.

- Wiem, wiem, co byś zrobił. Trzymałbyś się w bezpiecznej odległości, razem ze swoim wężem - powiedział Sully, odwracając się przez ramię.

W OTB stali grupkami mężczyźni, których większość po Święcie Dziękczynienia zmieniła wiatrówki na ciepłe zimowe okrycia. Sully od razu rozpoznał Otisa, którego wyróżniał biały opatrunek za uchem.

- O Boże - powiedział Otis, kiedy się zorientował, że w drzwiach stoi Sully ze złośliwym uśmiechem na ustach. Zamiast mieć z nim do czynienia raz dziennie, późnym rankiem, Otis musiał znieść podwójną dawkę, odkąd Sully zaczął pracować w jadłodajni „U Hattie”. Sully uprzedził go, żeby nie próbował rejterować na śniadanie do cukierni, bo osobiście przyciągnie go za uszy z powrotem. - Miej litość i zostaw mnie w spokoju, dobrze? Nie widzisz, że jestem ranny?

Sully obejrzał spuchnięte miejsce za jego uchem.

- Martwię się o ciebie - powiedział.

- Nie ma potrzeby - zapewnił go Otis. - Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka i wszystko będzie w porządku.

- Martwię się o faceta, który dostaje, bity od dziewięćdziesięcioletniej, ślepej staruszki, a potem się upiera, żeby jechać do kraju aligatorów bez przewodnika.

- Nie potrafiłbyś mi pokazać drogi do Albany.

Sully rozłożył ręce.

- Chcesz jechać sam, twoja wola. Kiedy odeślę nam twoje szczątki, co mamy z nimi zrobić?

- Nie odczepi się - załkał Otis.

- Dobra, sam zdecyduję - uznał Sully. - Pewnie nie będzie tego zbyt wiele. Wszystko, co na ogół znajdują, to zakrwawiony but, czasem z kawałkiem stopy w środku. Niech no się przyjrzą twoim butom, żebym mógł przeprowadzić identyfikację.

- Dobry Boże, zabierz go. - Otis wzniosł oczy do sufitu. - Otwórz niebiosa i zabierz go.

Sully zauważył Jocko, który stał pod ścianą w pobliżu okna.

- Jeżeli to będziesz ty, włożę to, co zostanie, do pudełka na buty i postawię nad kominkiem.

- Przez tego człowieka mam koszmary co noc.
- Chciałbym tylko, żebyś miał się na baczności, Otis. Niebezpieczeństwo czai się wszędzie.

- Niebezpieczeństwo czai się wszędzie tam, gdzie ty jesteś, to chciałeś powiedzieć - odparował Otis.

- Chodź, Will, podejźmy do tamtego gościa - zaproponował Sully. - Może on lepiej nas potraktuje.

Will wpatrywał się, mrużąc oczy, w ścianę, na której wywieszono wyniki z poprzedniego dnia, ale poszedł za Sullym.

- Jak trafisz następną trójkę, nie mów mi o tym - powiedział Sully do Jocko, który podniósł na nich wzrok, kiedy podeszli bliżej.

- W porządku - zgodził się Jocko. - Kiedy ty przegrasz kolejny raz, też mi o tym nie mów, dobrze? A to kto taki?

- Przywitaj się z Jocko. To nasz zaprzyjaźniony aptekarz z sąsiedztwa.

Will nadal wpatrywał się w wyniki wywieszone na ścianie.

- Skoro o tym mowa. Nie masz przypadkiem więcej tego, co mi dałeś ostatnio?

- Nie przy sobie - odrzekł Jocko. - Ale wczoraj dostałem nowe próbki. Natychmiast pomyślałem o tobie.

- Zdaję się na ciebie.

- Chodźmy do mnie do biura.

- Mógłbyś zaczekać tu chwilę? - zapytał Sully Willa, który ciągnął go za rękaw. Na twarzy chłopca z miejsca pojawiła się panika. - Tylko minutkę. Możesz być dzielny przez minutkę? Będę w tamtym samochodzie. Będziesz mnie stąd widział. - Sully pokazał mu przez okno marquisa Jocko. - Idź zobacz, jaka trójka wczoraj wygrała. Zanim to sprawdzisz, będę z powrotem. Dobrze?

Will wziął głęboki wdech.

- Dobrze.

Mężczyźni wsiedli do samochodu, po czym Jocko zaczął przetrząsać różnobarwną zawartość schowka na rękawiczki, przypominającego objazdową cukiernię. Podnosił kolejne fiołki do światła i łypał na nie przez swoje grube szkła.

- Masz - powiedział w końcu. - Łyknij to.

Sully obejrzał tabletki, odnotował ich kolor, po czym włożył je do kieszeni.

- Byłem ciekaw, kiedy dasz mi coś złotego. Miałem już chyba wszystkie kolory tęczy. Co to takiego?

- Małe żółte petardy. Jedna powinna załatwić sprawę.

- Dobra.

- Powiedz mi, jak będziesz po nich sikać na żółto.

- Ja i tak sikam na żółto.

- Ajaj, w takim razie może już być za późno. - Jocko się uśmiechnął.

Wysiedli z samochodu.

- Ile jestem ci winien?

Jocko jak zwykle machnął ręką.

- Nie ma sprawy. Mówiłem ci, że to próbki.

- Zawsze tak mówisz.

- Bo zawsze tak jest. Zaczynasz być regularnym szczurem doświadczalnym.

- Pochodzę ze starego rodu szczurów. - Przez okno widział Willa, który obserwował ich niecierpliwie. Jego odwaga była najwyraźniej na wyczerpaniu.

- Ładny dzieciak - zauważył Jocko.

- Ładny i dobry - potwierdził Sully, czując nagły przypływ dumy, tak jak dzień wcześniej, kiedy rozmawiał o Peterze z Haroldem Proxmire'em. - Lubię mieć go przy sobie. Jest trochę nerwowy, jego ojciec też zawsze taki był.

- Mają to po Verze - rzekł Jocko w zamyśleniu. - Nieźle ich ostatnio tąpnęło, ją i jej męża.

- Za bardzo się w tym nie orientuję - przyznał Sully. - Wiem tyle, że Ralph był niedawno w szpitalu.

- Niejeden raz - uściślił Jocko. - Muszą być w długach po uszy.

- Nie wydaje mi się. Ralph pracował na poczcie przez całe życie. Musi być ubezpieczony.

- Ubezpieczenie pokrywa zazwyczaj osiemdziesiąt procent kosztów - zauważył Jocko. - Próbowałaś kiedyś spłacić pozostałe dwadzieścia procent po jakiejś grubszej sprawie?

- Nie twierdzę, że nie mają kłopotów - powiedział Sully.

- Nie powinienem ci tego mówić... - zaczął Jocko.

- To nie mów, do licha ciężkiego - przerwał mu Sully.

- Jak chcesz - zgodził się Jocko.

Sully przyglądał mu się przez chwilę z niewesołą miną. Pomachał do Willa, który odpowiedział mu tym samym.

- O co chodzi? - zapytał w końcu.

- Bądź ostrożny z Verą, jeśli ją spotkasz - uprzedził go Jocko. Jego sowie oczy za grubymi szklami były wyjątkowo poważne.

- Zawsze mam się na baczności w obecności Very. Nie zdejmuję kasku.

- Nie rozumiemy się. To o nią się martwię, nie o ciebie.

Sully zmarszczył brwi. Jocko, jako farmaceuta, często miał informacje na temat stanu zdrowia mieszkańców miasteczka.

- Chyba nie jest chora?

- Niezupełnie - odparł Jocko, poprawiając okulary na nosie wymownym gestem. - Jeżeli to się rozejdzie po ludziach, będziesz sobie musiał poszukać innego źródła tabletek przeciwbólowych.

Sully obiecał, że nie puści pary z ust.

- Jakiś miesiąc temu jeden z moich ekspedientów przyłapał ją na kradzieży. Zamknęliby ją, gdybym nie wrócił w porę.

- Żartujesz - powiedział Sully, bo Jocko w tak oczywisty sposób nie żartował.

- Chciałbym, żeby tak było.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Ja też nie mogłem. Zabrałem ją do siebie na zaplecze i tam mi się rozkleiła. Kompletna galareta. Najadłem się strachu. Myślałem, że dostanie jakiegoś ataku. Szlochała, że przynosi wstyd swojemu ojcu. Sześćdziesiąt lat kobita i martwi się, żeby nie popsuć reputacji tatusiowi.

- Co zrobisz?

- Dałem jej valium i odesłałem do domu. Powiedziałem, żeby zapomniała o całej sprawie. Nie pojawiła się od tamtej pory. Kupuje teraz w aptece przy autostradzie.

Sully pokiwał głową.

- Za dobry uczynek zawsze cię spotka zasłużona kara.

- Cieszę się - powiedział Jocko. Wyglądało na to, że mówi poważnie. - Kiedy byłem dzieckiem, kolega świsnął mi ciężarówkę. Widziałem, jak to robi, i nie mogłem mu potem spojrzeć w oczy. Czulem się bardziej nie w porządku, niż gdybym to ja ukradł mu zabawkę.

Will czekał na nich przy drzwiach. W ręku trzymał kupon totalizatora. Sully dał mu wczoraj swój odcinek, żeby go przechował „na szczęście”. Z miejsca, gdzie stał, nie bardzo widział wyniki z poprzedniego dnia.

- Jakie numery wczoraj padły? - zapytał Jocko.

- Cztery, pięć, siedem.

Sully skinął głową, biorąc kupon od Willa i rzucając na niego okiem bez wielkiego zainteresowania.

- Niefart nie opuszczał mnie przez cały tydzień. Człowiek powinien chyba trafić przynajmniej jeden numer na trzy?

- Nie masz czego żałować, jeśli chodzi o wczorajszy dzień - pocieszył go Jocko. - Wyplata, że pożał się Boże. Za to podwójny całkiem przyjemny: dwa, osiem - dla magika, który na to wpadł.

Sully zamrugał oczyma, patrząc na kupon, który podał mu Will. Dwa, osiem, czarno na białym.

- Tu masz tego magika - powiedział. Całkiem mu wyleciało z głowy, że kupił chłopcu kupon i pozwolił wybrać numery. Niewiele brakowało, żeby go podarł.

Jocko spojrział na kupon, potem na tablicę, wreszcie na Willa, który promieniał, zaczerwieniony po uszy.

- Całkiem przyzwoicie. Sto osiemdziesiąt siedem pięćdziesiąt.

- Co ty na to? - powiedział Sully. - Jesteś bogaty.

Jocko podał Willowi jego kwit.

- I co, chłopcze? Kto jest dzisiaj dobrym wujkiem?

Sully z chłopcem siedzieli w zaparkowanym samochodzie prawie od pięciu minut. Rub, który miał przyjacielowi mnóstwo do powiedzenia, nie mógł tego dłużej znieść. Najpierw Sully nie przyjeżdżał i nie przyjeżdżał, a kiedy w końcu przyjechał, siedział w samochodzie i nie wysiadał. Wiele się wydarzyło, odkąd Rub z Peterem opuścili jadłodajnię „U Hattie” przed przeszło trzema godzinami i nie były to rzeczy, które podobały się Rubowi. Nie dosyć, że Peter sobie poszedł, jakby to on był szefem i mógł robić, co mu się podoba, zostawiając Ruba samego z robotą i odbieraniem wiadomości od każdego mieszkańca miasteczka, któremu przyszła ochota coś przekazać. Na domiar wszystkiego Sully, kiedy w końcu przyjechał, musiał siedzieć z tym dzieciakiem w samochodzie, kiedy on zasuwiał w domu za niego i za pozostałych, stęskniony za przyjacielem, pełen niewypowiedzianych porannych życzeń, pragnień i wiadomości, których nie miał komu przekazać. Miał uczucie, jakby na świecie pojawiło się nagle zbyt wielu ludzi, przy czym do owej zbędnej nadwyżki należeli syn Sully'ego i jego wnuk, przy których on jakby przestawał istnieć. Wyszedł więc z domu, aby potwierdzić swoje istnienie, obszedł dookoła zaparkowany samochód i zastukał w szybę od strony kierowcy.

Sully i chłopiec nadal siedzieli w środku i rozmawiali. Właściwie to Sully mówił i Rub miał wrażenie, że wie o czym. Na pewno kazał małemu udawać, że nie widzi Ruba, który stał w takim miejscu, że nie sposób go było nie zauważyć.

- Nie patrz na niego - mówił Sully, którego głos był ledwie słyszalny przez

szybę. Chłopiec próbował nie patrzeć, ale nie mógł się powstrzymać od rzućcia ukradkowych spojrzeń na Ruba, który domyślił się, że to jedna z gier Sully'ego, wymyślonych specjalnie po to, żeby się poczuł jak śmieć. I tak się zresztą dokładnie czuł, więc zastukał w szybę jeszcze mocniej. Tym razem Sully go zauważył.

- Cześć, Rub - powiedział bezgłośnie. Jak gdyby znajdowali się z chłopcem gdzieś bardzo daleko, za daleko, żeby ludzki głos mógł po konać taką odległość. Potem szepnął coś do małego i obaj mu pomachali. Rub widział wokół siebie wiele niepojętych zjawisk, ale żadne nie wprawiało go w takie zakłopotanie jak fakt, że jego najlepszy przyjaciel gotów jest sprzymierzyć się przeciwko niemu z każdą ludzką istotą pod słońcem. Przyprawiało go to niemal o zwątpienie, czy rzeczywiście są najlepszymi przyjaciółmi.

Kiedy Sully z małym przestali machać, Rub wykonał w powietrzu kolisty ruch, pokazując Sully'emu, żeby opuścił szybę. W ten sposób Sully nie mógł przynajmniej udawać, że nie słyszy. Co nie znaczy, że Rub wiązał z tym wielkie nadzieje, i rzeczywiście nie był zaskoczony, kiedy Sully wykonał ten sam ruch, udając, że nie rozumie. Powoli, bezgłośnie, Rub przesylibizował:

- Opuść szybę.

Sully opuścił szybę.

- O co chodzi? - zapytał.

- Co wy tam robicie? - chciał wiedzieć Rub.

- Kto?

- Wy. Wy dwaj - powiedział Rub. - Siedzicie i nic więcej.

Sully wzruszył ramionami.

- Co chciałeś?

Rub chciał być w środku. W samochodzie. Uczestniczyć w rozmowie. Znaleźć się znów w towarzystwie swojego najlepszego przyjaciela.

- Mogę wsiąść? - zapytał. - Na dworze jest zimno.

- Tutaj też - odparł Sully. - Ogrzewanie nie działa. To nie potrwa długo. Za chwilę wyjdziemy i będziemy marznąć wszyscy razem. - Po tych słowach Sully podniósł z powrotem szybę, zostawiając Ruba po drugiej stronie, wpatzonego we własne odbicie. Wydawało mu się, że nawet ono jest w środku, w ciepłym, a w każdym razie cieplejszym wnętrzu samochodu.

Rozważał właśnie to wszystko, łącznie z tym, że nawet jego odbicie znajdowało się w środku, a on musiał marznąć na dworze, kiedy szyba znów zjechała w dół.

- Co robisz? - zapytał Sully.
- Czekam - wyjaśnił Rub.
- Dobra, poczekaj sobie tam - polecił mu Sully. - Idź i usiądź na ganku.
- Nic złego nie robię - odparł Rub, który znał swoje prawa. Każdemu wolno stać na ulicy. - Mogę ci tylko powiedzieć jedną rzecz?
- Za chwilę powiesz mi wszystko, co zechcesz. Idź i usiądź na ganku.

Mówiąc to, Sully równocześnie podnosił szybę. Okno zamknęło się dokładnie w momencie, kiedy padło ostatnie słowo. Rub znów został sam, mając za towarzystwo jedynie własne odbicie. Ruszył z ociąganiem w stronę ganku.

Sully i Will patrzyli z samochodu, jak oddala się smętnie i siada na zimnych stopniach z zaciętą miną. Rozmawiali o strachu. Will bał się wejść do domu dziadka. Sully tłumaczył mu, że kiedy był w jego wieku, też się bał różnych rzeczy, w co Will wydawał się wątpić.

Zerkał z lękiem na zrujnowany dom, który wyglądał jeszcze groźniej niż poprzedniego dnia, bo na krzywym ganku piętrzyła się teraz sterta desek. Chłopcu się wydawało, że jeszcze mniej rzeczy powstrzymuje w tej chwili dom przed zawaleniem.

- Chcesz wiedzieć, co dziadek wtedy robił? - zapytał Sully.

Will nie był pewien, czy chce poznać sposób dziadka na strach, bo czuł, że dziadek zechce wówczas, aby go wypróbował, a na to nie miałby ochoty, wiedział to z góry. Szczerze wątpił, czy dziadek Sully naprawdę się czegoś w życiu bał. Równie trudno mu było wyobrazić sobie wystraszonego dziadka, jak litościwego Fangę. Fanga był pozbawiony tego uczucia. Gdyby mu je dodać, nie byłby to już on, tylko ktoś zupełnie inny, kto wyglądałby tak samo jak Fanga. Trzeba by mu nadać nowe imię. Dziadek Sully? Który nie bał się nawet uzbrojonego policjanta?

- Zawierałem umowę z samym sobą - ciągnął dziadek. - Mówiłem sobie, że będę odważny dokładnie przez minutę.

Will zmarszczył czoło i przyjrzał się dziadkowi uważnie.

- Możesz się na to zdobyć przez minutę, prawda? Byłeś odważny dłużej niż minutę w OTB i wyszło ci to na dobre: wygrałeś pieniądze.

- Co było potem, kiedy minęła minuta?

- Wtedy znów pozwalałem sobie na strach. Ale przynajmniej mogłem powiedzieć, że byłem odważny przez minutę. Następnym razem próbowałem być odważny przez dwie minuty. W ten sposób robiłem się coraz odważniejszy.

Will nadal wpatrywał się w dziadka, który wydawał się mówić prawdę.

- Czego się bałeś?

Dziadek wzruszył ramionami.

- Nie pamiętam. Ty też nie będziesz pamiętał, kiedy osiągniesz mój wiek.

Will spojrzął przez okno na przyczynę swojego strachu. Nie wierzył, że mógłby kiedykolwiek zapomnieć, czego się bał. Nie wierzył, że dziadek o tym zapomniał. Co oznaczało, że naprawdę się nie bał.

- Poczekaj tu chwilę - powiedział dziadek, wysiadając i kuśtykając w stronę otwartych tylnych drzwi samochodu. Odrzucił pokrywę wielkiej skrzynki na narzędzia, którą tam trzymał, i zaczął przewracać z rumorem jej zawartość. W końcu musiał znaleźć to, czego szukał, bo zatrzasnął z powrotem ciężkie wieko i usiadł na przednim siedzeniu koło Willa. - Masz - powiedział, rzucając mu jakiś ciężki, metalowy przedmiot.

Will złapał go między kolana, po czym wziął do ręki i zaczął oglądać, nie wiedząc, co to takiego. Dopiero po chwili zorientował się, że to stoper.

- Możesz zmierzyć sobie czas - powiedział dziadek, pokazując chłopcu, jak się nim posługiwać. - W ten sposób będziesz dokładnie wiedział, jak długo byłeś odważny.

Will patrzył przez chwilę niepewnie na stoper, potem spojrzął z jeszcze większym powątpiewaniem na dom i w końcu na dziadka.

- Dobrze.

- Zuch chłopak.

Wysiedli z samochodu i ruszyli wyboistą ścieżką w stronę domu. Will śledził przez cały czas powolny ruch wskazówki odmierzającej sekundy, jak gdyby chciał wbić sobie w głowę, ile trwa minuta, na którą się zgodził.

Gdzieś w pobliżu ujadął pies. Sully miał wrażenie, że szczeka tuż za domem, chociaż było to nieprawdopodobne.

Przystanął koło Ruba, który wciąż siedział nadąsany na ganku, i spojrzął w górę na dom. Nie dochodziły stamtąd odgłosy zrywania desek ani żadnej innej pracy.

- Gdzie jest Peter? - zapytał.

Gdziekolwiek znajdował się pies, szczekanie rozległo się teraz głośniejsze i bliżej, gniewne i jakby zdławione.

- To ci właśnie chciałem powiedzieć, kiedy do ciebie wyszedłem - powiedział

Rub ze złością. - Ale ty udawałeś, że mnie tam w ogóle nie ma. Teraz nic nie powiem. - Rub odwrócił wzrok, trudno powiedzieć, czy z gniewu, czy dlatego że miał łzy w oczach.

Will wydawał się tak przejęty odmową Ruba, że Sully mrugnął do niego, uśmiechając się przy tym uspokajająco.

- Rub - powiedział.

- Co?

- Gdzie Peter?

- W tamtym domu - poinformował go Rub, wciąż naburmuszony, ale najwyraźniej rad z siebie, że wytrzymał aż tak długo w krzyżowym ogniu pytań.

- W którym domu, Rub? W Bath jest około pięciu setek domów. A w całym stanie jeszcze więcej.

- W drugim domu, w którym pracujemy - wyjaśnił Rub, znów rozszłoszczony.

- W domku kempingowym Carla? - indagował dalej Sully. - Załadował deski i pojechał nad jezioro?

- Nie, w tym tutaj - rzekł Rub, wskazując stojący nieopodal dom Milesa Andersona. Wszyscy trzej odwrócili się i spojrzeli w tamtą stronę, akurat w tym momencie, kiedy w drzwiach pojawił się Peter w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Rozmawiali przez chwilę, stojąc na ganku. Kiedy uściśniły sobie dłonie, Sully zmarszczył brwi i zapytał:

- Rub, kim jest ten facet obok Petera? Tylko mi nie mów, że to Miles Anderson, bo zapowiadał, że nie przyjedzie wcześniej niż w styczniu.

Rub otworzył usta, po czym zamknął je z powrotem.

- Kto to jest, Rub?

- To jest pieprzony Miles Anderson, właśnie tak, jak powiedziałaś. I nie miej do mnie pretensji.

- Psiakrew - mruknął Sully. Jeśli miał do kogoś pretensję, to do Carla Roebucka, który odciągnął go od dużej roboty dla drobnej fuchy, co miało go przypuszczalnie kosztować utratę dużego zlecenia. Chociaż kto wie? Z sąsiedniej przecznicy dobiegł ich śmiech, po czym Peter i Miles Anderson zeszli po schodach w najlepszej komitywie. Kiedy Anderson wsiadł do swojego niewielkiego samochodu, Peter nachylił się do okna i pomachał. Samochód Andersona zawrócił o sto osiemdziesiąt stopni i oddalił się Główną w stronę centrum. Peter patrzył za nim przez chwilę, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy i ruszył w ich kierunku.

Will zbiegł ze schodów i popędził ulicą na spotkanie ojca. Sully usiadł na stopniach ganku obok Ruba, który wciąż był ponury

- Na twoim miejscu nie siedziałbym tu zbyt długo - doradził mu. - Koniec fiuta przymarznie ci do schodka.

Rub zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy to możliwe.

- Zapomniałem - zreflektował się Sully. - Twój nie sięga aż tak daleko, prawda?

- Twój też nie - odparł Rub, uśmiechając się nieśmiało, zbyt szczęśliwy, że ma z powrotem swojego przyjaciela, aby się dłużej dąsać.

- To prawda - powiedział Sully, dając mu solidnego szturchańca. - Nie sięga, bo go zwijam.

Rub odsunął się trochę, aby nie być łatwym celem dla szturchańców.

- Chcesz wiedzieć, ile razy muszę go zwijać? - zapytał Sully, szturchając go jeszcze raz, bo nie odsunął się wystarczająco daleko.

- Bolałoby cię, gdybyś go zwijał - zauważył Rub, wyobrażając sobie, jak by to było.

- Nie mnie - zapewnił go Sully. - Wiesz, co najbardziej lubię?

Rub się zarumienił, zastanawiając się, czy ma to coś wspólnego z Toby Roebuck.

- Mleko „Carnation”. A wiesz dlaczego?

Rub zmarszczył czoło. Czuł, że ma odpowiedź na końcu języka, ale nie mógł jej sobie przypomnieć.

- „Nie ciągniesz cycków, w gnoju nie dłubiesz” - podpowiedział mu Sully.

- Zrobiliście coś dzisiaj w ogóle?

- Prawie wszystko. Zrobimy przerwę na lunch?

- Przerwę w pracy czy w siedzeniu i odmrażaniu tyłków?

- W pracy.

- Myślę, że tak.

- To dobrze - ucieszył się Rub.

Siedzieli razem i słuchali szczekania psa.

Will dopadł ojca i szli teraz powoli ulicą w stronę Sully'ego i Ruba. Chłopek rozprawiał z przejęciem, pokazując ojcu pieniądze, które wygrał, i stoper, który dostał od Sully'ego. Nawet z tej odległości widać było, że Peter nie podziela jego entuzjazmu.

- Gdzie, u diabła, jest ten pies? - zapytał Sully. - Mam wrażenie, jakby szczekanie dochodziło z domu.

- Jest w kuchni - odparł Rub.

- Kto?

- Pies - powtórzył Rub.

Mógłby przysiąc, że rozmawiali o psie.

- Jaki pies?

- Carla. Ten, co szczeka - wyjaśnił Rub. To była druga sprawa, o której usiłował poinformować Sully'ego, kiedy podszedł do samochodu i został odesłany z powrotem. Była jeszcze trzecia, ale Rub nie mógł sobie w tej chwili jej przypomnieć.

Sully otworzył drzwi i wszedł do środka. Stojąc w progu, widział Raspulina, opartego o kuchenną szafkę, do której uwiązał go Carl Roebuck. Wyjaśniło się, skąd się brało wrażenie, jakby szczekający pies się dusił. Carl zaczepił łańcuch o jedną z górnych szafek, co zdawało egzamin, dopóki pies stał, bo łańcuch akurat wystarczał. Ale pies albo stracił równowagę i osunął się na szafki, albo próbował się położyć, ale się przekonał, że łańcuch na to nie pozwala. Widząc w drzwiach Sully'ego i Ruba, usiłował mężnie wstać, ale linoleum było śliskie, a porażona strona ciała nie chciała współpracować ze zdrową, szybko więc dał sobie spokój i znów oklapł uwieszony na łańcuchu, z głową zaledwie o kilka cali od podłogi.

- Uważaj - powiedział Rub ostrzegawczym tonem. Sully myślał w pierwszej chwili, że chodzi o psa, zanim się zorientował, że pomiędzy miejscem, gdzie stoją, a kuchnią nie ma podłogi. Pozostały jedynie belki biegnące wzdłuż budynku, pomiędzy którymi ziała ciemna czeluść piwnicy. Ku swojemu zaskoczeniu Sully czuł się trochę głupio, widząc dom, w którym się wychował, obnażony przed ludzkim okiem, niczym śmiertelnie chorego pacjenta, z rurami, przewodami i drewnianą konstrukcją na wierzchu. Zdecydowanie, widok nie był tak satysfakcjonujący, jak się spodziewał.

Rub położył przed nimi arkusz dykty, którego zapewne używał już wcześniej w tym celu, wszedł na niego, po czym przeskoczył zręcznie na podwójny legar, a stamtąd do kuchni.

- Dobra - powiedział Sully, wchodząc na dyktę i przypominając sobie w tym momencie, że dopiero co zachęcał wnuka, aby wszedł do domu pozbawionego podłóg. W pamięci stanęła mu też uwaga Otisa, że niebezpieczeństwo wszędzie mu towarzyszy.

Rub wyciągnął rękę.

- Złapię cię - powiedział.

- Odsuń się - ofuknął go Sully. - Tyle zdziałaś, że sobie obiję kolano.

Rub spochmurniał, znów zraniony w swoich uczuciach, ale cofnął się posłusznie. Sully sprawdził legar zdrową nogą, odepchnął się i zrobił wielki

krok nad dziurą, lądując na kuchennym linoleum. Poczuł, że chore kolano odmawia mu posłuszeństwa, ale chwycił się szybko futryny i przeniósł ciężar na drugą nogę.

- Trzeba było obejść naokoło - skomentował Rub.

- To w twoim stylu, dać mi dobrą radę, kiedy już skręciłem kark - powiedział Sully, ocierając rękawem zimny pot z czoła.

Kiedy doberman znów spróbował wstać, Sully zauważył kopertę przyczepioną do jego obroży. Łom, którym próbował sforsować drzwi poprzedniego dnia, wciąż leżał na blacie. Sully podniósł go i pokazał psu.

- Jak mnie ugryziesz, zatłukę cię na śmierć tu, w tej kuchni - po wiedział.

Wyglądało na to, że pies zrozumiał groźbę, bo przestał warczeć i położył się, pozwalając Sully'emu odczepić małą kopertę, zaadresowaną zgrabnym, niemal kobiecym pismem Carla Roebucka do Donalda Sullivana, majsterklepki do wszystkiego. W środku było jedno zdanie: Ty go załatwiłeś, jest twój.

Jakby na potwierdzenie, pies wyciągnął się, jak daleko pozwalał mu łańcuch, i polizał grzbiet dłoni Sully'ego.

W minutę później pojawili się Peter z chłopcem. Okrążyli dom i weszli tylnymi drzwiami. Sully pokazał karteczkę synowi, który przeczytał ją, po czym zaśmiał się nieprzyjemnie. Will, który stał niepewnie na ganku, wziął głęboki wdech, włączył stoper, zmierzył psa nieufnym spojrzeniem i wszedł do środka.

- Czy miała pani uczucie lekkości w głowie, pani Peoples? - indagował młody lekarz, pompując powietrze do czarnego rękawa ciśnieniomierza, który zaciskał się bezlitośnie wokół jej ramienia. Nieprzyjemne uczucie wydawało się naturalnym przedłużeniem ostatnich wydarzeń. Od tamtego poranka w przeddzień Święta Dziękczynienia, kiedy spojrzała na korony drzew i pomyślała, że w tym roku może przyjść kolej na nią, czuła, że wszystko się wokół niej zacieśnia. Decyzja o rezygnacji z podróży niewątpliwie pogorszyła sprawę. Jeśli chodzi o to, Clive junior akurat miał rację. Trzeba było jechać, tak jak plano wała. Nie miał natomiast racji co do Sully'ego, który tego ranka do wiódł, że może na nim polegać, jak zawsze. To nie Sully miał jej wy mierzyć cios, ale sam Bóg, stary przechera. Młody lekarz miał jej właśnie wyjaśnić, jak się to odbędzie, przygotowała się więc, by stawić czoło faktom.

Mierzono jej ciśnienie po raz drugi w ciągu pół godziny. Za pierwszym razem zrobiła to pielęgniarka. Podczas badania panna Beryl zlustrowała młodego lekarza niemal równie wnikliwie jak on ją, chociaż chłodne, natrętne instrumenty dawały mu przewagę. Znów pula genów, powiedziała sobie w duchu, chociaż tu było Schuyler Springs, nie Bath, mogła się więc mylić. Prawdopodobieństwo, że uczyła akurat tego młodego lekarza, było nie za duże, ale mimo to wyglądał znajomo, jak starsza wersja kogoś innego - zapewne jakiegoś ósmoklasisty. Jednym z niefortunnych skutków ubocznych czterdziestoletniej praktyki nauczycielskiej był tak gigantyczny „prze-rób”, że gdy wspominała przeszłość, czasem czuła się, jakby usiłowała czegoś nauczyć każdego mieszkańca planety. W dorosłej twarzy, na którą patrzyła w tej chwili, szukała śladów jakiejś szkolnej wpadki sprzed lat, mającej stanowić zapowiedź dzisiejszej niekompetencji. Panna Beryl starała się dopatrzeć w młodym człowieku czegoś, co z góry usprawiedliwiłoby jej postanowienie, żeby nie podporządkować się żadnym jego zaleceniom, które się jej nie spodobają. Człowiek nie ma chyba obowiązku stosować się do zaleceń własnych trójkowych uczniów, jeśli uda się mu ich rozpoznać.

- Miałam - przyznała, odpowiadając na pytanie lekarza o jej samopoczucie przed krwotokiem, na które wydawał się z góry znać odpowiedź. - Teraz, kiedy mam to już za sobą, jest mi lekko na sercu - dodała.

Młody człowiek pozwolił sobie na tolerancyjny, zawodowy półuśmiech.

- Lekko na sercu? Czy to znaczy, że czuje pani ożywienie?

Panna Beryl się skrzywiła. Jak większość młodych profesjonalistów, z którymi miała ostatnio do czynienia, młody człowiek nie miał wycucia gry słów, upodobania do języka i najprawdopodobniej również wyobraźni. Clive junior był taki sam jako chłopiec. Za każdym razem, kiedy próbowała go wciągnąć w jakąś grę, chmurzył się tylko, nie rozumiejąc, o co jej chodzi. Młody lekarz był przypuszczalnie zbyt bystry jak na trójkowego ucznia, ale widziała oczyma wyobraźni, jak stawia czwórkę minus na jednym z jego młodzieńczych wypracowań przed dwudziestu laty i czeka na reklamację. Co nauczycielka ma do zarzucenia jego pracy? Za co odjęła mu punkty? Dlaczego dostał tylko tyle?

Ale rzeczywiście po krwotoku z nosa czuła ożywienie. Tak więc poprawiła ocenę na czwórkę plus, jak to zapewne uczyniła wówczas, pouczywszy go

najpierw solennie, że w życiu nie chodzi tylko o unikanie błędów, o to, żeby nie tracić punktów, ale przede wszystkim o to, żeby je zdobywać. Postanowiła mu się zwierzyć z pewnej rzeczy.

- Cały czas mi się wydawało, że pada śnieg - powiedziała, czując się trochę głupio. - Widziałam, jak padał.

Lekarz pokiwał głową, bynajmniej nie zaskoczony tym, co wydawało się jej najdziwniejszym ze wszystkich objawów. Wypuścił powietrze z rękawa aparatu do mierzenia ciśnienia i zwolnił zaciskający go rzep.

- Czy to było nieprzyjemne? - zapytał, kiedy panna Beryl zaczęła rozcierać ramię.

- Bolało, jeśli pan ma na myśli. Skończyliśmy?

- Prawie. Ale myślę, że należałoby zrobić badanie krwi - powiedział.

Panna Beryl zamachała obolałym ramieniem jak skrzydłem.

- Czy słusznie przypuszczam, że zamierza pan użyć mojej krwi?

Znów nikły ślad uśmiechu.

- Cóż, moglibyśmy użyć mojej, ale wtedy mielibyśmy informacje na mój temat.

Panna Beryl się podniosła, po czym usiadła z powrotem, widząc, że lekarz, który siedział naprzeciwko niej, nie rusza się z miejsca.

- Z wami to tak jak z policją. Nigdy was nie ma w pobliżu, kiedy jesteście potrzebni. Gdyby pan był u mnie w domu dzisiaj o szóstej rano, miałby pan krwi pod dostatkiem i nie potrzebowałby pan do tego strzykawki. Mógłby pan użyć miski od sałaty. Teraz chce pan jeszcze więcej.

- Tylko troszeczkę - zapewnił ją lekarz. - Chyba nie boi się pani igły? To nie będzie bolało.

- A będzie nieprzyjemne?

- Może odrobinę - przyznał z powagą, rzucając niedbale rękaw od ciśnieniomierza na biurko i zakładając nogę na nogę. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zawahał się i zamknął je z powrotem.

- Przechodzimy do zasadniczej części rozmowy, tak? - zapytała panna Beryl.

- Tak - potwierdził lekarz. - Ma pani lekarza rodzinnego w Bath?

Panna Beryl powiedziała, że ma.

- Ale nie zwróciła się z tym pani do niego?

- To kapuś. Donosi o wszystkim mojemu synowi. Jestem tutaj tylko dlatego, że obiecałam Donaldowi.

- Donaldowi?

- Sullivanowi - wyjaśniła panna Beryl. - Przypuszczalnie go pan nie zna. - Rzeczywiście obiecała Donaldowi, że pójdzie do lekarza. Był to jedyny sposób, żeby się go pozbyć z mieszkania i posprzątać cały ten krwawy bałagan, którego narobiła. Ścisłe rzecz biorąc, Sully uparł się, że sam ją zawiezie. Obiecał wpaść koło południa, żeby ją zabrać. Pewnie by zapomniał, ale biorąc pod uwagę pech, który ją ostatnio nękał, akurat tym razem mógł pamiętać. Umówiła się więc na wizytę w przychodni w Schuyler, zadzwoniła dla towarzystwa po panią Gruber, mówiąc, że jedzie na coroczne badania kontrolne, i zostawiła Sully'emu na drzwiach kartkę z informacją, że pojechała do lekarza, nie wyszczególniając, do którego i dokąd. Była spokojna, bo Sully zadowalał się zazwyczaj informacjami, jakich mu ludzie udzielali. Wyobrażała sobie jednak kogoś podobnego do jej lekarza w Bath: starszego pana, pełnego zrozumienia, niespieszącego się zanadto, z tą tylko różnicą, że miał to być ktoś obcy, kto nie mógłby na nią donieść. Nie była przygotowana na tego smarkacza.

- Mieszka pani sama? - zapytał smarkacz.

Panna Beryl potwierdziła, dodając, że ten stan rzeczy trwa, bez specjalnych incydentów, od czasu śmierci jej męża, czyli prawie od trzydziestu lat.

- I boi się pani utracić swoją niezależność?

Panna Beryl podniosła ocenę z czwórki plus na piątkę minus.

- Swoją jaką taką niezależność - potwierdziła.

- Czy pani prowadzi?

- Rzadko. Do sklepu i z powrotem. Myślę, żeby całkiem dać sobie z tym spokój. Szczerze mówiąc, nigdy nie rozumiałam obsesji naszego społeczeństwa na punkcie samochodów. To musi o czymś świadczyć i wolę nie myśleć o czym. Wolę też nie myśleć, że mogłabym zrobić jakieś głupstwo i ktoś byłby poszkodowany. Mój mąż, Clive - światło moich oczu - zginął w wypadku samochodowym, a narzeczona mojego syna, która sieje zniszczenie nawet bez samochodu, omal go nie zabiła wczoraj podczas jazdy.

Młody mężczyzna kiwał głową, najwyraźniej udając zrozumienie.

- Korzystam z mojego forda tylko wtedy, kiedy robię zakupy - po wtórzyła panna Beryl. - I kiedy jest uroczyste otwarcie jakiegoś sklepu pomiędzy Schuyler Springs a Albany, i jestem zmuszona zawieźć tam panią Gruber, moją sąsiadkę. - Wspomniana pani Gruber czekała na nią właśnie w holu przychodni, myśląc z przyjemnością o lunchu w nowym szpitalnym bufecie,

o którym pisał „North Bath Weekly Journal” i który od dawna pragnęła odwiedzić. Panna Beryl nie powiedziała przyjaciółce o krwotoku z nosa, obawiając się, że wiadomość dotarłaby do Clive'a juniora. - Jak więc pan widzi, rozstanę się z samochodem bez żalu. Fakt, że robię różne rzeczy po swojemu, nie tak, jak je robią inni. Jem to, na co mam ochotę i kiedy mam ochotę. Czytam i rozmawiam sama ze sobą, wyglądam przez okno i rozmyślałam nad różnymi sprawami. Znam swoich sąsiadów i lubię ich, ale z najbardziej lubianymi nie chciałabym mieszkać pod jednym dachem. Mam na piętrze lokatora, którego największą zaletą jest to, że rzadko bywa w domu. Wpada rano, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyję, po czym wychodzi i nie wraca przed zamknięciem barów. To niezależny duch. Donald Sullivan. Być może już panu o nim wspominałam. Clive twierdzi, że towarzystwo innych ludzi dobrze by mi zrobiło. Swojego ojca i Eda nie liczy. Młody człowiek zmarszczył brwi.

- Powiedziała pani, zdaje się, że pani mąż zginął w wypadku samochodowym.

- To prawda - potwierdziła panna Beryl, uradowana, że jej słuchacz jednak zwraca uwagę na to, co się do niego mówi.

- A mimo to...

- Trzymam jego fotografię na telewizorze i kontynuujemy wiele z naszych dyskusji, które toczyliśmy za jego życia. Wówczas nie doszliśmy do żadnych wspólnych wniosków i nadal się na to nie zanoszą.

- A więc pozostaje... Ed?

- Ed to Zambie.

- Co takiego?

- Afrykańska maska rytualna. Po części człowiek, po części zwierzę, po części ptak. Jak my wszyscy.

Młody człowiek się uśmiechnął.

- Chyba rozumiem, co pani ma na myśli, mówiąc o rozmawianiu z sobą samą. Dobrze się pani bawi w swoim towarzystwie?

- Nie najgorzej - powiedziała panna Beryl. - Lepiej niż przy telewizji. Clive uważa, że powinnam sobie sprawić kablówkę. To ma na myśli, twierdząc, że powinnam mieć więcej towarzystwa.

Lekarz zmrużył oczy.

- Clive junior. - Panna Beryl postanowiła pomóc młodemu człowiekowi, doceniając jego dobre chęci. - Clive senior zmarł. Jego syn żyje.

- Jego syn?

- Nasz syn - poprawiła się panna Beryl. A więc wyciągnął to pan ze mnie. Mam nadzieję, że jest pan zadowolony?

- Jeśli dobrze rozumiem, pani i pani syn nie jesteście zbyt jednomyślni?

- On jest bankierem - wyjaśniła panna Beryl.

Lekarz najwyraźniej czekał na dalszy ciąg.

- Jak widzę, nie uważa pan tego za dostateczny powód?

Jeszcze większa dezorientacja.

- Powód do czego?

- To on jest odpowiedzialny za ten nowy lunapark, który ma powstać. Uważa, że Bath to eldorado. Mówi, że pieniądze pełzną w górę autostrady międzystanowej.

- Hmm - mruknął młody lekarz.

- Pomówmy o czymś, w czym jest pan zorientowany - zaproponowała panna Beryl. - Co mi dolega? Oprócz moich osiemdziesięciu lat?

Kiedy lekarz otworzył usta, panna Beryl mu przerwała.

- Proszę nie owijać w bawełnę. Proszę sobie wyobrazić, że rozmawia pan z Clive'em.

- Z którym Clive'em?

- Juniorem. Oczywiście na niby. W rzeczywistości nie powie mu pan niczego. Nigdy.

- No cóż, pani Peoples...

- Nie brzmi to zbyt przekonująco - przerwała mu znów panna Beryl - kiedy zwraca się pan do Clive'a, używając nazwiska jego matki.

Młody człowiek uśmiechał się w tej chwili szeroko.

- Cóż, proszę pana - ciągnął - wszystko, co mogę panu w tej chwili zaferować, to oświecony domysł.

- Ma pracowała w oświacie - powiedziała panna Beryl, naśladowując głos swojego syna. - Zrozumie pana.

Jej rozmówca spoważniał.

- Myślę - właściwie jestem pewien - że pańska matka miała dziś rano wylew. Może pan to nazwać miniwylewem, jeśli pan woli. Zdarza się to nie tak rzadko u kobiet w podeszłym wieku, w jakim jest pańska matka. Chwilowe uderzenie tlenu do mózgu, wywołujące uczucie za wrotu głowy i złudzenie śnieżenia. Przyczyna? Najprawdopodobniej małeńki skrzep, choć możemy się tego nigdy nie dowiedzieć. Przyczyny mogą się nawarstwiać całymi tygodniami.

Panna Beryl przyjęła do wiadomości to, co usłyszała, i zastanawiała się, czy przyczyny, o których napomknął młody człowiek, mogą być wyłącznie

natury fizycznej, czy również duchowej. Czy zdrada może spowodować skrzep? Panna Beryl była skłonna przypuszczać, że tak.

- Czy może się spodziewać następnych?

Lekarz zawahał się przez chwilę, po czym skinął głową.

- Może się nic nie wydarzyć przez rok albo i dłużej. A może pani... przepraszam - może mieć kolejny wylew w przyszłym miesiącu. Może być słabszy albo silniejszy. Jeżeli będą się powtarzać, mogą zapowiadać rozleglejszy, groźniejszy w skutkach wylew. Jeżeli znów wystąpią takie objawy jak dzisiaj rano, powinna się ze mną niezwłocznie skontaktować. Proszę jej to uzmysłowić.

- Ma jest wyjątkowo uparta - usłyszała panna Beryl własne słowa, wypowiedziane głosem jej syna. Zadziwiająco, jak łatwo jej było go naśladować. I nie tylko jego najbardziej irytujące manieri, takie jak mówienie o niej per „Ma”, ale również bardziej subtelne tony i odcienie. Jak gdyby jakiś genetyczny wspólny mianownik w ich fizycznej konstrukcji (strunach głosowych?) pozwolił jej precyzyjnie odtwarzać jego sposób mówienia. Po raz pierwszy naśladowała głos swojego syna przy obcym człowieku. Przez chwilę czuła się jak zdrajca i zadała sobie w duchu pytanie, czy nie spowodowała właśnie kolejnego zatoru. - Może ją pan zdzielić kijem po głowie, ale nie zmusi jej pan, żeby zmieniała zdanie, kiedy raz coś sobie postanowi.

- Właśnie takie odniosłem wrażenie - powiedział lekarz, uśmiechając się, aby pokazać, jak dobrze się bawi. - Niezły z niej numer, naprawdę.

Doktor wyjrzał na korytarz i kiwnął na pielęgniarkę.

- Kiedy obejrzę wyniki analizy, być może przepiszę pani coś na rozrzedzenie krwi. Do tego czasu proszę na siebie uważać, pani Peoples... jeśli to do pani Peoples w tej chwili mówię.

Pielęgniarka, która przyszła pobrać jej krew, była tą samą, która jej wcześniej mierzyła ciśnienie. Poklepała skórę na ramieniu panny Beryl z pewną irytacją, jak gdyby wolała, żeby ciało przybrało jakiś inny kształt. Panna Beryl doskonale ją rozumiała.

- Chciałbym, żeby te gwoździe się tak nie gięły - wyraził życzenie Rub, kiedy kolejny znów się wygiął. Gwoździe, którymi przybijano do legarów cienkie deski ze szlachetnego drewna, były trójkątne, miękkie i łatwo się odkształcały, kiedy uderzyło się je młotkiem od spodu. Wyciąganie ich z desek, jak przewidywał Peter, okazało się żmudnym i frustrującym zajęciem. Na środku dużego pokoju ułożyli arkusze dykty, a na nich dwa kozły

do piłowania drewna, tworząc wyspę otoczoną dziurami, przez które ktoś niezbyt uważny mógł spaść aż do piwnicy. Nie było to zbyt bezpieczne, zwążywszy na fakt, że obaj należeli do najbardziej nieuważnych ludzi w Bath. Pod nimi, w ciemnościach, rozlegał się od czasu do czasu pospieszny tupot i chrobotanie. Sully nie miał zamiaru schodzić na dół i sprawdzać, co to takiego. Przed kilkoma miesiącami obilo mu się o uszy, że ludzie remontujący Sans Souci skarżą się na tabuny szczurów, okupujących dolne partie rozgałęzionej budowli i cały przyległy teren. Ciężki sprzęt płoszył je, wywołując niustanną, nerwową bieganinę. Wynajęto specjalistów od deratyzacji, chociaż Sully miał wrażenie, że jakiś szczurołap z fujarką zaprowadził po prostu całą czeredę do małej piwniczki domu, który był kiedyś jego domem rodzinnym.

- Wolałbym, żebyś mi nie mówił, że to szczury - powiedział Rub, łowiąc uchem dobiegające z dołu dźwięki, przypominające szelest papieru.

Każdy, kto przysłuchiwałby się Rubowi w ciągu tego długiego popołudnia, musiałby uznać go za malkontenta, ale Sully wiedział, że to nieprawda. Mimo parady życzeń, Rub był bardziej zadowolony niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich dwóch tygodni, ściśle rzecz biorąc, od czasu powrotu Petera do Bath. Po lunchu niespodziewanie zjawił się Ralph. Chwilę rozmawiali z Peterem na osobności, po czym wyszli bez żadnych wyjaśnień. Coś się musiało stać, ale żaden z nich najwyraźniej nie widział powodu, żeby wtajemniczać w to Sully'ego. Przez całe popołudnie prześladował go obraz byłej żony, przyłapanej na kradzieży w aptece Jocka. Zastanawiał się, czy Peter wie. Czy Ralph wie.

Tak czy inaczej, Ruba nie zmartwiło odejście Petera, dzięki któremu miał Sully'ego wyłącznie dla siebie, tak jak tego pragnął. Pomiędzy dwoma koźłami ustawionymi na środku pomieszczenia, otoczeni polem minowym zdradliwych dziur, siedzieli naprzeciw siebie przez całe długie popołudnie, wyciągając z desek odporne gwoździe, aby drewno nadawało się do ponownego użytku. Kiedy uporali się ze stertą desek ułożonych pod zachodnią ścianą, Rub zaczął przynosić te, które złożyli na ganku, kicając zwinnie z belki na belkę, z ciężkim naręczem pod każdą pachą, podczas gdy Sully rezydował na względnie solidnej platformie z dytki, przeklinając kiepskie gwoździe.

Siedzieli naprzeciw siebie w tym zaczarowanym kręgu, tak blisko, że jeden mógł drugiego dotknąć, choć Rub nigdy by tego nie zrobił. Od czasów dojrzewania tkwił w nim głęboko zakorzeniony lęk, żeby nie uznano go za

„innego”. Lęk, będący zawsze w konflikcie z równie silną potrzebą, by mieć swojego najlepszego przyjaciela możliwie jak najbliżej, tak aby mógł mu się zwierzać ze swoich najgłębszych pragnień i życzeń w momencie, gdy je sobie uświadamiał, jedno za drugim. Życzenia Ruba źle znosiły większe odległości. Najłatwiej było mu je uzewnętrznić, kiedy nie musiał podnosić głosu, na przykład, gdy stali na dnie rowu, Sully o kilka stóp od niego, gotów na ich przyjęcie. Nie lubił wyrzucać z siebie życzeń na siłę, wolał uwalniać je delikatnie, tak by dotarły do Sully'ego własnym rozpędem, na własnych słabych jeszcze skrzydłach. Niczym dopiero co wyklute pisklęta były nowymi przybyszami na świecie, zbyt nieporadnymi, aby wytrzymać długi lot. Najlepiej się czuły w pobliżu gniazda.

Jak dotąd Rub zdążył sobie zażyczyć, żeby Peter przestał mówić do niego „Sancho”, bo nie znosił tego przezwiska, żeby mogli włączyć ogrzewanie w domu, gdzie było niemal równie zimno jak na dworze, i nie musieli pracować w rękawicach, co bardzo utrudniało precyzyjną czynność usuwania gwoździ z desek. Żeby jego żona Bootsie przestała tyle wynosić od Woolwortha, zanim ją przyskrzynią i wsadzą ich oboje do mamra. Żeby w hotelu Sans Souci, którego skrzydło widać było z północno-wschodniego okna za nagimi drzewami zagajnika, zatrudniono ich jako majstrów do wszystkiego mniej więcej za dwadzieścia dolarów dziennie, kiedy latem kurort rozpocznie działalność. Żeby mógł stać się niewidzialny na jeden dzień, zakraść się do Toby Roebuck i podglądać ją pod prysznicem.

Sully słuchał jednym uchem. Jak zawsze zdumiewała go skromność fantazji Ruba. To zupełnie w jego stylu, przyznać sobie dar niewidzialności, po czym ograniczyć go do jednego dnia. W wyobrazeniach Ruba często była zadziwiająca mądrość, jak gdyby życie go nauczyło, że żaden podarunek nie dociera do nas w czystej postaci, ale z zastrzeżeniami i obwarowaniami, które mogą uczynić go bezwartościowym albo wzbudzić jeszcze większy głód. Jak gdyby gdzieś w głębi zdawał sobie sprawę, że lepiej na tym wyjść, jeśli jego życzenia się nie spełnią. Niewątpliwie była to prawda w przypadku daru niewidzialności. W większości sytuacji międzyludzkich był bliższy posiadania go, niż sobie to uświadamiał, i całkowite zniknięcie z pewnością nie leżało w jego interesie.

Choć Sully słuchał jednym uchem, był wdzięczny za ten koncert życzeń, bo dzięki niemu upiory tego domu były trzymane na dystans. Miał uczucie, że ojciec, zalany w sztok, zionący tanim piwem i moralnym oburzeniem,

wtoczy się za chwilę hałaśliwie do mieszkania, z trudem mieszcząc się w drzwiach w tym stanie. Jego matka czekała na niego cicho w ciemnościach domu, tak jak przez lata czekała na cud, który miał się wydarzyć, jak ją zapewnił jej spowiednik, jeśli tylko jej wiara będzie wystarczająco silna. Księżę porady pogłębiały jej rozpacz, choć z drugiej strony dawały jej siłę, aby stawić czoło kolejnym powrotom. Ksiądz był wielkim, zadowolonym z siebie mężczyzną, prawie tak potężnym jak Duży Jim. Dość potężnym, jak się Sully'emu wówczas wydawało, aby przywołać ojca do porządku, gdyby chciał, ale jego zadufanie i obojętność były jeszcze większe niż jego fizyczne rozmiary. Sully, choć był tylko małym chłopcem, rozumiał, że ksiądz im nie pomoże, że ból i strach, wypełniający życie innych ludzi, to dla niego bułka z masłem. Nie wydawał się ani trochę zaskoczony tym, co matka Sully'ego opowiadała mu o swoim małżeństwie, o tym, jak wygląda życie w ich domu. Nie brał nic z tego, co słyszał, do siebie, wyglądało też na to, że nie odstręcza go największa ohyda. Swoje zajęcia uprawiał z upodobaniem, a udzielanie porad duchowych nieszczęśliwym było jednym z jego zawodowych obowiązków. Wydawał się rozumieć, że życzyć ludziom odmiany losu to tak, jak odbierać sobie samemu chleb.

- To jest grzech, Izabelo. - Sully pamiętał jego słowa, wypowiedane ściszym, namaszczoneym tonem. Matka nie chciała brać go wtedy ze sobą do kościoła, ale był za mały, żeby zostawić go samego w do mu. Posadziła go w ławce, w połowie głównej nawy i poszła rozmówić się z księdzem w pobliżu konfesjonału. Ksiądz chciał, żeby uklękała w konfesjonale i wyspowiadała się, ale matka odmówiła, twierdząc, że nie żałuje i nie prosi o przebaczenie. Zawsze spowiadała się regularnie, ale tym razem była nieugięta.

To, co miała do powiedzenia księdzu, nie było przeznaczone dla uszu Sully'ego, ale ich słowa niesły się daleko w chłodnym, ciemnym wnętrzu kościoła, zupełnie pustym, jeśli nie liczyć ich trojga.

- To ciężki grzech myśleć, że Bóg nie ma dość mocy, aby czynić dobro na swoim własnym świecie - mówił ksiądz. - Dla Boga wszystko jest możliwe. Tylko nam wydaje się to trudne. Więksi grzesznicy niż twój mąż zostali do niego przyprowadzeni w swoim czasie. Pamiętasz świętego Pawła, który został zwalony z konia w drodze do Damaszku, drodze do wiary?

- O to się właśnie modłę - wyszlochała matka, zapuchnięta, z zalepionym okiem, na które nic nie widziała.

Ksiądz uśmiechnął się łaskawie, spoglądając na nią z góry. Jego uśmiech znikł, kiedy zaczęła mówić dalej.

- Modłę się, żeby został powalony - dokończyła. - Tak żeby się więcej nie podniósł.

- Ćśś, Izabelo - upomniał ją duchowny. - Kiedy takie straszne rzeczy wychodzą z twoich ust, trafiają prosto do ucha Pana Boga.

Matka wstała i odwróciła się, wypatrując w ciemnościach synka, który osunął się w głąb ławki.

- Co za różnica? - powiedziała. - On i tak nie słucha.

Nigdy więcej nie odezwała się do księdza. Nie poszła też na jego pogrzeb kilka miesięcy później. Co nie znaczy, że ktokolwiek odczuł jej nieobecność. Na wystawienie zwłok i mszę żałobną zjechali ludzie z całego stanu. Ojciec Sully'ego też poszedł i zabrał ze sobą synów. Sully pamiętał, jak się wystroili na tę okazję: ojciec i brat w ciemnych, źle dopasowanych garniturach, on w białej, za małej koszuli, której kołnierzyk był tak ciasny, że policzki i czoło mu pulsowały. Zwłoki wystawiono nie w domu pogrzebowym, tylko na plebanii. Kolejka wiernych, którzy przybyli, aby oddać mu hołd, ciągnęła się w dół po schodach aż na ulicę, okrążała narożnik budynku i sięgała do samego kościoła.

Ksiądz udławił się kością. Gdyby ktoś przy nim był, może zdołano by go uratować, ale posilał się sam w ogromnej jadalni, w której trzy dni później stanęła jego trumna. Zanim gospodyni przybiegła z sąsiedniego pokoju, słysząc, jak się rzuca w fotelu, było za późno. Oczy już mu wyszły z orbit, wytrzeszczone w obłędnym przerażeniu, jak gdyby kazano mu patrzeć na coś tak ohydneho, że postradał zmysły i wyzionął ducha. Niewiele brakowało, aby to samo spotkało jego gospodynię, tak przerażający był ten widok.

Nie ulega wątpliwości, że przedsiębiorca pogrzebowy, mieszkaniec parafii, zrobił, co w jego mocy, ale efekt był wyjątkowo mizerny. Pomimo jego starań twarz zmarłego zachowała wiele tego przerażenia, które widniało na niej, kiedy znalazła go gospodyni. Wielu spośród wiernych przeżyło prawdziwy szok na widok księdza leżącego w swojej kosztownej trumnie. Przedsiębiorca pogrzebowy, który pracował gorączkowo nad wytrzeszczonymi oczami i wykrzywionymi rysami twarzy, zdołał złagodzić nieco wyraz obłędnego strachu, ale zmarły nadal nie robił wrażenia człowieka ufnie wyglądającego spotkania ze swoim stwórcą. Ci, których duszami od lat się opiekował, teraz nie chcieli pozostawać zbyt długo w jego obecności. Kolejka przesuwała się szybko. Zator powstał jedynie raz, kiedy ojciec Sully'ego klęknął,

aby odmówić modlitwę, choć wyglądało to raczej, jakby szeptał rady do ucha staremu kumpłowi. Jeśli chodzi o pozostałych żałobników, jedno przeżarte spojrzenie wystarczało, aby pospieszyć do następnego pomieszczenia, depcząc innym po piętach.

Dopiero później, kiedy ci z początku kolejki wymienili nerwowe uwagi z tymi bliżej końca, stało się jasne, że podczas ceremonii usta zmarłego musiały się powoli otwierać. Na początku jego wargi były mocno zaciśnięte, tworzyły białą, wąską linię, ale dwie godziny później, kiedy ostatni wierny został wyprowadzony, niczym ślepiec, z ciemnej plebanii w jasne, słoneczne popołudnie, fachowiec musiał przystąpić z powrotem do pracy, gdyż usta księdza były na powrót szeroko otwarte. Ostatni, wytrąceni z równowagi żałobnicy zachowali w pamięci wyrazisty obraz zmarłego, błagającego, jak im się zdawało, aby wyciągnąć mu z gardła kość, którą udławił się śmiertelnie dwa dni wcześniej.

Ale jeszcze bardziej wyraziste niż obraz zmarłego księdza było wspomnienie ojca z tamtego dnia. Już jako mały chłopiec Sully zdawał sobie sprawę z nieodpartego uroku ojca i rozumiał mechanizm jego działania. Duży Jim należał do tej kategorii ludzi, na których widok inni mieli ochotę jak najszybciej zawrócić. Jeżeli spostrzegli go pierwsi, ich głowy zbliżały się do siebie, a oni uzgadniali pospieszny odwrót. Może ktoś spotkał go poprzedniego dnia, pijanego i szukającego guza, albo chciał mu pomóc wstać z chodnika, kiedy wyrzucono go z baru po bójce, a Duży Jim, z przekrwionymi oczyma, brocząc krwią z rozciętego podbródka, powiedział mu, gdzie może sobie wsadzić swoją pomoc. A może po prostu słyszał o nim jakąś paskudną historię. Chodziły też słuchy, że sprawował w domu rządu twardej ręki, co było stosowanym wówczas eufemizmem na określenie mężów bijących żony. W każdym razie często właśnie w sytuacji, gdy otoczenie było do niego uprzedzone, umiał zawojować ich z kretesem, roztaczając swój szczególny czar. Ci sami, którzy przed chwilą udawali, że nie widzą, jak wchodzi, klepali go teraz po plecach, wątpiąc w to, co wcześniej słyszeli na jego temat, czy nawet w świadectwo własnych zmysłów. Ci sami, którzy widzieli jego twarz pociemniałą z wściekłości albo umazaną jego własną krwią, teraz nie chcieli go puścić, takim równym facetem się okazał, może z jednym, maleńkim zastrzeżeniem, że był trochę zbyt nieokrzesany i śmiał się odrobinę za głośno.

W dniu wystawienia zwłok ojciec Sully'ego był jedynym człowiekiem spośród tłumu, który nie wydawał się poruszony upiornym wyglądem zmarłego, jak gdyby w jego oczach ksiądz zawsze tak wyglądał. Po tym, jak

wstrzymał ruch, kłękając na ozdobnym kłęczniku i udając, że odmawia modlitwę, po czym kazał zrobić to samo swoim synom, podszedł do biskupa z Albany, który miał odprawić nazajutrz uroczystą sumę żalobną, aby mu się przedstawić razem ze swoimi chłopcami. Sully zauważył wcześniej, że kilku parafian całowało pierścień biskupa, i cieszył się, że ani jego brat, ani ojciec nie musieli tego robić. Wydawało mu się, że człowiek w biskupiej szacie przejrzał ojca na wskroś, że wywiercił w nim dziurę na wylot jednym przenikliwym spojrzeniem.

Zanim wyszli z plebanii, Duży Jim kazał chłopcom zaczekać, mówiąc, że wróci za chwilę. Widzieli, jak pochyla się nad staruszką, która była gospodynią zmarłego księdza, pytając ją o coś. Roztrzęsiona kobieta pokazała w głąb korytarza. Sully z bratem patrzyli, jak ojciec idzie w kierunku wskazanym przez gospodynię, po czym nagle skręca w lewo, tam gdzie szerokie schody prowadziły na piętro plebanii. Brat uśmiechnął się do niego porozumiewawczo.

Kiedy ojciec nie wracał, jak mu się wydawało, strasznie długo, Sully, zdenerwowany, powiedział bratu, że musi gdzieś pójść. „Koniecznie” - dodał, żeby nie było wątpliwości. Jeżeli ojciec mógł się załatwić w domu zmarłego księdza, to może i on mógł. A zresztą musiał.

Ponieważ nie było nikogo, kto miałby im tego zabronić - wyglądało na to, że nikt nie zwraca na nich uwagi - chłopcy podążyli za ojcem na górę. Na piętrze było pięć pokoi, umeblowanych z takim przepychem, że oniemieli, gdyż po raz pierwszy w życiu widzieli coś takiego.

Ojca znaleźli w gabinecie księdza. Stał na środku pokoju o ścianach wyłożonych książkami, chłonąc widok tego wszystkiego: luksusowej skórzanej sofy, obrazów w srebrnych ramach, wiszących na nieskazitelnie białych ścianach, wielkiego dębowego biurka z żaluzjowym zamknięciem i mosiężną lampą, ogromnego, wolno stojącego globusa, książek oprawnych w skórę stojących od podłogi aż po sufit. Chłonął też wypełniający pokój zapach tytoniu oraz tego, co Sully miał później zidentyfikować jako wodę kolońską i trunki. Na bibularzu leżał połączany komplet - pióro i ołówek, a obok połączany nożyk do papieru.

Duży Jim ani się nie zdziwił, ani nie rozżościł, choć kiedy indziej dostali by baty za to, że nie czekali, tak jak im kazał.

- Niezła granda, co? - powiedział, wykonując szeroki gest, który miał obejmować nie tylko gabinet, ale i pozostałe pokoje, na górze i na dole. - Te drobniaki z tacy całkiem przyjemnie się sumują, prawda? Wszystkie te tace, siedem dni w tygodniu, trzy razy w niedzielę? Człowiek nie zginie. Widzicie

to wszystko? To się nazywa ślub ubóstwa. Założę się, że tak samo wyglądał u łobuza ślub czystości.

Sully nie bardzo rozumiał, co to takiego ślub czystości, ale wiedział, że musi iść do łazienki.

- Tam - pokazał ojciec. - Nie wygląda na to, ale to jest łazienka.

Rzeczywiście, gdyby nie muszła, Sully nie domyśliłby się, co to za pomieszczenie. Pod jedną ścianą stała sofa, aksamitne draperie zasłaniały wannę i prysznic. Ale powietrze było ciężkie po niedawnej wizycie Dużego Jima. Sully załatwił się szybko i z poczuciem winy. Umył ręce i wytarł je w spodnie, nie chcąc zabrudzić puszystych, fioletowych ręczników księdza.

- Niezły kibel, co? - powiedział ojciec, kiedy wyszedł. Potem czekali na Patricka, którego ojciec też wysłał do łazienki, chociaż chłopiec powiedział, że nie musi. - Spróbuj - nalegał ojciec. - Zawsze coś tam z siebie wyciśniesz.

W drodze do domu wstąpili do baru, żeby ojciec mógł opowiedzieć barmanowi, co widział na plebanii. Pamiętał wszystkie szczegóły, które usłyszał uwagi Sully'ego. Im więcej piw wypijał, tym żywszy i bardziej jątrzący stawał się obraz w jego pamięci.

- Szkoda, że nie widziałeś kibla - mówił do mężczyzny stojącego za barem, który, jak Sully widział, miał już dosyć słuchania tych rewelacji. - Jest większy niż cała twoja pieprzona chałupa.

- Nawet nie widziałeś mojego domu, Sully - powiedział mężczyzna.

- Tak? No cóż, ty też nie widziałeś tego kibla - odparował ojciec. - Nie widziałeś, bobyś nie uwierzył. Nie koniec na tym. Szkoda, że nie widziałeś tego biskupa. To, w co był ubrany, kosztowało więcej niż wszystkie twoje ciuchy razem wzięte, tylko ta jedna szatka. Niż twoje ciuchy i ciuchy twojej żony razem wzięte, założę się, a mowa tylko o tym, co miał na sobie.

- Nie jestem żonaty, Sully - odparł mężczyzna.

- Szczęściar z ciebie - rzekł ojciec Sully'ego. - Ta religia to czysty rozbój. Wszyscy powinniśmy rzucić to, co robimy, założyć złote krzyże na szyję i zacząć zbierać na tace.

Barman pobladł.

- Może by tak odrobinę szacunku, co? Rozmawiamy o zmarłym księdzu. Człowiek dopiero co umarł. To był sługa Boży, Sullivan.

- Szkoda, że nie widziałeś trumny, w której go pochowali - ciągnął ojciec niezrażony. - Dam głowę, że kosztowała więcej niż ten cały bar.

- Może byś tak zobaczył, czy cię nie ma w domu? - zasugerował barman.

- Pieprz się, George, ty zafajdany polski dupowłazie - odciął się Duży Jim.

Ruszyli w dalszą drogę, ojciec w coraz gorszym humorze z każdym krokiem przybliżającym go do domu. Wypite piwo buzowało w nim, mącąc wzrok.

- Widziałeś, jak ten sukinsyn biskup na mnie spojrział? - zapytał, szturchając Patricka w bok.

- Zdaję się, że mu się nie spodobałeś, tato - powiedział brat Sully'ego.

- A wiesz dlaczego?

Patrick nie wiedział.

- Bo nie ucałowałem jego pierścienia - wyjaśnił ojciec dumą. - Widziałeś ten błyszczący pierścień, który miał na palcu? Masz go ucałować, bo on jest biskupem, a ty jesteś nikim. Ale prędzej on pocałuje mnie w tyłek, niż ja ucałuję jego pierścień i on o tym dobrze wie. Cała ta hołota powinna pójść prosto do piekła, takie jest moje zdanie.

- Moje też - przytaknął Patrick. Na dowód, że podziela pogardę swojego ojca, wyjął z kieszeni marynarki pozłacany nóż do papieru, który świsnął z gabinetu księdza.

Na ten widok wściekłość ojca ulotniła się w jednej chwili. Ryknął aprobującym śmiechem, klepiąc Patricka po plecach.

- Dlaczego nie, u diabła? - zawołał. - On nie będzie go już potrzebował. Gnojek rozciął swój ostatni list.

Wiele lat później, kiedy matka już od dawna nie żyła, Sully przypomniał sobie jej słowa, usłyszane tamtego popołudnia w ciemnym kościele. Przypomniał sobie, jak szlochając, wyznała księdzu swój wstydlivy sekret, że każdego dnia modli się o to, aby jej męża dosięgnął! cios. Ile mógł mieć lat, kiedy sobie uświadomił, że modlitwa matki została wysłuchana, przynajmniej połowicznie? Modliła się o cios wymowny, dobitny, jednoznaczny, niepozostawiający wątpliwości co do przesłania. Ksiądz nie musiał jej przypominać o nawróceniu świętego Pawła. Grom z jasnego nieba, najlepiej prosto między oczy, to był znak, którego oczekiwała od Boga. Znała swojego męża i wiedziała, że żaden rykoszet nie zda tu egzaminu. Ale zamiast zesłać swój karzący piorun, Bóg posłał niekończący się sznur barmanów, wykidajłów i gliniarzy o pięściach jak bochny, aby go nauczyli rozumu. Jak gdyby nawet

On, w swojej nieskończonej mądrości, nie był dość przenikliwy, by pojąć, że Duży Jim ma łeb z litego kamienia i wszyscy ci barmani, bramkarze tudzież policjanci poodcierają sobie jedynie kostki o jego granitową czaszkę. Nie-wielkie szkody, jakie mogli mu wyrządzić, zawdzięczali jedynie upojeniu alkoholowemu Dużego Jima. Czekali, aż będzie pijany jak bela, aby wyrzucić go na ulicę, gdzie lądował w błotnistym rynsztoku. „Idź do domu, Sullivan” - wołali za nim, a on zawsze siedł za ich radą z zaciśniętymi kula-kami.

Tego dnia, kiedy wybrał się z synami na plebanię, w końcu przyprowa-dził ich do domu późnym wieczorem, po czym wyszedł, zostawiając dom pogrążony w ciszy. Leżąc w ciemności, chłopcy rozmawiali o wydarzeniach minionego dnia, dopóki Patrick nie usnął, wciąż gładząc ściągnięty z pleba-nii pozłacany nożyk do papieru. Sully leżał, zżerany wstydem, że sam nicze-go nie ukradł, bo rzecz jasna widział logikę w rozumowaniu ojca. Bogaty ksiądz nie potrzebował już niczego ze swoich bogactw. Co więcej, nie miał dzieci, które odziedzyczyłyby jego własność. Pomyślał, że chciałby mieć glo-bus, wysoki jak on sam, z wielkimi, błękitnymi oceanami i wysokimi, wypu-klými masywami górskimi, wszystko to objęte lśniącym, mosiężnym sier-pem. Wyobrażał sobie, jak duma nad nim godzinami, wprawiając go od czasu do czasu w ruch - ten sam, którym obraca się wyobrażony na nim świat, mknący przez kosmiczne przestworza. Czułby wtedy, że ten świat należy do niego. Te myśli ukołysały go wreszcie do snu. W środku nocy oj-ciec wrócił do domu, tym razem niemiłosiernie pijany, i potrząsnął chłop-cem, budząc go ze snu. Czyżby ostatnia szczęśliwa myśl była wypisana na twarzy śpiącego syna, czytelna dla ojca pomimo ciemności? Czy dlatego go obudził? Było to niemożliwe, ale takie odniósł wrażenie, kiedy ojciec, zionąc mu w twarz kwaśnym, pijackim oddechem, powiedział ostrzegawczym tonem: „Nie myśl sobie, że dorośniesz i będziesz kimś, bo nie będziesz. Więc możesz wybić sobie z głowy to całe gówno”.

Rankiem, w jasnym świetle dnia, wlewającym się przez okno do pokoju, Sully pojął, że jego ojciec miał rację. Człowiek może świsnąć zmarłemu księdzu pozłacany nożyk do papieru, ale nie można ukraść całego świata.

Tego popołudnia skończyli późno. Chwilę potem pojawił się Peter. Rub nie był zbyt zachwycony jego powrotem, dopóki nie zobaczył sześciu piw Gensee.

- Się masz, Sancho - powiedział Peter, podając mu zgrzewkę. Rub się

nachmurzył, słysząc przezwisko, ale fachowo wyłuskał puszkę z plastikowej banderoli.

Sully też wziął jedno, otworzył drzwi furgonetki od strony chodnika i usiadł, krzywiąc się przy zginaniu nogi w kolanie.

- Celujesz coraz lepiej - powiedział do Petera. - Skończyliśmy jakieś trzydzieści sekund temu.

- Wiem - odparł Peter, stawiając pozostałe trzy piwa na masce el camino.

- Przejechałem obok i widziałem, że jeszcze pracujecie, dlatego zrobiłem dodatkową rundę.

Rub miał taką minę, jakby w to wierzył.

- Poza tym - dodał Peter - zapracowałem na swoją dolę dziś rano.

- Kiedy? - chciał wiedzieć Rub. Pamiętał doskonale, co było rano. Pamiętał, że pracował sam na zimnie, gdy tymczasem Peter poszedł bez pozwolenia i spędził cały ranek w ciepłej, w domu Milesa Andersona. I tam też nic nie robił, tylko gadał. Nie kiwnął nawet palcem przez cały czas.

- Będziesz musiał mi o tym opowiedzieć - odezwał się Sully. - Mam rozumieć, że jeszcze nas nie wywalił?

- Zapewniłem go, że prace przy jego domu idą pełną parą, co nie było łatwym zadaniem pod twoją nieobecność. Obiecałem, że osobiście dopilnuję ich wykonania. Podoba mu się pomysł zatrudnienia młodej kadry akademickiej.

Sully zgniół puszkę po piwie i rzucił na podłogę furgonetki.

- Sądysz, że skończymy do połowy stycznia?

Peter też zgniół swoją i rzucił na podłogę el camino.

- Właściwie zdecydowałem już, że zostaję.

Sully skinął głową.

- Coś mi się obilo o uszy. Powiedziałaś matce?

- Wczoraj wieczorem.

- To dlatego jest dzisiaj w dołku?

- Między innymi.

- Zdążyła już dojść do wniosku, że to moja wina?

- Oczywiście - potwierdził Peter z uśmiechem.

- To dobrze. Może w ten sposób ty trochę odetchniesz. - Kiedy Peter nie odpowiedział, Sully zapytał: - Dobrze się czuje?

- Kto? - zmarszczył brwi Peter.

- Twoja matka. Osoba, o której rozmawiamy.

Peter pomyślał chwilę.

- Hm... - mruknął w końcu.

- Fajnie - powiedział Sully. Rozmawiaj ze mną dalej w ten sposób.

- Dobrze - zgodził się Peter.

Mogło to doprowadzić człowieka do szału.

- Wiesz co? - zmienił temat Sully, zadowolony w gruncie rzeczy, że nie wie więcej, niż mu Peter powiedział. - Pomóż mi zawieźć te deski na kemping Carla, to cię przedstawię najładniejszej dziewczynie w Bath.

Rub nastawił uszy, wietrząc aluzję do Toby Roebuck.

- Ja też mogę jechać?

- Nie. Ty jesteś żonaty. To by nie było dla ciebie wskazane.

- On też jest żonaty - zauważył Rub, wskazując na Petera.

- Ale nie szczęśliwie żonaty, tak jak ty - powiedział Sully.

Rub zmarszczył czoło.

- Nigdy nie mówiłem, że jestem szczęśliwy.

- Zgadza się - przyznał Sully. - To Bootsie mi o tym powiedziała. Niechby spróbował nie być - tak się dokładnie wyraziła.

- Gdyby wyglądała jak Toby, tobym był szczęśliwy - powiedział Rub.

- Dobra - uciął Sully. - Smaruj do domu, nim Bootsie się zorientuje, że cię nie ma, i dojdzie do wniosku, że to moja wina. I bez tego wystarczająco dużo kobiet jest na mnie złych.

Rub wzdrygnął się na taką odprawę. Ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, był powrót do domu do Bootsie, zwłaszcza jeśli miało go przez to ominąć spotkanie z żoną Carla. Co ważniejsze, trzy puszki piwa Gensee wciąż stały na masce el camino. Rub przeprowadził w myślach obliczenia, z których wynikało, że jedno z pozostałych piw powinno mu przypaść w udziale, jeśli nie pozwoli się splawić, dopóki Peter albo Sully nie sięgnie po drugą puszkę. Dopiero co spędził miłe popołudnie, tylko on i Sully, jak w dawnych dobrych czasach, kiedy miał przyjaciela wyłącznie dla siebie. I oto znów musiał się nim dzielić. niesprawiedliwość tej sytuacji była tak rażąca, że mógł ją znieść jedynie z najwyższym trudem, pod warunkiem że nie zostanie w dodatku pozbawiony należnego mu piwa.

- Mogę walnąć jeszcze jeden browar? - zapytał.

- Po co mnie pytasz? - zdziwił się Sully.

Bo nie chciał pytać Petera - brzmiała oczywista odpowiedź, chociaż wiedział, że Peter wyjmuje puszkę z plastikowego opakowania.

- Ty tu jesteś szefem, nie on - powiedział Rub, jak zawsze lojalny wobec

Sully'ego, pragnąc, aby przyjaciel choć raz w życiu odplacił mu tym samym.

- Ale to nie ja kupiłem piwo - stwierdził Sully. - Poza tym i tak mnie nigdy nie słuchasz. Powiedziałem ci, żebyś poszedł do domu, a ty nic.

- Trzymaj, Sancho - odparł Peter, rzucając Rubowi puszkę piwa.

Rub chwycił ją pewnie jedną ręką w tym samym momencie, w którym usłyszał zniechęcony przezwisko. Uczucie strasznego zawodu i niesprawiedliwości w jednej chwili podeszło mu do gardła. Nie wyobrażał sobie teraz, żeby miał wypić owo nieszczęsne piwo, którego nie chciał być pozbawiony kilka sekund wcześniej. Odwrócił się na pięcie i cisnął puszkę w kierunku domu. Trafił w jedno z okien na piętrze, które eksplodowało pod wpływem uderzenia. Rasputin zaszczekał w środku, po czym umilkł.

- Rezygnuję - powiedział Rub. Było to jedyne słowo, które zdołało przejść mu przez gardło. Gdyby Toby Roebuck była tutaj i obiecała usiąść mu na twarzy za kilka słów rozwinięcia, nie potrafiłby ich z siebie wydusić. Choćby była naga i wyciągała do niego ręce pełne studolarowych banknotów. W jednym słowie zawarł wszystko, co mu leżało na wątrobie, po czym odwrócił się plecami do wszystkiego, co porzucał, i ruszył pieszo w stronę domu.

- Hej - zawołał za nim Sully, na wpół zawstydzony, na wpół zaskoczony, że jego zwyczajowe kpiny dały tak nieoczekiwany rezultat. - Nie wygłupiaj się.

Rub szedł dalej, niczym ucieleśnienie żalnego buntu. W tej chwili, przynajmniej w oczach Sully'ego, zadziwiająco przypominał małego chłopca. Obraz nie mógłby być bardziej kompletny, gdyby ciągnął za sobą po ziemi kij bejsbolowy.

- Rub! - zawołał Sully. - Hej!

Peter zgniół pustą puszkę po piwie i rzucił ją na przednie siedzenie el camino.

- Cholera - powiedział Sully, rzucając okiem na syna i znajdując w jego spojrzeniu dezaprobatę, której mógł się spodziewać. - Ty też huzia na mnie, tak?

- Dlaczego go tak traktujesz?

Szczerze mówiąc, Sully nie wiedział. Nie był nawet pewien, czy rzeczywiście tak źle go traktuje. Zawsze mu się wydawało, że Rub lubi te kpinki. Wychodził z założenia, że ludzie przebywający w jego towarzystwie są przygotowani na swoją porcję docinków.

- Postalbyś sobie obok niego i posłuchał jego gadaniny przez pięć godzin, to byśmy zobaczyli, czy byłbyś dla niego taki miły - powie dział Sully, czując, jak bardzo naciągane są jego wyjaśnienia. Po pierwsze, Peter stał obok Ruba i pracował z nim ramię w ramię każde go ranka, kiedy Sully był u Hattie. Po drugie, paplanina Ruba nie miała nic wspólnego z tym, co się przed chwilą stało. Prawdę mówiąc, za wsze miała na Sully'ego kojący wpływ, niczym stacja radiowa nadająca ten rodzaj muzyki, której człowiek nie czuje się w obowiązku słuchać. - Cholera - powtórzył. - Daj no mi jedno.

Kiedy Peter podał mu jedno z dwóch pozostałych piw, Sully również cisnął nim o ścianę. Zamiast trafić w okno, w które celował, puszka spadła na osłaniający je daszek, z którego stoczyła się bezgłośnie na zamrożoną ziemię, gdzie eksplodowała, rozpryskując wokół pianę niczym zraszacz do trawników.

Sully i Peter przyglądali się jej, dopóki nie znieruchomiała

- Uważaj, bo jeszcze kiedyś kupię sześciopak - powiedział Peter.

Dogonili Ruba przy skrzyżowaniu z Główną, na wysokości domu Milesa Andersona. Rub zdawał sobie sprawę, że suną za nim pomalutku, słyszał deski objające się o skrzynię furgonetki i chrzęst opon na asfaltowej nawierzchni, wiedział, że zaledwie cale dzieli go od samochodu, ale nie obejrzał się za siebie ani nawet nie przyspieszył kroku, kiedy przechodził na drugą stronę ulicy. Mogą go przejechać, jeśli chcą. Mogą z nim skończyć. Prawdę mówiąc, życzył sobie tego w duchu. Bardziej niż śmierci pod kołami bał się, że Sully podjedzie całkiem blisko i zniemacka naciśnie klakson.

Kiedy znalazł się na chodniku, poczuł ulgę, sądząc, że tam jest bezpieczny, ale usłyszał, jak furgonetka wjeżdża tam za nim, podskakując na krawężniku, i dalej pełnie z tą samą szybkością co on. Nie miał odwagi się obejrzeć, bojąc się tego, co zobaczy. Nie chciał się też wyzbywać resztek godności, okazując ciekawość czy niepokój. Poza tym, gdyby odwrócił głowę, wydałoby się, że płacze, że się maże jak dzieciuch, którym Sully by go z pewnością nazwał. Albo zapytałby go, czy nie zna się na żartach, co tylko pogorszyłoby sprawę. Być może nie zdawał sobie dokładnie sprawy z tego, co czuje ani dlaczego to czuje, ale był pewien, że to nie są żarty.

Wdowy, zamieszkujące domy przy ciągnącym się przez dwie przecznice podmiejskim odcinku Górnej, zostały tego popołudnia uraczone niezwykłym widokiem, jeśli akurat wyglądały przez okno na ulicę. Pani Gruber, która spędzała wiele samotnych godzin, obserwując przez uchylone żaluzje

swojską, dobrze znaną ulicę, która zawsze stanowiła dla niej krzepiący widok, mrugnęła dwa razy, aby się upewnić, że nie śni i nie ma halucynacji. Po drugiej stronie ulicy jechała po chodniku furgonetka. Dwa koła toczyły się po betonie, dwa pozostałe zahaczały o posesje jej sąsiadów. Kilka kroków przed nią niski mężczyzna, niemal karzeł, z jakąś szaleńczą determinacją szedł zgięty wpół pod wiatr, który wyl tego dnia przez całe popołudnie w gałęziach starych wiązków. Ponieważ szedł pochylony, nie zwracając uwagi na furgonetkę sunącą za nim po chodniku, pani Gruber doszła do wniosku, że musi być do niej wprzęgnięty za pomocą jakiejś niewidzialnej uprzęży. Wyglądało to zupełnie, jakby holował pojazd wzdłuż ulicy, ale pani Gruber uznała po namyśle, że musi być w błędzie. Furgonetka nie mogła jechać po chodniku. Musiało się jej tak po prostu wydawać. W końcu dłaczego mały człowieczek miałby ją ciągnąć po wyboistym poboczu, skoro mógł iść po gładkiej, asfaltowej nawierzchni? Mrugnęła jeszcze raz, przygotowując się na jakiś bardziej realistyczny widok. Ale furgonetka jechała po chodniku. Można to było poznać po tym, że przesuwa się za szpalerem wiązków, a nie na jego tle. Tak samo jak karzełek, który ją holował. Ponieważ telefon był tuż pod ręką, podniosła słuchawkę i wybrała numer panny Beryl. Za chwilę cała kawalkada minie jej dom i panna Beryl będzie miała lepszy widok.

- Tato - powiedział Peter, siedzący z przodu obok Sully'ego. - Tato.

Sully nie zwracał na niego uwagi. Pochylony nad kierownicą, usiłował trzymać się tuż za Rubem i równocześnie omijać przeszkody. W miejscach, gdzie żywopłoty rosły blisko chodnika, furgonetka ledwie się mieściła, szorując o nie z hałasem lewą burtą. Prawe koła musiały w tym samym czasie pokonywać wielkie, rozgałęzione korzenie wiązków.

- Spójrz na niego - powiedział Sully, wskazując Ruba, który wciąż nie przyjmował do wiadomości, że za nim jadą. - Widziałeś kiedyś taki ośli upór?

- Owszem. Widziałem.

Sully zignorował tę uwagę.

- Spójrz na niego - powtórzył zafascynowany. Nacisnął klakson. Rub podskoczył, ale się nie obejrzał. - Zdumiewające - powiedział Sully.

- Tam jest droga dojazdowa - odezwał się Peter. - Wyjedź z powrotem na ulicę.

- Zdumiewające - powtórzył Sully. - Co byś zrobił na jego miejscu?

- Jezu - westchnął Peter. Sully minął podjazd, najwyraźniej w ogóle nie biorąc pod uwagę przerwania tego szaleństwa.

- Nie wpadnie na to - powiedział Sully z niedowierzaniem. - Wystarczy, żeby wszedł za jedno z tych drzew i jesteście ugotowani.

- Obawiam się, że jesteście ugotowani tak czy inaczej - zauważył Peter. - Widzisz, co tu jedzie w naszą stronę?

- Nie, co takiego? - spytał Sully, zwalnając przed kolejnym wąskim prześmykiem. Prawe koło napotkało jeden z najstarszych wiązów na ulicy, którego potężne, obszcenicznie poskręcane korzenie wyla się nad powierzchnią ziemi. Silnik zawył, kiedy furgonetka usiłowała się wspiąć na jeden z nich, po czym osunęła się z powrotem. - Psiakrew - zaklął Sully, dodając trochę więcej gazu, a lewą nogą naciskając pedał sprzęgła. Równocześnie wyciągnął szyję, usiłując coś dojrzec za plecami Petera. - Nic nie widzę. Przejadę?

- Nie sądzę - powiedział Peter, chociaż nie patrzył w tym momencie, ile mają miejsca. Jego uwagę przykuł policyjny radiowóz sunący w ich kierunku.

- A ja myślę, że tak - rzekł Sully chłodno, jak gdyby pytanie było czysto akademickiej natury. Zwolnił sprzęgło, furgonetka znów zadarła nos, podejmując wspinaczkę na powykręcany korzeń. Kiedy wreszcie osiągnęła szczyt, zjechała raptownie, szorując po korzeniu podwoziem, nim Sully zdążył temu zapobiec.

Radiowóz zjechał na pobocze i ukazał się posterunkowy Raymer, zły i nierozumiejący, co się dzieje.

- Hej! - krzyknął. - Jesteś na chodniku!

W tym momencie Sully po raz pierwszy zauważył policjanta. Nacisnął hamulec.

- Opuść na chwilę szybę - poprosił Petera, po czym pochylił się w stronę otwartego okienka i zawołał: - Odpieprz się!

Potem zdjął nogę z hamulca i furgonetka skoczyła do przodu. Tylne koło zahaczyło o pień wiazu, wspięło się na niego i zjechało z powrotem na ziemię, podskakując przy tym gwałtownie. Deski zaklekotały trwożnie.

To, co usłyszał, najwyraźniej przywróciło posterunkowemu Raymerowi jasność umysłu, bo zawrócił z piskiem opon i ruszył pełnym gazem w kierunku, z którego nadszedł, skręcając w drogę dojazdową między Rubem a furgonetką. Sully dostrzegł ten manewr zbyt późno, aby mu zapobiec.

Pół biedy, gdyby policjant został w samochodzie. Ale popełnił błąd, wysiadając z triumfalnym uśmiechem, na którego widok Sully zrozumiał, że

jego głupia passa jeszcze się nie skończyła. Zaraz się wpakuję - pomyślał z całą wyrazistością. Ale nie muszę - pojawiła się następna myśl, a po niej kolejna, ostatnia część dobrze znanej sekwencji: A jednak to zrobię. I jak zawsze, ta ostatnia myśl była dziwnie wyzwalająca, chociaż Sully wiedział z doświadczenia, że owo uczucie, acz przyjemne, będzie trwało krótko. Miał sobie napytać biedy. Nie było co do tego wątpliwości. Ale w takich chwilach jasna świadomość tego, w co się pakował, współistniała z upajającym, choć najzupełniej fałszywym poczuciem, że zaraz odmieni siłą woli otaczającą go rzeczywistość. Rzeczywistość ową uosabiał w tym wypadku zagradzający mu drogę policyjny radiowóz i triumfujący, uśmiechnięty gliniarz, z którym miał na pieńku, a który miał w tej chwili nad nim przewagę. Oczywiście Sully widział, jak zmienia ten stan rzeczy. Nie był pewien, czy zdoła usunąć radiowóz albo gliniarza, ale nie wątpił, że potrafi usunąć z jego twarzy ten uśmieszek, a to już był jakiś początek. Więcej niż początek, bo w chwili gdy spostrzegł ten uśmiech, myślenie zeszło na drugi plan, ustępując miejsca głębszemu instynktowi. Gdyby Ruth tu była, miałaby okazję zobaczyć to, co nazywała „dawnym Sullym”. Prawdę mówiąc, niemal życzył sobie, aby mogła być świadkiem triumfalnego powrotu dawnego Sully'ego. Myślał też z nietypową u niego sympatią o ojcu, zdając sobie sprawę, że jest to dokładnie ta chwila, ku której zawsze zmierzał, upijając się, Duży Jim, niezrównana chwila, kiedy przeszkoda i środki do jej usunięcia stawały mu przed oczyma z jednakową wyrazistością. Oczywiście Sully widział dokładnie miejsce, w którym masywny zderzak furgonetki spotka się ze stojącym wozem policyjnym, widział, jak radiowóz wstrząsa się i dygoce, jak jego burta wygina się coraz bardziej, w miarę jak furgonetka pcha go przed sobą po chodniku, by wreszcie zepchnąć na trawnik.

Ale najpierw wypadało wystosować ostrzeżenie. Sully zatrzymał furgonetkę, opuścił szybę i wystawił głowę na zewnątrz. Jego głos brzmiał spokojnie jak zawsze w takich sytuacjach. Bystrzejszy gliniarz usłyszałby w nim ostrzegawczy ton, ale w pobliżu nie było żadnego bystrzejszego gliniarza.

- To nie jest najlepsze miejsce do parkowania - powiedział Sully. - Na twoim miejscu bym się stąd zmył.

- Wyłaź, Sully, zabawa się skończyła - oznajmił posterunkowy Raymer. - Mam zamiar cię...

Sully, który podniósł z powrotem szybę, nie słyszał dalszego ciągu.

- Mylisz się, dupku - mruknął. - Zabawa się dopiero zaczyna.

- Tato - odezwał się Peter, który usłyszał ostrzeżenie w głosie ojca.

Prawdę mówiąc, Sully niemal zapomniał o swoim synu.

- To jest ten moment, kiedy ludzie na ogół wysiadają - poinformował Petera.

- Tato... - powtórzył Peter.

- Dobra - powiedział Sully, wrzucając bieg. - Rób, jak chcesz.

Kiedy policjant usłyszał odgłos wrzucanego biegu i zobaczył, jak furgonetka rusza ze zgrzytem silnika, jego triumfalny uśmiech zniknął, dokładnie tak jak zniknął wcześniej w wyobraźni Sully'ego. Teraz przyszła jego kolej, by się uśmiechnąć.

- Aha, fiucie - powiedział pod nosem. - Zrozumiałeś, prawda?

- Tato - zawołał Peter, zapierając się obiema nogami, jak gdyby wciskał w podłogę nieistniejący hamulec dla pasażera. - Jezu.

Ujrzał właśnie, jak posterunkowy Raymer wyjmuje rewolwer z kabury i celuje, trzymając go oburącz, w ich stronę. Sully też to widział, ale się nie przejął.

- Nie strzeli - uspokoił Petera, na ułamek sekundy przedtem, nim policjant dał ognia.

To miał być strzał ostrzegawczy, tak to sobie wyobrażał posterunkowy Raymer, widząc zbliżającą się furgonetkę. Strzelił ponad kabiną, żeby nie było wątpliwości. Ale eksplozja rozerwała ciszę jak grzmot, odbijając się tak gromkim echem, że policjant nie był pewien, czy usłyszał daleki brzęk szkła w głębi ulicy. Kiedy echo ucichło, wciąż nasłuchiwał z nadzieją, że znów usłyszy ten dźwięk.

- Pewnie to wiatr gwizdże - powiedział sam do siebie.

W każdym razie furgonetka się zatrzymała.

Sully spojrzął na syna, który osłaniał twarz ramieniem, jak gdyby raziło go słońce. Huk był tak głośny, że dotarł do Sully'ego pomimo transu, w jakim się znajdował.

- Czyżby strzelił? - zapytał Petera, chcąc się upewnić co do faktów, zanim przystąpi do dalszych czynności.

- Tak, moim zdaniem to był strzał - powiedział Peter. - Głosuję za kapitulacją. Jeśli w ogóle mam głos.

- Cholera, to kompletny brak odpowiedzialności - rzekł Sully, mierząc policjanta wściekłym wzrokiem. Znów opuścił szybę. - Ty głupi kutasie! - zawołał. - Uwierzyłybyś w coś takiego? - zwrócił się do Petera.

- Tato - zaczął znowu Peter, ale Sully już zdążył wyjść z furgonetki i kuśtykał w stronę policjanta, który patrzył na rewolwer, jak gdyby odkrył

właśnie ku swojemu zaskoczeniu, że trzyma go w dłoni. Albo jak gdyby rozumiał jego bezużyteczność, przekonawszy się, że strzela, kiedy się naciśnie spust. Nadchodzący mężczyzna nawet nie zwolnił kroku. Równie dobrze mógłby trzymać w ręku własnego ptaszka, co mu Sully tak często imputował. Peter pomyślał, że nigdy nie widział tak bezradnego faceta jak Raymer w tej chwili. Opuścił szybę i zawołał:

- Tato...

Powiedział to w tym samym momencie, w którym Sully wyprowadził cios, rozkwazając policjantowi nos. Posterunkowy Raymer nawet nie podniósł ręki, żeby się zasłonić. Jego głowa odskoczyła do tyłu i wróciła zalana krwią, kapelusz wylądował do góry dnem na dachu radiowozu. Potem nogi się pod nim ugięły i osunął się wdzięcznie na maskę samochodu. Sully stał nad nim przez chwilę, po czym obejrzał się na Petera, który wciąż się wychylał przez okno.

- Co takiego? - zapytał.

Peter pokręcił głową i podniósł z powrotem szybę. Sully otworzył drzwi radiowozu i przekręcił kluczyk w stacyjce, wyłączając silnik, po czym wrócił i wsiadł do furgonetki.

- Dobra, gdzie się podział Rub? - zapytał, rozglądając się po ulicy.

Rub zniknął.

Peter patrzył na ojca szeroko otwartymi oczyma.

- O co chodzi? - zapytał jeszcze raz Sully.

Peter pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Nic - powiedział, rozkładając ręce.

- To dobrze - skwitował sprawę Sully. - Przez chwilę miałem wrażenie, że coś ci się nie podoba.

- W jednej sprawie miałeś rację - odezwał się Peter, kiedy minęli IGA i skrzyżowanie, jadąc za wozem Toby w kierunku położonego za miastem jeziora. - To rzeczywiście najładniejsza kobieta w Bath.

Zajechali przed siedzibę Tip Top Construction w chwili, gdy Toby zamykała bramę na klucz. Nie miała pojęcia, gdzie może być jej mąż, ale gotowa była pokazać im drogę do kempingu, żeby mogli wylądować drewno.

- Czy twój mąż nie nabierze podejrzeń, kiedy wrócisz późno do domu? - zapytał Sully, skłonny do flirtu w tak bezpiecznych okolicznościach.

- Powiem mu po prostu, że byłam z tobą - oświadczyła. - To jest zawsze takie niewinne przeżycie. Kto to taki?

Sully przedstawił Petera, który przechylił się nad siedzeniem kierowcy, aby uściśnąć jej dłoń. Zwrócił uwagę na niewymuszony gest, w którym Peter potrafił zawrzeć swój podziw dla jej urody, nie okazując równocześnie oniesmielenia. Sully zaczął się zastanawiać, skąd u niego ta swoboda i pewność siebie. Na pewno nie nauczył się tego od Ralpha. Ani nawet od niego.

- Twój syn, hm. To znaczy, że nie zawsze byłeś taki niewinny.

- Nie byłbym i teraz, gdybym miał więcej energii. Lepiej ruszajmy, lalczko - dodał - zanim gliny znajdą mnie przez przypadek i mój syn będzie musiał wykonać całą robotę sam.

Toby spojrzała na niego zafrapowana.

- Znasz posterunkowego Raymera?

- Tego, którego chcą zwolnić, tak? - powiedziała Toby, krzywiąc się.

- Właśnie zaistniała między nami mała różnica zdań - poinformował ją Sully. - Zaraz powinien tu być.

Toby spojrzała najpierw na Sully'ego, potem na Petera, który skinął potakująco głową z posępną miną.

- Oj, Sully, Sully - westchnęła.

Tak więc gnali w zapadających ciemnościach w stronę jeziora, gdzie stał domek kempingowy Roebucków. Deski na pace robiły taki harmider, że musieli krzyżeć, żeby się słyszeć nawzajem.

- Jedną z najsympatyczniejszych również - powiedział Sully, kiedy Peter przyznał, że Toby jest najładniejszą kobietą w Bath. - Ma się rozumieć, jej mąż traktuje ją jak śmieć. W tym roku trzy razy zaraził ją tryprem. Wyobrazasz sobie - zrobić coś takiego takiej dziewczynie?

Peter nie od razu odpowiedział na pytanie, być może dlatego, że chciał je najpierw zinterpretować na własny użytek. Po chwili Sully zauważył, że syn uśmiecha się do niego w ciemnościach, teraz już niemal całkowicie.

- O co chodzi? - zapytał.

- Od dawna się w niej durzysz?

Sully zmarszczył czoło.

- Jest dla mnie trochę za młoda.

- Nie o to pytałem - zauważył Peter, wciąż uśmiechając się chytrze.

- Po prostu nie podoba mi się, kiedy ktoś w ten sposób traktuje taką miłą dziewczynę - wyjaśnił Sully.

Peter znów zrobił wymowną pauzę.

- Jasne - powiedział po chwili.

- Nie wierzysz mi, cwaniaczku?
- W co tylko chcesz. - Peter patrzył przed siebie na tylne światła samochodu Toby. - Miałbyś pewnie większe szanse, gdybyś myślał o niej jako o kobiecie. One już nie lubią, kiedy się je nazywa dziewczynami.
- Nie lubią?
- Nie.
- Nauczyłeś się tego na uniwersytecie?
- Między innymi.
- I teraz znasz wszystkie prawidłowe odżywki?
- Nie. Ale znam kilka nieprawidłowych.
- Co się stało z nieśmiałym chłopcem, którym byłeś?
- Nie wiem. A bo co?
- Lubiłem go.
- Naprawdę? - zdziwił się Peter. - Szkoda, że mi o tym nie powie działaś.

Kemping Roebucków znajdował się na drugim końcu jeziora. Prowadziła do niego polna droga, poznaczona koleinami i krętą, biegnąca to bliżej, to dalej od nadbrzeżnych drzew. Tafla wody była gładka jak lustro, w którym odbijała się ćwiartka księżyca. Zostawili daleko w tyle inne domki, kiedy Toby w końcu skręciła z drogi i zjechała po pochyłości, aby zatrzymać samochód na wąskiej półce, akurat dość szerokiej dla jednego samochodu. Sully zaparkował za nią na ukos, wyłączył silnik, a następnie reflektory oświetlające duży dach stojącego jeszcze niżej nad wodą domu. Kiedy wysiedli, usłyszeli fale pluskające o brzeg.

- Sympatyczna kryjówka, kochanie - powiedział Peter, naśladując Humphreya Bogarta. - Gliny nigdy nas tu nie znajdą.

- Nie ciebie szukają - zauważył Sully.
- Przy moim szczęściu zapuszkują mnie jako twojego współnika.
- Powiem im, że nie miałem z ciebie żadnego pożytku - zapewnił go Sully. - Jak zwykle zresztą.

- Don Sullivan, ostatni z twardzieli - odezwała się Toby. Jej głos w ciemnościach był nieoczekiwanie bliski. Tak jak zapach jej perfum w ostrym powietrzu, napływającym od strony jeziora. Upajająca mieszanka wilgotnej ziemi, suchych liści i wody. I dziewczyny. Nie kobiety, ale właśnie dziewczyny. Tak uważał.

- Lepiej daj mi te cholerne klucze - powiedział.

Usłyszeli, jak Toby szpera w torebce.

- Jakoś się pewnie dostaniemy, tak czy inaczej - powiedział Sully, wysiadając z samochodu.

- A jakże - prychnęła Toby. - Słyszałam o twoim łomie. Masz - powiedziała triumfalnie, wyciągając w jego stronę klucz, który błysnął srebrzyście w świetle księżycy. - Uważaj na schody.

- Dobra. Jakie schody?

Toby ujęła jego dłoń i położyła na poręczy, której nie zauważył.

- Cztery, potem płasko i znowu trzy - tłumaczyła mu, prowadząc go, z ręką na jego łokciu, bardzo podobnie - uświadomił sobie z zakłopotaniem - jak on sam prowadził co rano starą Hattie z mieszkania do restauracji.

- Au - syknął, trafiając na nierówny kawałek. Wykręcona kostka sprawiła, że nagły ból przeszył go od kolana aż po pachwinę.

- Zaczekaj tutaj - zaproponowała Toby. - Otworzę drzwi i zapalę światło w kuchni.

W tym momencie światło się nagle zapaliło, ale nie na dole, tylko na górze za nimi. Wystarczyło go, aby stwierdzić, że Peter nie stoi już obok nich. Usłyszeli jego głos dochodzący z góry, z miejsca, gdzie zostawili samochody.

- Teraz lepiej?

- Hej! - zawołała Toby. - Sullivan z mózgiem. - Prawdę mówiąc, światła reflektorów pomogły niewiele, oświetlały drzewa i dach letniego domku, ale nie dotarły do ścieżki. - Zaczekaj, dobrze? - szepnęła Toby.

Sully postanowił skorzystać z jej rady. Chwilę później Peter był z powrotem przy nim i przyglądał się z powątpiewaniem, jak rozprostowuje nogę w kolanie.

- W porządku?

- Świetnie. Fantastycznie.

- Posłuchaj - powiedział Peter, zniżając konfidencjonalnie głos. - Zostaw mnie tę robotę, dobrze?

- Nic mi nie jest - upierał się Sully. - Będę nosił pomału.

W kilku pomieszczeniach zapaliły się światła. Widzieli, jak Toby chodzi szybko z pokoju do pokoju. Jej czupryna podskakiwała przy każdym kroku.

- Dlaczego nie zostawisz tego mnie?

- Bo nie.

- Aha - mruknął Peter. - Cóż, skoro masz powody.

- Słuchaj, jak nie będę dawał rady, to przestanę, dobrze? Może tak być? - zapytał Sully.

- Tak jest, szefie.

Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał. Słysząc było tylko wiatr wysoko w koronach drzew i drobne fale pluskające o brzeg. Toby Roebuck szła z powrotem przez pokoje w stronę tylnego ganku. Ze wszystkich okien lał się teraz żółty blask, oświetlając zdradliwą ścieżkę.

- A jednak - powiedział Peter - życie jest pełne niespodzianek. Kto by pomyślał, że będziemy się kiedykolwiek spierać o kobietę?

Sully patrzył zdumiony na syna, którego oczy lśniły w ciemności jak oczy kota.

- Czy twoim zdaniem to właśnie robimy?

Toby wyszła energicznym krokiem na ganek i spojrzała w górę, w stronę swoich dwóch towarzyszy. Nie widziała ich w ciemnościach, w połowie drogi pomiędzy światłem z góry a światłem z dołu, ale kiedy Peter się odezwał, jego głos wydawał się tak blisko, że mogłaby go dotknąć.

- Tak, moim zdaniem to właśnie robimy - potwierdził.

Rozładunek zajął około godziny i Sully zgodził się w końcu, żeby Peter i Toby zajęli się znoszeniem desek po pochyłości. Nawet przy świetle padającym z ganku zbocze było pogrążone w ciemności, grunt niepewny, toteż Sully został przy furgonetce i wyciągał deski splecione teraz i tworzące bezładną stertę. Opierał je o tylną klapę, żeby było im wygodnie je brać. Patrząc, jak pracują razem, doszedł do wniosku, że Peter miał rację. Rzeczywiście spierali się o kobietę. Musiał też przyznać, że zazdrości synowi jego dwóch zdrowych nóg. Oczywiście, Peter też był o jakieś dziesięć lat starszy od Toby i jej energia wydawała się wprawiać go w lekki popłoch, gdy tak biegła tam i z powrotem po zboczu, nosząc naręczna desek. Peter szedł wolniej, zarzucając na plecy o wiele cięższy ładunek.

Uznali, że najlepszym miejscem do złożenia drewna będzie osłonięty ganek, okalający domek. Kiedy Toby, która robiła dwa kursy na jeden kurs Petera, dogoniła go w którymś momencie na ganku, zrobili sobie krótką przerwę. Sully słyszał ich głosy, które przenikliwy wiatr przynosił od strony jeziora. W pewnym momencie usłyszał śmiech Toby i pożałował, że nie ma z nimi Ruba. Rub byłby pełen gniewnych życzeń. Chciałby wiedzieć, jak to się dzieje, że tacy faceci jak Peter i Carl mają powodzenie u kobiet, a oni nie. Życzyłby sobie, żeby Toby się zgrzała i spociła od tego biegania, żeby zdjęła kurtkę i mogli oglądać jej podskakujące piersi. Gdyby Sully zwrócił mu uwagę, że jest grudzień i około dwunastu stopni poniżej zera, zażyczyłby

sobie po prostu, żeby było lato. Życzenia Ruba, zsumowane, sprowadzały się do tego, że wolałby inny świat, taki, w jakim nie byłby pozbawiony swojej porcji pieniędzy, cipki, jedzenia, ciepła i bezczynności. Sully odnosił wrażenie, że jego zadaniem jest bronić świata, który im przypadł w udziale, co przychodziło mu bez porównania łatwiej w obecności Ruba.

Pozbawiony jego towarzystwa, siedząc samotnie na skrzyni furgonetki i czekając na syna oraz najładniejszą dziewczynę w Bath, mających przyjść po kilka ostatnich nareczy desek, przyłapał się na kilku własnych, osobistych życzeniach. Nie tracił czasu na wielkie postulaty: żeby był młodszy, mniej uparty, bardziej skłonny do kompromisu, mniej zadłużony, poważniejszy. Skupił się na kilku konkretach, które w jakimś momencie zależały od niego albo przynajmniej były w miarę prawdopodobne. Na przykład, żeby nie próbował schodzić z tego zbocza po ciemku, co jego kolano oprostowywało w tej chwili gorąco. Żeby nie mieli z Ruth cichych dni, bo jej towarzystwo byłoby mu dziś wieczorem bardzo miłe, jak zawsze, kiedy narozrabiał, jak gdyby dysponowała mocą odpuszczania grzechów. Powiedziałyby mu, że istnieje nowy Sully, nie tylko ten dawny, i miałby wybór, czy się z nią zgodzić, czy mieć jej to za złe. Żeby nie obszedł się tak bezceremonialnie z Rubem, bo teraz musiał go udobruchać i nakłonić, by wrócił do pracy. Żeby nie pobił policjanta w biały dzień na ulicy Głównej, żeby spadł śnieg i mógł zarobić trochę pieniędzy, żeby lodowaty wiatr przestał wiać chociaż na chwilę i pozwolił mu zapalić papierosa. Ponieważ część tych życzeń należała do kategorii żalów, na które sobie z zasady nie pozwalał, postanowił, że anuluje je wszystkie, niczym nieściągalne należności, jeżeli uda mu się zrealizować to ostatnie. Właśnie próbował to zrobić, kiedy między drzewami w oddali błysnęły reflektory samochodu i do jego uszu dotarło brzęczenie niewielkiego silnika, coraz głośniejsze, w miarę jak samochód się zbliżał. Mogło to oznaczać tylko jedno. W minutę później camaro Carla Roebucka zabuksował na zakręcie, hamując z piskiem opon tuż przy Sullym, który siedział na skrzyni furgonetki ze spuszczoymi nogami.

- Don Sullivan - rzucił Carl, wysiadając. Jego uśmiech był widoczny nawet w ciemnościach. - Uciekinier.

- Nie uciekam, tylko pracuję - powiedział Sully, pstrykając w powietrze beużyteczną zapalką. - Gdybyś przepracował w swoim życiu chociaż jeden dzień, potrafiłbyś odróżnić jedno od drugiego.

- Jak to się dzieje, że ile razy cię widzę, siedzisz na pace i twierdzisz, że

pracujesz? - zapytał Carl, wyciągając zapalniczkę i osłaniając ją dłonią.

Sully zdołał zapalić papierosa akurat w momencie, kiedy wiatr zdmuchnął płomień.

- Jestem zbyt zmęczony, żeby ci tłumaczyć.

- Cóż - powiedział Carl, odszukując po omacku papierosa Sully'ego w kieszeni jego koszuli i wyciągając jednego - coś mi mówi, że czeka cię kilka dni urlopu na koszt podatników.

- Nic z tego. - Sully wypuścił dym przez nos. - Mam najlepszego jedno-nogiego żydowskiego prawnika w Bath.

- Skoro o tym mowa - powiedział Carl, zaciągając się łapczywie papierosem. - Wirf prosił, żeby ci to przekazać.

„To” było papierową serwetką. Sully rozłożył ją i przeczytał wiadomość, którą Wirf nagryzmoilił przy świetle reflektora samochodu Carla. „Zaprawdę - tym razem spieprzyłeś sprawę na wieki wieków”.

Sully zwinął serwetkę w kulkę i podrzucił do góry.

- Zręczny z niego obrońca, nieprawdaż?

- Chciałbym go zobaczyć w sądzie najwyższym. Prawnicze wywody na papierowych serwetkach. Co ci, u diabła, strzeliło do głowy, żeby przywalić gliniarzowi?

- W tym momencie wydawało mi się, że to świetny pomysł. - Sully westchnął i opowiedział pokrótce, co zaszło.

Carl był sceptyczny.

- Wyciągnął broń?

- Wycelował do mnie, kutas jeden.

- Wątpię, żeby ktokolwiek ci uwierzył, jeśli nie masz świadków.

- Gdybym nie miał świadków, tobym mu nie przywalił. Mój syn przy tym był.

- To zawsze coś, chociaż lepszy byłby świadek, który by nie skłamał, żeby ratować twoją skórę.

- Nie sądzę, żeby to zrobił - powiedział Sully.

- Człowiek honoru, tak?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Po prostu nie wydaje mi się, żeby aż tak mnie lubił.

Carl zaciągnął się papierosem w zamyśleniu.

- Wiesz, czemu tak się dzieje, prawda?

Sully uświadomił sobie w tym momencie, że Carl jest naprawdę zły. Co oznaczało, że za chwilę dojdzie między nimi do prawdziwej awantury. Po ostatniej Sully nie odzywał się do niego przez cztery miesiące.

- Bo taki ze mnie farciarz?
 - Nie pieprz - powiedział Carl. - Wiesz, czemu ciągle ci się coś takiego przytrafia? Bo musisz nabijać się z każdego przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Bo nigdy nie możesz sobie odpuścić, żeby nie wiem co.
 - Ach tak? Teraz rozumiem.
 - Po jakie licho jechałeś po chodniku? - nie dawał za wygraną Carl. - Kpiłeś z Ruba, aż nawet on miał dosyć, ale wtedy nie odpuściłeś. Musiałeś nabruździć jeszcze bardziej. Musiałeś upokorzyć tego biednego głupka do reszty.
 - I kto to mówi? Uszom nie wierzę - zdumiał się Sully. - A ty co niby innego robisz, jak nie poniewierasz go przez cały czas?
 - To jest różnica - powiedział Carl, bez cienia hipokryzji w głosie.
 - Ciekawe jaka? - zapytał Sully, pstrykając niedopałkiem papierosa.
 - Taka, że on nie mnie kocha, tylko ciebie - wyjaśnił Carl.
 - Spadaj - warknął Sully, teraz naprawdę wściekły, zsuwając się ze skrzyni furgonetki. - Taki sam z niego pedał, jak z ciebie.
 - Wiem - powiedział Carl. - Ale obciągnąłby ci na środku rynku w samo południe, gdybyś sobie tego zażyczył, i ty o tym wiesz.
- Rzeczywiście, wiedział o tym, a raczej znał siłę przywiązania Ruba. Prawdę mówiąc, właśnie ta świadomość kazała mu jechać za nim po chodniku w nadziei, że zdoła odzyskać jego przyjaźń, obracając wszystko w żart, co mu się dotąd zawsze udawało. Nie była to, jak zarzucał mu Carl, chęć upokorzenia Ruba do reszty. Mimo to zmuszony był przyznać, że zwykłe przeprosiny załatwiłyby sprawę.
- Wynagrodzę mu to - usłyszał swój niepewny głos.
 - W jaki sposób? - chciał wiedzieć Carl. - Kupisz mu pączka z dżemem, tak?
- Sully prychnął pogardliwie.
- Jeśli się nie mylę, kupię mu pewnie jeszcze w życiu z dziesięć tysięcy pączków.
 - I myślisz, że możesz się wypłacić pączkami?
 - Od ciebie na ogół nie potrafię wydębić nawet pączka - zauważył Sully, zadowolony, że rozmowa przybiera mniej poważny obrót, niż się spodziewał. - Byłbym szczęśliwy, gdybym zdołał uzyskać choć tyle.
 - Widzisz? - powiedział Carl. - To jest właśnie to, o czym mówię. Zawsze kpiny. Od miesiąca dzień w dzień robisz sobie jaja z tego tępego gliniarza przed OTB, a potem się dziwisz, że facet chce cię zastrzelić. Każdy, kto cię

zna, chce cię zastrzelić, Sully. Tylko to cię ratuje, że pozostali nie są uzbrojeni.

W ciemnościach panujących na dole usłyszeli trzask zamykanych drzwi kempingu i coraz bliższe, ściszone głosy.

Carl zaciągnął się po raz ostatni papierosem, po czym zdusił go szybko pod podszewką.

- Zapnij przy okazji rozporok - poradził Sully.

Carl sprawdził, stwierdził, że rozporok ma zapięty, po czym podniósł wzrok na Sully'ego, który uśmiechał się szeroko.

- To jest właśnie to gówno, o którym mówiłem - powiedział, ścisząc znacząco głos.

- Zdradź mi jedno - zaczął Sully, czując, że obecność Toby daje mu przewagę. - Czy wiesz, kto to jest hipokryta?

- Mogę odpowiedzieć na to pytanie - wtrąciła się Toby, nadchodząc w samą porę. - Nie wie.

- Widzisz, jaka wdzięczność mnie spotyka? - poskarżył się Carl, biorąc Sully'ego na świadka. - Moja ciężarna żona zostaje uprowadzona w las przez dwóch podejrzanych typów, ja przybywam z odsieczą i co w zamian dostaję? Cios w samo serce.

- Przez jednego podejrzanego typa - sprostował Peter.

- Poza tym - zauważyła Toby - nie bardzo ci wyszła ta odsiecz. Stoisz tu od dziesięciu minut i gadasz z Sullym.

- Ten gliniarz naprawdę wyciągnął broń? - zapytał Carl Petera.

Peter skinął głową.

- Nie wierzyłeś mi, prawda? - zapytał Sully.

Carl zignorował to pytanie.

- Chodź tutaj, kobieto - powiedział, niespodziewanie padając na kolana.

- Dobrze - zgodziła się Toby. - Ale tylko dlatego, że chcę mieć świadków.

Kiedy znalazła się w zasięgu jego rąk, Carl przyciągnął ją do siebie i włożył głowę pod jej sweter.

- Może chcielibyście zostać sami? - zapytał Sully.

- Broń Boże - zaprzeczyła Toby, kiedy Carl zaczął ocierać nos o jej brzuch.

- Jak się czuje mój mały Rodrigo? - doszedł spod swetra jego stłumiony głos. - Czy mama była dzisiaj dla ciebie miła?

- Dostyc - powiedziała Toby, próbując się wyswobodzić. - Masz zimny nos.

Ale Carl objął ją tak, że nie mogła się ruszyć.

- Rodrigo, Rodrigo, twój tatuś do ciebie przyszedł.

- Uprzedziłam go - powiedziała Toby - że prędzej usunę ciążę, niż pozwolę, żeby dziecko zostało ochrzczone Rodrigo Roebuck.

- Nie słuchaj, Rodrigo - przekonywał Carl. - Mamusia to paskuda, ale tatuś cię kocha.

- Tatuś zaraz dostanie kolanem w grdykę.

- Dobranoc, malutki - powiedział Carl, najwyraźniej biorąc sobie tę groźbę do serca i wychodząc spod swetra żony. - Kto, u licha, położy tę podłogę, kiedy ty będziesz w pudle?

- Porozmawiaj z moim asystentem - powiedział Sully, wskazując Petera.

- Miał zamiar się tym zająć, tak czy inaczej.

- A co z twoim karzełkiem? - zapytał Carl. - Pomoże?

- Jasne - zapewnił go Sully, chociaż wcale nie był taki pewien, czy Rub zechce pracować z Peterem, kiedy jego nie będzie. - Zresztą zawsze możesz sam przyłożyć rękę, jak będziesz naprawdę przyparty do muru - zasugerował.

- Ja mam firmę na głowie - odparł Carl. - Liczyłem na ciebie, a ty spieprzyłeś sprawę.

- Nie zaczynaj od nowa - rzucił Sully ostrzegawczym tonem. - Kemping nie będzie ci potrzebny wcześniej niż w czerwcu, zgadza się? Ta robota nie musi być zrobiona na jutro.

- Mylisz się - powiedział Carl. - Znowu się mylisz. Zawsze i wciąż się mylisz, do jasnej cholery. Jesteś kompasem, który wskazuje południe. A wiesz, dlaczego się mylisz tym razem, kutafonie?

- Nie bardzo.

- To ci powiem. Mam kupca, który przyjedzie obejrzeć ten domek w czasie świąt.

- Pierwszy raz słyszę o jakimś kupcu.

Carl pokręcił głową.

- Jesteś bezwstydy. Chcesz mi powiedzieć, że gdybyś wiedział, że sprzedajemy domek, tobyś nie przydzwonił gliniarzowi? To mi chcesz powiedzieć, tak?

- Synu - poprosił Sully. - Bądź tak dobry i utop tę mendę w jeziorze. Nie zapomnij nakłaść kamieni w kieszenie.

- Może mu się upiecze z tym więzieniem? - wtrąciła Toby.

- Pobił policjanta na służbie, na litość boską - uciął Carl zirytowany. - Będziemy mieli szczęście, jeśli zostanie postawiony w stan oskarżenia przed Nowym Rokiem.

- Strasznie się żołądkujesz, Carl - zauważył Sully z przyjemnością. Przyjemność ta stanowiła chyba jedyny plus całej sytuacji. Kiedy się nad tym wszystkim zastanowił, dochodził do tych samych wniosków co Carl, jeśli chodzi o dalszy rozwój wydarzeń. Rzeczywiście spieszył sprawę i wcześniejsze złudne poczucie wolności, chwilowa euforia tamtej chwili rozwiały się na bezlitosnym, grudniowym wietrze.

- Będę cię codziennie odwiedzał - przyrzekł Carl. - Chcę widzieć, jak cierpisz.

- Twoje codzienne wizyty z pewnością tego dokonają.

- Wracajmy do domu - zaproponowała Toby. - Nie dowiemy się, co będzie, stojąc tutaj na zimnie.

- Nareszcie głos rozsądku - zauważył Peter, który obserwował te przepychanki ze swoim zwykłym powściągliwym rozbawieniem.

- Co komu po rozsądku, kiedy ma do czynienia z Donem Sullivanem? - spytał Carl, wciąż wojowniczo usposobiony. - Boże.

- Strasznie się przejął. - Sully mrugnął do Petera.

- Chcesz dobrej rady? - zapytał Carl. - Zgłoś się sam. Nie czekaj, aż cię znajdą. Jedź prosto na komendę i pytaj, która cela.

- To jest twoja rada?

- Tak.

- Dobra - powiedział Sully. - W takim razie nie skorzystam.

Carl rozłożył ręce, odwracając się do Petera.

- Kompas na południe - powiedział. - Cały czas na południe.

Północ. Gospoda „Pod Koniem”. Lista obecności.

Stali bywalcy obecni (wszyscy w jednym rzędku), pijani: Wirf (kompletnie), Sully (niekompletnie), Peter (podsypiający).

Stali bywalcy obecni, trzeźwi: Birdie, przy końcu baru (życzliwa, uważna), Tiny, za kontuarem (niechętny, uważny).

Starzy bywalcy nieobecni: (między innymi) Rub Squeers.

- Nie zapomnij ściągnąć Ruba do pomocy - powiedział Sully chyba po raz piąty w ciągu ostatniej godziny.

- Dobrze - odparł Peter. Wiedział, że dyskusja nie ma sensu. Wszystkie te rady, jak się domyślał, wynikały z poczucia winy. W podtekście było też co innego: zrób, jak ci mówię, a wszystko będzie dobrze. Jak się dowiedzieli od Wirfa, nakaz aresztowania Sully'ego rzeczywiście został wydany. Zaparkowali furgonetkę pod gospodą w nadziei, że uda im się wypić w spokoju po piwie, zanim go zwiną, ale było to wiele piew temu. Uczucie, że jest to czas

kradziony, wprawiło ich w szampański nastrój, który zaczął przygasać dopiero podczas tej ostatniej kolejki (na koszt Wirfa, jak większość pozostałych).

- Staraj się być „U Hattie” przed szóstą - instruował Petera Sully. - Chyba umiesz usmażyć jajko, co?

- Lepiej niż ty.

- Nie ma za wiele roboty ze śniadaniem - zapewnił go Sully, choć nie była to prawda. Kucharze od szybkich potraw zawsze byli sprawnymi żonglerami i mistrzami w gospodarowaniu czasem. Ale Cassandra będzie miała na niego oko i w razie czego pomoże. Albo sama będzie kucharzyć, a jemu zostawi kasę i podawanie do stołu. W tym momencie przypomniał sobie o obietnicy, którą jej dał, a z której nie mógł się teraz wywiązać, chyba że Wirf zdoła go wyciągnąć przed Nowym Rokiem. - Jeśli chodzi o tamtą sprawę, powiedz jej, że jestem do jej dyspozycji, jak tylko wyjdę.

- Dobrze - powtórzył Peter.

- Opuść sobie Milesa Andersona, dopóki nie położysz podłogi u Carla.

- Dooobra.

- Umiesz obsługiwać piłę mechaniczną?

- Lepiej niż ty - odparł Peter z pijackim uśmiechem.

Sully pokiwał głową. Przemądrzały szczeniak.

- Jak sądzisz, ile czasu ci to zajmie?

- Trzy dni, może cztery, jak będę sam.

- Nie będziesz sam.

- Aha. - Peter przypomniał sobie zalecenie ojca, żeby ściągnął Ruba do pomocy.

- Do jutra rana mu przejdzie - ciągnął Sully. - Postaw mu śniadanie. Pożycz mu dolara, żeby mógł obstawić swoją dwójkę.

- Dobra - powiedział Peter.

Wirf, który przysłuchiwał się ich rozmowie, pokręcił głową.

- Chce mi się zygować, jak cię słyszę.

Sully okręcił się na stolku.

- Chce ci się rzygać?

- Nie rzygać, tylko zygować. Mój „zyg” to moja odpowiedź na szaleństwo tego świata. Gdyby nie ty, wiódłbym cnotliwe życie.

- W takim razie powinieneś być mi wdzięczny - skwitował sprawę Sully, po czym odwrócił się z powrotem do syna. - Myślisz, że dasz radę zamocować ten pług na furgonetce, gdyby spadł śnieg?

- Jeśli ty to potrafisz, to ja też.

- Poproś Harolda, żeby to zrobił - powiedział Sully po namyśle. - Powiedz mu, że jesteś moim synem.

- Jasne - przytaknął Wirf. - Jeśli masz kłopoty, podaj nazwisko swojego starego. Wszystkie drzwi zaraz staną otworem.

Sully okręcił się z powrotem na taborecie.

- Nie mogę uwierzyć, że potrzebujesz całego tygodnia, żeby wyciągnąć mnie z pudła - powiedział.

- Jestem żydem. To nie są moje święta - zauważył Wirf. - Poza tym, jak mam ci zacząć wyciągać, kiedy jeszcze nie poszedłeś siedzieć?

- To ty ciągle kupujesz piwo. Jak się mam oddać w ręce sprawiedliwości, kiedy stawiasz następną kolejkę, jak jestem w połowie poprzedniej?

- To jest filozofia zen - zauważył Wirf. - Jeśli nie byłoby piwa, nie byłoby pijaków, tak twierdzą buddyści. A może jest na odwrót? Gdyby nie było pijaków, nie byłoby piwa. Gdybym był mniej pijany, tobym ci powiedział, jak to jest.

Sully pokręcił głową.

- Zatrzęsienie prawników w stanie Nowy Jork, a mnie się musiał akurat trafić pijany w sztok, jedno nogi żydowski buddysta.

- Podaj mi jedno z tych jajek - powiedział Wirf, wskazując na wielki słój, stojący na kontuarze naprzeciw Petera.

- Nie - zaprotestował Sully. - Tylko nie to.

Peter, który już prawie spał, odkręcił pokrywkę, wsadził rękę do zalewy i wyciągnął jajko.

- Rzuć - powiedział Wirf.

Peter rzucił jajko, które rozminęło się z ręką Wirfa, przeleciało mu nad ramieniem i wylądowało na podłodze. Wirf spojrział na swoją pustą dłoń.

- Będę potrzebował następnego.

Peter sięgnął tym razem za plecami ojca i włożył jajko w dłoń Wirfa.

- O! - powiedział Wirf.

- O co się założymy, że ten fagas policzy ci za oba jajka - szepnął Sully, wskazując Tiny'ego, który przyglądał im się z drugiego końca baru, chociaż nie wykonał jak dotąd żadnego ruchu, żeby podnieść się ze stołka i dopisać kolejną pozycję Wirfowi do rachunku.

- O Boże, zaczyna się - powiedział Wirf. - Jeszcze tego nie widziałeś, co? - spytał Petera.

Sully wyjął wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, i położył je na kontuarze.

- Stawiam czterdzieści dwa dolce, że zapisze na twoje konto dwa jajka.

Wirf westchnął.

- Dlaczego nie miałby mi policzyć za jajka?

- Ile forsy zostawiłeś dzisiaj u niego? - nie dawał za wygraną Sully.

- Jak dotąd ani centa.

- Jak ci się wydaje, na ile cię podliczył wczoraj wieczór?

- Nie pamiętam.

- Ale ja pamiętam - powiedział Sully. - Ponad czterdzieści dolarów. Dzisiaj będzie więcej.

- Bo dziś więcej zygowałem - zwrócił mu uwagę Wirf. - I w większym towarzystwie. Zespołowe zygowanie synchroniczne.

- O, idzie - szepnęła Sully, szturchając Petera, któremu znów kleiły się oczy.

Tiny zsunął się ze swojego stołka, podszedł do kasy stojącej w połowie lady, odwrócił od niechcenia jedną z leżących obok kartek i coś na niej zapisał.

- Hej! - huknęła Sully, aż tamten podskoczył.

- Niech cię diabli, Sully - powiedział wielki mężczyzna z miną winowajcy.

- O co chodzi?

- Przynieś to tutaj na chwilę - zażądał Sully.

- Co? - zapytał Tiny, rozglądając się dookoła.

- Chcę zobaczyć, co tam naskrobałeś.

- To nie była twoja kartka - odparł Tiny. - Więc spadaj na drzewo.

- Wiem, że nie moja. Ale przynieś ją tutaj. Chcę zobaczyć, co napisałeś.

Tiny wziął kartkę i ruszył z powrotem wzdłuż kontuaru.

- Wiesz co, Sully? Jesteś gnojem. Twój ojciec był gnojem, twój brat był gnojem i ty jesteś gnojem.

Położył przed nim kartkę.

- Idź do pudła - powiedział. - Zrób nam tę uprzejmość.

Sully odwrócił kartkę, zobaczył, że to jego, i pstryknął nią w kierunku barmana. Kartka trafiła na przeciwny prąd powietrza i spadła na ziemię jak kamień.

- To nie na tej pisałeś - powiedział Sully.

Tiny stęknął, przykucnął, podniósł kartkę i położył z powrotem na kontuarze,

- To jest twoja kartka, Sully. Jedyna, którą masz prawo oglądać.
- Chcę wiedzieć, co napisałeś na jego kartce - rzekł Sully, po czym odwrócił się do Wirfa. - Wytłumacz mu, że chcesz zobaczyć swoją kartkę.
- Ale ja nie chcę jej zobaczyć - oświadczył Wirf. - Wcale.
- Pokaż mu jego kartkę - zażądał Sully.
- Odpieprz się, Sully - powiedział Tiny, odwracając się i ruszając z powrotem.

Sully patrzył za nim, rejestrując na marginesie świadomości, że Wirf wyjął pióro i skrobie coś na papierowej serwetce.

- Dlaczego pozwalasz, żeby ci sikał na buty? - zapytał.

Wirf uśmiechnął się i podał mu serwetkę. Sully rozwinął ją i przeczytał: „Dlaczego pozwalasz, żeby ci sikał na buty?”

- Powiedz, czy nie jesteś najbardziej przewidywalnym człowiekiem w Bath?

- Dobra, jestem, i co z tego? - nie ustępował Sully. - Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Chodźmy do domu - zaproponował Wirf. - Twoje dziecko zasnęło.

Odwrócili się i spojrzeli na Petera, który spał z głową na kontuarze.

Kiedy oddychał przez nos, robił fale na małej kałuży, która utworzyła się na blacie ze skroplonego powietrza.

- Dzieciaki są słodkie, kiedy śpią, prawda? - zauważył Wirf. Sully szturchnął syna.

- Dobra - powiedział Peter, budząc się raptownie ze snu.

- Twoja kolejka - poinformował go Sully. - I nie udawaj, że śpisz.

- Boże - jęknął Peter. - Chodźmy do domu.

- Hej - zawołał Sully w stronę Tiny'ego, który znów usiadł na drugim końcu baru. - Rozliczmy się. Przynieś kartkę Wirfa.

- Znowu się zaczyna - powiedział Wirf.

Tiny przyniósł kartkę. Sully już był przy nim. Nie pozwolili Peterowi postawić następnej kolejki. Kiedy Sully sięgał po kartkę Wirfa, Tiny przytrzymał ją swoją wielką łapą. - Twoja jest tam. - Pokazał.

- Słuchaj - powiedział Sully do Wirfa, przesuwając w jego stronę pieniądze leżące na kontuarze. - Stawiam to wszystko, że ten pazerny fiut policzył ci za oba jajka. Za to, które zjadłeś, i za to na podłodze.

Wirf wziął od Tiny'ego kartkę, rzucił na nią okiem i podał barmanowi trzy dwudziestki. Tiny wziął kartkę i pieniądze i poszedł w stronę kasy.

- Chodźmy do domu - powtórzył Wirf.

- Nie - upierał się Sully. - Posłuchaj. Jeśli nie policzył ci za oba jajka, nie tylko oddam ci pieniądze, ale zjem tamto jajko z podłogi.

Tiny wracał właśnie z resztą dla Wirfa. Kiedy znalazł się przy nich, przysunął kartkę Wirfa Sully'emu przed nos.

- Czytaj i płacz, dupku żołądny - powiedział, pokazując ostatnią pozycję.
- Policzyłem mu za jedno jajko. A tam jest twoja kolacja - dodał, pokazując podłogę.

Sully obejrzał kartkę uważnie, sprawdzając, czy nic nie zostało wymazane. Potem zebrał pieniądze i włożył je Wirfowi do kieszeni koszuli.

- Bezbłędne zakończenie bezbłędnego dnia.

Wirf kręcił głową z niedowierzaniem.

- Jak to się dzieje, że nigdy nie widzisz, co się zaraz stanie, dopóki nie dostaniesz między oczy?

- Założyłbym się o wszystko, że policzył ci za dwa jajka.

- Założyłeś się o wszystko - poprawił go Wirf.

Wszyscy trzej zsunęli się z taboretów. Sully poszedł i podniósł jajko z podłogi.

- Hej - powiedział do Tiny'ego, który uśmiechał się szeroko. - Wiedziałem, że jak będę tu przychodził dostatecznie długo, to w końcu dostanę coś za darmo, ty cholerny kutwo. - Po czym zjadł jajko, zapijając ostatnim łykiem piwa, jaki pozostał mu na dnie.

- Idź do pierdla, Sully - doradził mu Tiny. - Tam jest twoje miejsce.

Na zewnątrz wiatr zdążył ucichnąć, pozostawiając rozgwieżdżone nocne niebo. Trzy skrzyżowania, składające się na centrum Bath, były ozdobione lampkami, rozwieszonymi w poprzek ulicy.

- Jakoś nie czuje się w powietrzu świąt - zauważył Sully.

Wirf spojrział na niego zezem i widząc, że mówi poważnie, wybuchnął śmiechem. Peter też chichotał. Kiedy pojawiła się Birdie, Wirf kazał Sully'emu powtórzyć jeszcze raz to, co powiedział. Tym razem zaśmiewał się tak serdecznie, że musiał usiąść na krawężniku.

- To dla takich chwil jak ta zyguję z wami - oświadczył.

Sully, który nie rozumiał, co w tym śmiesznego, odwrócił się do Birdie.

- Wiesz, że zwyczajowo skazańcowi przysługuje ostatnie życzenie. Moja furgonetka stoi z tyłu. Może byśmy się rozebrali i zobaczyli, co z tego wynika?

Birdie pomyślała chwilę.

- Dobra - zgodziła się, bez widocznego entuzjazmu.

- Wstydu nie masz? - oburzył się Sully, zaskoczony.

- Mocny w gębie - powiedziała Birdie. - Tak jak przypuszczałam.

Wirf został z powrotem przywrócony do pionu i odprowadzony, pod przewodnictwem Birdie, do swojego samochodu, Sully z Peterem poszli spacerkiem w stronę komisariatu. Kiedy znaleźli się w zaułku pod sklepem Woolswortha, Sully poprosił syna, żeby chwilę zaczekał, po czym zniknął w ciemności, skąd za chwilę dobiegły odgłosy wymiotowania. Wynurzył się blady i na chwiejnych nogach.

- Wszystko gra, jeśli chodzi o jutrzejszy dzień?

- Gra - zapewnił go Peter, unosząc kciuk, aby zademonstrować swoją gotowość. Przez ostatnie dwie godziny był wyjątkowo sympatyczny. Gdzieś się ulotnił jego sarkazm i ironiczny dystans. Sully'emu wydawał się zupełnie niepodobny do pełnego rezerwy Petera, którego znał. A może wciąż znajdował się pod urokiem najładniejszej dziewczyny w Bath?

Poszli dalej noga za nogą.

- W jednej sprawie Tiny miał rację - powiedział Sully. - Twój dziadek był gnojem.

- Właściwie go nie pamiętam - przyznał się Peter.

- To dobrze. Wiem, że mnie też uważasz za gnoja, ale ja to małe piwo w porównaniu z nim.

- Na pewno - zgodził się Peter.

- Co zamierzasz powiedzieć Willowi? - zapytał Sully, gdyż ten problem nurtował go przez cały wieczór. To go martwiło najbardziej.

Pytanie najwyraźniej zaskoczyło Petera.

- Co byś chciał, żebym mu powiedział?

Prawdę mówiąc, Sully nie wiedział.

- Najlepiej mu powiedz, że jego dziadek jest gnojem. Powiedz mu, że to dziedziczne w naszej rodzinie.

- Dzięki.

- Nie miałem na myśli ciebie - powiedział Sully zgodnie z prawdą.

Myślał o swoim bracie i o tym, jaki się zrobił podobny do Dużego Jima, zanim zginął w zderzeniu czołowym.

- Dzięki raz jeszcze - powiedział Peter.

- Naprawdę chcesz tu zostać po Nowym Roku?

- Nie wiem - powiedział Peter. - Myślałem o tym.

- Nie każdy dzień będzie wyglądał tak jak dzisiejszy - zapewnił go Sully.

- Nie?

- Ale twoja matka ma mimo wszystko rację. Lepiej, żebyś wrócił na uczelnię. Chcesz usłyszeć coś zabawnego? - dodał, kiedy Peter nie odpowiedział. - Lubilem te wykłady w ośrodku - przyznał się po raz pierwszy w życiu.

Peter przyjrzał mu się, zaskoczony.

- Ale mimo to zrezygnowałeś.

Sully wzruszył ramionami.

- Nie powiedziałem, że tam było moje miejsce. Powiedziałem tylko, że lubiłem te zajęcia.

- Gdzie jest twoje miejsce, tato?

Stali pod urzędem gminy. Sully wskazał kamienne schody, prowadzące do oświetlonych drzwi posterunku policji.

- Zdaje się, że tutaj - powiedział. - Przynajmniej dzisiejszej nocy.

- Dopilnuję wszystkiego najlepiej, jak będę umiał - przyrzekł Peter poważnym tonem.

- Dobra. Fajnie.

- Mam wejść z tobą?

- Nie, nie trzeba.

- W porządku.

Ku obopólnemu zaskoczeniu uścisnęli sobie dłonie, stojąc u podnóża schodów.

- Będę z powrotem, zanim się obejrzysz - powiedział Sully. - Módl się o śnieg.

Obaj spojrzeli w bezchmurne niebo, po czym Sully ruszył, kuśtykając, po schodach. Doszedł do szczytu, wszedł do środka, wahadłowe drzwi zamknęły się za nim. Po chwili wychynął z powrotem.

- Nie zapomnij nakarmić psa - zawołał.

Peter zupełnie zapomniał o Rasputinie, który prawdopodobnie nadal był uwiązany do kuchennej szafki w domu przy ulicy Bowdon.

- Nie jest łatwo być tobą, prawda? - krzyknął w odpowiedzi.

Sully rozłożył szeroko ręce, jak gdyby miał zaśpiewać na cały głos.

- Na początku nie spodziewaj się po sobie zbyt wiele - powiedział.

- Sam też nie od razu wszystko umiałem.

Część trzecia

Czwartek

Centrum Bath, świt. Oba sygnalizatory świetlne mrugające żółtym światłem: Uwaga!

Clive junior siedział w swoim lincolnie przed gmachem Banku Depozytowo-Kredytowego w North Bath. Trzy wielkie walizy leżały bezpiecznie w bagażniku. Był w refleksyjnym nastroju. Stanowiska przeznaczone do parkowania ustawiono pod kątem do krawężnika, widział więc oba mrugające światła w małym prostokącie wstecznego lusterka. Uwaga! I znów, gdyby ktoś nie zauważył poprzedniego ostrzeżenia: Uwaga! Zabawne, jak znaczenia potrafią się zmieniać w miarę upływu lat. Uwaga! - tego nauczono go w szkole, ale doświadczenie podłożyło pod to słowo inne znaczenie i z czasem migające żółte światło zaczęło sygnalizować: „Nie musisz się tutaj zatrzymywać” albo „Nie przyspieszaj”. Od wielu lat przejeżdżał na żółtych światłach ze stopą w pół drogi między hamulcem i gazem, czując niejasną wdzięczność, że ta tolerancyjna żółć nie jest czerwienią. Za każdym razem komunikat „Nie musisz się zatrzymywać” zapalał mu się gdzieś w głębi jaźni, gdzie najgłębsze pewniki ludzkiego pojmowania świata leżą nienaruszone, niekwestionowane. Błędne.

Żółte światła zapalały się i gasły w lusterku bez wytchnienia, odzyskawszy teraz w pełni swój pierwotny sens. Naturalnie za późno. Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym jaśniej widział, że jedyne prawdy to prawdy dzieciństwa, dziecięce pojmowanie tego, czym co jest i jak funkcjonuje. Czy wierzymy w coś równie głęboko jak w dzieciństwie? Czy dorosłe życie nie jest jedynie daremną próbą unieważnienia naszych najgłębszych przekonań

o nas samych i świecie, w którym żyjemy? Cóż, być może - doszedł do wniosku Clive junior. Nie ma sensu wdawać się w epistemologiczne dywagacje. Lament nad utraconą niewinnością czy rozważania typu „dziecko jest ojcem mężczyzny” do niczego nie doprowadzą. Nie był już małym chłopcem, którego ojciec zabrał kiedyś na Kapitol i wyjaśniał mu po drodze zasady sygnalizacji świetlnej, kiedy przystanęli na skrzyżowaniu. Był dyrektorem zarządzającym instytucji finansowej, na którą patrzył, zbudowanej, przynajmniej jeśli chodzi o gmach, z litego granitu, tworzywa dość solidnego, aby wytrzymać przeciwne wiatry, takie jak te, które znów hulały po Głównej, nadając pustej ulicy upiorny wygląd. I jeśli on sam nie był z kamienia, to nie był również z papieru, którym podmuch wiatru mógłby miotać, niczym papierkiem od hamburgera z „Dairy Queen” przy Dolnej Głównej.

Skoro mowa o przeciwnych wiatrach. Samochód dostawczy wyładowany belami „Sentinela” z Schuyler Springs zatrzymał się za nim, wykreślił na pustej ulicy i podjechał tyłem do krawężnika naprzeciwko Rexallu. Kierowca wysiadł, podniósł tylne drzwi i rzucił pakę gazet do ciemnej wnęki kryjącej drzwi wejściowe. Clive junior miał już swój egzemplarz, leżał obok niego na siedzeniu samochodu. Wyruszył ze swojego domu przy polach golfowych o wpół do piątej, żeby kupić gazetę w Schuyler Springs. Nie żeby były tam dla niego jakieś nowiny. Późnym popołudniem poprzedniego dnia dostał telefon z Florydy, wiedział więc, że wykonawca, firma Escape Enterprises, wycofuje się w ostatniej chwili, rezygnując z prawa pierwokupu i decydując się zamiast tego wybudować park rozrywki koło Portland w stanie Maine. Gazeta przytaczała argumenty, jakimi uzasadniano tę nagłą decyzję. Teren pomiędzy North Bath i autostradą, który wydawał się okolicznym mieszkańcom tak ogromny, w oczach inwestorów był ledwie wystarczający i to pod warunkiem, że nie będzie się brało pod uwagę ewentualnej rozbudowy w przyszłości. Bagnisty grunt nie stanowił, jak się okazuje, przeszkody, czego wiele osób się obawiało. W końcu czym jest Disneyland, jeśli nie osuszonym bagnem? Ale nie było więcej bagien do osuszenia, jeśli chciałoby się kiedyś powiększyć teren parku. Ekspansja to był klucz do całej sprawy. A także struktura podatków i inne przepisy, mniej sprzyjające przedsięwzięciu niż te w Maine. Biorąc pod uwagę fakt, że ośrodek miał funkcjonować głównie latem, struktura demograficzna i klimat stanu Maine też były odpowiedniejsze. Stan miał poza tym atuty, przyciągające przyjezdnych, takie jak

bliskość oceanu czy L.L. Bean*, podczas gdy w Bath to oni musieliby stanowić główną atrakcję.

* Znana sieć sklepów, oferujących sprzedaż wysyłkową mająca sklep sprzedaży detalicznej w Maine (przyp. tłum.).

„Sentinel” zamieścił na pierwszej stronie napastliwy artykuł redakcyjny, podający w wątpliwość oficjalne uzasadnienie nagłego zwrotu, dokonanego przez inwestora za pięć dwunasta. Normalnie gazeta z Schuyler Springs nie solidaryzowałaby się w niedoli ze swoim mniejszym sąsiadem, ale tym razem sytuacja była szczególna. „Podróż bez Końca” miała być dobrodziejstwem dla całego regionu, nie tylko dla Bath, i w odruchu wielkoduszności redakcja uznała najwyraźniej, że cały region doznał afrontu. I to bez uzasadnionego powodu. Proponowany teren nie zrobił się nagle mniejszy niż wtedy, kiedy rozpoczynano negocjacje, nie poruszono też wcześniej sprawy struktury podatków i niedostatecznych zachęt ekonomicznych, na które uskarżali się teraz inwestorzy. Lokalizacja i klimat również się nie zmieniły. Nieopodal znajduje się miejscowość uzdrowiskowa z torem wyścigowym i kąpieliskami, w której latem odbywają się koncerty. Jakże były rzeczywiste powody wycofania się inwestora? - pytano znacząco w redakcyjnym wstępie, dając wręcz do zrozumienia, że w Maine wiedziano, gdzie należy posmarować. Pojawiła się też sugestia, że decyzja nie miała nic wspólnego ze sporem wokół cmentarza, której „Sentinel” nadał taki rozgłos. Nie, sedno sprawy musiało leżeć gdzie indziej.

Clive junior znał rzeczywiste powody, gdyż zadał to samo pytanie D.C. Collinsowi z Escape Enterprises, który zadzwonił do niego osobiście z Teksasu poprzedniego popołudnia, aby przeprosić za ich decyzję.

- Wiem, jak ciężko tam wszyscy pracowaliście - powiedział. - Zrobiliście wszystko, o co was prosiłmsy. - Nie chciał ujawnić nic ponadto i nie zrobiłby tego, gdyby Clive junior nie błagał go usilnie, nie starając się nawet ukryć osobistego zawodu. - No dobra - zgodził się w końcu. - Powiem ci, skoro tak bardzo chcesz wiedzieć. Ale to jest wyłącznie między nami i w razie czego wszystkiemu zaprzeczę. Otóż tak się sprawy mają, bez owijania w bawełnę. Podjąłem tę decyzję osobiście i zaraz ci powiem dlaczego. Planujemy zainwestować, cóż, około dziewięćdziesięciu milionów dolarów. To spory kawałek grosza, Clive. I nie tylko to. Inwestujemy też czas i materiał. I nie koniec na tym. Kiedy wreszcie skurczybyka zbudujemy, zatrudnimy kupę ludzi z okolicy. Musimy to zrobić, bo nie możemy sobie pozwolić na niechęć otoczenia.

Przyjazny klimat jest nam niezbędny. Teraz nie chciałbym, żebyś mnie źle rozumiał. Wiem, że wszyscy się udzielaliście. To, o czym mówię, to bardziej sprawa... jak by to powiedzieć... atmosfery. Wielu ludzi tam w waszych stronach zachowuje się śmiesznie. Bez urazy, Clive, oni wyglądają śmiesznie.

Collins przerwał, czekając aż jego słowa dotrą do rozmówcy.

- Macie tam u siebie kawałek naprawdę ładnego kraju. Mówię poważnie. Przede wszystkim piękne drzewa. Ale macie też ludzi, którzy wyglądają, jakby jeszcze nie zeszli z drzewa, i taka jest, cholera jasna, brutalna prawda. Potrzebujemy zupełnie innego klimatu. Potrzebujemy ludzi, którzy by bardziej przypominali tych z południa Maine. Z Massachusetts, tak naprawdę. - Zatem do tego cała rzecz się sprowadzała. Ludzie w Bath wyglądali śmiesznie.

W tym momencie zza zakrętu wyjechała z rykiem śmieciarka z napisem „Bracia Squeers, Wywóz Śmieci”, najwyraźniej interpretując światła na skrzyżowaniu Głównej i Division, w połączeniu z porą dnia, jako sygnał: „Nie musisz się zatrzymywać”. Trzej mali, potężnie zbudowani mężczyźni w brudnych dżinsach, granatowych bluzach z kapturami i ciepłych pomarańczowych kurtkach w szkocką kratę wisieli uczepieni pojazdu niczym muchy. Jeden z nich, w którym Clive junior rozpoznał faceta, kręcącego się często przy Sullym, stracił w pewnym momencie oparcie pod nogami i zawisł na rękach, uczepiony metalowego kabłąka na burcie ciężarówki, podczas gdy stopy w ciężkich butach gorączkowo szukały punktu zaczepienia. (Dwaj pozostali zajmowali chyba bezpieczniejszą pozycję na tylnym zderzaku, tworzącym szeroką, równą półkę). Nim zdążył odzyskać równowagę, śmieciarka zahamowała gwałtownie za kontinentalcem Clive'a juniora, nachmurzony Rub Squeers puścił uchwyt i skoczył na chodnik, trafił na oblodzony kawałek i wylądował na siedzeniu. Jego dwaj towarzysze zeskoczyli z większym fasonem, uśmiechając się do siebie porozumiewawczo. Jeden z nich uniósł kciuk w stronę kierowcy, który też się uśmiechał w stronę dużego bocznego lusterka. Rub podniósł się bez słowa, ignorując pytania, czy nic mu się nie stało, i poszedł po metalowy kubel na śmieci, stojący przy wejściu do Rexallu obok sterty gazet. Dwaj pozostali ruszyli ciężkim krokiem w stronę innych kublów.

Clive junior obserwował ich, zwłaszcza Ruba, kumpla Sully'ego. Tak, pomyślał, ludzie w jego stronach rzeczywiście wyglądają śmiesznie. Ci wszyscy Squeersowie razem wzięci wyglądali jak produkt jakiegoś chybionego eksperymentu genetycznego: o spadzistych ramionach, bez szyi, bez talii,

prawie bez kolan, kiedy się widziało ich kaczyc chód. Jeden z dwóch śmieciarzy, którzy jechali na tylnym zderzaku, przystanął, wracając z kubłem, aby zsunąć kaptur i podrapać się po łepetynie. Clive junior zauważył, że szczecina, porastająca jego czaszkę, była dokładnie tej samej długości co zarost na podbródku. Nagle nabral pewności, że Collins, który dwukrotnie odwiedzał Bath, musiał być świadkiem podobnej sceny. Clive junior starał się kontrolować to, co Collins oglądał podczas swoich wizyt w regionie, przedstawiając mu wykształconych i najlepiej prosperujących mieszkańców Bath, po czym wywoził go pospiesznie z miasteczka i zabierał na obiad do jednego z najelegantszych lokali w Schuyler Springs, jak zawsze wykorzystując atrakcyjne sąsiedztwo do podnoszenia ogólnego wizerunku. Ale raz czy dwa razy Collins zdołał mu się wymknąć. Któregoś ranka, kiedy Clive junior zjawił się u niego w hotelu w Schuyler Springs, dowiedział się, że gość wybrał się do Bath samochodem, który dla niego wynajęli. Clive junior znalazł go w jadłodajni „U Hattie”. Musiał trafić akurat tam. Wyobraził sobie teraz, jak Collins wysiada z samochodu właśnie w chwili, gdy zza zakrętu wypada śmieciarka, oblepiona szczeciniastymi Squeersami wszelkiej maści niczym karaluchami. Boże!

Squeers Sully'ego, chyba najkomiczniejszy z całej ferajny, z twarzą jak chmura gradowa, pełną urazy i pretensji, chwycił gniewnie kubek stojący pod drzwiami i ruszył z nim w stronę śmieciarki. Trzymał ciężki kontener za uchwyty, opierając go na biodrze, tak że dno wystawało na sporą odległość. Kiedy przechodził obok jego lincolna, Clive junior usłyszał, jak dno kubła szoruje o maskę samochodu. Młody człowiek podniósł wzrok, zaskoczony, jak gdyby samochód zmaterializował się jakimś niepojętym sposobem na jego drodze właśnie w tej chwili. Wydawał się jeszcze bardziej zdumiony, kiedy stwierdził, że w samochodzie ktoś jest. Kierowca śmieciarki najwyraźniej też zauważył, co się stało, bo kiedy Clive junior wysiadł z samochodu, zamykając drzwi za sobą, usłyszał gniewny trzask drzwi ciężarówki i zobaczył, jak czwarty Squeers, najmniejszy ze wszystkich, biegnie w jego kierunku. Wszyscy czterej zbrali się przy tylnej części samochodu, aby obejrzeć zadrapanie. Stojąc obok siebie, czterej Squeersowie dziwnie przypominali cztery wyprostowane kciuki.

- I co narobiłeś. - Kierowca łypnął oskarżycielsko na ryse, właściwie szramę w lakierze.

- Szkoda, że pana nie zauważyłem - westchnął Rub.

- Jedyne samochód na całej cholernej ulicy i musiałeś się na niego wpa-
kować! - powiedział kierowca. - Jezusie Nazareński!

Pozostali dwaj Squeersowie patrzyli wyczekująco na Clive'a juniora.

- Bardzo mi przykro, panie Peoples - powiedział kierowca ku za skocze-
niu Clive'a juniora, który w chwilę później przypomniał sobie, że spotkali się
już wcześniej, a konkretnie, że odmówił temu człowiekowi kredytu na zakup
tej właśnie śmieciarki, którą teraz prowadził. - Załatwimy to, obiecuję.

Nagle Clive junior pożałował, że nie udzielił Squeersowi tej pożyczki,
przypominając sobie, jak facet wystroił się na tę okazję w źle dopasowany
garnitur.

- Cóż, u diabła. - Clive junior zaryzykował mocniejszy, „męski” zwrot. -
Takie rzeczy się zdarzają, prawda?

- Niektórym ludziom częściej niż innym - zauważył Squeers, zerkając w
stronę Ruba. - Doceniam to, że pan nie robi afery. Proszę mi tylko przesłać
rachunek za robotę. Byłbym ogromnie wdzięczny, gdybyśmy mogli załatwić
sprawę, nie mieszając w to facetów od ubezpieczenia.

- Niech szlag trafi tych pieprzonych ścierwojadów - odważył się wtrącić
inny Squeers, ten, który zdjął kaptur, żeby podrapać się w głowę.

- Ja bym ich wszystkich powystrzelał tylko po to, żeby patrzeć, jak odwa-
lają kitę - powiedział jedyny, który się do tej pory nie odezwał.

- Chłopaki, czyżbyście nie mieli nic do roboty? - zapytał główny Squeers,
który najwyraźniej uważał się za menedżera firmy.

Cóż, roboty było mnóstwo, więc ruszyli, szturchając po drodze Ruba, i
zostawili swojego szefa z Clive'em juniorem: dwóch ciężko pracujących biz-
nesmenów. Squeers przykleknął obok samochodu i przejechał wskazującym
palcem po zadrapaniu.

- Załatwimy to, panie Peoples - powtórzył jeszcze raz. - Może mi pan za-
ufać.

- Wiem. - Clive junior poczuł, jak pierś wypełnia mu dziwne, przyjemne
uczucie. A także lekkie mdłości, zapewne z powodu bliskiego sąsiedztwa
śmieciarki.

- Proszę mi tylko dać znać, kiedy szkoda zostanie oszacowana, i natych-
miast się melduję. Nie będzie pan musiał powtarzać dwa razy.

- Zgoda - powiedział Clive junior.

Nie pozostało nic innego, jak jeszcze raz obejrzeć rysę, jak gdyby dla po-
twierdzenia powagi sprawy i więzi zaufania, która się dzięki temu wytworzy-
ła pomiędzy nimi.

- Jak tam interesy? - postanowił zapytać Clive junior, kiedy cisza i atmosfera życzliwości stały się nie do zniesienia.

- Nie najgorzej - oświadczył Squeers. - Śmieci będą zawsze, żeby nie wiadomo co - dodał filozoficznie. - Ludzie nie lubią, jak się ich robi za dużo, jeśli nie liczyć Nowego Jorku. Kombinowałem sobie, że nie splajtujemy, i nie splajtowaliśmy.

- Cieszę się - zapewnił go Clive junior, czując, że odrzucony wniosek kredytowy wisi w powietrzu pomiędzy nimi, niemal na wyciągnięcie ręki. Obaj jakby chcieli sobie powiedzieć, że nie żywią do siebie urazy.

- Wygląda, że jednak nie będą budować tego parku, co? - odezwał się Squeers po kolejnej dłuższej chwili milczenia. Wydawał się zadowolony, że ma okazję porozmawiać poważnie z bankierem, rozglądał się po bezludnej ulicy, jak gdyby w nadziei, że znajdzie się jakiś świadek tej sceny.

- Nie - odparł Clive junior. - Raczej nie.

- Cóż, do diabła z nimi - powiedział Squeers. - Radziliśmy sobie bez nich do tej pory, poradzimy sobie i teraz.

- Też tak myślę - zgodził się Clive junior.

- Mimo wszystko szkoda - dodał Squeers. - Tak mi się widzi, że śmieci by było ze trzy razy tyle co teraz.

Uścisnęli sobie dłonie i Clive junior był zaskoczony, że ręka Squeersa, kiedy zdjął roboczą rękawicę, wyglądała na czystą i takie samo wrażenie sprawiała w dotyku.

Kiedy Squeersowie odjechali, Clive junior wsiadł z powrotem do swojego lincolna i wyjechał tyłem ze stanowiska pod nowym transparentem, który rozwieszono poprzedniego dnia, nim pękła bomba. Hasło stanowiło przykład typowej fanfaronady, której podsycanie miał na sumieniu jeszcze niedawno, kiedy wierzył, że światła ostrzegawcze znaczą: „Nie musisz się zatrzymywać”. Jednak treść hasła wydawała się mieć dzisiaj inną wymowę niż wczoraj. Napis brzmiał: „1985: Pierwszy rok reszty twojego życia”.

Clive junior skierował samochód na południe, obok skazanego na zagładę IGA i dalej za miasto, w kierunku nowego łącznika, gdzie miał wyjechać na autostradę i ruszyć na północ, w stronę Schuyler Springs i łaskawszej fortuny. Nadkładał drogi, ale przynajmniej nie musiał przejeżdżać obok domu swojej matki. Stawić czoło krachowi „Podróży bez Końca”, przedsięwzięcia gigantycznego w zamysle, planach i realizacji, to jedna sprawa. A uświadomić sobie, że nie potrafił przeprowadzić takiego drobiazgu, jak

wyeksmitowanie Sully'ego z domu matki, to druga. Sully obiecał wprawdzie, że wyprowadzi się do końca roku, ale potem zafundował sobie areszt, co oznaczało, że termin stał się nierealny i Clive junior zrozumiał, że nigdy się go tak naprawdę nie pozbędzie. Chciał go wyrugować nie tylko z domu matki, ale i z jej serca, pozbawić go jej ochronnego parasola, aby mógł wreszcie dokończyć dzieła autodestrukcji, rozpoczętego przed tyloma laty i ciągnącego się już stanowczo zbyt długo. Clive junior wciąż nie mógł pojąć, dlaczego to tyle trwa. W końcu Sully ignorował nie tylko mrugające żółte światła, ale i krzyczącą czerwień. Może tu właśnie leżało sedno sprawy. Lekkomysłność podniesiona do rangi życiowej zasady wymaga pełnego zaangażowania, bez kompromisów.

O tak wczesnej porze łącznik był zupełnie pusty. Po lewej stronie znajdował się cmentarz, który wzbudził tyle kontrowersji, a za nim rozległy teren, na którym miał stanąć lunapark - teraz również zamieniony w cmentarzysko. Clive junior próbował sobie wyobrazić bagnisty teren osuszony, nierówności wypełnione i pokryte nawierzchnią, ogromną kolejkę górską i podwójny diabelski młyn, w oddali błękitne, wijące się zjeżdżalnie wodne. Pejzaż w jaskrawych kolorach, przywodzący na myśl „Czarodzieja z Oz” z Judy Garland. Zaledwie kilka dni wcześniej wyobrażenia wywołałyby ten obraz natychmiast, ale dziś teren wyglądał wyzywająco bagniście. I nie tylko w tej chwili. Sprawiał wrażenie tego rodzaju mokradła, którego bagienna natura zawsze w końcu wyjdzie na wierzch. Inżynierowie zapewnili go, że nadaje się do osuszenia i pod budowę, ale w tej chwili nie miał już pewności, czy byłoby roztropnie ryzykować. Za dwadzieścia lat betonowa nawierzchnia ogromnego parkingu zaczęłaby się fałdować i pękać, uwalniając smrodliwe bagienne wyziewy. Zielsko zaczęłoby się wciskać w szczeliny, rozrastając się szybciej, niż środki chwastobójcze nadażałyby je niszczyć. Okazałoby się, że diabelski młyn osiada z każdym rokiem o jeden cal. Faktycznie cały teren obniżałby się powoli, z roku na rok. Wezwano by stanowczych inspektorów, którzy drapałoby się zafrasowani po głowach, informując lokalne władze, że kiedyś cały ten obszar był jednym wielkim mokradłem i w głębi ziemi nadal nim jest.

Clive junior zajechał przed niewielki plac budowy, będący częścią subsydiowanego osiedla domków jednorodzinnych o nazwie Farm Home, które Carl budował na terenie, sąsiadującym z „Podróżą bez Końca”. Skręcił w żwirowaną drogę dojazdową i zatrzymał się, żeby obejrzieć na wpół ukończone, tanie domki. Oto przedsięwzięcie finansowe na miarę Bath - pomyślał.

Siermiężne, zgrzebne, bez polotu. Jeśli chodzi o wyobraźnię, był to jeden krok dalej w stosunku do „Wywozu Śmieci” braci Squeers. Wielu drobnych lokalnych przedsiębiorców, którzy liczyli w swoich kalkulacjach na luna-park, miało się teraz znaleźć w poważnych kłopotach. Doszły go słuchy, że Carl Roebuck budował te domki nie tyle z myślą o sprzedaży, ile o odszkodowaniu, jakie uzyskaliby przy wykupie terenu. Jeśli to prawda, to nie przeszłyby nawet przez uczciwą kontrolę techniczną. Oczywiście za odpowiednią cenę Carl mógł mieć taką kontrolę, jaką chciał, tak samo jak on uzyskał, ku zaskoczeniu inwestorów, wysoką ocenę bagnistego terenu, na którym miała powstać „Podróż bez Końca”, teraz ponownie zamienionego w nieużytek. Clive junior uśmiechnął się ponuro. Od dawna pragnął stać się najważniejszą osobistością w Bath, kimś, kogo wszyscy znają, tak jak w swoim czasie znali jego ojca. Cóż, za jakiś tydzień, może już za kilka dni, stanie się sławny.

Silnik pracował na wolnych obrotach, z rury wydechowej wydobywały się kłęby spalin. Jego matka miała rację, jak zwykle. Zawsze będzie istniało coś takiego jak zła lokalizacja. Przekonał się o tym, również zgodnie z jej przewidywaniami, na własnej skórze, inwestując w ten teren swoje pieniądze i zawodową reputację. Gdzie popełnił błąd? W Teksasie i Arizonie odebrał swego czasu lekcję na temat wiary i ziemi. Collins wywiózł go przed laty na pustynię, gdzie nie było nic oprócz piasku, kamieni, kaktusów i słońca. I ogromnej planszy, reklamującej osiedle Srebrne Jezioro. „Widzisz jezioro? - zapytał, pokazując w przestrzeń. Clive junior nic nie widział i tak też powiedział. - Otóż jesteś w błędzie - uświadomił go Collins. - Ono tu jest, ponieważ ludzie wierzą, że tu będzie. Jeżeli wystarczająco dużo ludzi wierzy, że tu będzie jezioro, to ono będzie. Znajdź się sposób, żeby powstało. Spójrz na tę ziemię - powiedział, obejmując szerokim gestem całą pustynię, od miejsca, gdzie stali, aż po Kalifornię. - Co dostrzegasz na pierwszy rzut oka? Nie ma wody - odpowiedział sam sobie, nim Clive junior zdążył się odezwać. - Ani kropli. Powiedz mi zatem, jak to się dzieje, że miasta wyrastają jedno po drugim. Dallas. Phoenix. Tucson. Bo ludzie wierzą, że będzie woda. I mają rację. Jeżeli ludzie będą napływać, doprowadzą wodę choćby z Antarktydy, jeśli nie znajdę innego wyjścia. Wierz mi. Wrócisz tu za dwa lata i zobaczysz najpiękniejsze małe jezioro, jakie w życiu widziałeś, z fontanną pośrodku, bijącą na pięćdziesiąt stóp w górę. Mogłoby temu przeszkodzić tylko jedno. Gdyby połowa ludzi, którzy już zainwestowali w to swoje pieniądze, nagle

poczuła pietra. Jeśli do tego dojdzie, to nie będzie tu nawet tyle wody co dla heloderm. To jest kwestia wiary, Clive. Zaufaj tej planszy, bo to jest przyszłość, pewna jak w banku, a jeśli nie, to wszyscy mamy przechłapanie”.

Clive junior odrobił zadanie domowe, zaufał planszy reklamowej. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było zainstalowanie własnego billboardu, obwieszającego jego wiarę w przyszłość. Wydawało mu się, że Collins ma rację i że on, Clive junior, osobiście uświadomi to swoim ziomkom. W świetle usłyszanych rewelacji uznał, że problemem Bath jest brak wiary, bojaźliwość, małostkowość. Dwieście lat wcześniej mieszkańcy Bath nie uwierzyli w Jedediasza Halseya i Sans Souci, jego wspaniały hotel w tej głuszy, z trzema setkami pokoi gościnnych. Kpić sobie z czyjejś wiary w przyszłość. Pomyśleć tylko. Nic dziwnego, że Bóg pozwolił wyschnąć ich źródłom.

Z miejsca, gdzie stał, w pobliżu wjazdu na plac budowy Carla Roebucka, widział w oddali planszę z demonicznym klaunem, znajdującą się po drugiej stronie autostrady. Kilka miesięcy wcześniej usłyszał przypadkiem, jak dwaj pracownicy banku wymieniali uwagi na temat uderzającego rzekomo podobieństwa między nim a pajacem z billboardu. Nie ulegało wątpliwości, że wkrótce zaczną nazywać nieudane przedsięwzięcie „Szaleństwem Clive'a”. Ustawił lustro pod innym kątem, tak żeby widzieć swoje odbicie, ocenić wygląd swojej twarzy „po upadku” i ustalić, czy dostrzega jakiegokolwiek podobieństwo do klauna. Nie za wielkie - zdecydował. Prawdę mówiąc, wdał się, jeśli chodzi o wygląd, w swojego ojca, za co czuł głęboką wdzięczność. Kiedy jednak wywołał w pamięci obraz Clive'a seniora z czasów swojego dzieciństwa, uświadomił sobie, że jego głowę można było określić jedynie jako spiczastą, dlatego zawsze nosił bejsbolową czapkę, nawet w domu, jeśli panna Beryl mu na to pozwoliła. Najwidoczniej zdawał sobie sprawę, że kiedy ją zdejmie, przy swoich krótko, schludnie przystrzyżonych włosach i odstających uszach, będzie wyglądał, hm... śmiesznie.

Clive junior ustawił z powrotem lustro, rzucił okiem na siwe kłęby spalin, wydobywające się z rury wydechowej, i spróbował, tak jak to robił przez cały ranek, stłumić uczucie paniki, najgorszej, jaką czuł od czasów dzieciństwa, kiedy bał się pobicia przez bandę okolicznych łobuzów. Naszła go myśl, że gdyby znajdował się w zamkniętym garażu, w ten sposób spotkałby własną śmierć. Ale tutaj pióropusz błękitnego dymu rozpyływał się

nieszkodliwie, a przynajmniej bez widocznych skutków w przestworzach, łącząc się ze światem powietrza, wody i ziemi.

Gdyby Sully należał do ludzi pozwalających sobie na próżne żale, żałowałby teraz, że nie zrobił prania, zanim poszedł do więzienia. Wyglądało na to, że największy problem jest ze skarpetkami. A raczej z kompletnym brakiem czystych skarpetek. Brudnych miał pod dostatkiem. Pomyślał o komodzie Carla Roebucka, pełnej bielizny i skarpet, których wystarczyłoby spokojnie na miesiąc, i poczuł ukłucie zazdrości.

- Będziemy musieli wpaść po drodze do odzieżowego - zawołał do Wirfa, chrapiącego na kanapie, na której przysnął przed telewizorem, kiedy Sully brał prysznic.

- Co?

Sully wsunął bosc stopy w buty wizytowe. - Muszę sobie kupić skarpetki.

Chwila ciszy na przetrawienie tej informacji.

- Jak mogłeś zabrudzić wszystkie skarpetki, siedząc w więzieniu?

- To proste - powiedział Sully, stojąc w drzwiach. - Były brudne, zanim tam poszedłem. Jak to wygląda?

Oprócz czystych skarpet brakowało mu też spodni, które pasowałyby do marynarki. Gdyby lubił się zakładać, a lubił, i owszem, założyłyby się, że leżą w pralni chemicznej od czasu, kiedy ostatni raz miał na sobie garnitur. Kiedy to mogło być? Rzeczy, które oddawał do pralni chemicznej, leżały tam zwykle do czasu, kiedy ich znów potrzebował.

- Super - ocenił Wirf bez większego zainteresowania. - Na twoim miejscu nie zwracałbym sobie głowy skarpetkami. Nie ma co się za bardzo stroić.

- Łatwo ci mówić, tobie najwyżej jedna stopa przemarznie - powiedział Sully. - Chodźmy.

Wirf wstał, spojrzął na telewizor, stojący po drugiej stronie ogromnego salonu.

- Brakuje ci do tego pilota - zauważył.

Sully rozejrzał się po pokoju, przeprowadzając pobieżną inwentaryzację. Brakowało mu wiele rzeczy, nie tylko pilota. Miał jednak wrażenie, właściwie od chwili, kiedy weszli do mieszkania, że coś się tutaj zmieniło. Niczego nie brakowało, nic nie znajdowało się na innym miejscu, przynajmniej tak mu się wydawało, ale w powietrzu czuło się jakąś odmianę. Jak po jednej z

nielegalnych wizyt Clive'a juniora, tyle że jego obecność zawsze było łatwo wykryć, bo zdradzał go zapach wody po goleniu. Nie, ten zapach był bardziej subtelny i świeży, prawie niewyczuwalny. Jakby zapachniało młodością - zdecydował w końcu. A może tym, co czuł, był po prostu zapach jego własnej nieobecności? Przez tydzień nikt nie rzucił cuchnących roboczych ubrań na stos rosnący na dnie łazienkowej szafy. Przypomniało mu to, że od pierwszego powinien stąd zniknąć na dobre.

- Gdzie jest to mieszkanie, które miałem obejrzeć? - zapytał.

- Na Świerkowej - powiedział Wirf. - Dwieście pięćdziesiąt za miesiąc.

- Jedna sypialnia?

- Dwie.

- Właściwie nie potrzebuję dwóch - odparł Sully, nakładając kurtkę na marynarkę, która okazała się dłuższa o jakieś osiem cali.

- Chryste Panie - westchnął Wirf. - Nie masz płaszcz?

- Do czego mi płaszcz? - zdziwił się Sully. - Dwie i pół setki to więcej, niż płacę tutaj.

- Mógłbyś zostać w pudle - podsunął Wirf. - To by rozwiązało twój problem mieszkaniowy. Mógłbym cię wyciągać na śluby i pogrzeby.

- Zarabiam tam lepiej niż na wolności - zauważył Sully. W ciągu sześciu dni pozbawienia wolności wygrał w karty ponad dwieście dolarów z trzema różnymi gliniarzami.

Zeszli razem po schodach, krok za krokiem, Sully kuśtykając i jęcząc, Wirf stąpając ciężko i sapiąc.

- Mam nadzieję, że pozostali nie są kalekami - powiedział Wirf, kiedy przystanęli na półpiętrze.

Prawdę mówiąc, ekipa, która miała nieść trumnę Hattie, nie składała się z okazów zdrowia. Oprócz Wirfa i Sully'ego był Carl Roebuck, w którego kartotece medycznej figurował poczwórny bypass; Jocko, którego kolana, zrujnowane przez szkolny futbol, były dwukrotnie wymieniane i czasami szczękały całkiem wyraźnie; Otis, który robił się purpurowy, gdy wsiadał do samochodu bądź z niego wysiadał. W tak krótkim czasie trudno było zwerbować lepszy skład, nie angażując kobiet. Trumna starej Hattie byłaby z pewnością bezpieczniejsza w rękach Ruth, Toby, Cassandry i Birdie. Prawdę mówiąc, Sully'emu przychodziły do głowy tylko dwie kobiety w całym miasteczku, które nie nadawałyby się do tego zadania lepiej niż oni. Jedną z

nich była jego gospodyni, a druga leżała w trumnie, którą mieli nieść. Ale tradycja jest tradycją, a tradycja wymaga sześciu mężczyzn, nieważne, w jakim stanie.

Skoro mowa o gospodyni, Sully postanowił wstąpić do panny Beryl, której nie widział od tamtego poranka, kiedy znalazł ją zalaną krwią. Peter, który zaglądał do niej w tym czasie kilka razy, twierdził, że radzi sobie całkiem dobrze.

- Znasz moją gospodynię? - zapytał Wirf.

- Jestem jej adwokatem - powiedział Wirf.

- Chrzaniisz?

- Muszę mieć kilku płacących klientów, żeby zrównoważyć moją bezinteresowną działalność.

- To znaczy mnie?

- Co ty - zaprzeczył Wirf. - Ty to przypadek kliniczny. Zajmuję się nim ze względu na ubaw, jaki z tego mam.

Sully puścił to mimo uszu, zapukał do drzwi mieszkania panny Beryl i otworzył je w tym samym momencie, wołając:

- Jak tam, żyje pani jeszcze, staruszeko?

Panna Beryl nie tylko żyła, ale wybierała się na pogrzeb i była już gotowa do wyjścia. Miała nawet na głowie kapelusze.

- Myślałam, że jeszcze siedzisz w pace - powiedziała.

Sully wszedł do środka, Wirf za nim, z niejakim ociąganiem, nienawykły do tego, by nachodzić starsze panie w domu bez zaproszenia.

- Mam dobrego prawnika - wyjaśnił Sully. - Potrafi mnie wyciągnąć na pogrzeby.

- Tylko na te, do których przyłożył rękę - uściślił Wirf, robiąc aluzję do niecodziennych okoliczności śmierci Hattie.

Sully wciąż nie mógł w to uwierzyć. Przebieg wypadków zreferowali mu niezależnie Peter, Wirf i Carl Roebuck i chociaż ich relacje różniły się tonem, w zależności od charakteru sprawozdawcy (Peter - irytująco beznamiętny, Wirf - sentymentalny, z poczuciem winy, Carl - krztuszący się ze śmiechu), fakty były te same, uznał więc, że muszą być prawdziwe, jakkolwiek były nieprawdopodobne. Peter, jeśli się orientował, nie miał dość wyobraźni, aby coś takiego sfabrykować, Wirf był zbyt pocziwy, a Carl zbyt zajęty sobą.

Oto co się wydarzyło. Po zainicjowanej przez Sully'ego burzy mózgow, której owocem było przeniesienie zdemontowanej kasy do boksu Hattie, stara kobieta była usatysfakcjonowana, gdy wydzwaniała zwiariowane, przypadkowe kwoty za każdym razem, kiedy ktoś przechodził obok jej stolika w

drodze do wyjścia. Ci sami ludzie, którzy przez lata ignorowali staruszkę, siedzącą w swoim boksie przy drzwiach, drobną, ślepa i prawie głuchą, choć nadal mającą coś złośliwego w fizjonomii, teraz zatrzymywali się chętnie, żeby podroczyć się z nią o kwotę, pojawiającą się w okienku, gdzie tkwił już gruby plik zaklinowanych wcześniej karteluszków. Jednym z nich był Otis Wilson, który być może chciał zademonstrować w ten sposób, że nie żywi urazy za ów pamiętny rzut solniczką, która ugodziła go za uchem. Fatalnego ranka Hattie siedziała w swoim boksie, coraz bardziej przekrzywiona, aż w końcu wyglądała, jakby miała za chwilę zjechać pod stół. Oprócz jej córki, która na ogół była zbyt zajęta, jedynie Sully pozwalał sobie na to, żeby chwycić staruszkę za ramiona i usadzić ją prosto, nim wyszedł z jadłodajni. Otis z pewnością nie odważyłby się jej tknąć, jakby się obawiał, że może śmiertelnie ukąsić, co nie przeszkadzało mu wyklócać się głośno przed grupką gapiów, że nie zapłaci dwudziestu dwóch dolarów za filiżankę kawy. „Płać!” - zarechotała staruszka zgodnie z przewidywaniem, pochylona do przodu, wierząc się i kręcąc, żeby się wywindować do pionu, kiedy Otis nacisnął klawisz „suma”, co zazwyczaj oczyszczało okienko kasy z nagromadzonych paragonów. Tym razem, z nadal niewyjaśnionych powodów, szuflada na pieniądze, od dawna zaklinowana na głucho, wystrzeliła nagle z siłą długo powstrzymywanej żądz, trafiając nieszczęsną staruszkę w sam środek czoła. Hattie zginęła na miejscu, bez protestu, sztywno wyprostowana na swoim krześle.

Panna Beryl podeszła do rozkładanego stołu, wzięła leżącą na nim kopertę dużego formatu i podała ją Wirfowi.

- Korzystając z okazji, że pana widzę... upoważniam pana do nadania biegu obu sprawom, o których rozmawialiśmy.

Wirf wziął kopertę z pewnym ociąganiem, jak się Sully'emu wydawało.

- Jest pani pewna, że tego sobie pani życzy, pani Peoples?

Sully zmarszczył brwi. Kolejna zagadka. Odkąd wyszedł z więzienia, miał w głowie coraz większy mętlik. Nie wyobrażał sobie, że może tak dalece wypaść z kursu po kilku dniach spędzonych w miejscowym areszcie. Czy całe miasteczko zwariowało pod jego nieobecność?

- W kwestii domu, czas już najwyższy, Abrahamie - powiedziała panna Beryl, nie odpowiadając wprost na jego pytanie. - Tylko uparty, samolubny, utrapiony stary babsztyl mógł to przeciągać tak długo. - Następnie spojrzała na Sully'ego i skinęła głową. - Dopóki stara Harriet żyła i próbowała co

chwila dać nogę, wiedziałam, że nie jestem najbardziej kopniętą staruszką w miasteczku. Teraz może się okazać, że to ja jestem najstarszą istotą w okolicy, toteż postanowiłam zająć się swoimi sprawami, zanim będziecie za mną ganiać z siecią. Wirf włożył kopertę do kieszeni.

- Zdaje sobie pani sprawę, że może to być nie do cofnięcia, gdyby zmieniła pani zdanie?

Panna Beryl, która odprowadzała nieufnym wzrokiem kopertę znikającą w kieszeni adwokata, sprawiała wrażenie, jakby już pożałowała swojej decyzji.

- Nie zmienię - zapewniła go. - Muszę uporządkować sprawy na wypadek, gdybym się miała zobaczyć w najbliższej przyszłości z Clive'em seniorem, światłem moich oczu - wyjaśniła, wskazując fotografie swojego świętej pamięci małżonka stojącą na kominku. - Ostatnio ciągle mnie besztą.

- Cóż - wtrącił Sully. - Jeśli ma pani omamy słuchowe, to rzeczywiście może nie potrwać długo.

Panna Beryl, której zazwyczaj odpowiadał jego czarny humor, tym razem zmierzyła go spojrzeniem, zarezerwowanym na te specjalne okazje, kiedy szczególnie narozrabiał.

- Donaldzie - powiedziała. - Znamy się od tak dawna, że nie chce mi się liczyć, ile to lat. Czy pozwolisz, że zrobię jedną osobistą uwagę?

- Zawsze je pani robi - zauważył Sully. Prawdę mówiąc, zastanawiał się, kiedy panna Beryl zmyje mu głowę za jego ostatni wyczyn. Nie ulegało wątpliwości, że pobicie policjanta, przez co miał spędzić święta w areszcie, nie było w jej oczach postępkim godnym mężczyzny w jego wieku, mającego syna i wnuka. Kiedy wreszcie miał zamiar dorosnąć? Ponieważ panna Beryl była jedyną osobą, od której godził się przyjmować nauki, wziął głęboki wdech i przygotował się na przełknięcie tej pigułki.

- Cieszyłabym się ogromnie, gdybym mogła przymknąć oko na tę sprawę - zaczęła złowroźnie, przygważdżając go surowym spojrzeniem - ale niestety nie mogę. Wprawdzie staram się usilnie nie dostrzegać twoich niedociągnięć, ale jestem zmuszona zwrócić ci uwagę, że twoja garderoba jest niekompletna, wskutek czego wyglądasz zdecydowanie komicznie.

Sully spojrział na swoje buty i gołe kostki.

- Nasz najbliższy postój to sklep - obiecał.

- Mam nadzieję - powiedziała panna Beryl. - Byłabym ci wdzięczna,

gdybyś pamiętał, że kiedy opuszczasz ten dom, wystawiasz świadectwo nie tylko sobie, ale i mnie. Odnoszę wrażenie, że są chwile - dodała z naciskiem - kiedy o tym zapominasz.

Sully zrozumiał, że to była oczekiwana reprimenda.

- Przepraszam, jeśli tak jest - powiedział, czując szczerą skruchę. - Nigdy nie miałem zamiaru przynieść pani wstydu.

- To prawda - wtrącił Wirf. - Na ogół zadowala go, kiedy przynosi wstyd sobie samemu.

- Cóż, nikt nie jest samotną wyspą - przypomniała im panna Beryl. - Pamiętacie, kto to powiedział?

Sully skinął głową.

- Pani - oświadczył. - Powtarzała to pani przez całą ósmą klasę.

- Przeraza mnie, Abrahamie - zwróciła się panna Beryl do Wirfa - kiedy pomyślę, że przyłożyłam rękę do ukształtowania tej egzystencji. Co powie Bóg?

- To całkiem do Niego podobne, żeby zrzucić winę na panią - przytaknął Sully. Doświadczenie nauczyło go, że ludzie są na ogół oskarżani o sprawy, za które nie ponoszą najmniejszej winy. Przytrafiało mu się to tak często, że zaczął uważać to zjawisko za nieodłączny atrybut najwyższej opatrności. Jako skutek uboczny, rzeczywiste winy były w większości ignorowane. Na przykład jego własny ojciec. Dużemu Jimowi nigdy nie postawiono zarzutu w związku z wypadkiem chłopca, którego nadział na zwieńczone ostrymi szpikulcami ogrodzenie. Nie poniósł kary za to, że przez całe życie znęcał się po pijanemu nad swoją rodziną. Umarł dobrze karmiony, nieniekajony wyrzutami sumienia, radośnie podszczypując pielęgniarce, które uważały go za dziarskiego faceta. Jeśli Sully umiał to ocenić, w ludzkiej naturze leżała jakaś skłonność do ignorowania czy też puszczania w niepamięć oczywistych win, przy równoczesnym doszukiwaniu się powiązań, a co za tym idzie odpowiedzialności tam, gdzie nie było po temu najmniejszych podstaw.

Oczywiście reguła ta stosowała się do niego w tej samej mierze co do innych. Popełnił w życiu swoją porcję błędów i można mu było postawić wiele słusznych zarzutów, ale miał poczucie, że ludzie dopatrywali się ich nie tam, gdzie trzeba. Nie był najlepszym mężem dla Very, która miała powody się na niego uskarżać. Ale miała osobliwy talent do wyładowywania na nim swojej furii za coś, czego akurat nie popełnił. Ruth robiła to samo, próbując wmówić w niego odpowiedzialność za Jane. Natomiast za swoje największe wpadki był konsekwentnie nagradzany. Dziękowano mu wylewnie, kiedy

spalił dom Kenny'ego Roebucka. Ignorowanie własnego syna miało ten skutek, że Vera i Ralph zrobili z niego wykształconego człowieka. Miał przeczuć, że jego obecna sytuacja też ostatecznie przybierze ten perwersyjny obrót. Mimo że pobił funkcjonariusza policji w obecności świadków, jakimś sposobem ujdzie mu to na sucho. Za to opinia publiczna będzie zgodna w kwestii jego odpowiedzialności za śmierć Hattie.

Naprawdę, świat niewiele jego zdaniem robił, żeby zaszczerpić ludziom wiarę w sprawiedliwość. Chrześcijański stereotyp głosił, że wszystkie niesprawiedliwości tego świata zostaną wyrównane w przyszłym, ale Sully miał co do tego wątpliwości. Czy przewrotność, którą obserwował na tym świecie, nie była raczej odbiciem tamtego, który dał mu początek? A jeżeli Duży Jim uśmiechał się do niego w tej chwili z niebiosów, siedząc sobie wygodnie po prawicy Ojca? Dla wielu byłoby to zaskoczeniem, ale nie dla Sully'ego.

- Niech pani przekaże Bankowi, że wyprowadzę się najszybciej, jak to będzie możliwe. Mój adwokat twierdzi, że mogę wyjść nawet jutro, chociaż jest znany ze swoich pomyłek.

- Poradzę sobie z Clive'em - powiedziała panna Beryl. - Niech pan mu tylko nie pozwoli pobić sędziego - dodała, zwracając się do Wirfa.

- Chce się pani z nami zabrać?

- Dziękuję, jadę z panią Gruber - oświadczyła panna Beryl.

- Alice знаła Hattie?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Ale nie pozwoli, żeby cokolwiek ją ominęło.

Kiedy wyszli na ganek, Sully zauważył wystający z kieszeni płaszcza Wirfa róg koperty, którą wręczyła mu panna Beryl.

- A więc w końcu przepisuje mieszkanie na Clive'a? - zapytał.

- Nie twój interes - powiedział Wirf, jak się można było spodziewać, wsuwając kopertę głębiej do kieszeni.

- Cholernie jesteś tajemniczy.

Wirf wzruszył ramionami.

- Słyszałeś o czymś takim jak poufność?

- Słuchaj, znamy się tyle lat, a dzisiaj się dowiaduję, że masz na imię Abraham.

- Nie wiedziałeś? - zdziwił się Wirf. - Jest na drzwiach mojego biura.

- To ty masz biuro?

- Oj Sully, Sully.

Wirf naciągnął rękawiczki i chwycił poręcz, która zachybotwała się w miejscu, gdzie Carl Roebuck odkręcił śruby. Sully zanotował sobie w myśli, żeby naprawić barierkę, jak tylko wyjdzie z więzienia, bo jeszcze panna Beryl się zabije i okaże się, że ma na sumieniu dwie stare kobiety.

Muzyka organowa, o mgliście religijnym charakterze, napelniająca dom pogrzebowy, była zdaniem Sully'ego akurat na tyle głośna, żeby działać ludziom na nerwy. Nieco lepiej ją słyszał w małej ubikacji, którą mu wskazano, żeby mógł zmienić spodnie i włożyć kupione po drodze skarpetki. Wyposażenie klitki rozmiarów szafy składało się z muszli, małej umywalki i krzywego lustra. W rogu u góry stał mały głośnik, z którego sączyła się muzyka. Kiedy usiadł na muszli, jego kolana niemal dotykały drzwi, które zamknął za sobą po wejściu. Stan jego kolana, jak zwykle wbrew logice, raczej się pogorszył w więzieniu, tak więc zmienianie spodni i wkładanie skarpetek okazało się powolną, uciążliwą i bolesną czynnością. Zdążył się spocić jak mysz, kiedy drzwi, których zapomniał zamknąć na zamek, otworzyły się niespodziewanie w chwili, gdy siedział w samych slipach i w jednej skarpetce.

- O Jezu - powiedział Jocko, czerwieniejąc gwałtownie i szybko zamykając drzwi z powrotem. Po chwili dobiegł zza nich jego ściszony głos. - Nikt ci nigdy nie powiedział, że nie musisz całkiem ściągać portek, żeby się załazić?

- Nie odchodź - rzekł Sully w stronę drzwi. - Mam do ciebie sprawę.

Włożył drugą skarpetkę, a potem spodnie pasujące do marynarki. Pralnia chemiczna, jedna z dwóch w całym Bath, znajdowała się tuż obok sklepu odzieżowego, w którym kupił skarpetki, namówił więc Wirfa, żeby tam wstąpili na wszelki wypadek.

- To tamte, o tam - rozpoznał swoje spodnie w pierwszej porcji ubrań, które przejechały obok nich na skrzypiącym łańcuchu.

- Nie do wiary - mruknął Wirf.

Dziewczyna zamrugała oczami, kiedy zobaczyła datę na kwicie.

- Osiemdziesiąty drugi rok? - przeczytała. - Oddał je pan do czyszczenia dwa lata temu?

- Tylko niech mi pani nie mówi, że jeszcze nie są gotowe - uprzedził ją Sully. - Potrzebuję ich natychmiast.

Jocko wciąż trzymał wartę pod drzwiami, kiedy Sully wyszedł z toalety.

- Myślałem, że jesteś w więzieniu - powiedział.

- Byłem - potwierdził Sully. - Dostałem przepustkę na trzy godziny, bo mam nieść trumnę.

- Boże, kocham małe miasteczka - prychnął Jocko. - Postawili ci chociaż zarzut?

- Jutro mają postawić.

- Nie mówiłem, żebyś uważał na tego gliniarza? - przypomniał mu Jocko.

- Nie wiem. A mówiłeś?

Z gardła Jocko wydobył się dźwięk przypominający gulgotanie.

- Jaką linię obrony chcesz przyjąć?

- Chwilowa niepoczytalność - powiedział Sully. - Zamierzamy zeznać, że te twoje pigułki wywołały atak szału.

Krew odpłynęła z twarzy Jocko.

- Skoro już o tym mowa - ciągnął Sully z uśmiechem - prawie się skończyły.

- Jesteś złym człowiekiem.

- Tak mówią - przytaknął Sully. - Ale ja w to mimo wszystko nie wierzę.

- Wszędzie cię wczoraj szukałem - przypomniał sobie Jocko. - Nie wiedziałem, że cię zamknęli.

- To byłeś chyba jedynym człowiekiem w Bath, który nie wiedział - podsumował Sully. Napaść na posterunkowego Raymera odbiła się w miasteczku szerokim echem, zanim jeszcze „North Bath Weekly Journal” zamieścił szczegółową relację, popartą sążnistym wstępniakiem, obwieszczającym, jak to określił autor, nowego ducha bezprawia, zagrażającego nie tylko lokalnej społeczności, ale fundamentom cywilizacji jako takim. Miał go zapowiadać ów najnowszy epizod, nadciągający w ślad za poprzednim, kiedy to szalony łowca jeleni, któremu nie dość było rzezi dokonanej w okolicznych lasach, pojawił się w miasteczku i zaczął ostrzeliwać okna domów przy Górnej. Artykuł sugerował narodziny nowego trendu i przestrzegał przed pochopnym lekceważeniem wcześniejszego wypadku, dlatego że jego sprawca mieszkał w Schuyler Springs, siedlisku podejrzanych elementów, gdzie można się było spodziewać podobnych aktów bestialstwa. Otóż między obiema sprawami istniało wiele subtelnych powiązań, jeśli ktoś chciał zadać sobie trud, żeby to zgłębić. W ich własnym mieście istniały rodziny o udokumentowanej historii agresywnych zachowań (Sullivanowie, ojciec i dwaj synowie, nie zostali wymienieni z nazwiska), być może, jak sugerował autor, obciążone

genetycznymi skłonnościami do przemocy. Artykuł kończył się tą złowróżbną naukową konkluzją.

- Byłem w Gettysburgu, w Pensylwanii, u mojej byłej - usprawiedliwił się Jocko. - Przez cały tydzień odgrywaliśmy jeszcze raz nasze najlepsze sceny batalistyczne. W każdym razie, wieść o twoich wyczynach tam nie dotarła.

- Cieszę się - powiedział Sully, po czym spojrzął na Jocko uważnie. - A właściwie po co mnie szukałeś?

- Zobaczyłem, że dzień wcześniej wygrała twoja kretyńska trójka, i chciałem się upewnić, że nie wyrzuciłeś kuponu.

Sully stał i wytrzeszczał na niego oczy.

- Przepraszam - powiedział Jocko. - Myślałem, że wiesz.

- Wygrała, kiedy byłem w kiciu?

Jocko poprawił swoje grube dwuogniskowe szkła. Robił wrażenie szczerze zmartwionego.

- Chyba nie przywalisz facetowi w okularach?

Sully nie uderzyłby Jocko. Ale gdyby zamiast niego stał przed nim sam Bóg (z pewnością było to owo przewrotne bóstwo, którego istnienie od tak dawna podejrzewał), kto wie, czyby go ręka nie zaswedziła.

- Myślałem, że wiesz - powtórzył Jocko.

- Zrób mi jedną przysługę - poprosił Sully.

- Co zechcesz - obiecał Jocko. - Tylko mnie nie bij.

- Nie mów mi, ile płacili - powiedział Sully. - Nigdy. Żebym cię nie wiadomo jak prosił.

- Masz to jak w banku - obiecał Jocko, wchodząc do ubikacji, którą Sully wreszcie zwolnił.

Sully usłyszał odgłos zamykania drzwi na zamek. Niektórzy ludzie są po prostu skrupulatni - pomyślał. Z takimi Bóg na ogół nie gra w kotka i myszkę.

Pomieszczenie, w którym stała trumna Hattie, było puste, jeśli nie liczyć pozostałych nosicieli i dwóch pracowników domu pogrzebowego. Stara kobieta przeżyła wszystkich swoich współczesnych. Pozostała jej jedynie Cassandra. Z tego powodu trudno było zebrać wymaganą liczbę mężczyzn do niesienia trumny. Peter został ściągnięty siłą, a Sully, siedząc w więzieniu, zwerbował Carla Roebucka, Jocko i Wirfa. Otis, który poczuwał się do winy, zgłosił się na ochotnika. Ralph, poczciwy jak zawsze, też się zaofiarował, ale Vera unieważniła jego akces, twierdząc, że nie powinien dźwigać po operacji. Przez chwilę rozważano kandydaturę Ruba, ale odrzucono ją przez wzgląd na szacunek dla zmarłej. Carl, Wirf i Otis stali stłoczeni w odległym

kącie sali. Rozmawiali szeptem, muzyka tłumiała ich głosy. Cassandra, w czerni, stała przy trumnie, rozmawiając po cichu z jednym z pracowników domu pogrzebowego. Peter stał pod przeciwległą ścianą, wyglądał elegancko w tweedowej marynarce, oksfordzkiej koszuli z kołnierzykiem na guziczki i wąskim krawacie zrobionym na szydełku. Sully podszedł do niego.

- Co tu tak sam stoisz?

Peter wzruszył ramionami.

- Czekam na ciebie.

- Tamci ci nie odpowiadają?

Peter znów wzruszył ramionami w irytujący sposób.

- Wierzysz w fart? - zapytał Sully.

- Niespecjalnie.

Sully skinął głową, spodziewając się takiej odpowiedzi.

- A ja wierzę - powiedział.

Peter się uśmiechnął, też najwyraźniej niezbyt zaskoczony.

- Pamiętasz tę trójkę, którą obstawiałem przez ostatnie dwa lata? - zapytał Sully. - Wygrała, kiedy siedziałem w pudle.

- Kiedy?

- Wczoraj. Nie, przedwczoraj - poprawił się Sully, usiłując sobie przypomnieć, co mówił Jocko.

- Coś takiego.

- Nie nazwałbyś tego pechem? - zapytał Sully.

- Pech nie miał wiele wspólnego z tym, że trafiłeś do pudła - zauważył Peter.

- A co z tobą? - indagował Sully. - Nigdy nie miałeś pecha?

- Nigdy - oświadczył Peter z uśmiechem. - Nigdy w życiu.

- Nawet do ojców?

- Ralph był fantastycznym ojcem.

- Cholerny mądrała.

Żaden z nich się nie odzywał przez dłuższą chwilę. W końcu Peter prze-rwał milczenie. - Muszę być jutro w Wirginii Zachodniej, pozatławić sprawy. Zabrać rzeczy ze swojego biura i to, co ewentualnie zostało w mieszkaniu. Chcę wyjechać, jak tylko skończymy z tym tutaj.

- Dasz sobie sam radę?

Znów ten irytujący półuśmieszek.

- Mam kogoś do pomocy.

- Gdybyś zaczekał, aż wyjdę, tobym ci pomógł. Wirf mówi, że to potrwa najwyżej kilka dni.

- Wolę załatwić to teraz - powiedział Peter, który najwyraźniej nie widział powodu, żeby cokolwiek wyjaśniać.

- Jak chcesz.

- Dobra.

- Dlaczego nie przyprowadziłeś Willa?

- Babcia go nie puściła. Może to i lepiej.

- Chyba tak - zgodził się Sully, chociaż uświadomił sobie, że liczył na spotkanie z wnukiem. - Co tam u niej? Lepiej? - Peter odwiedził go dwa razy w areszcie. Choć jak zwykle mało mówny, nie ukrywał, że Vera dawała się wszystkim we znaki. Były dalsze telefony od przyjaciółki Petera z Wirginii Zachodniej, a zdrowie Roberta Halseya znów się pogorszyło.

Peter wskazał trumnę ruchem głowy.

- Zdaje się, że będą zamykać - powiedział.

Rzeczywiście, wieko zostało opuszczone, nim Sully zdążył tam dokuśtykać przejściem między rzędami. Kiedy pracownicy domu pogrzebowego zobaczyli, że nadchodzi, dali mu do zrozumienia, że ponowne otwarcie trumny byłoby wbrew zasadom.

- Wszyscy czekają - oświadczyli.

- To moja matka - powiedział Sully.

- Nieprawda - zaprzeczył jeden z młodych ludzi.

- Nie w sensie fizycznym - zgodził się Sully.

- Pół minuty - poinformował go młody człowiek, podnosząc wieko. - Bo się spóźnimy do kościoła.

Stara Hattie patrzyła na nich z tym samym wyrazem nieokreślonej, ponurej zawziętości, jaki widniał na jej twarzy za życia. Jeżeli już, to robiła teraz wrażenie jeszcze bardziej zdeterminowanej. Sully, któremu wciąż się kręciło w głowie po wiadomości, że jego trójka w końcu wygrała, chociaż bez jego udziału, zastanawiał się, czy zamieniłby się miejscami ze zmarłą, gdyby mu zaproponowano taką możliwość. Było to kuszące.

- Nie wygląda na martwą, nawet teraz - powiedziała Cass, stając obok niego.

- Ale jest - rzekł Sully. - To chyba jednak nie był najlepszy pomysł z tą kasą. Jak się czujesz?

- Jak hipokrytka - wyznała Cassandra. - Życzałam jej śmierci kilkanaście razy na dzień.

Patrzyli razem na starą kobietę leżącą w trumnie. Cassandra popłakiwała cicho.

- Dopóki żyła i nic przez nią nie mogłam zrobić, mogłam myśleć tylko o jednym: dokąd bym pojechała, co bym zrobiła, gdyby wreszcie umarła. Teraz nie jestem już taka pewna, że to o nią chodziło.

- Daj sobie trochę czasu. - Prawdę mówiąc, podzielał jej wątpliwości. Niegdyś wyobrażał sobie, że świat stanie się lepszy, kiedy nie będzie na nim Dużego Jima, ale świat się specjalnie nie zmienił, ubyła tylko jedna osoba, którą można było obarczać winą za różne rzeczy. A Sully poprzysiągł sobie solennie, że będzie go obarczał. - Sprzedałaś restaurację? Dobrze słyszałem?

- Ćśś - szepnęła Cass, wskazując ruchem głowy matkę, która sądząc ze srogiego wyrazu jej zastygłych rysów, mogła nie tylko słyszeć, ale knuć podstępny odwet. - Twojej przyjaciółce, zresztą.

- Słyszałem plotki - powiedział Sully. Ściśle rzecz biorąc, nie były to plotki, tylko Wirf, który obsługiwał transakcję od strony prawnej. To on mu powiedział, że Vince i Ruth mają być współnikami. Vince wyłożył pieniądze, a Ruth wykupi swój udział, kiedy będzie mogła.

- Jeżeli ktoś może coś z tego zrobić, to właśnie ona. Ruth zna się na restauracjach. I potrafi ciężko pracować. Teraz będzie pracować na swoim. Obiecała nie zmieniać nazwy, co powinno ucieszyć zmarłą.

Oboje spojrzeli na Hattie, która, jeśli była zadowolona, nie dała tego po sobie poznać.

- Mam nadzieję, że się nie pośpieszyłaś. A jeśli park jednak ruszy i Bath będzie kopalnią złota?

- Jeżeli ruszy lunapark, ruszy i tuzin nowych restauracji. Poza tym, widziałeś dzisiejszą gazetę?

Sully skinął głową.

- Mimo wszystko, kto wie?

- Oboje wiemy - powiedziała Cassandra. - Tu się nigdy nic nie zmieni.

Sully chętnie przyznałby jej rację, ale właśnie myślał o tym, jak wiele się zmieniło w ciągu tygodnia, który spędził na koszt władz. Już sama śmierć Hattie i wyjazd Cassandry to dosyć, jak na taką miejscinę.

- Peter dobrze się sprawił? - zdecydował się zapytać.

- Tak - odparła Cassandra bez szczególnego entuzjazmu, jak mu się wydawało.

O dziwo, taka odpowiedź go zadowoliła. Z jednej strony zależało mu, ze względu na Cassandrę, żeby Peter dobrze się wywiązał z powierzonego zadania, z drugiej strony zaczynał się obawiać, czy kpiarskie zapewnienia syna,

że potrafi wszystko zrobić lepiej niż on, nie mają przypadkiem realnych podstaw. Wzrok obojga powędrował w stronę Petera, który usiadł właśnie na jednym ze składanych krzesel w głębi sali i przeglądał zawartość swojego portfela, przypuszczalnie, aby się upewnić, czy wystarczy mu na podróż do Wirginii Zachodniej i z powrotem. Sully odnotował sobie w myśli, żeby zaproponować mu swoje wygrane w pokera.

- Tamtą robotę wykonywał z podobnym entuzjazmem.

- Taki już jest - przyznał jej rację Sully. - Przypuszczalnie nadmiar edukacji. Albo za duża dawka mamusi.

- Albo ma kartofel w rurze wydechowej - rzuciła Cass ku zaskoczeniu Sully'ego. Nie przyszło mu wcześniej do głowy, że Cass żywi do Petera antypatię, i zastanawiał się, co mogło być powodem.

- Cieszę się, że tu dzisiaj jest - powiedział, znów sobie przypominając, że jego syn to jedyny pełnosprawny mężczyzna w ekipie. Pozostali mogli się posypać jak kręgle na oblodzonym chodniku.

- Nie zrozum mnie źle - zaznaczyła Cassandra. - Byłam zadowolona, że mam doświadczonego kucharza od szybkich dań.

Sully zmarszczył brwi. Kolejna niespodzianka.

- Nie wiedziałem, że ma jakiegokolwiek doświadczenie.

- Majak cholera - zapewniła go Cassandra. - Potrafi usmażyć jajko, nawet jeśli nie umie prowadzić rozmowy.

Sully skinął głową.

- Zdumiewające, ile rzeczy potrafi robić. Wygląda na to, że podłogę w domku kempingowym Carla też położył właściwie sam.

Cass uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Nie chciałam sugerować, że nie masz powodu być dumnym tatą. - W którymś momencie przestała płakać, chociaż na jej policzkach pozostały zaschnięte smugi. - Po prostu nie ma talentu swojego staruszka do poprawiania innym samopoczucia.

Sully postanowił przyjąć ten komplement w duchu, w jakim został wypowiedziany, chociaż wątpił, czy rzeczywiście była to sprawa talentu. Raczej pogładowej lekcji, jakiej udzielał ludziom przez samą swoją obecność, demonstrując, że zawsze może być gorzej. Był to zresztą jeden z podstawowych atutów towarzystwa Ruba.

Cass przywołała jednego z niecierpliwących się pracowników domu pogrzebowego i wskazała gestem, że mogą z powrotem zamknąć trumnę, po czym odwrócili się oboje z Sullym. Usłyszeli, jak Carl Roebuck mówi do Wirfa i pozostałych:

- No, dziewczęta, ruszamy. - Peter podniósł się ze swojego krzesła w głębi sali.

- Chyba rozumiem, czemu wszystkie kobiety na niego lecą - powiedziała Cassandra, patrząc na niego. - Jest wystarczająco przystojny.

Jakie wszystkie kobiety? - zdumiał się w duchu Sully.

- Tak jak jego ojciec - powiedział głośno.

- Zgadza się - potwierdziła Cassandra. - Tylko przystojny, tak jak powiedziałam.

Sully podszedł do grupy mężczyzn stojących przy trumnie.

- Czyżby profesor miał zamiar nam pomóc? - zapytał Carl Roebuck. Peter szedł właśnie niespiesznie w ich stronę. Dołączył do nich i zajął pozostawione dla niego miejsce na czele. - Weźmy w środek naszego jednonogiego prawnika i Sullivana seniora, żebyśmy ich nie zgubili - zaproponował Carl.

Otis jako jedyny nie uśmiechnął się na tę uwagę. Stał, wpatrując się w zamknięte wieko trumny Hattie. Po chwili jego wargi zaczęły drżeć i dało się słyszeć pochlipywanie.

- Otis, do jasnej cholery - ofuknął go Carl. - Przestań.

- Nie mogę - wychlipał Otis.

- Hej, weź się w garść - powiedział Sully, otaczając go ramieniem i poklepując po plecach dla dodania otuchy. Chyba tylko Jocko zauważył spoza swoich grubych szkieł, że kiedy cofnął rękę, wsunął do kieszeni palta Otisa gumowego aligatora, którego kupił w „Świecie Motoryzacji” Harolda.

- Jesteś złym człowiekiem, Sully - rzekł Jocko, kiedy zajmowali miejsca przy trumnie.

- Dobra - odezwał się Carl Roebuck, kiedy ujęli srebrne uchwyty. - Na trzy.

Przez kuchenne okno Jane widziała, jak ojciec pojawia się w drzwiach przyczepy, wypuszczając nosem kłęby pary niczym byk. Przy swojej budowie - krępy, przysadzisty, z wielką głową osadzoną na wąskich ramionach bez pośrednictwa szyi - przypominał byka także pod innymi względami. Rozumu też ma niewiele więcej - pomyślała. Nie, to była nieprawda. Gorzej, niesprawiedliwość. Zack był inteligentniejszy niż przeciętny byk, który wyobrażał sobie w swojej tępcocie, że może stawić czoło tłumowi ludzi, z których jeden, oprócz czerwonej plachty, miał na dodatek szpadę. Przeciętny

byk widział czerwoną płachtę i nic więcej. Ojciec bardziej przypominał tego byczka z kreskówek, który ciągle wachał kwiatki. Jak on się nazywał? Fernando.

W połowie oblodzonej ścieżki, prowadzącej od przyczepy do wielkiego garażu, Zack zauważył córkę stojącą w oknie, przystanął i zamachał do niej nieśmiało. Stracił przez to równowagę, którą odzyskał kosztem godności, wymachując w powietrzu rękami niczym wiatrak. Jane oddała mu pozdrowienie, również wykonując szalonego młyńca.

Ruth, która siedziała z wnuczką na kanapie w salonie, oglądając ilustracje w kolorowych czasopismach, dostrzegła kątem oka ożywienie Jane i podniosła wzrok, przyglądała się córce z ulgą. Nareszcie zaczyna przychodzić do siebie - pomyślała. Przez długi czas - przez cały pobyt w szpitalu - Jane nie była sobą i Ruth obawiała się, że jej obrażenia mają nie tylko fizyczny charakter, że to coś więcej niż wstrząśnienie mózgu i wielokrotne złamanie szczęki. Dopiero kiedy zdjęto druty, zrozumiała, jak wiele z osobowości jej córki kryło się w uśmiechu, który drut uniemożliwił, a raczej modyfikował, nadając mu smutny wyraz. Znużony półuśmiech osoby znającej życie nie należał do normalnego repertuaru Jane.

Twarz Jane, podobnie jak jej własna, zazwyczaj odzwierciedlała skrajne uczucia. Chętnie gościła na niej radość lub gniew, często również wtedy, kiedy samo uczucie już dawno minęło. Sully miał do niej pretensje, że naskakuje na niego bez ostrzeżenia, co zazwyczaj rozwścieczało ją jeszcze bardziej. Zdawała sobie jednak sprawę, że chociaż złość wzbiera w niej już od godziny, na jej twarzy nadal widnieje radość, wywołana jakimś jego wcześniejszym postępkiem, który ją zachwyił. Z Zackiem sprawa miała się jeszcze gorzej. Przebywanie w jego towarzystwie zawsze było dla niej równoznaczne ze stanem podminowania i mniej lub bardziej stały gniew, jakim na niego reagowała, pozostawał wypisany na jej twarzy nawet w tych rzadkich chwilach, kiedy przypadkiem zrobił coś, co ją ucieszyło. W ten sposób, po trzydziestu latach małżeństwa, Zack nadal nie miał rozeznania, kiedy zrobił to, co powinien, tak by mógł to zrobić jeszcze raz. Jane odziedziczyła po Ruth ów brak subtelności, jeśli chodzi o uczucia malujące się na jej twarzy. Gniew lub radość trwały na niej zwodniczo, niebezpiecznie, podczas gdy w jej wnętrzu nastąpił już emocjonalny zwrot.

- Nie zachęcaj ojca - upomniała ją Ruth, ogarniając jednym rzutem oka sytuację przy kuchennym oknie.

Jane w zamyśleniu wykręciła ścierkę z mydlin.

- To silniejsze ode mnie - przyznała, widząc, jak ojciec znika w drzwiach garażu. - Wydaje się taki zagubiony.

- Oczywiście - powiedziała Ruth, przewracając gniewnie stronę czasopiśma, którą Tina natychmiast odwróciła z powrotem. Była to jedna z tych spraw, które Ruth nie do końca pojmowała u swojej wnuczki. W co się tak usilnie wpatrywała, kiedy oglądały ilustracje, co stanowiło jedno z jej ulubionych zajęć? Wszystkim innym dzieciom, jakie Ruth kiedykolwiek знаła, zawsze było spieszo. Jane, jako mała dziewczynka, nie mogła się doczekać, kiedy jej matka skończy czytać stronę dziecięcej książeczki i będzie można odwrócić kartkę. Czekala niecierpliwie na Ruth, która nie nadążała za jej wyrwywającą się naprzód, nienasyconą wyobraźnią i ciekawością. Czasami kartka nie wytrzymała, kiedy z jednej strony przytrzymał ją kciuk Ruth, a z drugiej ciągnęły paluszki Jane. Jeśli chodziło o Tinę, nie można było przewracać stron dość wolno. Wydawało się, że dziecko nie tyle ogląda, ile chłonie ilustracje. Ruth zaczęła się zastanawiać, jak jej się to często zdarzało, czy dziewczynka jest rzeczywiście tak powolna, czy raczej wszystko musi przemyśleć. Zdrowy rozsądek przemawiał za pierwszym, chociaż ostateczny werdykt nie został jeszcze wydany i przypuszczalnie nie zostanie wydany w najbliższym czasie. Zauważyła jednak, że dziecko jest spostrzegawcze i zapamiętuje większość tego, co zobaczy. Dwa lata wcześniej Ruth dała jej pod choinkę książeczkę, zatytułowaną „Gdzie jest króliczek?”, w której trzeba było odszukać różne zwierzątka, ukryte wśród skomplikowanych, obfitujących w szczegóły ilustracji. Czasami stworzonko - maleńkie i niepozorne, ukrywało się w gęstej koronie wysokiego drzewa. Innym razem na jego sylwetkę składało się wiele różnych, niepodobnych do siebie obiektów. Tina odnajdywała każde z nich błyskawicznie - na długo przedtem, nim udawało się to zrobić Ruth. Doszła do wniosku, że mała musiała znać książeczkę już wcześniej i podawała rozwiązania z pamięci. Ale Jane zarzekała się, że to nieprawda. Nie podejrzewała też, żeby Roy przerabiał z córeczką te lamigłówki, wątpiła zresztą, czy sam potrafiłby znaleźć króliczka.

- Dlaczego twój ojciec nie miałby się czuć zagubiony? - ciągnęła Ruth. - Był zagubiony przez całe życie.

- Zgadza się - powiedziała Jane ze smutkiem - ale zawsze miał ciebie, więc nie miało to znaczenia. Powinnaś mu przynajmniej pozwolić nas odwieść.

Kiedy mąż Jane trafił za kratki, Ruth uparła się, żeby przyholować z powrotem przyczepę kempingową, w której jej córka i zięć mieszkali w Schuyler

Springs. Odziedziczyli ją wraz z umeblowaniem, kiedy brat Zacka wyjechał swoim wozem terenowym na zamrożone jezioro podczas odwilży. Początkowo chcieli ją sprzedać, ale się zorientowali, jak niewiele by za nią dostali, z jej pordzewiałymi listwami i brązowymi plamami od śniegu sięgającymi połowy burt. W środku hulwały przeciągi i Ruth podejrzewała, że rachunek za ogrzewanie będzie nieprzyzwoicie wysoki. Ale jeśli kiedykolwiek istniał człowiek, zasługujący na to, żeby mieszkać w rozlatującej się przyczepie, tym człowiekiem był jej mąż.

- Jesteś po prostu w dołku, bo straciłaś Sully'ego i odgrywasz się na tacie - powiedziała Jane, nie odwracając się.

- Nikogo nie straciłam - sprostowała Ruth. Widziała Sully'ego rano na pogrzebie i wydał jej się taki biedny, że przeżyła chwilę rozterki, nim umocniła się w swojej decyzji - Dałam sobie spokój z obydwoma. Życie nie może być tak znów dużo gorsze bez mężczyzn. Przynajmniej mężczyzn, których wydają się przyciągać.

- Nie miałabyś żadnego, gdyby nie twój kiepski gust - odparła Jane wesoło.

- Byłaś sympatyczniejsza z zadrutowaną buzią - powiedziała Ruth. - I jesteś rzeczywiście odpowiednią osobą, żeby krytykować czyjeś upodobanie do mężczyzn.

- Aha, jasne... - mruknęła Jane z tą swoją irytującą manierą, bez zniżania głosu. Miało to sugerować, jak się Ruth domyślała, że jej rozmówca, kimkolwiek był, plecie duby smalone.

- Daruj sobie tę odzywkę. Wiesz, że jej nie znoszę.

- Aha, jasne...

- I nie życzę sobie, żebyś wyносиła ojcu jedzenie - dodała Ruth, dając wyraz kolejnemu podejrzeniu.

- Niczego mu nie wyносиłam - zaprzeczyła Jane. Kiedy to mówiła, z garażu wyszedł Zack i ruszył śliską ścieżką w stronę przyczepy. Pod pachą niósł pakunek wielkości i kształtu piłki futbolowej, owinięty w aluminiową folię. Tym razem nie pomachał ani nawet nie zerknął w stronę domu. - Jak się nazywa ta choroba, której się dostaje, kiedy się nie je warzyw?

Ruth pomyślała chwilę.

- Krzywica - przypomniała sobie.

- Aha, zgadza się - potwierdziła Jane. - Chciałabyś, żeby tatuś dostał krzywicy?

- Chciałabym, żeby dostał czyraków - odparła Ruth. Wiedziała, do czego Jane pije. Od czasu kiedy Ruth wyeksmitowała męża do przyczepy niemal

przed dwoma tygodniami, Zack żywił się, jak podejrzewała, wyłącznie smażonymi kotletami z dziczyzny.

Właściwie to z powodu jelenia pokazała mężowi drzwi. Oczywiście, była na niego wściekła już przedtem. Zack z uporem zaprzeczał, że to on poradził Royowi, by poszukał Jane u Sully'ego, ale miał minę winowajcy, poza tym było to wypisz wymaluj w jego tchórzowskim stylu, zwłaszcza jeśli Roy go postraszył.

Ale kiedy wytargował jelenia, którego Roy zastrzelił i zostawił z wywalonym językiem na Górnej, miarka się przebrała. Widziała oczyma wyobraźni, jak się o niego wyklóca, jak przekonuje, że wywiezie go nieodpłatnie, że jeleni należy się prawnie jego córce, skoro jej mąż, który go upolował, idzie za kratki. Pewnie argumentował, że ma w garażu zamrażarkę, w której będzie mógł po oprawieniu przechować mięso, że jeleni został zastrzelony legalnie. Byłoby rzeczą karygodną zmarnować dwieście funtów mięsa. Tego ostatniego argumentu użył wobec Ruth. „To by było karygodne marnotrawstwo” - powiedział, wzruszając swoimi wąskimi ramionami, co było najgłupszym i najbardziej żalonym gestem spośród imponującego arsenału głupich i żalonych gestów, jakim dysponował.

Tak, to jeleni był tym, czego nie dała rady znieść. Zjedli już jednego przed kilkoma laty i poprzysięgła sobie wówczas, że to będzie ostatni. Tamtego Zack zabił swoim dodge'em; zwierzę wyskoczyło mu z lasu prosto pod koła, rzadki szczęśliwy traf. Nim zahamował z piskiem opon, zdążył ustalić, że będzie im potrzebna zamrażarka i że zna faceta, który ma na sprzedaż używaną w dobrym stanie. Kupił ją w drodze powrotnej i załadował na swojego pikapa razem z jeleniem. Potem zajechał pod IGA, zostawił samochód na parkingu i poszedł odwołać Ruth od kasy. „Darmowe mięso na zimę” - oznajmił. Ruth spojrzała najpierw na martwego jelenia, potem na swojego żywego małżonka. Wyraz samozadowolenia na jego twarzy dopiekl jej do żywego. Nie mógł być bardziej dumny ze swojej zdobyczy, gdyby ustrzelił go własnoręcznie z łuku z odległości stu pięćdziesięciu jardów. „Ej, mogą to wyklepać” - zawołał, kiedy Ruth obeszła samochód, żeby obejrzyć wgniecioną, zakrwawioną osłonę chłodnicy. Ale ona już zawróciła bez słowa w stronę IGA i swojej kasy. Woląла nic nie mówić, niż dać wyraz ogarniającemu ją przemożnemu uczuciu, że poślubiła faceta, dla którego synonimem uśmiechu losu jest to, co mu przypadkiem wpadnie pod koła. Jedli dziczyznę przez całą zimę i z każdym kęsem musiała przełykać przypominanie, że mięso jest za darmo.

Kiedy Zack przywiózł kolejnego jelenia, w Ruth pękło coś, co od długiego czasu było napięte do ostateczności. Poślubiła hienę. Ich dom był zavalony rupieciami, które wygrzebywał na wysypisku, złomem, który znosił zewsząd i domagał się, żeby go oglądała. Często nie były to nawet kompletne urządzenia, ale same wnętrzości - miedziane cewki i wirniki, kawałki włókna szklanego i elektromagnesów, wszystko to, jak twierdził, „zupełnie dobre”, co znaczyło darmowe.

Zack widział wokół siebie wiele niepojętych zjawisk, ale tym, co kazało mu wciąż na nowo rozdziawiać usta ze zdumienia i drapać się z niedowierzaniem w zmarszczone czoło, był fakt, że tak wielu ludzi wyrzuca na śmietnik „zupełnie dobre” rzeczy - opony całkiem jeszcze zdadne do użytku, na których zostało sporo bieżnika, sprzęt gospodarstwa domowego z działającymi silnikami i pompami, ciężkie kawały metalu, które można było sprzedać na złom. Zdumiewające, jak wiele tego było, i Zack ściągał to wszystko do domu. Nie docierało do niego, że opory żony dotyczą jego praktyk padlinożercy jako takich, a nie konkretnych rzeczy, które przynosi do domu. Cały czas myślał, że jeśli przedstawi jej walory danego znaleziska, to Ruth zrozumie. Nie docierało do niego, że jedyną rzeczą, która odstręczała ją bardziej niż mąż-łowca odpadków, było słuchanie jego wywodów na ten temat. Tak wyobrażała sobie piekło: słuchanie przez całą wieczność opowieści Zacka o wszystkich rzeczach, które ludzie wyrzucają na śmietnik jako bezwartościowe, gdy tymczasem można było za nie dostać parę centów, jeśli człowiek wiedział, dokąd pójść.

Jane wycierała ręce. Ruth przyglądała się córce, powstrzymując łzy, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu. Jakże inaczej wyglądałoby życie Jane, gdyby była ładna, pomyślała. Z takim ciałem, gdyby była ładna, chłopcy czuliby przed nią respekt i trzymaliby się na dystans. Nie znaczy to, że była brzydka, po prostu zwyczajna, tak samo jak Ruth, i to zawsze dodawało chłopakom odwagi. I oczywiście nie umieli utrzymać rąk przy sobie w jej obecności. W wieku trzynastu lat miała biust dwudziestolatki, a kiedy skończyła czternaście, Ruth wróciła któregoś popołudnia później do domu i przyłapała córkę z chłopakiem na kanapie w salonie. Pojawiła się tak nagle, że nie zdążył wyjąć rąk spod stanika Jane. W oczach Ruth Jane wciąż była tą narażoną na wszelkie zło nastolatką, której ciało było znacznie bardziej rozwinięte niż umysł. Nie była niewinna w ścisłym tego słowa znaczeniu. Obmacywanki sprawiały jej przyjemność, nawet tamtego popołudnia, kiedy Ruth ich zaskoczyła. Jej problem polegał na tym, że nie potrafiła na nie

właściwie spojrzeć. Ruth ją rozumiała. Wiedziała, że jej córka nie bez powodu jest taka a nie inna.

- Mogłabyś posiedzieć trochę z Ptasim Mózdzkiem, kiedy ja wyjdę na parę godzin? - rzuciła Jane, stojąc w drzwiach.

- Wychodzisz? Dokąd? - Pytanie padło, zanim Ruth zdążyła ugryźć się w język.

- Wychodzę stąd - wyjaśniła Jane. - Nie bądź wścibska. Jestem dorosła.

- Dopiero co opuściłaś szpital.

- I boisz się, że mogłabym mieć trochę przyjemności? Postanowiłaś pogonić mężczyzn i oczekujesz, że ja zrobię to samo.

Było w tym wystarczająco dużo prawdy; żeby zamknąć Ruth usta. Decydując się na życie w celibacie, liczyła, że będzie mieć na tej nowej drodze towarzystwo. Im więcej, tym lepiej.

Zamiast się do tego przyznać, przypomniała córce:

- Jutro zaczynam od rana. Przydałaby mi się pomoc.

- Myślałam, że Cassandra tam będzie.

- Będzie - potwierdziła Ruth.

Cassandra obiecała jej asystować do końca tygodnia, żeby ją wprowadzić w interes, ułatwić nawiązanie kontaktu z klientami i dostawcami. Wyglądało na to, że jedni i drudzy nie mogą się doczekać, kiedy restauracja, nieczynna od śmierci Hattie, czyli prawie od tygodnia, znów otworzy swoje podwoje.

- W takim razie nie będę potrzebna - skwitowała sprawę Jane, narzucając płaszcz.

- Weźmiesz moją poprzednią posadę, jak sądzisz?

- Trudno powiedzieć - odparła Jane, jak gdyby to pytanie też stanowiło nieuprawnioną ingerencję w jej osobiste sprawy.

- Vince będzie musiał kogoś przyjąć. Nie będzie trzymał dla ciebie miejsca w nieskończoność.

- Owszem, będzie. - Jane się uśmiechnęła. - Ma do mnie wybitną słabość.

Ruth pomyślała chwilę i doszła do wniosku, że może to być prawda.

- Mogłabyś trafić gorzej. Vince to miły facet. Byłby dla ciebie dobry.

- To starszy pan, mamusiu.

- Jest młodszy ode mnie.

- Aha, jasne... - Jane podeszła do kanapy i podniosła Tinę, pocierając nosem o jej nos. - Mama wychodzi na jakiś czas, Ptasim Mózdzku. Bądź grzeczna i słuchaj babci.

- Damy sobie radę - powiedziała Ruth. - Ty bądź grzeczna i słuchaj babci.

- Babcia nigdy nie była grzeczna - zauważyła Jane. - Nie wiem, dlaczego ja miałabym być.

- Żebyś nie skończyła tak jak babcia.

Jane nagle spoważniała, chociaż na jej twarzy wciąż się błakał irytujący uśmiezek, który wywoływała obietnica fizycznych uciech.

- Co ja bym zrobiła bez tej babci.

Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Ruth pofolgowała łzom. Płakała cicho, żeby Tina nie zauważyła. Dziewczynka, która wpatrywała się w ilustrację, jak gdyby ktoś miał ją później odpytać z jej treści, nawet nie podniosła wzroku, kiedy jej matka wyszła z domu. Kiedy w końcu pozwoliła Ruth odwrócić stronę, na jej buzi pojawił się szeroki uśmiech, a małą rączką sięgnęła do ucha babci.

- Ślimak - powiedziała, pokazując ilustrację.

Zegar w samochodzie wskazywał wpół do czwartej nad ranem. Clive junior nie przypominał sobie, kiedy po raz ostatni był na nogach o takiej porze. I nie tylko na nogach, ale całkowicie rozbudzony. Bez śladu senności. Trzeźwy do głębi swojego jestestwa. Drzewa śmigły w pędzie, olbrzymie, wydobywane z mroku przez reflektory samochodu. Wyobrażał sobie, że to promienie lasera wcinające się z łatwością w korę i miazgę, wyobrażał sobie wielkie drzewa, podcięte, walące się za nim z trzaskiem na szosę, odcinające drogę pogoni.

Co nie znaczy, że faktycznie spodziewał się pościgu w najbliższym czasie. Być może nigdy, przynajmniej w typowym rozumieniu. Może dałoby się pójść tropem jego zakupów robionych za pomocą karty kredytowej, odnotowanych gdzieś w komputerze, ale nie jego własnym, nie tropem lincolna. Mimo to cieszył go smak ucieczki i pogoni. Jako chłopiec zwiewał kiedyś przed okolicznymi łobuzami, ale potem został upokorzony i nigdy sobie nie wyobrażał, że ucieczka może być frajdą, upajającym wyzwaniem. Nie odruchem ślepej paniki, ale czymś wyzwalającym, niczym wiedza, niczym smak własnej krwi. Clive junior przesunął językiem po rozciętej wardze i uśmiechnął się. Kto by pomyślał, że smak krwi może rozproszyc lęk. Sully musiał to wiedzieć jako nastolatek. To mu dawało odwagę, żeby się podnieść z ziemi z rozbitym nosem i rzucić z powrotem w wir walki. Być może nawet własny ojciec Clive'a juniora próbował go tego nauczyć - tego, że krew i ból to sprawy, nad którymi można zapanować.

Kiedy prawie przednie koło lincolna zahaczyło o miękkie pobocze, Clive szarpnięciem skierował z powrotem wielki samochód na środek dwupasmowej, asfaltowej szosy, gdzie miał między kołami ciągłą, żółtą linię, raz jeszcze zauważając dziwny brak lęku, który towarzyszył mu niemal od momentu wyruszenia. Jego ucieczka trwała już dwudziestą pierwszą godzinę, licząc od skrzyżowania łącznika z autostradą, gdzie tamtego ranka stanął wobec dylematu, którego nie przewidział. Na północ leżało Schuyler Springs i Lake George, gdzie spakowana Joyce czekała na niego i na ich wspólny długi weekend na Bahamach. Zamiast tego skręcił na południe, dodając ostro gazu i natychmiast odczuwając moc podjętej decyzji, żeby zostawić ją za sobą, razem ze wszystkim. Poranne spotkanie z braćmi Squeers w jakiś sposób ukazało mu wszystko w nowym świetle i jedną z tych ujrzanych na nowo spraw była Joyce - kobieta neurotyczna, egocentryczna i zużyta, jak sobie to po raz pierwszy uświadomił. Małżeństwo z nią - widział to teraz z porażającą jasnością - byłoby gwarantowanym nieszczęściem.

Znajdował się gdzieś w zachodniej Pensylwanii, nie wiedział dokładnie gdzie. Godzinę wcześniej przemknął obok tablicy informującej, że do Pittsburga jest siedemdziesiąt pięć mil, ale od tamtej pory szosa rozwidlała się dwukrotnie i teraz widział na drogowskazach nazwy miejscowości, o których nigdy przedtem nie słyszał. W schowku na rękawiczki miał trzy mandaty za przekroczenie szybkości, jeden ze stanu Nowy Jork i dwa z Pensylwanii, oba wystawione przez tego samego funkcjonariusza kontroli drogowej. Za pierwszym razem złapano go przy osiemdziesięciu pięciu milach na godzinę, za drugim i trzecim osiągnął dokładnie dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Nie był to zbieg okoliczności, gdyż Clive junior tak właśnie ustawił prędkość podrózną. Pierwszy mandat z Pensylwanii przyjął w milczeniu i wrzucił bez słowa do schowka na rękawiczki, pozbawiając młodego policjanta satysfakcji oglądania jego skruszonej miny. Kolejne wyzwajające doświadczenie. Przez całe życie był uprzedzająco grzeczny wobec gliniarzy. Przyłapany na przekroczeniu szybkości, zawsze zaczynał od przyznania się do winy. („Zdaje się, że trochę za mocno przycisnąłem, tak, panie władzo?”)- W ten sposób uprzedzał pierwsze pytanie policjanta („Wie pan, jaka jest tutaj dozwolona prędkość, panie Peoples? Wie pan, jak szybko pan jechał?”), zmuszając go do improwizowania reszty rozmowy na poczekaniu. Wielu policjantów w takiej sytuacji wołało puścić faceta, poprzestając na ostrzeżeniu. Clive junior czuł, że ten młody funkcjonariusz mógł być podatny

na tę samą taktykę, ale czołobitność wobec gliniarzy była jedną z rzeczy, z których postanowił zrezygnować, gdy kierował samochód na południe zamiast na północ w stronę Lake George i oczekującej go narzeczonej.

Prawdę mówiąc, postanowił zrezygnować z wszelkiej czołobitności. Wziął więc mandat w milczeniu, wsadził go do schowka na rękawiczki, po czym, kiedy młody policjant życzył mu miłego wieczoru, wyjechał na autostradę, jednym ruchem ustawiając z powrotem wskaźnik prędkości podróżnej na dziewięćdziesiąt mil na godzinę. Kiedy ten sam policjant zatrzymał go dziesięć mil dalej na zachód na tej samej autostradzie międzystanowej, miał niezbyt mądrą minę. „Powoli się pan uczy, panie Peoples” - zauważył, tym razem każąc mu wysiąść z samochodu. Na poboczu leżał śnieg i kiedy funkcjonariusz pomagał mu rozprostować nogi, Clive junior stracił równowagę, osuwając się na kolana w śnieg i rozcinając sobie przy okazji wargę o karoserię samochodu. Policjant poczekał, aż się pozbiera, po czym zaświecił mu latarką w twarz, wydobywając z ciemności rozciętą, krwawiącą wargę. „Chciałbym wiedzieć, z czego się pan śmieje, panie Peoples” - powiedział. Ale Clive junior skwitował i tę uwagę milczeniem. Zamiast odpowiedzieć, odwrócił się tyłem i splunął w śnieg czerwoną śliną. Jeden z najbardziej satysfakcjonujących gestów w jego życiu, kiedy sobie teraz o tym przypominał.

Policjant trzymał go na zimnie prawie pół godziny, rozmawiając przez krótkofalówkę, podczas gdy Clive junior stał na lodowatym wietrze, aż wreszcie usiadł z powrotem w samochodzie. Gliniarz puścił go w końcu, tym razem z surowym ostrzeżeniem. „Myślę, że trochę za panem pojedę, panie Peoples. Niech pan jeszcze raz wrzuci dziewięćdziesiątkę i zobaczymy, komu będzie do śmiechu”.

Tak więc Clive junior skręcił na południe przy najbliższym zjeździe z autostrady, ruszając szlakiem opustoszałych dwupasmowych szos biegnących przez zachodnie Allegheny. O drugiej w nocy minął w pędzie grupę małych, umierających wiosek, mających do zaoferowania niewiele więcej niż ciemny, odrapany budynek, mieszczący stację benzynową, warsztat samochodowy i publiczną toaletę. Ameryka, jak mu się teraz wydawało, wciąż była pełna na kiepskich miejsc.

Czując, że znów zjeżdża na pobocze, skręcił z powrotem na asfalt, zaskoczony, że samochód nie od razu go usłuchał. Wydawało się, że ułamek sekundy dzieli ruch kierownicy od reakcji samochodu, co kazało mu się zastanowić, czy nie trafił na koleinę. Ale kiedy wyjechał na prostą, znów czuł

samochód tak jak przedtem. Wrażenie było dziwne, acz znajome, chociaż musiał cofnąć się w czasie o ponad pięćdziesiąt lat, żeby ustalić skąd. Ile mógł mieć lat wtedy w wesołym miasteczku, kiedy posadzono go w jednym z jaskrawo pomalowanych dzieciennych samochodzików, sunących powoli po owalnym torze? Nie pamiętał, ale przypominał sobie uczucie zawodu, kiedy odkrył, że kierownica to lipa, że obracanie nią w lewo czy w prawo, szybciej lub wolniej, nie ma żadnego wpływu na kierunek jazdy, podobnie jak dwa fałszywe pedały w podłodze samochodu, mające zapewne oznaczać gaz i hamulec. Pamiętał, jak próbował ukryć rozczarowanie przed mamą i tatą, być może nawet przed samym sobą.

W miejscowości o nazwie Hatch, gdzie szosa się nieco rozszerzała, Clive junior wyskoczył z lasu, przeleciał na mrugających ostrzegawczo żółtych światłach z prędkością sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę i równie szybko znalazł się z powrotem wśród wysokich drzew, których korony tworzyły sklepienie niczym w katedrze. Potem zza chmur nad zachodnim, jak przypuszczał, horyzontem wychynął księżyc w ostatniej kwadrze i zawisł nad maską lincolna, połyskując na karoserii i oświetlając mu drogę. Clive zastanawiał się, jak szybko musiałby jechać, żeby cały czas mieć wschodzące słońce za plecami. Odpowiednia szybkość mogła tego dokonać. Spojrzał w lusterko wsteczne, aby upewnić się, że nic, nawet świt, nie podąża jego tropem, i ucieszył się, widząc, że mały prostokąt jest idealnie czarny.

Nawet gdyby nie spojrział w lusterko, było mało prawdopodobne, żeby zauważył dziurę w jezdni, a nawet gdyby ją spostrzegł, pewnie nie zdołałby jej wyminąć. Prawa przednia opona samochodu trafiła w sam środek wyboju, tylne koło tuż za nią, o jedno przyspieszone uderzenie serca później, aż cały samochód zadygotał, a miękkie dłonie Clive'a poczuły drżenie kierownicy. „Au!” - syknął i słysząc własny głos, pomyślał, że rozsądnie byłoby zwolnić. I tak nie mógł prześcignąć wschodu słońca. Potem przekonał się, że samochód znów zjeżdża na pobocze, a kiedy skręcił kierownicę, poczuł, że maszyna nie reaguje.

Przed nim prosty odcinek długości dwustu jardów i, przy prędkości sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, niezbyt wiele czasu. Wystarczająco dużo jednak, żeby przypomnieć sobie ostrzeżenie Harolda Proxmire'a, który radził mu sprawdzić oś po tym, jak Joyce zaparkowała samochód na ścieżnym pniu. Wystarczająco dużo, żeby wyobrazić sobie, co go czeka za tym prostym odcinkiem, wystarczająco dużo, żeby wyobrazić sobie, jakie to

uczucie, kiedy się wylatuje w powietrze, szybuje przez krótką chwilę, przebijając ciemność reflektorami, usiłującymi dosięgnąć drugiego brzegu wąwozu, gdy w dole rozpościera się jedynie cisza i ciemność. Wystarczająco dużo, żeby sobie przypomnieć, że jego własny ojciec zginął przy prędkości trzydziestu mil na godzinę, na spokojnej małomiasteczkowej ulicy, nie zderzając się z innym pojazdem. Wystarczająco dużo, żeby oszacować własne niewielkie szanse.

Kiedy, ku jego zaskoczeniu, układ kierowniczy znów zareagował i samochód pokonał zakręt z prędkością sześćdziesięciu mil na godzinę, wyrzucając spod kół furkoczące kamyki w ciemność wąwozu, czuł dziwny brak emocji, a kiedy przejechał językiem po spuchniętej dolnej wardze, przeżył zawód, że tak niewiele słonego smaku krwi na niej pozostało. Uciskając obrzemie zębami, zdołał rozerwać skaleczenie niczym skórkę winogrona i znów mógł smakować do woli słodycz krwi.

Drzewa przed nim rozstąpiły się, otwierając widok na biegnącą daleko w dole autostradę, która mierzyła prosto w lunę widoczną na zachodzie. Wyglądało to niczym scena oglądana z okna samolotu. Główna autostrada Pensylwanii, jak się domyślał, i Pittsburg.

Znów poczuł bez lęku, jak kierownica mu ucieka, ani w pełni posłuszna, ani całkowicie poza kontrolą. A więc to tak, pomyślał. Tak to jest być Sullym.

Piątek

Sędzia Barton Flatt nie był okazem zdrowia. Policzki miał obwisłe i po-
zółkłe, włosy, z wyjątkiem kępki nad czołem, wypadły mu po chemioterapii.
Siedział, zagłębiając się w skórzanym fotelu, za wielkim dębowym biurkiem, ale
poprawiał się co chwila, najwyraźniej nie mogąc sobie znaleźć odpowiedniej
pozycji. Wyglądał, jakby toczył tytaniczną walkę z nieuchronnym wzdęciem,
i wszyscy pozostali zerkali na niego nerwowo. Oprócz chorego sędziego w
gabinecie obecny był prokurator okręgowy Satch Henry, szef policji Ollie
Quinn, posterunkowy Dough Raymer w cywilnym ubraniu i okularach prze-
ciwsłonecznych, Wirf, z zaczerwienionymi oczyma, wyglądający, jakby go
ktoś ubrał, kiedy leżał w łóżku, i oczywiście Sully, na którego cześć zwołano
to posiedzenie.

- Dobra, dziewczęta i chłopcy - powiedział sędzia, zamykając leżącą
przed nim szarą teczkę z raportem policyjnym. - Zobaczymy, czy uda nam
się dokonać tu dzisiaj aktu małomiasteczkowej sprawiedliwości.

- Wysoki sędzie, czy moglibyśmy przynajmniej wszyscy usiąść? - zapytał
szef policji. Naprzeciw biurka sędziego ustawiono półkolem pięć składanych
krzesel. Wszystkie były zajęte, oprócz krzesła przeznaczonego dla Sully'ego,
który chodził, kuśtykając, wzdłuż wyłożonej książkami tylnej ściany gabine-
tu. Jego kolano pulsowało do taktu orkiestry dętej, zdecydował więc, że
najlepiej będzie maszerować.

- Panie Sullivan - zapytał sędzia Flatt - bardziej odpowiada panu pozycja
siedząca czy stojąca?

- W tej chwili stojąca - powiedział Sully, dodając po chwili: - ...wysoki
sędzie.

- On nie stoi, on chodzi tam i z powrotem - zauważył szef policji.

Sędzia poruszył się gwałtownie w swoim fotelu, na co pozostali cofnęli się jak przed ciosem.

- Niewykluczone, że dołączę do niego, zanim skończymy.

- Działa mi po prostu na nerwy - tłumaczył się komendant, zerkając nieufnie na Sully'ego przez ramię.

- Tobie, Ollie, działa na nerwy każdy, kto nie siedzi za kratkami - powiedział sędzia. - Utwierdzasz faszystowski stereotyp. Proszę spacerować z tej strony - zwrócił się do Sully'ego. - Nasz szef policji obawia się niesygnalizowanego ataku.

- Wysoki sędzie - powiedział Satch Henry, podnosząc rękę niczym grzeczny uczeń szkoły podstawowej. - Jeżeli nie czuje się pan dobrze, możemy odłożyć...

- Nie, załatwimy to teraz - przerwał mu sędzia. - Pan Sullivan spędził już jedno święta w więzieniu, a ja raczej nie będę lepiej dysponowany za tydzień niż teraz. Chyba że proponujesz odroczenie do następnego miesiąca, kiedy przejdę na emeryturę i będziesz mógł przedstawić sprawę komuś, kto ci bardziej odpowiada.

- Ależ skąd, wysoki sędzie - powiedział szybko Henry.

- Dobrze - rzekł sędzia. - Wobec tego kontynuujemy.

Wirf, który nie powiedział ani słowa od chwili, gdy weszli, popatrzył na swoje paznokcie, a na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Pół godziny wcześniej mieli z Sullym krótką naradę, podczas której Wirf wyjaśnił, czego się spodziewa. „Jeżeli sprawy potoczą się tak, jak przypuszczam, nie zamierzam zbyt wiele mówić (jak zwykle - przypomniał mu Sully). A ty masz nie otwierać ust, chyba że zadadzą ci konkretne pytanie. Zapamiętaj sobie: bez względu na to, co się będzie działo, sam fakt, że jesteśmy w biurze sędziego, to dobra wiadomość. Satch Henry wie o tym i jest gotów wypruć sobie flaki, żeby dopiąć swego. Wszystko powinno pójść dobrze, jeśli sami nie spa-przemy sprawy”.

Sully nie był tego taki pewien. W ciągu ostatnich dwóch lat procesowali się z Wirfem o różne sprawy i jak dotąd żadna z nich nie potoczyła się po ich myśli. Mimo to musiał przyznać, że początek wyglądał obiecująco. Zdaniem Wirfa było sporo nieporozumień pomiędzy sędzią a biurem prokuratora okręgowego i Sully doszedł do wniosku, że coś z tego może wyniknąć; a słynął z języka, który demokratycznie nie oszczędzał nikogo. Mimo wszystko Wirf mógł mieć tym razem rację. Zdarzało mu się odgadnąć werdykt w „Sądzie obywateli”, czemu więc nie miałyby mu się to udać w rzeczywistej sprawie?

Sędzia Flatt odsunął teczkę z policyjnym raportem, celując wskazującym palcem w Satcha Henry'ego.

- Dobra, Satch, chcę, żebyś mi powiedział prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Masz rzeczywiście zamiar przedstawić panu Sullivanowi te zarzuty, skierować sprawę do sądu i wydać na to sporo pieniędzy podatników?

Satch Henry zrobił się purpurowy.

- Wysoki sędzie, nie wątpię, że istnieją precedensy, jeśli chodzi o stawianie w stan oskarżenia i skazywanie za pobicie funkcjonariusza policji. Pan Sullivan ma długą historię agresywnych zachowań. Złamał posterunkowemu Raymerowi nos i przyprawił go o wstrząśnienie mózgu. Zdejmij te ciemne okulary, Dough.

Posterunkowy Raymer zdjął okulary przeciwsłoneczne. Wokół oczu miał sine, a właściwie zielone obwódki, bo opuchlizna po obu stronach nosa zmieniła już barwę z fioletowej na zgnięzieloną.

Sędzia Flatt przyjrzał się policjantowi uważnie.

- Czy wciąż mówi się na to „limo?” - zapytał. - Tak się to nazywało, kiedy byłem chłopcem.

Policjant wydawał się skonfundowany tym nieoczekiwanym pytaniem.

- Chyba tak - powiedział. - Limo albo „pawie oczko”.

- Posterunkowy Raymer, czy bił się pan na pięści kiedykolwiek przedtem?

- Jasne - potwierdził. - Mnóstwo razy.

- Co pan zazwyczaj robi, kiedy ktoś wyprowadza cios?

Posterunkowy Raymer myślał przez chwilę, przekrzywiając głowę.

- Uchylam się? - strzelił.

- Dlaczego nie uchylił się pan tym razem?

- Wysoki sędzie... - zaczął Satch Henry.

- Nie przerywaj mi, Satch. Nie widzisz, że rozmawiam z tym człowiekiem?

Satch Henry otworzył usta, żeby powiedzieć coś jeszcze, po czym zamknął je z powrotem. Wirf znów pozwolił sobie na ledwie dostrzegalny uśmiech.

- Dlaczego nie uchylił się pan tym razem? - powtórzył sędzia.

- Nie spodziewałem się, że to robi - odparł policjant nadąsany.

- Dlaczego nie? - chciał wiedzieć sędzia Flatt. - Jak twierdzi obecny tu Satch, pan Sullivan ma długą historię agresywnych zachowań. Pochodzi ze starego rodu barowych bokserów amatorów. Dlaczego nie spodziewał się pan, że panu przyłoży?

- Do cholery jasnej, panie sędzio - wybuchnął posterunkowy Raymer zirytowany. - Celowałem do niego z rewolweru. Ten sukinkot jest stuknięty!

Sędzia Flatt zwrócił się do prokuratora.

- Chcesz, żeby ten człowiek zeznawał, tak? Właśnie przyznał, że mierzył z broni palnej do nieuzbrojonego, sześćdziesięcioletniego kaleki.

- Nie określiłbym Sully'ego jako kaleki - powiedział Satch Henry niepewnie, chociaż uwaga sędziego najwyraźniej okazała się celna.

- Niech pan tutaj na chwilę podejdzie, panie Sullivan - poprosił sędzia. - Niech pan z łaski swojej podniesie nogawkę.

- Wolałbym nie - powiedział Sully, czując się jak mały chłopiec, któremu kazano spuścić spodnie w ramach zabawy w doktora.

- Jednak proszę to zrobić - polecił sędzia. - Proszę podejść bliżej, żebyśmy wszyscy widzieli.

Sully wykonał polecenie, stawiając stopę w ciężkim bucie na przeznaczonym dla niego krześle, a następnie podciągając delikatnie nogawkę, aż kolano zostało odsłonięte. Sam oglądał je po raz pierwszy od jakiegoś czasu. Wyglądało niczym egzotyczny owoc, który za chwilę eksploduje.

Widok zrobił wrażenie na wszystkich obecnych. Wirf musiał odwrócić głowę. Nawet posterunkowy Raymer się skrzywił. Satch Henry otrząsnął się pierwszy.

- Czy można zapisać w protokole, wysoki sędzie, że posterunkowy Raymer nie ponosi odpowiedzialności za stan kolana Sully'ego, podczas gdy Sully ponosi odpowiedzialność za obrażenia i wstrząśnienie mózgu funkcjonariusza policji?

- Nie, Satch, nie można tego zapisać w protokole - powiedział sędzia. - Nie można, ponieważ tu w biurze nie prowadzimy protokołu.

- Mogę opuścić nogawkę? - zapytał Sully.

- Może pan - powiedział sędzia. - Wręcz nalegam, żeby pan to zrobił.

Wszyscy patrzyli, jak Sully zasłania z powrotem kolano.

- Czy to tak boli, jak wygląda, panie Sullivan?

- Biorę tabletki przeciwbólowe - wyjaśnił Sully, rozumiejąc, dokąd sędzia zmierza. - Niektóre dni są zupełnie znośne. Inne jakoś przetrzymuję.

- Jak działają na pana te tabletki?

- Jestem po nich senny.

- Nerwowy? Rozdrażniony?

- Nie, raczej nie.
- Nie złożyłby pan faktu pobicia policjanta na karb leków, które pan przyjmuje?
- Nie, nie sądzę.
- Inteligentna odpowiedź brzmiałaby „tak” - zauważył sędzia. - Dobrze, skoro to nie z powodu tabletek, to dlaczego przywalił pan posterunkowemu?

Odpowiedź była tak skomplikowana, że Sully wątpił, czy sam zdoła kiedykolwiek zrozumieć swoje zachowanie, a tym bardziej wyjaśnić je zniecierpliwionemu, schorowanemu sędziemu.

- Sam nie wiem - usłyszał własne słowa. - Musiałem być zmęczony. Miałem ciężki dzień.

Sędzia Flatt milczał i Sully zastanawiał się, czy oczekuje od niego dalszego ciągu. Kiedy ten nie nastąpił, sędzia powiedział:

- No dobra, panie Sullivan. Rozumiem słowo „zmęczony”. Sam jestem zmęczony. Chory i zmęczony. Dlatego w przyszłym miesiącu odchodzę na emeryturę. Bo jestem chory, zmęczony i towarzystwo innych ludzi mi nie służy. Często miałbym ochotę kogoś zastrzelić, a to znak, że czas ustąpić i złożyć małomiasteczkową sprawiedliwość w inne ręce i niech Pan Bóg ma tego kogoś w swojej opiece. W każdym razie, Satch, teraz jedną rzecz ci przepowiem i jedną doradzę, a potem zostawię sprawę do twojego uznania. Jeśli się uprzesz, będziesz miał sprawę sądową, ale ja ją będę prowadził i mogę ci z góry powiedzieć, że będziesz żałował.

- Wysoki sędzie... - zaczął Satch Henry.

- Zamknij dziób, Satch, teraz ja mam głos.

Satch Henry zamknął dziób.

- A więc co mamy - ciągnął Barton Flatt. - Mamę obecnego tu pa na Sullivana, który zrobił rzecz idiotyczną i to przy świadkach. Jest spora szansa, że uzyskasz wyrok skazujący. Ale Panie zmiłuj się nad nami, co za przedstawienie urządzi nam przedtem obecny tutaj mecenas Wirfly. Wprawdzie pan Sullivan ma długą historię agresywnych zachowań, ale pański postępek też ma. Tylko w ciągu ostatniego półrocza sterroryzował staruszkę z powodu pizzy i pozwolił, żeby nie poczytalny uzbrojony facet ostrzelał okna domów przy Głównej, pobił młodą kobietę i spokojnie opuścił miejsce zdarzenia. Wtedy nie widział powodu, żeby wyciągnąć rewolwer, ale później, mając do czynienia z panem Sullivanem, nie tylko wyciągnął broń, ale wystrzelił, a pocisk trafił w ścianę domu stojącego przecnicę dalej. Twierdzisz,

że pan Sullivan stanowi zagrożenie, ale mecenas Wirfly udowodni, że nie tylko on. Zanim skończy, wyjdiesz na durnia, Satch i Ollie wyjdą na durni, i twój policjant, który jest durniem, też wyjdzie na durnia. I jeśli mecenas Wirfly nie jest durniem, wytoczy policji i gminie sprawę, na której przez całe miesiące będą żerować pismacy z Schuyler Springs, a może i z Albany, co nie będzie zresztą miało dla ciebie większego znaczenia, Satch, bo do listopada i tak się rozstanieś z posadą. Nie nadawaj tej sprawie biegu, taka jest moja rada. Załatw to teraz i tutaj, niech to nie wyjdzie poza ten gabinet.

- Wysoki sędzie... - spróbował znów Satch Henry, kiedy sędzia przerwał na chwilę.

- Nie - ciągnął Flatt, unosząc dłoń. - Nadal mam głos. Jeszcze mnie go nie pozbawiono. A ty posłuchasz mnie jeszcze przez minutę. Powiedziałem ci, co się stanie, a teraz ci powiem, jak tego uniknąć. Mam w zanadru kilka rozsądnych propozycji, poczynając od tego, żebyśmy teraz poprosili pana Sullivana i posterunkowego Raymera o wyjście, bo nie sądzę, żeby ich obecność była nam w dalszym ciągu niezbędna. Prawdę mówiąc, wędrownka pana Sullivana zaczyna działać i mnie na nerwy, poza tym nigdy nie lubiłem widoku policjantów w ciemnych okularach. - Sędzia odwrócił się w stronę Sully'ego i posterunkowego Raymera, przyglądając się z powątpiewaniem to jednemu, to drugiemu. - Jeżeli poprosimy was teraz o opuszczenie pomieszczenia, czy sądzicie panowie, że dacie radę powstrzymać się od dalszych ekscesów? Chciałbym, żebyście odpowiedzieli uczciwie, bo mogę wam zapewnić opiekę, jeśli macie jakiegokolwiek wątpliwości.

- Sądzę, że mogę ręczyć za zachowanie mojego klienta - powiedział Wirf, rzucając Sully'emu ostrzegawcze spojrzenie.

Sędzia popatrzył na Wirfa jak na niesforne dziecko.

- Niech pan nie obraża mojej inteligencji, mecenasie Wirfly. - Znam pana i pańskiego klienta i wiem, że nie może pan ręczyć za nic takiego.

Wirf, skarcony, przyznał sędziemu rację.

- Jak tam, panie Sullivan? - kontynuował indagację sędzia. - Nie czuje się pan zmęczony? Jak wtedy, kiedy uznał pan, że przyłożyć policjantowi to niezły pomysł? Może się pan zachowywać jak dorosły przez jakieś dziesięć minut?

- Postaram się, wysoki sędzie - obiecał Sully.

- Proszę się nie starać - doradził sędzia. - Proszę po prostu tak zrobić. A jak z panem, posterunkowy?

Czoło posterunkowego Raymera się zachmurzyło. Nie był pewien, ale wydawało mu się, że sędzia nazwał go przed chwilą durniem, co jego zdaniem było nie na miejscu.

- Chciałbym wiedzieć, dokąd zmierza ten kraj, to wszystko, co mam do powiedzenia. Nie mogę uwierzyć w to, co się tu dzieje, i chciałbym, by to zaprotokołowano.

- Cóż, nie może pan - odparł sędzia. - Proszę wyjść na korytarz, usiąść sobie i pomyśleć chwilę, to pan zrozumie, dlaczego niczego nie można zaprotokołować, jako że raz już to wyjaśniałem.

Satch Henry i szef policji usiłowali powstrzymać uśmiech. Widząc to i czując, że poparcie dla niego słabnie, posterunkowy Raymer wypadł z impetem za drzwi. Sully podążył za nim nieco wolniejszym krokiem. Mimo to znalazł się przy drzwiach, zanim zdążyły się zatrzaskać - dość szybko, by ujrzeć, jak posterunkowy Raymer znika w toalecie naprzeciwko. Z głębi pomieszczenia doszedł go odgłos ciężkiego kopniaka, wymierzonego kubłowi na śmieci.

Na drugim końcu korytarza znajdowała się poczekalnia. Sully ruszył w tamtym kierunku w nadziei, że znajdzie automat do kawy. Miał pełną kieszeń drobniaków, wygranych w groszowego pokera ubiegłej nocy, kiedy Wirf i Carl Roebuck wpadli go odwiedzić. Carl wydawał się na niego strasznie wkurzony, ale nie chciał rozmawiać w więzieniu o powodach. Nie oszczędził mu tego wieczoru żadnego epitetu, jaki mu przyszedł do głowy. Palił i pił przez całą noc i nic nie wskazywało, aby życzył sobie przypominań o swoich niedawnych postanowieniach. Sully złożył te humory na karb fiaska „Podróży bez Końca”, o którym chodziły słuchy. Kiedy liczba graczy stała się zbyt duża jak na jego celę, musieli przenieść się do sali konferencyjnej, znajdującej się obok kasy. Sully wygrywał przez całą noc, dzięki czemu miał teraz w kieszeni dosyć bilonu, żeby uruchomić wykrywacz metalu.

Wyglądało na to, że fart go nie opuścił, bo w świetlicy rzeczywiście stał automat do kawy. Kiedy wrzucił do niego dwie ćwierćdolarówki i dostał w zamian pół filiżanki czarnej jak smoła cieczy, wciąż nie mógł otrząsnąć się z poczucia, że los się uśmiechnął, że jego zła passa dobiegła końca i być może wszystko się jeszcze ułoży. Siedział z nogami opartymi na plastikowym krześle, rozważając swoje wciąż kiepskie perspektywy, kiedy w drzwiach ukazał się posterunkowy Raymer z niedopiętym rozporkiem. Na widok Sully'ego miał najwyraźniej ochotę zawrócić i wyjść. Sully odsunął plastikowe krzesło. - Siadaj - zaprosił go. - Szkoda nóg.

- Nie, dziękuję - powiedział Raymer, łypiąc na niego zza ciemnych okularów. - Wiesz, co mnie dobija? Nie ma, psiakrew, czegoś takiego jak sprawiedliwość.

- Oczywiście, że nie ma - potwierdził Sully. - Ile ty masz lat?

- Ale to człowieka wkurza.

Sully pokiwał głową.

- Bez dwóch zdań. Może filiżankę kawy? Postawię ci.

- Sam sobie mogę kupić - oświadczył policjant, ruszając w stronę automatu i równocześnie grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu drobnych.

Z miejsca gdzie siedział, Sully widział, że Raymer był w błędzie. Drobniaków, które wyłożył sobie na dłoń, było w sumie jakieś czterdzieści pięć centów. Jeden z dalszych automatów stojących pod ścianą służył do rozmienniania banknotów dolarowych, ale widniała na nim kartka, na której odręcznie napisano: „Nieczynny”. Posterunkowy zauważył ją dopiero wówczas, gdy wsunął banknot w otwór i maszyna go nie przyjęła. Sully wyjął z kieszeni garść drobniaków i wysypał na plastikowy blat. Kipiąc ze złości, policjant rozmienił swojego dolara, rzucając banknot na stos bilonu. Kiedy za pięćdziesiąt centów dostał, tak samo jak Sully, pół filiżanki mętneho płynu, ten ostatni, mając długoletnie doświadczenie, jeśli chodzi o uczucia, które w tej chwili miotają policjantem, i widząc, ku czemu sprawy zmierzają, rzucił:

- Zaczekaj chwilę. - Po czym przesiadł się do innego stolika. - Dobra, rób swoje - powiedział, kiedy uznał, że odległość jest bezpieczna i nie grozi mu rykoszet. Posterunkowy Raymer chwycił maszynę oburącz, szarpnął, po czym zaczął nią huścić tam i z powrotem, dopóki nie uderzyła w ścianę, aby odbić od niej i grzmotnąć w nią znowu, i jeszcze raz, i jeszcze... Policjant powtarzał tę czynność tak długo, aż w środku coś pękło i kawa trysnęła na podłogę. Wtedy cofnął się i patrzył z nieukrywaną satysfakcją, jak kałuża zmienia się w jezioro.

- No! - mruknął.

Ollie Quinn wpadł do środka w chwili, kiedy Raymer odsuwał krzesło przy stoliku Sully'ego.

- Jezu - powiedział, oceniając zniszczenia. - Myślałem, że to salwa armatnia. - Po czym zniknął za drzwiami.

Posterunkowy Raymer pociągnął łyk kawy i jego twarz odzyskała normalną barwę. W czasie, jaki zajęło mu zdemolowanie maszyny, przeszedł od furii do zakłopotania. Sully rozumiał i to.

- Czasem człowiek ma tego wszystkiego dosyć - westchnął posterunkowy.

Sully już miał powiedzieć, że był właśnie w tym stanie ducha, kiedy mu przyłożył, że osobiście nic do niego nie miał, ale w tym momencie podniósł wzrok i ujrzał Petera oraz swojego wnuka stojących w drzwiach, za którymi przed chwilą zniknął szef policji. Peter obrzucił pomieszczenie tym swoim ironicznym, pełnym dystansu spojrzeniem, które tak drażniło Cassandrę, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że szaleństwa innych nie są dla niego zaskoczeniem. Sully wątpił, czy chłopiec kiedykolwiek wypracuje sobie taki dystans do rzeczywistości, jak jego ojciec. Jak zawsze zachowanie Willa wydało mu się szczególnie dorosłe, kiedy wnuk podszedł do niego, wspiął się na jego zdrowe kolano i objął go za szyję. Inne dziecko by podbiegło. Inne nie pamiętałoby, która noga jest chora. Inne dziecko zapomniałoby w ogóle, że jest jakaś chora noga.

- I co powiesz, brachu?

- Fanga jest w szpitalu - podzielił się z nim nowiną Will.

Peter odsunął sobie krzesło, witając markotnego policjanta skinieniem głowy. Jeżeli zaskoczyło go, że ojciec i posterunkowy siedzą spokojnie przy jednym stole, nie dał tego po sobie poznać.

- Znacie się z moim synem? - zapytał Sully.

Raymer zmarszczył brwi.

- Był pan wtedy w furgonetce, prawda?

Peter potwierdził, po czym uścisnęli sobie dłonie.

- Co się dzieje z Fangą? - zapytał Sully.

- Miał usunięte migdałki - wyjaśnił Peter.

- Wszystko w porządku?

Peter wzruszył ramionami.

- Tak mi powiedzieli. Zostałem powiadomiony tylko dlatego, że mogę się spodziewać rachunku za szpital.

Sully pokiwał głową.

- Nie spodziewałem się ciebie z powrotem tak szybko.

Peter wziął jego furgonetkę zaraz po pogrzebie i pojechał do Morgantown, żeby pozłatwiać to, co zostało do załatwienia - zabrać swoje rzeczy z mieszkania, które wynajmowali z Charlottą, zlikwidować rachunki bankowe, wziąć swoje książki z gabinetu na uczelni, załatwić przedłużenie ubezpieczenia, bo firma „Sullivan i Spółka” nie oferowała świadczeń socjalnych.

- Dopiero co wróciłem - oznajmił Peter.

- Musiałeś jechać całą noc.

- Nie miałem tam zbyt wiele do roboty. Charlottą zabrała większość rzeczy. Więcej tego zostało w gabinecie niż w mieszkaniu.

- Co powiedzieli na uczelni na twoje odejście?

Na twarzy Petera pojawił się ten jego irytujący, bolesciwy uśmiezek.

- Nie byli nawet w przybliżeniu tak zasmuceni jak mój gospodarz, który dał wyraz swojemu rozczarowaniu, odmawiając nam zwrotu kaucji.

Sully skinął głową.

- Postawiłbym ci kawę - powiedział - ale nasz przyjaciel właśnie skasował maszynę.

Posterunkowy Raymer, który popadł z powrotem w smętną zadumę nad pustą filiżanką, podniósł wzrok, słysząc, że o nim mowa.

- Gównu już przedtem było popsute - rzekł ze złością.

- Może coli? - zwrócił się Sully do Willa.

- Dobrze.

Sully wskazał kupkę drobniaków. Chłopiec wybrał potrzebne monety.

- Świetny pomysł - powiedział Peter, kiedy jego syn poszedł w stronę automatu, omijając szerokim łukiem kawowe jezioro. - Zafundować mu colę o jedenastej rano.

Sully nie pomyślał, która jest godzina.

- Przepraszam. Po prostu chciałem mu coś kupić.

- Wiem - odparł Peter z pewną dozą pobłażania, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że to, co jego ojciec ma do zaoferowania, nigdy nie jest tym, czego potrzeba.

- O co zakład, że każą mi za to zapłacić tak czy owak? - odezwał się posterunkowy Raymer.

- Ktoś widział, że to zepsułeś? - zapytał Sully.

- Owszem, ty.

- Nic podobnego. Tak już było, kiedy tu wszedłem.

Will wrócił z małą plastikową szklaneczką do połowy wypełnioną płynem.

- Nie dają zbyt dużo - powiedział tonem usprawiedliwienia. Przyniósł piętnaście centów reszty: pięcio- i dziesięciocentówkę, które odłożył z powrotem na kupkę.

- Powiedz temu gościowi - poradził mu Sully, wskazując policjanta - to naprawi automat. On tu pracuje.

- Fanga przez dwa dni nie dostawał do jedzenia nic oprócz lodów i oranżady - poinformował Will Sully'ego, na wpół oczekując odpowiedzi.

Zamiast tego ojciec, dziadek i pan naprawiający automaty spojrzeli na

niego, wskutek czego poczuł się dziwnie nieswojo, jak zawsze, kiedy dorośli zbyt bezpośrednio kierowali na niego swoją uwagę. Spuścił wzrok, patrząc w swój kubek, dopóki nie przestali się nim interesować. Potem pociągnął łyk, skupiając się na tym, jak chłodny płyn rozlewa się po tylnej ścianie gardła, myśląc o swoim braciszku leżącym w szpitalu, otoczonym pielęgniarkami i lekarzami, z których jeden wsadził mu do gardła nożyce. Wyobraził sobie, jak Fanga obmyśla skomplikowany odwet na tym człowieku. W głębi korytarza dopełniała się małomiasteczkowa sprawiedliwość.

Mieszkanie, które wynalazł Wirf, znajdowało się przy jednej z przecznicy Głównej, od strony jej południowego końca, w sąsiedztwie wielkich, odrapanych domów i popękanych, poprzerastanych zielskiem, pijanych chodników, obrzeżających trawniki, złożone z połaci brunatnej trawy i ciemniejszej od niej nagiej ziemi. Domy stały tylko po jednej stronie ulicy, naprzeciw był parking i kontenery na śmieci domu towarowego IGA, na którym widniała teraz wywieszka: „Likwidacja 15 stycznia”.

Kiedy Wirf zajechał pod dom, wysiadającą czwórkę - Wirf i Sully z przodu, Peter z Willem na tylnym siedzeniu - powitał chór ujadających psów. Jeden z nich szarpał się na smyczy, uwiązanej do poręczy ganku sąsiedniego domu, co przypomniało Sully'emu o dwóch sprawach. Po pierwsze, że balustrada ganku u panny Beryl wciąż czeka na naprawienie, po drugie, że nadal ma psa. Według relacji Petera, Rasputin rezydował w dalszym ciągu w domu przy Bowdon; w nocy spał w kuchni, w dzień wybiegał na dwór przez tylny ganek.

- Na piętrze? - zapytał Sully, patrząc w górę na ciemne, puste okna. Wirf potwierdził.

- Dobrze, że ten dom nie ma trzech pięter, bo kazałbyś mi mieszkać na ostatnim.

- Niewdzięcznik jak zawsze - powiedział Wirf, kiedy wchodzili na ganek.

Mieszkanie miało osobne wejście, którego nie zamknięto na klucz, żeby mogli je obejrzeć. Właściciel był w pracy. Schody prowadzące na górę były wąskie i strome. Sully zauważył, że Will przygląda się im nieufnie.

- Daj no dziadkowi rękę. Masz jeszcze ten stoper?

Will wyjął stoper z kieszeni i pokazał mu.

Mieszkanie było znacznie mniejsze niż jego obecne lokum, chociaż miało większą kuchnię. Kuchenny stół i krzesła zmieściłyby się tu spokojnie i

jeszcze zostałyby dosyć miejsca, żeby nie musiał się wciąż o nie obijać. Armatura i wyposażenie były stare, co mu nie przeszkadzało, jako że nie zamierzał z nich korzystać. W salonie znajdował się kominek ze zwęglonym kawałkiem polana i popiołem nagromadzonym w ciągu dwóch lat. Otaczały go regały wbudowane w ścianę.

- Co miałbym, u diabła, z tym robić? - zapytał Sully.

- Boże, ale z ciebie zrzęda - odezwał się Wirf. - Dlaczego nie wrócisz do ciupy?

Oczy Willa rozszerzyły się na tę propozycję, gdyż wyglądała na całkiem poważną.

Głupia sprawa, ale Sully naprawdę nie potrzebował dużo więcej miejsca, niż miał go w celi. Potrzebował kąta, gdzie mógłby się przespać i wziąć prysznic. Muszli klozetowej. Szafy na ubrania. Jego prawdziwym domem były gospoda „Pod Koniem”, jadalnia „U Hattie”, OTB, biuro Carla Roebucka. Mieszkanie znajdowało się przy niewłaściwym końcu Głównej, o wiele dalej od tamtych wszystkich miejsc niż jego lokum nad panną Beryl. Na myśl o jadalni „U Hattie” przypomniał sobie o jeszcze jednym obowiązku, który go czekał tego dnia. Właściwie nie było to już „U Hattie”, tylko u Ruth i właśnie dziś miało nastąpić uroczyste, ponowne otwarcie lokalu. Przejeżdżał tamtędy rano, zobaczył transparent, po czym pojechał do cukierni na swoją poranną kawę. Jednak prędzej czy później będzie musiał wejść do środka, przekonać się, na czym stoją z Ruth, którą widział poprzedniego dnia na pogrzebie, sprawdzić, czy jadalnia „U Hattie”, może najbardziej swojskie ze wszystkich swojskich miejsc w Bath, nadal jest mu równie przyjazna jak przedtem.

- To za dużo, jak na moje potrzeby - powiedział, kiedy Peter zniknął za drzwiami jednej z dwóch sypialni, zabierając ze sobą Willa. - I jak na moją kieszeń też.

- Gdzie ty chcesz znaleźć coś za mniej niż dwie i pół setki? - zachnął się Wirf. - Masz zamiar mieszkać w przyczepie kempingowej?

- Teraz płacę tylko dwieście za miesiąc - zauważył Sully.

- Bo masz fory u swojej gospodyni. Dostałaby spokojnie czterysta za to mieszkanie.

Sully wzruszył ramionami.

- Dobra, skoro uważasz, że powinienem je wziąć, to wezmę.

Wirf uniósł ręce zniecierpliwionym gestem.

- O co ci chodzi? - zapytał Sully. - Czego ode mnie oczekujesz?

- Po co w ogóle zwracam sobie głowę?

- Nie mam pojęcia - przyznał Sully.

Wirf zamachał rękami, opędzając się od niego. Obaj uśmiechali się teraz do siebie.

- Czego chciał od ciebie Barton?

Kiedy sędzia Flatt, prokurator okręgowy, Wirf oraz szef policji doszli w końcu do porozumienia, sędzia posłał po Sully'ego. Wirf, który obawiał się, że jego klient palnie jakąś głupotę i pomiesza mu szyki, chciał koniecznie zostać, ale Flatt wyprosił go bezceremonialnie za drzwi. Ku zaskoczeniu Sully'ego, sędzia chciał się dowiedzieć, co się rzeczywiście wydarzyło tamtego dnia przed wielu laty, kiedy na ogrodzenie hotelu Sans Souci, zwieńczone metalowymi szpikulcami, został nadziany chłopiec. Sędzia, wówczas młody człowiek, stał na chodniku w tłumie czekającym na przyjazd karetki. Wyglądało na to, że podobnie jak Sully nigdy nie zapomniał tamtego widoku. Sully wyjaśnił, że nie był świadkiem incydentu i nie widział więcej niż inni gapie. Zastanawiał się, czy powiedzieć sędziemu to, czego się dowiedział od brata: że chłopiec nadział się na szpikulec, bo jego ojciec trząsł ogrodzeniem w paroksyzmie wściekłości dopóty, dopóki go nie strząsnął. To samo mówił później sam chłopiec, relacjonując wydarzenie, ale zeznawał w końcu przeciwko ojcu Sully'ego, no i jednak znajdował się w tamtym dniu nie tam, gdzie powinien. Sully już miał się podzielić z sędzią tym, co wiedział, kiedy się rozmyślił, sam nie wiedząc dlaczego.

- Nic ważnego - odpowiedział Wirfowi, czując ten sam dziwny opór, co przy rozmowie z sędzią. Nigdy nie ukrywał swojej pogardy dla ojca, ale też nigdy nie zwierzył się nikomu z tego, co usłyszał od brata.

- Jak chcesz - obruszył się Wirf. - Miej sekrety przed własnym adwokatem. Ja się nie będę przejmował.

- W porządku - zgodził się Sully.

- Niech cię diabli.

- O co ci chodzi?

- Zraniłeś moje uczucia.

- Przed chwilą powiedziałeś, że się nie będziesz przejmować.

- Jestem twoim prawnikiem. „Zygujemy” razem. I oto jaka wdzięczność mnie spotyka. Niech cię szlag - powiedział Wirf, wydymając wargi.

Sully usiadł na jednym z kaloryferów, rozprostowując nogę.

- Co się z tobą dzisiaj dzieje, do cholery? - zapytał Wirf. - Wyciągam cię z pudła, a ty się zachowujesz, jakby ci ktoś umarł.

Była to prawda. Godzinę wcześniej, kiedy siedział samotnie w obskurnej poczekalni urzędu gminy i nie miał jeszcze pewności, czy oskarżenie o pobicie policjanta rzeczywiście mu się upiecze i czy wyjdzie na wolność, poczuł nagły przypływ otuchy. Były znaki, że jego głupia passa dobiega wreszcie końca, że karta się odwróciła. Nadal miał to uczucie. Skąd więc się wzięło nagle przekonanie, że to niewiele zmieni? Że cały fart świata może się okazać niewystarczający? Przypuszczalnie był po prostu trochę przytłoczony. Więzienie stanowiło szczególny, nieoczekiwany urlop od niepokoju i nędzy. Jeżeli nie robił nic w kierunku rozwiązania swoich licznych finansowych i osobistych kłopotów, to również nie pogarszał sprawy i nikt nie miał prawa zbyt wiele się po nim spodziewać, przynajmniej dopóty, dopóki nie wyjdzie. Teraz, jako wolny człowiek, widział, że ma górę do przeniesienia. Trzeba było spłacić furgonetkę i przeobrazić dom Milesa Andersona. Miał długi u Harolda i u Wirfa. Żeby je spłacić, musiał pracować, a żeby pracować, musiał dojść do ładu z Rubem. Większość tych rzeczy była wykonalna, acz z trudem. Istniała też ciągle niewielka szansa na sprzedaż domu przy Bowdon, chociaż zdawał sobie sprawę, że tak zwany okres wykupu musi dobiegać końca.

Bardziej niepokojąca była świadomość, że zwrot nastąpił dokładnie w momencie, kiedy podniósł wzrok i ujrzał syna z wnukiem, stojących w drzwiach poczekalni w chwilę potem, jak posterunkowy Raymer zdemolował automat do kawy. Za każdym razem, kiedy spoglądał na Petera, czuł w żołądku ukłucie, przypominające mu o gigantycznym, monstrualnym męskim długi, znacznie trudniejszym do spłacenia niż pieniądze, które jest się komuś winnym, a których się nie ma. Wnuk po prostu prolongował ten dług, przypominał, że wciąż nie został spłacony, że odsetki rosną. Im więcej myślał o tym, co był winien Peterowi, tym mniejszą miał nadzieję, że uda mu się kiedykolwiek nazwać to po imieniu. Tymczasem potrzeba, aby coś synowi dać, stawała się coraz bardziej realna i nagląca. Przypomniała mu się cola, którą bezmyślnie postawił wnukowi o jedenastej rano, a także wcześniejsza uwaga Petera, że jeśli Sully ma coś komuś do zaoferowania, można być pewnym, że nie jest to to, czego człowiek akurat potrzebuje.

Jakby tego było mało, Peter najwyraźniej zdecydowany był ów dług powiększyć. Okazał się pierwszorzędnym pracownikiem, umiejącym utrzymać w ruchu różne przedsięwzięcia Sully'ego, kiedy on sam wypadł z gry. Fakt, za każdym razem potrafił, nie mówiąc tego wprost, dać do zrozumienia, że robi to wbrew sobie, ale robota była wykonana, i to szybciej i lepiej, niż sam

by ją wykonał. Jeżeli uda mu się wygrzebać z dołka, w którym się znalazł, będzie to w dużej mierze zasługa jego syna, podczas gdy on sam najwyraźniej nie potrafił pomóc Peterowi w rozwiązaniu jego licznych problemów, takich jak nagły rozpad małżeństwa, odejście nie tylko z pracy, ale i z zawodu, a wraz z tym zniknięcie nadziei na materialną stabilizację. Przyjmując jego pomoc, Sully popadał w konflikt z Verą, przekonaną, że ich syn powinien szukać pracy na uczelni i trzymać się jak najdalej od nieuchronnej katastrofy, której na imię Don Sullivan. I trudno było mieć jej to za złe.

Istotniejszą przeszkodą mogła się okazać jego własna duma. Sully nie był pewien, czy pozwoli mu ona, aby syn, o którego istnieniu zdarzało mu się zapominać na całe miesiące, stał się teraz jego wybawcą. Może sprawa wyglądałaby inaczej, gdyby mężczyzna, na jakiego wyrósł Peter, był mu bliższy. Bywały chwile, kiedy czuł, że może go polubić, bywały i takie, kiedy wydawało mu się, że już go kocha. Ale nie był to ten rodzaj stałego przywiązania, jakie żywił dla Wirfa, Ruth, panny Beryl czy nawet dla Ruba. Nie miało nawet tej siły co mieszanka sympatii i irytacji, jaką wzbudzał w nim Carl Roebuck. O dziwo, bardziej przypominało jego uczucie do żony Carla, Toby - coś, czego nie umiał wyartykułować, co tkwiło głęboko w jego wnętrzu, sprawiając, że czuł się jak głupiec, i każąc mu mieć się na baczności. Powód był zapewne w obu wypadkach ten sam: głęboko zakorzenione przekonanie, że są to rzeczy, których nie może mieć - piękna, młoda kobieta, która nigdy nie będzie jego, oraz syn, na którego nie zasługiwał. Fakt, że Peter wciąż żywi do niego urazę, nie budził jego niepokoju. Był aż nadto zrozumiały. Sam nie miał zamiaru rezygnować ze swoich licznych pretensji do własnego ojca, nie oczekiwał więc, że Peter przebaczy jemu. Czego zatem oczekiwał?

Być może chciałby po prostu, żeby był bardziej podobny do niego. Prawda, Peter umiał ciężko pracować i - Sully musiał przyznać - robił to z większym talentem niż on sam, szybciej chwycił, o co chodzi, nie tracił cierpliwości tak prędko, był bardziej zrównoważony. Niestety, mimo wielu atutów, oczekiwał, że ciężka praca zostanie wynagrodzona - dziecinna postawa, wpojona mu przez Verę. Ponieważ był pilnym uczniem i miał dobre oceny, oczekiwał dobrej pracy, godziwej płacy i zabezpieczonej przyszłości. Ponieważ był kompetentnym nauczycielem akademickim, najwyraźniej oczekiwał awansu i uznania. Kiedy to nie nastąpiło, zaczął się nad sobą użalać, i tu

znowu wina leżała po stronie matki. Oburzanie się i rozczulanie nad sobą zawsze stanowiły specjalność Very.

Przy całej pogardzie, jaką Sully żywił dla ojca, zawsze byli zgodni co do jednego, choć była to zgoda niepisana: Sully jest synem Dużego Jima, jabłko nie upadło daleko od jabłoni. Stary człowiek rozumiał i akceptował pogardę syna, zdając sobie sprawę, że jest w niej spora dawka awersji do samego siebie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat życia Dużego Jima Sully widział się z nim zaledwie kilka razy, ale podczas każdego z tych spotkań napotykał spojrzenie starego człowieka, które zdawało się mówić: znam cię, chłopcasiu. Znam cię lepiej, niż ty znasz samego siebie. Sully zawsze wówczas odwracał wzrok, żeby nie widzieć porozumiewawczego uśmiešku, który miał się za chwilę pojawić, i prawdy, która się za nim kryła. Może tego właśnie oczekiwał od Petera: silniejszego poczucia, że chłopiec jest jego synem, że jabłko nie upadło zbyt daleko od jabłoni. Z wyjątkiem rzadkich chwil, takich jak noc przed pójściem do więzienia, którą spędzili z Peterem i Wirfem, pijąc piwo „Pod Koniem”, miał wrażenie, że jabłko potoczyło się w dół zbocza, że poturlało się, hen, aż do sąsiedniego powiatu, tak że trudno mu było wykrzesać więcej uczucia dla syna, niż go miał dla swojej eksżony, która ukształtowała chłopca po swojemu, bez jego udziału.

Siedząc na grzejniku, Sully słyszał, jak Peter rozmawia ściszym głosem z Willem w jednej z dwóch sypialni mieszkania. Ich głosy odbijały się echem w pustym pomieszczeniu, słowa trudno było rozróżnić. Zdał sobie sprawę, że to jedna z tych rzeczy, które go najbardziej irytowały u Petera. Zawsze rozmawiał z Willem szeptem, jak gdyby Sully'emu nie można było ufać, jeśli idzie o treść najbardziej nawet prozaicznej rozmowy, albo jakby nie zasługiwał na to, żeby w niej uczestniczyć. Wirf też nasłuchiwał murmuranda ściszonych głosów i wydawał się domyślać niektórych uczuć nurtujących Sully'ego.

- Czarne myśli - powiedział z uśmiechem. - Jesteś dzisiaj pełen czarnych myśli.

Nie było sensu zaprzeczać, toteż nie zaprzeczył.

- No i jak - zapytał Peter, kiedy wrócili z chłopcem do salonu - bierzesz to mieszkanie?

- Mój prawnik twierdzi, że powinienem je wziąć - powiedział Sully.

- Co oznacza, że tego nie zrobi - dokończył Wirf. - Jak dotąd nigdy nie poszedł za moją radą.

- Jeśli ty go nie weźmiesz, to ja bym wziął - oświadczył Peter.

Sully zastanawiał się przez chwilę nad tą propozycją. Jakaś część je go „ja” była zadowolona.

- Dobra - powiedział ciekaw, czy ten gest złagodzi jego pragnienie, żeby coś synowi dać. - Bierz je. Tak czy inaczej lepiej się nadaje dla ciebie niż dla mnie.

- W porządku - zgodził się Peter. - Dzięki.

- Rozumiem, że trochę tutaj zabawisz - zauważył ostrożnie Sully.

Peter skinął głową.

- Wziąłem parę kursów wieczorowych w Schuyler Springs - wyjaśnił.

- To dobrze - powiedział Sully, na którym zrobiło wrażenie, że jego syn potrafi wpaść, ot tak sobie, do college'u i wrócić z robotą. - To nie jest znów takie najgorsze miejsce.

- To samo usłyszałem od szefa wydziału. „Tu nie jest tak źle, jakby się mogło wydawać”, tak się dokładnie wyraził.

- Musisz od czegoś zacząć. - Sully wzruszył ramionami, mając nadzieję, że to podniesie Petera na duchu.

- Zaczynałem od uniwersytetu - zauważył Peter. - Tutaj kończę, nie zaczynam.

Sully postanowił zmienić temat.

- Masz dosyć pieniędzy na czynsz za pierwszy i ostatni miesiąc? - zapytał, próbując obliczyć, ile mógłby mu zaproponować.

Ku jego zaskoczeniu Peter skinął głową.

- Mógłbym dać ci setkę czy dwie, gdybyś potrzebował.

- Nie potrzebuję. Ale dzięki za propozycję.

Sully skinął głową, puszczając oko do Wirfa.

- Cieszę się, że przynajmniej jedna osoba w mojej rodzinie ma pieniądze.

- Masz więcej, niż ci się wydaje - powiedział Peter, wyciągając portfel i podając Sully'emu kupon zakładu totalizatora wyścigów konnych, a dokładnie, obstawioną trójkę: 1-2-3. Sully sprawdził datę. Sprzed dwóch dni.

- Obstawiłeś tę gonitwę?

- Nie - powiedział Peter. - Ty ją obstawiłeś. Nawet nie pamiętasz, co?

Nagle sobie przypomniał. Tamtej pijackiej nocy, nim zgłosił się do aresztu, pośród niezliczonych poruczeń i objaśnień, jakimi zasypywał Petera - co robić w pierwszej kolejności w domu Milesa Andersona, jak smażyć jajka

„U Hattie”, jak ściągnąć Ruba do pomocy przy układaniu podłóg w kempingu Roebucków, pośród zaleceń, żeby zaglądał w miarę możliwości do panny Beryl, i żeby nie zapomnieć karmić Rasputina - przypominał sobie jak przez mgłę polecenie, żeby obstawiał totka, bo przy jego szczęściu cholerna trójka mogła wygrać akurat podczas jego odsiadki. Stanowiłoby to jeszcze jeden dowód działalności złośliwego bóstwa, którego istnienie Sully od dawna podejrzewał, a któremu rady szeptał zapewne do ucha sam Duży Jim, wysłużwszy sobie ziemskim życiem miejsce w kręgu jego wybranych - specjalny zausznic, zaufany doradca, minister wojny. Jakimś cudem, dzięki pijackiemu natchnieniu Sully'emu udało się najwyraźniej pokrzyżować zamysły istot nadprzyrodzonych.

- Dałbym ci go już wtedy na pogrzebie - wyjaśnił Peter - ale dopiero od ciebie się dowiedziałem, że padła jakaś wygrana, a ty nie pamiętałeś, kiedy to było. Przez kilka dni nie obstawiałem zakładów, bo zapomniałem.

Zanim do Sully'ego dotarło, że kupon, który trzyma w ręku, jest wart ponad trzy tysiące dolarów, opadły go wątpliwości.

- A pieniądze ci dałem?

- Jakie pieniądze?

- Na totka.

- Nie pamiętam - powiedział Peter. - Jakie to ma znaczenie?

Sully czuł, że nie dał mu pieniędzy.

- Jeśli obstawiłeś za swoje, to wygrana należy do ciebie. Takie są zasady.

- Nawet bym nie zajrzał do OTB, gdybyś mnie tam nie wysłał.

- To bez znaczenia.

- To będzie uczta - wtrącił się Wirf. - Uwielbiam, kiedy pański ojciec wchodzi w moralną istotę zagadnień. Niech pan się podda tej logice i wygrana jest pańska.

- A ciebie kto tu prosił o głos? - zdziwił się Sully.

- Nie mam pojęcia - przyznał Wirf. - Chyba zejdem na dół i poczekam na zimnie.

- Słusznie - zgodził się Sully. - Idź.

Ojciec, syn i wnuk słuchali, jak schodzi ciężkim krokiem po schodach.

Sully przyjrzał się synowi uważnie i jeszcze bardziej umocnił się w przekonaniu, że nie może pozwolić, aby Peter był jego dobroczyńcą.

- Słuchaj, weź te pieniądze. Masz Willa, a teraz jeszcze rachunek ze szpitala za Fangę. Będą ci potrzebne.

- Nie tak bardzo jak tobie - zauważył Peter. - Ja nic nikomu nie jestem winien.

Sully rozważył te słowa. Przez całe życie, aż do niedawna, mógł powiedzieć to samo o sobie. Teraz nagle ni stąd, ni zowąd znalazł się po uszy w długach.

- Słuchaj - powiedział, wpadając na pomysł kompromisu. - Może wobec tego potraktowalibyśmy to jako pożyczkę?

Na klatce schodowej rozległ się śmiech Wirfa, który przystanął na półpiętrze, skąd wciąż jeszcze słyszał rozmowę.

- Oto cały pański staruszek! - zawołał do Petera. - Woli być pańskim dłużnikiem, niż pana wykołegować.

Stało na tym, że Sully i Peter spotkają się za godzinę pod domem, żeby rozładować rzeczy Petera, które wciąż stały w niewielkiej przyczepie meblowej na podjeździe pod domem Ralpa i Very. Peter miał spakować resztę ubrań Willa, zostawić chłopca z Ralphem i wraz z Sullym sfinalizować przeprowadzkę. Very na szczęście nie było, pojechała do Schuyler Springs do szpitala dla kombatantów, dokąd w nocy przewieziono Roberta Halseya. Sully miał wykorzystać tę godzinę na odnalezienie Ruba, którego pomoc była niezbędna, aby wtaszczyć meble po wąskich schodach.

- Powodzenia - rzucił na odchodnym Peter, przekonany, że Rub nie zechce mieć z nimi więcej do czynienia

- Zrobi, co mu powiem - zapewnił go Sully, chociaż sam wcale nie był tego taki pewien. Szczerze mówiąc, nie palił się do tego, co niemal z całą pewnością miało być dla niego lekcją pokory. Sully nie był człowiekiem, który przyznałby się otwarcie do winy, a miał przeczucie, że okrzęzne sposoby, jakich się imał do tej pory, takie jak zaproszenie go na byczego cheeseburgera, mogą tym razem nie poskutkować. Być może nie obejdzie się bez oświadczenia, że mu przykro z powodu tego, co zrobił. Co zresztą było prawdą. Nie przeczył bynajmniej, że winien jest Rubowi przeprosiny. Po prostu wzdragał się na myśl o paskudnym precedensie publicznej samokrytyki, mogącym stworzyć wyłom, przez który wędrze się fala innych próżnych żalów.

Uznał, że dobrym miejscem, aby się rozejrzeć za Rubem, będzie OTB. Nie dlatego że faktycznie spodziewał się go tam zastać, ale dlatego że mógł przy okazji skasować wygraną i obstawić następny zakład. Nie był to odpowiedni moment, żeby zarzucać obstawianie swojej trójki. Na tym przewrotnym świecie jeden wynik mógł spokojnie paść dwa razy w tym samym

tygodniu, zwłaszcza jeśli by go nie obstawił.

Z facetów w wiatrówkach nie zastał już nikogo, ale Jocko był na miejscu. Oglądał właśnie formularz zakładów przez grube szkła swoich okularów. Kiedy cień Sully'ego padł na papier, Jocko spojrział na niego znad oprawek, które zsunęły mu się na czubek nosa.

- Wreszcie wolny, wreszcie wolny. Dzięki niech będą Wszchemogącemu.

- Żyjemy w fantastycznym kraju - zgodził się Sully.

- Ktoś mi mówił, że wyszedłeś. - Jocko złożył formularz i wsunął go pod pachę. - Ale trudno mi było w to uwierzyć.

- A jednak to prawda. Przyłożyłem właściwemu gliniarzowi, jak się okazało.

- Jak wyglądał Barton?

- Sędzia? Półżywy. Co najwyżej pół.

- Masz szczęście. Kiedyś był z niego prawdziwy postrach. Musi się szykować na spotkanie ze Stwórcą.

- Nie widziałeś przypadkiem Ruba? - zapytał Sully.

- Ani razu, odkąd cię przymknęli. Czy jego żona nie ma na imię Elizabeth?

Sully pokręcił głową.

- Bootsie - powiedział, chociaż kiedy się nad tym zastanowił, Bootsie mogło być całkiem dobrze zdrobnieniem od Elizabeth.

- Duża, tęga dziewczyna? Pracowała u Woolwortha?

- Zgadza się.

- Aresztowali ją dzisiaj rano.

- Wielki Boże - powiedział Sully. - Za co?

- Za kradzież. Trzymała połowę tego ich sklepu u siebie w domu.

Sully pokiwał głową.

- Taki już miała zwyczaj. Codziennie zabierała ze sobą do domu jakiś drobiazg.

- Musieli mieć ją na oku od jakiegoś miesiąca.

- Mam nadzieję, że mają w pudle większe cele niż ta, w której siedziałem. W tamtej Bootsie nie miałyby się jak obrócić. Przy okazji - dodał, pokazując Jocko swój kupon. - Jednak obstawiłem tamten zakład, jak się okazuje.

Podniesiony na duchu, z poczuciem bezpieczeństwa, jakie daje zastrzyk gotówki, uznał, że to najlepszy moment, aby zejść do jadalni. Minęła pierwsza, a wraz z nią pora lunchu i nie powinno być tłoku.

Rzeczywiście, kiedy tam dotarł, lokal był pusty, jeśli nie liczyć Cassandry zmywającej blat po stołownikach oraz, ku zaskoczeniu Sully'ego, Roofa, który wyjechał przed miesiącem. Ruth nie było nigdzie widać. Jej nieobecność, w połączeniu z niewyjaśnioną obecnością Roofa, sprawiła, że poczuł się zdezorientowany. Jak gdyby czas się cofnął. Rzucił okiem w stronę boksu Hattie, aby się upewnić, czy jej tam nie ma, czy wydarzenia ostatnich kilku dni nie były jedynie snem. To, że ostatni miesiąc jego życia mu się przyśnił, wydawało mu się całkiem prawdopodobne, zwłaszcza że sen zakończył się wygraniem potrójnego zakładu. Ale Roof był tu naprawdę, szorował w milczeniu ruszt kostką węgla drzewnego. Sully wybrał taboret w pobliżu, na wypadek gdyby potrzebował sprzymierzeńca.

- A więc wróciłeś, Rufus - zaczął ostrożnie.

Roof się nie odwrócił. Nigdy tego nie robił. Kiedy w lokalu był ruch i drzwi się otwierały, wszyscy wyciągali szyje, wychylając się w przód i w tył, żeby zobaczyć, kto idzie, z wyjątkiem Roofa, który wolał zajmować się pracą niż jej przyczyną.

- W miasteczku tej wielkości powinien być kolorowy - rzekł.

- Zrozumieliśmy to, kiedy odszedłeś - powiedział Sully, uśmiechając się do Cassandry, która przyglądała mu się porozumiewawczo, kiedy, wchodząc, i jak dotąd nie wykonała żadnego ruchu w jego stronę. - Dostanę kawy czy strajkujesz?

- Powinnam strajkować, jeśli chodzi o ciebie - oświadczyła, biorąc dzbanek. - Nikt ci nigdy nie mówił, że pogrzeb nie jest odpowiednim miejscem do głupich kawałów?

Poprzedniego dnia, w połowie ceremonii pogrzebowej, Otis odkrył w swojej kieszeni gumowego aligatora i kwiknął tak przeraźliwie, że wszyscy w kościele z wyjątkiem Hattie podskoczyli.

- Miał go znaleźć po powrocie do domu - tłumaczył się Sully.

Na dnie dzbanka pozostało jakieś trzy czwarte filiżanki gęstej kawy.

- Masz - powiedziała Cassandra. - To wszystko, co dostaniesz, i więcej, niż zasługujesz.

- Nie zaparzaj nowego dzbanka.

- Nie mam zamiaru - zapewniła go Cassandra. - Od przyszłego tygodnia inni ludzie będą tu robić kawę.

- Skoro mowa o innych ludziach...

- Jest na zapleczu, przyjmuje towar - wyjaśniła Cass. - Założyliśmy się. Ona twierdziła, że nie przyjdiesz, bo nie będziesz miał odwagi. Sformułowanie jest moje, nie jej.

- Chciałbym, żeby ludzie przestali się zakładać o to, co zrobię - powiedział Sully, przypominając sobie, że ktoś (kto taki?) wygrał zakład, kiedy zrezygnował z kursu doskonalenia zawodowego.

- Wyprostowałaś już sprawy z Rubem? - zapytała Cassandra.

- Jadę do niego, jak tylko stąd wyjdę.

- To dobrze - ucieszyła się Cass. - Stanowiliście popularny duet.

Uśmiechali się teraz do siebie, para starych przyjaciół.

- Zostaniesz tu trochę?

Cassandra pokręciła głową.

- Meblowóz jest zamówiony na poniedziałek. Wirf przyśle mi czek, kiedy transakcja zostanie sfinalizowana.

- Dokąd go przyśle?

- Do Boulder w Kolorado.

- Dlaczego tam, na litość boską?

- Dlaczego nie?

Sully wzruszył ramionami.

- Dobra, skoro chcesz rozmawiać w ten sposób...

- Chcę.

Jej pewność siebie zbijała go z tropu.

- Roof, wrócił - zauważył Sully. - Nie podobało ci się w Karolinie Północnej, co Rufus?

Roof skończył czyścić ruszt i rzucił w kąt kostkę węgla drzewnego.

- Pełno tam leniwych smarkaczy - powiedział z zaskakującą pasją. - Moich wnuków. Myślą, że jesteś głupi, bo pracujesz. Sami nawet palcem nie kiwną. Coś tam kombinują na boku. Masz chyba nie po kolei, mówią. Zasuwasz jak Murzyn. Nie wiem jak wy, ale ja jestem Murzynem, powiedziałem. Pracującym Murzynem.

Sully rzucił okiem na Cassandrę, która też patrzyła na Roofa w osłupieniu. Powiedział chyba przed chwilą więcej niż w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Jakby powstrzymywana od dwudziestu lat potrzeba znalazła wreszcie ujście.

- Nie ma nic złego w pracy z wyjątkiem płacy - ciągnął Roof, wylewając na ruszt ocet, który zamienił się w gryzącą chmurę.

Sully cofnął się przed duszącymi oparami.

- Płacy i warunków.

- I straconego czasu - dodała Cassandra.

- Strzykania w boku i łamania w kościach - uzupełnił Sully.

- Nie ma nic złego w pracy - powtórzył Roof.

Faceta, który czekał dwadzieścia lat, żeby coś powiedzieć, niełatwo zbić z tropu żarcikami.

Uporawszy się z rusztem, Roof nalał sobie wody do szklanki, wypił, po czym wyszedł wolnym krokiem zza lady, wrzucając fartuch do płóciennego pojemnika. - Powodzenia w Kolorado - rzucił w stronę Cassandra nie patrząc na nią. Postawił na ladzie pustą szklankę i wyszedł.

- Chyba mu nie odbiło, co? - zapytał Sully, kiedy drzwi się za nim zamknęły.

- Nie sądzę - powiedziała Cassandra.

Z pokoju na zapleczu dobiegł go głos Ruth. Sully odwrócił się na taborecie, spodziewając się ujrzeć ją za chwilę.

- Kto będzie tam teraz mieszkał? - przyszło mu nagle do głowy pytanie.

- Pewnie Ruth.

Sully zmarszczył brwi na tę wiadomość.

- Myśli o sprzedaży domu.

- A co z Zackiem?

- W tej chwili mieszka w przyczepie kempingowej za domem.

Sully nie słyszał wcześniej żadnej z tych nowin. Jego poczucie dezorientacji wzrosło jeszcze bardziej.

- W jakiej przyczepie?

- W tej, którą zajmowała wcześniej jego córka. Powinieneś namówić Ruth, żeby wynajęła mieszkanie tobie - podsunęła Cassandra.

- Nie sądzę. - Sully się uśmiechnął, chociaż taka ewentualność przemknęła mu przez myśl. - Lepiej pojedę z tobą do Kolorado. To bezpieczniejsze rozwiązanie.

- Tutaj będziesz całkowicie bezpieczny - powiedziała Cass z naciskiem.

- To znaczy?

- To znaczy, że Ruth z tobą skończyła. To znaczy, że w końcu udało ci się zniechęcić jedną z nielicznych wartych zachodu kobiet w tej dziurze.

- Kim są pozostałe?

- Dobra - powiedziała Cass, machając z irytacją rękami. - Kpij sobie dalej.

- Uważasz, że Ruth lepiej by na tym wyszła, gdyby rozwiodła się z Zackiem i wyszła za mnie?

W tym momencie Ruth weszła z zapleczu, uwalniając Cassandrę od konieczności odpowiadania na pytanie. Przyglądała się Sully'emu przez chwilę, po czym spojrzała na zegarek.

- Jesteś mi winna dolara - powiedziała Cassandra.

- Dopisz go do mojej kartki - zaproponował Sully.

Ruth podeszła do kasy, podniosła szufladkę na pieniądze i wsunęła pod spód złożoną fakturę.

- Czasy dopisywania do kartki się skończyły, przyjacielu.

Sully wzruszył ramionami, wyjął dolara i położył obok swojej pustej filiżanki.

- Może jak zacznę płacić, dostanę od czasu do czasu pełną filiżankę.

Kobiety zamieniły spojrzenia.

- Dasz sobie radę z zamknięciem lokalu? - zapytała Cassandra.

- Jasne - zapewniła ją Ruth. - Jesteś wolną kobietą.

- Mój wykładowca filozofii twierdził, że coś takiego jak wolność nie istnieje - powiedział Sully.

- Twierdził tak, zanim cię poznał czy później? - zainteresowała się Ruth.

Cassandra rozglądała się wokół siebie, najwyraźniej z mieszanymi uczuciami.

Sully, nie wiadomo dlaczego, skulił się wewnątrz.

- O której wyjeżdżasz w poniedziałek?

- Wcześniej.

- Jak wcześniej?

- O szóstej - powiedziała. - Może o siódmej.

- Potrzebujesz pomocy przy pakowaniu?

- Ekipa robi wszystko - zapewniła go Cassandra. - Ja nawet palcem nie kiwnę.

Sully wzruszył ramionami.

- Przyjdę.

- Nie przychodź - powiedziała Cassandra tonem, który sugerował, że mówi poważnie. Sully zobaczył, że jej oczy są wilgotne.

- Przyślij mi pocztówkę - powiedział.

- Dokąd mam zaadresować?

- „Pod Konia”, tam gdzie reszta mojej poczty. Niech Tiny'ego szlag trafi.

Wyszła zza kontuaru, uściskali się, po czym Cass wyszeptła mu do ucha słowa podziękowania.

- Za co? - zdziwił się Sully.

- Nie mam pojęcia - przyznała Cassandra.

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała Ruth ostrzegawczym tonem, kiedy drzwi się za nią zamknęły.

- Jak?

- Jakbym wycygała od niej restaurację, kantując przy pokerze.

- Nie miałem takiego zamiaru - zapewnił ją Sully, uświadamiając sobie równocześnie, że jego mina właśnie to musiała sugerować. - Miałem właśnie zapytać, jak interesy.

- Za wcześniej, żeby coś powiedzieć - odparła Ruth. - Chodzą słuchy, że niektórzy starzy bywalcy chadzają teraz na poranną kawę do cukierni.

Sully skinął potakująco głową, zawstydzony.

- Wróć.

- Jak nie, to do diabła z nimi - powiedziała Ruth wyzywająco, patrząc mu prosto w oczy.

- Kupiłeś lokal na dobrych warunkach? - zapytał Sully, uznając, że subtelna zmiana tematu nie powinna zaszkodzić.

- Trudno o lepsze. Po korzystnej cenie i za pieniądze Vince'a.

- Nie do przebicia - przyznał Sully.

- Fakt - zgodziła się z nim Ruth. - Przypomina mi to bardzo układ, który proponował ci Kenny Roebuck dwadzieścia lat temu.

Sully skinął głową, nie tyle potwierdzając słuszność jej spostrzeżenia, ile przyjmując do wiadomości, że mają się kłócić.

- Mam nadzieję, że będziesz równie zadowolona ze swojej decyzji, jak ja ze swojej.

Ruth nie umiała powstrzymać uśmiechu.

- Twoja głowa musi być zrobiona z litego granitu.

- To się dobrze składa - zauważył Sully - bo co chwila ktoś w nią kopie.

- Sam się w nią kopiesz - powiedziała Ruth. - Nawet nie wiesz, jaki jesteś wygimnastykowany.

Drzwi się otworzyły i weszła Jane w białym stroju kelnerki - identycznym z tym, który nosiła Ruth, kiedy pracowała w pizzerii Jerry'ego - niecierpliwie ciągnąc za sobą córeczkę. Ogarnęła sytuację jednym rzutem oka i puściła drzwi, które zamknęły się za nimi. Usadziła dziewczynkę, trzymającą na rękach wypchanego pieska, w małym boksie, w którym kiedyś siadywała Hattie. Sully'emy wydawało się, że gdzieś już tego zwierzaka widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie.

Dziecko wpatrywało się w pieska z dziwną intensywnością, jak gdyby podejrzewało, że pod materiałem może kryć się prawdziwe zwierzę.

- Posiedzisz tu trochę, dobrze? - zwróciła się Jane do dziewczynki. - Mama idzie tam niedaleko i babcia też tutaj jest, co? Będziesz widzieć nas obie. Chyba możesz tu chwilę posiedzieć?

Podeszła do Ruth, która właśnie zaczęła podliczać kasę.

- Wstaje? - zapytała szeptem.

- Nie, siedzi tam, gdzie ją posadziłaś.

- Nie do wiary. Robi postępy. - Jane wyminęła matkę i wśliznęła się za ladę, gdzie naląła sobie coli z automatu. - W takim razie możemy uznać pałeczkę za oficjalnie przekazaną.

- Nie krępuj się - powiedziała Ruth.

- Nie mam zamiaru - zapewniła ją Jane. - I skoro jesteś taka miła, powiem ci, że widziałam tatę, jak właśnie tutaj skręcał. Powinien być lada moment. - Rzuciła Sully'emu znaczące spojrzenie. - Jak się pan miewa, panie Sullivan?

- Znakomicie. Nieustające pasmo sukcesów.

- Przynajmniej wyszedł pan z więzienia. Teraz pewnie wypuszczą mojego męża.

- Lepiej nie. - Ruth zerknęła w stronę dziewczynki. Sully podążył za jej wzrokiem. Z aureolą jasnych włosów, rozświetloną popołudniowym słońcem, padającym z naprzeciwka, mała niepokojąco przypominała starą Hattie, która w ostatnich miesiącach życia skurczyła się niemal do wymiarów dziecka. - Nie teraz, kiedy wreszcie coś się u nas ruszyło.

- Ułożyła wczoraj chyba z połowę puzzli tej starszej pani - powiedziała Jane, wprawiając w konfuzję Sully'ego, który wciąż był myślami przy Hattie.

- Jakiej starszej pani?

- Pańskiej gospodyni - wyjaśniła Jane. Sully przypomniał sobie teraz, gdzie wcześniej widział wypchanego pieska. - Zawsze jest taki szybki? - spytała Jane, zwracając się do matki.

- Ostatnio raczej tak - odparła Ruth z uśmiechem.

Jane przyjęła to najwidoczniej jako prawdę niepodlegającą dyskusji.

- Hej, Ptasi Mózdzku, mamusia pójdzie teraz do pracy. Zostaniesz z babcią, dobrze? Dziadek też tu zaraz będzie. W porządku?

- Będzie jej dobrze - zapewniła ją Ruth.

- Lepiej, to chciałaś powiedzieć - uściśliła Jane. - Lepiej niż ze mną.

- Jesteś spóźniona - zauważyła Ruth, rzucając okiem na zegar.

- Nie szkodzi. Szef ma do mnie słabość.

Wszyscy usłyszeli, jak otwierają się drzwi od podwórza, i spodziewali się ujrzeć Zacka, chociaż Sully się nie obejrzał.

- Tutaj jesteśmy, gamoniu - zawołał, rad w gruncie rzeczy, że przyszedł ktoś, przy kim nie czuł się zapędzony w kozi róg. Kobietom często nie potrafił dotrzymać pola nawet w pojedynkę, a kiedy połączyły siły, tak jak Jane i Ruth w tej chwili, wiedział, że czas zwijać zagle. - Kieruj się według światła.

Zack wszedł i usiadł przy barze obok Sully'ego, zostawiając jeden taboret wolny.

- Co masz zamiar zrobić z tą starą kasą? - zagadnął Ruth, tytułem ogólnego powitania.

- Jest zepsuta - zauważyła Ruth. - I uśmierciła staruszkę.

Ostatnia informacja albo nie miała jego zdaniem nic do rzeczy, albo musiał słyszeć już wcześniej o okolicznościach śmierci Hattie, bo nie zrobiła na nim szczególnego wrażenia.

- Znam w Schuyler Springs faceta, który dałby ci za nią z pięć setek. Teraz już nie robią takich klawiszy.

Ruth zmierzyła męża wrogim spojrzeniem.

- Zrób mi jedną przysługę - powiedziała.

Zack wzruszył ramionami.

- Dobra.

- Na przyszłość wchodź wejściem od ulicy.

- Nie przejmuj się, tato - pocieszyła go Jane. - Ona po prostu chce być dla kogoś wredna, nie widzisz? Zanim przyszedłeś, była wredna dla Sully'ego. Dla mnie też by była, gdybym jej na to pozwoliła.

Zack znów wzruszył ramionami.

- Mógłby dać nawet siedem - ciągnął. - Ten facet kolekcjonuje kasy. Wszelkiego typu.

- Ja piernicę - mruknęła Jane, przewracając oczami.

Ruth przyjrzała się najpierw mężowi, potem córce, po czym westchnęła, zerkając na Sully'ego.

- Geny - wyjaśniła.

Jej twarz rozjaśnił szczery uśmiech, za który ją pokochał przed tylu laty i dzięki któremu jego przywiązanie było tak mocne również i dzisiaj. Cass miała oczywiście rację, Ruth była warta zachodu. Po prostu nie pragnął jej tak, jak powinien, ani wtedy, ani prawdę mówiąc teraz. Mógł się wstydić z tego powodu, ale nie potrafił tego zmienić. Uświadomił sobie również dwie rzeczy. Po pierwsze, uwaga Ruth była aktem wielkoduszności - po raz pierwszy przyznała, że Jane nie jest ich córką. Po drugie, jak na ironię, to naprawdę ozna czało koniec między nimi, tym razem na dobre, z wyjątkiem, ewentualnie, przyjaźni.

- Dobra, będę się zbierał - oznajmił Zack, chociaż nie wykonał żadnego ruchu, żeby wstać z taboretu. - Wpadłem tylko, żeby zobaczyć, jak sobie radzisz i czy czegoś nie potrzebujesz.

- Nie potrzebuję niczego - powiedziała Ruth. Skończyła liczyć pieniądze z szuflady i zakładała teraz gumki na pliki pięć-, dziesięcio- i jednodolarowych banknotów.

Zack wydawał się pojmować smutną prawdę, że jego żona go nie potrzebuje, nie potrzebuje też tego drugiego faceta, który siedzi przy barze dwa stolki dalej.

- Cóż - powiedział Sully, zsuwając się ostrożnie z taboretu. - Pójdę lepiej rozejrzeć się za Rubem.

- Lubisz mięso z jelenia? - zapytał nieoczekiwanie Zack, zaskakując kompletnie Sully'ego, nieprzygotowanego na takie pytanie.

- Kto, ja? Nie, nie lubię.

- Mam pełną zamrażarkę, dlatego pytam - wyjaśnił Zack niepewnym tonem. - Są całkiem ładne steki. Mógłbyś wziąć kilka, gdybyś miał ochotę. Za darmo.

- Nie gotowałem sobie od dwudziestu lat, Zachariaszu. Ale dzięki za propozycję.

Jane zachichotała nieprzyjemnie.

- Co cię tak rozweseliło? - spytała Ruth, zatrzaszkując szufladę ruchem sugerującym, że oczekuje sensownego wyjaśnienia i lepiej, żeby takie usłyszała.

- Pomyślałam sobie, że jestem tu jedyną osobą, która ma coś, czego inni chcą - powiedziała, poklepując swój biust.

- Ciesz się, póki możesz - skwitowała matka.

- Wiesz, co mówi taki piesek? - zapytał Sully dziewczynkę w drodze do wyjścia, zastanawiając się, czy panna Beryl jej powiedziała.

To wędrujące oko Tiny go odnalazło - zdrowe wciąż wpatrywało się w pieska. Sully'ego znów opanowało dziwne uczucie, że mówi do starej Hattie w jej nowym wcieleniu. Kiedy doszedł do wniosku, że dziecko mu nie odpowie, mała szepnęła, niemal niedosłyszalnie.

- Jesteś fu.

- Zgadza się - powiedział Sully. - Jestem fu.

Drzwi do mieszkania Ruba i Bootsie nie były zamknięte na klucz, dlatego Sully wszedł do środka, pukając przedtem głośno. Przez chwilę wydawało mu się, że się pomylił i trafił do niewłaściwego domu. Mieszkanie Ruba i Bootsie zawsze było zapchane stoliczkami, lampami, wielkim akwariem i

mnóstwem bibelotów, które Bootsie wynosiła ze sklepu. Ściany pokrywały ogromne malowidła, przedstawiające wodospady, smutnych klaunów, szczeniaki oraz portrety Elvisa Presleya. Teraz przypominało mu jego własne lokum. Ściany były nagie. Sfatygowana kanapa państwa Squeers i stary telewizor w meblowej obudowie stanowiły niemal jedyne sprzęty w całym domu.

Rub siedział na podłodze w pokoju od ulicy, bez ruchu, oparty plecami o ścianę. Przez ułamek sekundy Sully'emu wydawało się, że nie żyje. Miał na sobie zimowy płaszcz i robocze buty, wełniana czapka zakrywała uszy. Obok niego stała karafka wina Thunderbird. Spojrzał mętnym wzrokiem na Sully'ego, po czym dalej studiował swoje stopy w roboczych butach.

- Cześć, głąbie - powitał go Sully.

- Cześć - odpowiedział Rub, jak gdyby wykrztuszenie tej sylaby było wszystkim, na co mógł się zdobyć.

Sully szturchnął go delikatnie, zrzucając mu z głowy brudną, wełnianą czapkę.

- Zdejmij kapelusz. Jesteś w domu.

Rub podniósł czapkę z dywanika i przesunął po niej palcami.

- Chciałbym, żebyśmy dalej byli przyjaciółmi - powiedział.

- Jesteśmy - zapewnił go Sully.

Rub znów podniósł wzrok, spoglądając na niego z powątpiewaniem.

- A wiesz, co ja bym chciał? - powiedział Sully.

- Co takiego? - Rub wydawał się autentycznie zaintrygowany.

- Chciałbym, żebyś ruszył tyłek. Mamy mnóstwo pracy i nie mogę zrobić wszystkiego sam.

Rub podniósł się chwiejnie, przewracając kopnięciem pustą butelkę po winie.

- Aresztowali Bootsie.

Sully pokiwał głową.

- Słyszałem.

- Widziałeś ją w więzieniu?

- Nie trzymają kobiet razem z mężczyznami.

- Zabrali wszystko, co ukradła - dodał, rozglądając się po pustym mieszkaniu.

- Przynajmniej jest teraz czym oddychać - powiedział Sully, chociaż oddychanie nie było czymś, co by polecał. Mieszkanie nadal śmierdziało niczym dziesięć funtów zdechłych kradzionych rybek. - Chodźmy do roboty.

- Dobra - zgodził się Rub.

Wyszli na ulicę.

- Dlaczego masz canimo? - zapytał Rub, wsiadając do środka.

- Camino, tępa pałko - poprawił go Sully. - Ile razy mam ci powt rzać?

Rub pomyślał chwilę i przeformułował pytanie.

- Gdzie jest furgonetka?

- Peter ją wziął.

- Ciągle tu jest? - Rub był wyraźnie rozczarowany.

Sully przekręcił kluczyk w stacyjce, po czym z powrotem wyłączył silnik.

- Hej! - powiedział.

Rub siedział ze wzrokiem wbitym w swoje kolana.

- Popatrz na mnie - zażądał Sully. - Peter jest moim synem. Ty jesteś moim najlepszym przyjacielem. W porządku?

Rub skinął głową, pociągając nosem.

- Tylko się nie maż - uprzedził go Sully, zbyt późno przeczuwając taką możliwość. - Słyszysz, co mówię?

- Dobrze - obiecał Rub, chociaż było to przyrzeczenie, którego nie mógł dotrzymać.

Sully popatrzył na niego, pokręcił głową z niedowierzaniem i westchnął. Upiekły mu się przeprosiny, ale to było jeszcze gorsze.

- Powiniennem zostać w pudle - powiedział, przekręcając ponownie kluczyk w stacyjce. Po czym włączył radio, żeby zagłuszyć pochlipywanie swojego najlepszego przyjaciela.

Ponieważ odszukanie Ruba zajęło mu o wiele mniej czasu, niż się spodziewał, Sully postanowił zajrzeć na Srebrną, gdzie mieszkali Ralph i Vera, żeby sprawdzić, czy Peter wciąż tam jest. Wyglądało na to, że był, bo przyczepa z meblami wciąż stała na podjeździe. Nie wiadomo dlaczego odczepiono ją od furgonetki i oparto jednym końcem o ziemię. Tylne drzwi domu, te, którymi wchodziło się przez garaż, otworzono i podparto, żeby się nie zamknęły. Ponieważ samochodu Very nigdzie nie było widać, Sully ustawił el camino przy krawężniku i wyłączył silnik.

Rub otworzył drzwi i zwymiotował do odpływu kanalizacyjnego, dokładnie w tym samym miejscu, w którym Sully ulżył sobie w Święto Dziękczynienia. Rub miał więcj do zwrócenia. Wyglądało to na całą butlę cienkuszka.

- Lepiej mi - powiedział, kiedy już skończył.

- Ja myślę. - Sully solidaryzował się z nim, chociaż odwrócił wzrok, żeby nie patrzeć.

Byli w połowie podjazdu, kiedy w kuchennych drzwiach ukazał się Peter, idący tyłem i trzymający jeden koniec dolnego, ciężkiego materaca od tapczanu.

- Uważaj, papciu, stopień - powiedział.

Ukazał się Ralph, trzymający drugi koniec.

- Wiem. Postaw to na chwilę.

W tym momencie zobaczyli Sully'ego i Ruba. Na twarzy Ruba odmalaowała się ulga. - Po prostu oprzyj o drzwi - dodał.

- Znasz Ruba Squeersa? - zapytał Sully.

- Nie sędzę - rzekł Ralph, wyciągając rękę. Rub, którego zaskoczyła ta prezentacja, zorientował się po jakichś dwóch sekundach, co się dzieje. Jego twarz wyrażała kompletne osłupienie. Poza tym było mu głupio z powodu stanu, w jakim znajdował się przód jego koszuli.

- To mój najlepszy przyjaciel - zaanonsował Sully - ale trochę ciężko kapujący.

- Nigdy przedtem mnie nie przedstawiałeś - powiedział Rub.

- Ależ przedstawiałem - zapewnił go Sully. - Po prostu zapomniałeś.

- Ja w każdym razie nie pamiętam - oświadczył Rub.

- To właśnie mówię - zauważył Sully.

- Pamiętałbym - upierał się Rub. Sully pokiwał głową z uśmiechem.

- Powiedz wierszyk o mleku „Carnation”.

- Cycki najbardziej lubię - zaczął Rub pewnym tonem, po czym utknął.

- Może byś się przywitał z Peterem? - zasugerował Sully.

- Siemasz, Sancho - rzucił Peter.

- Cześć - burknął Rub nachmurzony.

- Słuchaj, złap ten materac z drugiej strony - powiedział Sully. - Ralph wygląda na zmachanego.

- Bo jestem - przyznał Ralph. - Tyle że nie muszę nic robić, żeby się zmachać.

- To z powodu podeszłego wieku - wyjaśnił Sully.

- Jestem młodszy od ciebie, a ty pracujesz przez cały dzień.

- Patrzy, jak my pracujemy, jeśli chodzi o ścisłość - rzucił Peter przez ramię, kiedy przechodzili obok nich, niosąc materac w kierunku przyczepy. Rub znów wyglądał blado.

- Napijesz się kawy? - zapytał Ralph Sully'ego. - Akurat zaparzyłem.
- Dobrze - zgodził się Sully. - Chodźmy do środka i popatrzmy sobie, jak oni pracują. Tu na dworze jest zimno.

Ralph poszedł przodem. Will był w kuchni i pił coś z filiżanki do kawy. Sully przysunął sobie krzesło i usiadł obok wnuka.

- Co tam masz?

- Gorącą czekoladę.

- Zrobię ci, jeśli masz ochotę - zaproponował Ralph.

- Wolę kawę.

- To nie problem - zapewnił go Ralph. - Kakao jest tu pod ręką.

- Wolę kawę.

- Zajmie mi dwie minuty. Podgrzeję wodę i to wszystko.

- Nie dziwię się, że Vera wciąż jest na ciebie wkurzona. Przynieś mi filiżankę kawy.

Ralph nalał kawy z ekspresu stojącego na blacie koło zlewu.

- Chcesz śmietanki albo cukru?

- Nie, chcę kawy.

- Wszystko jest pod ręką - powiedział Ralph, wskazując gestem śmietankę i cukier, żeby nie było wątpliwości, że to żadna fatyga.

Sully szturchnął Willa.

- Wciąż nie dostałem swojej kawy - poskarżył się. - Przez ten czas mogłem wypić trzy filiżanki.

- Proszę - powiedział Ralph, stawiając filiżankę przed Sullym i przysuwając sobie krzesło. - Cieszę się, że przyszliście, ty i twój przyjaciel. Teraz jest szansa, że skończymy, zanim Vera wróci z Schuyler. To, co teraz ładują, to łóżko z gościnnego pokoju. Vera gotowa znieść jajko.

- Mogliby wziąć moje łóżko - zaproponował Sully.

- A ty na czym byś spał?

- Na kanapie. Śpię tak mało, że nie ma co sobie zawracać głowy.

- Ja też - powiedział Ralph ze smutkiem. - Wstaję w nocy chyba ze dwadzieścia razy.

- Vera się dowie, że pozwoliłeś Peterowi zabrać łóżko, i to ty nie będziesz miał na czym spać.

- Ostatniej nocy lepiej by było, gdybym nie spał - powiedział Ralph. - Okradli nas.

- Żartujesz.

Ralph miał minę winowajcy.

- Tylko garaż. Nigdy nie zgadniesz, co zginęło.
- Owszem, zgadnę - zapewnił go Sully. - Dmuchawa do śniegu.
- Ty ją zabrałeś? - Ralph aż otworzył usta ze zdumienia.
- Nie, ale wiem, kto to zrobił.
- Kto taki?
- Facet, któremu ją ukradłem. Nie przejmuj się. Ukradnę ją znowu.

Ralph pokręcił głową, po czym spojrzął na Willa, który przysłuchiwał się temu wszystkiemu.

- Dziadek Sully to niezły numer, co?

Will patrzył to na jednego, to na drugiego, najwyraźniej nieprzygotowany do wyrażenia opinii.

- Chcesz jeszcze czekolady? - zapytał Ralph.

Will pokręcił głową.

- Chcesz kij w oko? - włączył się Sully.

- Nie masz kija - zauważył Will.

- Zaprosisz swoich dziadków, żeby cię odwiedzili w nowym mieszkaniu?

- I babcię Verę.

- Zgadza się - potwierdził Sully.

W tym momencie pojawili się Peter i Rub.

- Jeszcze tylko górny materac i jesteśmy gotowi - oznajmił Peter. - Stopień, Sancho - przypomniał.

- Wiem - powiedział Rub, chociaż sądząc z tonu, był zadowolony, że go uprzedzono. Sully niemal widział, jak jego mózg pracuje, przystosowując się do nowej rzeczywistości, w którą Sully go wprowadził - gdzie Peter był jego synem, a on jego najlepszym przyjacielem. Potrzebował czasu, żeby pojąć wszystkie zawiłości tej sytuacji. Sully rozumiał, co czuje.

- Oho! - powiedział nagle Ralph, nastawiając ucha.

- Co takiego?

Ralph wstał i podszedł do okna.

- Tego się obawiałem.

- Chcesz, żebym z nią porozmawiał? - zapytał Sully.

Ralph rozważał przez chwilę to, co musiał uznać za odważny i wspaniałomyślny gest, ale w końcu pokręcił głową.

- Nie, lepiej róbcie swoje. Poradzimy tu sobie z Willem, prawda, William?

- Dobra. - Sully podniósł się z krzesła i wyjrzał przez kuchenne okno. - Tak czy inaczej chyba skończyli ładować.

Rzeczywiście, Peter i Rub mocowali się z przyczepą, próbując założyć z powrotem zaczep na hak, zainstalowany na tylnym zderzaku furgonetki Sully'ego.

Z początku Sully'emu wydawało się, że Vera przejdzie po prostu obok nich, jak gdyby to, co się działo na jej własnym podjeździe, było czymś nierzeczywistym. Wyglądała, jakby nie miała zamiaru przyjąć obecności syna do wiadomości. Jej twarz zastygła w wyrazie odmowy, dopóki kątem oka nie dostrzegła Ruba. Stała jak wryta, odwróciła się i patrzyła na niego w osłupieniu. Miała taką minę, jak gdyby właśnie rozpoznała zbrodniarza, który z zimną krwią zamordował jej rodziców, stojącego wśród innych podczas policyjnej konfrontacji.

- Oho - powtórzył Ralph. Sully już skakał w stronę drzwi na swojej zdrowej nodze, bo chora nie mogła udźwignąć jego ciężaru zaraz po wstaniu z krzesła.

Nim znalazł się na dworze, Peter zdążył wyjść zza furgonetki i przytrzymał matkę, która wrywała się w jego stronę niczym pies na naprężonej smyczy.

- Zabierz go stąd! - wyła. - Zabierz go stąd!

- Mamo - powiedział Peter. Próbował odwrócić jej uwagę, przysuwając swoją twarz do jej twarzy tak blisko, żeby nie widziała, co jest za nim. Vera oswobodziła jedną rękę i wyciągała ją w kierunku Ruba, jak gdyby mogły istnieć jakieś wątpliwości, o czyją obecność chodzi.

- Zabierz stąd to paskudztwo! - krzyczała. Za każdym razem, kiedy Peter zdołał chwycić jej rękę i przycisnąć do boku, Vera wyszarpywała drugą i znów celowała nią w Ruba. - Czemu on jeszcze tu stoi!? - krzyczała. - Zabierz go! Zabierz go z mojej posesji!

Rub był rzeczywiście zbyt oszołomiony i zdeorientowany tym nagłym zwrotem wydarzeń, żeby się ruszyć z miejsca. Nie było wątpliwości, kogo pokazuje kobieta, ale nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że chodzi o kogoś innego. Nie przypominał sobie w ogóle, żeby ją kiedykolwiek wcześniej widział. Poza tym wydawało mu się, że został tu zaproszony. Może nie przez tę wariatkę, ale przez innych, którzy najwyraźniej mieszkali w tym domu. Prawda, zdarzało mu się wcześniej sądzić mylnie, że jest gdzieś mile widziany, a potem bywało, że go stamtąd wypraszano. Ale to było co innego. Ta kobieta wyglądała, jakby go chciała zamordować. Nie powiedział do niej ani słowa, a ona ciskała się z furją, celując w niego palcem i wrzeszcząc. Kobieta, którą widział po raz pierwszy w życiu.

Vera nie zauważyła Sully'ego, dopóki również on nie stanął pomiędzy nią a Rubem.

- Vere - powiedział spokojnie. - Przestań. Natychmiast.

- To twoja wina - zaszlochała. - Ty przywlokłeś to do mojego domu. Dlaczego musisz - przez chwilę szukała właściwego słowa - zanieczyszczać wszystko? Dlaczego nie możesz zostawić nas w spokoju?

- Tato - poprosił Peter. - Jedźcie. Ja się tym zajmę.

- Dobra - zgodził się Sully, który zobaczył i usłyszał dosyć. - Jesteś stuknięta, Vere - rzekł tytułem pożegnania. - Zawsze byłaś, a teraz naprawdę świrujesz.

Ralph też się pojawił, wyciągając rękę do żony, co nie odniosło żadnego skutku.

- Nie dotykaj mnie - zapiała, odtrącając jego dłoń. - Niech żaden z was mnie nie dotyka!

- Nic jej nie zrobiłem - odezwał się Rub, kiedy Sully ruszył gwałtownie spod domu. Obejrzał się przez ramię na podjazd, gdzie Peter i Ralph usiłowali wprowadzić byłą żonę Sully'ego do środka. Kilku sąsiadów wyległo na ulicę, żeby popatrzeć. - Nawet jej nigdy nie widziałem.

- Zapomnij o tym - uspokoił go Sully. - To nie ma nic wspólnego z tobą.

Rub był zadowolony, że to słyszy, zadowolony, że Sully mówi mu, co ma zapamiętać, a o czym zapomnieć. - Wyglądała, jakby chciała mnie zamordować.

- To mnie chciałaby zamordować, nie ciebie - zapewnił go Sully.

Rub zmarszczył czoło.

- Szkoda, że to nie na ciebie się darła. Nic jej nie zrobiłem. Nawet jej nigdy przedtem nie widziałem.

- Wiem o tym, do cholery. Mówiłem ci, żebyś o tym zapomniał. Nie mów mi, że nie potrafisz czegoś zapomnieć, bo wiem, że potrafisz.

- Niezbyt dobrze się czuję. - Rub oparł głowę o chłodną szybę.

Sully podjechał pod dom Ruba zamiast pod nowe mieszkanie Petera i tam go wysadził.

- Zdrzemnij się - polecił mu. - Przyjadę po ciebie później.

- Kiedy?

- Później. - Widząc zwątpienie na twarzy Ruba, dodał: - Obiecuję.

Po czym, wbrew wyraźnym instrukcjom i własnemu zdrowemu rozsądkowi, zawrócił i pojechał z powrotem na Srebrną.

Właściwie nie miał zamiaru się pokazywać. Peter miał rację. Bez niego była większa szansa, że wszystko się uspokoi. Chciał po prostu podjechać i zobaczyć, czy Peter i Ralph zdołali wprowadzić Verę do domu. Jakoś nie był pewien, czy im się to uda. Zawsze uważał Verę za lekko zbzikowaną, ale teraz dostrzegł w jej oczach jakieś nowe szaleństwo, które go przeraziło. Nie zdziwiłby się, gdyby, skręcając w Srebrną, ujrzał za rogiem policyjne radiowozy i tłum gapiów.

Ale radiowozów nie było, przed domem jego ekszony panowała cisza. Przyczepa wciąż stała na podjeździe, zaczep nadal nie był założony na hak furgonetki, co oznaczało, że Peter może potrzebować pomocy. Podjechał pod dom, zastanawiając się, co zrobić w tej sytuacji, ale nie wysiadał z samochodu. Jeżeli Peter się pojawi w ciągu kilku minut, zaproponuje mu pomoc, postanowił. Jeżeli nie, pojedzie z powrotem do mieszkania, gdzie nic mu nie będzie groziło.

Nieco dalej w głębi ulicy dostrzegł niewielki tłumek. Coś się tam działo i Sully był szczęśliwy, że cokolwiek to było, nie dotyczyło jego. Przynajmniej dopóki sobie nie przypomniał, że dom Roberta Halseya, w którym wychowała się Vera, stał właśnie na tym odcinku ulicy, gdzie zgromadzili się ludzie. Próbował skojarzyć to wszystko i wyciągnąć jakieś wnioski, kiedy spostrzegł Willa, stojącego niepewnie pomiędzy zewnętrznymi, szklanymi drzwiami domu Very a wewnętrznymi, otwartymi, prowadzącymi do mieszkania. Kiedy Sully mu pomachał, chłopiec pokazał w głąb ulicy.

Sully nie był w dawnej posesji Roberta Halseya od - ilu? - trzydziestu lat? Ledwie poznał jego dom. Kiedyś jeden z najbardziej dopieszczonych na całej ulicy, teraz był najbardziej zaniedbany. Zniszczone, szare drewno wyłaziło spod farby tak mocno, że nie sposób było ustalić, na jaki kolor ostatnio je pomalowano. Przegniły ganek pochylał się niebezpiecznie. Sully pamiętał, że dom miał kiedyś również boczny ganek, ale ktoś go najwyraźniej wyrwał i teraz tylne drzwi otwierały się w próżnię. Posesja była w niewiele lepszym stanie niż dom jego własnego ojca przy Bowdon.

Gdy wysiadł z samochodu, z miejsca rozpoznał go jeden ze stałych bywalców gospody „Pod Koniem”.

- Co tu się dzieje, Buster? - zapytał Sully, próbując zachować dystans do sprawy, która wyglądała na śmierdzącą.

- To twoja żona - poinformował go Buster, najwyraźniej nie chcąc mu pozwolić na dystans.

- Niemożliwe - powiedział Sully, mijając go. - Nie jestem żonaty.

- Sully przybywa z odsieczą - zawołał ktoś, kiedy wspinał się po stopniach krzywego ganku, przytrzymując się chwiejnej poręczy. - Naprzód, Sully! - rozległ się okrzyk, natychmiast podchwycony przez innych. - Naprzód, na-przód, na-przód! - W oddali słyhać było syrenę.

Ralph stał w drzwiach i wyglądał na kompletnie przerażonego. Vera stała na środku pokoju, wciąż z dzikim błyskiem w oku, gorączkowo wydzierając kartki z ilustrowanego czasopisma. Peter, odwrócony plecami, rozmawiał przez telefon.

- Nie - mówił. - Nikt nie odniósł obrażeń.

- Chodźmy do domu, Vera - powiedział Ralph, wyciągając do niej rękę, jak wtedy przed domem. Vera nie zwracała na niego uwagi, tylko nadal wrywała kartki i rzucała nimi w osłupiałego, tęgiego faceta, siedzącego na sfatygowanej kanapie.

- Ona nie ma prawa drzeć moich „Playboyów” - zwrócił się mężczyzna do Sully’ego, chociaż gdzieś w domyśle dźwięczało niewypowiedziane: „...prawda?”, jak gdyby chciał dać do zrozumienia, że szalejąca kobieta ma być może moralne, ale nie formalne prawo, żeby robić to, co robi.

Vera cisnęła w niego kolejnym plikiem wyrwanych stron.

- Brud! - wrzasnęła wściekle. - Wniosłeś brud do domu mojego ojca! Ty jesteś brudem!

W tym momencie z głębi domu wychynęła kobieta z dwójkiem wystraszonych dzieci. Były opatulone w zimowe płaszcze, czapki i rękawice, gotowe do wyjścia, choć najwyraźniej wbrew własnej woli. Kobieta przeprowadziła je obok Very, starając się ją ominąć jak najszerszym łukiem. Sully odczekał, aż wyjdą, po czym powiedział:

- Vera.

Była żona nie zwróciła na niego uwagi, ale Peter odwrócił się, wciąż trzymając przy uchu słuchawkę, najwyraźniej czekając na dalszy ciąg rozmowy. Wyraz jego twarzy mówił: Fantastycznie! Ciekawe, co jeszcze może nawalić?

- Vera - powtórzył Sully.

Tym razem podniosła wzrok.

- To wszystko twoja wina - powiedziała.

- Tak, wiem - zgodził się Sully. - Ale teraz musimy się stąd zabierać, staruszko. Gliny tu jadą, a chyba nie chcesz zostać aresztowana.

Vera wydawała się rozważać przez chwilę tę dobrą radę, dopóki jej wzrok nie padł na „Playboya”, którego trzymała w rękach. Wówczas znów zaczęła wydierać kartki. Kiedy skończyła z tym numerem, chwyciła następną. Czy

był to jeden z ulubionych egzemplarzy grubasa, czy po prostu przeciągnęła strunę, w każdym razie mężczyzna rzucił się w obronie czasopisma, wyrwali je sobie przez chwilę, przy czym Vera wyszła z tej batalii zwycięsko. Mężczyzna zamachał rękami.

- Znowu zaczyna - poskarżył się, kiedy Vera podjęła przerwana czynność.

- Vero - odezwał się Sully, robiąc krok w jej kierunku.

Peter powiedział coś do telefonu i odłożył słuchawkę.

- Tato - rzucił ostrzegawczym tonem. - Tylko pogorszysz sprawę.

- Jak cholera - mruknął Sully.

Jedyna możliwość pogorszenia sprawy, jaką widział, to pozostawienie jej własnemu biegowi.

Jego ekszona wciąż mocowała się z kartkami.

- Vero, albo przestaniesz się wygłupiać i pójdziesz do domu, albo przyłożę ci w tyłek - ostrzegł ją Sully. - Wiesz, że to zrobię - dodał.

Problem Very chyba polegał na tym, że chwyciła zbyt gruby plik kartek, aby je wyrwać za jednym zamachem, ale nie chciała się poddać i mocowała się z nimi zawzięcie, czerwona z wysiłku.

Wówczas Sully wprowadził słowo w czyn, uderzając ją mocniej, niż zamierzał, aż proteza dentystyczna, o której nie wiedział, wyskoczyła z jej ust niczym bokserki ochraniacz i potoczyła się pod krzesło. Sully cofnął się, jakby to on został uderzony, osłupiał na widok byłej żony bez górnych zębów. Vera dla odmiany wydawała się nie dostrzegać ich braku. Jednak wszystkie pozostałe okoliczności chyba wreszcie do niej dotarły, bo osunęła się na kolana i zaczęła szlochać tak gwałtownie, aż jej ramiona podskakiwały.

- Zo-o-bacz, co-o zro-o-bi-i-li - łkała, podnosząc na niego wzrok.

Peter, błady i roztrzęsiony, odsunął krzesło i odnalazł protezę matki. Sully zauważył, że Ralph odwrócił wzrok.

- Jezu - powiedział grubas z kanapy - nie musiał jej pan wybijać zębów.

Sully wyciągnął rękę do Petera, wziął protezę, po czym przykleknął na zdrowej nodze. Myślał, że zemdleje, tak go bolało chore kolano. Vera, wciąż na klęczkach, zakryła twarz rękami. Musiał dwa razy powtórzyć jej imię, zanim na niego spojrziała.

- Masz. - Podał jej protezę.

Vera wzięła ją, przez chwilę nie rozumiejąc, o co chodzi, po czym wsunęła do ust.

- Teraz będziemy musieli wstać - powiedział. Ponieważ wyglądało na to,

że Vera nie poradzi sobie o własnych siłach, pomógł jej się podnieść, na co pozwoliła mu bez protestu.

- Tak bardzo cię nienawidzę - wychlipała, ukrywając twarz na jego ramieniu.

- Wiem, kochanie - odparł Sully, prowadząc Verę w stronę drzwi, gdzie przekazał ją w ręce Petera i Ralpha. Dobiegający z zewnątrz dźwięk syreny, coraz bliższy, jak to sobie w tej chwili uświadomił, urwał się nagle, po czym zapadła cisza. Sully wyjrzał przez okno i zobaczył karetkę pogotowia, a tuż za nią radiowóz policyjny. Postanowił nie wychodzić jeszcze przez kilka minut w obawie, że gliniarze mogą na jego widok wyciągnąć mylne wnioski. Był niemal pewien, że dwaj młodzi faceci, którzy wyskoczyli z karetki, to ci sami, którzy przyjechali pod dom Very w Święto Dziękczynienia, kiedy wszyscy myśleli, że umarł.

Tak więc został jeszcze przez jakiś czas w salonie grubasa. Mężczyzna nadal siedział na kanapie i robił wrażenie oszołomionego. Sully znalazł w kieszeni dwudziestodolarowy banknot.

- Za pańskie czasopisma - powiedział, podając mu pieniądze.

Mężczyzna oglądał banknot z nieszczęśliwą miną.

- Podarła numer z Vanna White - poskarżył się. - To historyczny egzemplarz.

- Kto to jest Vanna White? - nie rozumiał Sully.

- „Koło fortuny” - odpowiedział mężczyzna.

Teraz sobie przypomniał. Teleturniej szedł „Pod Koniem” zaraz po programie „Sąd obywateli”.

- Tak dużo znów nie było widać - powiedział grubas pojednawczo. - Cipy nie pokazali.

Ku swojemu zaskoczeniu Sully poczuł, że wzbiera w nim coś ze słusznego gniewu Very. Cieszył się, że jej tu nie ma i że nie słyszy tego słowa, wymianego w domu jej ojca. - Na pańskim miejscu nie składałbym skargi - doradził.

- W porządku - zgodził się grubas. - Nie chcemy kłopotów z sąsiadami.

Sully podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Vera wsiadała właśnie do karetki, podtrzymywana niczym inwalidka. Tłumek powoli się rozchodził. Po kilku minutach Sully wyszedł na zewnątrz.

Ralph siedział na najwyższym stopniu ganku, trzymając się poręczy. Kiedy Sully usiadł obok niego, pokazał mu drugą dłoń, trzęsącą się w niekontrolowany sposób.

- Zobacz - powiedział. - Zrobiła się ze mnie kompletna galareta.
- Już po wszystkim - pocieszył go Sully.
- Nie rozumiem, dlaczego ludzie nie mogą żyć w zgodzie - powtórzył Ralph swój refren. - Tego nie mogę pojąć.

Sully nie potrafił powstrzymać uśmiechu.

- Jej ojciec dbał o ten dom - rzekł Ralph, oglądając przegniłą podłogę ganku. - Serce ją pewnie boli, kiedy go widzi w tym stanie.

- Wiem - powiedział Sully, chociaż jego własne doświadczenia były inne. Obserwowanie, jak dom jego ojca rozpada się i niszcze, było dla niego źródłem głębokiej satysfakcji. Musiał przyznać, że ani podejście Very, ani jego własne nie było zbyt zdrowe.

- Dobrze zrobiłeś - powiedział Ralph, mając zapewne na myśli klapsa, którego jej wymierzył.

Sully ucieszył się, że to słyszy, bo sam doszedł właśnie do przeciwnego wniosku.

- Chciałbyś pewnie pojechać do szpitala. Podwożę cię - zaproponował.

- Peter z nią jest. Ja bym tylko przeszkadzał - powiedział Ralph, patrząc na swoje rozdygotane dłonie. - W tym stanie niewielki ze mnie pożytek.

Sully sięgnął do kieszeni po fiolkę najnowszych tabletek Jocko i wyciągnął dwie.

- Weź jedną.

- Co to takiego?

- Nie mam pojęcia - przyznał Sully. - Ale gwarantowane, że cię uspokoi.

Ralph schował tabletkę do kieszeni koszuli, Sully połknął swoją bez popijania.

- Jak ty tak możesz? - zdziwił się Ralph.

- Nie wiem. Po prostu mogę.

- Lepiej wróć do domu - powiedział Ralph, podpierając się na poręczy i dźwigając ciężko. - Will pewnie patrzy na ten stoper, który od ciebie dostał, i zastanawia się, czyśmy go całkiem nie zostawili.

W zamieszaniu Sully zapomniał o chłopcu. Wyobraził sobie teraz, jak siedzi sam w pustym domu, usiłując nie wpaść w panikę. Może już się poddał? Sully poczuł w żołądku słabe echo lęku chłopca i zaczął się zastanawiać, co może wynikać z faktu, że znów zapomniał o swoim wnuku. Była to jedna z rzeczy, które miały mu do zarzucenia zarówno Vera, jak i Ruth. Jego zdolność do tracenia z oczu tego, co ważne. „Jak ty tak możesz? - pytały go na

różnych etapach trwania ich związków. Jak możesz po prostu o kimś zapomnieć?”. Sully rozumiał, że jest to pytanie retoryczne, nigdy więc na nie nie odpowiedział. Gdyby jednak tego od niego zażądano, jego odpowiedź brzmiałaby tak samo jak ta, którą dał przed chwilą Ralphowi, dziwiącemu się, jak może połknąć tabletkę bez popijania. Nie wiedział. Po prostu mógł.

Piętnaście minut później Sully siedział samotnie przy końcu baru w gospodzie „Pod Koniem”, nad butelką piwa, która niemal z całą pewnością miała stanowić wstęp do długiej serii, i czekał, aż zadziała tabletką Jocko; zastanawiał się, czy wziąć dla pewności następną (jedna z możliwych strategii) albo popić ją jednym głębszym, żeby dać jej „kopniaka” (druga strategia), czy też wierzyć po prostu, że dzięki (strategicznej) pozycji, którą zajął, nie ominą go atrakcje odwracające uwagę od bólu. Widok byłej żony w stanie skrajnej hysterii, jej twarz, pełna głębokiej, z serca płynącej pogardy do niego, scena wsadzania jej do karetki, która zabrała ją do szpitala w celu „uspokojenia” - wszystko to nadwątliło jego sprawdzony od lat system zabezpieczeń i pulsowanie krwi w kolanie było teraz tak niemiłosiernie, że rytm ów, jak się obawiał, mógł sięgnąć za chwilę jakiegoś nowego, nieznanego mu dotąd crescendo bólu. Cała orkiestra wyciskała ostatni dech z instrumentów, dmąc, szarpiąc struny i waląc w bębny ze wszystkich sił. Brakowało tylko huku talerzy, który, był tego pewien, zwali go z nóg i pozbawi świadomości. Czuł, że skurczybyk z talerzami podnosi się już w ostatnim rzędzie, uśmiechając się szeroko, gotów do czynu. To jego ojciec, naturalnie, ten muzyk jednej nuty, hałaśliwy i mściwy, uśmiechał się do niego, z talerzem w każdej dłoni - szykuj się, gnojku, bo już czas. Duży Jim uniósł talerze wysoko nad głowę, aby uzyskać maksymalny efekt.

- Ty to nazywasz muzyką? - rzucił Sully.

- Że niby co nazywam muzyką? - spytał Wirf, sadowiac się na taborecie obok niego.

- Nie mówiłem do ciebie - powiedział Sully.

Wirf przyglądał mu się przez chwilę.

- Wyglądasz, jakbyś miał za chwilę podpisać listę.

- Właśnie wziąłem tabletkę - uspokoił go Sully. - Jak zadziała, będzie w porządku.

Wirf zsunął się z taboretu.

- Muszę iść siusiu. Zamów dla mnie sodową z limonką.

- Dobra.
- I zapłać, jak podadzą.
- Dobra.
- I jajko. Nic jeszcze dzisiaj nie jadłem. Widzę, że lojalna opozycja też tutaj jest - zauważył Wirf, wskazując duży stół w kącie sali, przy którym siedziało ośmioosobowe towarzystwo, wśród nich Satch Henry i Ollie Quinn.
Sully ledwie ich wcześniej zauważył.
- Nie zapraszali mnie do kompanii - powiedział.
- Mnie też nie - odrzekł Wirf. - Pewnie się boją, że im zrobimy afront.
Sully skinął głową.
- Jeden z nas by mógł.
- Popatrz, kto wrócił. - Wirf wskazał Jeffa, stojącego jak dawniej za barem.

Sully znów skinął potakująco głową.
- Zdążył już mi postawić pierwsze piwo.
- Wracam migiem - obiecał Wirf.

W drodze do toalety minął Carla Roebucka, który właśnie wszedł do lokalu. U ramienia wisiała mu młoda kobieta, na oko pod trzydziestkę. Jeśli chodzi o urodę, nie była to klasa Toby, ale również nie „teksańska liga”. Długie włosy nosiła rozpuszczone i kiedy Carl zaproponował, że powiesi jej płaszcz na wieszaku przy drzwiach, tam gdzie wszyscy zostawiali swoje okrycia, powiedziała, że dziękuje, że jej zimno. Przycisnęła połę płaszcza do piersi w sposób, który sugerował, że może nic nie mieć pod spodem. A może tak się tylko zachowywała w obecności Carla.

- Tu jest ktoś, od kogo powinnaś się trzymać z daleka - oznajmił Carl, kiedy przysiedli się do Sully'ego. - Didi, to jest Sully. Sully, oto urocza Deirdre.

Dziewczyna spojrzała na Sully'ego, jak mu się wydawało, z autentycznym zainteresowaniem.

- Wiele o panu słyszałam - powiedziała.
Carl wydawał się w pierwszej chwili zaskoczony tymi słowami.
- Aha, jasne - rzekł po chwili namysłu.

Sully doszedł do wniosku, że tabletki Jocko zaczyna działać, bo nie chwyta, o co chodzi.

Wciąż przyglądając się Sully'emu, dziewczyna otarła się o ramię Carla, szczebiocząc mu coś do ucha.

- Zaraz przy wejściu - powiedział Carl.

- Pójdiesz ze mną?

Carl prychnął, próbując się dostosować do jej zachowania. Sully zorientował się, że jest pijany.

- Chcesz, żebym z tobą poszedł do toalety dla dziewczyn?

- Dla kobiet, ty wieprzku - poprawiła go, jakby nieco poważniejąc. - Mógłbyś się nieźle bawić.

- Muszę porozmawiać z tym człowiekiem - usprawiedliwił się Carl. - To mój spowiednik.

- Dobrze - zgodziła się Didi tonem małej dziewczynki. - Ma się z czego spowiadać - dodała, zwracając się do Sully'ego.

Patrzyli, jak idzie w kierunku toalet. Kiedy zniknęła za drzwiami z napisem „kabinę”, Carl odwrócił się na swoim taborecie, siadając twarzą do Sully'ego.

- Wiesz, że mam w tych sprawach pewne doświadczenie - zaczął, patrząc na niego przekrwionymi oczyma.

- W jakich sprawach?

- Seksualnych. Można by nawet powiedzieć, że całkiem spore.

- Można by - zgodził się Sully.

- I że nie mam skłonności do hiperboli - ciągnął Carl.

- Można by, gdybym wiedział, co to takiego hiperbola - powiedział Sully.

- Przesada - wyjaśnił Carl. - Coś na wyrost. Nigdy nie chodziłeś do szkoły?

- Możesz mi nadmuchać - mruknął Sully.

Carl prasnął entuzjastycznie dłonią o blat.

- O, to to! - zapał radośnie. - Ta dziewczyna obciąga druta najlepiej na całym Wschodnim Wybrzeżu! Potrafiłaby wysać korek od szampana. Potrafiłaby wysać nakrętki mocujące oś traktora. Potrafiłaby pewnie nawet ciebie doprowadzić do orgazmu.

Sully zignorował obraźliwą uwagę.

- Chcesz wiedzieć, co mnie się wydaje niewiarygodne?

- Co takiego, mów. Pytaj, o co chcesz, do cholery. Mam serce na dłoni.

- Dobra. Zaczniemy od łatwego pytania. Dlaczego jesteś pijany o - Sully zerknął na ścienny zegar - pierwszej po południu?

- Bo jestem pogrążony w bólu - powiedział Carl, na oko poważnie.

- Masz rację, to było łatwe. Następne proszę.

Sully pokręcił głową.

- Ty? W bólu?

- Ja-w-bó-lu - powtórzył Carl. - Myślisz, że tylko ty masz prawo do bólu? Myślisz, że zmonopolizowałeś rynek bólu w tej miejscinie?

Sully wyjął swoją fiolkę i postawił na kontuarze pomiędzy nimi.

- Weź jedną - powiedział. Pulsowanie w jego kolanie zaczęło rze czywiście wracać do normy, chociaż nie był pewien, czy to z powodu tabletki, czy z powodu atrakcji, na które liczył. A nie zawiódł się.

Carl machnął ręką na tabletki.

- Leczą złamane serca?

- A obciążanie druta leczy?

- Przynajmniej dopóki trwa - potwierdził Carl. - To pytanie też było łatwe. Zadaj mi trudne.

- Dobra - zgodził się Sully. - Gdzie się podział ten cały radosny kit, który wciskałeś wszystkim naokoło w zeszłym tygodniu? O tym, że zaczynasz nowe życie? O tym, że nie jesteś już nawet napalony, teraz kiedy masz zostać ojcem?

Carl Roebuck uśmiechał się teraz szeroko, udając kompletne zaskoczenie. Wskazujące palce obu dłoni celowały w skronie, jak gdyby odbierał telepatyczną wiadomość.

- Wiedziałem, że o to zapytasz! - zawołał. - O tym myślałeś, kiedy tu wszedłem z królową fleta. Przyznaj się. To jest twoje wyobrażenie o trudnym pytaniu, zgadza się?

Sully pociągnął asekuracyjny łyk piwa. Widywał już Carla Roebucka w tym stanie. Oznaczało to, że za chwilę rzuci jakąś bombę. Albo coś, co w jego przekonaniu było bombą. Sully przyjrzał mu się nieufnie.

- Cóż, nie wiem, czy to jest trudne pytanie, czy łatwe - powiedział - ale jak dotąd na nie nie odpowiedziałeś.

- Zaraz odpowiem - zapewnił go Carl. - Cały ten radosny kit? Chcesz wiedzieć, gdzie się podział? Powiem ci. Cały ten radosny kit był przedtem, nim ktoś o nazwisku Sullivan spieprzył moje małżeństwo, nim ktoś o nazwisku Sullivan zaczął rozpieprzać moje życie.

Sully zaniemówił. Mrugał oczyma z niejasnym poczuciem winy. Fakt, czuł od dawna miętę do Toby Roebuck i pewnie spieprzyłby ich małżeństwo, gdyby miał po temu okazję. Ale nie miał. Czyżby ktoś rozpuszczał plotki?

- Wiesz co? - powiedział, kiedy zdołał wreszcie dobrać głosu.

- Nie, co takiego? - zapytał Carl, wciąż uśmiechnięty.

- Zbyt wielu ludzi opowiada mi dzisiaj takie rzeczy. Moja była żona oświadczyła mi dopiero co, że wszystko, co złe w jej życiu, to moja wina. Od

niej spodziewam się takich bzdetów, bo jest stuknięta. Ale nie od ciebie. Jeżeli uważasz, że to ja spieprzyłem twoje życie, to masz jeszcze większego hysia niż ona.

- Sully - zawołał Jeff z drugiego końca baru, dając znak ręką, żeby nie podnosił głosu. Od strony stolika, przy którym siedziało ośmioosobowe towarzystwo z Olliem Quinnem i Satchem Henrym, kilka osób spoglądało w jego kierunku.

- Oj, Sully, Sully - Carl pokręcił głową ze smutkiem. - Czy ktoś tu coś mówił o tobie?

Sully znów miał uczucie, że rozmowa mu się wymyka.

- Ty mówiłeś. Jakies dwie sekundy temu.

- Nic podobnego, patafianie. - Carl podniósł palec, jak gdyby zgłaszał wniosek w kwestii formalnej. - Przewiń taśmę do początku. Co Carl powiedział?

- Powiedziałeś, że spieprzyłem twoje małżeństwo i twoje życie - powtórzył Sully, coraz bardziej zirytowany.

Carl Roebuck wydał dźwięk, imitujący klakson.

- Źle-e! To była nasza odjazdowa Beulah i niestety, nie zdobywa pan nagrody. Don Pardo, proszę powiedzieć temu patafianowi, co mówił Carl. - Po czym ciągnął dalej, głosem konferansjera z telewizyjnego teleturnieju: - Pan Roebuck powiedział, że ktoś o nazwisku Sullivan spieprzył mu małżeństwo i życie. Tak brzmiały jego słowa.

Młoda kobieta imieniem Didi wróciła, usadowiła się na taborecie obok Carla i przesunęła dłoń po wewnętrznej stronie jego uda.

- Patrz uważnie - powiedział Carl podekscytowanym głosem, wskazując Sully'ego. - To jest zawsze fascynujące. Zaraz coś do niego dotrze. Teraz! Widzisz? Zaczyna mu świtać. Na Jowisza, chyba zajarzył! Dotarliśmy do mózgu!

Teraz oboje uśmiechali się do niego, dziewczyna dość lubieżnie, jak mu się wydawało, Carl irytująco... i nagle Carl leżał na plecach na podłodze, a przewrócony taboret w poprzek jego nóg. Wirf, który wrócił w tym momencie, pomógł Carlowi wstać i ustawił z powrotem stół.

- Nie mogę zostawić cię samego na minutę? - zapytał, wciskając swoje duże, miękkie ciało między taborety Sully'ego i Carla.

Carl Roebuck wdrapał się z powrotem na stół, obmacując ostrożnie tył głowy w miejscu, którym uderzył o podłogę.

- Zraniłeś mnie, Sully - powiedział. - Mam obrażenia. Rozciąłeś mi warzę i zraniłeś moje uczucia. Staram się być twoim przyjacielem i co mnie za to spotyka? Cios w samo serce.

- Nie rozciąłem ci wargi - zaprzeczył Sully. - Sam ją sobie przegryzłeś. Ja uderzyłem cię w szczękę.

Carl przejechał językiem po wardze, czując smak krwi.

- Aha - powiedział. - Mam rozumieć, że sam sobie jestem winien?

Ollie Quinn podszedł z plikiem rachunków, żeby zapłacić za lunch.

Stojąc przy kasie, zmierzył wzrokiem grupkę ludzi przy końcu baru - Carl Roebuck, obmacujący swoją wargę, dziewczyna imieniem Didi oglądająca jego potylicę, Wirf stojący obok, Sully, wciąż siedzący na taborecie, jak w chwili gdy wyprowadził cios, i rozprostowujący prawą dłoń gestem niepozostawiającym wątpliwości.

- Wciąż jesteś całkiem szybki jak na starego pierdziela, Sully - powiedział. Wziął wykałaczkę ze szklaneczki z lanego szkła stojącej przy kasie, umieścił ją między przednimi zębami, pomagając sobie językiem, po czym siorbnął głośno. - Ale żałujcie, żeście nie widzieli jego starego. Ten to był dopiero zabijaka.

- Legenda - zawtórował Satch Henry z drugiego końca sali. - Szybkie ręce - dodał. - Oleju w głowie też więcej. On by zaczął, aż szef policji wyjdzie.

- Ani słowa, Sully - szepnął Wirf niemal niedosłyszalnie.

- Chce pan złożyć skargę, panie Roebuck? - zapytał Ollie Quinn.

- Rzecz jasna - potwierdził Carl. - Ale nie przeciwko niemu.

Szef policji pokiwał głową, patrząc na Sully'ego.

- Dzisiaj jest twój szczęśliwy dzień.

W południe panna Beryl wyprowadziła samochód z garażu i wzięła kurs na Schuyler Springs, minęła po drodze dom pani Gruber, która stała w oknie niepokieszona, machając do niej żałośnie. O ile sobie przypominała, po raz pierwszy w ciągu ostatnich lat, kiedy wybrała się dokądś swoim formem, nie zabrała przyjaciółki, której było obojętne, dokąd jadą, byle jechały. Nie dziwiła się więc, że pani Gruber nie może pojąć tego aktu zdrady. Nie dzwoniłaby do niej w ogóle, gdyby nie obawa, że przyjaciółka wypatrzy przez okno jej samochód, wyjeżdżający tyłem z podjazdu, wybiegnie z domu i wpadnie jej prosto pod koła.

- Jestem właściwie gotowa - napraszała się pani Gruber. - Narzucę tylko płaszcz i chustkę.

Ale panna Beryl odmówiła.

- Nie nadaję się dzisiaj do kompanii - tłumaczyła najcierpliwiej, jak potrafiła, mając nadzieję, że w zaistniałych okolicznościach takie wyjaśnienie wystarczy, i wiedząc równocześnie, że nie wystarczy.

- Dla mnie się nadajesz - upierała się pani Gruber.

- Jeśli nie wróćę przed piątą, możecie wysłać ekipę na poszukiwania - powiedziała panna Beryl, zastanawiając się przez chwilę, czy rzeczywiście mogłaby zaistnieć taka potrzeba, gdyby znów pomyliła drogę albo, co gorsza, dostała w samochodzie jednego ze swoich miniwylewów.

- Jesteś kompletnie zbita z pantałyku - oświadczyła pani Gruber. - Od razu widać.

- Nic mi się nie stanie - zapewniła ją panna Beryl, dodając bezlitośnie: - A jeżeli się stanie, to też dobrze.

I taki był rzeczywiście stan jej ducha. Telefon urywał się przez cały rano, wszyscy chcieli wiedzieć, gdzie może się podziewać Clive junior. Zaczęło się właściwie dzień wcześniej, serią telefonów od okropnej Joyce. Kobieta czekała, spakowana, na Clive'a juniora, który miał ją zabrać na planowany od dawna weekend na Bahamy. Ton kolejnych telefonów zmieniał się od niespokojnego (Zastanawiam się, gdzie on może być? Musiało się stać coś strasznego!) aż po mściwy (Niech mu się nie wydaje, że się tak łatwo wywinie. Poczynił obietnice!). To ostatnie sprowokowała sama panna Beryl, która zlitowała się nad kobietą i podsunęła jej najbardziej prawdopodobny scenariusz, że Clive junior po prostu zwiął. Tego ranka „Schuyler Springs Sentinel” zamieścił artykuł, w którym sugerowano możliwość dochodzenia w sprawie Banku Depozytowo-Kredytowego w Bath, zwłaszcza w kontekście jego powiązań z kilkoma innymi instytucjami finansowymi z Florydy i Teksasu. Dawano też do zrozumienia, że pokaźne aktywa niektórych instytucji w Bath mogły zostać rozdmuchane dzięki operacjom kupna i sprzedaży gruntów oraz innych nieruchomości, istniejącym jedynie na papierze, podczas gdy pieniądze w ogóle nie przechodziły z rąk do rąk. Następstwem artykułu był telefon reportera z Albany, odezwał się też stary znajomy panny Beryl, często podchmielony, zawsze spóźniony w stosunku do konkurencji redaktor naczelny „North Bath Weekly Journal”, który zaczął zadawać te same pytania co jego koledzy, po czym machnął ręką, przeprosił, że przeszkadza, i doradził, by nie zamieniała słowa z „krwiopijcami”. Oprócz dziennikarzy kilka razy dzwoniła wzburzona młodsza wiceprezes banku, chcąc się dowiedzieć, czy Clive junior jest z matką w kontakcie. Mówiła, że nie poleciał na Bahamy, tak jak planował, że w domu też go nie ma. Chciała uzmysłowić pannie Beryl, że musi z nim porozmawiać niezwłocznie, że to sprawa „na wczoraj”, jeśli nie wcześniej. „Naj-szyb-ciej-jak-to-moż-li-we” - powiedziała.

Panna Beryl, która nic z tego wszystkiego nie rozumiała, zdawała sobie doskonale sprawę, do czego cała sprawa się sprowadza. Jej syn był człowiekiem zrujnowanym.

Już miała wyłączyć telefon, kiedy zadzwonił pan Blue z wiadomością, że „królowa Anna” jest naprawiona i można odebrać mebel.

- Przywiózłbym krzesło pani osobiście - tłumaczył się - ale miałem wypadek i złamałem nogę w kostce.

Panna Beryl, rada z godziwej wymówki, żeby oddalić się od domu i telefonu, zgodziła się pojechać po krzesło do Schuyler Springs.

- Mój wnuk pomoże je pani zapakować do samochodu - powie dział pan Blue, dodając ze smutkiem: - Sam bym to zrobił, gdybym mógł.

Wy tłumaczył jej, jak dojechać do sklepu znajdującego się przy bocznej alei, która odchodziła od głównej ulicy handlowego centrum miasta. Nie rozpraszana nieustanną paplaniną pani Gruber, panna Beryl trafiła tam bez trudu. W zimie Schuyler Springs robiło wrażenie niemal równie nieszczęśliwego i opuszczonego jak Bath. Miejsce do zaparkowania samochodu znalazła tuż pod sklepem. Pan Blue, mężczyzna pod siedemdziesiątkę, czekał na nią, stojąc o kulach w drzwiach sklepu. Jego prawa noga była tak grubo owinięta w kostce przybrudzonym bandażem, że budziła skojarzenia z gniazdem os.

- Strasznie mi przykro, że ciągnąłem panią taki kawał drogi, pani Peoples - powiedział, wprowadzając ją do sklepu, gdzie na ladzie obok kasy siedział chłopiec o kawowej skórze i kędzierzawych włosach z rudawymi przeblaskami, bębniąc piętami o ladę i mierząc dwoje starszych ludzi pogardliwym spojrzeniem. Wyglądał na dwanaście albo trzynaście lat - wiek, który panna Beryl dobrze знаła.

- Złaź stąd - rzucił pan Blue w stronę wnuka. - Wyprostuj się - dodał, kiedy naburmuszony chłopak stanął w niedbalej pozie.

- To mój wnuk Leon. Przyjeżdża na wakacje, żeby pomagać mi w sklepie - wyjaśnił. Sposób, w jaki to powiedział, pozwalał się domyślać zupełnie innej prawdy: że chłopiec sprawia trudności wychowawcze i jest wysyłany z domu przy każdej możliwej okazji, żeby znalazł się w mniej przypadkowym środowisku. Spojrzenie chłopca wydawało się mówić: Komu ty chcesz wcisnąć kit, dziadku?

Pan Blue wykonał wspaniałą robotę. Niezorientowany człowiek nigdy by się nie domyślił, że krzesło było połamane.

- Może pani na nim siadać bez obawy - oznajmił, dumny ze swojego dzieła.

- Naprawdę?

- Jest naprawione - zapewnił ją. - Ludzie przestali wierzyć, że da się cokolwiek naprawić. Psują coś i z miejsca wyrzucają. Tego usiłuję nauczyć mojego chłopaka. Rzeczy można naprawiać. Czasem są potem lepsze niż nowe.

- Nowe jest lepsze - twierdził chłopiec z uporem. - Nowe to nowe.

- Czyżby? - zapytał jego dziadek. - Dobra, weź krzesło i zanieś do samochodu tej milej starszej pani. I zrób to ostrożnie.

- Jeszcze nic nie połamałem - przypomniał chłopiec.

- Złamał mi serce - rzekł pan Blue, kiedy chłopiec znalazł się za drzwiami. - On i jego matka ze swoim przyjacielem czarnuchem.

Panna Beryl nie mogła się zdecydować, czy współczucie jest czymś na miejscu wobec tak antypatycznych emocji, ale współczuła mu mimo to. Niedoskonałe ludzkie serce, doskonale zdruzgotane - doszła w duchu do wniosku. Sytuacja tak powszechna, że praktycznie uniwersalna, odsuwająca kwestię słuszności lub jej braku na dalszy plan.

Kiedy znalazła się na ulicy, stwierdziła, że chłopiec stoi przed zamkniętym fordem, makabrycznie wkurzony, że zlecono mu niewykonalne zadanie. Jeszcze kilka lat i będzie patrzył na wszystkie zadania w podobny sposób.

- Spróbuj na tylne siedzenie - powiedziała, starając się wykrzesać z siebie jak najwięcej otuchy. Przy jej niskim wzroście, wyciąganie cze gokolwiek ciężkiego lub nieporęcznego z bagażnika forda zawsze sta nowiło problem.

Kiedy otworzyła tylne drzwi samochodu, wnuk pana Blue zlustrował najpierw wnętrze, a następnie krzesło i przypominającą skrzata staruszkę, która chciała, żeby włożył je tam, gdzie nie było miejsca.

- Nie wlezie sukinkot - orzekł.

- Spróbuj - zachęciła go panna Beryl.

Krzesło weszło. Ledwie, ledwie, ale udało sieje wsunąć na tylne siedzenie z jakimś calem zapasu. Fakt, że nie miał racji, najwyraźniej nie zrobił na chłopcu żadnego wrażenia. Był w tym wieku, kiedy człowiek ma rację z definicji, dlatego że inni są głupi. Nie istniał dowód, który mógłby to obalić.

Panna Beryl wsiadła do samochodu i trwała w bezruchu przez chwilę, myśląc o swoim synu i zastanawiając się, jak daleko zajechał. Jako chłopiec przynosił wstyd swojemu ojcu, który na próżno usiłował nauczyć go podstaw samoobrony. Nawet sparing z własnym ojcem przerażał chłopca. Clive senior uczył go, żeby trzymał ręce wysoko, osłaniając twarz, ale jak tylko

zamarkował lekki cios w stronę jego miękkiego brzucha, ręce szły w dół, a kiedy trzepnął go delikatnie w ucho, żeby zilustrować popełniony błąd, Clive junior zrezygnował z dalszych lekcji. Nie chciał się uczyć samoobrony. Chciał, żeby ojciec go ochraniał, żeby szedł tropem chuliganów ze szkoły do domu i spuszczał im manto.

Nie ulegało wątpliwości, że tego samego oczekiwał od niej. Żeby była po jego stronie. Żeby patrzyła na sprawy jego oczyma. Żeby mu ufała. Żeby był światłem jej oczu. Miłość nie była zapewne zbyt mocnym słowem na określenie tego, czego pragnął Clive junior.

Za stołem siedziało dwoje nagich ludzi, chociaż minęła dobra chwila, zanim Will zdał sobie z tego sprawę, ponieważ na środku stołu, prócz góry zmiętych banknotów, piętrzyła się sterta ubrań, leżał rewolwer i, co najbardziej szokujące, stała dolna część nogi. Noga była obuta (w brązowy półbut) i ubrana w skarpetkę w geometryczny wzorek, ponad którą skóra była różowa jak jego własna, kiedy mama albo babcia Vera przygotowała mu zbyt gorącą kąpiel i kiedy siedział w wodzie zbyt długo. U góry znajdowało się coś, co przypominało rodzaj skomplikowanej uprząży. Ponieważ pochłaniały go próby wyjaśnienia obecności nogi na stole, nie od razu zauważył dwoje golasów.

- Ojej, patrz! - pisnęła dziewczyna z zielonym daszkiem na czole i bez koszuli. - Mały chłopiec! - Wtedy Will dostrzegł jej nagość i zawstydził się. Jej klatka piersiowa wyglądała nienaturalnie, była oklapnięta, jak gdyby jakaś niewidzialna kość została złamana. Will widywał wcześniej swoją matkę rozebraną do pasa i pamiętał, że miał wtedy podobne uczucie jak w tej chwili. Jak gdyby piersi kobiet były wynikiem jakiegoś okropnego obrażenia, być może niefortunnego upadku. Nie ruszył się z miejsca, kiedy dziewczyna z zielonym daszkiem kiwnęła na niego i wyciągnęła rękę. - Czyż nie jest przystojny?

- Trzymaj się z daleka od mojego wnuka - powiedział Sully, lekko podchmielony, odwracając się na krześle; w pewnej chwili dostrzegł Ralpha, który na widok kobiety w stroju topless, siedzącej za stołem przy pokerze, cofnął się bezwiednie o krok, a następnie o kilka dalszych, już bardziej świadomie, tak że znajdował się teraz niemal za drzwiami, w barowej części lokalu. - Już kończymy - zapewnił go Sully, przygarniając wnuka. - To jest ostatnie rozdanie. Ci tutaj przegrali już ostatnie koszule.

- Może by je tak zamknąć? - zaproponował Carl, wskazując drzwi, przez

które weszli przed chwilą Ralph i chłopiec. - Czuję się trochę roznegliżowany.

- To jest ten gnojek, który ukradł twoją dmuchawę - powiedział Sully tytułem prezentacji, przedstawiając Carla Roebucka, którego szczęka spuchła monstrualnie w ciągu kilku godzin, jakie upłynęły od czasu, gdy Sully zrzucił go jednym ciosem z taboretu.

Carl się podniósł i wtedy stało się jasne, że nie tylko czuł się roznegliżowany, ale był zupełnie nagi, jeśli nie liczyć skarpetek. Kiedy wstał i podszedł, żeby uścisnąć dłoń Ralpha, ten ostatni wyglądał, jakby miał dać drapak.

- Zwróć ją panu - obiecał Carl - jak tylko pański syn zwróci moją żonę.

- To jest mój syn - przypomniał mu Sully, kiedy Carl usiadł z powrotem za stołem. - Syn Ralpha nigdy by czegoś takiego nie zrobił, prawda, Ralph?

Ralph nic z tego wszystkiego nie rozumiał. Co robili ci nadzy ludzie, ubrania leżące na środku stołu, rewolwer czy proteza. Zdecydowanie nie rozumiał wyraźnej aluzji do Petera. Czuł się, jak gdyby trafił niechcący na wieczorek poetycki. Obawiał się tego od chwili, kiedy Peter oświecił go co do charakteru takich imprez, i na wpeł oczekiwał, że ktoś zacznie za chwilę recytować wiersz. Albo to było jakieś szaleństwo, albo ci wszyscy ludzie byli pijani, albo tabletki, którą Sully dał mu w południe i po której czuł się jak gość z innej planety, uwalniała w tej chwili kolejną dawkę substancji leczniczej.

- Nie martw się o dmuchawę - powiedział Sully, wracając do swoich kart.

- Mam pomysł, gdzie mógł ją schować.

Ollie Quinn, który spał z głową odrzuconą do tyłu i z otwartymi ustami, obudził się z głośnym chrapnięciem, kiedy Carl usiadł z powrotem za stołem. Szef policji przetarł oczy.

- Dlaczego ona jest goła? - spytał, zauważając dziewczynę.

Sully rzucił jej koszulę Carla Roebucka, kiedy w drzwiach pojawił się Ralph z jego wnukiem, i dziewczyna wciągała ją w tej chwili przez głowę.

- Co się tak dziwisz, że akurat ona jest goła? - zapytał Carl.

Ollie aż podskoczył.

- Boże. I ty też.

- Dlaczego nie, do cholery? - powiedział Carl. - Niech to będzie dzień, w którym straciłem wszystko, ze slipkami włącznie.

Była to aluzja do fiaska „Podróży bez Końca”, które Carl przepowiadał, i do Clive'a juniora, tego fagasa, od którego wszyscy oczekiwali wyjaśnień, a

który pojechał sobie na urlop na Bahamy. Chodziły słuchy, że naprawdę wcale tam nie poleciał, tylko po prostu się ulotnił.

- Zasnąłeś, kiedy ci opowiadałem ten numer z wyścigów - poinformował Carl szefa policji. - Skoro już nie śpisz, mogę dokończyć.

- Idź spać z powrotem - poradził mu Sully. - Nikt nie ma ochoty słuchać twoich głodnych kawalków o kiepskim farcie.

- Dziesięć długości - powiedział Carl Roebuck, podejmując opowieść w miejscu, w którym przerwał. - Przed zakrętem prowadził skurczybyk o dziesięć długości.

Wyglądało na to, że Ollie Quinn z miejsca dał się wciągnąć.

- Zgadnij, co się stało - nalegał Carl.

- Zastrzelił go snajper z głównej trybuny - domyślił się Sully.

Carl, który właśnie miał mówić dalej, łypnął na niego groźnie.

- Pozwól, że skrócę tę przydługą opowieść - wtrącił się Sully. - Koń Carla został prześcignięty na ostatniej prostej. Carl jest zdania, że takie rzeczy nie powinny mu się zdarzać. Zresztą zazwyczaj się nie zdarzają.

Carl odwrócił się do Olliego z miną reportera, który właśnie się dowiedział, że konkurencja go ubiegła.

- Stracił przewagę dziesięciu długości na ostatnich dwustu jardach - poinformował wszystkich.

Szef policji wydawał się zawiedziony, jak gdyby wciąż czekał na zakończenie historii albo jakby wolał wersję Sully'ego ze snajperem.

- Dałbyś głowę, że nigdy przedtem nie oglądał wyścigów konnych, co? - powiedział Sully. - Nie może się z tym pogodzić, kiedy fart go opuszcza, choćby tylko na minutę.

- Nie dość, że mam dziś stracić wszystkie pieniądze - poskarżył się Carl, wracając do kart - to ostatnich ma mnie pozbawić najgłupszy facet w Bath.

- Mówiłem, że dziś jest jego szczęśliwy dzień - przypomniał mu Ollie Quinn. - Wpatrywał się otepiałym wzrokiem w kolekcję przedmiotów, leżących na środku stołu, wśród których królowała proteza Wirfa.

- Czyj to rewolwer? - zapytał.

- Twój - poinformował go Carl, który rozbroił komendanta policji podczas snu, tuż przed przyjściem Ralpha i chłopca. - Podbiłeś nim stawkę.

Ollie Quinn sprawdził swoją kaburę i przekonał się, że jest pusta.

- Powiniennem rozpuścić tego pokera dwie godziny temu - powiedział.

- Nie będzie takiej potrzeby, jeżeli uda nam się kiedyś dokończyć to pie-przone rozdanie - zauważył Carl. - Powiedz swojemu prawnikowi, żeby wchodził albo pasował - dodał, zwracając się do Sully'ego.

Wirf, który sam wyglądał, jakby za chwilę miał zasnąć, rzucił swoje karty na środek stołu.

- Lepiej gram w pokera po pijanemu - ocenił, pociągając drinka.

- Niewiele lepiej - odparł Sully, przebijając.

- Chcieliśmy ci tylko powiedzieć, że Peter jest już w mieszkaniu - odezwał się Ralph. - Mówił, że chce zacząć rozładowywać.

- Dobra, zaraz tam podjadę - obiecał Sully. - Bądź tak dobry i zaczekaj chwilę. Naprawdę już kończę.

- Poczekamy w barze - powiedział Ralph, kiwając na Willa. - Nie siedź za długo.

Kiedy drzwi się za nimi zamknęły, Ralph, który miał ochotę czmychnąć z Willem w czyste, chłodne powietrze ulicy, pomógł chłopcu wdrapać się na stółek i zamówił colę dla niego i dla siebie.

- Dzieciak nie może siedzieć przy barze - poinformował go tęgi barman. - Przykro mi. Takie przepisy.

- W porządku - powiedział Ralph z poczuciem winy. Vera, która miała spędzić noc w szpitalu na dalszej obserwacji, spytałaby, co mu strzeliło do głowy, żeby sadzać chłopca przy barze, i musiałby przyznać, że nie pomyślał, co robi. Cieszył się, że przynajmniej jej został oszczędzony widok tego, co się działo w sąsiedniej sali. Komentowałaby ten obraz upadku przez tydzień i miałyby rację. Ralph zanotował sobie w myśli, że ma uprzedzić chłopca, by nie mówił jej, co widział. - Postój tu sobie - poinstruował Willa - zanim ten pan przyniesie nam colę.

W sąsiednim pomieszczeniu rozległ się chóralny okrzyk i dało się słyszeć szuranie odsuwanych krzeseł. Pierwszy w drzwiach pojawił się Ollie Quinn, wsuwając z powrotem rewolwer do kabury, za nim Sully, trzymający w jednej ręce plik banknotów, a w drugiej sztuczną nogę Wirfa. Postawił proteżę na kontuarze, upchnął pieniądze po kieszeniach spodni, po czym posadził z powrotem Willa na taborecie właśnie w chwili, kiedy Tiny wracał z zamówioną colą.

- On nie może siedzieć przy barze.

Sully zmarszczył czoło.

- Dlaczego?

- To wbrew przepisom.

- Chrzaniś.

- To wbrew przepisom, do jasnej cholery.
- Tak samo jak poker - zauważył Sully. - Nie mów, że nie wiedziałeś, co się tam odbywa na zapleczu.
- Nie zaczynaj ze mną, Sully - powiedział Tiny ostrzegawczym tonem. - Chodzisz dzisiaj po kruchym lodzie. Pobiliś już jednego z moich klientów. Jeff powinien być cię wtedy wyrzucić na zбитy pysk. Chodzisz po kruchym lodzie, mówię ci.

Sully skinął głową.

- Cóż - zwrócił się do Ralpa, który zdążył wstać i chwycić chłopca pod pachy. - Może lepiej usiądźmy przy jednym z tamtych stolików. Jeśli rzeczywiście chodzimy po kruchym lodzie, to niech lepiej ten spaślak będzie jak najdalej od nas.

Z pomieszczenia na zapleczu wyszedł Carl Roebuck z dziewczyną imieniem Didi, oboje całkowicie ubrani.

- Daj mi jeszcze jedną taką magiczną pigułkę - powiedział Carl. - Obawiam się, że złamałeś mi szczękę.

Sully podał mu fiolkę Jocko.

- Przykro mi to słyszeć - odparł, przyglądając się twarzy Carla. Jego szczeka puchła przez całe popołudnie i w tej chwili wyglądała, jak gdyby wyrósł tam guz. - Ale możesz mieć rację.

Carl połknął tabletkę, popijając ją ostatnim łykiem jacka danielsa, postawił szklankę na środku stolika, przy którym usiadł Sully z Ralphem i chłopcem. Potem opadł na krzesło, sadzając sobie dziewczynę na kolanach.

- Co za dzień - powiedział z takim przekonaniem, że Sully niemal zaczął mu współczuć, kiedy Carl odwrócił dziewczynę do siebie, ukrył twarz między jej piersiami i zaczął pochlipywać.

- Nie pozwól mu prowadzić, laleczko - ostrzegł Sully dziewczynę. - Druga tabletkę rzeczywiście czyni cuda.

- Nie pozwolę - zapewniła go dziewczyna, patrząc mu w oczy poważnie i trzeźwo. Piła równo z mężczyznami, ale wydawała się w znacznie lepszej formie od nich. A więc to była dziewczyna, która zniszczyła małżeństwo Petera, która wygadywała świństwa do Very przez telefon - pomyślał. Nic dziwnego, że jego byłej żonie puściły nerwy. Vera zawsze była kobietą typu „zamknąć oczy i po bożemu”. Nie zrobiła zapewne zbyt wiele, żeby przygotować Petera do konfrontacji z kobietami pokroju Didi. Zdaje się, że nawet Carl nie był na to przygotowany. - Proszę pozdrowić ode mnie Petera, jeśli będzie się pan z nim widział - powiedziała dziewczyna.

- Zrobię to - obiecał Sully.
- Nie, nie zrobisz - zaprotestował Carl. Sweter dziewczyny tłumił jego głos. - On nie może mieć obu tych kobiet.
- Carl przywykł do tego, że wszystkie dziewczyny w Bath należą do niego - wyjaśnił Sully.

Didi spojrzała na Carla z góry.

- Ma złamane serce - powiedziała. - To niemal słodkie, nie sądzi pan?

- Niemal - zgodził się Sully.

- Założę się, że panu żadna dziewczyna nie złamała serca - powiedziała Didi, znów patrząc mu w oczy.

- On też się kocha w mojej żonie - poinformował ją Carl. - Wszyscy kochają Toby. Nikt nie kocha mnie.

W drzwiach pojawił się Wirf, ze zwisającą pustą nogawką, podpierając się odwróconą szczotką do zamiatania niczym kulą.

- Nie oddasz mi mojej nogi, co? - spytał Sully'ego.

- Nie potrzebujesz nogi - zwrócił się Carl Roebuck do Sully'ego, odwracając się i przyglądając mu się z uwagą. - Potrzebujesz papugi.

- Oddamy mu nogę? - spytał Sully Willa.

Chłopiec kiwnął głową z zapalem.

Sully postawił przed nim protezę Wirfa.

- No to ruszaj.

Oczy chłopca się rozszerzyły. Pokręcił głową, cofając się.

- Nie jest żywa - uspokoił go Sully, stukając w protezę. - Widzisz?

- Sully, on nie chce - wtrącił się Ralph, który wyglądał, jakby sam też nie chciał.

- Mógłbyś opowiedzieć swojemu bratu - kusił Sully. - Myślisz, że by ci uwierzył?

Will wpatrywał się w protezę z lękiem i tęsknotą. Pomysł wyraźnie go pociągał. Proteza nie.

- Sully - zaczął Ralph, ale ten powstrzymał go, unosząc dłoń. Po długiej chwili chłopiec wyciągnął ręce, ujmując oburącz sztuczną nogę Wirfa, jak gdyby sądził, że zawiera życie mężczyzny w płynnej postaci i mniej dla niego zostanie, jeśli uroni choć kroplę. Wszyscy patrzyli, jak niesie ją w stronę Wirfa, który stał oparty o futrynę. Didi pociągnęła nosem. Sully obejrzał się i zobaczył, że dziewczyna płacze. Łzy toczyły się po jej policzkach.

Wirf przysunął sobie krzesło i wziął protezę z rąk wnuka Sully'ego.

- Dziękuję - powiedział, podciągając nogawkę. Nikt, nawet Will, nie

odwrócił wzroku, kiedy umocowywał swoją sztuczną nogę. - Twój wredny dziadunio by mi jej nie oddał. Teraz znów jestem w pełni człowiekiem.

Przyglądając się chłopcu, Sully przez chwilę widział nie Willa, tylko Petera, takiego, jakiego pamiętał z czasów dzieciństwa. A może nawet siebie samego jako chłopca, którym był tak dawno temu, chłopca, mającego serce, które można złamać.

- Jezu Chryste - powiedział Carl Roebuck cicho. - Co za dzień.

Kiedy Sully zajechał pod mieszkanie Petera, przyczepa była już prawie rozładowana. Zostało jedynie dębowe biurko i wysoka szafka na dokumenty. Peter wjechał tyłem na chodnik, tak że przyczepa znalazła się pod samym domem, po czym ułożył ukośny pomost między nią a najwyższym stopniem ganku. Sully stanął na przyczepie i zaczął ciągnąć stojące w głębi biurko, kiedy na ganku pojawił się Peter.

- Złap za drugi koniec - powiedział Sully.

Na szczęście Peter powymmował wcześniej szuflady. Teraz minął go, stając przy drugim końcu mebla, ale nie kwapił się, żeby go podnieść.

- Gdzie Rub?

- W domu. Pomyślałem, że dam mu wolny wieczór - wyjaśnił Sully. Zastanawiał się wcześniej, czy podjechać po Ruba, ale było późno, a Rub pewnie nadal był niedysponowany. Poza tym doszły go słuchy, że Bootsie została zwolniona, a nie czuł się na siłach, żeby stawić czoło żonie Ruba. Nie po takim dniu jak ten. - Bierzesz za drugi koniec czy nie?

- Jesteś pijany - powiedział Peter.

Albo się domyślił, albo w zamkniętej przestrzeni przyczepy doleciał do niego piwny chuch ojca.

- Deczko - przyznał Sully.

- To jest ciężkie - zauważył Peter.

- Dam radę unieść swój koniec - zapewnił go Sully. - Martw się o drugi.

Peter przyglądał mu się przez chwilę.

- Coś mi się wydaje, że znów się spieramy o kobietę.

- A mnie się wydaje, że według ciebie to biurko samo wejdzie po schodach, jeśli poczekaś wystarczająco długo - powiedział Sully. - Rusz się.

- Świetnie - rzekł Peter. - Złam kark.

Kiedy pokonali pomost i dotarli do ganku, Peter oparł swój koniec biurka o podłogę.

- Przynajmniej daj mi iść przodem - powiedział.

- Nie.

- Super.

Dźwignęli mebel, wnieśli go do środka i zaczęli posuwać się w kierunku schodów, Sully tyłem, Peter przodem, nogą za nogą.

- Teraz pomału - uprzedził Sully, kiedy jego pięta natrafiła na pierwszy stopień. Wiedział, że cały problem w tym, jak wykorzystać chorą nogę - czy robić nią krok jako pierwszą, czy się na niej opierać. Zdecydował się na to drugie, bo zdrową mógł zginać w kolanie i odbijać się z niej. Podnosił biurko, chwytając za listwę biegnącą pod blatem, i przy każdym kroku opierał na chwilę nóżki mebla na poprzednim stopniu. Już po czterech czy pięciu stopniach dotarło do niego, nawet przez piwne opary, że to kompletny idiotyzm. Peter z Rubem wnieśliby rano tę cholereę prosto na górę. Zajęłoby im to pół minuty i nie musieliby przystawać ani razu, a nie przy każdym stopniu. Rok wcześniej Sully też nie musiałby przystawać. Co gorsza, przez to powolne tempo Peter miał dwa razy cięższą robotę, bo musiał dźwigać ciężar biurka między kolejnymi schodami. Sully widział, że jego syn splywa potem w mroźnym powietrzu.

- Zadowolony z siebie? - spytał Peter, kiedy byli mniej więcej w połowie drogi.

- Owszem - odparł Sully, wnosząc biurko na kolejny schodek.

- Ustalileś, co chcesz w ten sposób udowodnić?

- Myślałem, że spieramy się o kobietę.

- Racja.

Sully znów dźwignął mebel i kolejny stopień został pokonany.

- W takim razie módl się za mnie. Bo jak puszcze swój koniec biurka, to obaj zostaniemy bez fiutów.

Salon, który rano wydawał się taki przestronny, teraz był zastawiony pudłami, które Peter poustawiał rzędami przed kominkiem, wzdłuż wbudowanych regałów i pod ścianami. Przecisnęli się pomiędzy nimi z biurkiem do narożnika w drugim końcu pokoju, gdzie Peter zarezerwował miejsce na mebel.

- Mówiłeś, zdaje się, że Charlotta wszystko zabrała - zauważył Sully, rozglądając się po pokoju pełnym kartonowych pudeł.

- Bo zabrała - potwierdził Peter. - Większość tego, co widzisz, to moje książki.

Sully spróbował to sobie wyobrazić. Musiało być tego z siedemdziesiąt pudeł. W sąsiednim pomieszczeniu szczęknął zakręcany prysznic. Dźwięk,

ani jego znaczenie, nie docierał do Sully'ego, dopóki nie ustał. Spojrzał uważnie na Petera, który stał oparty o biurko.

- Masz pozdrowienia od Didi - powiedział.

Jeżeli Peter był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać.

- Obawiałem się, że się pojawi. Dopadła cię już?

- Nie. Ale dopadła Carla.

- Dopadnie i ciebie - zapewnił go Peter. - Tylko po to, żeby mi zrobić na złość.

- Powinienem jej na to pozwolić. Tylko po to, żeby tobie zrobić na złość.

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły ich dalsze dźwięki.

- Lepiej powiem, że tu jesteś.

Usłyszeli, jak drzwi łazienki się otwierają, i Sully odwrócił się w drugą stronę. Chciał w ogóle opuścić mieszkanie i kiedy Peter wszedł za Toby Roebuck do sypialni, niewiele brakowało, żeby to zrobił. Za drzwiami słyszał pospieszne, ściszone głosy. Przez okno zobaczył, że neon domu towarowego IGA po drugiej stronie ulicy zamigotał i zgasł, ale chwilę wcześniej dostrzegł w dole na ulicy metaliczny, czerwony błysk.

Usiadł na wielkim, dębowym biurku, oparł się plecami o ścianę i zamknął na chwilę oczy, rad z ciemności, chociaż w samotności koncert jego kolana rozbrzmiewał o wiele głośniej. Tego popołudnia, pod wpływem tabletki Jocko i kilku godziwych atrakcji odwracających uwagę (piwo, burbon, poker, ładna, młoda, półnaga kobieta) zdołał niemal zapomnieć o Verze i swoim kolanie, którego śpiew przeszedł w stłumione murmurando z towarzyszeniem łagodnego, smyczkowego akompaniamentu. Teraz orkiestra dęta zjawiała się na powrót, chociaż dopiero stroiła instrumenty, jeszcze nie maszerowała w takt wielkich bębnow. Za co czuł wdzięczność, był zmęczony, żeby dotrzymać im kroku.

Znalazły się jeszcze inne powody do wdzięczności. Koło fortuny odwróciło się wreszcie. Wciąż miał swoją premię z totalizatora plus jakieś pięć setek wygranych tego popołudnia w pokera. Nie wyszedł jeszcze na prostą, ale nazajutrz będzie mógł odwiedzić Harolda i dać mu półtora tysiąca za furgonetkę, która pozwoli mu się utrzymać przez następnych kilka miesięcy. A także opłacić dwumiesięczny czynsz za nowe mieszkanie, którego jeszcze nie znalazł. Jeśli fart go nie opuści, Miles Anderson nie pojawi się przez jakiś czas i nie zobaczy, jak wolno posuwają się prace przy jego domu. Nadrobienie

zaległości nie powinno im zająć więcej niż kilka tygodni, teraz kiedy odzyskali Ruba. Peter zdołał przekonać Milesa Andersona, że wszystko zostanie zrobione. Prawdopodobnie najmądrzej byłoby przerzucić całą tę sprawę na niego. Jeżeli spadnie śnieg, będzie mógł sobie na to pozwolić. A może uda się i bez tego. Czuł gruby plik banknotów, który wypychał przyjemnie kieszeń jego spodni. Jeszcze ich nawet nie policzył. Może był zamożniejszy, niż przypuszczał.

Obudził się gwałtownie i stwierdził, że ponad połowa kartonów, którymi był zastawiony salon, została rozpakowana, a sięgające od podłogi do sufitu regały są pełne książek. Toby Roebuck, bosa, wciąż z wilgotnymi włosami, ubrana w dżinsy i luźną bluzę, stała na krześle i ustawiała na górnej półce tomy, które podawał jej Peter. Z pustych tekturowych pudeł zbudowali ścianę, oddzielającą ich od niego. Toby pierwsza zauważyła, że się obudził.

- Sully, jak możesz tak spać na siedząco? - zapytała.

Prawdę mówiąc, wołałby nie zasypiać w tej pozycji, przynajmniej nie na tak długo. Podczas snu zsunął się oparty o ścianę i kark mu cokolwiek zeszywniał.

- Dobry wieczór, pani Roebuck - powitał ją, próbując rozprosto wać kości.

Toby zmierzyła go wzrokiem.

- Nie wyjeżdżaj mi tu z panią Roebuck - odparła wesoło. - Jesteś grzesznikiem z bogatą kartoteką.

- To było dawno temu - powiedział Sully, wstając i sprawdzając stan swojego kolana. - Teraz jestem zbyt zmęczony, żeby grzeszyć.

- O to, to. Więc nie krytykuj tych, którzy wciąż mają energię. - Zerknęła na Petera, który również nie wydawał się mieć wielkich zasobów energii. A jednak musiał ją mieć, pomyślał Sully. Przynajmniej dwie kobiety były tego zdania.

- Nie przypominam sobie, żebym powiedział cokolwiek oprócz powitania - zauważył Sully. - Jeśli postanowicie się pobrać, dajcie mi znać. Poprowadzę pannę młodą do ołtarza.

- Tylko nie udawaj, że to aprobujesz - powiedziała Toby. - To jeszcze gorsze.

Sully zgiął ostrożnie nogę w kolanie.

- Sprawdźmy, czy dobrze zrozumiałem. Nie powinienem ani aprobować, ani krytykować. To co mam robić?

- Porozcinaj trochę tych pudeł - podsunął Peter. - Nożyczki powinny leżeć za tobą na biurku.

- Nie wyrzucaj wszystkich - uprzedził go Sully, biorąc nożyczki. - Też się przeprowadzam za kilka dni.

- Zostawię kilka - obiecał Peter. - Dwa wystarczą, jak sądzisz?

- Szkoda, że nie wiedziałem o twoim upodobaniu do przemądrzałych dupków - rzekł Sully do Toby.

- On ma inne zalety - poinformowała go dziewczyna. - Gdyby chodziło tylko o bycie przemądrzałym dupkiem, bardzo byś mi się podobał.

Skończyli pół godziny później. Kiedy wszystkie książki znalazły się na półkach, a rozplaszczone kartony zostały ułożone w wysoką stertę, mieszkanie znów wyglądało pusto.

- Będziesz potrzebował paru rzeczy - zauważył Sully.

Z kuchni dobiegł ich głos Toby.

- Na przykład garnków, patelni, talerzy, szklanek i sztućców.

- Mam to wszystko u siebie - oznajmił Sully. - Możemy to jutro przywieźć.

- A tobie co zostanie? - zapytał Peter.

- Nie jadłem w domu ani razu od pięciu lat - wyznał Sully, naciągając płaszcz i rękawiczki.

- To smutne - powiedziała Toby, stając w drzwiach kuchni.

- Ależ skąd, laleczko - zapewnił ją Sully, podchodząc do okna. Ulica była pogrążona w ciemności, ale Sully dostrzegł zarys sportowego samochodu Carla Roebucka stojącego pod domem.

Peter też włożył płaszcz.

- Odprowadzę cię na dół. Tak czy inaczej muszę zamknąć przyczepę.

Sully jeszcze raz ogarnął pokój spojrzeniem. Mimo pustki wyglądał dobrze. Kominiek obramowany książkami. Nie widział tego oczyma wyobraźni, kiedy rano oglądali mieszkanie, nie potrafił sobie wyobrazić, jak mogłoby tu wyglądać.

- Mieszkanie będzie w porządku - przyznał. - Przyrowadź tu jutro matkę. Dobrze jej to zrobi.

Peter skinął głową.

- Nic tak jej nie podnosi na duchu jak książki.

- W takim razie będzie zachwycona. To regularna biblioteka - powiedziała Toby. Zabrzmiało to jak „biboteka” i Sully miał wrażenie, że dostrzega uśmiech na twarzy Petera.

Schodzili na dół ciemnymi schodami, Sully przodem, przytrzymując się poręczy i stawiając obie nogi na każdym stopniu, zanim dał krok na następny. Co go naszło przed kilkoma godzinami, żeby wspinać się tyłem po tych

samych schodach z ciężkim, dębowym biurkiem? Z drugiej strony, co go naszło, żeby uderzyć policjanta przed tygodniem i Carla Roebucka tego popołudnia? Jak zawsze największą życiową zagadką było dla Sully'ego jego własne zachowanie.

U stóp schodów Peter pstryknął ściennym wyłącznikiem, bez skutku.

- Jeszcze jedna rzecz do zrobienia na jutro - rzekł, wpatrując się w ciemny, sklepiony sufit. - Dzięki za pomoc przy biurku.

Sully skinął głową, nie mówiąc nic przez jakąś minutę. Jak to sobie zaczynał uświadamiać, Petera stać było na wielkoduszność. Wiedział, co była warta jego pomoc przy biurku. Utrudnił robotę, zamiast ją ułatwić. Jego syn chciał mu po prostu powiedzieć dobre słowo. Może to była jedna z tych zalet, o których wspominała Toby.

- Zamknąłbym bramę, jeśli ona zostaje na noc - uprzedził go Sully. - W tym czerwonym samochodzie po drugiej stronie ulicy siedzi jej mąż.

- Jechał za nami aż do Albany - oznajmił Peter - kiedy wybraliśmy się do Morgantown.

- Pojechała tam z tobą?

Peter nie odpowiedział.

- Jak to się wszystko stało? - zapytał Sully, autentycznie ciekaw.

- Szybko - odpowiedział Peter, jakby to wyjaśnienie mogło wystarczyć.

Nie mogło. Sully nigdy nie angażował się szybko w związki z kobietami.

- Cóż - powiedział Sully - uważaj na Carla. To dla niego nowość. - Dziwnie się rozmawiało z Peterem w tym zamkniętym, ciemnym pomieszczeniu. W pewnym sensie łatwiej. Często to wyraz twarzy jego syna utrudniał rozmowę: to jego ironiczne, pełne dystansu zadowolenie z siebie. Głos, dla odmiany, był dosyć miły. - To on zawsze buszował po opłotkach - wyjaśnił Sully. - Musi się oswoić z tym, że nastąpiła zmiana wart.

Widoczność była wystarczająca, żeby Sully mógł dostrzec wzruszenie ramion syna.

- To już się zdarzało wcześniej - powiedział Peter. - Przynajmniej według Toby.

Sully rozważał przez chwilę to, co usłyszał.

- Śmiem wątpić - odparł.

- Twoje prawo, twoja wola.

- To bardzo miła dziewczyna.

Peter zachichotał.

- To bardzo miła kobieta. A ty wywindowałeś ją na bardzo wysoki piedestał.

- Cóż - mruknął Sully, nie kończąc zdania. Był zadowolony, że Peter nie ma najwyraźniej ochoty wtajemniczać go we wcześniejsze wykroczenia Toby, jeśli rzeczywiście o jakichś wiedział. - Zjedź rano na Bowdon, zanim oddasz przyczepę. W zapasowym pokoju są jakieś meble. Jeśli coś ci się nada, możesz zabrać.

Peter obiecał, że wpadnie.

- Może tam nie być nic zdatnego do użytku - zastrzegł się Sully. - Trudno powiedzieć. - Położył rękę na gałce od drzwi. - Po drodze zamienię kilka słów z naszym przyjacielem. Posłucha mnie.

- Zrób mi przysługę i daruj sobie - poprosił Peter. - Znów tylko pogorszysz sprawę.

Sully zrozumiał, że to aluzja do klapsa, którego wymierzył Verze, nie chcąc zaczekać na karetkę. Ta straszna scena prześladowała go przez całe popołudnie, mimo otaczających go zewsząd pierwszorzędných atrakcji, takich jak piwo, poker i dziewczyna w stroju topless.

- Jak sądzisz, matka się pozbiera?

- Nie wiem. Mają zatrzymać ją w Schuyler na noc. Wiesz, jak z nią jest. Tak naprawdę nic się nie zmieniło, po prostu jest gorzej.

- Pewnie mógłbyś jej bardziej pomóc - podsunął ostrożnie Sully.

- Nie sądzę - powiedział Peter. - Świat nie zachowuje się według jej życzeń, toteż jest sfrustrowana.

Oczywiście była to ta sama konkluzja, do której Sully doszedł trzydzieści pięć lat wcześniej, i szanse Petera na uszczęśliwienie czy zadowolenie matki nie były większe niż jego szanse w przeszłości. Mimo to wydawało mu się w tej chwili tchórzostwem, że wtedy nie starał się bardziej, nie wytrzymał więcej. Czym innym jest dostrzec, że szufluje się gównem pod wiatr, a czym innym porzucić ten proceder, zanim się porządnie człowiek upaprze. Zwłaszcza jeżeli w innych sprawach masz zamiar robić to nadal.

- Niewiele w tej chwili trzeba, żeby ją wyprowadzić z równowagi, to fakt - rzekł Sully, przypominając sobie, że widok Ruba na podjeździe wystarczył, aby runęła lawina. A może sprawiła to świadomość, że on jest w środku, że wtargnął do jej domu. Zanieczyścił go, jak się wyraziła.

- Nie tylko o to chodziło - powiedział Peter. - Dziadka zabrali dziś rano do szpitala. Nie mógł oddychać nawet z aparatem tlenowym.

Sully pomyślał o Robercie Halseyu, o tym, jak wyglądał w Święto Dziękczynienia, i zanotował sobie w myśli, żeby się zastrzelić, zanim osiągnie ten stan.

- Kiedy umrze, matka będzie miała tylko ciebie.

- Ma Ralpha.

- Dla niej on się nie liczy. Wiesz o tym.

- Wiem - powiedział Peter. - To o niego się martwię.

- Nie wygląda najlepiej, to prawda - przyznał Sully.

- To wrak człowieka. Jeśli kiedykolwiek pozbięram ten swój cały szajs do kupy, zrobię to dla niego, nie dla niej. Był dobrym ojcem.

- Jest jeszcze Will - odważył się przypomnieć Sully.

- Dzieci są odporne - skwitował sprawę Peter. - Popatrz na mnie.

- Patrzę - rzucił Sully w ciemność.

- Cóż, jeśli to ci ulży, tam na górze to nic poważnego.

Sully skinął głową. Na tyle zdążył się zorientować. Zauważył to, kiedy Peter się uśmiechnął, słysząc, jak Toby wymawia słowo „biblioteka”. Peter miał w sobie zbyt wiele z Very, wykształcenie odcisnęło na nim zbyt mocne piętno, żeby mógł się zakochać w kobiecie, która mówi „biboteka”.

- Cieszę się - powiedział i była to prawda.

- Nie wątpię. - Nawet w ciemnościach Sully wyczuwał, że jego syn się uśmiecha. Być może Toby znaczyła dla niego tylko tyle. Spierali się o kobietę i on ten spór wygrał.

- Myślałem o jej mężu - rzekł Sully, zaskoczony, że tak było w istocie. - Nie jestem pewien, czy potrafi się jej wyrzec.

- Najgorsze jeszcze przed nim - poinformował go Peter. - Jest pewna kobieta w Schuyler.

- Carl ma kobiety wszędzie - parsknął Sully - nie tylko w Schuyler.

- Nie miałem na myśli Carla.

Sully potrzebował chwili, żeby przetrwać tę informację, ale w ciemności jakoś łatwiej mu to poszło. Sam nie wpadłby na to i za sto lat, ale teraz kiedy słowa zostały wypowiedziane w intymnym mroku, zrozumiał, że musi to być prawda.

- W takim razie dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego robisz, to co robisz?

- Nie mam pojęcia - przyznał jego syn i chociaż raz zabrzmiało to jak zwykła, pozbawiona ozdobników prawda. Bez ironii, sarkazmu czy złości.

- No cóż. - Sully westchnął, otwierając drzwi prowadzące na ga nek. - Na mnie pora. Idę do domu.

Stał na najwyższym stopniu, kiedy Peter zapytał: - Będziesz przejeżdżał w pobliżu Bowdon?

- Nie planowałem. A bo co?

- Trzeba by nakarmić psa.

- Cholera. Całkiem o nim zapomniałem - przyznał Sully.

- No to ci przypominam.

- To właściwie nie mój pies - bronił się Sully.

- Jasne - zawtórował mu Peter, znów ze swoim zwykłym sarkazmem. - Właściwie nie twój pies. A dom, w którym jest zamknięty, to właściwie nie twój dom. Jesteś wolnym człowiekiem.

- Masz rację, synku - powiedział Sully. - Nie zapomnij zaryglować bramy.

Zaczekał, aż usłyszy odgłos zamykanej zasuwy, po czym przeszedł na drugą stronę ulicy, gdzie samochód Carla Roebucka pykał na wolnych obrotach, rozsnuwając wzdłuż ulicy biały pióropusz spalin. Kiedy podszedł bliżej, Carl opuścił szybę do połowy.

- Cześć, palancie - powiedział.

- Jechałeś za mną aż tutaj? - spytał Sully.

- Owszem - potwierdził Carl. - Poza tym zapomniałem papierosów. Daj mi jednego.

Sully wytrząsnął jednego z paczki.

- Zostaw mi wszystkie - poprosił Carl, biorąc papierosa. - Mam zamiar tu trochę zabawić - dodał, przyglądając mu się w bładym świetle ulicznej latarni. Sully rzucił paczkę papierosów na deskę rozdzielczą. Światła było akurat tyle, żeby zobaczyć, że szczeka Carla spuchła jak balon, a jego uśmiech wygląda szkaradnie. - Wyglądasz jak facet, do którego właśnie dotarła brutalna prawda życia - ocenił Carl.

Coś się poruszyło w ciemnym wnętrzu samochodu. Carl spojrzął na swoje kolano. - Wszystko w porządku, kochanie - powiedział. - Śpij dalej. Zaraz zamknę okno.

Z wnętrza dobiegło jakieś mruknięcie, po czym zapadła cisza.

- Musisz to zobaczyć - szepnęła Carl i sięgnęła ręką za siebie, żeby zapalić sufitową lampkę. Włączył światło tylko na sekundę, ale to wystarczyło. W pierwszej chwili Sully'emu się wydawało, że Didi po prostu zasnęła z głową na kolanach Carla, ale potem zobaczył, że trzyma w ustach jego oklapnięty członek niczym smoczek. - Czyż to nie jest słodkie? - zapytał Carl.

Uroczę zgodził się Sully. - Mam nadzieję, że nie ma koszmarnych snów.

- Ty masz nadzieję!

- Idę do domu - oznajmił Sully. - Jestem zbyt zmęczony, a ty za bardzo pijany, żeby się dało z tobą rozmawiać.

- Trudno zaprzeczyć.

- Nie idź na górę - uprzedził go Sully.

- Dobra - powiedział Carl.

- Mówię poważnie - powtórzył Sully.

- Wiem o tym.

- Więc nie idź.

Didi usiadła i przetarła oczy.

- Zimno - odezwała się zaspanym głosem, dygocząc. - Cześć, Sully

- Widzisz, co zrobiłeś? - ofuknął go Carl, podnosząc szybę.

Sully miał ochotę powtórzyć ostrzeżenie jeszcze raz, ale był zbyt wyczerpany, żeby prosić Carla o ponowne opuszczenie szyby.

W drodze do mieszkania Ruba przydarzyła mu się dziwaczna rzecz. Mając w głowie wirujący kalejdoskop niecodziennych zdarzeń minionego dnia, przejechał zakręt, skręcił przecnicę dalej, nie zauważając pomyłki, i w rezultacie pogubił się, jakby popadł w jakiś dziwny trans. Ta ciemna ulica niewątpliwie była znajoma, należała do miasta, w którym przeżył całe życie, ale pomimo swojskiego otoczenia stwierdził nagle, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje. Skąd się nagle wzięły te domy na ulicy Ruba? Gdzie się podział dom, który wynajmowali z Bootsie? Mrużył oczy w ciemności, wpatrując się w każdy mijany dom, pewien, że ten, którego szuka, pojawi się lada chwila i jego poczucie równowagi zostanie przywrócone. Kiedy to nie nastąpiło, po prostu zatrzymał samochód na środku ulicy i siedział tak, rad z późnej pory, z tego, że w pobliżu nie ma nikogo, kto by go widział, że oszczędzone mu zostało upokorzenie opuszczania szyby i pytania przechodniów o drogę. W końcu nie pozostało nic innego, jak wrócić tą samą drogą, co też uczynił, uświadamiając sobie swój błąd dopiero wówczas, kiedy znalazł się na skrzyżowaniu i zobaczył tabliczkę z nazwą ulicy. Chwilę później skręcał w podjazd przed małym, dwurodzinnym domkiem, w którym mieszkali Rub i Bootsie. Trzy razy lekko nacisnął klakson - sygnał dla Ruba, żeby wyszedł na ulicę i odebrał instrukcje na następny dzień. Bootsie zadzwoniła do siostry w Schuyler Springs i załatwiła sobie wyjście za kaucją. Chodziły słuchy, że opuściła gmach sądu w nastroju bojowym, i Sully wolał się z nią tego

wieczoru nie spotykać, jeśli dało się tego uniknąć.

Na szczęście to okrągła głowa Ruba pojawiła się w oknie, a w chwilę potem zjawił się on sam w podkoszulku, w butach z rozwiązanymi sznurowadłami. Wsiadł do samochodu, gdzie było ciepło, ale odwrócił wzrok, patrząc w drugą stronę, dopóki sufitowa lampka nie zgasła. Sully otworzył drzwi, żeby światło znów się zapaliło, i zobaczył podpuchnięte oko Ruba.

- Boże, Rub - powiedział, zamykając z powrotem drzwi.

Rub wzruszył ramionami.

- Co niby miałem zrobić? Faceci nie powinni bić dziewczyn.

- Nie powinni też pozwalać, żeby one ich były - zauważył Sully dla porządku.

- Nie pozwoliłem jej. Po prostu to zrobiła.

- Powinieneś się uchylić.

- Uchyliłem się - tłumaczył się Rub. - Dostałem kolanem, kiedy robiłem unik.

- Cóż - westchnął Sully. - Rozumiem, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Rub wzruszył ramionami.

- Przyjdź rano do jadalni „U Hattie”. Wcześniej. O wpół do siódmej. Najpierw wyniesiemy trochę rupieci z domu przy Bowdon. Szkoda, że nie pomyśleliśmy o tym, zanim zerwaliśmy podłogi.

Rub powiedział, że też żałuje.

- Co masz jutro zrobić? Powtórz.

- Spotkać się z tobą „U Hattie” o wpół do siódmej.

Sully wiedział, że Rub przyjdzie. Tego akurat mógł być pewien.

- Postawię ci śniadanie - obiecał.

- To dobrze - odparł Rub. - Jestem bez forsy.

- Wiesz, co? - zaproponował Sully. - Mam młotek z tyłu na furgonetce. Moglibyśmy pójść do domu, dać jej przez łeb i zakopać ją w lesie pod tymi betonowymi blokami, które potłukłeś. Pewnie nigdy by jej nie znaleźli.

- Chciałbym, żebyśmy mogli to zrobić - powiedział Rub, wysiadając z samochodu. - Jest gruba, brzydka i wredna.

Kiedy Rub zamknął drzwi, Sully wrzucił wsteczny bieg, ale Rub zaraz zastukał z powrotem w szybę, jakby coś sobie nagle przypomniał. Sully otworzył drzwi.

- I skąpa - dodał Rub.

Nie chcąc ugrzęznąć na zbyt długo, Sully przed wejściem zlustrował wnętrze gospody „Pod Koniem” zza kasetonu reklamującego piwo. Wyglądało na to, że Tiny ma tylko dwóch klientów: Wirfa, jak można się było spodziewać i, co mniej oczywiste, Jocko. Obaj odwrócili się na swoich taboretach, kiedy Sully wszedł i udał się w pośpiechu do toalety.

Chwilę później Jocko stał u jego boku, rozpinając rozporek przed jednym ze ściennych pisuarów. Sully ucieszył się, że mimo wyczerpania i bólowego kolana tym razem nie wybrał się do kabiny.

- Ktoś mi mówił, że to twój szczęśliwy dzień - zagaił Jocko, czekając, aż pojawi się mocz, podczas gdy Sully wyciskał ze swojego pęcherza jakies mało satysfakcjonujące resztki.

Sully pomyślał chwilę, uznał, że można się z tym od biedy zgodzić.

- Wygląda na to, że szczęście się do ciebie uśmiechnęło akurat wtedy, kiedy dla miasta się skończyło - kontynuował Jocko.

- Jeśli chodzi o naszą mięścinę, fart się urwał gdzieś tak ze dwieście lat temu.

- Zgadza się - przyznał Jocko, który jeszcze nie zaczął oddawać moczu. - Ale to jest gwóźdź do trumny. Teraz pierwszy solidny podmuch wywieje nas wszystkich. Idę o zakład, że za rok połowa Głównej będzie zabita deskami.

Sully wzruszył ramionami, zapiął rozporek, spuścił wodę. Zazwyczaj czuł się swobodnie, rozmawiając z Jocko, ale ta rozmowa była dziwna. Obecność Jocko w toalecie wydawała mu się nie całkiem na miejscu z powodów, z których nie bardzo zdawał sobie sprawę. Zdarzało im się w przeszłości siusiać do tego samego pisuaru. Może chodzi o to, że tym razem Jocko nie siusia, pomyślał.

Ponieważ był w towarzystwie, umył ręce i wytarł je papierowym ręcznikiem.

- Gdybyś chciał, mogłoby się dla ciebie znaleźć mnóstwo roboty - powiedział Jocko zagadkowo.

- To znaczy?

- Znam faceta, który już teraz dałby ci parę kawałków za podpalenie jego sklepu.

Sully odczekał chwilę, nie komentując tego, co usłyszał. Przyglądał się swojemu staremu znajomemu, który wydawał się mniej zażenowany propozycją, jaką przed chwilą złożył, niż faktem, że nie jest w stanie wycisnąć z siebie ani kropli.

- Skąd facetowi przyszło do głowy, że działam w tym biznesie? - zapytał w końcu.

- No cóż - mruknął Jocko, porzucając pozory i zapinając z powrotem spodnie.

- Pytam poważnie - powiedział Sully z naciskiem.

Jocko wzruszył ramionami, ich spojrzenia spotkały się na chwilę, po czym odwrócił wzrok.

- Musiał gdzieś o tym usłyszeć.

- Musiał - zgodził się Sully. - Obawiam się, że będę musiał go rozczarować.

- Poradzi sobie - powiedział Jocko cicho. - Pewnie będzie mu przykro, że cię mylnie ocenił.

- Znajdźmy sobie nowe miejsce do picia - zaproponował Sully, siadając obok Wirfa, który gawędził miło z Tinym przy końcu baru. Naprzeciw taboretu, który przed chwilą zajmował Jocko, stała butelka piwa. Sully zauważył, że Wirf przeszedł na piwo.

- Co masz do zarzucenia temu miejscu? - zapytał Wirf. Tiny zeszywniał, kiedy Sully podszedł bliżej. Patrzył na niego spode łba, nie próbując nawet ukryć faktu, że jego lokal o wiele bardziej mu się podoba bez Sully'ego.

Sully, wciąż wytrącony z równowagi po rozmowie z Jocko, przyjrzał się Tiny'emu, nim odpowiedział.

- Nic - rzekł w końcu. - Jest bez zarzutu. Najbardziej mi się podoba życzliwa atmosfera.

- Może by tak po jednym? - zaproponował Wirf, trącając szklanką swoją butelkę piwa - gatunek, który zazwyczaj pili.

- Jest dobre?

- Mnie smakuje.

- Pomoże zakończyć ten dzień w spokoju?

- Przekonajmy się.

- Dobra.

Tiny poszedł w drugi koniec baru, gdzie stała lodówka, i wrócił z piwem.

- Chcesz szklankę, Sully?

- A przysługuje mi?

Tiny podał mu szklankę. A także kopertę. Sully podziękował i połknął kolejną tabletkę Jocko, popijając ją rykiem piwa z butelki. Druga tabletką to był zapewne nie najlepszy pomysł, ale powiedział sobie, że ma niedaleko do domu. Na kopercie znajdował się znak firmowy ośrodka doskonalenia zawodowego z Schuyler Springs. Przy zapisach Sully podał adres „grzecznościowy” gospody „Pod Koniem”, żeby zrobić Tiny'emu na złość. Koperta

zawierała listę ocen, jakie uzyskał w jesiennym semestrze. Niedostateczne ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem filozofii, z której młody profesor go nie sklasyfikował, gdyż nie ukończył semestru.

- Dobre wieści - powiedział Sully, mnąc list i rzucając nim w stronę kuba na śmieci, stojącego za ladą. - Zakwalifikowałem się do nagrody rektorskiej.

Wirf wciąż przyglądał się nieużywanej jeszcze szklance, jak zawsze gotów rozładować napięcie.

- Słyszałeś, że Tiny zamówił orkiestrę na jutrzejszy wieczór?

- Z jakiej okazji?

- Sylwestra - powiedział Tiny, podchodząc, żeby podnieść z podłogi zmięty papier. - Niektórzy lubią świętować tę noc w lokalu.

Prawdę mówiąc, Sully stracił rachubę czasu i nie wiedział, co to za dzień.

- Będę potrzebował rezerwacji?

- Będzie też darmowy bufet - wtrącił się Wirf. - Dla wszystkich stałych bywalców.

- Zamówiłem siedemdziesiąt pięć funtów skrzydełek - burknął Tiny, dumny z siebie.

- Tego święstwa! - oburzył się Sully. - Całe miasto będzie srało żyletkami przez tydzień!

- Możesz nie jeść, jak nie chcesz - powiedział Tiny, z miejsca wkurzony, na co Sully liczył. - Kogo obchodzi twoje zdanie?

- Nikogo - przyznał Sully. - Od dwudziestu lat marzy mi się, żeby ktoś otworzył inny bar przy Głównej i wykopał twój paskudny zadek z interesu.

- Od dwudziestu? - powtórzył Tiny. - Może pomówmy o czterdziestu? Jestem tu od czterdziestu lat. Były cztery bary przy Głównej w czasach twojego staruszka, który był takim samym sukinsynem jak ty teraz. Dzisiaj jestem jedyny.

- Jedyne sukinsyn? - domyślił się Sully.

- Jedyne bar.

- Przetrwają najgłupszy - skwitował Sully, tytułem wyjaśnienia.

- Dwadzieścia minut do zamknięcia lokalu - oznajmił Tiny, ruszając w stronę stołka barowego, który trzymał za ladą.

- No. - Sully uśmiechnął się porozumiewawczo do Wirfa. - Poszedł sobie, dzięki Bogu.

Sprawdzając kieszeń po kieszeni, wyłożył na ladę wszystkie pieniądze, które miał przy sobie, i zaczął je porządkować według nominałów.

Widok był imponujący, chociaż Sully zdawał sobie sprawę, że nie wystarczyłoby tego nawet na pokrycie jego długów. Kiedy zrobił porządek, odliczył pięćset dolarów i podsunął je Wirfowi. Wirf przyjrzał się pieniądзом.

- Jesteś pewien? - zapytał. - Wiem, że masz inne problemy.

- Weź je - wtrącił się Tiny z drugiego końca baru. - Kiedy następnym razem będzie miał tyle forsy?

- Żeby tak ktoś zaoferował mi setkę za strzelenie ci w łeb - odciął się Sully. - Właściwie zrobiłbym to i za darmo, gdybym miał pewność, że to cię uśmierci.

- Słyszałeś prognozę pogody na jutro? - zapytał Wirf.

Sully powiedział, że nie słyszał.

- Ma sypać jak cholera.

Sully westchnął, przeczesując włosy palcami.

- Do licha, myślałem, że się ucieszysz. Jęczysz i kwiczysz od miesiąca, że nie pada.

Była to prawda, a mimo to nie mógł odpędzić myśli o tym wszystkim, co powinien zrobić nazajutrz. Wyprawa do Harolda i zainstalowanie pługa do furgonetki to była jedna sprawa więcej. Chociaż i tak musiał się z nim zobaczyć i dać mu część pieniędzy, które ze sobą nosił, zanim się rozejdą.

- Był tu jakiś czas temu - powiedział Wirf na wzmiankę o Haroldzie.

- Musiał słyszeć o mojej wygranej - domyślił się Sully. Nigdy nie widział Harolda „Pod Koniem” ani w żadnym innym barze.

Wirf pokręcił głową.

- Siedział tu, gdzie ty w tej chwili, i pił jacka danielsa.

- Za chwilę powiesz mi, że jego żona była z nim i piła koktajl Singapore Slings.

- Pamiętasz Dwayne'a, tego smarkacza, którego u siebie zatrudnili? Rudy? Bez przerwy dłubał w nosie?

Sully powiedział, że zna chłopaka.

- Opróżnił kasę i ulotnił się - wyjaśnił Wirf. - Harold miał go niby szukać, ale nie miał do tego serca.

- To będzie już chyba piąty raz - zauważył Sully.

Wirf skinął głową.

- Czy uderzyło cię kiedyś, jak ludzie robią ciągle to samo, nie wiadomo po raz który?

- Nie miałeś na myśli nas?

- Nie, miałem na myśli innych - zapewnił go Wirf. - My to jedna wielka, cholerna zagadka.

Prawdę mówiąc, Sully doszedł tego dnia do wniosku, że niemal każdy stanowi jedną wielką zagadkę. Miesiąc wcześniej gotów był zgodzić się z Wirfem, że ludzie są przewidywalni aż do znudzenia. Ale od czasu porannego wyjścia z aresztu prześladowało go dziwne uczucie, że wszystko się zmieniło, że reguły rządzące egzystencją zostały podczas jego nieobecności postawione na głowie. Nawet fakt, że jego pech zmienił się w fart, pogłębiał to wrażenie nie z tego świata. Jak gdyby miasteczko, do którego wrócił, przestało być dobrze mu znanym miejscem. Wyglądało tak samo, ale w głębi było jakieś inne. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że zgubił drogę, jadąc do mieszkania Bootsie i Ruba? Jak wyjaśnić dziwną rozmowę z Jocko, który nawet nie wrócił do baru, tylko wymknął się za drzwi? W stanie wyczerpania, w jakim się znajdował, wstąpił „Pod Konia” tylko dlatego, że miał nadzieję zakończyć ten dzień jakoś normalnie, „zygując” z Wirfem i kłócąc się z Tinym, i odzyskać w ten sposób równowagę, rozproszyć poczucie dezorientacji, od którego mu się kręciło w głowie.

I oto Wirf, ze wszech miar normalny Wirf o zaczerwienionych oczach, najbardziej przewidywalna ze wszystkich ludzkich istot, przyglądał mu się z dziwną powagą, wciąż nie biorąc leżących przed nim pięciuset dolarów. Wyglądał, jakby miał rzucić jakiś „zak” prosto w twarz Sully'emu, który przysiadł się do niego w nadziei na „zyg”.

- O co chodzi? - zapytał w końcu Sully. - Chyba nie chcesz na mnie naskoczyć?

- Nie - uspokoił go Wirf. - Ale chcę cię prosić o przysługę.

- W porządku - zgodził się Sully. - Pod warunkiem że nie mam ci jej wyświadczyć dzisiaj.,

Wirf spojrział na zegarek.

- To przypuszczalnie nie będzie dzisiaj - powiedział poważnie. - Ale kiedykolwiek by to miało być, chcę, żebyś to zrobił.

- No to prosz - powiedział Sully. - Jak mogę to zrobić albo tego nie zrobić, jeśli mi nie powiesz, o co chodzi?

- Chcę tylko, żebyś wiedział, że mówię poważnie - ciągnął Wirf. - Wiem, że według ciebie nie nazwałbym gówna gównem, choćbym miał go pełną gębę, i w większości wypadków tak właśnie jest, ale tym razem chcę, żebyś mi coś obiecał, i jeśli tego nie zrobisz, to nie chcę cię znać.

Sully spojrział podejrzliwie na przyjaciela.

- Nie rzucę roboty - powiedział. - I nie wrócę na kurs, nawet dla ciebie. Mój syn zaczyna tam wyklądać od przyszłego semestru i przy moim szczęściu na pewno wsadziliby mnie do jego grupy.

Wirf uśmiechnął się na ten pomysł.

- Nie o to chodzi. Chodzi o twoją gospodynię.

Sully poczuł niewypowiedzianą ulgę. Po wszystkich tych wstępach cała sprawa mogła się w sumie okazać prosta.

- Cokolwiek mogę zrobić dla Beryl, zrobię to. Z radością, jeśli mam być szczerzy.

Wirf wpatrywał się w niego z tą samą powagą, która nieomal przyprawiła go o zezę. - Ona myśli tak samo o tobie. Dlatego zrobiła coś dla ciebie, przy mojej pomocy.

- Co takiego? - zapytał Sully, chociaż coś zaczynało mu świtać.

- Dom przy Bowdon znów należy do ciebie.

- Zapłaciła zaległe podatki?

- Nieco ponad dziesięć kawałków.

- I ty jej na to pozwoliłeś.

- Zachęcałem ją - powiedział Wirf z emfazą.

- Wiedząc, że nie chcę mieć z tym głównem nic wspólnego, wiedząc, że nie jest warte sprzedania na złom, pozwoliłeś jej to zrobić.

- Jest wart przynajmniej dwadzieścia kawałków, być może więcej - powiedział Wirf.

- Pieprzysz.

Wirf pokręcił głową.

- Mam już ofertę za dwadzieścia tysięcy od właścicieli Sans Souci. A dadzą więcej.

- Dlaczego?

- Żeby uniknąć procesu. Bitą drogą, którą wytyczyli, prowadzi dokładnie przez narożnik twojej posesji. Sprawdziłem to. A nie ma pasa rozdzielającego te dwa tereny. Moglibyśmy ich przegonić po sądach, że w pięty by im poszło. Mogą podwoić swoją ofertę. Potroić. - Przerwał, żeby dać Sully'emu czas na przetrwanie tej informacji. - W najgorszym razie z dwudziestoma tysiącami mógłbyś zwrócić jej pieniądze, spłacić swoją furgonetkę i zacząć od nowa.

Sully pomyślał chwilę. Rozpoczęcie od nowa było atrakcyjnym pomysłem. Dlaczego w to nie wierzył? Z powodu Dużego Jima, nie ulegało wątpliwości. To byłyby pieniądze jego ojca. Zastrzyk gotówki z jedynej strony, z jakiej nie mógł go zaakceptować.

- To jest ta przysługa - powiedział Wirf. - Kiedy ci o tym powie, okaz jej

wdzięczność. Przez synalka nie będzie jej łatwo przez jakiś czas. Zrób jej przyjemność.

- Nie o to chodzi - zaczął Sully.

- Mam gdzieś to, czy o to chodzi, czy nie - uciął Wirf. - Zrobisz to albo z nami szlus.

Obaj mężczyźni milczeli przez jakiś czas. Sully czuł, że druga tabletką Jocko zaczyna działać - jakby jego własne kontury się rozmywały. Nie było miejsca na tej planecie, gdzie czułby się równie swojsko jak „Pod Koniem”, na tym konkretnym taborecie, obok tego konkretnego człowieka, a jednak jakie dziwne wydawało mu się to wszystko w tej chwili. Świąteczne lampki rozwieszane na ścianie za barem, z których połowa mrugała albo w ogóle nie świeciła, Tyny, siedzący na swoim niewidzialnym taborecie przy drugim końcu baru, wspierający się czarodziejskim sposobem na powietrznej poduszce, nawet Wirf, mierzący go tym surowym spojrzeniem. Gospoda „Pod Koniem” stała się nagle jakaś obca i Sully'ego ogarnęła ta sama panika, jaką czuł pół godziny wcześniej, kiedy stracił orientację na znajomej ulicy. Usłyszał, jak mówi: „Dobrze”, ale było to tak, jakby mówił ktoś inny. I nagle, równie niespodziewanie, wszystko wróciło na swoje miejsce.

- W porządku - powiedział Wirf, najwyraźniej usatysfakcjonowany. - Czego chciał od ciebie Barton dzisiaj rano?

Sully prychnął.

- Pytał o ten dzień, kiedy mój staruszek przyszpilił tamtego dzieciaka na ogrodzeniu.

Wirf skinął głową w zamyśleniu.

- Musi się przygotowywać na śmierć - powiedział w końcu, jakby o tym wiedział. - Porządkuje niedopięte sprawy. Co mu powiedziałaś?

- Nic - odparł Sully. - Że to był wypadek.

Wirf znów skinął głową.

- Co było kłamstwem. Ojciec trząśł ogrodzeniem tak długo, aż chłopak je puścił i zleciał.

- Widziałeś to?

- Mój brat widział. - Sully się uśmiechnął. - Ja widziałem już tylko dzieciaka wiszącego za dolną szczękę, ze szpikulcem wystającym przez usta.

Wirf zdjął okulary i przetarł oczy.

- Dziwne, że jeszcze wszyscy nie oszaleliśmy - doszedł do wniosku.

- Oszaleliśmy - powiedział Sully, wstając z taboretu. Własna pewność go zaskoczyła. - Jestem o tym przekonany.

Zerknął na zegar wiszący nad kontuarem. Za niecałe pięć godzin mieli być z Rubem w domu przy Bowdon. To mu o czymś przypomniało.

- Muszę nakarmić psa, a potem idę do domu.

- Od kiedy to masz psa?

- Nie wiem - przyznał Sully. - Ale zostałem poinformowany, że go mam. Przy okazji, wiedziałeś o moim synu i żonie Carla?

- Oczywiście - odrzekł Wirf.

- To dlaczego nic nie mówiłeś?

- Bo jestem jedynym człowiekiem w tym mieście, który nie powtarza plotek. Prawdę mówiąc, byłem zaskoczony. Słyszałem, że miał przyjaciółkę w Schuyler.

- Wygląda na to, że o tym też dowiaduję się ostatni. Jak sądzisz, Carl da sobie radę? - rzucił Sully, nie bardzo nawet wiedząc, co rozumie przez to pytanie.

- Sądzę, że nie - powiedział Wirf.

- Siedzi w tej chwili w samochodzie pod domem Petera - oznajmił Sully.

- Toby jest na górze.

- Ta dziewczyna z cyckami ciągle z nim jest?

Sully potwierdził.

- Dopóki z nim jest, nic mu nie będzie - orzekł Wirf.

- Też tak sobie pomyślałem. Chciałem się tylko upewnić, czy się nie mylę.

- Tak czy inaczej to nie twoja sprawa - zauważył Wirf.

Święte słowa, musiał to przyznać. Ale wciąż brzmiał mu w uszach kpiący ton Petera. Właściwie nie jego pies. Właściwie nie jego dom. Właściwie nie jego interes. A było tych „właściwie” więcej. Vera, która właściwie nie była już jego żoną, a która dzisiaj dostała ataku szału. I Ruth, która z nim zerwała, tym razem na dobre - wiedział o tym - i nie była już właściwie jego kochanką. I Duży Jim, nieżyjący od wielu lat, bardziej martwy niż głaz, bardziej niż kolek w płocie, bardziej niż gwóźdź w trumnie, martwy, jak tylko można być martwym. Tyle że właściwie nie całkiem. To Duży Jim, ogarnięty wściekłością, bólem i strachem, zaatakował rano Carla Roebucka, zanim Sully zdołał go powstrzymać. Tak samo jak wtedy, kiedy zgasił kpiący uśmiezek na twarzy posterunkowego Raymera.

Przy drzwiach, naciągając z trudem swój ciężki płaszcz, Sully zdał sobie sprawę, że coś cuchnie, i tym razem nie był to ani mąż, ani bliskie sąsiedztwo męskiej toalety. Ten zapach to było coś jak woń przeznaczenia.

Wpół do drugiej w nocy, poprzedzającej noc sylwestrową.

Przy ulicy Srebrnej Ralph stał nad muszlą, czekając, aż pojawi się mocz. Właściwie nie musiał iść do toalety. Po prostu nie chciał się położyć, dopóki nie sprawdził moczu, jak gdyby to, czego się obawiał, mogło wykorzystać jego zaniedbanie i prowadzić cichcem krecią robotę, gdyby osłabił czujność. Wydarzenia minionego dnia wciąż stały mu przed oczyma. Nie był zazdrośnym mężczyzną, ale nie mógł zapomnieć, jak jego żona osunęła się w ramiona Sully'ego, szepcząc mu do ucha intymne wyznanie najgłębszej pogardy, przyrzekając, że będzie go nienawidzić do końca życia. Jak naturalnie wyglądali w tym uścisku, jak doskonale do siebie pasowali. Ów widok sprawił, że Ralph poczuł się jak intruz w swoim własnym małżeństwie. Sprawił, że kolana się pod nim ugięły, i musiał wyjść na ganek, by zaczerpnąć świeżego powietrza.

Kiedy mocz się wreszcie pojawił, gorący i wypływający boleśnie wolno, Ralph zlustrował zarówno strumień, jak i ciemniejszą kałużę na dnie muszli, wypatrując krwi, której wciąż się obawiał, mimo zapewnień onkologów. Ale krwi nie dostrzegł.

Ponieważ Vera została na noc w szpitalu, a Peter w swoim nowym mieszkaniu, Ralph miał wnuka pod opieką, tak więc po wyjściu z łazienki poszedł zajrzeć jeszcze raz do Willa. Lubiał myśleć o chłopcu jako o swoim wnuku, chociaż wiedział, że naprawdę nim nie był. Tego dnia uświadomił sobie między innymi, że będzie musiał się nim dzielić z Sullym, jego prawdziwym dziadkiem. Nie będzie z nim jak z Peterem, którym Sully się nie interesował. Nie, Ralph widział miłość w oczach Sully'ego, kiedy chłopiec wdrapał mu się na kolana. Ale wiedział też, że Sully się podzieli, że nie będzie zachłanny. I, rzecz jasna, nadal wierzył, że ludzie mogą żyć w zgodzie.

Chłopiec spał, nareszcie spokojnie. Stoper, który dostał od Sully'ego, tykał krzepiąco na nocnej szafce. Ralph słyszał nie raz, jak Will kwilił przez sen, przestraszony, ale dziś oddychał równo, bez wysiłku. Ralph czuł w powietrzu nad łóżkiem świeży oddech swojego wnuka i serce ścisnęła mu „tylko miłość”. Przez cały wieczór, odkąd wrócili do domu z baru w centrum miasta, Will nie mówił o niczym innym, tylko o nodze, i Ralph wiedział, że był to akt najwyższej odwagi, na jaką jego wnuk się w życiu zdobył. Chłopiec nie posiadał się z dumy, że dotknął protezy, że ją odniósł ulomnemu prawnikowi. Okropny, biały kikut pana Wirfly'ego przyniósł Willowi - co? - ukojenie. Ralph zastanawiał się, jak to się mogło stać.

Kiedy znalazł się w swoim pokoju, który dzielił z Verą od tak wielu lat, rozebrał się, po raz pierwszy bez skrępowania, i zwalczył pokusę, żeby jeszcze raz przed pójściem spać iść do toalety, tak na wszelki wypadek. Vera zawsze była i wciąż jest kobietą trudną we współżyciu, ale nie mógł sobie wyobrazić życia bez niej, nie mógł sobie wyobrazić, że całe to wielkie łóżko należy do niego, nie mógł sobie wyobrazić życia Sully'ego i tego, że sam takie życie wybiera. Postanowił, że pojedzie do szpitala z samego rana i przywiezie żonę do domu. Będzie się starał jeszcze bardziej niż dotąd, żeby była szczęśliwa. Vera nie była złą kobietą.

Sully wsiadł do el camino i ruszył Główną w kierunku Bowdon, gdzie spędził w dzieciństwie tak wiele długich nocy, czekając na ojca, dozorcę na pół etatu i pełnoetatowego barowego awanturnika, aż wróci pijany, utykając, z opuchniętą twarzą, wyrzucony siłą poza obręb społeczności twardych facetów, tak że nie pozostało mu nic innego, jak wrócić, wciąż kipiąc gniewem, na łono rodziny, do żony, która nie miała dość rozumu, żeby uciec, albo może nie wiedziała dokąd; do starszego syna, który czekał na właściwy moment, śniąc o motocyklach, o czymkolwiek, co miałoby koła, które kręciłyby się, kręciły, uwożąc go w dal ku wolności; do młodszego syna, który nie był jeszcze dość duży, aby marzyć o ucieczce, ale wystarczająco duży, żeby poprzyjąć coś sobie uroczyście i utwierdzać się w tym ślubowaniu każdej nocy - w tym jednym, jedynym zobowiązaniu wyrytym w głębi jego chłopięcego jestestwa: nigdy nie przebaczyć.

Przysiędże tej Sully pozostał wierny i kiedy zaparkował samochód pod domem i pokuśtykał ścieżką w stronę tego, co mogło być, pośród tej zbyt cichej nocy, jedynie zasadzką, czuł, jak determinacja krzepnie w nim pod wpływem piwa, bólu, środków przeciwbólowych i strachu i chociaż zdawał sobie sprawę, że tak uporczywe trwanie w jakimkolwiek postanowieniu nie jest zbyt mądre, jak zawsze nie chciał sobie pozwolić na próżne żale. Zdaniem Ruth nie miał racji, nie przebacząc, ale prawdę mówiąc jedynej pokusy w tej sprawie doznał na pogrzebie swojego brata. Tam, w kościele, oboje rodzice go zaskoczyli. Na twarzy matki, ubranej w głęboką czerń, która nie uroniła łzy, malował się wyraz bardziej przypominający triumf niż żałobę. To jego robota, wydawała się mówić o wielkim mężczyźnie, który stał, pochlipując, obok niej, zgarbiony nad drewnianą kościelną ławką.

Duży Jim miał na sobie źle dopasowany garnitur w gryzącą się kratę, tak rażąco nieodpowiedni na pogrzeb, że Sully, sam ubrany w starą sportową marynarkę brata, która przynajmniej była ciemnego koloru, zauważył to i

oprócz całego żalu czuł na domiar wszystkiego okropny wstyd. Mimo to rozdierające szlochy ojca, stojącego w pierwszej ławce, wydawały się tak autentyczne, że Sully zaczął chwiać się w swoim postanowieniu, dopóki sobie nie przypomniał jego zachowania w domu pogrzebowym, tego, jak witał każdego gościa u trumny swojego syna, powtarzając dzwięcznym, podlanym whisky głosem: „Chodźcie i zobaczcie, co zrobili z moim chłopcem”. Jak gdyby to on sam był ofiarą wypadku, jak gdyby Patrick był po prostu rekwizytem, naocznym dowodem straty, jaką poniósł Duży Jim. Tak samo zachowywał się w dniu, w którym nadział tamtego chłopca na ogrodzenie. Nim go zdjęto, Duży Jim zdołał przekonać tłum, że to jemu należy się współczucie. I to ze względu na siebie czuł smutek po stracie starszego syna, jak sobie to Sully uświadomił. Od miesięcy, może od lat obserwował przemianę swojego brata, widział, jak Patrick staje się coraz bardziej podobny do ojca - bardziej okrutny, bardziej bezceremonialny, bardziej skłonny do przemocy wobec słabszych. Chociaż miał zaledwie siedemnaście lat, upijał się często i był pijany również wtedy, kiedy zderzył się czołowo z innym kierowcą. Duży Jim opłakiwał w pewnym sensie własną śmierć i Sully postanowił, że on nie będzie po nim płakał, ani wtedy, po śmierci Patricka, ani wiele lat później, kiedy Duży Jim umarł spokojnie podczas niczym niezakłóconego snu.

W połowie ścieżki Sully przystanął i patrzył na dom swojego dzieciństwa, wsłuchując się w coś, co brzmiało w tej ciszy jak daleki szum autostrady, chociaż było to niemożliwe. Autostrada międzystanowa biegła wiele mil stamtąd i Sully nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek ją słyszał, nawet w najcichsze noce. Po raz nie wiadomo który poczuł się zdezorientowany, jak gdyby geografia jego życia została nagle poddana nowym regułom. Jak gdyby młody wykładowca filozofii wziął się do likwidowania kolejnych bytów za pomocą logicznej argumentacji podczas długich tygodni, które upłynęły od czasu rezygnacji Sully'ego z kursu, na skutek czego przestrzenie pomiędzy nimi zaczęły się kurczyć. Ktoś najwyraźniej dowiódł nieistnienia „Podróży bez Końca” i być może potężny pas podmokłego gruntu, na którym miał stanąć lunapark, też zniknął, wraz z osiedlem domków mieszkalnych Carla Roebucka. Może dematerializacja przybliżyła odległą niegdyś autostradę, może przestrzeń się skurczyła, aby zasklepić dziury, poczynione przez rozpasaną filozofię. To by wyjaśniało ów szum pojazdów, który stał się głośniejszy, kiedy Sully zatrzymał się na najwyższym stopniu, nasłuchując.

Zdaniem Ruth upór Sully'ego, który nie chciał przebaczyć ojcu, stanowił źródło jego własnych uporczywych niepowodzeń i kiedyś wkładała wiele

wysiłku w to, żeby go przekonać - przekonałaby chyba każdego, z wyjątkiem Sully'ego. Jej porażka stanowiła chyba najlepszą ilustrację powodów, dla których nigdy się między nimi nie układało. Ruth dała mu jasno do zrozumienia, że nie może mieć jednego i drugiego: jej i swojej upartej, niewzruszonej determinacji. Przez jakiś czas pozwalała podkopywać ową determinację w subtelny sposób. Kiedyś odwiedzili nawet Dużego Jima w domu spokojnej starości. Ale było to jedyne ustępstwo, na jakie potrafił się zdobyć, i wiedział, że gdyby się pobrali, skończyłoby się na tym, że zacząłby odwiedzać regularnie grób Dużego Jima, przynosząc świeże kwiaty. Ruth towarzyszyłaby mu, pilnując, żeby położył je na grobie. I gdzie w tym wszystkim była sprawiedliwość? Znaczyłoby to, że Duży Jim zagrał im wszystkim na nosie, wystawił sąd do wiatru i uszedł bezkarnie przez wąską szczelinę, zwaną chrześcijańskim miłosierdziem. Nie. Do diabła z nim. Na wieki wieków.

- Do diabła z tobą - powiedział głośno Sully pod drzwiami domu przy Bowdon i pchnął je gniewnie w chwili, gdy druga z „żółtych petard” Jocko otworzyła wreszcie na oścież wrota do przeszłości, wywracając na nice jego mózg, serce i duszę. - Do diabła z tobą, stary. - Słowa, które chciał wypowiedzieć jako chłopiec, zabrzmiały dobrze nawet teraz, w pustym domu.

Duży Jim, stojący u podnóża schodów i gotów ruszyć na górę z zaciśniętymi pięściami, odwrócił się i zmierzył pijackim spojrzeniem Sully'ego, stojącego w drzwiach domu. Pomiedzy nimi była jedynie ciemność. Twarz Dużego Jima była zakrwawiona i nienaturalna, skóra ponaciągana w różnych kierunkach przez szwy, założone byle jak na stare rany. Nos, złamany kilkakrotnie w różnych burdach, utracił kształt, wyraźnie było słycać ciężki oddech. Uśmiechał się do syna ponad tym, co ich rozdzielało, tym samym uśmiechem, który Sully pamiętał z dnia, kiedy nie trafił nogą na szczebel drabiny i spadł. Wtedy oddzielało ich wysokie ogrodzenie z siatki, teraz nic.

- Czas najwyższy, żebyś wstał i dał świadectwo - powiedział Duży Jim.

- Jestem tu, staruszku - zapewnił go Sully, czując się pewnie po raz pierwszy od wielu dni. Jeśli to ma być przeznaczenie, to niech tak będzie. - Spróbujmy się. Zobaczymy, kto pierwszy spasuje.

Uśmiech ojca stał się jeszcze szerszy.

- Chodź, zażyj swoje lekarstwo - powiedział.

Wciąż wietrząc zasadzkę, Sully puścił drzwi, które zatrzasnęły się za nim, nie zostawiając odwrotu. Jeśli jego ojciec nie zawarł jakichś znajomości w piekle, było ich teraz tylko dwóch.

O drugiej w nocy pannę Beryl obudził dźwięk, jaki mógłby wydawać ciężki łańcuch, ciągnięty gdzieś daleko po podłodze. Łańcuchy, które dzwigamy, wykuwamy sobie sami - pomyślała, na w pół oczekując, że Clive junior pojawi się pod drzwiami jej sypialni jako dickensowski duch w stroju z epoki. Zastanawiała się, czy należy to rozumieć jako zapowiedź kolejnego krwotoku z nosa. Usiadła na łóżku i przesunęła stopami po podłodze w poszukiwaniu pantofli. Zanim wstała, poruszyła palcami nóg i rąk. Wcześniejsze incydenty poprzedzało mrowienie w dłoniach i stopach, ale tym razem nie czuła nic takiego. Kiedy wstała, nie kręciło jej się w głowie i nie miała poczucia oderwania od rzeczywistości.

Może po prostu ów długi dzień - tak skąpy w litość - jeszcze się dla niej nie skończył. Znalazła szlafrok i ruszyła w stronę kuchni, gdzie zapaliła jasną lampę sufitową, pewna, że jeśli na terenie posesji znajduje się duch podzwaniający łańcuchami, nie będzie miał dość tupetu, aby podążyć za nią do tego wesołego, jasnego, stuwatowego królestwa. Picie herbaty o tej porze nie było przypuszczalnie najlepszym pomysłem, ale mimo to postawiła czajnik na gazie i obserwowała go, niemal spodziewając się, że w sąsiednim pokoju zadzwoni telefon.

Jego dzwonek powitał ją, kiedy wróciła z Schuyler Springs. Odebrała kilka telefonów, zanim zdecydowała się wyłączyć wtyczkę z kontaktu. Dwa z nich były od dziennikarzy, którzy teraz nie mówili o niemożności skontaktowania się z Clive'em juniorem, tylko o jego „zniknięciu”. Po raz kolejny zadzwoniła też kobieta z banku. W jej głosie brzmiała nieufność, kiedy panna Beryl twierdziła z uporem, że Clive junior się z nią nie kontaktował i nie zostawił jej żadnych wskazówek ani co do kierunku, w jakim zamierzał się udać, ani co do swoich zamiarów.

Po powrocie z Schuyler Springs znalazła w skrzynce na listy szarą kopertę, którą dała Abrahamowi Wirfly'emu poprzedniego dnia. Jej zawartość, która powinna sprawić jej ulgę i wzbudzić wdzięczność, stanowiła słabą pociechę. Wewnątrz znalazła odręczną notatkę: „Nie mogłem się z panią skontaktować, pozwoliłem sobie zatem na własną odpowiedzialność wycofać załączone dokumenty z urzędu hrabstwa, który jeszcze nie zakończył procedury. Oczywiście w każdej chwili możemy złożyć je ponownie, jeśli będzie sobie pani tego życzyć, ale w związku z ostatnimi wypadkami zmuszony jestem zdecydowanie odradzać pani przekazywanie obecnie jakiegokolwiek własności synowi. Druga sprawa, którą omawialiśmy, została załatwiona zgodnie z pani zaleceniami”.

A więc tyle wyszło z jej żałostnego kompromisu, z jej wysiłków, żeby zrobić to, co słuszne, oddzielając od siebie spreczny dyktat rozumu i serca, aby

zadośćuczynić sumieniu, które, jak zauważył wnikliwie Mark Twain, „nie jest lepsze niż stary ujadający pies”. Bo sprawiedliwość i lojalność, choćby nie wiadomo jak ważne dla rozumu, nijak się mają do człowieczego serca, w którego najgłębszej głębi leży tajemnica przywiązania. Tajemnica miłości, która istnieje lub nie, jest nieskażona jak instynkt, który tobą włada, a nie ty nim, który kpi sobie z takich słów jak „powinien” i „należy”. W ludzkim sercu nie ma miejsca na kompromis. Nigdy. Ani na przemieszczenia, za które trzeba płacić straszliwą cenę. Ani na spadające na ziemię czarne, splątane konary. Ani na srogie kary.

Kiedy panna Beryl znów usłyszała daleki brzęk łańcucha wlezonego po podłodze, poszła zbadać, co to takiego, zapalając po drodze światła w pomieszczeniach, przez które przechodziła. Ustaliła, że dźwięk dochodzi z holu, który dzieliła z Sullym, i zastanawiała się przez chwilę, czy mądrze będzie otworzyć drzwi, żeby zobaczyć, co się znajduje za nimi. Bóg nienawidzi tchórz - pomyślała w końcu i uchyliła drzwi.

Światło w holu było zapalone. Tuż za drzwiami jej mieszkania, u stóp schodów prowadzących na górę do Sully'ego stał doberman. Jeden koniec łańcucha przymocowany był do psiej obroży ozdobionej sztucznymi kamieniami. Drugi leżał luzem. O ile mogła się zorientować, oprócz psa nie było w holu nikogo, chociaż nie miała ochoty otwierać drzwi szerzej, żeby się upewnić.

- Kim jesteś? - zapytała dobermana, który drgnął na dźwięk jej głosu, po czym jakiś paroksyzm rzucił go na balustradę schodów, na którą się osunął, jakby dosięgła go kula. Nim panna Beryl zdążyła to wszystko ogarnąć, drzwi wejściowe się otworzyły i pojawił się Sully ze śrubokrętem w dłoni.

- Umocowałem tę poręcz - powiedział, kiedy panna Beryl otworzyła drzwi, żeby dokładniej obejrzieć niecodzienną scenę. Sully nie wydawał się zaskoczony widokiem dobermana, na wpół leżącego pod schodami, co mogło, acz nie musiało oznaczać, że pies jest z nim. Nie wydawał się też zdziwiony faktem, że jego gospodyni nie śpi o drugiej w nocy.

Prawdę mówiąc, jej lokator wyglądał, jakby już nic na tym świecie nie mogło go zdziwić. Był bladejszy, chudszy i bardziej przypominał ducha niż kiedykolwiek przedtem, choć niekoniecznie ducha w stylu dickensowskim.

- Pani Peoples, nie będzie miała pani nic przeciwko temu, że wstąpię i ściągnę u pani te buty?

- Ależ proszę, Donaldzie - powiedziała panna Beryl, cofając się w głąb mieszkania.

W tym momencie pies wydał głębokie westchnienie i klapnął jak długi na podłogę. Oboje przyjrzeni mu się uważnie. Sully pokręcił głową.

- Jak się pani zapatruje na sprawę zwierząt domowych?

- Czy on szczeka? - zapytała panna Beryl.

- Zaszczekał kilka minut temu - odparł Sully, którego głos nie wiadomo dlaczego przy tym zadrzał. - W samą porę zresztą. Niewiele brakowało, a zrobiłbym krok w przód.

Panna Beryl czekała na dalsze szczegóły, ale te nie nastąpiły. Błady i wychudzony tak jak w tej chwili, Sully wyglądał, jakby próżnia mogła być dla niego naturalnym ośrodkiem.

- Mogę zostać tylko chwilę. - Sully opadł na świeżo odrestaurowane krzesło, które zaprotestowało głośno, ale wytrzymało. Pan Blue miał rację. Było naprawione.

- Właśnie robię herbatę - oznajmiła panna Beryl. - Czy masz ochotę na filiżankę?

- Nie, nie mam. - Sully się do niej uśmiechnął. - Ile razy muszę pani powtarzać?

- Inni czasem zmieniają zdanie - nie dawała za wygraną panna Beryl. - Wciąż uważam, że i ty jesteś do tego zdolny.

Sully zapalił papierosa i wydawał się rozważać to, co usłyszał.

- Naprawdę?

Jego pytanie zabrzmiało nie tyle kpiąco, ile refleksyjnie, jak gdyby był jej wdzięczny, że nie bierze jego oślego uporu za dobrą monetę. Za drzwiami znów rozległ się brzęk łańcucha.

Sully rozejrzył się wokół siebie, jak gdyby po raz pierwszy zauważył otaczające go przedmioty.

- Rozumiem, że jesteśmy tu tylko we dwoje, staruszko - powiedział, niewątpliwie pijąc do Clive'a juniora.

Na te słowa panna Beryl również usiadła.

- Dyskutowaliśmy o nim przez całe popołudnie z Clive'em seniorem - powiedziała. - Wydaje mi się, że ponieśliśmy porażkę. Przyznaję to z bólem, ale w jakiś sposób udało nam się wychować syna pozbawionego... - Urwała, nie mogąc znaleźć odpowiedniego słowa na to, czego brakowało jej synowi, przynajmniej takiego, które nie oznaczałoby kolejnej zdrady.

- Cóż. Przynajmniej go wychowywaliście. Zrobiliście, co było w waszej mocy.

- Jakoś nigdy nie był światłem moich oczu - wyznała panna Beryl, po raz pierwszy w życiu dzieląc się tą prawdą z inną żyjącą ludzką istotą. To właśnie

zarzucił jej Clive senior pewnego popołudnia, na krótko przedtem, nim Audrey Peach rzuciła go na przednią szybę samochodu. Sully zaciągnął się już wtedy do wojska i wyruszył na wojnę i panna Beryl zdążyła się pogodzić z jego nieuchronną śmiercią. Była o tym tak przekonana, że zaczęła rozdzielać winę. Większość spadała, oczywiście, na barki brutala i głupca, który był ojcem chłopaka, część przypadała w udziale matce, która czerpała tak szczególną pociechę z faktu bycia ofiarą. Ale część winy pozostawała nierozdysponowana i panna Beryl widziała dla niej miejsce we własnym domu. Miała nie wiedzieć, że to jej mąż i syn wybrali się swego czasu do domu przy Bowdon, aby położyć kres urzędowaniu Sully'ego przy ich stole, aby wykluczyć go z ich rodziny. Ale wiedziała. Wiedziała też, że zrobili to z zazdrości i strachu.

Jak straszne było dla niej to odkrycie. Oddanie jej męża okazało się opierać po części na założeniu, że nikt inny go nie podziela, dar jego miłości był obwarowany zastrzeżeniem, że ona nie otrzymuje innych darów. Wciąż usiłowała mu to wybaczyć, kiedy Audrey Peach odebrała jej szansę wytłumaczenia mu, dlaczego wybaczenie jest potrzebne.

Podczas ich najgorszej kłótni - o której panna Beryl nie chciała pamiętać podczas długich lat wdowieństwa, a równocześnie nie potrafiła o niej zapomnieć - Clive senior zarzucił jej wynaturzenie, wprowadzanie „obcości” do ich domu. Wyartykułował w ten sposób, zapewne najbardziej precyzyjnie, jak potrafił, to, co go gryzło. Stał na środku salonu, wskazując otaczające go przedmioty na dowód słuszności swoich słów. „Wszędzie afrykańskie maski, etruskie łodzie rytualne i dwugłowe psy Fu. Człowiek żyje tu jak w dżungli” - powiedział z taką powagą, że panna Beryl się nie uśmiechnęła, co robiła zazwyczaj, kiedy jej mąż uderzał w poważny ton. Miało to znaczyć, jak rozumiała, że jest z nią nieszczęśliwy, że żałuje swojego wyboru, że wini ją za syna, który nie potrafi ani dryblować, ani się bić, i na domiar wszystkiego oskarża ją o to, że za mało tego syna kocha, że zamiast niego obdarza sympatią innego chłopca, który nie ma do ich uczuć żadnego prawa. Że zaprasza obcość tego świata w progi ich domu, podkopując egzystencję ich wszystkich. Wciąż miała przed oczyma jego twarz - wypisaną na niej zaciętą, pełną urazy dezaprobatę, którą widziała u swojego męża tylko raz, w tej jednej, jedynej sytuacji, a która z czasem zagościła na stałe na obliczu Clive'a juniora, przez' co tak trudno jej było czuć do niego to, co powinna czuć jako matka do syna. Jak gdyby misją Clive'a juniora było przypomnienie jej o tej

strasznej chwili, kiedy jego ojciec milcząco dał jej do zrozumienia, że żałuje swojej miłości do niej. „Chyba nie wiesz, co znaczy miłość” - oświadczył nadąsany, jak gdyby chciał przez to powiedzieć, że jego miłość do niej nie jest odwzajemniona. Co nie było prawdą, do tamtej chwili.

Ale w tym, co powiedział, było ziarno prawdy - panna Beryl nie rozumiała miłości. To był punkt, do którego wracała przez cały dzień, być może przez całe życie: tajemnica miłości, tajemnica serca, skłaniającego się w tę, a nie w inną stronę, mającego moc zrobić głupca lub łajdaka ze swojego właściciela, jeśli ktokolwiek jest rzeczywiście właścicielem swojego serca. „Wiem - odpowiedziała mu tamtego popołudnia przed wielu laty. - Miłość to głupia rzecz”.

Była to - wtedy i teraz - jej cała wiedza na ten temat. Nie ulegało wątpliwości, że Clive senior też musiał to już wówczas wiedzieć, że rozumiał to w chwili, kiedy uświadomił sobie, że ją kocha, czego nikt nigdy nie potrafiłby pojąć.

Jeżeli Sullym wstrząsnęło jej wyznanie, że Clive junior nie był światłem jej oczu, nie dał tego po sobie poznać. Pochylony, w jednej ręce trzymał pionowo papierosa, z rosnącym niebezpiecznie słupkiem popiołu, drugą rozwiązywał sznurowadła roboczych butów. Wysilek ów wydawał się pochłaniać resztki jego energii.

W kuchni zaśpiewał czajnik. Kiedy panna Beryl wstała, Sully powiedział:

- Doszły mnie słuchy, że zrobiła pani dobry uczynek.

Panna Beryl zrozumiała, że jest to aluzja do domu przy Bowdon, pojęła też, że temat nie będzie czekał do rana. Sully patrzył na nią z wyrazem twarzy, jakiego nigdy u niego wcześniej nie widziała, świadczącym o tym, że jest to człowiek twardszy i bardziej niebezpieczny, niż to sobie wyobrażała.

- Wetknęła pani nos w nie swoje sprawy - oświadczył.

- Wiem - przyznała panna Beryl. - Ale jestem starą kobietą i mam prawo.

Sully nie odpowiadał przez dłuższą chwilę. Twardy wyraz jego czarnych oczu zelżał stopniowo, a w jego miejsce pojawił się bardziej swojski, zakłopotany uśmiech.

- Tak czy inaczej - dokończył - wybaczam pani.

- Dziękuję ci, Donaldzie - powiedziała panna Beryl i znów żadne z nich nie odzywało się przez jakiś czas. Jedynym dźwiękiem w mieszkaniu był nagłący gwizdek czajnika, dobiegający z kuchni.

- Jesteś pewien, że nie masz ochoty na szklankę herbaty?

Sully znów nie odpowiedział, chociaż nie wiadomo, czy dlatego, że jego zdaniem znała odpowiedź, czy dlatego, że wyczerpanie wzięło w końcu nad nim górę, czy może doszedł do wniosku, że sam nie wie, czego chce.

Kiedy wróciła ze swoją filiżanką, Sully spał, z głową odrzuconą do tyłu, z otwartymi ustami, chrapiąc głośno. Był to ogłuszający dźwięk, kiedy słuchało się go z bliska, bez rozdzielającego ich sufitu, co się zdarzyło po raz pierwszy. Zasnął w trakcie zdejmowania buta, co usiłował zrobić, przydep-tując piętę czubkiem drugiego.

Panna Beryl znalazła popielniczkę, którą trzymała dla niego na stoliku pod ścianą, i podsunęła ją pod papierosa, nim popiół zdążył spaść. Kiedy wyjęła niedopałek spomiędzy jego poplamionych nikotyną palców, zauwa-żyła, że śpi z otwartymi oczami. Spostrzeżenie to wywołało uśmiech na jej twarzy. Stare domy zdradzają wiele tajemnic i w ciągu dwudziestu paru lat słuchania odgłosów obecności Sully'ego w mieszkaniu na górze doszła do wniosku, że chyba wie już wszystko o swoim lokatorze. A oto pojawiło się coś nowego.

Za drzwiami w zimnym holu znów brzęknął łańcuch. Kiedy panna Beryl otworzyła drzwi, doberman dokonał spazmatycznego wysiłku, żeby wstać, obracając się przy tym kilkakrotnie dookoła własnej osi, nadeptując łań-cuch, aż wreszcie udało mu się uzyskać chwiejną równowagę. Stał i patrzył na nią wyczekująco, jak gdyby w nadziei, że nie zadał sobie tego całego tru-du na darmo.

- Ty też możesz wejść, jeśli chcesz - powiedziała panna Beryl do zwierzę-cia.

Pies najwyraźniej zrozumiał, bo minął ją, kuśtykając, po czym rozciągnął się z kolejnym potężnym westchnieniem u stóp „królowej Anny”. Koniuszek jego ogona podrygiwał ruchem, który - któż to wie? - mógł oznaczać zado-wolenie.